

JACK DU BRUL

KAMIENÍ MEDUZY

Philip Mercer, tom 3

*Lou,
mojej redaktorce, mojej partnerce w podróżach,
mojej najlepszej przyjaciółce, mojej matce*

PRZYŁĄDEK KENNEDYEGO, FLORYDA, PAŹDZIERNIK 1989

Siedzący od trzech godzin w półleżącej pozycji i przypięty pasami do dwóch milionów kilogramów materiałów wybuchowych kapitan Sił Powietrznych Len Cullins słuchał niecierpliwie monotonnego mamrotania pracownika prowadzącego start. Przypuszczał, że brak emocji w jego głosie ma dodawać otuchy załodze promu, ale jego bardzo to irytowało. Dwie minuty przed pierwszym lotem w kosmos Cullins wciąż wyobrażał sobie, że sięga przez łącze radiowe i dusi prowadzącego, przebywającego w klimatyzowanym centrum kontroli kilka kilometrów dalej. Uśmiechnął się na tę myśl pod osłoną hełmu.

– „Atlantis”, tu kontrola. Ciśnienie H-dwa w zbiorniku w porządku. Przygotować się do odpalenia. Odbiór.

– Potwierdzam, kontrola. Przygotowujemy się do odpalenia. Bez odbioru – odparł Cullins.

Sekundy mijały powoli, a kontrola naziemna i Cullins recytowali przygotowany tekst, zupełnie nieoddający dramatyzmu tego, co miało się wydarzyć. Za żaroodpornymi oknami promu wschodnią Florydę spowijał czarny całun nocy. Gwiazdy mru-gały, a Cullins wiedział, że za kilka minut ich dosięgnie.

– Odpalajcie tę świecę, na miłość boską – mruknął.

– „Atlantis”, przejmują was komputery pokładowe. Odbiór.

– Potwierdzam.

Kiedy kontrola w końcu dojrzała do ostatnich sekund odliczania, Cullins nie słyszał już szumu pomocniczych jednostek zasilających ani wentylatorów i silników znajdujących się w kabinie. Dla niego te ostatnie chwile upłynęły w całkowitej ciszy.

– Pięć... cztery... zapłon głównego silnika...

W ciągu jednej trzeciej sekundy główne silniki promu rzygły milionami kilogramów ciągu; biały płomień wylotowy rozżarzył metalową platformę startową 39A. Cała ta moc zdołała jednak tylko zakołysać promem w mocowaniach – kosmonauci nazywali to brzdęknięciem. Ze swojego fotela pilota Cullins nie widział jeszcze blasku kontrolowanej detonacji płynnego tlenu i wodoru stanowiących ich paliwo, ale huk towarzyszący zapłonowi mocno wstrząsał całym promem. Przez chwilę zastanawiał się, w co się, u diabła, wpakował.

– Trzy... dwa... jeden...

Gdy prom wyprostował się z przewidywanego przechyłu, odpaliły dodatkowe rakiety na paliwo stałe. Każda z nich generowała ciąg ponad dwa razy większy niż wewnętrzne silniki promu. Len Cullins i pozostali trzej członkowie załogi poczuli się, jakby rozpedzeni zderzyli się ze ścianą. W chwili odpalenia pod dysze promu wlały się tysiące litrów wody, aby zredukować straszliwe wibracje wywoływane przez silniki. Woda zmieniła się w kłęby pary, w których odbijał się ogniście żółty płomień wylotowy.

– I jest start!

– Co ty, kurwa, powiesz!

W pięć sekund prom opuścił wieżę startową; wyglądało to, jakby nad Florydą na długo przed wschodem słońca wstał świt. Prom unosił się znad mangrowych bagien na płomienistym ogonie plazmy, rozcinającym noc jak nóż. Energia chemiczna paliwa przekształcała się w kinetyczną tak szybko, że czterdzieści pięć sekund po starcie została przekroczona prędkość dźwięku, a kilka chwil później jej dwukrotność. Po dwóch minutach rakiety dodatkowe wypuły resztki paliwa, a prom pędzący cztery i pół raza szybciej od dźwięku znajdował się już czterdzieści pięć kilometrów nad ziemią.

Komputery pokładowe kierowały przepływem paliwa do wewnętrznych silników „Atlantisa”, by utrzymać przeciążenie poniżej trzy g, a Len Cullins czuł się rozsmarowywany po dopasowanym do jego sylwetki fotelu. Treningi go na to przygotowały, ale wciąż nie mógł uwierzyć, że można się tak czuć. Tak prosty gest, jak uniesienie dłoni w rękawicy z poręczy, wymagał wyężenia niemal wszystkich sił.

– „Atlantis”, mamy oddzielenie rakiet dodatkowych.

– Potwierdzam. Co za widok! – zawołał Cullins.

Dwie rakiety przymocowane do pękatego zewnętrznego zbiornika paliwa odpadły od promu, wirując w płomienistych kręgach rozgrzanego gazu na resztkach paliwa. A prom wciąż się unosił, cały czas przyspieszając, przekraczając granicę dziesięciu machów, która była jak słupek odległości na pustej autostradzie.

Na wysokości stu kilometrów załoga ujrzała słońce wschodzące nad kurczącym się horyzontem. Wszyscy czterej kosmonauci rozdziawili usta jak dzikusy, a „Atlantis” wypadł poza

atmosferę, do świata, w którym Ziemia była tylko kolorowym tłem, odartym z ciepła i piękna przez mroźną próżnię kosmosu.

– „Atlantis”, tu kontrola naziemna. Jesteście w punkcie bez powrotu. Słyszycie?

Punkt bez powrotu oznaczał, że prom jest już za wysoko, by wylądować na awaryjnym lądowisku w północnej Afryce albo Europie. Musiał polecieć w kosmos albo zginąć.

– Potwierdzam, kontrola – powiedział Cullins do kontroli w Houston, która przejęła kierowanie lotem od Przyłądka Kennedy’ego, kiedy tylko prom opuścił wieżę startową. Kontrola naziemna kosmicznego programu Stanów Zjednoczonych znajdowała się w Teksasie w wyniku machinacji Lyndona Johnsona w czasie, gdy program ten był w powijakach. Agencja Kosmiczna zapłaciła już za to miliony dolarów w odprawach.

Osiem minut po pierwszym grzmocie głównych silników promu wysały one resztki paliwa z zewnętrznego zbiornika i załogę otoczyła nagle głęboka cisza. Dokładnie w tym momencie, kiedy zgasł ciąg silników, a ręce Cullinsa uniosły się z poręczy i zawisły w powietrzu jak wodorosty w stawie, pilot zdał sobie sprawę, że wyrwał się z objęć Ziemi. Zrobił także coś, czego zazdrościli mu wszyscy ludzie na świecie. Spełnił dziecięce marzenie.

– „Atlantis”, tu kontrola. Przygotujcie się do odrzucenia zbiornika.

– Potwierdzam. Odrzucenie zewnętrznego zbiornika... teraz. Niewielkie ładunki wybuchowe odepchnęły olbrzymi zbiornik

od promu; rozpoczął długi lot z powrotem w atmosferę, w której miał nieszkodliwie spłonąć.

– Może i grawitacja jest prawem, ale Newtonowska mechanika to cholernie dobra karta „wyjście z więzienia” – zażartował Dale Markham, specjalista od obsługi ładunku, siedzący za Cullinsem.

Dwie godziny po wejściu na orbitę, z pokrywą luku towarowego otwartą, by wytracić nadmiar ciepła, załoga zabrała się do wykonywania głównego zadania. Wszyscy odczuwali już skutki nieważkości – jutro nie nadawaliby się już do niczego. Dlatego NASA zaplanowała uwolnienie ładunku tuż po wejściu promu na stabilną orbitę czterysta kilometrów nad planetą.

Len Cullins i pozostali trzej kosmonauci wciąż jechali na adrenalinie ze startu, ale mdłości były coraz bardziej dotkliwe i niedługo miały wszystkich osłabić. Filmy i ćwiczenia na pokładzie przerobionego przez NASA boeinga 707 zwanego „Kometa Wymiotów” nie mogły przygotować ich na to, jak to jest naprawdę znajdować się w ciągłym stanie nieważkości. Siedząc z zaciętą miną w fotelu pilota, Cullins obiecał sobie, że nie będzie pierwszy, który zwróci jajecznicę i stek zjedzone na śniadanie na Florydzie.

– „Atlantis”, tu kontrola, przygotujcie się na przejście pod Vanderberg i uwolnienie ładunku.

Baza Sił Powietrznych Vanderberg w Kalifornii nadzorowała satelitę znajdującego się w luku towarowym promu -jego bezpieczne umieszczenie na orbicie było głównym celem lotu,

wbrew wydanemu przez NASA oświadczeniu, że chodzi o satelitę meteorologicznego.

– Potwierdzam – rzucił Cullins i szybko przełknął ślinę; żołądek podchodził mu do gardła, a ślinianki pracowały na pełnych obrotach. – Vanderberg, tu „Atlantis”, zaczynajcie.

– „Atlantis”, tu Vanderberg. Wszystkie światła zielone, możecie uwolnić ładunek.

– Potwierdzam, Vanderberg, przygotowujemy się do uwolnienia ładunku. Uwolnienie za osiemnaście minut.

Cullins wiedział, że na wystrzelenie satelity z luku towarowego mają bardzo mało czasu ze względu na naturę ich misji. Przełączył się na wewnętrzną sieć radiową.

– Dale, masz osiemnaście minut. Co tam u ciebie?

– Śniadanie nie było już takie dobre, gdy wracało, ale jestem gotowy – odparł Markham.

On i drugi specjalista od obsługi ładunku, Nick Fielding, stali przy rufowym stanowisku załogi – dopóki satelita nie znajdzie się bezpiecznie na orbicie, to oni będą sprawowali kontrolę nad promem. Fielding miał obsługiwać kontroler rotacyjny orbitera, korygując nachylenie wzdłużne i poprzeczne, specjalnością Markhama zaś było operowanie ramieniem manipulatora produkcji kanadyjskiej. Ich zadanie było bardzo trudne – orbitery i ładunek były podatne na efekty mikrogravitacji. Obaj słyszeli plotki, że satelita Departamentu Obrony, o kryptonimie Meduza, kosztował dwa i ćwierć miliarda dolarów, a teraz oni są odpowiedzialni za jego bezpieczeństwo.

– Jeśli coś się dzieje, Dale, nigdy już nie zobaczymy formu-
larza zwrotu podatku – zażartował Fielding, za pomocą joysticka
wysuwając ramię manipulatora z prowadnic spoczynkowych.

– „Atlantis”, tu Vanderberg. Według namierzenia z Ziemi
zbliżacie się do wyznaczonej pozycji, uwolnienie ładunku za
jedenaście minut.

– Potwierdzam, kontrola, jedenaście minut – odparł Mar-
kham. Czuł, że za chwilę znów zwymiotuje.

– Wszystko gra, Dale?

– Jak w zegareczku. – Markham beknął. – Jak położenie?

– Jesteśmy na pozycji, dziób w dół pod kątem dziewięćdzie-
sięciu stopni – odparł Fielding.

– Wciąż mi się to nie podoba. Pierwotny plan misji zakładał
cały dzień na sprawdzenie systemów i ćwiczenia z manipulator-
em przed uwolnieniem ładunku.

– I tak by było, gdyby start odbył się wczoraj, jak planowano.
Miej pretensje do matki natury za tę wichurę, a nie do Sił Po-
wietrznych za naginanie zasad – rzucił Markham. – Poza tym
muszę przyznać, że mi ulży, gdy pozbędziemy się tego z ładowni.
Słyszaleś, co to potrafi?

– Koniec pogaduszek, panowie, bierzcie się do roboty – roz-
legł się za nimi szorstki głos. Pułkownik Mikę „Duke” Wayne był
dowódcą promu odpowiedzialnym za ten lot. W przeciwieństwie
do reszty załogi krótko ostrzyżony pułkownik latał już w kosmos,
uczestniczył w jednej z pierwszych misji na pokładzie „Chal-
lengera”, prowadzonej przez Siły Powietrzne we współpracy z
Agencją Bezpieczeństwa Narodowego.

Patrząc na monitor i co jakiś czas wyglądając przez okno, Markham wykręcał ramię manipulatora, aż złapało uchwyt satelity – cały czas świadomy, że Wayne go obserwuje. Kiedy patrzyło się ponad ładownią, pionowy stabilizator promu był tylko cienką białą kreską na tle głębokiej czerni kosmosu.

– Cztery minuty, poruczniku Markham – powiedział Wayne.

– Potwierdzam – odparł Markham, nie odrywając wzroku od monitora przekazującego obraz z kamery umieszczonej na zgięciu manipulatora, pokazującej położenie satelity w dwudziestometrowym luku towarowym. Dopóki Meduza nie była uwolniona, a jej panele słoneczne i czasza przekaźnika nie zostały rozłożone, dopóty przypominała wielki, ciemny rożek lodów. Nawet w świetle palących się z pełną mocą reflektorów luku towarowego powłoka Meduzy wydawała się o ton ciemniejsza niż czarne tło kosmosu; jej pochłaniający fale radaru materiał pożerał światło niby czarna dziura. Czubek jedyne widocznego sensora wyglądał jak lufa wielkokalibrowego działa, ale składał się ze splecionych misternie drucików połyskujących niczym złoto.

Operując joystickiem jak chirurg skalpelem, Markham podniósł satelitę z łoża. Na ziemi ramię manipulatora miało mniej siły niż przeciętny mężczyzna, ale w próżni z łatwością poruszało jedenastotonowym kolosem. Jak kończyła jakiegoś potwornego insekta, piętnastometrowe ramię uniosło Meduzę w górę, aż zawisła nad podłogą luku towarowego.

Markham wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, próbując uspokoić żołądek. Drobne drgnięcie joysticka mogło sprawić, że

satelita uderzy w burtę promu, albo wystrzelić go na niestabilną orbitę – a jemu właśnie zbierało się na mdłości. Gdy blokował ramię, sięgnął po torebkę i wymiotował.

– Przejmuję uwolnienie Meduzy – powiedział Nick Fielding. Markham uśmiechnął się słabo z wdzięcznością; jego ciemna opalenizna z Florydy teraz zmieniała się w niezdrową, zielonkawą bladeść. Kiedy tylko podryfował od stanowiska kontroli, na regulowaną platformę przed sterami manipulatora wszedł pułkownik Wayne.

– Kontrola Vanderberg, tu „Atlantis”. Jesteśmy gotowi do uwolnienia ładunku na wasz sygnał. Potwierdzamy prawidłowe ustawienie.

Szorstka pewność siebie Wayne’a była dla Fieldinga jak pomocna dłoń. Nie chciał ponosić odpowiedzialności za wystrzelenie satelity.

– „Atlantis”, tu generał Kolwicki. To pan, Duke?

– Potwierdzam, sir. „Atlantis” jest gotowy do odliczania. Wszyscy szykujemy się na urlop.

Zazwyczaj napięty budżet NASA wymagał, by załogi promów przeprowadzały eksperymenty naukowe po zakończeniu podstawowych zadań, żeby zmaksymalizować czas spędzony w kosmosie i usprawiedliwić ogromne koszty wyniesienia promu na orbitę. Jednak wystrzelenie Meduzy uznano za tak ważne, że przez cztery dni, które orbiter miał spędzić w kosmosie, załoga miała tylko podziwiać widoki i spędzać czas tak, jak uzna za stosowne. NASA nalegała, by kosmonauci pozostali na orbicie dodatkowych kilka dni, żeby stworzyć pozory, że to lot cywilny.

– „Atlantis”, tu kontrola Vanderberg. Minuta do sygnału uwolnienia ładunku... Już.

Markham, Fielding i Cullins mogli słyszeć plotki na temat Meduzy, ale tylko Wayne znał jej prawdziwe możliwości. Meduza nie była jedynym satelitą w przedziale towarowym: był to cały system składający się z pięciu platform, z których cztery znajdowały się już na orbicie i właśnie zbliżały do „Atlantisa”. Ostatni składnik, satelita, którego mieli właśnie wypuścić, był zwornikiem całego systemu i pochłonął blisko połowę budżetu wynoszącego ponad dwa miliardy dolarów.

Zaprojektowana jako oczy Inicjatywy Obrony Strategicznej prezydenta Reagana Meduza była zupełnie inna niż wszystkie zbudowane dotychczas satelity szpiegowskie. Wojskowi planiści wiedzieli, że sowiecka doktryna zakłada przypisanie do każdej z międzykontynentalnych rakiet balistycznych z głowicą atomową po kilka silosów i bunkrów. Rosjanie mogli wybierać wyrzutnie losowo, potajemnie przewożąc pociski ciężarówkami i niweczając w ten sposób amerykańskie próby ich namierzenia. Dzięki temu rosyjski atak mógł się rozpocząć z jednego z wielu miejsc, często nieznanymi albo nienamierzonymi. Była to przerażająca wersja tasowania kart. Nawet z nieograniczonym budżetem Pentagon nie mógł zbudować wystarczająco dużo laserowych systemów obronnych, by objąć nimi wszystkie potencjalne cele w Związku Radzieckim i Europie Wschodniej. Żeby Gwiezdne Wojny zakończyły się sukcesem, Stany Zjednoczone musiały dokładnie określić, w których silosach i bunkrach znajdowały się rakiety w chwili ich odpalenia. W ten sposób, gdyby kiedykolwiek rakiety

zostały odpalone, umieszczone w kosmosie lasery byłyby już wycelowane i nie traciłyby cennych sekund na namierzanie celu w chwili ataku. By to osiągnąć, Pentagon potrzebował nowego typu satelity szpiegowskiego, który spoglądałby z kosmosu i przenikając przez skałę, beton i stal, odkryłby najpilniej strzeżone rosyjskie sekrety.

Meduza działała jak sonar, ale zamiast fal dźwiękowych używała naładowanych cząstek subatomowych. Cztery satelity-odbiorniki orbitujące wokół Ziemi w romboidalnym szyku miały odbierać odbicie działa pozytronowego zamontowanego na „Meduzie”, którą właśnie miano wystrzelić. Duża część naukowych zasad działania satelity wykraczała poza możliwości pojmowania Wayne’a. Wiedział, że system wyposażony jest w reaktor plutonowy, tworzący i wystrzeliwujący strumień pozytronów i wykorzystujący twierdzenie odbicia fal elektromagnetycznych do odbierania odbitych cząstek przez pozostałe satelity. Podczas testów na modelach komputerowych Meduza potrafiła wykryć silos raketowy, stwierdzić, czy znajduje się w nim międzykontynentalny pocisk balistyczny, zlokalizować bunkier dowodzenia i tunele pomocnicze, a nawet wykryć podziemne kable zasilające linie telekomunikacyjne. Meduza widziała przez wody oceanów jak przez szybę, znajdując atomowe okręty podwodne, nieważne, jak głęboko i cicho płynęły. Była tak precyzyjna, że po zaledwie kilku przebiegach potrafiła stworzyć szczegółową mapę pola minowego i przestać ją w czasie rzeczywistym do centrum dowodzenia, ujawniając dokładne położenie każdego zakopanego przez wroga ładunku.

– „Atlantis”, tu Vanderberg. Cele w odległości sześciu kilometrów, zbliżają się z prędkością trzynastu kilometrów na minutę. Są sześćset metrów nad waszą orbitą.

– Potwierdzam, kontrola. Piętnaście sekund.

Pułkownik Wayne utkwiał wzrok w cyfrowym liczniku, a jego palec zawisł nad przyciskiem zwalniającym.

Ze względu na położenie promu cztery satelity odbiorcze zbliżały się do brzucha „Atlantisa” z nieco większą prędkością relatywną. Załoga miała je zobaczyć dopiero, kiedy już by ich minęły, pojawiając się bezgłośnie nad ogonem promu.

– „Atlantis”, przygotować się do uwolnienia ładunku za... trzy... dwa... jeden. Teraz.

Wayne nacisnął przycisk na drążku sterowania, a Nick Fielding jednocześnie uruchomił dysze manewrowe, opuszczając prom na niższą orbitę, by uniknąć kolizji z satelitą.

Kiedy Wayne chował ramię manipulatora, komputery na pokładzie Meduzy obudziły się, odbierając polecenia kontroli naziemnej. Satelita zaczął się otwierać jak parasol, rozkładając panele z bateriami słonecznymi, które miały zasilać jego wewnętrzne systemy i umożliwiać korekty ustawienia i kursu na orbicie. Reaktor plutonowy zasilał jedynie działo pozytronowe. Ruch satelity wokół planety zapewniała rakietą o napędzie chemiczno-słonecznym, wymagająca uzupełnienia paliwa co roku do trzech lat.

Wayne i Fielding z nabożnym podziwem patrzyli na ekran, na którym Meduza była coraz większa; panele rozkładały się i rozwijały, przypominając origami. Po kilku chwilach rożek lodów

przekształcił się w okrutną zjawę, zgarbioną nad Ziemią niczym mściwy gargulec. Meduza wyglądała jak śmierć, jak stworzony ludzką ręką zwiastun Armagedonu.

– Nadlatuje czterech jeźdźców – mruknął Fielding.

Cztery satelity odbiorcze pojawiły się nad ogonem promu, migocząc słabo na tle gwiazd. Kiedy weszły w pole widzenia, Meduza otrzymała polecenie z Vanderberg i z jednej z jej dysz trysnęła cienka smużka spalonego paliwa. Satelita przyspieszył, by dołączyć do pozostałych.

Len Cullins przyszedł na stanowisko rufowe i popatrzył ponad ramieniem Fieldinga.

– Człowiek się zastanawia, co moglibyśmy osiągnąć, gdybyśmy zajęli się tworzeniem zamiast niszczeniem, co?

Wayne spojrzał na niego surowo.

– Jeszcze raz pan tak choćby pomyśli, postawię pana przed sądem wojskowym.

– Co to było, do cholery? – W głosie Nicka Fieldinga słychać było niepokój. Wyglądał przez okno, odwracając się tak, by móc widzieć pędzące satelity.

– Co takiego? – spytał Wayne.

– Coś błysnęło tuż za satelitami odbiorczymi, jakby słońce odbiło się od czegoś metalowego.

– Jest pan pewien?

– Tak. To była sekunda, a one są za daleko, żeby wyraźnie widzieć, ale na pewno coś widziałem.

Wayne otworzył połączenie z Vanderberg.

– Kontrola naziemna, tu „Atlantis”. Widzimy jakiś przedmiot za Meduzą. Możecie to potwierdzić? Wydawał się niebezpiecznie blisko.

– Potwierdzam, „Atlantis”. – Kontroler nie zdołał ukryć niepokoju w głosie. – Właśnie dostaliśmy ostrzeżenie z Dowództwa Kosmicznego US w Colorado Springs. Odpalają właśnie swój radar w Stacji Powietrznej Cavalier w Dakocie Północnej, ale wstępna telemetria potwierdza kurs zderzeniowy. Czekać w gotowości.

– Co to było, Nick? – spytał Cullins.

– Nie wiem. Nie wyglądało na duże, ale tak naprawdę trudno powiedzieć.

– „Atlantis” czeka w pogotowiu – powiedział Wayne do kontroli Van-derberg.

Minęło kilka sekund. Ciszę przerywały tylko odgłosy maszynierii promu i ciche jęki Dale’a Markhama.

– Kontrola Vanderberg do „Atlantisa”. Duke, tu generał Kolwicki. Macie zmienić ustawienie i zwiększyć prędkość orbitowania, żebyśmy mogli ocenić, co się tam dzieje. Cokolwiek jest za Meduzą, jest tak małe, że nie możemy tego dokładnie namierzyć.

– Tak jest, panie generale. Zmieniamy położenie.

Wayne skinął głową Fieldingowi, który wrócił na swoje stanowisko przy systemie kontroli reagowania. Używając małych porcji gazu, prom obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, aż ustawił się dziobem w kierunku oddalającej się Meduzy.

– „Atlantis”, według kontroli naziemnej doganiacie Meduzę z prędkością szesnastu metrów na minutę. Proszę zwiększyć prędkość orbitalną. Odległość od Meduzy tysiąc metrów.

– Potwierdzam, kontrola.

Podczas gdy Wayne i Fielding pozostali na stanowisku rurowym, Len Cullins wrócił do kokpitu, by obserwować przez główne okna goniony przez nich niezidentyfikowany przedmiot, zbliżający się do pięciu satelitów. Usiadł w fotelu i wbił wzrok w przestrzeń, usiłując wypatrzeć to, co mignęło Fieldingowi. Słyszał, jak Wayne rozmawia z generałem Kolwickim, szefem operacji kosmicznych USA, przez łącze radiowe.

– Odległość pięćset metrów. To, co goni nasze satelity, dopędzi je za piętnaście sekund.

Cullins zaczął odliczać w myślach. Przy ośmiu sekundach zobaczył pięć satelitów migoczących tuż ponad mglistym błękitnym horyzontem Ziemi. Z tej odległości wyglądały jak złote świetliki; wszelkie szczegóły niknęły w odbitym blasku planety. Przy czterech sekundach widział je już wyraźniej: korpusy czterech platform odbiorczych z rozpostartą pajęczyną czasz i anten. Przy dwóch sekundach dostrzegł matowy, srebrny błysk za jedną z nich, tak krótki, że gdyby się go nie spodziewał, pomyślałby, że to złudzenie.

Kontrola naziemna zawołała „Teraz!” i magnetyczny klucz nasadowy, zgubiony podczas wyjścia w kosmos w ramach projektu „Gemini” dwadzieścia pięć lat temu, jeden ze stu tysięcy kosmicznych śmieci, przebił czaszę odbiorczą satelity, przyczepił się do stalowego panelu poszycia i zdestabilizował całą jednostkę.

Siła uderzenia zagubiła się w próżni, bo nie było tu dźwięku, ale klucz uderzył z siłą pocisku i trafiony satelita zaczął się obracać. Na oczach przerażonego Cullinsa zrobił trzy koziołki, po czym wyróżnął w głównego satelitę.

Cullins usłyszał okrzyk generała Kolwickiego:

– O cholera, stracimy go!

– Zgadza się, panie generale – odparł, patrząc, jak Meduza zaczyna spadać w stronę Ziemi.

Trzysta sześćdziesiąt kilometrów pod „Atlantidem” generał Reginald Kolwicki patrzył na najbardziej kosztowny militarny wypadek w dziejach Ameryki. W niecałe trzy i pół minuty Meduza zmieniła się ze szczytowego osiągnięcia w całkowitą katastrofę. Telemetria platformy działa pozytronowego potwierdzała, że satelita znajduje się na orbicie opadającej i że nie odpowie na przesyłane przez kontrolę naziemną polecenia uruchomienia dysz manewrowych. Spadał, a czterdzieścioro mężczyzn i kobiet zebranych w sali kontrolnej nie mogło na to nic poradzić.

– Spróbujcie autonomicznego programu lotu – powiedział Kolwicki do technika komputerowego, który wściekle stukał w klawisze, próbując odzyskać kontrolę nad Meduzą.

– Brak odpowiedzi. Centralny procesor jest wyłączony.

– Odbieracie cokolwiek z tego dziadostwa?

– Działo pozytronowe jest w gotowości, wszystkie algorytmy szyfrujące są sprawne.

– Świetnie. Meduza za chwilę spali się w atmosferze, ale wciąż chce robić zdjęcia i zachować dane w tajemnicy – skomentował Kolwicki tę ironię losu. – Ile jeszcze zostało?

– Meduza wejdzie w atmosferę za dwadzieścia pięć sekund. Całkowita jej utrata najdalej za trzydzieści.

– Cholera. – Jako zawodowy wojskowy, którego kariera spała się właśnie w kosmosie, Kolwicky nie miał wyboru. – Pozycja satelity?

– Nad północną Afryką, leci na południowy wschód. Spali się nad Oceanem Indyjskim.

– Możemy równie dobrze włączyć działo pozytronowe, skoro już spada. Może uda się coś uratować z tego burdelu.

Kolwicky czuł się jak kapitan, który wie, że jego statek tonie, ale mimo to rozkazuje dać całą naprzód.

– Sir?

– Wykonać – warknął.

Technik błyskawicznie wystukał kilka poleceń. Reaktor plutonowy zadziałał, wysyłając na Ziemię snop pozytronów, który omiótł północną Afrykę od Czadu przez Sudan i Etiopię po Dżibuti i Somalię. Ogółem zrobił „zdjęcia” pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych, ale dane były niekompletne. Aby zdobyć informacje potrzebne do wykonania analizy podziemnej topografii, potrzebnych było kilka przebiegów nad tym samym rejonem. Dopiero kiedy satelita zaczął wchodzić w atmosferę, a tarcie niebezpiecznie zwiększyło jego temperaturę, Meduza wyłączyła się w automatycznym trybie bezpieczeństwa, by nie doszło do radioaktywnego wypadku.

W mitologii starożytnej Grecji Meduza była wiedźmą, której spojrzenie zmieniało ludzi w kamień. Spadając z kosmosu i zmieniając się w rozżarzoną do białości kulę, satelita studiował

jałowe afrykańskie pustkowia. Pod tonami głazów i skał zobaczył coś, co człowiek ukrył ponad dwa tysiące lat temu w nadziei, że nikt nie pozwoli temu wydostać się na światło dzienne. Tak jak spojrzenie jej starożytnej imienniczki, spojrzenie Meduzy miało przynosić śmierć.

PÓŁNOCNA ERYTREA, STYCZEŃ TEGO ROKU

Jakob Steiner nie przejmował się już tym, że umrze.

Śmierć byłaby wybawieniem od męczarni ostatniej godziny. Całe jego ciało było tak udręczone bólem i skutkami odwodnienia, że wola życia wyparowała równie szybko jak pot spływający niedawno po jego skórze. Steiner przestał się pocić niedługo po tym, jak jego oprawcy podjęli pościg, goniąc go przez jałową okolicę. Koszula khaki i spodnie, kilkadziesiąt minut temu mokre, teraz miały tylko białe kręgi zaschniętej soli pod pachami i w kroczu. Z początku Steiner myślał, że oddała się od bandytów shifta goniących go przez skalistą pustynię, ale szybko dotarło do niego, że jego początkowy zryw nie może się równać z godną maszyną wytrzymałością terrorystów. Dopędzili go bez trudu, a teraz trzymali się zaledwie kilka kroków za nim. Słyszał tupot ich butów na sypkim piachu, czuł smród ich niemytych ciał, intensywniejszy niż jego własny.

Bawili się z nim. Mogli go zabić dużo wcześniej strzałem z AK-47, które miał każdy z nich. A mimo to, jak stado ogarów, gonili go, dręcząc okrzykami, pchając poza granice jego własnej wytrzymałości tak, że powodował nim już tylko instynkt „uciekaj lub walcz”. Minęła godzina, godzina nieustannego przerażenia, i Steiner zbliżał się do punktu, w którym nie mógł już biec dalej, w którym walka dawała większe szanse niż ucieczka.

Ostatni raz pił wodę tuż przed powrotem do obozu z kolejnej bezowocnej wyprawy do jednego z setek kanionów po-

krywających tę część kraju. Zarai, jego przewodnik, pozostał w spartańskim obozowisku jak zawsze, kiedy naukowiec udawał się na badania. Steiner nie informował Erytrejczyka o swoich planach, a obyczaj wymagał, by Zarai nie pytał.

Dzisiejszy ranek rozpoczął ósmy dzień spędzony przez nich na tym odludziu, jałowym obszarze erytrejskich nizin, składającym się z poszarpanych skał i gór zbyt stromych i suchych, by ktoś tu mieszkał. Ponieważ w niedostępnych kanionach i na płaskowyżach nie było niczego, co przyciągałoby uprawiających ziemię Erytrejczyków, obaj byli prawie pewni, że są pierwszymi badaczami w tym rejonie od czasów włoskiej okupacji przed II wojną światową.

Steiner przyszedł do obozu tuż przed jedenastą. Zerwał się wyjący wiatr, sypiący piachem w oczy i zatykający nos i usta, tak że ostatnich kilka kilometrów przeszedł z chustą zawiązaną na twarzy i opuszczonym na oczy rondem kapelusza. Słyszał, że nylon jego i Zaraia namiotów łopocze jak żagle pędzącego jachtu.

Po raz pierwszy, odkąd Jakob rozpoczął poszukiwania, Zarai nie czekał na niego w swoim zwykłym miejscu, zgarbiony nad bezdymnym ogniskiem, na którym w nieskończoność gotował kolejne kubki herbaty. Ognisko ktoś zdeptał. Okalające je kamienie zostały rozrzucone między dwoma namiotami, a hołubiony czajnik Zaraia leżał na piasku. Steiner był zbyt zmęczony, by wyczuć niebezpieczeństwo, dopóki nie zaczął ściągać butów, usiadłszy na stołku przed swoim namiotem.

Najpierw zwrócił jego uwagę zapach i zjeżyły mu się włoski na dłoniach. Wyczuł zbliżające się zagrożenie, mając wrażenie, że

tysiąc stonóg maszeruje wzdłuż ramion w stronę piersi. Wstał, a jego brudne, przepocone skarpety zaszeleściły na piasku, kiedy się odwrócił, wiedząc, że jest obserwowany.

Bez ostrzeżenia Zarai runął na jego namiot, pchnięty jakąś niewidzialną siłą. Steiner odskoczył chwajnie, potknął się o własne nogi i upadł ciężko, niezdolny oderwać wzroku od swojego przewodnika, konającego tuż obok.

Twarz Zaraia była pokryta krwią płynącą z oczodołów pozabawionych oczu. Tłuste, czarne muchy, brzęcząc, wróciły szybko do swojego posiłku, obsiadając głowę mężczyzny, kiedy tylko ciało znieruchomiało. Zarai jęknął słabo, przeciągając ręką po piasku w próbie sięgnięcia do swojej zmasakrowanej twarzy.

Jakob wrzasnął, piskliwie jak dziewczyna, czując, że żołądek zamienia mu się w olej. Rzucił się w tył, usiłując odsunąć się od konającego.

Zarai jeszcze raz słabo podrapał piach i znieruchomiał, a jego ostatnie westchnienie w wyjąłym wietrze zabrzmiało jak szept.

Wtedy do obozu weszło czterech chudych jak charty mężczyzn. Byli ubrani w poplamione i zakurzone mundury moro, tak sprane, że nie było widać wzoru, z postrzępionymi mankietami, kołnierzami i niezliczonymi kieszeniami. Ubrania mieli zniszczone, ale sami byli w kwiecie wieku, co w tym rejonie Afryki oznaczało dwadzieścia kilka lat. Rosyjskie karabiny szturmowe, które trzymali w rękach, wyglądały na zadbane i naoliwione.

Młodzi mężczyźni stali arogancko, a ich ciemne oczy patrzyły z pogardą na kulącego się Steinera. W przeciwieństwie do Zaraia, który miał jaśniejszą skórę i arabskie rysy twarzy – pamiątka po

długotrwałych związkach Erytrei z Bliskim Wschodem – byli tak czarni, że ich skóra miała niemal niebieski odcień. Wyglądali negroidalnie: wysokie czoła, grube wargi i szerokie nosy. Choć dziedziną Steinera była archeologia, rozpoznał, że mężczyźni pochodzą z Sudanu, urodzeni w starożytnych krainach Kusz. Na polityce znał się wystarczająco, by wiedzieć, że długość jego życia teraz nie jest mierzona nawet w minutach.

W Sudanie od dziesięcioleci trwała wojna domowa, toczona między muzułmańską większością z północy i chrześcijanami z południa. Mała, ale znacząca populacja sudańskich animistów została uwięziona w samym jej środku. Organizacjom charytatywnym jedynie sporadycznie zezwalano na wjazd w głąb kraju z konwojami z pomocą, więc szacunki zabitych były niedokładne, ale sięgały już milionów. W ciągu ostatnich kilku lat z powodu chorób i niedożywienia wielu z walczących na południu zajęło się napadaniem na konwoje, plądrowaniem obozów ćwierćmilionowej rzeszy erytrejskich uchodźców oraz urządzeniem wypadów za granicę, by zdobyć jedzenie i lekarstwa, a także, coraz częściej, porywać ofiary dla okupu.

Jakob Steiner leżał na ziemi, a jego skarpetki były tak samo poplamione jak ubranie. Oczy miał szeroko otwarte i przerażone; patrzył na czterech górujących nad nim mężczyzn, którzy bez wątpienia dopuszczali się ohydnych czynów, o jakich Zarai opowiadał mu wieczorami.

– Czego chcecie? – spytał po niemiecku, głosem ochryłym z pragnienia i strachu.

Czterej terroryści nie zareagowali, ale Steiner zauważył, że jeden z nich ma na haku przy pasie dużą maczetę. Na jej ostrzu widniała czarno-czerwona plama krwi Zariaia. Powtórzył pytanie po angielsku. Mężczyźni znów popatrzyli na niego pustym wzrokiem, ignorując muchy, które spadły na obóz jak plaga. Dwa sępy o postrzępionych skrzydłach krążyły wysoko w górze, szybując na wznoszących ciepłych prądach powietrza tworzonych przez prażące pustynię słońce.

– Nic nie mam – wyjąkał Jakob. Nawet jeśli tamci nie rozumieli słów, na pewno słyszeli błagalny ton jego głosu. – Tylko trochę jedzenia, jeszcze na dzień czy dwa, i małą sumę pieniędzy. Mam więcej pieniędzy w stolicy, Asmarze. Mogę wam je przysłać, ale musicie mnie wypuścić.

Cisza zakłócana przez świst wiatru.

– Jestem naukowcem. Badam stare kości. Nie mam wpływowych przyjaciół. Nie jestem dla was nic wart jako zakładnik. Proszę, wypuście mnie.

Jakob płakał, a łzy zmywały pył oblepiający mu twarz.

– Proszę, weźcie, co chcecie, ale puście mnie. Nie róbcie mi krzywdy! Czterej Sudańczycy nie zareagowali, kiedy jego głos przerodził się w piskliwy krzyk. Potem ten z maczetą, trochę starszy niż pozostali, kopnął w stronę Steinera jego buty.

– Jesteś szpiegiem z Ameryki, przysłanym, żeby zniewolić nasz lud – powiedział po angielsku, jakby nauczył się tych słów na pamięć.

– Nie! – krzyknął Jakob, wreszcie z odrobiną nadziei, bo jeden z mężczyzn go rozumiał. – Nie jestem szpiegiem z Ameryki. Jestem Austriakiem.

Pochodzę z Europy. Nie jestem szpiegiem. Badam stare kości, kości naszych starożytnych przodków. Nie przyjechałem was okradać.

– Jesteś z Ameryki. Umrzesz. Wkładaj buty i biegnij. Damy ci ćwierć obrotu zegara, potem zaczniemy cię gonić.

Młody Sudańczyk pokazał tani zegarek, zwisający luźno z jego nadgarstka. Steiner miał piętnaście minut, żeby włożyć buty i zacząć uciekać.

– Aleja nie jestem z...

– Uciekaj!

Steiner nawet nie zasznurował butów. Wsunął je tylko, ignorując kupki piasku, które zdążyły się zebrać w czubkach, i ruszył sprintem.

Terrorystom dogonienie ofiary zajęło zaledwie pół godziny, ale nie zaatakowali. Biegli za Steinerem, wyzywając go i drażniąc się z nim. Ciągnęło się to przez kolejną godzinę, podczas której Austriak słyszał własny bolesny oddech rozdzierający mu pierś i poobcierane, spuchnięte stopy potykające się na nierównościach gruntu. Nie biegł tak nigdy w życiu. Nogi miał jak z gumy, stopy niezdarnie człapały po spieczonym piachu. Jego pulchne ramiona poruszały się coraz wolniej i wolniej, jak maszyna przestająca pracować z powodu braku paliwa.

Sudańczycy zwolnili kroku i zaczęli iść za zataczającym się Austriakiem. Oddychali równo i powoli, a na ich skórze lśniła

jedynie cienka warstewka potu. Wyczuwając, że pogoń dobiegła końca, przywódca podszedł bliżej i uderzył naukowca w kolano kolbą AK-47. Staw pękł i Jakob runął na ziemię, przetaczając się w niewielkim obłoczku kredowego kurzu.

Sudańczycy otoczyli go, przykucając z karabinami między kolanami. Przywódca zapalił ciemnego papierosa i podał go swoim ludziom. Każdy zaciągał się i podawał go następnemu. Papieros zrobił trzy pełne koła, zanim przywódca zaciągnął się po raz ostatni, palcami oderwał żarzący się czubek i schował filtr do kieszeni bluzy munduru.

Polowanie skończyło się w jednym z niezliczonych wyschniętych koryt rzecznych, wijących się po nizinie. Brzegi nie były strome, ale i tak promieniowały gorącem jak lustra. Na twarzach i odkrytych ramionach mężczyzn po raz pierwszy pojawiły się krople potu. Szurali stopami po płaskich kamieniach dna wąwozu, czekając, aż przywódca da im rozkaz zabicia intruza.

Pierś Jakoba gwałtownie unosiła się i opadała. Miał wrażenie, że serce każdym uderzeniem łamie mu żebra. Gdzieś poniżej miednicy, w oceanie bólu, który kiedyś był jego nogami, nie-ludzko pulsowało strzaskane kolano; od opuchlizny zrobiło się dwa razy większe. Przy każdym uderzeniu serca ostre odłamki kości tarły o siebie, kalecząc ścięgna. Spękanymi i krwawiącymi ustami Steiner recytował dawno zapomniane fragmenty Pisma Świętego, cytując Talmud, Nowy i Stary Testament, mieszając religie w próbie znalezienia ratunku u Boga. Jakiegokolwiek Boga.

– „Chociażbym chodził ciemną doliną...” – Brzmiało to bardziej jak poezja niż jak modlitwa. – Nie zabijaj! – wrzasnął, ale z jego gardła wydobył się chrapliwy skrzek.

– Jesteś szpiegiem z Ameryki – powiedział znów przywódca terrorystów, przysuwając się do Jakoba. – Tylko twoja śmierć ma dla nas wartość.

– To nieprawda – zapłakał Jakob Steiner.

– Przysłali cię tutaj, żebyś nas okradał, a nas wysłano, żeby cię powstrzymać.

– O Boże, błagam, ja tylko badam przeszłość. Nie obchodzi mnie... Przywódca, nazywający się Mahdi, uderzył kolbą karabinu w głowę Steinera, tuż pod linią włosów. Cios nie był dość mocny, by zabić, i Steiner krzyknął głośno, zwijając się odruchowo w kłębek.

Mahdi wstał i znów zamachnął się karabinem. Chybił, ale złamał Jakobowi obojczyk. Pozostali skoczyli na Austriaka jak szakale, zasypując bezbronnego naukowca gradem ciosów. Steiner krzyczał tylko przez kilka sekund, po czym stracił przytomność. Wkrótce potem nie żył, ale Mahdi pozwolił swoim ludziom masakrować go jeszcze przez minutę, zanim kazał im przestać.

– Dość – powiedział, a oni odsunęli się od zakrwawionego trupa. – Rozbierzcie go, a potem wróćmy do jego obozu i usuńmy wszystkie ślady jego bytności.

Wyrzucił swoje stare, zniszczone buty i zastąpił je butami Steinera, po czym wraz ze swoimi ludźmi pobiegł do obozu. Było tam sporo przedmiotów, za które mogli dostać dobre pieniądze

na sudańskim czarnym rynku, i chciał dopilnować, żeby jego niezdyscyplinowani ludzie nie zniszczyli czegoś w szale destrukcji.

ARLINGTON, STAN WIRGINIA, CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Philip Mercer miał zwyczaj budzić się tuż przed świtem, by móc oglądać perłowe światło sączące się przez świetlik nad jego głową. Te poranne chwile były dla niego bardzo ważne. Wtedy najlepiej mu się myślało. Często układał sobie w głowie plany, które przychodziły do niego we śnie.

Poprzedniego wieczoru pomagał swojemu przyjacielowi Harry'emu White'owi świętować jego osiemdziesiąte urodziny. Jubilat odsypiał nocne ekscesy na kanapie na dole. Mercer nie wypił nawet w przybliżeniu tyle co on, więc był dość przytomny, ale coś go niepokoiło. Chciał się zrelaksować, ale mięśnie jego nóg i pleców zaczęły się napinać, a pięści zaciskać od szukającej ujścia energii. Chrząknął i sturłał się z łóżka.

Mercer był inżynierem górnictwa i konsultantem u szczytu kariery. W branży górniczej jego umiejętności były niemal legendą. Niedawno opublikowany w branżowym piśmie artykuł przypisywał mu uratowanie ponad czterystu osób z różnych katastrof, a następny akapit wyszczególniał ponad trzy miliardy dolarów w znaleziskach geologicznych, które Mercer zarobił dla różnych koncernów górniczych na całym świecie. Jego kontrakty uczyniły go bogaczem i być może po części z tego wynikał problem. Zrobił się za wygodny.

Podniecenie z powodu nowego odkrycia czy adrenalina towarzysząca schodzeniu pod ziemię po uwieczonych tam ludzi

zaczynały blednąć. Od czasu zmagania z Iwanem Kerikowem i jego ekoterrorystami na Alasce w październiku zeszłego roku Mercer miał kłopoty z powrotem do normalnego życia. Czuł pustkę, której nie umiał zapełnić. Chciał wierzyć, że nie uzależnił się od tego rodzaju śmiertelnych niebezpieczeństw, ale trudno mu było przekonać siebie samego. Stawianie swojej reputacji przeciwko zwykłemu ryzyku spotykanemu w pracy już mu nie wystarczało.

Po obu stronach jego ulicy stały identyczne, dwupiętrowe domki, wystarczająco blisko centrum miasta, by nie był to kłopot, a zarazem dość daleko, by panował tu spokój. Mercer mieszkał sam. Włożył wiele pracy, by dostosować dom do swoich potrzeb. Lwia część jego dochodów szła na spłatę hipoteki. Frontowa część domu była otwarta od podłogi po dach; okna sypialni Mercera wychodziły na atrium. Piętra łączyły antyczne, spiralne schody. Mercer ubrał się szybko i zbiegł na dół, by zabrać sprzed drzwi poranną gazetę.

Na pierwszym piętrze znajdowały się dwa małe pokoje dla gości i biblioteka z balkonem, z widokiem na wyłożoną płytkami galerię. Było tam także pomieszczenie, które stało się dla Mercera salonem – kopia angielskiego klubu dżentelmenów, przez niego i jego przyjaciół czule nazywana Barem. Stały tam dwie skórzane kanapy, kilka foteli, telewizor i duży, zdobiony mahoniowy bar z sześcioma barowymi stołkami. Na jednej z tych kanap pod kocem spał Harry. Za barem stała lodówka z lat pięćdziesiątych i półki zastawione wystarczającą ilością alkoholi, by zawstydzić większość serwujących je lokali. Automatyczny

ekspres zaparzył już dzbanek kawy tak gęstej, że ledwo dał się nalać.

Usiadłszy z kawą i gazetą, Mercer spróbował przeczytać najświeższe wiadomości. „Post” na pierwszej stronie zamieścił kolejny artykuł o zamachu bombowym pod Ścianą Płaczu w Jerozolimie sześć tygodni temu. Minister obrony Chaim Levine, pewny kandydat w zbliżających się wyborach, twierdził, że gdyby to on rządził krajem, do takich ataków nigdy by nie doszło, a gdyby już, to śledztwo trwałoby kilka dni zamiast tygodni. Domagał się brutalnej rozprawy ze wszystkimi Palestyńczykami i zawieszenia wszelkich rozmów pokojowych. Mercer przeczytał, że kolejna ofiara zmarła w szpitalu, podnosząc liczbę zabitych do stu sześćdziesięciu siedmiu. Destabilizacja na Bliskim Wschodzie zaprzątnęła jego uwagę tylko na kilka akapitów, po czym odłożył gazetę.

Harry wciąż chrapał na kanapie. Jego oddech brzmiał jak pochrząkiwanie jakiegoś wielkiego zwierza. Nagle prychnął i obudził się, szeroko ziewając.

Mercer się uśmiechnął.

– Dzień dobry. Jak się czujesz pierwszego dnia reszty swojego życia?

– Jezu Chryste – wychrypiał Harry. – Która godzina?

Mercer spojrział na zegarek.

– Wpół do siódmej.

– Wolałem, kiedy ty i Aggie byliście razem. Nigdy nie schoziliście na dół przed dziewiątą. – Harry natychmiast zorien-

tował się, że strzelił gafę. – O cholera, przepraszam. To było okrutne.

Aggie Johnston nie było od czterech miesięcy, a Mercerowi wciąż jej brakowało. Była z nim na Alasce i przeszła tam nawet więcej niż on. Związek, który z tego wypączkował, nawet w najlepszych chwilach był trudny. Choć Aggie pochodziła z bogatej rodziny kontrolującej globalną firmę naftową, była zajadłą ekolożką, a to, co czuła do Mercera, nie było wystarczająco silne, by zniwelować różnicę poglądów na wykonywany przez niego zawód. Mercer nie chciał, by tak to się skończyło, ale nie mógł też znieść ciągłych kłótni. Pamiętał tylko, że w dzień ich rozstania przez prawie dziesięć godzin spacerował po Waszyngtonie w gęstej mgle, nie mogąc się pogodzić z tym, co się stało, choć to on podjął decyzję.

Po raz pierwszy od blisko dziesięciu lat, od śmierci jego narzeczonej, Tory Wilkes, Mercer wpuścił kogoś do swojego życia – tylko po to, by znów tę osobę utracić. Teraz za każdym razem, gdy patrzył na kobietę, nie pozwalał sobie na żadne uczucia. Żył jak mnich, a ból ułatwiał mu ignorowanie seksualnej strony swojej natury. W rzadkich chwilach, gdy do Małego – pobliskiego baru, do którego często chodził razem z Harrym – wchodziła jakaś atrakcyjna kobieta, sprzeczne emocje wprawiały go w ponury nastrój.

– Nie przejmuj się. – Spróbował się uśmiechnąć.

Harry podniósł się z kanapy i poświęcił chwilę, by podwinąć nogawkę spodni i przypiąć protezę. Nogę stracił tak dawno temu, że do baru podszedł bez śladu utykania.

Mercer poznał Harry'ego tego samego wieczoru, kiedy wprowadził się do swojego odnowionego domu. Poszedł do Małego, by odpocząć od monotonii rozpakowywania się; Harry wydawał się mieszkać w tym obskurnym lokaliku. Był ponad dwa razy starszy od Mercera, ale obaj byli odludkami i dzielili kawalerską niechęć do trzeźwości. Nigdy nie roztrzęsali głębokiej przyjaźni, jaka od tamtej pory ich połączyła, ale ich wspólni znajomi widzieli, że każdy z nich szuka w drugim namiastki rodziny, której nigdy nie mieli. Bezdzienny Harry miał świadomość, że kiedy odejdzie, ktoś będzie go pamiętał. Mercer potrzebował stabilizującej siły, którą był jego przyjaciel, odpowiedzialności i lojalności wobec kogoś innego niż on sam. W wielu aspektach jeden był starszą wersją drugiego, ale świetnie się uzupełniali. Harry temperował Mercera, a witalność Philipa przypominała osiemdziesięciolatkowi, jakie kiedyś było jego życie. Z biegiem czasu nauczyli się na sobie polegać, co dla nich obu było rzeczą zupełnie obcą. Coś, co zaczęło się niezobowiązująco, okrzepło w więź mocniejszą niż więź ojca z synem – mocniejszą, bo zadzierzgniętą z wyboru.

Mercer zaparzył dzbanek świeżej kawy, niekoniecznie takiej, jak nakazywałyby mu jego masochistyczne upodobania, a Harry zapalił pierwszego z czterdziestu papierosów tego dnia. Był cichszy niż zwykle, a Mercer wyczuł, że coś go dręczy.

– Wszystko w porządku?

– Nie, to nic takiego. – Choć z upływem lat Harry skurczył się tak, że jego dłonie i stopy wydawały się za duże, a skóra na

twarży wisiała luźnymi fałdami, jego głos wciąż zgrzytał jak zardzewiała maszyna. – Od jak dawna się znamy?

– Będzie ponad siedem lat. A co?

– Dwa dni temu niepotrzebnie obejrzałem wiadomości. Mówili tam o starzeniu się.

– O cholera.

– Właśnie, o cholera – mruknął Harry. – Wiesz, że statystycznie nie żyję od prawie piętnastu lat? Według ekspertów prowadzę życie bardziej ryzykowne niż członek gangu z Los Angeles. Palę dwie paczki dziennie, wypijam dwie flaszki tygodniowo, a ostatni raz zażywałem ruchu podczas II wojny światowej.

Mercer uśmiechnął się szeroko.

– Nie przejmuj się. Jesteś po prostu na drugim końcu krzywej, to wszystko. Nadrabiasz za tych walniętych na punkcie swojego zdrowia typków z Wall Street, którzy padają trupem w czterdzieste urodziny. Kiedy ostatnio chorowałeś?

– Dzisiaj rano.

– Kac się nie liczy.

– Chryste, nie wiem. Lata temu.

– A więc w czym problem?

– Nie wiem. Chyba w śmierci.

– Boisz się śmierci? Kto się nie boi!

– Chyba w tym właśnie rzecz. Teraz bardziej boję się życia – wyznał Harry zza chmury dymu z nowego papierosa. – Śmierć zaczyna mi wyglądać całkiem niezłe.

Mercer spojrział na niego surowo.

– Nie waż się gadać takich rzeczy, stary grzybie.

Mercer stracił oboje rodziców, kiedy był jeszcze dzieckiem, a choć jego dziadkowie okazali się wspaniałą rodziną zastępczą, oni też zmarli, kiedy był na pierwszym roku na Uniwersytecie Pensylwania. Śmierć nie była mu obca, widywał ją pod setkami postaci. Ale słyszeć, jak mówi o niej Harry, jakby już na nią czekał – to go przestraszyło. Dla Mercera śmierć była wrogiem, z którym należało walczyć za wszelką cenę.

– Spokojnie, jeszcze nie umarłem. Po prostu nie brzmi to już tak źle. – nastrój Harry’ego stał się mniej ponury. – Poza tym, jeśli odejdę, Mały straci najlepszego klienta.

– Może, o ile zapłaciłbyś rachunek.

– To chyba tylko pourodzinowe smutki – odparł lekkim tonem Harry. – Co na dzisiaj planujesz?

– Pewnie zacznę pracować nad ostatecznym sprawozdaniem dla Yukon Coal.

– Nie wydajesz się zachwycony tą perspektywą.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – westchnął Mercer. – To mój drugi kontrakt od czasu Alaski i nie mogę się zmusić, żeby się tym zainteresować. Zmieniłem się i nie wiem dlaczego.

– Wiesz, tylko po prostu nie chcesz się do tego przyznać.

Harry spojrzał Mercerowi w oczy, oceniając, jakiej dawki szczerości jego przyjaciel potrzebuje, i uznając trafnie, że całej prawdy.

– Jesteś samotny. Tęsknisz za Aggie, ale nie możesz do niej wrócić. Ja wybrałem bycie kawalerem, bo taki styl życia mi pasuje, ale ty jesteś inny. To nie dla ciebie. Zostałem sam, bo nie chce

mi się tym wszystkim zawracać sobie głowy, ale ty jesteś sam, bo boisz się kobiet.

Stwierdzenie Harry'ego zaskoczyło Mercera. Nie tego się spodziewał.

– Nie o to mi chodziło. Co to ma znaczyć, do cholery, że boję się kobiet?

– Boisz się. Od śmierci Tory boisz się, że znów kogoś stracisz, więc trzymasz ludzi, szczególnie kobiety, na dystans. Kiedy dopuściłeś do siebie Aggie, a wasz związek skończył się katastrofą, przestałeś pozwalać sobie na uczucia. Odciąłeś się, bo się boisz, że znów ktoś cię zrani. Niech to szlag, w tej chwili powiedziałbym, że boisz się życia bardziej niż ja.

– Gówno prawda – odparł ze złością Mercer.

– Trafiłem w czuły punkt, co?

Mercer nie odpowiedział. Ból po śmierci Tory wciąż był dotkliwy. Czuł go nawet teraz, ale spod niego wyzierał gniew, złość na samego siebie, że temu nie zapobiegł. Był przy tym, jak zabił ją strzelec IRA, i wciąż miał do siebie pretensję, że go nie powstrzymał, mimo że nie miał żadnej szansy tego dokonać.

– Słuchaj, przepraszam. Może to było niepotrzebne.

– Nie, nie było. Nie sądzę, żebym bał się życia, ale masz rację, boję się, że ktoś mnie zrani.

– A kto się nie boi? Na tym właśnie polega bycie człowiekiem. Myślę, że przez długi czas byłeś skłonny godzić się na samotność, ale Aggie przypomniała ci, jaką za to płacisz cenę. Odkąd się rozstaliście, nie jesteś sobą.

Mercer zastanowił się nad słowami Harry'ego.

– Tak sobie myślałem, że to może wynikać z przygód, które przeżyliśmy. To tej ekscytacji mi brakuje.

– Po części na pewno. Nigdy nie czułem, że żyję, tak jak na wojnie. Nie ma to jak być ściganym przez japoński okręt podwodny albo przeżyć atak kamikaze, żeby wiedzieć, co to znaczy czuć. Może przeżycie zaważenia się platformy wiertniczej, pożaru tankowca i tych innych rzeczy na Alasce przebiło trochę twój pancerz, i Aggie weszła właśnie w tę dziurę?

– Czyli przyłapała mnie w chwili słabości?

– Nie, przyłapała cię w chwili, kiedy dla odmiany coś czułeś. Nie jesteś zatwardziałym samotnikiem, za jakiego się uważasz.

Mercer nie potrafił zaprzeczyć tym słowom, ale nie był też gotów przyznać, że to prawda.

– To co mam zrobić?

– A skąd ja mam wiedzieć, do cholery? – Harry się zaśmiał.

– Ja jestem takim zatwardziałym samotnikiem, za jakiego się uważam.

– Ty draniu. – Mercer uśmiechnął się pod nosem.

– O ile to cokolwiek warte, myślę, że sama rozmowa o tym dobrze ci robi. Pierwszy raz poruszyłeś ten temat, co oznacza, że prawdopodobnie jesteś gotów, żeby się z tym uporać. Nie mam wystarczającego doświadczenia w tych kwestiach, żeby ci pomóc, ale zawsze możesz się wygadać. – Harry z trudem wbił się w kurtkę. – Może popracuj nad tym swoim raportem, a potem spotkamy się o czwartej u Małego?

Mercer rozważył szybko ten pomysł.

– Tak, chyba mi się to przyda.

Właśnie wycierał się po kąpieli, kiedy zadzwonił telefon. Była za dwadzieścia czwarta i Mercer uznał, że to Harry go ponagla. Podniósł słuchawkę.

– Nie wyjmuj jeszcze sztucznej szczęki, za chwilę tam będę.

– Doktor Philip Mercer? – spytał nieznajomy damski głos.

Ups.

– Tak, przy telefonie Philip Mercer.

– Proszę zaczekać na połączenie z podsekretarzem stanu Hyde'em. Kobieta przełączyła go, zanim zdążył spytać, czy dobrze usłyszał. Hyde odezwał się chwilę później.

– Doktorze Mercer, mówi Prescott Hyde, podsekretarz stanu do spraw Afryki. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Nie, proszę pana, skądże – odparł Mercer. Stał nagi, a woda kapała na dywan obok łóżka.

– Dobrze, świetnie. – W głosie Hyde'a słychać było nutkę dobroduszej wesołości, może niewymuszonej, ale na pewno nie spontanicznej. – Jestem zaskoczony, zastając pana w domu w poniedziałkowe popołudnie, ale Sam Becker mówił, że pracuje pan w dziwnych godzinach.

Choć Mercer nie znał Prescottta Hyde'a, znał Sama Beckera, szefa NSA, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Pracowali razem przy sprawie Kuźni Wulkanu na Hawajach. Mercer wiedział, że użycie nazwiska Beckera nie było tylko zwykłym powołaniem się na kogoś. Tym jednym zdaniem Hyde dał mu do zrozumienia, że go sprawdził i zna jego reputację. Mercer powinien był się zdenerwować, ale stwierdził, że przede wszystkim jest zaintrygowany.

– Co mogę dla pana zrobić, panie podsekretarzu?

– Proszę mi mówić Bill. Sam mówił, że wszyscy mówią do pana Mercer, to prawda?

– Między innymi.

– Doskonale. Dobrze wiedzieć, że informacje chłopców z NSA są prawdziwe. – Hyde się zaśmiał. – Posłuchaj, Mercer, przejdę do rzeczy. W końcu obaj jesteście zajętymi ludźmi.

Wystarczyło dwadzieścia sekund, żeby Mercer zaczął Hyde'a nie lubić. Większość urzędników potrzebowała co najmniej minuty.

– To pan do mnie zadzwonił – zauważył Mercer ostrożnie, mając wrażenie, że wpada w pułapkę. – Co mogę dla pana zrobić?

– Prosto do celu, to mi się podoba – pochwalił Hyde, jakby rozmowa była inicjatywą Mercera. – Dobrze. Może będę miał dla ciebie robotę. Coś z twojego podwórka, że tak powiem.

– Nie wiedziałem, że Departament Stanu zajął się górnictwem. – Mercer starał się, by w jego głosie nie słychać było niechęci.

– To coś zupełnie innego. Ale trochę trudno to wyjaśnić przez telefon, rozumiesz, o co mi chodzi? – Dobroduszość Hyde'a szybko wyczerpywała zasoby cierpliwości Mercera. – Trafiło do mnie coś, co idealnie odpowiada twoim wyjątkowym umiejętnościom. Popytałem na mieście, masz niezłą reputację gościa, który wie, jak się zabrać do rzeczy. Wiem wszystko o tym, co zrobiłeś na Hawajach kilka lat temu i co się stało w zeszłym roku na Alasce.

Chociaż to nic równie ekscytującego, moja sprawa jest wyzwaniem podobnej rangi.

Na samo to słowo Mercera przeszył dreszcz.

– Jakim wyzwaniem?

– Powiedzmy tylko, że ty jeden możesz prawdopodobnie pomóc milionom ludzi. Jeśli to nie rozbudzi twojego apetytu, nic innego, co mogę powiedzieć, też tego nie zrobi. Chciałbym się z tobą spotkać. Może być jutro? Powiedzmy o pierwszej w moim biurze?

– Raczej nie. – Mercer zamierzał się spotkać z Hyde'em, ale w każdych negocjacjach z kimś, kto czegoś chce, dobrze jest szybko przejąć kontrolę nad sytuacją. – Powiedzmy w południe w hotelu Willard. Może mi pan postawić obiad i porozmawiamy.

Hyde parsknął śmiechem.

– Bardzo dobrze, proszę pana. Wiedziałem, że twoja cena nie będzie niska. Ale będzie warto. Dla nas obu. Jutro w południe.

– Jutro w południe – zgodził się Mercer i odłożył słuchawkę.

O co tu, do cholery, chodzi? Skończył się ubierać i poszedł na spotkanie z Harrym, uświadamiając sobie, że napięcie, które czuł rano, zniknęło.

Po drugiej stronie miasta słuchający zaczekał kilka sekund, aż obie strony zwolnią linię, a potem zaczął stukać w klawiaturę komputera. Za nim stał jego przełożony, patrząc na ekran, podczas gdy słuchający próbował namierzyć sygnał z pluskwy.

Salon mieszkania w College Park był umeblowany tradycyjnie, ale dwie sypialnie w niczym nie przypominały innych w kompleksie wieżowców kilka przecznic od Uniwersytetu

Maryland. W pierwszej znajdowały się biurka, komputery i najróżniejszy sprzęt łącznościowy, na ścianie zaś wisiała wielka mapa miasta. W drugim stały trzy łóżka polowe, ustawione tak ciasno, że z trudem można było między nimi przejść. Stały personel korzystający z mieszkania spał na zmiany, by jak najmniej zwracać na siebie uwagę.

– To zastrzeżony numer w rejonie Waszyngtonu. Za chwilę go namierzę – powiedział podsłuchujący. Komputer pospiesznie filtrował dane, zawężając liczbę zastrzeżonych numerów, aż znalazł ten, o który mu chodziło. Algorytmy wykorzystywane przy poszukiwaniu były jednymi z najnowocześniejszych w branży kryptograficznej i skracały o połowę czas potrzebny do lokalizowania połączeń telefonicznych.

– Philip Mercer – powiedział do swojego szefa. – Mam adres w Arlington. Komputer za chwilę wydrukuje ich rozmowę.

– Masz coś o nim w archiwum?

Słuchający oczyścił ekran i wywołał potężną bazę danych. Chwilę później pojawiło się skąpe dossier Philipa Mercera. Nadzorca, średnio zbudowany mężczyzna koło czterdziestki, o czarnych, kędzierzawych włosach i wyrazistych, ciemnych oczach czytał informacje, kiedy jego pomocnik je przewijał, zapamiętując niemal wszystko od razu. Nauczył się tej umiejętności, nie urodził się z nią.

– Nie mam wątpliwości, po co Hyde dzwoni do tego geologa – powiedział, a potem zawołał mężczyznę siedzącego w salonie. – Podejdź tu, proszę.

Mężczyzna miał na sobie prosty szary garnitur, a rysy twarzy tak pospolite, że niemal zlewał się ze ścianami pokoju. Jeśli nie patrzyło się wprost na niego, wydawał się znikać – co było zdolnością bardzo potrzebną agentowi w terenie.

– Hyde wykonuje kolejny telefon – zameldował podsłuchujący, przyciskając mocniej słuchawki do uszu.

Przywódca grupy zaprowadził drugiego agenta do kuchni, by pozwolić łącznościowcowi pracować.

– Zarządzam całodobową inwigilację człowieka nazwiskiem Philip Mercer. Hyde być może go wciągnie i musimy wiedzieć o nim wszystko. Gdy tylko się da, załatwię jego pełną historię, ale chcę mieć ludzi na pozycjach.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Mam przeczucie, że to może być ten, na którego czekaliśmy – ciągnął przywódca. – Możesz użyć tylu ludzi, ilu uznasz za konieczne. Na razie zakładamy, że Mercer zna techniki kontrinwigilacji. Zrozumiano?

– Coś jeszcze, proszę pana?

– Nie. Kiedy tylko dowiem się o nim czegoś więcej, dam ci znać.

WASZYNGTON

Hotel Willard istniał od kilku pokoleń i przeszedł liczne metamorfozy od czasów, kiedy służył za dom z dala od domu senatorom i reprezentantom, gdy polityka nie była zajęciem etatowym, a zaledwie dorocznym powołaniem. Słynący jako jeden z najlepszych w mieście, hotelowy bar Round Robin emanował aurą bogactwa, władzy i luksusu, tworzoną za pomocą subtelnego oświetlenia, ciemnej boazerii oraz sprawnej, ale nie nachalnej obsługi.

Popijając swój pierwszy gimlet z wódką tego dnia, Mercer debatował z samym sobą, czy nie powinien był sprawdzić Prescottta Hyde'a w bazie Ne-xis. Ten system wyszukiwania wiadomości z pewnością zawierałby ogólne informacje o podsekretarzu, Mercer jednak nie zadał sobie tego trudu. Miał dręczące przeczucie, że to spotkanie jest stratą czasu.

W barze było zaskakująco gwarno jak na wtorek. Siedzący przy barze Mercer podsłuchał, jak kilka stołków dalej dwaj mężczyźni kłócą się o przygotowywaną uchwałę parlamentu. Grupki mężczyzn i kobiet rozmawiały przy licznych stolikach. Kelnerki w czarnych krawatach, obładowane tacami pełnymi drinków i przekąsek tańczyły po sali, jakby ktoś opracował im choreografię. Mercer lubił patrzeć na kogoś, wszystko jedno kogo, kto dobrze wykonuje swoją pracę. Podejrzewał, że te kobiety są lepszymi kelnerkami niż obsługiwani przez nie ludzie publicznymi urzędnikami.

– Doktor Mercer? – Podszedł do niego szef sali. – Przyszedł pana gość.

– Dziękuję. – Mercer zerknął na swojego starego tag heuera. Ku jego zaskoczeniu Prescott przyszedł punktualnie.

Idąc za szefem sali, poczuł nagle, że żołądek skręca mu się w twardy węzeł. To było stare, znajome uczucie, szósty zmysł, który niezliczoną ilość razy pozwolił mu ująć z życiem. Ratował go, kiedy Mercer pracował pod ziemią, a miliony ton skał i piachu miały się zawalić, i nad ziemią, gdy niebezpieczeństwo groziło ze strony ludzi, nie przyrody. Czuł, że coś jest nie w porządku. Mercer obejrzał się szybko, przyglądając się pozostałym klientom baru. Wszystko wyglądało normalnie, ale coś łaskotało go w kark i nie wiedział dlaczego. Odwrócił się i ruszył za szefem do sali jadalnej.

Obserwatorka nie była pewna, czy została zauważona, ale rozkazy dostała jasne. Kiedy przesunął się po niej wzrok Mercera, siedziała akurat w kącie i przeglądała przewodnik po Waszyngtonie, ale mimo wszystko uznała, że nie warto ryzykować.

Sięgnęła do kieszeni spódnicy, pilnując, by jej ruchy maskowały fałdy swetra, i przycisnęła dwukrotnie przycisk mikroprzekaznika, noszonego przez wszystkich członków jej zespołu. Kilka sekund później do baru wszedł drugi obserwator, zaalarmowany podobnym sygnałem od dowódcy komórki. Kobieta nie nawiązała z nim kontaktu w żaden sposób. Dopiła dietetyczny napój gazowany i dała kelnerce znak, że prosi o rachunek.

Chociaż żadna inwigilacja nie daje gwarancji niewykrywalności, zazwyczaj wystarczy nie więcej niż dziesięć osób, by

prowadzić całodobową obserwację nawet największego para-
noika. Zainteresowanie Mercerem było tak duże, że wszystkich
dwanaścioro agentów stacjonujących w Maryland zostało przy-
dzielonych do śledzenia go i meldowania o każdym jego ruchu.
Wychodząc z hotelu, by złapać taksówkę, kobieta uświadomiła
sobie, że nie powiedziano jej, kim Philip Mercer jest ani dlaczego
wzbudził takie zainteresowanie.

– Doktor Mercer, jak sądzę? – Prescott Hyde zaśmiał się ze
swojego wymęczonego żartu i wyciągnął rękę.

Był po pięćdziesiątce, prawie całkiem łysy, a otyłość zdradzała
łakomstwo. Jego twarz zdominował duży, kanciasty nos, który
u kogoś innego mógłby być charakterystyczny, ale u niego był
po prostu wielkim nochalem. Podbródek Hyde'a był cofnięty,
a policzki zaokrąglone, co sprawiało, że wyglądał na otwartego
i jowialnego. Ale kiedy Mercer uściśnął mu dłoń, zauważył, że
oczy zza okularów w złotych oprawkach spoglądają twardo.

– Miło mi pana poznać, panie podsekretarzu.

– Wydawało mi się, że już wczoraj to załatwiliśmy. Proszę, je-
stem Bill. Na drugie mam William, dzięki Bogu. Nie wyobrażam
sobie wędrówki przez życie z imieniem Prescott. – Hyde znów
błysnął uśmiechem. Zęby miał idealnie równe. Z koronkami.

Dopóki nie złożyli zamówień, to on zdominował konwersa-
cję: gościnny gospodarz opowiadał o najnowszych skandalach na
dworze władzy. Miał informacje z pierwszej ręki i zamiłowanie
do spekulacji. Mercer, czekając na jedzenie, zamówił kolejnego
drinka. Hyde pił gazowaną wodę mineralną.

– Chciałem, żeby to było swobodne, przyjemne spotkanie – powiedział Hyde, kiedy przyniesiono ich napoje. – Okazja do lepszego poznania się, bo mam przeczucie, że będziemy przez jakiś czas współpracowali. Jestem jednak umówiony na kolejne spotkanie, więc obawiam się, że nie mamy dużo czasu.

Mówił, jakby przemyślał, zapisał i przećwiczył to, co powie.

– Rozumiem. Obawiam się, że ja również mam dość napięte plany na popołudnie.

Paul Gordon, były dżokej, do którego należał bar U Małego, przyjmował zakłady na wyścigi konne w Arlington. Do derby Kentucky zostały zaledwie dwa tygodnie, więc on i Mercer musieli zacząć obmyślać strategię.

– Tym lepiej. – Hyde odchylił się na oparcie krzesła. – Niech mi pan opowie, co pan wie o Afryce.

Mercer parsknął śmiechem.

– Na początek: urodziłem się tam. W Kongo. Mój ojciec był dyrektorem kopalni, a matka Belgijką. Wracalem do Afryki chyba z dwadzieścia pięć razy i choć nie mówię żadnym z tamtejszych języków oprócz odrobiny suahili, mój francuski jest wystarczająco dobry, żebym dał sobie radę tam, gdzie nie wystarcza angielski. Jeśli chce pan, żebym opisał historię tego kontynentu, obecną sytuację polityczną i prognozy gospodarcze, trochę tu posiedzimy.

– Nie wiedziałem, że pan się tam urodził. Sam Becker mówił, że jest pan kimś w rodzaju eksperta.

– Raczej nie. Jestem górnikiem, a tak się składa, że najwięcej wydobywa się właśnie w Afryce.

Mercer nie powiedział Hyde'owi, że uwielbia ten kontynent. Mimo okrucieństw i cierpienia, których był tam świadkiem i których sam doświadczył, naprawdę kochał te krainy i jej mieszkańców. Jego rodzice zostali zabici przez Afrykanów podczas jednego z pogromów, ale Mercer nigdy nie winił ich za to, co się stało. Uśmiechnął się, wspominając kobietę Tutsi, która po śmierci jego rodziców ukrywała go w swojej wiosce przez blisko sześć miesięcy. Kiedy przypomniał sobie, jak zginęła podczas czystek etnicznych w Ruandzie w połowie lat dziewięćdziesiątych, jego uśmiech zniknął.

– Co wiesz o Erytrei? – spytał Hyde.

To pytanie zaskoczyło Mercera. Erytrea była dziurą nawet jak na afrykańskie standardy, a Mercer nie umiał nawet zgadnąć, co Hyde'a w niej interesuje.

– Położona na północ od Rogu Afryki na wybrzeżu Morza Czerwonego, graniczy z Sudanem, Etiopią i Dżibuti. Niezależna od Etiopii od 1993 roku. Ich zmagania były zimnowojennym polem bitwy między Ameryką a Związkiem Radzieckim, które konkurowały ze sobą w dziedzinie dostaw broni i pomocy. Obecnie Erytrea nie ma żadnych surowców, przemysłu ani nadziei. Słyszałem, że ludzie żywią się tam dumą z niepodległości uzyskanej po raz pierwszy we współczesnych dziejach.

– Wszystko to prawda, święta prawda. – Hyde zgodził się z oceną Mercera. – Jest szansa, że zmienisz ten stan, jeśli jesteś zainteresowany.

Przerwał, by złożyć zamówienie u kelnerki.

– Podczas gdy większość Erytrejczyków – podjął po chwili – to rolnicy, głównie hodowcy bydła, jest tam jedno większe miasto, Asmara, stolica. Ona jedna ocalała z wojny. Kraj jest w ruinie. Dochód na głowę oscyluje wokół stu czterdziestu dolarów rocznie. Ziemia jest w stanie wyżywić trzy miliony mieszkańców, więc głodu jeszcze nie ma. Jednak ćwierć miliona Erytrejczyków mieszka w Sudanie. To uchodźcy, którym nie pozwala się wrócić, bo napływ tak wielu ludzi powaliłby ledwie dyszącą gospodarkę. To bolączka władz, bo te chciałyby sprowadzić ich z powrotem. Odmawiają jednak pomocy, nie chcąc wpędzić się w długi, i o ile nie dojdzie do jakiegoś cudu gospodarczego, ci ludzie zgniją w najgorszych obozach uchodźców, jakie widział ten kontynent.

Hyde wyjął grubą, szarą, kartonową teczkę spiętą gumką.

– Musisz zrozumieć, że to, co chcę ci powiedzieć, jest ściśle poufne. Część tych informacji dopiero niedawno odtajniono ze „Ściśle tajne” do „Wyłącznie do przeczytania”.

Przesunął po stole plik fotografii, szybko cofając rękę, jakby to, co jest na zdjęciach, mogło go czymś zarazić.

Mercer był w Afryce, znał tamtejszych ludzi i nie było mu obce ich cierpienie. Widział jedno z najstraszniejszych piekieł na ziemi w Ruandzie podczas wojny domowej. Wciąż czuł wychudzone rączki dzieci, które nosił do punktów pomocy, kiedy walka o jedzenie i lekarstwa stawała się walką przegraną. Widział skutki szalejących chorób – cholery, malarii i AIDS. Widział, jak żywe szkielety drepczą w wielokilometrowych kolumnach, uciekając przed jedną wojną prosto w paszczę drugiej.

I choć obrazy te dręczyły go w najczarniejszych koszmarach, nie mogły go przygotować na to, co zobaczył na sześciu zdjęciach, które przed nimi leżały. Jedno przedstawiało starego mężczyznę leżącego pod zardzewiałą beczką. Jego nogi wyglądały jak sękaty kij. Dziki pies ogryzał mu stopę, a resztki krwi starca wsiąkały w ziemię. Na drugim leżała młoda dziewczyna, z twarzą spokojną po śmierci, a w tle mężczyźni w mundurach ustawiali się w kolejkę, by zgwałcić jej trupa. Na jeszcze jednym dziecko – Mercer nie potrafił powiedzieć, jakiej płci – machało do aparatu, a jego ciało pokryte było ropiejącymi ranami, czarnymi, mokrymi dziurami w ciele, wyzerającym resztki pozostawione przez głód.

Nie chciał patrzeć na pozostałe trzy zdjęcia. To były obrazy najgorszych rzeczy, jakie ludzie mogą zrobić ludziom. Znów poczuł bezsilność, którą czuł w Ruandzie. Fale nieszczęścia nadchodziły jedna za drugą i choćby nie wiadomo jak zaciekle z nimi walczył, nigdy nie przechodziły. Był też wściekły, że fotograf chował się za anonimowością swojego aparatu, zamiast pomóc.

– Przykro mi, że musiałeś to obejrzeć przed jedzeniem – powiedział Hyde, ale w jego głosie nie było skruchy. Zdjęcia miały wywołać określoną reakcję i Mercer o tym wiedział. Przygotował się na to, co miał usłyszeć. – Uważam, że mamy możliwość pomóc tym ludziom, po raz pierwszy dać Erytrei nadzieję. W 1989 roku – ciągnął – NASA i Siły Powietrzne USA wystrzeliły satelitę szpiegowskiego o nazwie Meduza. Miał on być oczami programu obronnego Gwiezdne Wojny. Ale doszło do wypadku i satelita rozbił się, zanim choć raz okrążył Ziemię. Kiedy spadał, jego aparatura wykonała serię zdjęć. Ponieważ sfotografowany

obszar uznano za strategicznie nieistotny, a Siły Powietrzne nie były w stanie skalibrować satelity, zdjęcia leżały zapomniane przez ponad dziesięć lat. Nawet kiedy już je odtajniono, nikt nie zwrócił na nie uwagi. Dużo z tego, co na nich widać, to bełkot nawet dla ludzi, którzy opracowali ten system. Najwyraźniejsze zdjęcia Meduzy ukazują obszar tego, co dziś jest północną Erytreą i wschodnim Sudanem.

Hyde wyjął z teczki kolejne fotografie i ułożył je przed Mercerem.

Choć Mercer znał się na zdjęciach satelitarnych, takich jak te jeszcze nie widział. Dwadzieścia zdjęć przypominało obrazy rentgenowskie. Zupełnie jakby zaglądał w głąb ziemi: warstwy skalne ukazywały się w różnych odcieniach szarości, każdą fotografię pokrywały białe kręgi i meandry podziemnych wód – wszystko to pod bladym, przezroczystym obrazem topografii powierzchni.

– To północna Erytrea, każde zdjęcie przedstawia jeden poziom głębiej w ziemi. Kiedy Meduza spadała, jej pokładowy komputer wykonywał 33 zaprogramowane instrukcje, zwiększając moc aparatury po każdym zdjęciu – wyjaśnił Hyde, kiedy Mercer przerzucał zdjęcia, zauważając podobieństwa między nimi. Przypominało to oglądanie przekroju; z każdym zdjęciem znikła jedna warstwa.

Możliwości satelity zrobiły na Mercerze ogromne wrażenie.

– Co to, u diabła, było, ta Meduza?

– Miała możliwości wykraczające daleko poza to, co tu widzisz. Kiedy dowiedziałem się o tych zdjęciach, zadałem to

samo pytanie. Człowiek z Sił Powietrznych, który mi je pokazał, przyrównywał Meduzę do aparatu USG albo rezonansu magnetycznego, przy których stary rentgen wygląda jak dziewiętnastowieczny rupieć. Mówimy o jednej z najbardziej skomplikowanych maszyn, jakie człowiek kiedykolwiek zbudował. Gdyby się nie rozbiła, Meduza na zawsze zapewniłaby Stanom Zjednoczonym przewagę w wywiadzie i inwigilacji orbitalnej.

– Fascynujące. – Mercer nie miał pojęcia, do czego Hyde zmierza, ale był zaintrygowany. – Nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego ze mną.

– Coś ci pokażę i zobaczymy, co powiesz. Hyde wyjął z teczki jeszcze jedno zdjęcie.

Mercer rzucił na nie okiem. Wyglądało tak samo jak pozostałe fotografie Meduzy.

– Jeden z naukowców, którzy zbudowali satelitę, interesował się geologią. Mówił o sobie „pies na skały”. W każdym razie zlecono mu stworzenie komputerowych symulacji potencjału satelity. Ponieważ kompanie górnicze badały układ skał i geologię Afryki Południowej, jest to jeden z najlepiej opracowanych rejonów świata pod względem tego, co leży pod powierzchnią. To, co tu widzisz, to przedstawienie tego, jak wyglądałyby tereny wokół Kimberley w Afryce Południowej, gdyby Meduza sfotografowała je działem pozytronowym.

Mercer zrozumiał, a potem zobaczył.

Kimberley, znane pierwotnie jako Colesberg Kopje, od niewielkiego wzniesienia na afrykańskim stepie, przed końcem XIX wieku zaczęło się błyskawicznie rozrastać, bo znaleziono tam

diamenty. W ciągu kilku lat na równinie wyrosło duże miasto, a w nim fortuny takich notabli jak Cecil Rhodes i Korporacja DeBeers. Diamenty w Kimberley dawno się skończyły, ale górnicy zostawili po sobie szeroką i głęboką na ponad kilometr dziurę w ziemi. Było to ujęcie czegoś, co określano kominem kimberlitowym.

Kimberlitem nazwano diamentonośną skałę. Mercer miał nawet spory jej kawałek w domu jako talizman na szczęście. Oba te minerały występowały razem, podobnie jak złoto i kwarc. Kminy kimberlitowe to kanały prowadzące do serca ziemi, otwory, którymi roztopione skały, w tym diamenty, są pod olbrzymim ciśnieniem wyrzucane na powierzchnię. Zrodzone w płynnym jądrze planety diamenty to nic więcej jak węgiel, nieróżniący się od opałowego czy grafitu z ołówków, tyle że natura poświęciła trochę więcej czasu na podgrzewanie atomów i ściskanie ich w idealne kryształy. Od czasu ich pierwszego odkrycia na subkontynencie indyjskim, jak wiedział Mercer, diamenty potrafiły zawładnąć ludźmi i wywoływać wojny. Ich olśniewające piękno jest lustrzanym odbiciem naszej własnej chciwości, a ich czystość – podkreśleniem ludzkiej brzydoty.

Kładąc komputerową projekcję Kimberley obok jednego z prawdziwych zdjęć Meduzy, Mercer szybko znalazł między nimi ponad tuzin podobieństw. Zamiast puszczać wodze fantazji, przyjrzał się im dokładniej. Ale prawda była oczywista. Serce zabiło mu szybciej, a dłonie zaczęły się pocić z podniecenia. Takiego odkrycia dokonuje się raz w życiu, a Hyde podsuwał mu je na talerzu. Pod pustkowiami północnej Erytrei znajdował

się komin kimberlito-wy taki sam jak ten odkryty przypadkowo półtora wieku temu w Afryce Południowej. Mercer spojrzął na Hyde'a, a zdumienie na jego twarzy potwierdziło podejrzenia podsekretarza.

– Niektórzy z naszych ludzi też tak myślą. Jeśli w Erytrei jest diamento-nośny komin, to może oznaczać gospodarczą prosperity dla narodu, który nie ma poza tym absolutnie żadnych perspektyw.

Mercer powściągnął podniecenie, zmuszając się do obojętnego tonu.

– Intrygujące, ale z tego, co wiem o tym rejonie, nigdy nie znaleziono tam żadnych diamentów ani kojarzonych z nimi minerałów. Nie mogę powiedzieć na pewno, że Erytreę dokładnie przeczesano, ale to bardzo mało prawdopodobne, by coś takiego pozostało niezauważone przez ostatnich sto lat. Zwłaszcza kiedy Erytrea po II wojnie światowej została protektorem brytyjskim. Brytyjczycy rzadko przeoczą takie rzeczy.

– Ale oni nie mieli Meduzy – zauważył Hyde. – Ponieważ Meduza została zniszczona przed skalibrowaniem, nie możemy poznać głębokości komina ani jego dokładnego położenia. Może być wszędzie, na powierzchni albo trzy tysiące metrów pod nią. Niczego się nie da powiedzieć, dopóki ktoś nie pojedzie tam, nie opalikuje terenu, że tak powiem, i nie zbada leżących pod nim skarbów.

Wbrew sobie Mercer czuł, że pociąga go taka możliwość. Pragmatyczna część jego umysłu wiedziała, jak małe są szanse, że to, co widzi na zdjęciach, to faktycznie komin kimberlitowy.

A nawet jeśli, jest prawdopodobne, że nie ma w nim diamentów. Znalaziono już wiele jałowych kominów. Jego połyskujący skarb mógł zostać wypłukany przez erozję w ciągu eonów do chwili, gdy komin dotarł do powierzchni ziemi, o ile w ogóle dotarł. Można było spędzić całe życie, przeszukując pustkowia, i nie znaleźć nawet jego śladu.

Z drugiej strony...

– Domyślasz się, dlaczego chciałem z tobą porozmawiać? – zapytał Hyde. – Muszę cię uprzedzić, że najlepsze, co możemy wyciągnąć ze zdjęć, to teren o powierzchni pięciuset kilometrów kwadratowych w jednym z najbardziej niegościnnych rejonów ziemi. Ale jestem przekonany, że potrafisz znaleźć komin kimberlitowy i sprawdzić, czy są w nim diamenty.

Hyde przerwał, kiedy kelnerka zabierała ich talerze.

– Muszę ci też powiedzieć, że do momentu uzyskania niepodległości ta część Erytrei była terenem najbardziej zaciekłych walk i jest usiana ćwierć milionem min dzięki sowieckim poczeknikom Etiopii. Grasują tam też bandyci z Sudanu. Ledwie kilka miesięcy temu doszły nas słuchy o austriackim archeologu, który został zabity, właściwie zaszlachtowany, bardzo blisko środka obszaru poszukiwań.

– Tak mnie pan zachęca?

Mercera takie wiadomości powinny zniechęcić, ale tylko jeszcze bardziej się zainteresował. Rozmawiał z Harrym o tym, że potrzebuje wyzwania wykraczającego poza to, czego wymagała jego praca, a Hyde właśnie mu je sprezentował.

– Nie. – Podsekretarz uśmiechnął się rozbrajająco. – Ale chcę ci powiedzieć wszystko, co wiem. Nie chciałbym, żeby były między nami jakieś tajemnice. Twoje zadanie nie jest pozbawione pewnego ryzyka i wolałbym, żebyś był o wszystkim dobrze poinformowany, zanim podejmiesz decyzję.

– Dlaczego nie przekażecie po prostu tych materiałów Erytrejczykom? – zdziwił się Mercer, machając na kelnerkę. Nie wiedział, czy Hyde jest spragniony, ale on sam miał chęć na jeszcze jeden gimlet.

– Dobre pytanie. I odpowiem na nie bardzo prosto: Meduza nie istnieje i nigdy nie istniała.

Mercer popatrzył na podsekretarza, jakby nie rozumiał jego słów.

– Mimo że Siły Powietrzne dały mi te zdjęcia – tłumaczył Hyde – są one wciąż uważane za tajne. Trzeba było sporych umiejętności przekonywania, żeby pozwolili mi wprowadzić w to ciebie, ale nie ma możliwości, żeby zgodzili się udostępnić te materiały zagranicy. Mój kontakt w wojsku nie mógł potwierdzić ani zaprzeczyć, czy wystrzelono inne satelity o podobnych możliwościach od czasu stracenia Meduzy. Ze względu na bezpieczeństwo narodowe te zdjęcia nie istnieją.

Mercer czekał na dalszy ciąg, bo wiedział, że za tym wszystkim kryje się coś jeszcze. Obracał się w sferach waszyngtońskiej administracji wystarczająco długo, by wiedzieć, że ukryte pobudki są tak samo pospolite jak turyści na Mail w Waszyngtonie.

– Drugim powodem jest kwestia polityki mojego biura. – Hyde pochylił się do przodu jak spiskowiec. – Chcę sprezen-

tować rządowi Erytrei fakt ^ dokonany. Nie tylko podejrzenie istnienia bajecznych bogactw, ale dokładnie położenie diamentów, ich potencjalną wartość i ustalone sposoby wydobywania. Jak rozumiem, tym właśnie się zajmujesz. Chciałbym, żebyś pojechał do Erytrei, znalazł komin kimberlitowy, a potem ocenił jego wartość i ustalił, jak wydobyć te przeklęte diamenty spod ziemi.

Mercer milczał, ale był pewien, że Prescott Hyde kłamie. Może nie wprost, ale nie mówi wszystkiego. Podsekretarz nie spodobał mu się już wczoraj, podczas rozmowy telefonicznej, a teraz nie podobał mu się jeszcze bardziej.

Hyde mówił dalej, wyciągając najmocniejszą kartę.

– Jeśli martwisz się o swoje bezpieczeństwo, mogę ci powiedzieć, że choć nie miałem właściwie zgody, wprowadziłem w tę sprawę kogoś z erytrejskiej ambasady w Waszyngtonie. Nie wchodziłem w szczegóły, wspominałem tylko o możliwości dokonania odkrycia cennych minerałów, sprawdzając, czy nie napotkamy opór, gdybyśmy sami zajęli się tą sprawą. Jak możesz się domyślić, wprost rzucili się na nasz plan. Chociaż nie uzyskałem pełnego usankcjonowania przedsięwzięcia przez ich rząd, załatwiłem ci coś prawie równie dobrego. – Hyde przerwał i się uśmiechnął. – O ile zgodziłbyś się pojechać, ma się rozumieć.

– Znalezienie komina, jeśli to w ogóle możliwe, zajmie wiele miesięcy. To dużo czasu, a mój czas nie jest tani. Będę się musiał nad tym zastanowić. Dam panu odpowiedź za tydzień czy dwa.

Coś się tu szykowało. Hyde nie mówił mu wszystkiego, a chociaż projekt wydawał się bardzo interesujący, Mercer miał

złe przeczucia. Zobaczył, że na twarzy jego rozmówcy maluje się zaskoczenie.

– To jakiś problem?

– Nie, nie – zapewnił Hyde. – Tyle tylko, że dałem mojemu erytrejskie-mu współnikowi do zrozumienia, że można to zrobić szybciej. Rozumiesz, sprawy już nabrały rozpędu.

Nagle w restauracji zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Wróciło wrażenie łaskotania. Mercer wiedział, kiedy ktoś próbuje go wykiwać, i zamiast spławić Hyde'a później, podjął decyzję. Nagle wstał.

– W takim razie chyba nie nadaję się do tego zadania. Przykro mi. Wiem, jak postępować z sekretami państwowymi, sam kilka znam, więc może pan być spokojny, że to, o czym tu rozmawialiśmy, się nie rozejdzie. Proszę nie próbować się ze mną więcej kontaktować.

Nie był szczególnie zły, że go okłamano. Po człowieku z administracji niemal się tego spodziewał, ale to nie znaczyło, że miał nadal marnować czas. Tu chodziło o coś jeszcze, jakiś sekretny plan, o którym Hyde nie chciał albo nie mógł mówić. Mercerowi było w sumie wszystko jedno. Może i popadł w zawodową rutynę, ale wiedział, że propozycja Hyde'a nie jest wyjściem.

Nie zwrócił uwagi na biznesmena przy stoliku w barze. Jego teczka leżała na stoliku, była otwarta. Znajdował się w niej nowoczesny mikrofon kierunkowy. Cała rozmowa została nagrana.

COLLEGE PARK, STAN MARYLAND

Magnetofon stał na środku małego stolika kuchennego z imitacji drewna. Cztery stojące dookoła krzesła zajmowali szef komórki i jej trzej starsi członkowie. Wszyscy słuchali nagrania ledwie czterdzieści pięć minut po tym, jak Mercer wyszedł z hotelu Willard.

– Jakieś uwagi? – zapytał w końcu przywódca, Ibriham.

– Wygląda na to, że nic z tego – powiedziała jedyna kobieta wśród obecnych. – Nie złapie przynęty.

– Zgadzam się – stwierdził inny.

– Zaskoczyło mnie, ile szczegółów Hyde zdradził akurat jemu – zauważył najbardziej doświadczony operator. – Ostatni dwaj, z którymi próbował, wydostali z niego o wiele mniej niż Philip Mercer.

– To prawda – zgodził się przywódca. – Ale żaden z tych inżynierów nie miał reputacji Mercera. Czytałem jego dossier z archiwum. Kwalifikacje akademickie i terenowe ma doskonałe, ma też spore doświadczenie w amerykańskich działaniach niejawnych, najpierw podczas wojny w Zatoce, potem w czasie kryzysu na Hawajach i w końcu w zeszłym roku, kiedy zagrożony był rurociąg na Alasce. Mogę się założyć, że to o Mercera chodziło Hyde’owi od samego początku, ale musiał spróbować z dwoma innymi, bo Mercer był nieosiągalny.

– Co robimy? – spytała kobieta. – To oczywiście, że doktor Mercer nie jest zainteresowany. Poczekamy i zobaczymy, kto jest następnym na liście Hyde’a?

– Nie sądzę – odparł Ibriham. – Musimy przejąć inicjatywę. Przepuściliśmy prawie ćwierć naszego budżetu, a operacja jeszcze się właściwie nie zaczęła. Musimy zacząć działać bardziej aktywnie. Bez rezultatów możemy zostać odwołani. A nasza misja jest zbyt ważna, żeby do tego dopuścić. – Miał już w głowie plan. – Uważam, że Philip Mercer to człowiek, o którego nam chodzi. Hyde’owi nie udało się go zwerbować normalnymi sposobami, więc to my go nakłonimy, innymi, bardziej brutalnymi. Musimy znaleźć haka na tego człowieka, coś, co zmusi go, żeby poleciał do Erytrei. Nie tylko jako agent Hyde’a, ale i nasz. Z dossier wiem, że nie ma żadnej rodziny, ale musimy znaleźć jakąś słabość, którą moglibyśmy wykorzystać. Wszystko, powtarzam, wszystko jest dopuszczalne. To teraz nasz priorytet: Mercer musi być w Erytrei za dwa tygodnie.

– A więc nie mamy żadnych ograniczeń operacyjnych?

– Zgadza się. Możecie użyć wszystkich sposobów, żeby zmusić go do przyjęcia propozycji Hyde’a. Przekupstwo nie podziela, jest zbyt bogaty. Musicie znaleźć coś innego. Jakies pytania? – Ibriham zobaczył tylko wyrażające aprobatę spojrzienia. – Dobrze. Do roboty. Ja przejrzę jeszcze archiwum, ale wątpię, czy znajdę coś więcej.

Odprawił swoich ludzi i wszedł do pokoju dowodzenia, zamykając za sobą drzwi. Włączył główny komputer, zalogował

się do Internetu i dostał do bezpiecznej bazy danych archiwum. Choć patrzył na ekran, myślami był gdzie indziej.

Pochodząc z rodziny mieszkającej tuż za murami Jerozolimy przez ostatnich dziewięćset lat, wiedział, co to tradycja i poświęcenie. Kiedy był młody, przyjaźnił się z wieloma chrześcijanami i muzułmanami, ale jego rodzina należała do małej grupki palestyńskich Żydów, od pokoleń żyjących w Ziemi Świętej. Przez całe stulecia nic to nie znaczyło. Ale potem nadeszły czasy wojny. Od chwili utworzenia państwa Izrael najpierw rodzinne strony Ibriha-ma, a potem jego rodzina zostały zdruzgotane przez rozbieżność interesów, rozdarte między wiernością klanowi i Bogu. On też stanął przed osobistym dylematem. Z jednej strony był zapalczywym Palestyńczykiem, gorąco pragnącym ujrzeć swój lud wolny po raz pierwszy od czasów podboju Saladyna pięćset lat temu. Z drugiej – pragnął ojczyzny dla swoich bezdomnych braci Żydów, miejsca, gdzie raz na zawsze mogliby przestać się bać pogromów i antysemityzmu.

Podobnie jak w Ameryce podczas wojny secesyjnej jego rodzina została podzielona. Jeden z wujów Ibrihama został zastrzelony przez innego podczas intifady, palestyńskiego powstania, które ogarnęło Zachodni Brzeg Jordanu i Strefę Gazy w latach osiemdziesiątych.

Ibriham starał się w to nie mieszać, ale jego również porwała fala przemocy. Doszło do tego po zamordowaniu jego ulubionej kuzynki, młodej, obiecującej kobiety, którą zabiły izraelskie siły bezpieczeństwa za to, że była w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie po demonstracji Organizacji Wyzwolenia

Palestyny w 1989 roku. Tamtego dnia Ibriham się zmienił. Chwył za broń i rozpoczął nowe życie pełne przemocy. Odrzucając zasady, które ukształtowały jego młodość, rozmyślnie stał się tym wszystkim, czym się brzydził. Został terrorystą, motywowanym przez perwersyjne przekonanie, że cokolwiek by się działo, cel zawsze uświęca środki.

– Ibrihamie? – W drzwiach stanął Jozef. Był najbardziej doświadczonym członkiem komórki, weteranem, który widział więcej akcji niż wszyscy pozostali z Ibrihamem włącznie.

– Wejdz, wujku – powiedział Ibriham. –I uratuj mnie od rozmyślań. Jozef usiadł tak blisko bratanka, że prawie stykali się kolanami.

– O czym myślałeś?

– O przemocy i jej znaczeniu.

– Przemoc nie ma znaczenia, to narzędzie. Jak pług, traktor czy AK-47.

– Wiem, ale zastanawiałem się nad jej istotą.

Jozef uśmiechnął się z zadowoleniem. Szkolił Ibrihama od dnia śmierci swojej siostrzenicy, a chłopak mimo to wciąż zadawał pytania. Był dumny, że Ibriham nie stał się jednym z bezmyślnych automatów, które ślepo wypełniają rozkazy.

– Przemoc nie ma istoty. Mają ją tylko ludzie. A chociaż natura człowieczeństwa domaga się pokoju, jeśli jesteśmy zagrożeni, przemoc staje się wyjściem. Używamy jej, by się bronić, i jest to chwalebne, ale jeśli używamy jej, by zabijać bez refleksji, wtedy nasza natura odbija się w jej bezsensie.

– A użycie przemocy wobec tego Mercera?

– Usprawiedliwione. – Jozef nie zastanawiał się nad odpowiedzią ani chwili. – Zwłaszcza kiedy usłyszysz, co ci mam do powiedzenia. Nie chciałem o tym wspominać przy pozostałych, najpierw chciałem powiedzieć tobie. Kiedy Mercer był na spotkaniu z Hyde'em, przeszukałem jego dom. – Milczenie Ibrihama Jozef uznał za akceptację tego nieautoryzowanego włamania. – Nie miałem dość czasu, by zrobić to porządnie, ale dowiedziałem się wystarczająco dużo, żeby nabrać podejrzeń.

– Mów dalej.

– System alarmowy Mercera jest dobry, nie doskonały, ale zapewnia ochronę przed każdym oprócz najlepiej wyszkolonych. – Jozef się uśmiechnął, a w kącikach jego ciemnych, głęboko osadzonych oczu pojawiły się zmarszczki. – Muszę przyznać, że robię się za stary na wspinanie się po poręczach schodów.

– I co znalazłeś?

– Skrytkę z bronią w szafie, w gabinecie, pistolet maszynowy Heckler & Koch, samopowtarzalną berettę 92, amunicję, granaty dymne i odłamkowe, sprzęt noktowizyjny i kilka kostek plastiku. Wszystko to wygląda, jakby od dłuższego czasu leżało nieużywane, ale obecność tych rzeczy jest niepokojąca.

– Pamiątki z jakiejś wcześniejszej misji dla rządu USA?

– Tak sądzę, ale skoro je zatrzymał, to prawdopodobnie zamierza kiedyś ich użyć. – Jozef zrobił zatroskaną minę. – Ta broń i niewątpliwa biegłość Mercera w posługiwaniu się nią znacząco podbijają stawkę, jeśli wziąć pod uwagę, co trzeba zrobić, żeby go posłać do Erytrei.

– Ale nie powstrzyma nas przed zrobieniem tego – zgodził się Ibriham.

– Myślę, że powinniśmy od tej pory działać trochę ostrożniej. Instynkt podpowiada mi, że nie wszystko, co trzeba wiedzieć o Philipie Mercerze, jest w archiwum.

Ibriham milczał, przetrawiając te informacje.

– I jeszcze jedno. W notesie Mercera jest służbowy i domowy numer telefonu Richarda Henny, dyrektora FBI. Myślę, że znają się z jakiegoś jego poprzedniego zadania.

Ibriham był wstrząśnięty.

– Nic na to nie poradzę. Musimy działać według planu. Ostrożnie, owszem, ale misja musi trwać. – Podniósł głos, kiedy w głowie błysnął mu ich cel. – To tam jest, wuju, czeka na afrykańskiej pustyni, pogrzebane przez tysiące lat, a my to wydostaniemy. Symbol dla naszego ludu na całym świecie, ogniwo łączące nas z Bogiem, które zmusi wszystkich, by uwierzyli. Nawet jeśli Mercer przyjaźni się z Henną, myślisz, że stanie nam na drodze?

Jozef ucieszył się, widząc pasję w oczach bratanka. To miała być jego ostatnia misja. Zgodził się wziąć w niej udział tylko po to, by pomóc Ibrihamowi w pierwszym samodzielnym zadaniu. Żaden z pozostałych nie wiedział nawet, że ci dwaj są ze sobą spokrewnieni.

– Nie, nie stanie.

ARLINGTON, WIRGINIA

Mimo tego, co powiedział Hyde'owi, Mercer nie potrafił przestać myśleć o tej sprawie. Kiedy wrócił do domu, usiadł przy biurku i zaczął przeglądać fachowe książki oraz informacje dostępne w Internecie. Zapadł zmrok, zostawiając miasto skąpane w różowawym blasku ulicznych latarni, ale Mercer tego nie zauważył. Wielu ludzi uznałoby taką pracę za żmudną, ale on ją lubił. Szukanie jednego faktu nieodmiennie prowadziło do mnóstwa innych, a zainteresowanie którymkolwiek z nich kierowało do kolejnych. Łatwo było się zgubić w takim nawale informacji, ale Mercer potrafił wydestylować to, co chciał, przesiewając niepotrzebne dane w poszukiwaniu tej najważniejszej.

Ostateczny raport dla Yukon Coal tkwił zapomniany w edytorze tekstu komputera, a Mercer szukał zawzięcie czegoś, co potwierdzałoby słowa Pre-scotta Hyde'a.

Nie znalazł niczego. Geologia regionu zupełnie nie pasowała do komina kimberlitowego. Erytrea leżała na skraju Wielkich Rowów Afrykańskich, a chociaż obszar ten był aktywny wulkanicznie miliony lat temu, nic nie wskazywało na obecność diamentów. Nie znaleziono żadnych charakterystycznych pierwiastków, nie odkryto kamieni aluwialnych, wymytych z komina przez rzeki czy strumienie. Mercer nie mógł znaleźć niczego, co sugerowałoby, że w Erytrei można coś znaleźć.

Ale zdjęcia satelitarne mówiły co innego. Nie mógł zaprzeczyć, że fotografie Erytrei zrobione przez Meduzę wyglądały

uderzająco podobnie do komputerowych symulacji okolic Kimberley. Przyczyn tego podobieństwa mogły być setki, na przykład błąd w symulacji, ale Mercer nie mógł odrzucić ewentualności, że Hyde ma rację.

Był zaszokowany tym, jak bardzo chciał, żeby to była prawda. Nigdy nie był w Erytrei i nikogo stamtąd nie znał, ale w tym przypadku gorąco Erytrejczykom kibicował. Chciał też, żeby to była prawda, dla samego siebie. Nowego komina kimberlitowego nie odkryto od ponad dziesięciu lat. Mercer chciał być tym, kto tego dokona. Przyznawał przed samym sobą, że jego pobudki są dość egoistyczne, ale gdyby mu się udało, wszyscy by na tym skorzystali.

Resztę dnia spędził na sprawdzaniu różnych możliwości, ale wszystko wskazywało na to, że Hyde się myli. Jednak mimo całego naukowego przygotowania Mercer szukał dowodów pasujących do teorii podsekretarza, zamiast pozwolić, by hipoteza wynikała ze zgromadzonych faktów. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że Hyde w jakiś sposób miał rację.

Wcześniej tego samego popołudnia odkrył, że dobrze zrobił, odrzucając jego propozycję. Zadzwonił do Dicka Henny z FBI, ale dyrektor był akurat w Nowym Jorku, więc Mercer porozmawiał z Marge Doyle, jego zastępczynią i mózgiem agencji. Nie znał jej dobrze, ale ona o nim słyszała i nakreśliła mu sylwetkę Hyde'a, jego przeszłości i przyszłości, która nie wyglądała zbyt dobrze.

Prescott Hyde pochodził z rodziny, której członkowie służyli amerykańskiemu rządowi od czasów spisania konstytucji.

Hyde'owie odgrywali znaczące role we wszystkich przełomowych chwilach amerykańskiej historii, od rewolucji przez wojnę secesyjną do zajęcia przez Stany Zjednoczone pozycji supermocarstwa w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Ojciec Hyde'a służył z Eisenhowerem, gdy ten był wodzem naczelnym aliantów podczas II wojny światowej i prezydentem, współpracował z Allenem Dullem w wczesnych latach CIA i Adlai Stevensonem w ONZ.

Prescott Hyde okazał się jedynym rozczarowaniem, jakie jego rodzina kiedykolwiek spłodziła. Z trudem zachowywał obecne stanowisko podsekretarza stanu, które dostał bardziej dzięki nepotyzmowi niż własnym osiągnięciom. Zdążył już dowieść swojej niekompetencji podczas krótkiego okresu kierowania sekcją afrykańską departamentu, przeocząc zwiastuny zamachu stanu w Zambii w zeszłym roku i tak obrażając ambasadora Republiki Południowej Afryki, że ten, na znak protestu, na dwa tygodnie wrócił do kraju.

Mercer podejrzewał, że gdyby Prescott nie był jednym z Hyde'ów, zostałby wylany kilka miesięcy temu. Zastanawiał się, ile podsekretarz ma jeszcze czasu. Obecny prezydent był bardziej zainteresowany polityką zagraniczną niż wewnętrzną i lubił, kiedy jego szarżę prowadzili najlepsi. Mercer domyślał się, że jeszcze jedna wpadka i Hyde dostanie kopa w tyłek.

Stąd Erytrea. Gdyby Hyde'owi się udało, nie tylko uratowałby swoją wiszącą na włosku karierę, ale też dołączył do panteonu przodków. Dlatego jego motywy były bardziej osobiste niż zawodowe, a Mercer był zadowolony, że odrzucił propozycję

kontraktu. Zadawać się z kimś, kto ryzykuje, by ratować kończącą się karierę, byłoby w najlepszym wypadku głupotą.

O ósmej Mercer wyłączył komputer. Oczy piekły go ze zmęczenia, a żołądek wydawał całkiem donośne odgłosy. Na razie odłożył Erytreę na później. Jutro zamierzał popracować nad raportem dla Yukon Coal.

Poszedł do kuchni i wyjął z zamrażarki danie do odgrzania, ustawił odpowiednią temperaturę i wsunął zamrożone jedzenie na środkową półkę piekarnika, ignorując zalecenia, by zdjąć folię. Kiedy danie zmieniało się z masy skamieniałej w galaretowatą, Mercer poszedł na górę do łazienki i wziął długi prysznic.

Wrócił na dół dokładnie w chwili, kiedy zapiszczał brzęczyk kuchenki. Zjadł, stojąc kilka kroków od stołu z polerowanej brzozy, wystarczającego dla ośmiu osób, używając plastikowego widelca, podczas gdy w niezliczonych szufladach spoczywały srebrne sztucce dla tuzina. W końcu wyrzucił plastikową foremkę do śmieci i wyszedł z domu do pobliskiego baru U Małego.

Paul „Mały” Gordon stał jak zwykle za barem. Zanim Mercer zdążył przejść od drzwi i usiąść obok Harry’ego White’a, zdążył mu już nalać gimlet z wódką. Mercer czuł, że rozluźniają mu się napięte ramiona. W lokalu była zaledwie garstka klientów.

– Czytałem gdzieś, że ludzie, którzy piją we wtorek, to pijacy albo alkoholicy – powiedział Harry, patrząc na niego.

– A jaka to różnica?

– Alkoholicy muszą chodzić na spotkania – odparł z udawaną powagą Harry.

– I to mówi facet, który uważa, że gorzała to zaginione ogniwo łańcucha pokarmowego. – Mercer się uśmiechnął. – To stary kawał, Harry.

– A czego się spodziewałeś? Ja też jestem stary. – W wielkim łańcuchu starca szklanka wyglądała jak naparstek.

– Ciągłe cię to męczy?

– Nie, raczej nie. – Harry potarł zapałkę i zapalił papierosa. – Zajrzałem w głąb swojej duszy i odkryłem, że jeśli nadal żyję, to muszę się z tym pogodzić. Większość znanych mi ludzi, którzy dobiegali osiemdziesiątki, nigdy nie korzystała z pozostałego im czasu, żeby się dobrze zabawić. Siedzieli tylko w domach starców i narzekali, jak to kiedyś czuli się o wiele lepiej. A ja się czuję całkiem dobrze i, cholera, zamierzam to wykorzystać. – Postukał w bar. – Mały, nalej mojemu kumpłowi jeszcze jednego i dopisz do mojego rachunku.

– Jezu. – Paul Gordon załamał dramatycznie ręce. – Ty rzeczywiście umierasz, co? Kupiłbyś Mercerowi drinka tylko wtedy, kiedy zamierzałbyś się przekręcić i wyłgać z zapłaceniam rachunku.

Przy trzeciej kolejce Mały pił już z nimi, a Mercer opowiedział o spotkaniu z Prescottem Hyde'em oraz o swoich późniejszych ustaleniach. Na koniec stwierdził, że nic nie wskazuje na to, by w północnej Erytrei znajdował się komin kimberlitowy.

– A czy wszystko nie wskazywało na to, że Bóg stworzył świat, dopóki Darwin nie wymyślił teorii ewolucji? – spytał Mały.

– Tak – odparł ostrożnie Mercer, wiedząc, że nie należy lekceważyć intelektu przyjaciela.

– A teraz kreacjonistom została wiara. Mocna rzecz, jeśli się wierzy. Musisz zadać sobie pytanie, czy twoja wiara w fakty dotyczące tego komina jest wystarczająco mocna, by pomijać dowody, których jeszcze nie znalazłeś.

– To nie to samo, Paul, i ty o tym wiesz.

– Masz oczywiście rację. Ale czy greckie słowo „atom” nie oznacza „niepodzielny”? I czy nie udowodniliśmy, że atom można rozbić na protony, neutrony i elektrony, a każda z tych cząstek dzieli się na kolejne „niepodzielne” części?

– A więc twierdzisz, że jeszcze wszystkiego nie wiem?

– On twierdzi – wtrącił się Harry – że nie poruszyłyś tego tematu, gdybyś nie wierzył, że te diamenty są tam, gdzie ten koleś powiedział, że są, i chcesz, żebyśmy ci to wyperswadowali.

– Nie chcę ich szukać, przynajmniej nie dla Prescottta Hyde’a, ale coś – możecie to nazwać wiarą – mówi mi, że Erytrea siedzi na wielkim znalezisku.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – chciał wiedzieć Harry.

– Pić, dopóki ten głupi pomysł nie wyleci mi z głowy.

– Dobrze powiedziane – pochwalił Harry i wychylił resztkę burbona. Jakies pół godziny później Paul Gordon spojrzał w kierunku wejścia i na jego twarzy pojawił się wyraz oczarowania. Mercer obejrzał się, żeby zobaczyć, kto wszedł. W drzwiach stała kobieta. Mierzyła blisko metr osiemdziesiąt wzrostu, była szczupła jak trzcina, ubrana w luźne białe spodnie i jasnoszarą bluzkę. Na ramiona zarzuciła związany rękawami biały sweter. Nie była czarna ani biała, ale łączyła w sobie najlepsze cechy obu tych ras. Jej skóra miała odcień kawy z mlekiem, gładka jak

śmietana, a gęste włosy były rozpuszczone. Mercer stwierdził, że zostały ufarbowane na ciemnorudo henną. Kobieta miała delikatne i ostre rysy twarzy, bardzo wyraziste, z nilotycznymi kośćmi policzkowymi i wysokim czołem. Całą twarz zdominowały łagodne, piwne oczy.

– O... – Małemu odebrało mowę.

– Mój... – Mercer również był zbyt zachwycony, żeby coś powiedzieć.

– Boże, to było dobre. – Harry dopił drinka i odstawił pustą szklankę na bar, nie zwracając uwagi, na co patrzą jego przyjaciele. – Mały, nalej mi jeszcze jednego i dopisz do rachunku Mercerowi.

Dopiero wtedy zauważył, że Mały spogląda gdzieś ponad jego ramieniem. Odwrócił się.

– Jasny gwint.

Kobieta uśmiechnęła się, choć Mercer był pewien, że ją zawstydzili.

Może to dlatego, że Harry wspomniał wczoraj o Aggie, a może dlatego, że Hyde skłonił Mercera do rozmyślań o Afryce – Mercer nie mógł oderwać od niej wzroku. Była piękna, miała afrykańską figurę i powab. Przyglądając jej się, Mercer nie doświadczył zwykłego ściśnięcia żołądka, jak to się działo przez ostatnich miesiące. W jego miejsce pojawiło się nowe wrażenie, umiejscowione trochę niżej niż żołądek i zdecydowanie przyjemniejsze.

Kobieta podeszła do baru, sunąc przez dziurawe linoleum z gracją tancerki. Jej wąskie biodra kołysały się ku rozkoszy trzech patrzących.

– Dobry wieczór. – Akcent miała niezauważalny, a jej głos pasował do twarzy, melodyjny i prowokujący. – Szukam doktora Philipa Mercera. Nie było go w domu i powiedziano mi, że czasami przychodzi tutaj. Czy któryś z panów go widział?

Harry pierwszy odzyskał głos.

– Tak, ja jestem Philip Mercer. Co mogę dla pani zrobić, piękna damo? Kobieta podała mu smukłą dłoń.

– Doktorze Mercer, jestem Selome Nagast z ambasady erytrejskiej. Miałam brać dzisiaj udział w pana spotkaniu z Prescottem Hyde'em.

– Pani obecność na pewno uprzyjemniłaby tę bezowocną rozmowę. – Harry uśmiechnął się lubieżnie, wstając ze stołka i wprost ociekając urokiem osobistym.

Mercer zastanawiał się, jak długo pozwalać na kontynuowanie tych wygłupów.

– Przykro mi, że nie mogłam przyjść. Bill opowiedział mi, co się stało, i jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym wykorzystać tę okazję, by jeszcze raz przedstawić nasze stanowisko, tym razem z punktu widzenia ludzi, którym może pan pomóc...

– Panno Nagast – przerwał Mercer, wyczuwając, że kobiecie zaczyna przeszkadzać pożądlive spojrzenie Harry'ego. – Ja jestem Mercer. To mój przyjaciel Harry. Cierpi na okropne zwielokrotnienie jaźni. Zanim pani przyszła, uważał się za Ritę Hayworth.

Selome Nagast nawet nie mrugnęła okiem.

– To prawdziwa przyjemność panią poznać, panno Hayworth. Jestem pani fanką, odkąd obejrzałam w telewizji Gretę.

Harry spojrzął na Mercera, jakby chciał go zabić. Wciąż ścisnął dłoń kobiety.

– To tylko taki dowcip – zaśmiał się – który Mercer zakończył zbyt szybko, za co z pewnością zapłaci. Czy mogę postawić pani drinka?

!— Białe wino.

– W takim lokalu? – zdziwił się Mały za barem. – Musi pani lubić ryzyko.

Chwilę później postawił przed nią ośmioletnie francuskie chardonnay ze swoich prywatnych zapasów.

Mercer wziął kieliszek Selome i swój.

– Może usiądziemy we wnęce?

Selome poszła za nim do stolika pod brudną od dymu witrynę. Zamiast analizować obecność kobiety u Małego i jak w dossier Hyde’a znalazła się informacja, że Mercer tu bywa, Philip zaczął mówić, kiedy tylko usiedli.

– Przez większość popołudnia zastanawiałem się nad propozycją Hyde’a i podtrzymuję to, co powiedziałem w Willardzie. Przykro mi, panno Nagast, ale muszę odrzucić waszą ofertę. Nie potrafię udowodnić ani obalić tego, co przedstawiają te zdjęcia, ale nie wierzę, żeby w północnej Erytrei był diamen-tonośny komin kimberlitowy.

– Skąd taka pewność? – Nagast uniosła brew.

– Pewności nie mam, ale pani i Hyde nie przyszlibyście do mnie, gdybyście nie cenili sobie mojego zdania. Pracuję w tej branży od wielu lat, a rozeznanie, które dzisiaj zrobiłem, wskazuje, że w pani kraju nie ma diamentów. Zaintrygowała mnie taka możliwość, ale poszukiwania, o jakich mówił Hyde przy obiedzie, nie są po prostu tego warte, ani dla mnie, ani dla was.

– Chodzi o pieniądze? – spytała ostro Selome. – Wiem, że pański czas nie jest tani, ale możemy zapłacić za co najmniej sześć tygodni pana pracy w terenie.

Mercer wzruszył ramionami.

– Jeśli zaplanowaliście sześciotygodniowe poszukiwania, oszczędzę wam wydatków i rozczarowania już teraz i powiem, że nawet gdyby komin był oznaczony wielkim iksem i tabliczką „Tu kopać”, nie wystarczy wam czasu, żeby go znaleźć. Teren do przeszukania to pięćset kilometrów kwadratowych i trzeba go przeczesać centymetr po centymetrze. Nieważne, kto poprowadzi tę ekspedycję, ale nawet, gdybyście mieli dużo szczęścia, nie oczekujcie efektów szybciej niż za kilka miesięcy.

Af* – Czasu może mamy niewiele, przyznaję, ale to nasze pieniądze. I uważamy, że ten projekt wart jest, by je wydać.

Słuchając jej słów, Mercer odkrył, że pociąga go ruch jej ust, to, jak doskonale formują każdą sylabę. Była naprawdę urzekająca. Mercer wyczuł także, że może być przynętą, taką, jakie Rosjanie nazywali „słodką pułapką”. Natychmiast odrzucił tę myśl. Kobieta tak piękna jak Selome Nagast byłaby w tej roli zbyt oczywista.

– Dlaczego sześć tygodni?

– Ze zdjęć wynika, że komin jest blisko naszej granicy z Sudanem. Uważamy, że nawet przy najostrożniejszych środkach ostrożności sześć tygodni to maksymalny czas, przez jaki możemy czuć się bezpieczni. Rejon poszukiwań należy do najmniej bezpiecznych w Afryce. Na pewno pan słyszał o archeologu i jego przewodniku, których zabito kilka miesięcy temu.

– Hyde o tym wspominał – odparł Mercer. – Proszę posłuchać, oboje macie dość informacji, by nie zdradzając sekretu Meduzy, skontaktować się z jakąś dużą firmą wydobywczą w Kanadzie albo Europie. Dlaczego nie dać im szansy?

– Braлиśmy to pod uwagę. Ale na tym etapie każda umowa, jaką byśmy zawarli, byłaby zła. Kompanie górnicze słyną z kontraktów, na których korzystają tylko one. Zaangażować taką firmę na tym etapie oznaczałoby oddać zbyt dużo. Niech pan popatrzy, co się stało w RPA i Namibii. Przez dziesięciolecia pieniądze z ich kopalni trafiały do kieszeni Europejczyków. Będziemy mieli lepszą pozycję przetargową, jeśli znajdziemy komin sami.

– Wszystko to święta racja. Jeśli są tam jakieś diamenty, możecie wyciągnąć naukę z błędów innych afrykańskich państw. Ale muszę powtórzyć: jeżeli poważnie myślicie o poszukiwaniach komina, dajcie sobie przynajmniej rok i potrójcie budżet. W ten sposób będziecie zabezpieczeni na wszystkie ewentualności.

Selome wysłuchała rady z niewesołą miną.

– To niemożliwe.

– W takim razie dajcie sobie spokój i przeznaczcie pieniądze, które chcieliście mi zapłacić, na pomoc ludziom. Sprowadźcie

część uchodźców z Sudanu, ściągnijcie do Erytrei jakieś inwestycje, cholera, oddajcie forszę ONZ-towi, żeby zapewnić sobie ich pomoc. Cokolwiek wymyślicie, będzie lepsze niż organizowanie ekspedycji, która prawie na pewno skończy się fiaskiem.

Mercer nie lubił stawiać spraw tak ostro, ale wiedział, że musi to jak najszybciej zakończyć. Selome i jej determinacja zrobiły na nim wrażenie, miał jednak świadomość, że Erytrejka sama się oszukuje. Właściwie on też się oszukiwał. Stracił cały dzień na poszukiwania komina, bo chciał, żeby ten komin istniał. Zobaczył w jej oczach świadomość klęski i zapragnął wziąć ją za rękę i jakoś pocieszyć.

– Nie odpuścimy tej sprawy – powiedziała Selome zaskakująco stanowczo.

– Życzę wam szczęścia, naprawdę. Przykro mi, że nie mogę wam pomóc.

Wstała, ale Mercer nie mógł pozwolić, żeby rozstali się w tak przykrych okolicznościach. Dotknął jej dłoni.

– Proszę posłuchać, mogę się mylić. Możecie siedzieć na największych złożach diamentów na świecie, ale musicie być przygotowani na rozczarowanie. Nieważne, co się stanie, czeka was dużo pracy.

– Doktorze Mercer, nikt z nas nie jest tak naiwny, jak pan sądzi. Oczywiście, że to nie będzie proste, wszyscy się tego spodziewamy, ale to nie znaczy, że mamy nie spróbować.

Kiedy Selome Nagast sobie poszła, Mercer wyszedł z wnętrza i opadł ciężko na stołek barowy obok Harry'ego.

– Słyszałeś?

– Aha – odparł Harry. – Nie sądzisz, że zagrałeś trochę za ostro? Zanim weszła, myślałeś jeszcze, że w tej Erytrei mogą być jakieś diamenty.

– Wiem, ale się myliłem. Rozmawiając z Selome, uświadomiłem sobie, że tylko miałem nadzieję, tak samo jak ona i Hyde. O ile nie uda im się namówić jakiejś dużej firmy, żeby pokryła koszty, lepiej, żeby zapomnieli o całej sprawie. – Mały zaproponował mu jeszcze jednego drinka, ale Mercer odmówił. – Mieszkają w jednym z najbiedniejszych krajów na ziemi i chcą wywalić miliony dolarów na projekt z szansą powodzenia tysiąc do jednego. Tak nie wolno i myślę, że nawet panna Nagast to rozumie.

– Dlaczego tak mówisz?

– Tych sześć tygodni, o których wspominała. Nie wierzę w te powody do pośpiechu bardziej niż ona sama. Erytrea jest niepodległym państwem od paru lat, a diamenty leżą tam od kilkuset milionów, więc skąd ten pośpiech? Nie sądzę, żeby mieli pieniądze na coś tak dużego. Do tego wydaje mi się, że Prescott Hyde i śliczna Selome Nagast coś przede mną ukrywają. Nie wiem, co to jest, i wcale nie chcę wiedzieć. Ja już z tym skończyłem.

Mercer widział takie sytuacje dziesiątki razy, zwłaszcza w Afryce. Pieniądze, za które można było naprawdę komuś pomóc, marnowane na jakiś spektakularny projekt, który zazwyczaj nigdy nie zostaje zakończony, a jeśli nawet, to szybko się go porzuca. Nie znosił takiego marnotrawstwa i nie zamierzał brać w czymś takim udziału. Zastanawiał się nawet, czy nie uruchomić swoich

znajomości w branży wydobywczej i nie spróbować zablokować całego przedsięwzięcia. To było najlepsze, co mógł zrobić, żeby oszczędzić Erytrei niepotrzebnych wydatków.

– Jutro nadal będziesz to drażył?

– Nie. Skończę raport dla Yukon Coal i rozejrzę się za nowym projektem. Jeśli te diamenty tam są, nie są pisane mnie.

Następnego ranka Mercer przyniósł sobie gazetę i nalał gęstej jak smoła kawy, zanim zauważył kopertę leżącą na polerowanym blacie baru. Zwykłą, szarą kopertę, której wczoraj tu nie było! Poczul zastrzyk adrenaliny. Do jego domu już raz się włamano – sam zastrzelił potencjalnego zabójcę niecały rok temu – ale świadomość, że ktoś się tu zakradł, kiedy on spał, była jeszcze bardziej niepokojąca. Szybko stłumił narastającą panikę.

Przeszukał cały dom, przekonał się, że jest sam, i wrócił do baru. Zbliżył się do paczki z obawą; odegnał pierwszą myśl, że to bomba. Gdyby ktoś chciał go zabić, mógł to zrobić, kiedy Mercer spał. Kula z pistoletu z tłumikiem jest o wiele skuteczniejsza niż ładunek wybuchowy. Przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić na policję, ale jeśli to nie bomba, to wiadomość przeznaczona tylko dla niego. Ignorując fakt, że być może niszczy bardzo ważne ślady, wziął kopertę, rozpoznając pod palcami miękkość folii bąbelkowej, rozerwał ją i wysunął zawartość na rękę – kasetę wideo. Jego żołądek zmienił się w lodowaty węzeł. Przeczynał już, co na niej jest.

Wsunął kasetę do magnetowidu, jednocześnie włączając telewizor. Kiedy zobaczył, co się na nim pojawiło, krew odpłynęła mu z twarzy.

Harry White siedział nagi na drewnianym krześle. Gruba srebrna taśma unieruchamiała jego ręce na poręczach i oplatała chudą, bladą pierś. Do sutków miał przymocowane przewody elektryczne, a wokół ust i oczu ciemne sińce. Był przerażony. Na jego kolanach leżał poranny „Washington Post”. Jezus, gazeta oznacza, że byli w jego domu najwyżej pół godziny temu.

Kiedy Harry w końcu się odezwał, jego chrapliwy zazwyczaj głos brzmiał jak dziecinne błaganie. Mówił, jakby nauczył się słów na pamięć.

– Mercerze, zostałem porwany wczoraj wieczorem, kiedy wyszedłem z baru. Nie wiem, kto mnie przetrzymuje, ale oni nie żartują.

Jakby na dowód tych słów z offu wysunęła się ręka i brutalnie uderzyła go wierzchem dłoni w twarz. Harry doszedł do siebie dopiero po chwili, jego pierś unosiła się szybko i opadała z przerażenia i bólu.

– Żądają, żebyś poleciał do Erytrei i znalazł kopalnię diamentów, albo mnie zabiją. Nie masz wyboru. Jeśli dowiedzą się, że nie zamierzasz jechać, będą zostawiali ci na progu części mojego ciała, aż do głowy za dwa tygodnie.

Harry umilkł, a jego wodniste oczy skupiły się gdzieś poza kamerą, jakby kogoś słuchał. Potem Mercer usłyszał inny głos, zniekształcony za pomocą elektronicznego syntezyzatora.

– Doktorze Mercer, proszę posłuchać przyjaciela. Nie chcemy go zabijać, ale znalezienie kopalni jest zbyt ważne, żebyśmy przejmowali się śmiercią jednego starca. Ma pan sześć tygodni na wykonanie tego zadania. Jeśli się panu nie uda, Harry White

zostanie zabity. Jeśli będzie pan próbował nas znaleźć, Harry White zostanie zabity. Jeśli opowie pan komukolwiek, co się stało, Harry White umrze. Odpowiedzialność za jego życie spoczywa na panu.

W kadrze pojawili się dwaj mężczyźni, ale Mercer nie widział ich twarzy. Jeden objął Harry'ego ramieniem, drugi ustawił się obok jego ręki.

– Kiedy znajdzie się pan w Erytrei, będziemy się z panem okresowo kontaktowali – brzęczał głos. – Kiedy znajdzie pan diamenty, nie może pan o tym powiedzieć nikomu oprócz nas, albo pana przyjaciół będzie brutalnie torturowany przed egzekucją.

– Mercerze, posłuchaj! – krzyknął Harry do kamery. – Nie jestem bohaterem, nie chcę umierać. Od kilku godzin nie miałem papierosa w ustach i już zaczyna mną telepać delirka. Na Boga, zrób, co oni chcą, zabij pieprzonego prezydenta, jeśli będzie trzeba, tylko mnie stąd wyciągnij.

Bez ostrzeżenia jeden z mężczyzn złapał mały palec jego dłoni i złamał go tak szybko, że na twarzy Harry'ego przez kilka sekund malowało się zaskoczenie, zanim wykrzywił ją ból. Harry wrzasnął, z jego ust popłynęły bąbelki śliny. Nagranie się urwało.

Mercer poczuł wzbierający strach i zatoczył się na bar. Znów ujrzał Tory na peronie i siebie w wagonie i zobaczył, jak jej głowa eksploduje sekundę przed tym, jak morderca sam odebrał sobie życie. Nic wtedy nie zrobił. Nie miało dla niego znaczenia, że stał czterdzieści metrów dalej, a tamten trzymał Tory za gardło i wbijał jej pistolet w ucho. Mercer był wtedy sparaliżowany strachem i tak samo było teraz. Przerazenie przyszpiliło go do

baru. Wtedy, lata temu, był bezsilny i przysięgł sobie, że to się nie powtórzy. Ale za każdym razem od tamtej pory to on był w niebezpieczeństwie, nie ktoś, kogo kochał. Nie Harry. Poczul się uwięziony, bezradny. Nie mógł oderwać wzroku do czarnego ekranu telewizora.

A potem poczul iskierkę wściekłości i chwycił się jej, czując, jak rośnie, aż znów mógł zacząć myśleć. Wściekłość mógł kontrolować i wykorzystywać. Zacisnął dłonie w pięści tak mocno, że kłykcie napięły skórę. Harry ma kłopoty. Harry, który uratował mu życie i który jest jego przyjacielem, a tak naprawdę i ojcem. Mercer poczul ukłucie poczucia winy, bo gdyby się nie przyjaźnili, Harry obudziłby się dziś rano w swoim łóżku, nieprzytomny po wczorajszym picciu, ale cały i zdrowy. Poczucie winy Mercer też umiał wykorzystać, bo skupiało jego gniew. A kiedy poczucie winy i gniew są wystarczająco mocne, mogą zdławić strach.

Minęło pięć minut, zanim racjonalna strona charakteru Mercera uwolniła go od emocji i pozwoliła obmyślić jakiś plan działania. Po pierwsze i najważniejsze, musi ustalić, kto porwał Harry'ego. Pierwszy przyszedł Mercerowi do głowy Prescott Hyde. Wiedział, że Departament Stanu utrzymuje tajną komórkę do takich działań. Porwanie starca i ominięcie systemów alarmowych domu Mercera byłoby dla nich dziecinnie łatwe. Ale oni nie potrzebowali go aż tak bardzo. Mieli do wyboru dziesiątki równie wykwalifikowanych ludzi, którzy mogliby poprowadzić poszukiwania w Erytrei. Selome Nagast, pomyślał. Nie, ona jest po stronie Hyde'a. W takim razie kto?

Mercer nie wiedział. Ale był pewny, że wpadł po same uszy. Ma pole manewru, może pójść do Dicka Henny, ale wiedział też, że jeśli ma wydostać Harry'ego, będzie musiał polecieć do Afryki. Zrobi wszystko, by sprowadzić go do domu.

Nie może pozwolić sobie na zastanawianie się, co będzie, jeśli komin kimberlitowy nie istnieje.

ARLINGTON, WIRGINIA

r onieważ Mercer nie mógł sprawdzić, czy założono mu podsłuch w telefonie albo gdzieś w domu, spędził dzień w zagraczonym kantorku Małego, niewiele większym od budki telefonicznej i obklejonym plakatami z wyścigów konnych. Kiedy pracował, Paul donosił mu kawę i kanapki. Mercer o wszystkim mu opowiedział, a były dżokej zgodził się, że w takiej sytuacji angażowanie w sprawę policji nie jest dobrym rozwiązaniem.

Mercer zadzwonił do Dicka Henny i umówili się na spotkanie późnym wieczorem. Podejrzał, że będzie śledzony, ale wiedział, jak zgubić ogon. Większość z tego, co dzisiaj zrobił, mógł zrobić w domu, ale nie znośił pracować pod obserwacją, a do tego kilka szczegółów przygotowań wołał zachować dla siebie. Kilka minut po czwartej był gotów powiedzieć Selome Nagast i Hyde'owi, że mimo wszystko poleci do Erytrei.

– Ambasada Erytrei, z kim pana połączyć? – Recepcjonistka mówiła z wyraźnym akcentem.

– Proszę z Selome Nagast.

Zaczekał, aż kobieta sprawdzi listę numerów.

– Przykro mi, proszę pana, ale nie ma tu nikogo o takim nazwisku.

– Jest pani pewna? – Mercer od razu zrozumiał, że to było głupie pytanie.

– Tak, proszę pana.

– Czy to możliwe, że pracuje w ambasadzie, ale nie ma jej w spisie numerów? – spytał z nadzieją, ale czuł narastającą wątpliwość.

– Mamy nowy system poczty głosowej – wyjaśniła recepcjonistka. – Nawet tymczasowi pracownicy mogą odbierać wiadomości.

– Dziękuję.

Zadzwoił do Prescottta Hyde'a. Zastanawiał się, czy odrzucenie Selome Nagast jako porywaczki Harry'ego nie było przedwcześnie.

– Jestem zaskoczony, że pan się do mnie odezwał, doktorze Mercer. Wczoraj dał pan jasno do zrozumienia, że nie jest pan zainteresowany naszym przedsięwzięciem.

– Powiedzmy, że zmieniłem zdanie. Jestem teraz zaangażowany w stu procentach i chciałem, żeby pan pierwszy się o tym dowiedział. – Mercer nie wspominał o Selome. W tym momencie każda posiadana informacja stanowiła broń, a teraz nie nadszedł jeszcze czas, by jej użyć. – Już zacząłem pracować nad tym projektem. Z RPA jedzie ciężki sprzęt, trzy spychacze D-11, dwie duże ładowarki, sześć wywrotek Terex i koparka Caterpillar 5130. Cały ten złom jest w leasingu na pół roku, oprócz koparki, którą Erytrea będzie musiała kupić.

– Chwileczkę. Jest tu ze mną Selome Nagast, a pan mówi przez głośnik. Zdecydowanie kręci głową.

– Doktorze Mercer, nie mogę się na to zgodzić. To po prostu za dużo pieniędzy.

Z jakiegoś powodu Mercer spodziewał się, że ona tam będzie. Jego podejrzenia jeszcze się wzmożyły.

– Słuchajcie państwo, to wy chcieliście rozpocząć ten projekt. Jeśli mam mieć jakieś wyniki, musimy to zrobić po mojemu albo wcale – powiedział ostro Mercer. – To nie ja ustaliłem limit sześciu tygodni. Jeśli mam cokolwiek znaleźć, będę musiał przewalić mnóstwo ziemi. Załatwiłem nam niezły pakiet leasingowy, a jeśli zajdzie potrzeba, załatwię sprzedaż koparki, kiedy nie będzie nam już potrzebna. Oszczędzicie parę milionów dolarów. Macie szczęście, na początku chciałem ściągnąć samobieżną koparkę zgamiakową za czterdzieści milionów, ale stracilibyśmy za dużo czasu na składanie jej na miejscu. Tę będziemy składali dwa tygodnie.

– Pan nie rozumie. Po prostu nie możemy tego tak załatwić – zaprotestowała Selome. – Nie mogę zagwarantować panu bezpieczeństwa, jeśli będzie pan tak łatwym celem.

– Zanim sprzęt zostanie zwieziony, wyznaczę już najbardziej prawdopodobne miejsce, więc będziecie musieli chronić tylko jeden obóz. Z tego, co zrozumiałem, prawie każdy Erytrejczyk w wieku powyżej trzydziestu lat ma przeszkolenie wojskowe, w związku z czym na pewno jesteście w stanie zorganizować jakiś oddział do ochrony. Kiedy będę prowadził poszukiwania, będę praktycznie sam, nie będziecie musieli się mną przejmować.

– Myśleliśmy o czymś skromniejszym – przyznała Selome.

– Wie pan, o co jej chodzi – wtrącił się Hyde. – Mały zespół, minimum sprzętu i maksimum dyskrecji. A pan mówi o sprowadzeniu tam armii.

– To jest niezbędne – uciał Mercer. – Próbowałem już obojgu wam to powiedzieć. Selome, mówiła pani, że wasz rząd nie chce się angażować w operację górniczą. Chcieliście tylko sprawować nadzór, tak? Cóż, możecie to uznać za próbne podejście, ale zrobimy to po mojemu. Sprowadzę taki sprzęt i takich ludzi, jakich będę chciał. Jeśli wam się to nie podoba, jeśli nie tego oczekiwaliście, cóż, trudno. To właśnie dostaliście.

Milczenie przerwał w końcu Hyde:

– Chyba złapaliśmy tygrysa za ogon. Trochę nas pan zaskoczył. Potrzebujemy czasu, żeby to wszystko przetrwać.

– Macie państwo czas do piątku. Wtedy lecę do Erytrei. Zamierzam być w Asmarze w sobotę rano, a w rejonie poszukiwań nie później niż w poniedziałek. Mam z wami obojgiem dużo do omówienia, zanim wylecę, ale to może poczekać do jutra. Na razie możecie zacząć organizować mi wsparcie na miejscu.

– A jeśli postąpimy według pana wcześniejszej rady i porzucimy cały projekt?

W głosie Mercera nie było złośliwości.

– Wtedy zadzwonię do kilku znajomych i w ciągu miesiąca Erytrea zostanie rozkopana wzdłuż i wszerz. Mam wystarczająco dobre kontakty, by zagwarantować, że wasz kraj zostanie oskubany do czysta całkowicie bezkarnie, i żadne z was nie może nic na to poradzić. Porozmawiamy jutro.

Kiedy odłożył słuchawkę, ciężko dyszał. Tak blefując, ryzykował życie Harry'ego White'a. Nerwy miał w strzępach. Wykręcił kolejny numer.

– Grupa Medyczna Knighta – zaczęła recepcjonistka.

– Jest Terry?

– Doktor Knight właśnie przyjmuje pacjenta. Czy może do pana od-dzwonić?

– Gra na komputerze w swoim gabinecie – powiedział Mercer. – Niech pani do niego przekręci i spyta, czy ze mną porozmawia. Mówi Philip Mercer.

Chwilę później w słuchawce odezwał się Terry Knight.

– Aleś sobie wybrał porę, Mercer. Właśnie byłem na ostatnim poziomie „Zagłady”, a miałem jeszcze dwa życia.

– Robię postępy. Ostatnim razem, kiedy zadzwoniłem, miałeś coitus in-terruptus ze swoją pielęgniarką.

– Aha. Pozwała mnie o molestowanie tydzień po tym, jak się zorientowała, że mam za mało plemników, żeby ją zaciążyć.

– To właśnie lubię w tobie najbardziej, Terry, twoje przywiązanie do detali.

Mercer się zaśmiał, po raz pierwszy tego dnia. Odkąd przeprowadził się do Waszyngtonu, Terry Knight był jego osobistym lekarzem.

– Znów jadę do Afryki. Potrzebuję gamma-globuliny, zastrzyku przypominającego przeciwko cholerze, jestem też chyba gotowy na następny zastrzyk przeciwężcowy. Będę też potrzebował pastylek na malarię na jakieś dwa miesiące.

– Boże, uwielbiam pacjentów, którzy wiedzą, czego chcą. Dam ci też przypominający na polio. CDC w Atlancie ogłosiło alarm na cały kontynent. Skoro wybierasz się do Afryki, dorzucę ci też przy okazji paczkę kondomów. Wątpię, żeby ci

się przyfarcilo, więc zanim wrócisz, oddaj je jakiemuś lekarzowi. Coś jeszcze?

Mercer znów się roześmiał.

– Tak. Przygotuj mi apteczkę, nic skomplikowanego, trochę aspiryny i zestaw do szycia. Wypisz mi receptę na morfinę i antybiotyki.

– Na pewno nie chcesz defibrylatora i przenośnego USG?
– zażartował Terry.

– Nie, tym razem nie, ale może później. Wpadnę jutro po zastrzyki.

– Hej, to ja jestem lekarzem, ja ci mówię, kiedy masz przyjść, pamiętasz?

– Idź grać w „Zagładę”, Terry.

– Znajomość z tobą to zagłada.

Mercer, trąc oczy, przeciągnął się na tyle, na ile pozwalała ciasnota kantorka. Musi zastanowić się nad milionami szczegółów, ale myślami wciąż wracał do Harry’ego. Harry jest twardzielem, weteranem wojennym, ale ma już osiemdziesiąt lat. Mercer skupił się na tym, co jego przyjaciel przeżywa, i gniewem zwalczył wyczerpanie.

Mały zajrzał przez drzwi.

– Jak ci idzie?

– Bywało lepiej.

– Wiem, o co ci chodzi. Wiesz, że dzisiaj Harry nie przyszedł po raz pierwszy od dwunastu lat? Boże, nie wiedziałem, jak bardzo kocham tego drania, dopóki go nie zabrakło.

Mercer szybko się wyprostował.

– Nie zabrakło go, Paul. Uratuję go. Nieważne, co będę musiał zrobić, uratuję go.

Te przechwałki zabrzmiały zupełnie nieprzekonująco nawet w jego własnych uszach.

Kiedy Mercer rzucił słuchawkę, Prescott Hyde i Selome Nagast popatrzyli po sobie, myśląc o tym samym. Biuro Hyde'a w Foggy Bottom było gustownie urządzone i przypominało raczej dyrektorski gabinet niż miejsce pracy urzędnika administracji, z olejnymi obrazami na ścianach i antycznym biurkiem, należącym do rodziny od pokoleń. Dywan był grubszy i bardziej miękki niż te w innych pokojach, a fotele ojciec Hyde'a dostał w prezencie od samego prezydenta Kennedy'ego. Selome siedziała w jednym z nich, ubrana w prosty kostium.

– I co o tym sądzisz? – spytała, przerywając milczenie.

– Sądzę, że nas na to po prostu nie stać. On mówi o milionach dolarów, a najwięcej, ile udało się nam dotąd zgromadzić, to trzysta tysięcy, z czego większość pójdzie na wynagrodzenie dla Mercera. Nie pomyślałem, ile sprzętu będziemy potrzebowali. – W głosie Hyde'a pobrzmiwało przygnębienie. – Powinniśmy to wszystko odwołać. I tak szanse były niewielkie.

– Spróbuj to odwołać, a w ciągu dwunastu godzin do twoich drzwi zapuka komisja senacka. Z przyjemnością wysłuchają, jak naprawdę wydostałeś zdjęcia Meduzy z Narodowego Biura Rozpoznania – syknęła Selome. – Zdobędziemy jakoś te pieniądze.

– Wykupienie tych zdjęć od Donalda Rosena kosztowało mnie prawie wszystko, co miałem. Jeśli moja żona się dowie, że wzięłem drugą hipotekę na dom, zabije mnie.

– Nie obchodzą mnie twoje rodzinne problemy. Jeśli to się ma udać, będziemy niedługo potrzebowali więcej pieniędzy. Ja też mam wydatki. Słyszysz, żebym się skarżyła? Mercer to jak dotąd nasz największy sukces. Musimy w niego zainwestować, a to oznacza gotówkę. Oboje mamy swoje źródła. Jeśli będzie trzeba, możemy wciągnąć w to jeszcze parę osób. Mówimy o miliardach dolarów zysku, jeżeli nam się uda. Warto chyba trochę zaryzykować.

– Cała ta sprawa wymyka się spod kontroli – poskarżył się Hyde.

– Wcale nie. Wciąż nad nią panujemy. Nie możemy tylko o tym zapomnieć, to wszystko.

– Nie wiem...

– Czego nie wiesz? – warknęła. – Mamy dokonać wielkiego odkrycia, które wprowadzi mój kraj w XXI wiek i da pracę tysiącom ludzi. Oboje dostaniemy to, czego chcemy, jeśli nie stracimy perspektywy. Zdobędziemy pieniądze, Bill. Musimy.

– Masz rację. – Hyde powoli pokiwał głową. – Po prostu nie podoba mi się, że Philip Mercer nagle uznał, iż to on tu rządzi.

– Ale przecież dlatego nam na nim zależało. Tak jak powiedział, dostaje to, czego chce. Od nas zależy, żeby przebiegło to gładko.

– Przerażasz mnie, Selome – powiedział nagle Hyde, patrząc jej prosto w oczy i dostrzegając osobę, która kryje się za tą piękną twarzą.

– To dobrze.

Schwytła Hyde'a między jego chciwością a strachem przed ujawnieniem prawdy. Dla niej był kimś bez znaczenia, narzędziem, ale dobrze było wiedzieć, jak łatwo go zdominować. Wiedziała, że to niemożliwe, ale chciała zobaczyć, co będzie, kiedy żona Hyde'a odkryje, że z winy męża stracili dom. Chciwy wieprz dostałby wtedy, na co zasługuje.

Paul Gordon prowadził, reflektory jego starego plymoutha rozcinały noc. Mercer siedział obok niego, pocąc się obficie w dwóch grubych swetrach i skórzanej kurtce, z ochraniaczami dla deskorolkowców na kolanach. Poglądził trzymany w rękach motocyklowy kask. Razem z ochraniaczami pożyczzył go od syna sąsiada.

– Jeszcze jakiś kilometr. – Paul zerknął na Mercera. – Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

Na opustoszałym odcinku drogi głęboko w sercu Wirginii łatwo było dostrzec światła samochodu, który jechał za nimi od Arlington.

– Tak, Mały, jestem pewien. To jedyny sposób.

– Powiem coś ładnego na twoim pogrzebie – powiedział dżokej, ledwo wystający nad kierownicę. – Zbliżamy się.

Mercer założył kask i zapiął go ciasno pod brodą. Droga przed nimi ostro zakręcała, wzdłuż niej biegł biały, drewniany płot okalający jedną z licznych farm hrabstwa Farquar. Mercer wiedział, że tuż za zakrętem przy samej drodze rośnie kępa sosen.

Mały skręcił i zaciągnął ręczny hamulec, żeby nie zdradzać się błyskiem światła stopu. Mercer nie zdążył nawet nabrać powietrza. Otworzył drzwi samochodu i pozwolił, by siła odśrodkowa

wyciągnęła go na zewnątrz. Upadł ciężko na asfalt i potoczył się zwinięty w kłębek. Zniknął w ciemnościach, a Mały przyspieszył, odjeżdżając, zanim jeszcze Mercer się zatrzymał. Na wytartej kurtce pojawiły się nowe zadrapania, od pierwszego uderzenia o asfalt Mercera bolał bark. Wpełził w zarośla, chowając się, zanim minął go drugi samochód. Mignęło mu w nim dwóch mężczyzn o ciemnej karnacji.

Zerknął na podświetlany zegarek i zobaczył, że musi zaczekać tylko parę minut. Stojąc na skraju drogi, masował obolałe ramię. Księżyc wisiał nisko nad horyzontem, skryty za przewalającymi się chmurami, a nocne owady cykały i brzęczały uspokajająco.

Pięć minut później Mercer zobaczył, że zbliżają się kolejne światła. Wycofał się w krzaki. Samochód zatrzymał się niecałe dwadzieścia kroków od miejsca, w którym stał.

– Chodź już, nie będę tu stał całą noc. Fay i tak jest wystarczająco wkurzona, że w ogóle tu jestem. – Dick Henna siedział za kierownicą jasnoniebieskiego forda taurusa swojej żony, poobijanego w waszyngtońskich godzinach szczytu. – Przez ostatnich kilka dni byłem w Nowym Jorku, a jutro lecę do Los Angeles. Obiecałem jej, że przynajmniej dzisiaj posiedzę w domu.

Mercer wybiegł z ciemności i wskoczył na miejsce pasażera. Henna cofnął i zawrócił w stronę stolicy.

– Masz szczęście, że ona cię lubi, inaczej nie bawiłbym się tu w płaszcz i szpadę w środku nocy. Chciała porozmawiać o kupnie nowego psa, corgi, wyobraź sobie, i nie była zadowolona, kiedy zadzwoniłeś. To coś ważnego, mam nadzieję?

– Harry został porwany – powiedział Mercer po prostu.

– Jezu, Mercer, dlaczego nie powiedziałeś mi przez telefon?
– Henna niebezpiecznie szybko wszedł w zakręt. – Co się stało?

Dick Henna nie miał imponującej postury – wzrostu nieco poniżej przeciętnej, z okrągłym brzuszkiem i obwisłymi policzkami. Chociaż wspiął się na najwyższe stanowisko w FBI, nie zapomniał, jak to było być agentem terenowym. Pracował na ulicach przez trzydzieści lat, zanim mianowano go szefem Biura. Umysł miał bystry, a instynkt bardziej wyostrzony niż ktokolwiek, kogo Mercer znał. To zalecenia Henny podczas kryzysu na Hawajach pozwoliły mu przerwać tajną operację o kryptonimie Kuźnia Wulkana. Od tamtej pory byli przyjaciółmi.

Mercer zrelacjonował mu całą historię – pospiesznie, bo po raz pierwszy mógł powiedzieć komuś o przeżytej grozie. Małemu przedstawił suche fakty, ale Dickowi opowiedział o swoim poczuciu winy.

– Marge Doyle wspominała, że pytałeś o Prescottta Hyde’a – przypomniał sobie Henna, kiedy Mercer skończył. – Już teraz mogę ci powiedzieć, że jego dni są policzone. Departament Sprawiedliwości ma na niego teczkę grubą na dziesięć centymetrów. Nie skazą go, ale na pewno wyleci z Departamentu Stanu.

– Sprawdź to, ale nie sądzę, żeby to Hyde stał za porwaniem Harry’ego.

– Chryste, Mercer! Oczywiście, że nie. – Hennę przeraziło to, jak łatwo jego przyjacielowi przyszło rzucenie podejrzenia na podsekretarza stanu. – Może to nieciekawy typ, ale nie jest brutalnym przestępcą.

W głosie Mercera słyhać było z trudem powściągane emocje.

– Mówię o porwaniu mojego najlepszego przyjaciela, zupełnie niewinnego człowieka, więc w tej chwili podejrzewam wszystko i wszystkich. Muszę wierzyć, że ma to związek z kobietą nazwiskiem Selome Nagast. Skłamała mi przynajmniej raz, twierdząc, że współpracuje z erytrejską ambasadą, podczas gdy tak nie jest. Ona i Hyde pracują razem.

– To Erytrejka?

– Erytrejka albo Etiopka. Prawie metr osiemdziesiąt, świetna figura i twarz, która powinna być na okładkach magazynów o modzie. Chciałbym, żebyś ją sprawdził. Jeśli nie pracuje dla Erytrejczyków, to dla kogo?

– A jeśli to ślepy zaułek?

– Nie wiem – przyznał Mercer. – Nie mam podejrzanego B.

– Z samego rana wyślę ekipę do mieszkania Harry'ego na wypadek, gdyby porywacze zostawili jakieś ślady.

– Nie rób tego. Z nagrania jasno wynikało, że jeśli pójde na policję, natychmiast go zabiją. Na pewno obserwują jego mieszkanie.

Na nagraniu było coś jeszcze, co nie dawało Mercerowi spokoju, coś, co powiedział Harry albo porywacze i co nie miało sensu, ale nie potrafił sobie tego przypomnieć.

– Myślę, że wiemy, co robimy.

Mercer podał Hennie kasetę. Skopiował ją dla siebie, ale uznał, że FBI bardziej przyda się oryginał.

– To ta. Na pewno zniszczyłem różne ważne ślady.

– Nic się nie bój, dzisiejsza technika potrafi cuda.

– Posłuchaj, Dick, to ja jestem odpowiedzialny za to, co stało się z Harrym. On jest tylko narzędziem, żeby dotrzeć do mnie, a ja, obawiam się, wykorzystuję cię, żeby go uratować. Nigdy nie starałem się wykorzystywać naszej przyjaźni, aż do dziś. Ale każdego dnia, kiedy Harry jest w niewoli, czuję się, jakbym go zawiódł. Możesz to zrozumieć?

– Tak, mogę. Kiedy byłem agentem terenowym, prowadziłem wiele spraw bardziej osobistych, niż powinienem, zresztą ja też znam Harry’ego, nie zapominaj. Uruchomię naszą Drużynę A. – Henna ścisnął Mercera za przedramię. – A ty co zrobisz?

– Dzwoniłem do Chucka Lowry’ego. Pamiętasz go? Był archiwistą komputerowym w Służbie Geologicznej. – Henna pokiwał głową. – Poprosiłem go, żeby włamał się do systemu rezerwacji lotniczych. Jeśli porywacze Harry’ego to cudzoziemcy, będą chcieli wydostać się z kraju, ale nie mają czasu na wcześniejszą rezerwację. Chuck sprawdza bilety kupione od wczoraj na lot z Waszyngtonu na jutro lub pojutrze. To w najlepszym wypadku zgadywanka, ale zawsze to coś.

Mercer był kilka razy świadkiem, jak Dick sam naginał przepisy prawa, więc nie przejął się jego karcącym spojrzeniem.

– A ja lecę do Erytrei szukać tego komina.

– W takich sytuacjach radzimy ludziom nie spełniać żądań – powiedział cicho Henna, oczekując, że Mercer wybuchnie.

– Takie sytuacje – odparł Mercer z naciskiem – zazwyczaj nie dotyczą osiemdziesięcioletnich ofiar i nigdy nie dotyczą mnie.

Henna wjechał na stację benzynową na chwilę przed tym, jak pojawił się plymouth Małego. Dyrektor FBI obiecał Mercerowi,

że zadzwoni następnego wieczoru do Małego z informacjami. Mercer przebiegł chyłkiem z jego samochodu do wozu Paula Gordona, zanim zjawił się ogon. Mały wlał kilkanaście litrów do baku, zapłacił kartą przy dystrybutorze i szybko odjechali.

– Jakież problemy? – spytał Mercer, kiedy pędzili z powrotem do Arlington.

– Nie zbliżyli się na tyle, żeby zobaczyć, że jestem sam.

– Świetnie. – Mercer odetchnął z ulgą. – Dzięki, Paul. Mam u ciebie wielki dług.

– Gdyby chodziło o kogoś innego niż Harry, nie zgodziłbym się. Ale dla niego, nie ma sprawy. – Mały nie odrywał wzroku od drogi. – Henna pomoże?

– Tak, wszedł w to. Jutro przetrzepią mieszkanie Harry’ego. Zadzwoni do ciebie do baru i powie, czy coś znaleźli.

– Nadal zamierzasz lecieć do Afryki, prawda?

– Nie chcę ryzykować, więc tak, lecę.

KLASZTOR DEBRĘ AMLAK, PÓŁNOCNA ERYTREA

roranne modły dawno się skończyły, ale do wschodu słońca pozostała godzina. Tłusty księżyc świecił w trzeciej kwadrze, wystarczająco jasno, by stłumić blask Wenus, gwiazdy porannej. Kwiecień był porą deszczową, ale nad niziny ulewy jeszcze nie nadeszły. Pustynia ciągnąca się w głąb Afryki nie widziała jeszcze ani kropli deszczu. Powietrze było jednak chłodne od wilgoci, zmuszając dwunastu mnichów i ich opata, zamieszkujących starożytny klasztor, do włożenia ciężkich wełnianych płaszczy. Z gołymi nogami i stopami w skórzanych sandałach dygotali w świetle przedświt, przygotowując się przy długim stole w sali jadalnej do zakończenia postu.

Usytuowany pod ostrym jak brzytwa łańcuchem gór rozpoławiających pustynię i osłaniających od najgorszych letnich upałów, klasztor wznosił się nad otaczającą go płaską krainą, jakby jego budowniczkowie myśleli raczej o korzystnym położeniu w razie konieczności obrony, a nie o odosobnieniu jego mieszkańców. Zbudowane w XII wieku jako przyczółek chrześcijaństwa i rozbudowane w wieku XVII opactwo działało nieprzerwanie aż do drugiej połowy XX wieku, kiedy zaciekle walki między erytrejskimi siłami wyzwoleniczymi a etiopskim okupantem zmusiły braci do przeniesienia się do innego klasztoru. Mimo polityki spalonej ziemi stosowanej przez Etiopczyków pod koniec konfliktu, kiedy mnisi wrócili, zastali opactwo nietknięte,

nie licząc kilku dziur po przypadkowych kulach w kamiennej fasadzie.

Siedzieli teraz przy prostym, drewnianym stole, zrobionym pięćset lat temu przez innego bezimiennego zakonnika, na krzesłach dodawanych przez wieki i zbijanych innymi rękami, czasem umiejętnie, czasem nie. Punktem honoru było dla nich wybrać najbardziej niewygodne i źle skonstruowane – ta odrobina dodatkowej niewygody świadczyła o głębi ich wiary.

Ich posiłek był prosty – gąbczaste podplomyki, rozrywane na kawałki palcami i maczane w szarozielonej polewce z grochu, soczewicy i papryki. Wszyscy pili czarną kawę, zaparzoną z ziaren wyhodowanych na terenie opactwa.

Śniadanie było jedyną porą, kiedy mnisi pozwalali sobie na swobodną rozmowę. Poza tym ograniczali się do modlitw i śpiewów. Choć niezupełnie nieformalne, poranne spotkania odbywały się w luźnej atmosferze niekoja-rzonej zazwyczaj z ludźmi, którzy wybrali wyrzeczenia klasztornej życia. Trzej nowicjusze mieli po kilkanaście lat, byli też mnisi dobiegający setki. Opat jednak nie był najstarszy z nich, jak nakazywał zwyczaj.

Kiedy klasztor opuszczono w 1983 roku, ówczesny opat przysiągł, że nigdy tu nie wróci, czując wstyd, że dopuścił do tego, aby mnisi się wynieśli, choć mieszkali tu od wieków. Umarł na wygnaniu, a wielu starszych braci odmówiło powrotu, by uczcić swojego przyjaciela. Ci, którzy wrócili, jasno dali do zrozumienia, że nie wezmą na siebie brzemienia kierowania klasztorem z szacunku dla zmarłego opata. Obowiązek ten przypadł więc

młodszemu bratu, Etiopczykowi z urodzenia, mieszkającemu w klasztorze od nowicjatu.

Nieznający swojego wieku, ale domyślający się, że ma około sześćdziesięciu lat, brat Efraim (używał tego imienia tak długo, że prawie nie pamiętał, jak nazwali go rodzice) siedział u szczytu stołu na najstarszym, najbardziej rozpadającym się krześle. Cynowy talerz przed nim został wytarty do czysta resztkami chleba. Jego okruchy zaplątały się w prawie całkiem już siwą brodę opata.

– Czy nasz mały przyjaciel wrócił w nocy niepokoić kury? – spytał brat Efraim, swobodnie postugując się łaciną. – Słyszałem jakieś hałasy godzinę po mszy o północy. Pomyślałem, że to może wrócił nasz szakal.

– Niestety nie, bracie. Nie wrócił, i obawiam się, że już nie wróci – odparł smutno jeden z mnichów, bo w tej martwej krainie nawet samotny padlinożerca był symbolem odnawiającego się życia. – Widziałem wczoraj w dolinie jego truchło. Ktoś go zastrzelił.

– Bóg chce przywrócić to, co człowiek wydarł ziemi wojną, a my wciąż mu się sprzeciwiamy. Lękam się dnia, kiedy przestanie uzupełniać to, co zużywamy.

Brat Efraim smutno pokręcił głową.

– Ten dzień jest bliższy, niż myślicie – mruknął najstarszy z mnichów mieszkający w klasztorze od blisko dziewięćdziesięciu lat. – Nadchodzi dzień sądu.

– Tak, bracie Dawicie. Jego dzień zadośćuczynienia zawsze jest bliski – zgodził się cierpliwie Efraim, bo starzec stracił i

rozum, i wzrok. Ciało Dawita było cienkie jak papier, a skóra tak przezroczysta, że nawet w blasku świecy przeświecały przez nią kości. W ostatnich tygodniach niepokojąco podupadł na zdrowiu, a w jego myślach zapanował chaos.

– Nie Jego, bracie, lecz tego drugiego – zakrzakał Dawit.
– Zanim staniemy na Bożym sądzie, będziemy przesłuchani przez ludzi, a nasze odpowiedzi bardzo ich urażą. Podniosą broń przeciwko nam i innym, którzy im się sprzeciwią. Wiedzą o sekrecie, który miał pozostać sekretem na zawsze. Grzechy naszych ojców zostaną ujawnione.

Zapadła cisza. Efraim już chciał uspokoić starego mnicha, ale Dawit wyprostował się na krześle, wytrzeszczając mleczone, niewidzące oczy.

– Moi bracia, nadszedł czas, abyśmy pogodzili się z hańbą odległej przeszłości. Śmierć dzieci zostanie ujawniona. Zło, sprowadzone na ziemię z samego piekła, znów będzie zabijać. Wielu zginie, by wielu innych zostało ocalonych. Ty nic o tym nie wiesz, bracie Efraimie, bo nasz łańcuch został przerwany i twój poprzednik nie przekazał ci tajemnicy. Ale w tych murach kryją się prawdy, które popchnęłyby naród przeciwko narodowi, gdyby je zdradzono. Sądz mądrze, bracie. Los walki Pana z szatanem spoczywa na twoich barkach. Jak myślisz, czemu żaden z nas nie pragnął zająć twojego miejsca, kiedy tu wróciliśmy?

Dawit wyciągał chudą szyję, a jego niewidzące oczy spoglądały na starszych członków zgromadzenia, którzy tak samo jak on odmówili przyjęcia funkcji opata.

– Nie zrobiliśmy tego, by uczyć poprzedniego opata. Wszyscy go nienawidziliśmy, choć żaden z nas by się do tego nie przyznał. To, co wiedział, uczyniło z niego nienawistnego, zgorzkniałego człowieka, bardziej zajętego sprawami doczesnego świata niż rozważaniami o miejscu człowieka w niebie. Taka była natura jego stanowiska, twojego stanowiska, młody bracie.

Efraim zbladł mimo ciemnej karnacji. Był oszołomiony tym, że Dawit mówi tak logicznie, choć nie rozumiał znaczenia jego słów.

– A co to za prawdy, bracie? Kto nas będzie przepytował?

Dawit trzął się z wysiłku, jego krucha pierś falowała pod ciemnym płaszczem. Wysilek, jaki musiał podjąć, by mówić, wydawał się jeszcze bardziej go postarzać.

– Nie wiem. Nie chcę wiedzieć, a gdybyś ty miał wybór, też byś nie chciał. Ale stanie się Boża wola, i to od Niego zależy, jaka ona będzie.

Później tego dnia, kiedy słońce minęło zenit, brat Efraim poszedł na spacer. Żar lał się z nieba, ale on wciąż miał na sobie wełniany płaszcz. Okolice, po których wędrował, były niebezpieczne. Po wojnie saperzy sponsorowani <si przez ONZ pieczołowicie wydobyli setki min rozmieszczonych w pobliżu klasztoru i na polach, na których mnisi wypasali kozy. Oczyszczono blisko trzydzieści kilometrów kwadratowych, ale za małymi czerwonymi znacznikami ziemia pełna była małych bomb wielkości puszki. Efraim przekroczył granicę, ale był zbyt głęboko zamyślony, by zwrócić na to uwagę.

Przez całe życie był oddany Kościołowi i w przeciwieństwie do innych, którzy poszli za głosem powołania, jego wiara nigdy się nie zachwiała. Ale kiedy szedł przez pustynię, czuł na plecach dreszcz przesądu. Chciał zlekceważyć majaczenia Dawita, ale nie mógł. Tyrada starca wstrząsnęła nim, lecz nie do sedna jego wiary, ale przynajmniej do głębi jego człowieczeństwa, bo to, co tamten powiedział, brzmiało bardziej jak dzieło człowieka niż Boga.

Role mnichów mieszkających w klasztorach nie było głoszenie słowa bożego ani werbowanie nowych członków. Jedynym zajęciem zakonnika była modlitwa i kontemplacja ku zbawieniu innych. Było to najtrudniejsze z powołań, bo nigdy nie miało się pewności – a zwłaszcza nie miał jej proboszcz obserwujący rozkwit swojej kongregacji – czy poświęcenie daje jakieś efekty. Dlatego właśnie Efraim bardzo rzadko kontaktował się ze światem poza doliną. Słowa Dawita zburzyły jego spokój. Był przygotowany na odpieranie ataków na wiarę, ale nie umiał radzić sobie z kwestiami międzyludzkimi. Ten świat był dla niego tak samo obcy jak klasztor dla tych, którzy żyli poza jego murami.

Musiał zrobić dwie rzeczy, które pomogłyby mu umieścić w jakimś kontekście to, co powiedział Dawit. Nie wątpił, że starzec wie coś, czego nie chce wyjawić, więc Efraim uznał, że musi się przygotować. Pierwszej rzeczy, zakazanej przyjemności, której nauczył się w klasztorze w Etiopii, wyczekiwał bardziej, niż skłonny był się przyznać. Druga była śmiertelnym grzechem – złamaniem tajemnicy spowiedzi.

Nagle zawrócił w miejscu tak, że jego długi płaszcz owinął mu się wokół nóg, i stanowczym krokiem ruszył do opactwa.

W urwisku pod klasztorem była głęboka jaskinia, z wlotem ukrytym przez fałdę skalną, tworząc naturalny piaskowcowy parawan. Dawno temu używali jej jako schronienia pasterze zagubieni na pustyni i ludzie pierwotni, którzy pozostawili na ścianach rysunki opowiadające o ich łowach. Zanim uczynił z niej swoje sanktuarium, Efraim obserwował ją przez wiele miesięcy, żeby się upewnić, czy nie zakłóci samotności któregoś z pozostałych mnichów. Nie wiedział, ilu jego współbraci w minionych wiekach uciekało do tej jaskini, by odpocząć od klasztornej życia.

Ponieważ miał w planie długi spacer, zabrał butelkę z wodą oraz suszone warzywa i trochę solonej baraniny. Kiedy znalazł się w jaskini, położył jedzenie na starannie zamiecionej podłodze, obok innych butelek przyniesionych podczas poprzednich wizyt i zostawionych na wypadek, gdyby przyszedł tu nieprzygotowany. Z zaskoczeniem stwierdził, że zbierał całkiem spory zapas; przyszło mu do głowy, że może pora wynieść je na pustynię dla małych nocnych zwierząt i bystrookich sępów.

Światło w jaskini było słabe i niewystarczające dla jego celów, a on znów zapomniał przynieść świecę. Kiedy usiadł pod gładką ścianą, czując przez płaszcz chłód kamienia, zrozumiał, że częścią przyjemności jest późniejsze cierpienie, jakby pieczenie nadwerężonych oczu było jakąś formą pokuty. Serce zabiło mu mocniej, a żołądek zacisnął się, jak za każdym razem, gdy sięgał po jedną z książek. Księgi były stare, ich skórzane oprawy wytarte

przez niezliczone dłonie i zniszczone przez surowe warunki. Ich przeznaczeniem była biblioteka w Europie, nie afrykańska pustynia.

Ponieważ Etiopia i Erytrea – wtedy znane jako Abisynia – do 1940 roku były włoską kolonią, Efraim jako mały chłopiec nauczył się włoskiego, a chociaż nie miał okazji, by mówić, czytał w tym języku na tyle dobrze, by lektura sprawiała mu ogromną przyjemność i pozwalała zrozumieć życie poza klasztorem. Pięć tomów znalazł w przejściowym domu w Etiopii. Wybierając jeden z nich na chybił trafił, zaczął z mozołem czytać. Proroczo trafił na ustęp z Otella, scenę, w której Maur zdaje sobie sprawę, że został zdradzony przez swojego przyjaciela Kasja. Uwielbienie sztuk i sonetów Szekspira było naj-pilniej strzeżonym sekretem brata Efraima i jego jedynym narzędziem rozumienia świata poza klasztorem.

Dopiero po kilku godzinach lektury zamierzał zabrać się do drugiego zadania, to zaś miało mu uświadomić, że życie stało się jeszcze bardziej skomplikowane, niż nawet Szekspir mógł sobie wyobrazić.

ARLINGTON, VIRGINIA

A

Przy sprzyjających okolicznościach Mercer potrzebował co najmniej dwóch miesięcy, żeby zorganizować taką ekspedycję, jaką teraz planował, ale dał sobie jeszcze zaledwie trzy dni. Nawet przy pełnej współpracy Erytrei, której, jak podejrzewał, Selome Nagast nie może zapewnić, wylądowałby w Afryce kiepsko wyposażony, niedofinansowany i pozbawiony ważnych informacji.

Zaangażował się w to przedsięwzięcie bez pewności, czy jego niejasne przeczucia są słuszne. Zadanie było onieśmielające nawet dla niego, ale za każdym razem, gdy czuł, że jego determinacja słabnie, myślał o swojej odpowiedzialności za Harry'ego i na jakiś czas strząsał z siebie zmęczenie. Jego przyjaciela nie było już od ponad dwudziestu czterech godzin. Mercer czuł narastającą frustrację. Pracował najszybciej jak mógł, ale wciąż miał wrażenie, że nie robi wystarczająco dużo.

Od wczesnego ranka jego faks bezustannie brzęczał, tak samo jak podłączona do komputera drukarka. Oba urządzenia wypływały ryzy tekstów o geologii Rogu Afryki, zebrane dla Mercera przez jego kontakty w kraju i na świecie. Pomiedzy kolejnymi telefonami udało mu się pobieżnie przejrzeć zebrane materiały. Chociaż jego wiedza o geologii Afryki była ogromna, nie wiedział wystarczająco dużo o Erytrei, jej formacjach geologicznych i historii. Nie znalazł jeszcze najmniejszej sugestii, gdzie szukać komina kim-berlitowego.

Jego biurko było zawałone pięciocentymetrową warstwą papierów, miejscami ułożonych w pliki, miejscami bezładnie rozrzuconych. Gdzieś w tym bałaganie stały talerze po śniadaniu i obiedzie. Mercer nie spał od powrotu z nocnego spotkania z Dickiem Henną, a chociaż kolejne wypijane kawy trzymały go na nogach, wściekły ból głowy sprawiał, że cała czaszka wydawała się pulsować. Faksy przestały na chwilę przychodzić, sięgnął więc po telefon. Numer Prescottta Hyde'a znał już na pamięć.

– Tak, doktorze Mercer, o co chodzi tym razem? – Hyde miał tak samo dość odbierania telefonów, jak Mercer dzwonienia.

– Bill, będę prawdopodobnie potrzebował pozwolenia na wysadzanie skał w Erytrei. Przesyłam faksem kopie moich licencji z USA, Kanady, RPA, Namibii i Australii. Powinny zrobić wystarczające wrażenie na tym, kto wystawia je w Asmarze, więc nie będę musiał zdawać testów na miejscu.

– Czy takimi rzeczami nie powinna się zająć Selome? Ma pan jej numer komórki.

– Cały dzień nie odbiera, więc zadanie spada na pana – wyjaśnił Mercer. Ponieważ Selome nie była powiązana z erytrejską ambasadą, a Mercer nie wiedział, czy nie ma jakiegoś związku z porwaniem, nie chciał zdradzać swoich obaw w stosunku do niej. Podejrzał, że jej współpraca z Hyde'em sięga bardzo głęboko. – Skoro o tym mowa, ładunki, które zamówiłem, potrzebują certyfikatu docelowego użytkownika, zanim będzie można je wysłać. Musi pan to załatwić. Chcę także mieć trochę elastycznych worków na paliwo, żeby móc tankować na miejscu. Mogę je zamówić u cywilnego producenta, ale wojskowe są mocniejsze.

– Dlaczego nie możemy użyć cystern?

– Kiedy zaczniemy działać, nie będę mógł pozwolić, by cysterny stały bezczynnie. Będą jeździć na okrągło i przywozić ropę. Nawet pan sobie nie wyobraża, ile litrów na godzinę spalają niektóre z tych maszyn.

– Dobrze, coś jeszcze?

– Tak. Mam na biurku fakturę na dwa miliony siedemset tysięcy dolarów, płatność w ciągu trzydziestu dni, za wynajem ciężkiego sprzętu. Moje słowo wystarczyło, żeby to wszystko zostało wysłane, ale kładę na szali moją reputację i muszę mieć pewność, że ktoś za to zapłaci.

– Niech się pan nie martwi o pieniądze – powiedział Hyde.

– Selome i ja się tym zajęliśmy. Proszę przefaksować fakturę do mojego biura i zapomnieć o sprawie.

Mercerowi nie podobał się śliski ton Hyde'a, ale dał sobie spokój.

– W porządku. Jak wam idzie z resztą moich próśb?

– Doskonale. Rozmawiałem dziś rano z Selome, powiedziała, że lekki sprzęt, który pan zamawiał, czeka na pana w Asmarze. Jest ładowany na ciężarówkę, żeby przewieźć go bliżej rejonu docelowego. Selome znalazła tam człowieka, który ma doświadczenie w wydobywaniu, no, właściwie w pracy w kamieniołomach. Nazywa się Habte Makkonen. Będzie pana przewodnikiem na miejscu.

– Ma pan numer, pod którym mogę go złapać? Hyde parsknął śmiechem.

– Gdyby pan wiedział, jak fatalnie działają tam telefony, nie pytałby pan.

– Dobrze. Porozmawiamy później.

Mercer rozłączył się i dodał do długiej listy potrzebnego sprzętu dwa telefony satelitarne Iridium.

Musiał iść do kantorka Małego, żeby odebrać telefon od Henny. Zabrał ze sobą plik papierów. Nie znosił tak marnować czasu, ale nie mógł ryzykować, że jego telefon albo gabinet są na podsłuchu, nie mógł też sobie pozwolić, że przegapi telefon. Był już przy drzwiach, kiedy znów rozległ się dzwonek. Mercer popędził do kuchni i złapał słuchawkę wiszącą na ścianie.

– Gdzie jesteś? – spytał Chuck Lowry. Znał się na komputerach lepiej niż wszyscy inni przyjaciele Mercera.

Większa część jego działalności była legalna – tworzył systemy ochrony danych i badał oszustwa elektroniczne, ale trzymał rękę na pulsie nielegalnej strony Internetu. Mercer podejrzewał, że Lowry wciąż uwielbia półświatek ery elektronicznej, którą sam współtworzył. Był trochę dziwakiem, rozmyślnie udającym ekscentrycznego komputerowca, i zbił majątek na usuwaniu z komputerów problemu roku 2000.

– W domu. A gdzie miałbym być, do cholery? – warknął Mercer, zbyt zmęczony, by pamiętać, że sam prosił Lowry'ego o pomoc.

– Przestań, nie wiedziałem, czy mam numer domowy czy komórki. Nieważne. Jedź na lotnisko Dullesa. Zadzwoń do ciebie do samochodu za dwie minuty. – W głosie Chucka słychać było zniecierpliwienie. – Znalazłem ci Harry'ego.

Mercer rzucił słuchawkę na widełki, cisnął papiery na podłogę i wypadł z domu. Jego jaguar stał zaparkowany na ulicy, tak jak go zawsze zostawiał. Bezkluczykowy system jeszcze nie skończył piszczeć, kiedy Mercer już wskakiwał do środka. Opony Pirelli zostawiły na asfalcie dwa długie, tłuste ślady, czuć było smród spalonej gumy.

Mercer pędził autostradą sto trzydzieści na godzinę, przeskakując pomiędzy samochodami, kiedy zadzwonił jego telefon. Mając zajęte obie ręce, włączył głośnik.

– Co tam masz, Chuck?

– Może być już za późno – rozległ się w jaguarze ostry głos Lowry’ego.

– Mów.

Mercer wyminął szybkim ruchem kierownicy minivana prowadzonego przez przerażoną matkę, wiozącą czwórkę równie spłoszonych dzieci. Dobijał już do stu czterdziestu, napięcie w głosie Lowry’ego sprawiało, że mocniej wcisnął pedał gazu.

– Wczoraj wieczorem i dzisiaj rano przejrzałem bazy danych wszystkich większych linii lotniczych, szukając nowych rezerwacji na krajowym Reagana, Dullesa i BWI. Porywacze najpewniej podaliby Harry’emu jakieś środki, żeby go uciszyć. Nie mogą sobie pozwolić, żeby stary wrzeszczał coś na pokładzie międzynarodowego lotu, prawda? Pomyślałem więc, że mogli poprosić o specjalną pomoc. Musiałem włamać się do rządowego systemu komputerowego, żeby użyć do szukania ich mocy obliczeniowej, ale nic tam nie było.

– Szybciej, Chuck, mów, co masz! – Frustracja Mercera znalazła ujście.

– Zacząłem się zastanawiać... A loty czarterowe? Zabrałem się do nich parę minut temu i od razu trafiłem. Gulfstream IV z Dullesa został wczoraj wyczarterowany do startu za... – Lowry zawiesił głos – ..osiemnaście minut, według planu lotu.

– Dlaczego podejrzewasz akurat ten czarter? – Mercer czuł wzbierające podniecenie.

– Kod biletowy miał oznaczenie WCHC, czyli prośbę o przewiezienie wózkiem inwalidzkim do samolotu. Jeśli naszprycowali czymś osiemdziesięciolatka, Harry raczej nie wbiegnie po schodkach, stepując. Na Dullesa powiedzieli mi, że pięcioro pasażerów czeka na wejście do samolotu, a starzec na wózku od chwili ich przybycia nawet nie pisnął.

Bingo!

Mercer wdepnął gaz do dechy, a wskazówka prędkościomierza minęła sto sześćdziesiąt tak płynnie, jak tylko konstruktor silnika mógł to zapewnić. Smukły jak drapieżny kot samochód przecinał popołudniowy ruch z elegancką swobodą. Mercer zręcznie wyprzedzał auta z lewej i prawej, w razie potrzeby wskakując ryzykownie na pas awaryjny.

Wreszcie. Dawka adrenaliny, jego ulubiony narkotyk. Harry powiedział, że pustka w życiu Mercera to samotność, a on się zgodził, że sporo w tym prawdy. Ale Mercerowi brakowało także ryzyka. Uzależnił się od niego na Alasce i łaknął poczucia, że jest żywy, które to ryzyko dawało. Wąskie odstępy między samochodami były jak rozpadliny, ledwie zauważył stłuczkę za

sobą, spowodowaną zbyt agresywnym manewrem. Oburzone trąbienie wyprzedzanych kierowców brzmiało jak chór.

– Dzięki, mam u ciebie dług. Odezwę się później.

„Przez ostatnich kilka dni byłem w Nowym Jorku, a jutro lecę do Los Angeles”. Mercer mógł się tylko modlić, by Henna jeszcze nie wyleciał. Wybrał numer j ego komórki.

– Halo.

– Dick, tu Mercer. Znalazłem Harry’ego White’a. Jest w terminalu General Aviation na Dullesa.

– Jasna cholera! Właśnie jadę na Dullesa.

– Gdzie dokładnie jesteś? – Mercer modlił się, żeby Henna nie wychodził dopiero z biura w śródmieściu.

– Dziesięć sekund temu minęliśmy pierwszą bramkę na wjeździe do lotniska.

– Dzięki bogu. Ilu jest z tobą agentów? – Zwolnił lekko przed zjazdem na lotnisko.

– Ja, Marge Doyle i dwóch innych. – Henna zrozumiał, o co Mercer naprawdę pyta. – Tamci dwaj są uzbrojeni. Zaczekaj, Marge też.

Na szczęście dla Mercera ruch w stronę lotniska był niewielki i przy pierwszych bramkach udało mu się wjechać w wolny przejazd. Drogę blokował szlaban. Każdy, kto tędy jeździł, marzył o takiej chwili, ale Mercerowi nie sprawiła ona przyjemności. Przyspieszył i uderzył w szlaban środkiem maski. Zapora odleciała na bok jak okaleczony ptak.

Mercer nie zwracał uwagi na chaos za sobą, wiedząc, że minie dłuższa chwila, zanim radiowóz – o ile taki tam stał – ruszy za

nim w pościg. On będzie wtedy trzy kilometry dalej. Zobaczył przed sobą białego sedana na rządowych tablicach.

– Dick, jedziecie białą crown victoria?

– Skąd wiesz?

– Spójrz w lewo. Czarny jaguar Mercera śmignął obok crown victorii, jakby stała zaparko- ana. Jechała sto dziesięć na godzinę.

– Chryste w niebiesiech! Czyś ty oszalał?! – wrzasnął Henna do telefonu. Mercer zerknął w lusterko. Z satysfakcją zauważył, że kierowca FBI od- ażnie próbuje dotrzymać mu kroku. Z przodu zbliżała się następna bramka tak szybko, że Mercer miał wrażenie, iż patrzy przez zoom w aparacie fo- ograficznym.

Po ostrzeżeniu pracowników pierwszej bramki ludzie przy tej bramce puścili wszystkie szlabany i wyszli na drogę, żeby zatrzymać jaguara. Mer- er miał zaledwie kilka sekund na podjęcie decyzji, ale nie mógł ryzykować, e któregoś z nich potraci. Zaklął i zaczął zwalniać.

– Z lewej! – krzyknął Henna, dostrzegając wolną drogę w tej samej chwili co Mercer.

Mercer zakręcił kierownicą, zarzucając niebezpiecznie tyłem samochodu, jego nogi tańczyły na pedałach. Wykonał perfekcyjny kontrolowany poślizg – samochód zrównał się z wolną bramką w chwili, gdy jego tylne koła odzyskały przyczepność. Droga na lotnisko była otwarta.

Główny terminal Dullesa, z kolumnami z cegły i betonu oraz przeszklonymi ścianami, kojarzył się Mercerowi z klatką piersiową jakiegoś olbrzymiego zwierzęcia bielejącą na plaży. Minał go, zarzucając tyłem samochodu, i kierując się znakami,

pojechał w kierunku niedawno zbudowanego budynku General Aviation. Przemknął przez labirynt zaparkowanych luksusowych aut, a potem prawie stanął na hamulcu, sunąc na zablokowanych kołach. Opony piszczały, zostawiając czarne ślady. Samochód zatrzymał się tuż przed przeszklonym wejściem. Crown victoria przybyła kilka sekund za nim.

Mercer wpadł do terminalu w tej samej chwili, gdy Henna wyskoczył z samochodu z dwoma agentami i krótką trzydziestkąósemką Marge Doyle w garści. Agenci mieli matowe pistolety, pasujące do ich morderczych min. Chociaż z powodu rozmiarów i wydatnego brzucha wydawało się, że Henna nie ma kondycji, był prawie tak samo szybki jak Mercer i w mgnieniu oka go dogonił.

Terminal był wygodnie urządzony, przypominał raczej hotelowy westybul niż lotniskową poczekalnię. Jego klientelę stanowili bogacze, których stać było na własny samolot albo wynajęcie maszyny. Za przeciwległą przeszkloną ścianą widać było rzędy learów, gulfstreamów, citationów i innych korporacyjnych modeli. Do wyjścia na płytę zmierzała grupa mężczyzn. Mercer natychmiast rozpoznał tył głowy Harry'ego White'a, kolebiącego się bezwładnie na wózku. Kobieta czekająca na samolot wrzasnęła, kiedy zobaczyła Hennę i pozostałych agentów wpadających do terminalu z bronią w rękę. Czterej mężczyźni przy wyjściu odwrócili się natychmiast, a kiedy zobaczyli pistolety, sięgnęli po broń.

Mercer odepchnął Hennę na bok, a potem rzucił się szczipakiem na dywan. Wszyscy porywacze mieli AKMS, zmoder-

nizowaną wersję starego radzieckiego AK-47 ze składaną kolbą. Broń ukryli pod długimi płaszczami.

Karabiny zaterkotały, a kierowca Henny dostał pół magazynka w pierś, prawie go rozerwało. Drugi oberwał w bark i udo. Od pierwszej salwy padło trzech przypadkowych cywilów. Ich trupy runęły tak blisko Mercera, że zobaczył na martwych twarzach zastygłą groźbę. W panice, jaka wybuchła, terroryści zgubili jego i Henne i rzucili się razem z Harrym do wyjścia, do czekającego odrzutowca.

Mercer bez namysłu zerwał się z podłogi, złapał wypuszczoną przez kierowcę berettę i ruszył w pościg. Porywacze będący już na zewnątrz otworzyli ogień do środka budynku. Kule uderzyły w panoramiczne okno, odłamki szkła posypały się jak wodospad. Mercer znów rzucił się na podłogę, wystawił pistolet nad parapet i zaczął strzelać, mając nadzieję rozproszyć terrorystów. Nie myślał o odrzutowcach na płycie lotniska, zatankowanych do pełna i wartych miliony dolarów.

Albo trafił któregoś z porywaczy, albo schowali się przed ostrzałem, bo AK umilkły. Mercer zaryzykował wystawienie głowy nad parapet, miażdżąc kolanami odłamki szkła. Uciekający wspinali się na schodki gulfstreama, wciągając Harry'ego do środka, a jeden z nich obserwował terminal. Zauważył Mercera i podniósł karabin, ale Mercer schował się, zanim tamten zdążył strzelić.

Poczuł, że strach ustępuje miejsca niezmiernie wściekłości. Policzył w myślach wystrzelone pociski i doszedł do wniosku, że został mu tylko jeden. Samolot był za daleko, by mieć nadzieję

na celny strzał, a nawet gdyby był bliżej, Mercer nie mógł ryzykować, że trafi Harry'ego.

Na płycie wycie silnika wyczarterowanego odrzutowca terrorystów przeszło w rozdzierający uszy ryk. Mercer wątpił, by pilot należał do gangu porywaczy. Wyobraził sobie pistolet przystawiony do jego głowy. Znowu wyjrzał i zobaczył, że samolot ruszył, drzwi miał otwarte, a jeden z terrorystów wychylał się z nich z karabinem wymierzonym w terminal.

Mercer wyskoczył z rozbitego okna i popędził przez betonowy plac. Niecelne kule sypiące się z uciekającego gulfstreama przeorały nawierzchnię. Słyszał w oddali zbliżające się wycie syren i tubalny głos Dicka Henny, każącego mu wracać, ale zignorował jedno i drugie.

Wyminął kilka samolotów i holownik porzucony przez przerażonego kierowcę. Gulfstream przyspieszał, ale na razie kołował z prędkością niewiele większą niż szybki trucht i Mercer przeskoczył w martwe pole strzelca. Kiedy zrównał się z ogonem, spowiła go ciemna chmura cuchnących spalin. Skręcił i wycelował w terrorystę. Wystrzelił ostatnią kulę z odległości zaledwie ośmiu metrów. Porywacz wypadł z samolotu, jego AK z grzechotem potoczył się po betonie. Strzał musiał zaalarmować terrorystów, bo gulfstream nagle przysiadł na tylnym podwoziu – pilot zwiększył moc, zostawiając Mercera z tyłu.

Mercer popędził w stronę terminalu i płyty, kierując się do gatesa learjeta, którego turbiny ogonowe już świstały na jałowym biegu.

Zamknął komorę beretty i kolbą załomotał do drzwi.

– Policja, otwierać!

Chwilę później właz się odsunął. Mercer rozpoznał dobrze ubranego Afroamerykanina, prezentera programu informacyjnego CNN. Chwycił go za koszulę, marynarkę i krawat i jednym płynnym ruchem wywalił na ziemię. W mgnieniu oka znalazł się w samolocie i zamknął za sobą właz.

Kabina leara była mała, wysoka na ledwie metr czterdzieści i tylko trochę szersza. Gdyby tym samolotem lecieli jacyś inni pasażerowie, Mercer dałby spokój, ale dziesięć foteli było pustych. Usłyszał pilotów z kokpitu.

– Wszystko w porządku, panie Jackson?! – zawołał jeden z nich. Mercer przysunął się do nich tak, żeby obaj zobaczyli pistolet w jego rękę. Wskazał nim gulfstreama oddalonego już o kilkaset metrów.

– Za tym samolotem – rzucił, nie mogąc nie zauważyć absurdalności tego polecenia.

Piloci od razu zrozumieli, że nie żartuje, i że kula kaliber 9 milimetrów z takiej odległości może narobić bardzo dużo szkód. Drugi pilot poprawił się w fotelu, a pierwszy zwiększył moc turbin.

– Tylko spokojnie – powiedział zduszonym głosem.

– Mną się nie przejmujcie. – Mercer miał wrażenie, że jego własny głos dobiega z oddali. – Nie zgubcie tylko tego gulfstreama.

Lear szybko zmniejszył dystans; od nadmiernej prędkości ścierały się opony. Właz gulfstreama wciąż był otwarty, a kiedy jeden z terrorystów pojawił się, żeby go zamknąć, zauważył

śledzący ich mały odrzutowiec. Mercer zobaczył zaskoczenie na jego smagłej twarzy, potem mężczyzna zniknął.

– Trzymajcie się! – krzyknął, kiedy porywacz znów się pojawił, wystawiając z włazu AK i strzelając jedną ręką.

Ołów polał się z lufy jak woda z węża, z pasa startowego wystrzeliły odłamki betonu. Kilka kul przebiło cienkie poszycie leara, ale silniki nadal trzymały ciąg.

– To koniec, stary! – wrzasnął pilot. – Koniec pościgu!

– Jedź za nimi.

– Trafili nas, człowieku. Nie ma mowy, żebyśmy wystartowali bez sprawdzenia uszkodzeń.

– Możesz ich staranować – powiedział Mercer tonem spokojniejszym, niż się czuł. – Nie tak mocno, żeby zniszczyć ich samolot, ale żeby nie wystartowali.

– Zwariowałeś?!

– Przed chwilą zabili cztery osoby na lotnisku i właśnie porywają piątą. Tylko my możemy ich powstrzymać.

Piloci wymienili spojrzenia i natychmiast doszli do porozumienia. Lear przyspieszył, skręcając na pas startowy i przechylając się tak bardzo, że zbiornik paliwa na skrzydle otarł się o beton, krzesząc snop iskier. Gulfstream porywaczy zatrzymał się nagle pięćdziesiąt metrów dalej, przepuszczając podchodzącego do lądowania united 747.

Pilot leara dostrzegł swoją szansę i jeszcze bardziej zwiększył moc. Samolot zmniejszył dystans do gulfstreama niczym dopędzający ofiarę gepard. We włazie uciekinierów znów pojawiła się

twarz. Pojmując, co się za chwilę wydarzy, terrorysta wyskoczył na beton w chwili, gdy samolot zaczął z powrotem kołować.

– O cholera! – krzyknął pilot leara.

Porywacz zaszarżował, unosząc AK, ale albo opróżnił magazynek, albo broń się zacięła. Nie wystrzelił. Przez pół sekundy gorączkowo usiłował odblokować karabin, po czym zrozumiał, że nie zdąży, więc go odrzucił.

– Co on robi, do cholery? – prychnął pilot.

Mercer wiedział. Martwe spojrzenie terrorysty powiedziało mu dokładnie, co się zaraz stanie. Porywacz biegł prosto na samolot, oceniając odległość, i w odpowiednim momencie skoczył. Jedną stopą wylądował na lewym skrzydle leara, potknął, ale zdołał się jeszcze skrócić po odbiciu i nakierować na cel. Wpadł głową do przodu, tytanowe łopatki turbiny Garrett TFE 731 bez problemu zmieniły w zupę mięśnie i kości, ale kiedy dostała się w nie głowa i bark, silnik się rozleciał, a łopatki wyprysnęły na wszystkie strony z piasty, przebijając aluminiową osłonę.

Pilot leara wyłączył oba silniki, kiedy dotarło do niego, co zrobił samobójca. Gulfstream oderwał się od pasa startowego kilometr dalej; smugi spalin z silników przecięły niebo jak gniewne pociągnięcia pędzla. Mercer nie myślał o pilotach ani o człowieku, który dał się wciągnąć w silnik odrzutowy – patrzył, jak porywacze Harry’ego znikają w oddali.

Jego przyjaciel odleciał, bo on nie zrobił tyle, ile powinien. Był tak blisko – z drugiej strony od Tory w chwili jej śmierci dzieliło go ledwie czterdzieści metrów. Ręce zaczęły mu się trząść z wściekłości i frustracji. I poczucia winy. Mógł zrobić

więcej. Mógł jechać szybciej, biec szybciej, przestrzelić oponę, zamiast z ponurą satysfakcją marnować ostatnią kulę na jednego z porywaczy. Chciał wierzyć, że zrobił, co w jego mocy, ale przy tak wysokiej stawce było oczywiste, że to nie wystarczyło.

Siedział na skraju trawnika obok pasa startowego, kiedy do stojącego leara z wyciem syreny przemknął samochód ochrony lotniska. Mercer napinał z całej siły mięśnie szczęk, żeby zapanować nad ustami. Dick Henna wyskoczył z samochodu i wolno do niego podszedł. Nigdy nie widział Mercera bliższego załamania i ten widok sprawił, że po plecach przeszły mu ciarki.

– Jesteś cały?

Mercer długo nie odpowiadał. Twarz miał bez wyrazu, ale na dnie jego oczu kipiała wściekłość.

– Tak, cały – szepnął. – A ty?

– Straciłem jednego człowieka, drugi już jedzie do szpitala. Słuchaj, Mercer, muszę cię stąd zabrać. Marge wezwała już techników FBI, niedługo tu będą. Mogę to wytłumaczyć jako nieudaną próbę aresztowania, ale ty, jako cywil, nie powinienes być w to zamieszany.

Wyciągnął rękę i pomógł Mercerowi wstać.

– Co z gulfstreamem?

– Nie wiem. Pewnie ktoś ma go na radarze, ale pewności nie mam.

– Ale spieprzyliśmy sprawę, Dick – jęknął Mercer. – Tak mi przykro. Wsiadli do samochodu.

– To nie twoja wina. Żaden z nas nie miał pojęcia, że goście, którzy porwali Harry'ego, to terroryści obwieszeni karabinami

maszynowymi. Nie mogliśmy tego wiedzieć. – Głos Henny był łagodny i uspokajający. – Są szanse, że ten samolot wylatuje z kraju, wtedy zrobi się z tego incydent międzynarodowy. Zawiadomię Paula Barnes'a z CIA, a jeśli ustalimy, dokąd lecą, poproszę go, żeby przywitani ich tam jego agenci.

– Myślisz, że CIA go odbije?

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, żebyśmy mieli czas ustalić, gdzie zamierzają wylądować. Odrzutowiec z dodatkowymi zbiornikami paliwa w kilka godzin może być w Europie, Afryce albo Ameryce Południowej. Ale nie załamuj się, mamy tutaj masę dowodów rzeczowych i dokumenty wynajmu samolotu, więc jest nadzieja, że ich znajdziemy.

Mercer nie odzywał się, dopóki kierowca nie objechał terminalu i nie zaparkował koło jego jaguara. Przy aucie stała Marge Doyle, pilnując, żeby policja z lotniska zbyt dokładnie mu się nie przyglądała. Henna uprzedził wszelkie jej pytania surowym spojrzeniem, więc klepnęła tylko Mercera w ramię i weszła do terminalu.

Jej współczucie sprawiło, że Mercer wrócił do rzeczywistości. Harry jest poza jego zasięgiem i na razie nic nie można na to poradzić.

– Masz rację – powiedział. – Może znajdziecie tych drani przez porzuconą broń albo tego, którego załatwiłem na pasie startowym. Muszę polecieć do Erytrei i pomóc Harry'emu w ten sposób. Znaleźliście coś interesującego? Coś o Selome Nagast?

– Przytrzymaj się czegoś, bo nie uwierzysz. Kiedy zacząłem sprawdzać, czy pracuje dla ambasady erytrejskiej, zadzwonił

do mnie sam ambasador. Powiedział, że jest u nas pod jego zwierzchnictwem i że pracuje bez wsparcia jego personelu. Nie wiedzą nic o niej ani o jej zadaniu tutaj.

– Którym jest...

– Według ambasadora pozyskiwanie prywatnych funduszy na programy charytatywne w Erytrei. Nie powiedział niczego konkretnego i rozłączył się, zanim zdążyłem go mocniej przycisnąć. – Henna przerwał. – Pogrzebałem trochę głębiej i zaczęło się robić coraz bardziej interesująco. Sprawdziłem jej nazwisko w bazie danych CIA i po kilku minutach dostałem gniewny telefon.

– Znów ambasador Erytrei?

– Nie. Trzymasz się? Paul Barnes.

– Co?

– Słyszałeś. Dyrektor CIA. Wpisanie jej nazwiska do komputera uruchomiło najróżniejsze alarmy. Część naszego systemu jest indeksowana razem z systemem Mossadu, jej nazwisko musiało poruszyć cały Tel Awiw. Odpowiednik Barnes'a w Izraelu zadzwonił do niego i zaczął wykrzykiwać coś o zasadach współpracy między agencjami. Wychodzi na to, że Izraelowi nie spodobało się moje węszenie wokół panny Nagast.

– Dlaczego, u diabła, Izraelczyków miałoby obchodzić, że sprawdzasz obywatelkę Erytrei? – Takiego zwrotu akcji Mercer się nie spodziewał.

– Bo nianie jest – odparł Henna. – Selome Nagast ma podwójne obywatelstwo, erytrejskie i izraelskie, i jest oficerem Izraelskich Sił Obronnych oraz funkcjonariuszem ich administracji.

– Nie rozumiem. – Jeśli Selome jest Izraelką, może to oznaczać, że Harry jest więźniem jednego z legionów wrogów państwa żydowskiego.

– Ja też nie. Ale dziesięć minut po rozmowie z Barnesem zadzwonił Lloyd Easton.

– Sekretarz stanu? – Wszystko to wykraczało coraz bardziej poza zdolności pojmowania Mercera, a implikacje zaczynały go przerażać.

– Nikt inny. Powiedział mi, że też właśnie odebrał telefon, tym razem od ministra spraw zagranicznych Izraela. Mamy zostawić Selome Nagast w spokoju albo spotkają nas poważne konsekwencje. To ich człowiek, prowadzi w Stanach Zjednoczonych operację „nieszkodliwą dla Ameryki, a więc to nie wasza sprawa”. Facet kazał nam się odpieprzyć na naszym własnym podwórku. Powiedział, że interesując się tym, co robi, narażamy na szwank współpracę z jego krajem.

– Co tu się, do cholery, dzieje, Dick?

– Ty mi powiedz – odparł Henna. – Myślałem, że to będzie rutynowe śledztwo, a tu nagle gówno zaczyna na mnie spadać szybciej, niż ja nadążam machać łopatą. Co o tym sądzisz?

Mercer zastanawiał się przez chwilę, nie zwracając uwagi na otaczające ich karetki i radiowozy.

– Nie ufałem jej od samego początku. Podejrzywałem, że coś śmierdzi – Prescott Hyde też, skoro o tym mowa – ale to wprost nie do wiary.

– Dlaczego nie możesz być taki jak reszta moich przyjaciół?
– Henna nie był zły, ale mówił poważnie. – Kiedy oni proszą

o przysługę, chodzi o pomoc w malowaniu garażu albo przy składaniu gazowego grilla. A z tobą zawsze musi być inaczej, tak? I za każdym razem gorzej. Porwanie Harry'ego zamieniło się w krwawąjatkę. Z czego to się bierze?

– Chyba mam po prostu fart. Co znaleźliście u Harry'ego?

– Za wcześniej, żeby o tym mówić. Ekipa pojechała do jego mieszkania, kiedy ja wyruszyłem na lotnisko. Co możesz mi powiedzieć o tej nocy, kiedy go porwali? Łatwiej będzie technikom przesiać znalezione ślady.

– Nie mogę ci powiedzieć niczego, co by pomogło. To był wieczór jak każdy inny. Piliśmy u Małego, potem przyszła Selome. Kiedy wyszła, wypiliśmy jeszcze parę kolejek, potem Harry poszedł do siebie, a ja do siebie.

– Chyba niczego nie wymyślimy, dopóki nie namierzymy tego samolotu.

– Henna oparł się o otwarte drzwi jaguara. Mercer w końcu wsiadł do samochodu. – Możemy tylko czekać na raport techników.

– Jak myślisz, kiedy będziecie coś mieli?

– Wstępne wyniki za parę godzin – odparł Henna, zerkając na zegarek.

– Po tym wszystkim nie lecę do Kalifornii, więc może wpadł-byś do mnie wieczorem i wszystko byśmy obgadali? Napijemy się czegoś.

– Wiem, co próbujesz zrobić, i doceniam gest, ale nie trzeba. Mam za dużo roboty. Sam najlepiej znam moje ograniczenia. –

Mercer odpalił jaguara. – Kiedy dotrę do końca liny, zatrzymam się.

– Mam tylko nadzieję, że na końcu liny nie będzie pętli, ty walnięty sukinsynu – mruknął Henna do odjeżdżającego samochodu.

WENECJA, WŁOCHY

Uiancarlo Gianelli siedział zamyślony, odwrócony plecami do okien przestronnego salonu w swoim rodzinnym domu nad Canale Grandę. Okna – olbrzymie, na całą ścianę, ze szkła ołowowego i kutego żelaza – miały ponad trzysta lat. Wykonano je w czasach, gdy sztuka szklarska wciąż była doskonała. W każdej z ośmiuset szybek był pęcherzyk powietrza znaczący miejsce, gdzie rurka dmuchającego była wetknięta w roztopione szkło. Przeświecające przez nie słońce rzucało kratkowany cień na podłogę wyłożoną w szachownicę różowym i beżowym marmurem z Carrary.

Wszystkie meble w pokoju były antykami – każdy z nich był wyjątkowy, ale naprawdę ożywał dopiero w zestawieniu z innymi. Był niezwykle bogato urządzone – i był tylko jednym z czterdziestu trzech w tym domu. Gianelli wyglądał, jakby był elementem wystroju wnętrza. Jego sportowa marynarka została uszyta na miarę w Mediolanie, koszula była z egipskiej bawełny, a krawat dostał od świętej pamięci Gianniego Versace. Był uosobieniem włoskiego księcia-kupca, porównywalnym z renesansowymi Medyceuszami.

W dzisiejszych czasach świat był mały. Każdy mógł dostać się odrzutowcem w dowolne miejsce w zaledwie kilka godzin albo skontaktować się z kimś w jednej chwili przez telefon czy Internet. Dlatego dni, gdy ludzie z wizją mogli zbijać fortuny proporcjonalne do ponoszonego ryzyka, praktycznie minęły.

Niewielu miało jeszcze niezależność pozwalającą działać bez ograniczeń narzucanych przez utrudniających wszystko prawników i skąpych bankierów. Giancarlo Gianelli był właśnie takim człowiekiem.

Jako ostatni męski potomek dynastii, która trwała od ponad sześciu wieków, Gianelli stał na szczycie wszystkiego, co jego rodzina próbowała osiągnąć. Za dwa miesiące ostatnia z jego sześciu córek wychodzi za mąż i jedyne, co mogło przynosić mu pociechę w drodze do sześćdziesiątki, miała być bajeczna historia rodu. Choć dorobił się dwóch synów z różnymi kochankami, żaden z nich nie mógł przejąć dziedzictwa Gianellich. Być może to właśnie brak dziedzica skłonił go do lekkomyślnego odejścia od legalnych interesów i zagłębienia się w cienie tego, co jego rodzina stworzyła.

Dwudziesty wiek był dla Gianellich dobry. Dziadek Giancarla zbił fortunę dwukrotnie, najpierw na przełomie stuleci, gdy do Włoch dotarła rewolucja przemysłowa, potem podczas faszystowskich rządów Benita Mussoliniego, kiedy przestawił firmy Gianellich na produkcję wojenną pod bezpośrednim patronatem II Duce. W latach trzydziestych i na początku czterdziestych Gianelli rywalizowali wielkością produkcji z Fiatem, wytwarzając wszystko, od okrętów podwodnych po menażki.

Ojciec Giancarla przejął dowodzenie w 1955 roku i przeprowadził Gianelli SpA, główne przedsiębiorstwo holdingu, przez trudne, ale zyskowe lata sześćdziesiąte, kryzys lat siedemdziesiątych i rozbuchane osiemdziesiąte. Przekazał firmę swojemu synowi Giancarlovi na kilka tygodni przed krachem

amerykańskiej giełdy w październiku 1987 roku. Choć pierwsze lata Giancarla jako prezesa były niełatwe, firma pozostała jedną z największych we Włoszech i przynoszących największe zyski.

Wyglądając przez okna, Giancarlo widział nieliczne gondole na Canale Grandę, puste, bo korzystali z nich głównie turyści, a na nich było jeszcze za wcześnie. Po wodach kursowało kilka vaporetti – ciężkie, stare łodzie pełniły rolę autobusów. Wokół nich śmigały smukłe wodne taksówki, wożące biznesmenów – tak samo jak w każdym innym mieście na świecie. W oddali przężył się wdzięcznie szesnastowieczny most Rialto.

Był kwiecień, magiczna pora roku. Słońce grzało wystarczająco mocno, by uprzyjemniać spacerować wąskimi uliczkami, za to ścieki w kanałach nie zaczęły jeszcze śmierdzieć w upale. Właściciele sklepików byli weseli, czekając na rychłe przybycie turystów. W lipcu ich uśmiechy będą wymuszone, ich przyjacielskość nieco sztuczna, a w sierpniu zrobią się skwaszeni, bo zrobili już roczny utarg i mają dość tłumów. Zadzwoił telefon.

– Wyjeżdża za dwa dni, panie Gianelli – powiedział dzwoniący bez żadnych wstępów.

– Jak pan myśli, jakie ma szanse?

– Jest dobry. Niektórzy mówią, że najlepszy, ale nie wierzę, że potrafi to znaleźć.

– Dlaczego pan tak mówi? – Gianelli nie płacił informatyrowi tyle, żeby ufać jego wnioskowi. Zależało mu na surowych informacjach, interpretować zamierzał je sam.

– Czas, panie Gianelli. – Odpowiedź padła natychmiast, jakby dzwoniący spodziewał się tego pytania. – Hyde dał Mer-

cerowi sześć tygodni na poszukiwania, a Mercer chce być w Erytrei w ten weekend. Narobił niezłego zamieszania, żeby z tym wystartować. Może i jest najlepszy w swojej branży, ale mając tydzień na organizację, nie zorganizuje nawet maści na hemoroidy, żeby nią posmarować własny tyłek.

Gianelli skrzywił się z niesmakiem.

– Zrobił duże postępy w załatwianiu sprzętu i materiałów, ale nie zacznie nic robić jeszcze przez tydzień po przylocie do Afryki. Tyle czasu będzie potrzebował na rozgryzienie kwestii logistycznych.

– A potem?

– Cóż, Erytrea może się wydawać mała na mapie, ale kiedy przemierza się ją pieszo albo samochodem, to wielka, nieprzyjazna kraina.

– A co ze zdobyciem kopii zdjęć Meduzy? – spytał Gianelli.
– Na pewno ułatwiłyby nam poszukiwania.

– Nie – odparł dzwoniący. – Już panu tłumaczyłem. Hyde nie spuszcza z nich oczu. Sprawdziłem już w archiwach Narodowego Biura Rozpoznania, i wywołali tylko jeden komplet, materiał, z którego są zrobione, nie daje się kopiować ani skanować. Przykro mi.

– Czy Hyde daje Mercerowi?

– Tak sędzę. Ale teraz ich nie ma. Nie odda ich, dopóki Mercer nie będzie gotowy do wyjazdu.

– Chodzi mu o bezpieczeństwo?

– Albo ma paranoję.

– Powinno udać nam się zabrać te zdjęcia Mercerowi, kiedy przyleci do Erytrei. – Gianelli mówił bardziej do siebie niż do tamtego. Uświadomił sobie, że rozmowa wyszła poza to, co dzwoniący powinien wiedzieć. Zmienił więc temat. – Kiedy Selome Nagast wraca do Asmary? Będzie z Mercerem?

– Jeszcze nie wiem. Pewnie z nim poleci. Kiedy poznam jej plan podróży, dam panu znać.

– Cały czas uważa pan, że jest podejrzana?

– Tak. Nie mam nic nowego, ale intuicja podpowiada mi, że chodzi jej o coś więcej, niż mówi.

– Intuicja kazała też panu sprzedać te zdjęcia Hyde’owi za ułamek tego, co zapłaciłbym ja – zauważył złośliwie Giancarlo.

– Za kilka dni wyleci z Waszyngtonu. Jeśli jest na jej temat coś do odkrycia, ja się tym zajmę. Pana intuicja przypuszczalnie wyłapała fakt, że ona sypia z Hyde’em.

– To możliwe, ale wątpię. On to wieprz, a ona to chodząca bogini – odparł major Donald Rosen z Narodowego Biura Rozpoznania.

– To nieistotne. Proszę mnie informować na bieżąco. Może uda się panu zadośćuczynić za poprzedni błąd.

Gianelli się rozłączył.

A więc, pomyślał, Hyde znalazł swojego eksperta od kopania na pustyni. Chociaż taka komplikacja nie była Gianellemu na rękę, nie była też całkiem niespodziewana i być może udałoby mu się obrócić ją na swoją korzyść. Wolałby kupić zdjęcia Meduzy od majora Rosena, ale Hyde go ubiegł. Teraz musi więc spróbować ukraść je Mercerowi w Asmarze. Zastanawiał się, czy może od

razu porwać Mercera i wykorzystać go jako poszukiwacza. Ludzie Gianellego już przepatrywali erytrejskie pustkowia, ale nie mieli z pewnością wiedzy i doświadczenia Mercera. Jednak nie on był najważniejszy, tylko zdjęcia. Gianelli sięgnął po telefon, by wprowadzić w życie plan, wspominając jednocześnie, jak to się wszystko zaczęło.

Erytrea była włoską kolonią od końca XIX wieku i głównym przyczółkiem podboju Etiopii w 1935 roku. To była wyjątkowo okrutna wojna, toczona przez nowoczesną, zmechanizowaną armię z jednej strony i konnicę z drugiej. Wynik był do przewidzenia, zwłaszcza po tym, jak Liga Narodów nałożyła na ten region embargo, które Włochy produkujące broń – między innymi w zakładach Gianellich – całkowicie zlekceważyły.

Niedługo po objęciu władzy Mussolini zaczął tworzyć na jałowej pustyni nowoczesne państwo. Przez dziesiątki lat w Erytrei rodziły się fortuny – tak się składało, że większość z nich zbijali Gianelli. Interesowali się tym krajem tak bardzo, że stryjeczny dziadek Giancarla, Enrico, mieszkał w willi pod Asmarą i rządził większą częścią tego państwa.

Enrico nie był tak przebiegły jak jego starszy brat, kierujący całą korporacją, ale był Gianellim i wiedział, jak czerpać zyski z każdego przedsięwzięcia: plantacji owoców i kawy, drewna, produkcji soli i importu towarów luksusowych dla rosnącej włoskiej populacji Erytrei. Oprócz rodzinnej tradycji miał jednak jeszcze jedno hobby, któremu z zapalem się oddawał. Był geologiem amatorem i spędził wiele miesięcy w dziczy, szukając minerałów.

Przekonał samego siebie oraz – choć nie do końca – swojego starszego brata, że w górach w pobliżu granicy z Sudanem jest złoto. Wydał fortunę, przekopując prawie każde wzniesienie, które wyglądało interesująco. Niezbyt skrupulatnie sporządzał dokumentację swoich prac, a większość kopalń została porzucona i zapomniana, kiedy tylko okazywały się jałowe. Jego starszy brat w końcu stracił cierpliwość i kazał mu przestać marnować pieniądze na głupie hobby, ale Enrico tylko podwoił wysiłki. Był pewien zwłaszcza jednego przedsięwzięcia – wierzył, że znalazł nie złoto, lecz diamenty.

Giancarlo był w posiadaniu wszystkich rodzinnych dokumentów dotyczących „szaleństwa Enrica”, jak je nazwano, i przestudiował je jako dziecko urzeczony legendą. W żadnym z nich nie napisano jednak, w którym miejscu wykopano szyb. Enrico robił notatki dotyczące prawnych aspektów swoich interesów, ale informacje o kopalni zataił.

Na początku 1941 roku okazało się, że fałszował księgi, by ukryć fakt, że jego legendarna kopalnia diamentów kosztowała więcej niż wszystkie inne przedsięwzięcia razem wzięte i mocno nadweryżyła zyski Gianellich z kolonii. Kazano mu natychmiast wrócić do Włoch. Patron rodziny wysłał po niego nawet prywatny samolot z eskortą myśliwców.

Stało się to w tym samym czasie, kiedy Brytyjczycy pod wodzą generała Platta wkroczyli do Erytrei. Enrico wysłał depeszę, że nie może się doczekać powrotu do Wenecji, nie tylko, by uciec przed walkami, ale też, by pomówić z bratem o kopalni.

Giancarlo czytał tę depezę wiele, wiele razy, ponieważ była to ostatnia wiadomość od Enrica. Samolot, który wioził go do domu, został zestrzelony nad Morzem Śródziemnym przez brytyjskie myśliwce, a cała wiedza o kopalni zginęła wraz z Enrikiem.

Jako chłopiec Giancarlo poprzysiągł sobie, że któregoś dnia wróci do Erytrei i znajdzie kopalnię diamentów stryjecznego dziadka. Marzenie to nigdy go nie opuściło, ale minęły lata, zanim mógł je zrealizować. Kiedy mógł już się do tego zabrać, pochłonęły go sprawy firmy i rodziny. Co jakiś czas kusiło go, by zorganizować poszukiwania, ale szalała wojna o niepodległość Erytrei, a najbardziej prawdopodobne obszary badań były zarazem terenami najcięższych walk i bombardowań. Poza tym nawet kilkadziesiąt lat po okrutnej włoskiej okupacji nazwisko Gianelli wciąż było tam wyklinane, a Giancarlo wątpił, by jego poszukiwania spotkały się z życzliwym przyjęciem.

Ale kiedy wojna się skończyła, a jego zobowiązania wobec rodziny ustawały wraz ze ślubem córki, zrozumiał, że nadszedł czas. Koszty nie grały roli – miliard lirów, dziesięć miliardów? Jakie to miało znaczenie? Całe życie robił to, czego od niego oczekiwano, ale teraz, tak jak Enrico, chciał czegoś dla siebie. Gdyby mu się udało, zamierzał przekuć sukces w bardzo zyskowną firmę, choć musiałby bardzo dobrze rozegrać to w czasie. Syndykat diamentowy w Londynie urządzał zjazd za dwa miesiące, a Gianelli musi pokazać im dużo kamieni, co najmniej kilka tysięcy karatów, jeśli ma ich zmusić do przyjęcia

jego żądań. Wycofał się już z inwestycji w RPA, bo gdyby mu się udało, kraj ten pójdzie z torbami.

A jeśli się nie uda? Wzruszył ramionami. Kilku księgowych podrapie się po głowach, zastanawiając się, co się stało z pieniędzmi, i to wszystko. Giancarlo Gianelli nie może przegrać.

Ale wiedział, że mu się uda, bo to, co widniało na zdjęciach satelitarnych Hyde'a i to, co znalazł Enrico Gianelli, było jednym i tym samym.

KLASZTOR DEBRĘ AMLAK, PÓŁNOCNA ERYTREA

Źródło elektryczności znajdujące się najbliżej klasztoru było ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód, w mieście Nakfa, więc po zachodzie słońca mnisi używali świec i lamp oliwnych, a jedne i drugie były drogie i trudno dostępne. Nie licząc pasterkki, używano ich oszczędnie, dlatego też życie w klasztorze regulowały wschody i zachody słońca. Oprócz nocnej służby zakonnicy rzadko nie spali w ciemności nocy.

Dzień po wybuchu Dawita, inny mnich, zaledwie kilka lat od niego młodszy, porozmawiał na osobności z Efraimem, potwierdzając to, co powiedział starszy współbrat. Klasztor skrywa tajemnice i być może nadeszła pora, by je ujawnić. Od chwili powrotu ze swojej kryjówki brat Efraim całe noce modlił się i medytował przy świetle świecy. Nie jadł, wypił tylko trochę wody. Oczy miał mętne z wyczerpania, a brodę skołtunioną. Nie zwracał uwagi na kwaśny smród własnego potu ani grudki brudu na czystych zwykle zębach.

Przez okienko jego celi wpadł mlecznobiały snop światła księżycy, oświetlając starożytną księgę leżącą na prostym drewnianym stole. Dłonie Efraima spoczywały po jej obu stronach, tuż poza płamą światła, z paciorkami różańca splatającymi długie palce. Księga była oprawiona w skórę, a okładki spięte zaśnieżoną mosiężną klamrą. Kartki pofałdowały się ze starości, nadając

tomowi zaniedbany wygląd, chociaż dbano o niego troskliwie przez osiemset lat.

Efraim dostał tę księgę podczas ostatniej spowiedzi swojego poprzednika, na kilka godzin przed jego śmiercią na wygnaniu. Złożył umierającemu opatowi świętą przysięgę spowiednika, że będzie jej strzegł i przekaze następnemu z braci, kiedy nadejdzie pora. W żadnych okolicznościach jej nie otworzy, obiecał. Jego wzrok nie padnie na zapisany odręcznie pergamin. Już zgadzając się na to wszystko, Efraim przeczytał tytuł księgi. Zapisano go w ge'ez, jednym ze starożytnych języków Etiopii. Z łatwością przetłumaczył przypominające arabskie pismo.

Hańba królów.

Ręce zaczęły mu się wtedy trząść i niewiele brakowało, a upuściłby księgę. Poczł się jak Adam w raju trzymający ukradzione jabłko, wkładający kuszący owoc do ust. Od razu pojał, że tom zawiera zło równie śmiertelne, jak grzech pierworodny. Zaczął w końcu rozumieć umierającego na jego oczach człowieka. Spojrzał na kruchą postać leżącą na polowym łóżku, tak daleko od domu, znając odpowiedź, ale nie potrafiąc powstrzymać się od zadania pytania.

– Tak – usłyszał słabą odpowiedź. – Przeczytałem ją i Bóg mnie za to pokarał, przeklął nas wszystkich. Nie mogłem się powstrzymać. Wydawało mi się, że Bożą wolą jest, abym przeczytał te słowa i przerwał milczenie. Dopiero kiedy skończyłem, w noc trzynastego listopada 1962 roku, uświadomiłem sobie, że to sam szatan skusił mnie, żebym ją przeczytał.

Efraim patrzył na niego w milczeniu.

– Nie wiesz, co to za data? Dzień po tym, jak skończyłem Hańbę królów, Etiopia ogłosiła przyłączenie Erytrei. To był początek końca naszego kraju, Efraimie: etiopska okupacja, pogromy, niezmierzone cierpienia pod Dergiem. A wojnę spowodowałem ja. Moja pycha ściągnęła gniew Boży. Bóg ukarał mnie za przeczytanie tej księgi, niszcząc nasze domy, pustosząc nasze ziemie i zabijając setki tysięcy naszych rodaków. Wszystko to dlatego, że nie mogłem się powstrzymać od przeczytania tej przeklętej księgi, mrocznego towarzysza naszych największych tekstów religijnych.

Wyznanie mnichów opierało się na dwóch starożytnych księgach, Kebra Nagast – chwała królów oraz Fetha Nagast – sprawiedliwość królów. Choć w świecie zachodnim praktycznie nieznanne, są one starsze od najważniejszych chrześcijańskich pism o setki lat, stworzone przez egipskich Koptów co najmniej tysiąc lat temu. To kronika wizyty Makedy, Królowej Południa, w Izraelu, i żywota jej syna Menelika, którego ojcem był król Izraela. Opowiada o tym, jak Menelik wykradł z Jerozolimy Arkę Przymierza, przenosząc Jego ziemski tron do Aksum w dzisiejszej Etiopii. Księgi potwierdzały, że prawowici władcy Etiopii od tamtych zamierzchłych czasów po rządy Hajle Syllasje byli bezpośrednimi potomkami Noego, Abrahama i Mojżesza, wybranymi dziećmi Bożymi.

Jako chrześcijanin Efraim wyznawał wiarę opartą na naukach Jezusa, jego apostołów i uczniów, jednak jego przekonania wyrsały z wyznania o wiele starszego – wyznania Żydów, pierwszych wyznawców jedyne prawdziwego Boga, błogosławionych

mimo tego, że nie uznali w Chrystusie Jego syna. Choć nie znał późniejszych żydowskich pism takich jak Talmud, Efraim dobrze poznał nauki wcześniejsze, wierząc w Stary Testament, Kebra Nagast i Fetha Nagast.

Prawdziwość tego, co zapisano w Kebra Nagast, stała się sednem sporu teologów niedługo po jej odkryciu. Ale w XIX wieku zachodni misjonarze powrócili z Afryki, przynosząc opowieści o czarnoskórych Żydach mieszkających w Etiopii i wyznających o wiele starszą – i czystsza, jak twierdzili niektórzy – wiarę. Pytanie, czy ludzie ci zwani Falaszami, wyrzutkami, są rzeczywiście Żydami, znalazło odpowiedź w 1984 roku, kiedy Izrael przeprowadził operację „Mojżesz” – tajny program Mossadu, sprowadzając do Izraela jak najwięcej Falaszy w czasie gdy w Etiopii panował największy głód.

Jak to się stało, że nieznaną, trzecią księgą, Hańba królów, znalazła się w chrześcijańskim klasztorze, tego Efraim nie umiał powiedzieć. Siedział jednak przy łóżku konającego opata, jedną ręką trzymając tom, drugą kładąc na chudym ramieniu starca.

– Przysięgnij mi, Efraimie, że jej nie przeczytasz. Na tych kartach są zapisane rzeczy nieprzeznaczone dla ludzkich oczu. – Głos starego opata miał siłę gasnącej świecy. – Tamtej nocy straciłem wiarę. Nie mogłem uwierzyć, że Bóg, nasz Bóg, mógł pozwolić na taką obrzydliwość, taką hańbę.

– Przysięgam – zgodził się skwapliwie Efraim, żałując, że w ogóle dotknął nieczystej księgi. – Na świętość twojej spowiedzi w oczach Boga, nigdy więcej na tę księgę nie spojrzę.

Teraz leżała centymetry od jego rąk, skąpana w niezmiernym świetle księżyca. Zimny wiatr zadzwonił kruchą szybką w oknie, zachybotał płomyk resztki świecy stojącej w kałuży wosku. Słaby ognek rzucał fantastyczne cienie na kamienne ściany, znajome kształty w celi nabierały złowróżbnych rozmiarów. Efraim poczuł na plecach zimny dreszcz.

Dlaczego poddajesz mnie takiej próbie, Panie? Mam być jak Hiob, zmuszony do znoszenia nieszczęść, abyś mógł udowodnić Lucyferowi, że miłości człowieka do Ciebie nie można wypaczyć? Lękam się, że nie jestem dość silny. Czy moją próbą jest, abym nie przeczytał tej księgi? Czy jest Twoją wolą, żeby tych słów nie oglądały nigdy ludzkie oczy? Czy może mam ją przeczytać i wydobyć prawdy w niej zawarte na światło dnia?

Noc się ciągnęła. Efraim zapalał kolejne świece od tych dogasających. Księżyc przesunął się na niebie i nie oświetlał już stołu, lecz prosty krucyfiks wiszący nad łóżkiem opata. Efraim popatrzył na niego, czując Jego cierpienie na krzyżu, i po raz pierwszy od kilku dni poczuł w piersi lekkość. Miał przed sobą rozwiązanie swojego dylematu. Chrystus zginął za nasze słabości i zawieść Go rozmyślnie było grzechem, ale wybaczalnym – potępiony miał być czyn, a nie człowiek.

Niemal w tej samej chwili, gdy Efraim odwrócił się do biurka i rozpiął kłamrę książki, brat Dawit w swojej celi krzyknął we śnie i umarł. Ale zanim opat następnego ranka się o tym dowiedział, zdążył przeczytać księgę i śmierć starego mnicha nie była już dla niego tak wielkim zmartwieniem.

GDZIEŚ NAD ATLANTYKIEM

Mercer leżał wyciągnięty na dwóch fotelach w pierwszej klasie, z otwartymi ustami i cieniem zarostu na twarzy. Leciał do Rzymu, jedyne większe lotniska w Europie, z którego można było się dostać do Asmary. Wyruszył wcześniej rano, więc ogolił się i wziął prysznic poprzedniego wieczoru. Rozpaczliwie musiał przejrzeć swoją pracę i skorelować swoje ustalenia ze zdjęciami Meduzy, które Prescott Hyde w końcu mu wysłał, ale oczy same mu się zamykały. Wykupił dwa sąsiadujące fotele, zamierzając rozłożyć na dodatkowym swoje papiery, ale nawet najlepsze intencje są tylko intencjami. Zasnął, zanim samolot wystartował.

Sen miał niespokojny. Stewardesa co jakiś czas zaglądała do niego, kiedy mamrotała. Czoło pokrywała mu warstewka lepkiego potu. Obudził się ze sklejonymi powiekami i niesmakiem w ustach. Rozejrzał się po cichej kabinie, w pierwszej chwili zdezorientowany; był wdzięczny za uwolnienie od koszmarów, ale we śnie przyszła do niego myśl, coś zagrzebanego głęboko w jego umyśle, co zniknęło, kiedy się obudził. Znow miał świadomość, że coś gdzieś się nie zgadza, że Hyde, Selome albo porywacze powiedzieli coś, co się nie trzymało kupy. Coś – ale nie wiedział co. Niech to szlag.

Spojrzeniem przywołał stewardesę i zamówił dwie czarne kawy oraz szklankę soku pomarańczowego. Kiedy wrócił z ła-

zienki, gdzie doprowadził się do porządku, już na niego czekały. Razem z nimi czekała Selome Nagast, tajemniczo uśmiechnięta.

– Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko? – Figlarnie zatrzepotała rękami. – Nie mam funduszu reprezentacyjnego. Siedzę z tyłu razem z resztą sardynek, a od Billa dowiedziałam się, że pan ma dwa miejsca w pierwszej klasie.

Mercer patrzył na nią zaszokowany.

– Dlaczego mi pani nie powiedziała, że leci tym samolotem? – Nie licząc spotkania u Małego, rozmawiał z nią tylko raz, przez telefon. – Z mojego funduszu reprezentacyjnego dałoby się opłacić jeszcze jedno miejsce. W końcu to wasze pieniądze wydają.

Selome szybko pojęła, że Mercer nie jest niegrzeczny, tylko żartuje. Znów się uśmiechnęła.

– Muszę wyznać, że od dawna marzyłam, żeby zapłacić za klasę turystyczną i wkraść się do pierwszej.

– A ja myślałam, że dyplomaci lubią podróżować wytwornie.

– Lubią, jeśli reprezentują bogaty kraj. Ja mam szczęście, jeśli mój rząd stać, żeby mnie wysłać za granicę. Wiele misji opłacam z własnej kieszeni.

Mercer był ciekaw, któremu panu służy w tej chwili. Wykonuje misję dyplomatyczną dla Erytrei, rodzinnego kraju, czy tajne zadanie dla przybranej ojczyzny – Izraela? Łatwo było dojść, jaki interes w całej tej sprawie ma Prescott Hyde. Pod przykrywką swojego stanowiska podsekretarza, zasłaniając się humanitarnymi frazesami, z pewnością wyciągnąłby spore fi-

nansowe i polityczne korzyści, gdyby Mercer znalazł diamenty. Ale Selome Nagast?

Czyjej motywacją jest poprawienie losu jednych z największych nędzarzy Afryki, mieszkańców tak zwanego Czwartego Świata? A może pracuje właśnie dla sił obrony Izraela albo Mossadu? Czy za jej chęcią, by pomóc Mercerowi w poszukiwaniach, kryje się coś mroczniejszego?

Czekało ich jeszcze pięć godzin lotu i Mercer pomyślał, że może się tego dowie.

– Nikt nigdy nie powie, że Philip Mercer stanął między kobietą a jej skrywanymi fantazjami – zażartował. – Ale pani też musi mi pozwolić na fantazję. Jeśli spytają, proszę powiedzieć obsłudze, że poderwałem panią w samolocie i zamierza pani mieć ze mną romans, kiedy wylądujemy.

– Umowa stoi. – Uścisnęła jego rękę. Znow zaskoczyła go siła jej uścisku i ciepło skóry.

– Miło znow panią widzieć. – Mercer usiadł na swoim fotelu, skrupulatnie upychając papiery do dwóch teczek. – Ostatni raz, kiedy rozmawialiśmy twarzą w twarz, nie należał do najbardziej produktywnych.

– Nie mam do pana pretensji, że odrzucił pan propozycję Billa. To onieśmielające wyzwanie. Byłam bardzo zaskoczona, kiedy zmienił pan zdanie. – Spojrzała mu w oczy, jakby szukała odpowiedzi. – Dlaczego się pan zgodził?

Mercer szybko odbił pytanie pytaniem:

– Dlaczego w ogóle mnie wybraliście?

– To proste. Ma pan reputację jednego z najlepszych na świecie specjalistów od szukania cennych minerałów.

– Jeszcze trochę i będziemy musieli wykupić dodatkowe miejsce dla mojego ego.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Dlaczego zmienił pan zdanie? Mercer spojrział na nią najszczerzej jak umiał.

– Można chyba powiedzieć, że próby dokonania niemożliwego stały się jednym z moich znaków firmowych. Boże, ależ to pretensjonalnie brzmi. Ale to w pewnym sensie prawda. Po tym, jak odmówiłem Hyde’owi, całe popołudnie i większość wieczoru spędziłem, szukając czegoś, co by sugerowało, że to, co powiedział, to prawda – odparł. – Nic nie znalazłem, ale miałem przeczucie. Nauczyłem się ufać przeczuciom i po prostu nie mogłem odmówić.

– Czy to znaczy, że wierzy pan, iż diamenty istnieją? – spytała Selome z nadzieją.

– Nie, to znaczy, że nie mam nic przeciwko temu, żeby poświęcić sześć tygodni i kupę waszych pieniędzy na poszukiwania.

– Mercer rozmyślnie powiedział to tak ostro, nie zamierzał robić jej żadnych nadziei.

Słońce wpadające przez okienko podkreśliło rozjaśnione pasemka w jej włosach.

– Taką gadką może pan przekonywać samego siebie, doktorze Mercer, ale nie przekonuje pan mnie.

– No, może odrobinę wierzę. Ale odrobinę. – Uśmiechnął się szeroko. – Niech mi pani opowie o sobie.

Zanim Selome odpowiedziała, zamówiła dla siebie herbatę i croissanta. Mercer dopił kawę i zamówił trzecią filiżankę.

– Moja matka jest Erytrejką, która zakochała się bez nadziejnie w amerykańskim techniku z bazy Kagnew, położonej na obrzeżach Asmary i używanej do monitorowania radzieckiej łączności podczas zimnej wojny. Kiedy moja rodzina dowiedziała się o ich romansie, mojej matce zakazano się z nim spotykać. Ale spóźnili się o jedną noc, z czego jestem zadowolona, bo inaczej by mnie tu nie było.

Kiedy mój dziadek dowiedział się o jej ciąży, wysłał matkę do Włoch, gdzie mamy krewnych, ale wróciła po cichu tuż po moich narodzinach. O ile zrozumiałam tę historię, kiedy mój dziadek zobaczył mnie po raz pierwszy, wziął mnie na ręce i głośno się roześmiał, kiedy go obsikałam. Zostałam od tamtej pory jego ulubioną wnuczką. A matce wybaczone.

Selome Nagast znów się uśmiechnęła. Mercer po raz pierwszy miał wrażenie, że ukazuje siebie taką, jaka jest naprawdę.

– Chodziłam do szkoły we Włoszech, a potem przez dwa lata studiowałam ekonomię w Londynie. Pracowałam w Ludowym Froncie Wyzwolenia Erytrei w Europie, uświadamiając ludziom, co się dzieje w moim kraju.

– Czytałem trochę o waszej wojnie o niepodległość – wtrącił Mercer. – I muszę przyznać, że liczba zaangażowanych stron jest trochę niejasna.

– Moi rodacy, choć może są dzielnymi żołnierzami, nie grzeszą oryginalnością – przyznała Selome. – W różnych okresach naszej wojny z Etiopią reprezentował nas FWE, LFW, a w końcu

FWE-LFW, z których żaden nie zgadzał się z pozostałymi. Traciliśmy całe lata na wewnętrzne walki. Może mi pan wierzyć, dla Erytrejczyka to też skomplikowane. – W jej głosie nie było dumy. – Wojna skończyłaby się o wiele szybciej, gdybyśmy zostawili sobie polityczną szarpaninę na czasy po zwycięstwie.

– A po wojnie, jak zaczęła pani pracę w rządzie? – spytał Mercer. – Bez urazy, ale wiem, że jest... powiedzmy, niełatwo... Afrykance dojść na tak wysokie stanowisko jak pani.

– „Niełatwo” to złe słowo – powiedziała Selome gorzko. – W większości krajów Afryki jedynym kryterium sprawowania władzy jest penis. Nie ma większego znaczenia, czy jest z nim w komplecie jakiś mózg. Któregoś dnia Afrykanie nauczą się nie pozwalać dyktatorom i despotom rządzić swoim życiem.

– A do tego czasu?

– Będziemy winili europejski kolonializm i bigoterię Zachodu i nadal hurtowo się nawzajem wyrzynali.

– Mocno powiedziane.

– Ale prawdziwe. Pan był w Afryce. Wiem, że pan to widział. Zamilkła na długą chwilę. Mercer widział wyraz jej twarzy setki razy.

Pokazywali go niemal co noc w wiadomościach. To była twarz matki, której dziecko leży martwe na ulicy, zabite przez handel narkotykami, któremu nie mogła położyć kresu.

– Zawsze jest nadzieja – powiedział cicho, widząc łzy w kącikach jej oczu.

– To zależy od pana – odparła. – Przynajmniej dla nas. Bardzo krótko cieszyliśmy się pokojem, a już zaczynają nas

rozdziarać wewnętrzne tarcia. Przekleństwem Erytrei będzie religia, nie plemienne waśnie, przez które rozpadło się wiele innych afrykańskich krajów. Ale wynik będzie ten sam. Totalne zniszczenie. Muzułmanie i chrześcijanie już potrząsają szabelkami, nawołując do eliminacji tych drugich. Islamski rząd Sudanu też nie pomaga, eksportując swoją wersję fanatyzmu. Ciągłe napadają na nas bandyci, zabijający tych, którzy nie wierzą w Allacha. Był pan kiedyś w Sudanie?

– Nie.

– Niech pan się modli, żeby nigdy pan tam nie trafił. Byłam kilka razy w obozach dla uchodźców. Byłam też na tej wyprawie, podczas której zrobiono zdjęcia pokazywane panu przez Billa Hyde'a.

Mercer skrzywił się na to wspomnienie.

– Kiedy w końcu wyparliśmy Etiopczyków, wycofując się, stosowali politykę spalonej ziemi – wyjaśniła Selome. – Palili wsie, niszczyli drogi, mosty i zapory. Ścięli nawet prawie wszystkie drzewa w kraju, żeby nas zdemoralizować. Drzewa rosnące przy ulicach w Asmarze są najwyższe w kraju, bo wszystkie inne zostały wywiezione do Etiopii. Ale nieważne, jak źle było u nas, kiedy Etiopczycy się wycofali, to nic w porównaniu z ruiną w Sudanie. Grasują tam terroryzujące wszystkich bandy partyzantów, niektóre współdziałają z rządem, inne z Ludową Armią Wyzwolenia Sudanu, jeszcze inne to zwykli najemnicy zarabiający na rozlewie krwi. Niewolnictwo kwitnie, niektórzy mówią, że rząd na nie pozwala.

– O co walczą?

– O religię. Rząd w Chartumie to muzułmanie, przez których życie chrześcijan i animistów na południu stało się nie do zniesienia. Jeśli wojna się rozprzestrzeni, to samo zobaczymy w Erytrei. A pan jest po to, żeby do tego nie dopuścić. To stary aksjomat, że nienawiść jest pokarmem dla pozbawionych nadziei, a pokój – potomstwem sytych.

Patrząc na jej twarz, Mercer był pewien, że Selome Nagast jest wierna swojej ojczystej Erytrei. Nie wątpił, że pracuje także dla izraelskiej tajnej policji, ale w tej misji jej jedynym celem był dobrobyt jej rodaków w Afryce. Świadomość ta usunęła jednak tylko jedną warstwę komplikacji. Mercer wyczuwał istnienie głębi, o których nie wiedział.

Przed wylotem omówił dokładnie z Dickiem Henną wstępny raport z przeszukania mieszkania Harry'ego. Prywatny samolot, który wywiózł Harry'ego z Waszyngtonu, został wycarterowany przez firmę z Delaware, ale firma ta okazała się tylko przykrywką. Nie udało się wytropić uciekającego gulfst-reama, nie licząc doniesienia, że widziano go nad wschodnim wybrzeżem Marylandu, lecącego tak nisko, że opalał liście na drzewach. Widziano go także w Liberii, gdzie wylądował, żeby uzupełnić paliwo, i poleciał dalej na wschód. Celem lotu okazał się Liban. Agent CIA przybył na lotnisko w Bejrucie w samą porę, by zobaczyć starca pakowanego do furgonetki. Zgubił samochód w korku w okolicach chrześcijańskiej dzielnicy.

Trop bliskowschodni został potwierdzony przez kilkoro sąsiadów Harry'ego, którzy słyszeli, jak porwano Harry'ego. Opisany przez nich język porywaczy brzmiał jak arabski. Jedyny

sąsiad, który cokolwiek widział, powiedział, że czterej mężczyźni byli ubrani w czarne płaszcze i dżinsy, mieli ciemną karnację i czarne włosy.

Wszystko to zgadzało się z tym, co Mercer i Henna widzieli na lotnisku. Jeszcze nie zidentyfikowano zwłok jednego z porwawczy, ale Henna zapewniał, że to tylko kwestia czasu. Lepiej poszło mu z kulami.

– Armia USA ma największą na świecie bazę danych charakterystyk balistycznych różnej broni – wyjaśnił. – Każda broń różni się mikroskopijnymi szczegółami od pozostałych egzemplarzy, drobnymi skazami, które pozostają na wystrzeliwanych pociskach. Zidentyfikowanie ich jest bardzo żmudne, ale da się wytropić konkretną broń, mając nawet małe fragmenty kuli albo łuski. Wojskowe laboratorium balistyczne szukało tych karabinów już od jakiegoś czasu. Kałasznikowy powiązano z naszą misją stabilizacyjną w Libanie pod koniec lat osiemdziesiątych. Obu sztuk użyto wtedy do ostrzelania naszego garnizonu marines. Jedna, ta należąca do mężczyzny, który wskoczył do silnika, już raz odebrała życie Amerykaninowi, sierżantowi siedzącemu w kawiarni w 1984 roku niedaleko portu w Starym Bejrucie.

Znów Bejrut.

– Jak, u diabła, one się tu dostały? – spytał Mercer.

– Dobrze pytanie, ale mnie zastanawia raczej, gdzie były przez ostatnich piętnaście lat?

Mercer i Henna rozmawiali o znaczeniu broni i o tym, że porwawcze Harry'ego są najwyraźniej islamskimi fanatykami – kto oprócz fanatyka dałby się wciągnąć do silnika odrzutowca – ale

żaden z nich nie potrafił wyjaśnić, jak to się ma do potencjalnej kopalni diamentów w Afryce. Związki Selome z Izraelem tylko powiększały zamieszanie. Ale rozmawiając z nią w boeingu mknącym nad Atlantykiem, Mercer nabrał pewności, że jest wierna Erytrei, nie Izraelowi.

– Wszystko w porządku? – Selome dotknęła z troską jego nadgarstka.

– Zamyślił się pan i wyglądał, jakby cierpiał.

– Nic mi nie jest – skłamał Mercer. Tak bardzo pragnął z nią porozmawiać – z nią albo z kimkolwiek. Skrywana troska o Harry’ego rozrywała go od środka. Zauważył dłoni Selome na swojej ręce. Paznokcie miała długie jak sztylety, pomalowane krwistoczerwonym lakierem. Zobaczyła, że Mercer na nie patrzy, ale nie cofnęła od razu dłoni. Spojrzał na nią z tęsknotą – nie z pożądaniem, ale z pragnieniem wyrzucenia czegoś z siebie. Chciał jej zaufać, żeby móc uwolnić to, co skrywa. Chciał opowiedzieć jej o Har-rym, o tym, że to jego wina, że jego przyjaciela porwano i pobito. Musiał porozmawiać, ale tylko w milczeniu na nią patrzył. Jego cierpienie musiało być widoczne, bo pogładziła go po policzku. Ten intymny gest zaskoczył ich oboje.

– Nic mi nie jest – powtórzył Mercer, czując, że dotyk zrodził w nim coś nowego. Odkrył, że nie umie spojrzeć Selome w oczy.

To może być poważna komplikacja, pomyślał.

POŁUDNIOWY LIBAN

Harry White obudził się z palącym pragnieniem – nie chciał wody, lecz bur-bona. Przez całe lata wypijał przynajmniej dwie butelki whisky tygodniowo. Chociaż rzadko się upijał – z biegiem lat jego tolerancja na alkohol rosła – jego organizm potrzebował whisky tak samo jak powietrza. Ręce mu się trzęsły, zwiększając ból złamanego, choć opatrzonego palca. Przez pierwszych kilka dni po porwaniu był otumaniony narkotykami, więc nie wiedział, ile czasu minęło, odkąd pił ostatnio alkohol, ale po godzinach przytomności w celi był świadom każdej sekundy.

Każda sekunda była bowiem torturą okrutniejszą niż wszystko, co byłby w stanie wymyślić. Dygotał w klitce cztery na cztery metry, mimo żaru przesączającego się przez kamienne ściany, od którego ciało spływało mu potem. Kościste ramiona otulił dziurawym kocem, który mu dano.

Potrzeba alkoholu stała się przytłaczającym pragnieniem doprowadzającym go do szaleństwa.

Kocem okrywał się nie tylko przed chłodem, ale także przed latającymi małpami, które krążyły pod sufitem z doprowadzającym do szafu uporem szerszeni. Wiedział, że to deliryczne zwidy, ale i tak go przerażały.

Pierwszą zobaczył ledwie godzinę po przebudzeniu i wrzasnął ze strachu. Racjonalna część jego umysłu przekonywała, że małpa nie jest prawdziwa, ale był zbyt słaby, by przerwać jej ataki. Zajrzał do niego strażnik z czerwono-białą kefią zakrywającą

twarz. Harry kulił się ze strachu, ale mężczyzna stwierdził, że nie dzieje się nic złego, i wyszedł. Małpa przyczepiła się ściany pod sufitem i mrugnęła.

Pojawiły się dwie następne. Nalatywały na Harry'ego bez litości, przerywając ataki centymetry przed jego twarzą. Czuł powiew ich przelotu, a ich upiorne wrzaski były jak drapanie paznokciami po tablicy. Przelatywały i lądowały na ścianach, małymi, ostrymi pazurkami wpijając się w kamień.

Żadna z nich go jak dotąd nie tknęła, ale to była tylko kwestia czasu.

– Nie ma to jak u Małego – jęknął, modląc się, by zaklęcie to gdzieś go przeniosło.

Po trzech długich godzinach halucynacje się skończyły, a Harry zasnął, lecz sny były jeszcze straszniejsze niż jawa. Bez-kresnym korytarzem ścigały go demony sprytniejsze od małp. Niosły butelki jacka danielsa, próbowały mu je przekazywać jak pałeczki sztafety, ale butelki wyslizgiwały się Harry'emu z rąk.

Kiedy się obudził, trochę rozjaśniło mu się w głowie. Na podłodze przy łóżku stała tacka ze śniadaniem, kawa jeszcze parowała. Harry miał zbyt ściśnięty żołądek, żeby przełknąć owoc czy kanapkę z dżemem, ale kawę szybko wypił. Potem płuca przypomniały mu, że przez ostatnich sześćdziesiąt lat palił dwie paczki dziennie, i że ma ochotę zapalić. Musi zapalić.

– Na miłość boską, wy cholerni sadyści, dajcie mi papierosa!
– wrzasnął.

Strażnik znów się pojawił, a Harry powtórzył swoje żądanie nieco uprzejmiej, krzycząc kilka decybeli ciszej. Mężczyzna chy-

ba nie zrozumiał, więc starzec pokazał gestem, o co mu chodzi. Ze zrozumieniem znanym palaczom z całego świata strażnik wyjął z kieszeni do połowy pełną paczkę papierosów i rzucił ją na podłogę razem z pudełkiem zapalek.

– A może jakąś gorzałę, ty draniu – rzucił bez przekonania Harry, porywając wymiętą paczkę. Z powodu łubków na palcu miał problemy z przypaleniem papierosa i udało mu się to dopiero po kilku próbach.

Kiedy nikotyna zaczęła krążyć w jego żyłach, spojrzął na małpę, która znów pojawiła się na ścianie, agresywnie szczerząc zęby.

– Ciebie też pieprzę – powiedział do zjawy. Z doświadczenia wiedział, że delirium szybko minie, a małpy nie będą mu się długo naprzykrzać.

Usiadł na łóżku, na wszelki wypadek mając małpę na oku, i pomasaował obolałą dłoń. Nie wiedział, gdzie jest, ani kto go porwał, ani nawet dlaczego. Nie widział twarzy strażnika, ale kolorowa chusta upewniła go, że to Arabowie i że jego porwanie ma coś wspólnego z Mercerem i jego poszukiwaniami diamentowego komina.

Zaśmiał się ponuro. Widział, do czego Mercer jest zdolny, kiedy się wkurzy, i wiedział, że jego porywacze zapłacą za to, co zrobili. Mimo to nie był typem człowieka, który czeka bezczynnie. Już kilka razy wydostał się samodzielnie z niezłych tarapatów. Były senator John Glenn był tylko trzy lata młodszy od niego, kiedy poleciał w kosmos, pomyślał Harry. Skoro Glennowi się udało, to on powinien dać radę uciec tym zbirom. Strażnik dał

mu papierosy i było tylko kwestią czasu, zanim Harry wymyśli, co zrobić, żeby zdobyć także wolność.

WASZYNGTON

Dick Henna siedział za biurkiem, kiedy sekretarka zadzwoniła do niego i powiedziała, że jest do niego pilny telefon.

– Kto dzwoni, Susan?

Śledztwo w sprawie zejść na lotnisku zajęło mu cały czas, który oszczędził, nie lecąc do Kalifornii. Dzień dopiero się zaczynał, a on już czuł, że jest do tyłu.

– Admirał Morrison. Wiem, że nie chce pan, żeby panu przeszkadzać, ale pomyślałam, że z nim pan porozmawia.

– Chyba tak.

Henna znał C. Thomasa Morrisona, charyzmatycznego szefa Połączonych Sztabów, z pracy i z towarzyskiego światka Waszyngtonu. Lubił go i szanował. Wiedząc, że Morrison będzie mocnym kandydatem w przyszłych wyborach prezydenckich, a jeśli wygra, to i szefem, Henna odezwał się tonem pełnym szacunku.

– Panie admirale, tu Dick Henna. Co mogę dla pana zrobić?

– Cześć, Dick, jak leci?

Jeśli czarnoskóry admirał chce rozmawiać nieoficjalnie, tym lepiej.

– Dobrze, Tom, świetnie. Co u ciebie?

– Było doskonale jeszcze dwie godziny temu – odparł z powagą Morrison. – Pojawił się problem, w który wcześniej czy później będzie zamieszane twoje biuro, więc pomyślałem, że najlepiej od razu cię wtajemniczyć.

– Wal.

– Jest tu ze mną pułkownik John Baines z Kryminalnego Wydziału Śledczego Sił Powietrznych. O wiele lepiej będzie umiał rozmawiać z tobą prawniczym żargonem niż ja. Chciałbym, żebyśmy się wszyscy trzej spotkali.

Henna wyczuł początki politycznej przepychanki. Podobnie jak wojsko FBI miało swoją strukturę dowodzenia. Henna podejrzewał, że Morrison wykorzystuje swoje wpływy, by dostać się od razu na samą górę.

– Słuchaj, Tom, doceniam, że chcesz z tym przyjść od razu do mnie, ale nie powinieneś najpierw porozmawiać z Marge Doyle albo którymś z innych zastępców?

– Wiem, co sobie myślisz – odparł Morrison nieco chłodno. – Powiedzmy wprost, że nawet nasza obecna pogawędka podpada pod kategorię „ultra ściśle tajne”.

Henna gwizdnął cicho – to była najwyższa klasyfikacja rządowa. Nawet kilku prezydentom odmówiono wglądu do materiałów oznaczonych UŚT, ostatnio Clintonowi, kiedy w 1993 roku zażądał dostępu do akt incydentu w Roswell w stanie Nowy Meksyk.

– Dick, znasz mnie wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nie wydzwaniam po próżnicy i nie działam poza wojskiem, jeśli to nie jest absolutnie konieczne.

Henna spojrzał na zegar wiszący na ścianie gabinetu.

– Dobrze, mogę wam poświęcić godzinę około jedenastej.

– To nie może czekać. Dzwonię do ciebie z samochodu. Będziemy w gmachu Hoovera za dziesięć minut.

Morrison rozłączył się, zanim Henna zdążył zaprotestować. Jedenaście minut później sekretarka Henny wprowadziła do gabinetu dwóch oficerów.

Czarny mundur admirała Morrisona, tylko o ton ciemniejszy od jego skóry, był obwieszony złotymi warkoczami i medalami. Admirał wyglądał jak definicja marynarza, twardy i wyprostowany, z władczą miną, która roztopiła się w uśmiechu, kiedy podszedł do Henny. Pułkownik Baines w niebieskich barwach Sił Powietrznych i bez żadnych odznaczeń wyglądał przy admirale trochę blado. Morrison był wysoki i przystojny, a zgarbiony Baines mówił prawie przepraszającym szeptem. Tylko jego oczy zdradzały bystry umysł skryty pod pospolitą powierzchownością.

– Może panowie usiądziecie? – Henna uznał, że jego irytacja z powodu najścia nie jest ważna. – Powiecie mi, co się stało tak tajnego i pilnego.

– Panie pułkowniku? – zaprosił Morrison.

– Panie Henna, ja, ehm... – zająknął się Baines, po czym przerwał, jakby chciał zebrać myśli. – Cóż, zaczęło się to blisko trzy lata temu, kiedy moje biuro dostało zadanie zatrzymania strumienia tajnych materiałów wpływających z Narodowego Biura Rozpoznania. NBR to jedna z najbardziej utajnionych agencji rządowych i pozwolono jej korzystać z własnych wewnętrznych sił bezpieczeństwa dla ochrony tajnych materiałów. Przez wiele lat radzili sobie doskonale, jednak po upadku Związku Radzieckiego tajemnice zaczęły wypływać. Siły Powietrzne mają w NBR więcej przydzielonego personelu niż jakakolwiek inna formacja,

więc polecono nam te przecieki zatamować. Kradzieże nie były motywowane względami politycznymi. Naszym wrogiem byli pracownicy wykorzystujący informacje dla zysku.

– O jakiego rodzaju tajemnicach mówimy?

– Dam panu przykład aresztowania, jakiego dokonaliśmy dwa lata temu. Sekretarka jednego z analityków fotograficznych NBR miała męża, który handlował akcjami na chicagowskiej giełdzie. Wykorzystując informacje z naszego satelity szpiegowskiego Keyhole-11, była w stanie uprzedzić go, że Argentyna straci dużą część plonów zboża wskutek plagi owadów. Mąż zarobił jakieś dwadzieścia siedem milionów dolarów, sprzedając udziały zbożowe tuż przed tym, jak wiedza o tym stała się powszechna.

– A więc tu chodzi o przekręt giełdowy? – Henna usiadł w fotelu. Myślał, że będzie mowa o Mercerze i Harrym; ulżyło mu, że najwyraźniej nie.

– W tamtym przypadku tak. Publiczną stroną śledztwa zajęła się komisja giełdowa. To oni dokonali aresztowania, utrzymując zaangażowanie NBR w tajemnicy. Oboje, mąż i żona, wyjdą z więzienia gdzieś pod koniec przyszłego wieku.

Głos Bainesa nabrał pewności.

– Zresztą to tylko jeden przykład. Inne wykryte przez nas przestępstwa zostały popełnione przez personel wojskowy, a aresztowań dokonywało biuro JAG [Judge Advocate General's Corps – Wojskowe Biuro Śledcze (przyp. red.)].

Baines znów urwał, a Henna zrozumiał, że pułkownik właśnie doszedł do sedna sprawy.

– Sześć tygodni temu trafił do nas przypadek, który rozgryźliśmy dopiero przedwczoraj. Dokonałiśmy aresztowania i dowiedzieliśmy się, że sprawa ma implikacje o wiele szersze niż wszystkie dotychczasowe. Uznałem za rozsądne zawiadomić władze cywilne, w tym pana biuro, najszybciej jak to możliwe. Mój dowódca się zgodził i poinformował admirała Morrisona. To admirał wymyślił, żebyśmy spotkali się w trójkę, zanim będę kontynuował dochodzenie.

– Z archiwów NBR ukradziono pewne materiały – podjął wątek Morrison. Major Sił Powietrznych, który się tego dopuścił, Donald Rosen, został wczoraj wieczorem aresztowany i czeka go jakieś pięćset lat odsiadki. Materiałami tymi były zdjęcia przysłane do jego biura przez pomyłkę. Zobaczył ich klasyfikację – ultra ściśle tajne – i je ukraść. Kilka głów już za to poleciało, ale to sprawa wewnętrzna. Baines znów się odezwał.

– Miał te zdjęcia u siebie tylko przez tydzień, zanim znalazł kupca, i sprzedał je za ledwie pięćset tysięcy dolarów. Musi pan zrozumieć, że mówimy o tajemnicach wojskowych, które mogłyby zagrozić prowadzonemu obecnie programowi. Ich potencjalna wartość jest nie do oszacowania.

Henna nagle zrozumiał, do czego zmierza ta rozmowa.

– Niech zgadnę. Chcecie panowie, żebyśmy poprowadzili śledztwo przeciwko podsekretnarzowi stanu Prescottowi Hyde'owi i ustalili, co zrobił ze zdjęciami Meduzy?

Dwaj oficerowie zareagowaliby spokojniej, gdyby rzucił między nich na podłogę żywą kobrę.

– Co jeszcze wiesz? – Morrison pierwszy odzyskał głos, ale nie zdołał ukryć osłupienia. Zerwał się na równe nogi.

– Tom, usiądź, na Boga – uspokoił go Henna. – Wasz sekret wciąż jest bezpieczny. Z tego, co wiem, o istnieniu zdjęć Meduzy wie tylko garstka osób.

– Nie rozumiesz. W tej chwili wokół Ziemi orbitują trzy takie satelity. Myślisz, że kraj taki jak Chiny będzie siedział spokojnie, wiedząc, co potrafi nasz najnowszy satelita szpiegowski? Cholera, zdjęcia, które kupił Hyde, pochodziły z prototypu, a to był dinozaur w porównaniu z ostatnimi wersjami. Tu chodzi o znacznie więcej niż kilka fotek Sahary!

– Zgadza się. – Henna zrozumiał, że spisek stojący za porwaniem Harry’ego właśnie komplikuje się jeszcze bardziej. Zdjęcia ukradzione z NBR, Jezu! – Do tego za chwilę dojdziemy. Opowiedzcie mi, co wydarzyło się potem.

– Rosen musiał się zorientować, że sprzedał je Hyde’owi za tanio – relacjonował Baines. – Między sprzedażą, a aresztowaniem skontaktował się z kimś w Europie. Nie wiemy z kim, bo rozmawiał przez szyfrowane połączenie, ale zawężiliśmy pole poszukiwań do Włoch, Grecji, Jugosławii i Albanii.

– Niech mnie szlag – przerwał mu Henna, myśląc o wojnach religijnych szalejących w Albanii i państwach byłej Jugosławii. Czy to kolejny trop prowadzący do islamskich terrorystów jak wycarterowany lot do Bejrutu?

– Co?

– Niech pan dokończy swoją opowieść, to ja powiem, co wiem.

– Rozmów było kilkanaście, różnej długości, ostatnia zaledwie kilka godzin przed aresztowaniem Rosena – powiedział Morrison. – Tą stroną śledztwa zajmiemy się sami, być może z pomocą CIA i Interpolu, ale do ciebie przyszedliśmy z Prescottem Hyde'em. On pracuje dla rządu, ale jest cywilem, więc dochodzenie musi poprowadzić twoje biuro.

– Dochodzenie już trwa – prychnął Henna. – Właściwie mamy chyba wystarczająco dużo, żeby sukinsyna oficjalnie przesłuchać. Pamiętasz Philipa Mercera?

– Tego faceta od kryzysu na Hawajach?

– I na Alasce. On ma te zdjęcia i leci z nimi do Afryki, konkretnie do Erytrei. Wyleciał dzisiaj rano.

Henna spędził następne pół godziny, opisując szczegółowo związki Mercera z Prescottem Hyde'em, od propozycji szukania diamentów, przez porwanie Harry'ego White'a, po strzelaninę na lotnisku Dullesa.

– Czy ktoś z NBR zrobił dokładną analizę tych zdjęć? – spytał na koniec.

– Nie, właściwie nie – przyznał Morrison. – Satelita nie był skalibrowany, kiedy go straciliśmy. Dla naszych ludzi zdjęcia wyglądały jak śmiecie.

– No, nie są śmieciami dla gości, którzy strzelali na Dullesa.

– Musimy odzyskać te materiały. Nie dość, że są ściśle tajne, to jeszcze są dowodem rzeczowym – zauważył Barnes.

– Nie. Co musimy zrobić, to zwinąć Prescottta Hyde'a. I to już, teraz, a potem pozwolić Mercerowi ustalić, o co w tym wszystkim chodzi.

– Dick, Erytrei możemy pomóc później. Wykopać diamenty za kilka miesięcy czy coś. Musimy odzyskać te zdjęcia.

Morrison zawarł w głosie cały swój autorytet i władczość, ale Henna nawet nie mrugnął.

– Tom, jeśli chcesz zgarnąć Hyde’a na własną rękę i obejrzyć to we wszystkich wiadomościach o szóstej, proszę bardzo. Ale jeśli moje biuro ma ci pomóc, zrobimy to po mojemu.

Nastąpiła chwila pełnego napięcia milczenia.

– W porządku – ustąpił admirał. – Skoro robimy to po twojemu, co teraz?

– Wezmę z Departamentu Sprawiedliwości nakaz aresztowania i pojedziemy złożyć Hyde’owi najgorszą wizytę w jego życiu.

Morrison spojrział na milczącego Bainesa.

– Co pan sądzi, mecenasie?

– Kiedy będziemy mieli Hyde’a, możemy wysłać kogoś do Afryki, żeby odebrał zdjęcia od tego Mercera.

– Kryjesz tyłek, Tom?

– To jedyny, jaki mam, oczywiście, że go kryję. Do roboty.

Henna jechał z Morrisonem na tylnym siedzeniu służbowego wozu FBI, Baines siedział z przodu obok kierowcy. Trzy inne ciemne sedany jechały za nimi w konwoju w stronę Fairfax. Przed opuszczeniem siedziby FBI Henna zadzwonił do biura Hyde’a i ustalił, że podsekretarz nie pojawił się w pracy.

Potem zadzwonił do niego do domu, ale okazało się, że telefon został odłączony. Obawiając się, że Hyde uciekł, Henna szybko załatwił nakaz i zebrał nieduży zespół ludzi do dokonania aresztowania.

W drodze poukładał sobie w głowie szczegóły, zapisując rzeczy na wyobrażonych kartkach i tasując je losowo w poszukiwaniu prawidłowości. To była stara sztuczka, która dotąd się sprawdzała. Na pierwszej kartce był Rosen ze skradzionymi zdjęciami Meduzy, potem ich kupno przez Hyde'a. Od tego miejsca wszystko do siebie pasowało na kilka różnych sposobów. Po sprzedaży zdjęć z Rosenem mogła się skontaktować grupa z Europy, która również chciała je mieć – na przykład ktoś z Bałkanów. Możliwe że sąsiedzi Harry'ego słyszeli jeden z tamtejszych języków, a nie arabski. Kiedy Mercer odrzucił propozycję Hyde'a, terroryści porwali Harry'ego, żeby zmusić go, by pojechał do Afryki i znalazł dla nich diamenty. Henna wiedział, że Iran wspiera ugrupowania muzułmańskie w Albanii i Serbii, był też powiązany z frakcjami w Bejrucie. Trop ten był w najlepszym wypadku poszlakowy, ale mimo to wyglądał niezłe.

Wciąż pozostawał jednak Hyde i jego motywy. Najbardziej oczywistą odpowiedzią były pieniądze. Wykorzystywał swoją pozycję w Departamencie Stanu, żeby załatwić sobie udział w potencjalnej fortunie, pomyślał Henna. Kupił zdjęcia, a potem wynajął Mercera. Ale skąd wzięłyby takie pieniądze? Wtedy pojął, że to Izrael, przez Selome Nagast, pokrywa koszty. Hyde zapłacił za zdjęcia, a oni za całą resztę. Jeśli wziąć pod uwagę trop irański, powody są oczywiste. Izrael próbuje nie dopuścić, by terroryści zdobyli nowe źródło bezpiecznych dochodów – nieznaną kopalnię diamentów.

Henna myślał o zbliżającej się rozmowie z Hyde'em i wiedział, że mógłby wykorzystać wyciągnięte od podsekretarza

informacje, żeby zmusić Mossad do wyjawienia celu operacji. Zawsze uważał, że układ Ameryki z państwem żydowskim jest zbyt jednostronny. To była doskonała sposobność, by wyrównać szanse.

Pierwszy zwiastun szykującej się katastrofy przybrał postać policyjnej syreny wyjącej za konwojem. Chwilę później samochody FBI minął rozmazany w pędzie radiowóz, migoczący na niebiesko i rubinowe. Za nim nadjeżdżał szybko kolejny samochód na sygnale.

Z powodu korków dotarcie do eleganckiej dzielnicy, w której mieszkał Hyde, zajęło im jeszcze dwadzieścia minut. Okolica była bardzo ładna – każdy z cztero- i pięciopokojowych domów stał na co najmniej półhektarowej działce, osłonięty przed sąsiadami gęstymi starymi drzewami. Świeżo wyasfaltowane ulice były nieskazitelnie czyste, a słupy telefoniczne nie zdążyły nawet pociemnieć.

Im bliżej byli domu Hyde'a, tym niebo stawało się ciemniejsze, a okropny smród palonego drewna i roztopionego plastiku coraz bardziej gryzący.

Ulica wyglądała jak ogarnięta zamieszkami. Policja ustawiła kordon, za którym zebrali się gapie. Henna pokazał legitymację i przejechał; samochód wymijał radiowozy, wozy strażackie i karetki. Kiedy wiatr rozpędził chmury dymu, ujrzeli rozpalone piekło, które było kiedyś wygodnym gniazdkiem Prescottta Hyde'a.

Samozadowolenie Henny zniknęło. Nie był specjalistą od podpaleń, ale wiedział wystarczająco dużo, by pojąć, że do wywo-

łania pożaru użyto jakiegoś środka zapalającego, bez wątplenia benzyny. Dom Hyde'a musiał być nią nasiąknięty, żeby pożar osiągnął takie rozmiary. Sądząc po liczbie samochodów służb ratowniczych, musiały zostać wezwane co najmniej pół godziny temu.

Kierowca zatrzymał samochód jakieś pięćdziesiąt metrów od pożaru. Kiedy wysiedli, poczuli żar bijący od ognia. Na oczach Henny fragment dachu zapadł się do wnętrza budynku, a w górę strzeliły iskry płonących strzępów papieru i tkanin. Powietrze przesycone było naftowym smrodem topiących się gontów. Dwa wozy strażackie pompowały wodę z hydrantów i polewały dom, ale ten wciąż płonął. Żar bił od niego falami, które prawie można było zobaczyć.

Dom był nie do uratowania. Przepalony siding ukazywał kościotrupie palce ram. Od strony podwórka sterczał komin, ale został z niego tylko kilkumetrowy kikut. Reszta leżała na trawniku, stanowiąc stertę gruzu.

Henna widział, jak w pożarze płoną jego teorie. Bez Hyde'a sprawa nie istnieje i choćby nie wiadomo ile teoretyzować, jest to fakt. Nie wątpił, że gdy zgłiszczą wystygłą, strażacy znajdą wśród nich zwłoki podsekretarza.

– Pan jest Henna?

Pytanie zadał strażak o wiele starszy od kolegów walczących z pożarem. Twarz miał pomarszczoną jak kora drzewa, a kiedy zdjął hełm, ukazały się całkiem białe włosy.

– Gliniarz na barykadzie dał mi znać, że pan tu jest. Zdradzi mi pan, co dyrektor Federalnego Biura Śledczego robi tu z przewodniczącym Połączonych Sztabów?

Henna domyślił się, że rozmawia z dowódcą straży pożarnej Fairfax. Wyciągnął rękę.

– Nie mogę panu w tej chwili podać szczegółów, przykro mi. – Strażak miał mocny uścisk dłoni, a samą dłoń twardą. – Ktoś tam jest w środku?

– Nikt żywy, jeśli o to pan pyta. – Mężczyzna obejrzał się przez szerokie ramię. – Sądząc po dwóch samochodach dopalających się na podjeździe, powiedziałbym, że oboje byli w domu. Technikom może uda się zeszkrobać parę kostek i trochę mazi, ale niech się pan za dużo nie spodziewa.

– Co pan o tym sądzi?

– Jakiś spryciarz zabił domowników, a potem puścił dom z dymem, żeby zatrzeć ślady albo opóźnić śledztwo. Trochę to potrwa, ale zobaczy pan, okaże się, że to morderstwo.

Henna pokiwał głową, wpatrzony w ściany ognia bijące z domu. Wiedział to, odkąd usłyszał pierwszą policyjną syrenę, ale nie chciał, żeby to była prawda. Ktokolwiek za to odpowiada, bliskowschodni terroryści albo bałkańscy ekstremiści, jasne jest, że są o krok przed nim. A skoro usunęli z drogi Hyde'a, dobrze zatarli swoje ślady. Dopóki nie skontaktowałby się z Mercerem, mógł tylko mieć nadzieję, że jego przyjaciel wie, co robi – bo on sam nie miał pojęcia.

– Jak pan myśli, kiedy będzie pan mógł tam kogoś wysłać, żeby to sprawdził? – spytał pułkownik Baines.

Strażak popatrzył na pożar akurat w chwili, kiedy runęła frontowa ściana – eksplozja płonącego drewna odepchnęła jego ludzi piętnaście metrów do tyłu.

– Możliwe że dopiero po północy.

– Możemy jakoś pomóc?

– Tak, załatwcie panowie deszcz.

Dowódca straży wrócił do swoich ludzi, zostawiając Hennę, Morrisona i Bainesa z ich pytaniami.

PORT LOTNICZY IM. LEONARDA DA VINCI, RZYM, WŁOCHY

Yl Mercer i Selome szli ramię w ramię w stronę bramki Ethiopian Airlines, którymi mieli lecieć do Asmary. Żartowali, racząc się nawzajem przerażającymi historiami z dawnych lotów.

Przy stanowisku Ethiopian Airlines Selome przeszła z angielskiego na amharski, zwracając się do smukłej agentki. Mercer słuchał przez kilka chwil, ale szybko zorientował się, że nie rozumie ani słowa. Selome poprosiła go o bilet, który szybko jej podał. Znow zaczęła rozmawiać z agentką, tym razem ostrzej. W końcu zrobiła zadowoloną minę.

Odprowadzając go od stanowiska, skrzywiła się z niesmakiem. Ponad połowa z dwustu miejsc w poczekalni była zajęta – wszyscy pasażerowie byli Etiopczykami albo Erytrejczykami. Patrząc na ich twarze, Mercer zrozumiał, że piękno Selome i jej gęste włosy są raczej normą niż wyjątkiem. Wszystkie młode kobiety w poczekalni były bardzo atrakcyjne. Mężczyźni za to charakteryzowali się lekką budową, zbyt delikatną by uznać ich za przystojnych.

– Ciesz się, że z tobą poszłam – powiedziała Selome, kiedy usiedli. – Mieli cię na liście dodatkowej. Gdybym nie sprawdziła, mogliby cię nie zabrać na pokład. Wątpię, czy ta wiedźma... – wskazała głową – ...powiedziałyby ci o tym, dopóki nie spróbowałbyś wsiąść.

– Mówisz, jakbyś nie zamierzała lecieć ze mną.

Selome pokiwała głową, a włosy zsunęły jej się kaskadą na twarz. Odrzuciła je szybkim ruchem ręki.

– Mam jutro spotkanie w Londynie. Zobaczymy się w Asmarze pojutrze. Nie spytałam, gdzie się zatrzymasz?

Mercer nie dał się zbić z tropu tymi niespodziewanymi wieściami.

– W Ambasoirze.

– Dobry wybór, jeden z najlepszych hoteli w kraju. Ale nie oczekuj zbyt wiele – ostrzegła. – Ambasoira została zbudowana podczas okupacji.

– Etiopskiej?

– Nie, włoskiej. To hotel z lat dwudziestych. – Selome uśmiechnęła się szeroko. – I o ile nie jesteś masochistą, nie pij tam kawy i nie ufaj kanalizacji. Z tego, co wiem, Habte Makonnen ma wyjechać po ciebie na lotnisko. Nie znam go, ale jestem pewna, że sobie poradzisz.

Zarzuciła torbę na ramię i wstała, wyciągając do Mercera rękę. Miał wrażenie, że został odprawiony. Nić porozumienia, którą nawiązali podczas lotu, zniknęła, zastąpiona szorstkim profesjonalizmem, którego dotąd u Selome nie widział.

– Cóż, w takim razie... – Wstał. – Do zobaczenia za dwa dni. Niespodziewanie Selome pocałowała go w policzek.

– Nie myśl, że to był mój pomysł. Do zobaczenia w Ambasoirze pojutrze.

I zniknęła.

– Zobaczymy, kto kogo kiedy zobaczy – mruknął Mercer, a jego szare oczy stwardniały, odprowadzając Selome idącą energicznie przez tłum. Wrócił do stanowiska linii lotniczych.

– Bardzo przepraszam za to zamieszanie. – Uśmiechnął się rozbrawiająco, kładąc na blacie swój bilet. – Obawiam się, że zaszło drobne nieporozumienie językowe. Dzwoniłem rano do państwa, żeby powiedzieć, że chcę lecieć późniejszym lotem, a moja partnerka chyba nie zrozumiała. Chciałbym polecieć dzisiaj wieczorem, tym samolotem, który ląduje zdaje się o dziewiątej rano czasu lokalnego.

W rzeczywistości Mercer miał rezerwację na ten lot, ale zmienił ją przez telefon, dzwoniąc z samolotu Air Italia, kiedy Selome poszła do toalety. Podejrzewał, że spróbuje go zgubić, kiedy przylecą do Rzymu, i potrzebował czasu, żeby ją śledzić. Domyślał się, dokąd naprawdę się wybiera. To, że wierzy w jej motywy, nie oznaczało, że wierzy jej samej.

– Rozumiem. – Agentka wydeła usta, ciesząc się tą wyjątkową kobiecą radością z porażki drugiej kobiety. – Bez przerwy zdarzają się nam takie rzeczy.

Przez chwilę stuknęła w klawiaturę komputera, a potem podała Mercerowi nowy bilet.

– Proszę, wieczorny lot, odlot o dziewiętnastej dwadzieścia, lądowanie o dziewiątej piętnaście. Udało mi się nawet załatwić panu pierwszą klasę bez dopłaty. Nasz wieczorny lot nie jest tak obłożony jak popołudniowy.

– Bardzo pani dziękuję – odparł Mercer. – Jeszcze jedno pytanie: gdzie jest poczekalnia El Al?

– Na końcu korytarza, po prawej.

Mercer podziękował jej jeszcze raz i ruszył korytarzem. Nie musiał się spieszyć. Był pewien, że Selome będzie w poczekalni izraelskich linii lotniczych, ale czuł rosnący gniew, który musiał znaleźć ujście.

Zbliżając się do celu, zwolnił, wtapiając się w tłum tak, że minął poczekalnię El Al osłonięty tuzinem ludzi. Rozejrzał się po pomieszczeniu raz, potem drugi. Selome nie było! Ludzie wsiadali już na pokład; Mercer przeklął się za spóźnienie, ale potem zobaczył, że to lot do Lizbony. Był pewien, że Selome nie wybiera się do Portugalii.

Poszedł dalej korytarzem, aż dotarł do rzędu wyświetlaczy. Spojrzał na listę odlotów i zobaczył, że za półtorej godziny El Al ma lot do Tel Awiwu. Spędził ten czas w zadymionym, zatłoczonym barze na drugim końcu terminalu, najdalej od poczekalni El Al, jak się dało, na wypadek gdyby Selome czekała na samolot. Dwa drinki, które wypił, kosztowały dwanaście dolarów; był wdzięczny, że europejscy barmani nie spodziewają się napiwków, bo nie był w nastroju do okazywania wdzięczności.

Na drinki właściwie też nie miał ochoty, ale musiał czymś splukać gorycz, która osiadła mu w gardle. Kłamali mu już najlepsi, ale Selome Nagast była mistrzynią świata. Uwierzył w jej historyjkę od chwili, kiedy usiadła obok niego w samolocie, a od początku powinien był wiedzieć, że jest wystawiany.

– Dziwka – mruknął, zły bardziej na siebie niż na nią. Wziął swoje dwie walizki i ruszył z powrotem korytarzem.

Skoro nie może ufać Selome Nagast ani Prescottowi „Mów Mi Bill” Hyde’owi, jest zdany tylko na siebie. Równie dobrze człowiek, który ma go odebrać w Afryce, Habte Makkonen, mógł zostać opłacony, by wpakować mu nóż pod żebro tuż za drzwiami hali przylotów.

Zbliżając się do poczekalni, znów się rozejrzał. Selome siedziała plecami do niego, patrząc przez okno na niebiesko-biały samolot, który miał ją zabrać do Izraela i jej tajemniczych panów. Świadomość, że jego pierwsze podejrzenia się potwierdziły, wprawiła Mercera w jeszcze podłęjszy nastrój. Stał tak, by móc ją obserwować, samemu nie będąc widzianym.

Zastanawiał się, jaki może być związek między porwaniem Harry’ego przez terrorystów z Bejrutu a izraelską agentką próbującą zdobyć jego zaufanie. Mercer wiedział, że Izraelczycy interesują się wszystkimi aspektami terroryzmu, które mogą dotyczyć ich kraju, ale jak się do tego ma Harry – czy on sam, skoro o tym już mowa? Jakikolwiek jest to związek, konsekwencje mogą być straszne. Na Bliskim Wschodzie zajęcie miejsca pomiędzy Arabami i Żydami oznacza często wyrok śmierci. W chwili zagrożenia obie strony najpierw strzelają, a za niewinnych złapanych w krzyżowy ogień przepraszają dopiero później. Albo wcale.

Jak trwająca od pokoleń wojna między muzułmanami i żydami ma się do tego, co chce osiągnąć w Erytrei? Diamentonosny komin może być wart miliardy dolarów, ale jak Izrael czy islamska grupa ekstremistów miałyby z tego skorzystać, skoro złoża leżą tysiące kilometrów od nich? Odpowiedź na to pytanie

oddaliła się wraz z Selome znikającą w korytarzu prowadzącym do samolotu.

Mercer poderwał głowę i spojrzał na zamontowany pod sufitem głośnik – zdawało mu się, że usłyszał swoje nazwisko. Wiadomość powtórzono, tym razem po angielsku, tym samym znudzonym damskim głosem.

– Pasażer doktor Philip Mercer, proszę odebrać biały telefon. Kilka kroków dalej na ścianie wisiał rząd aparatów.

– Mówi Philip Mercer.

– Uno momento, per favore.

Na linii odezwał się męski głos nieznanym Mercerowi.

– Mamy parę rzeczy do omówienia, doktorze Mercer. Kilka spraw, które, jeśli teraz ich nie ustalimy, przysporzą przykrości pana przyjacielowi.

O Jezu! Mercer poczuł, że żołądek mu się kurczy, a od skoku adrenaliny jeżą mu się włoski na rękach.

– Z Harrym wszystko w porządku?

– To, co się wydarzyło na Dullesa, nie ujdzie panu bezkarnie, ale nie pan poniesie konsekwencje. Zapłaci za to Harry White. To, że nie zabiję go od razu, niech pan potraktuje jako ostatnie ostrzeżenie. Jeśli będzie pan próbował go odnaleźć albo nas zaatakować, on umrze śmiercią straszniejszą, niż jest pan sobie w stanie wyobrazić.

Zadzwonili do niego kilka sekund po tym, jak Selome wyszła z poczekalni, uświadomił sobie Mercer, a to nie mógł być zbieg okoliczności. Do głowy przyszły mu dwie rzeczy: porywacze

Harry'ego nie chcą, żeby Selome wiedziała, że Mercer wciąż jest na lotnisku i ją śledzi albo...

Zaczął rozglądać się po korytarzu, szukając kogoś stojącego przy jednym z niezliczonych automatów albo rozmawiającego przez komórkę.

– Bardzo dobrze, doktorze Mercer. Jest pan obserwowany. Jestem niedaleko i jeśli nadal będzie mnie pan szukał, obiecuję, że Harry White nie dożyje zachodu słońca.

Mercer znieruchomiał. Porywacz jest kilka kroków od niego. Niemal czuł jego spojrzenie na karku; podświadomie się zgarbił, żeby stanowić jak najmniejszy cel. Wiedział, że nie chcą go zabić – zrobił to odruchowo.

– Ponieważ nie chciałem, żeby była w pobliżu podczas naszej rozmowy, domyślił się pan pewnie także, że mam ostrzeżenie dotyczące panny Nagast. Powiem tylko tyle, że jeśli stanie jej się jakakolwiek krzywda, jeśli powie jej pan o tym, że zna pan jej izraelskie powiązania, albo spróbuje wycofać się ze swojej umowy z nią i Prescottem Hyde'em, Harry White umrze. Może pan w to nie wierzyć, ale Selome to jedyna osoba, której może pan w tej chwili ufać. Oboje macie ten sam cel, doktorze Mercer. To także mój cel. Możemy razem znaleźć tę kopalnię diamentów albo mogę zrobić to sam, a pan, Selome Nagast i Harry White zostanieie wyrzuceni jak śmiecie. Wybór należy do pana. Niech pan kiwnie głową, jeśli pan rozumie.

Mercer zrobił, co mu kazano, chociaż w rzeczywistości niczego nie rozumiał.

– Skontaktujemy się z panem za dwa dni w hotelu Ambasoira. Ustalimy wtedy procedury informowania nas przez pana o swoich postępach. I proszę pamiętać, panna Nagast to pański najsilniejszy sprzymierzeniec. Kiedy się rozłączę, ma pan zostać na swoim miejscu. Proszę się nie odwracać. Obserwuje pana także drugi członek mojego zespołu. Jeśli zobaczy, że pan choć drgnął, nie wyjdzie pan z tego lotniska żywy.

Głos zamilkł. Mercer stał kilka chwil bez ruchu, czekając, aż dzwoniący będzie poza zasięgiem jego wzroku. Nie wierzył, że jest jakiś drugi obserwator, ale nie zamierzał tego sprawdzać.

Ibriham stał pięćdziesiąt metrów dalej, patrzył na Mercera przez zoom aparatu fotograficznego. Mercer czekał, jak mu kazano. Ibriham chrząknął z zadowoleniem i odwrócił się spokojnie, znikając w tłumie.

Po katastrofalnym uprowadzeniu Harry'ego White'a został w Ameryce, by zatrzeć wszelkie ślady łączące jego grupę ze strzelaniną na lotnisku. Mimo to było jedynie kwestią czasu, kiedy FBI ustali ich tożsamość. Ludzie, którzy stracili życie i broń, musieli ich zdradzić. Ibriham mógł tylko mieć nadzieję, że podsuwane fałszywe tropy, broń i język, którym posługiwali się rozmyślnie podczas porwania White'a, zmylą FBI na wystarczająco długo.

Zatrzymał się w hotelu pod Waszyngtonem, obserwując Mercera po fiasku na Dullesa. Zdobycie biletu na ten sam lot do Rzymu wymagało trochę zachodu, ale Ibrihamowi pomagali hakerzy.

Jak każdy doświadczony agent terenowy wiedział, że nawet najlepsze plany sypią się po otwierającym gambicie. Można

przewidzieć pierwsze posunięcia przeciwnika, planować na tuzin ruchów naprzód, ale kiedy w końcu wychodzi kontra, do tego z niespodziewanego kierunku, trzeba natychmiast obmyślić grę na nowo, stworzyć całkiem nową strategię i wprowadzić ją w życie bez zwłoki.

Kiedy zaczynał, był o cały gem przed Philipem Mercerem, ale Amerykanin szybko go doganiał. Ibriham wciąż miał przewagę, ale nie wiedział jednak, jak długo ją utrzyma. Rozciągnięcie ochrony na Selome Nagast było ryzykiem wkalkulowanym, które mogło bardzo łatwo wybuchnąć mu w twarz. On i jego zespół stąpali po bardzo cienkim lodzie – wiedział to od chwili, kiedy przyjął to zadanie – a z każdym dniem i każdym nowym zwrotem akcji niebezpieczeństwo było coraz większe.

Gdyby jednak Mercer znalazł kopalnię, Ibriham nie potrafiłby wyrazić, jak bardzo pomogłoby to jego narodowi. Z pewnością podwoiłoby oddanie Żydów Bogu, nie tylko na Bliskim Wschodzie, ale na całym świecie – posiadaliby relikwię z przeszłości, zaginioną przez tysiące lat, baśniowy fragment dziejów. Prorok jedyne prawdziwego Boga usłyszał Jego słowa i zaniósł je swojemu ludowi – a Ibriham mógłby wejść w posiadanie pierwszego, podyktowanego boskim głosem tekstu.

Usłyszał jakieś zamieszanie za sobą i odwrócił się. Jednocześnie gwar rozmów w terminalu przeciął wrzask. Mężczyzna za Ibrihamem wyjął spod Kurtki pistolet maszynowy o krótkiej lufie. Ibriham nie zdążył zareagować, zanim tamten nacisnął spust, strzelając na oślep.

Obserwator Philipa Mercera nie wiedział, że sam jest obserwowany.

Wściekłość niespodziewanego ataku sparaliżowała go na ułamek sekundy. Jego wyszkolenie przejęło kontrolę, mózg przeszedł na tryb automatyczny. Pierwszych kilka kul chybiło, rozrywając ścianę i podłogę na prawo od niego, wyświetlacz eksplodował w fontannie szkła i iskier. Ibriham rzucił się w lewo, padł na wykładzinę i poturlał, ale był zbyt odsłonięty, by dotrzeć pod osłonę żywy. No i nie miał broni. Zobaczył, że strzelec celuje starannie. Jakaś kobieta dostała dwie kule w pierś i padła w tył jak marionetka z odciętymi sznurkami.

Na ziemię runęły jeszcze dwie osoby, podłogę pokryły obsceniczne kałuże śliskiej krwi. Ibriham znów się przetoczył, ukrył na chwilę za trupem grubego mężczyzny w jasnym płaszczu. Cztery kule szarpnęły zwłokami, piąta trafiła Ibrihama w łydkę i mimo lat wojskowego doświadczenia przesunął się odruchowo, by mniej bolało. Na ułamek sekundy oderwał się od ziemi i kolejna seria z pistoletu maszynowego trafiła go prosto w pierś. Szok i utrata krwi rozpoczęły wyścig, co zabije go pierwsze.

Jego serce przestało bić, kiedy nie miało już czego pompować.

Strzelający, wysoki Afrykanin w stroju pracownika firmy cateringowej, odwrócił się do okna wychodzącego na płytę lotniska i wystrzelał cały magazynek. Wielka płyta podwójnego szkła eksplodowała lawiną odłamków. Od chwili gdy mężczyzna wyjął broń, minęły cztery i pół sekundy.

W chaosie, jaki zapanował, strzelec wyskoczył przez strzaskane okno, opadając na asfalt sześć metrów w dół. Nikt nie

miał odwagi wyrzeć i zobaczyć, jak biegnie, dopóki nie schował się pod niskim brzuchem boeinga 737. Natychmiast zerwał z siebie uniform. Pod spodem miał kombinezon sprzątacza. Stał się anonimowy i zniknął – kolejny imigrant wykonujący pracę fizyczną, której nie chcieli Europejczycy.

Mercer dotarł na miejsce jatki kilka sekund po ucieczce strzelca. Serce waliło mu jak młotem. W pierwszej chwili myślał, że ktoś strzela do niego. Znieczulił się na otaczającą go śmierć i dokładnie przyjrzał się każdej z ofiar. Z pięciu zabitych osób zwrócił uwagę na jedną – mężczyznę pasującego do opisu porwaczy Harry’ego. W kieszeni jego marynarki znalazł komórkę.

Spojrzał na telefon, potem na twarz zabitego, zapamiętując ją.

– Spotkamy się w piekle – mruknął pod nosem. – A wtedy pożałujesz, że zginąłeś.

Zniknął, zanim zjawiła się ochrona lotniska i karabinierzy.

ASMARA, ERYTREA

Kiedy ktoś go pytał, Habte Makkonen mówił, że jest z zawodu stolarzem. Przyciśnięty przyznawał, że podczas etiopskiej okupacji pracował w odkrywkowej kopalni miedzi, w południowej Erytrei należącej do Japończyków. Ukrywanie prawdy nie wynikało z jego natury – robił to, by chronić swoją prywatność.

Była to mentalność ocalałego, a Habte ocalał. Nauczył się tego w młodości, a umiejętność pozostawiania przy życiu ukształtowała jego dorosłe życie. Miał w sobie jakąś milczącą rezerwę, która sprawiała, że umyślnie i konsekwentnie od wszystkich się izolował.

Mało kto znał jego dokonania z czasów wojny o niepodległość, i byli to wyłącznie Erytrejczycy. Z etiopskich, kubańskich i rosyjskich żołnierzy, których spotkał podczas piętnastu lat służby, niewielu przeżyło, by móc o nim opowiedzieć – o jednym z najdzielniejszych żołnierzy, którzy przetrwali wojnę. To, że wyszedł z niej bez żadnych obrażeń, zakrawało na cud.

Habte poświęcił się walce o wolność swojego narodu, ale sam nie mógł znaleźć miejsca w świecie, który pomógł stworzyć. Dystansował się od wszystkiego, będąc przekonany, że któregoś dnia kruchy pokój legnie w gruzach. Nie pozwalał sobie na powojenną bez troskę, bo za dobrze znał cenę pokoju – i jego nietrwałość.

Mierząc metr siedemdziesiąt wzrostu, chudy pod czarnym, skórzanym płaszczem, nie wyglądał na jednego z najniebez-

piecniejszych ludzi w Afryce, chociaż miał na swoim koncie siedemdziesiąt pięć potwierdzonych ofiar. Palił nerwowo, z palcami nieustannie w ruchu, podnosząc do wąskich ust papierosa za papierosem. Ręce miał nieproporcjonalnie długie – wystawały z rękawów płaszcza. Pod spiczastym nosem nosił cienki wąsik, niewiele więcej niż starannie przystrzyżoną szczecinę.

Habte nie był przystojny w tradycyjnym zachodnim rozumieniu, ale było w nim coś, co zwracało uwagę ludzi czekających razem z nim na samolot z Rzymu. Choć stał w samym środku tłumu, czuł się od niego oddzielony. Kolega powiedział mu kiedyś, że ma spojrzenie tysiacletniego starca. Habte zachnął się wtedy, ale każdy, kto na niego patrzył, zgodziłby się z tym. Ludzie dostrzegali w nim kogoś ważnego i zostawiali go w spokoju, był wysepką w tłumie czekających na przylot samolotu Ethiopian Airlines.

Port lotniczy w Asmarze był potężnym gmachem, wzniesionym kilka lat wcześniej z optymistycznym podejściem do przyszłości Erytrei. Miał przepustowość czterokrotnie większą, niż była potrzebna w tej chwili. Choć betonowy, zatrząsł się cały, gdy samolot z Rzymu podszedł do lądowania. Oczekujący zaczęli wiwatować, bo lot był opóźniony. Kiedy ludzie ruszyli do okien, ze zniecierpliwieniem wyglądając najbliższych, instynkt kazał Habte wzmóc czujność.

Z tyłu czekała grupa sudańskich uchodźców. Nie było niczego dziwnego w tym, że byli to sami mężczyźni – w ich kulturze kobietom rzadko pozwalano pokazywać się publicznie. Uwagę Habtego zwróciły ich ponure twarze i to, że wszyscy byli ładnie

ubrani – w lekkie spodnie i koszule rozpięte pod szyją. Wyglądali na tyle niedorzecznie, że go to zaalarmowało, a kiedy przyjrzał im się dokładnie, zrozumiał, że to shifta, sudańscy bandyci. Był żołnierzem wystarczająco długo, żeby rozpoznać w nich ludzi nawykłych do walki.

Spokojnie wmieszał się w tłum i przesunął tak, by stanąć za nimi, trochę po lewej. Z tej odległości zobaczył, że jeden z bandytów trzyma w ręku kartkę z wydrukiem zdjęcia białego mężczyzny. Habte rozpoznał tę twarz – Selome Nagast opisała mu Philipa Mercera. Pod wyłożoną na spodnie koszulą Sudańczyka zobaczył wypukłość pistoletu.

Kiedy pasażerowie zaczęli wysypywać się do terminalu, Sudańczycy przyglądali się każdej twarzy, przeskakując wzrokiem od podróżnych do zdjęcia. Wreszcie nadszedł biały mężczyzna, ostatni z podróżnych. Bandyci i Habte rozpoznali go w tej samej chwili. Z dwustu pięćdziesięciu osób w terminalu tylko Habte poczuł napięcie, które skaziło powietrze.

Czuł się bezradny. Nie był uzbrojony, bo w Erytrei nie wolno mieć broni, a nie pokładał zbyt wielkiej wiary w dwóch znudzonych żołnierzach obserwujących pasażerów. Wojna skończyła się zbyt dawno, Habte stał się miękki.

Jeszcze kilka lat temu natychmiast obmyśliłby jakiś plan. Teraz stał beczynnym i patrzył, jak Mercer zbliża się do czoła kolejki do odprawy, z walizkami w obu rękach. Przywódca Sudańczyków zmiął wydruk w dłoni, drugą wsunął pod koszulę i położył ją na kolbie pistoletu.

Z nadzieją, że dobiegnie do Mercera, zanim osiągną go bandyci, Habte popędził przez terminal, roztrącając rozradowane rodziny. Jednocześnie z nim ruszył przywódca Sudańczyków, o wiele mniej delikatnie traktując tych, którzy stali mu na drodze. Nie zauważył chyba, że Habte interesuje się tym samym białym mężczyzną. Jego trzej towarzysze pobiegli za nim, nieświadomie przecinając Habtemu drogę.

Mercer stał przy okienku odpraw, z walizkami na podłodze i rozłożonym przed sobą paszportem. Wyrażna, jasnoróżowa wiza erytrejska świeciła na samym środku kartki, czekając na urzędową pieczęć. Habte przyspieszył kroku, by wyprzedzić bandytów; zerknął za siebie i zobaczył, że pistolet shifta wciąż jest schowany. A więc nie chcą zabić Amerykanina, pomyślał. To dało mu to swobodę działania, której się nie spodziewał.

Skręcił gwałtownie, ale tłum wyhamował jego pęd. Zamachnął się pięścią i z całej siły uderzył. To wystarczyło, by posłać najbliższego Sudańczyka na podłogę, ze szczęką złamaną albo wybitą. Kilka kobiet wrzasnęło. Habte wykorzystał zamieszanie, obrócił się tak, by dosięgnąć kolejnego shifta, a zarazem trzymać się z dala od uzbrojonego przywódcy. Pozwolił, by zegarek zsunął mu się na pięść, a potem wyrzucił nim Sudańczyka w twarz. Trzy szybkie ciosy powaliły mężczyznę na ziemię z ustami i policzkami pociętymi przez ostre krawędzie zegarka.

Dwaj erytrejscy żołnierze pilnujący hali przylotów ożywili się i ruszyli biegiem, przekrzykując hałas. Mercer przeszedł przez bramkę nieświadomy zamieszania. Zanim przywódca Sudańczyków zdążył zareagować, Habte złapał Mercera za

ramię. Rozległ się strzał; huk odbił się nieprzyjemnym echem. Ciągając Mercera za sobą, Habte uchylił się i wypadł na zewnątrz przez drzwi terminalu. Miał fiata sedana – gdy tylko wepchnął Mercera na tylny fotel, odpalił silnik, wzbijając kłęby kurzu na gruntowej drodze.

– Witamy w Erytrei, doktorze Mercer. Jestem Habte Makkonen – powiedział, czując ulgę i zdziwienie, że udało mu się uciec z lotniska. Policja potrzebowała kilku godzin, by dojść, co się stało, jeśli w ogóle zadała sobie trud.

– Je ne comprend pas. Je m'appelle Claude Quesnel. – Pasażer Habte-go prawie wpadł w histerię. – Qu ,est-ce que se passe maintenant? Et qui est docteur Mercer?

RZYM, WŁOCHY

Posepny deszcz i gnane wiatrem fale chłostały magazyny niedaleko lotniska. Krople łomotały w blaszane dachy i ściany olbrzymich hal jak grad, tak głośno, że nawet ryki odrzutowców w oddali brzmiały przy tym jak niewyraźne buczenie. Było zimno, za zimno jak na kwiecień. Burza przysłała z północy – niespotykane zjawisko – przynosząc lodowate powietrze z Alp. Pogoda sprawiała, że noc była wyjątkowo ciemna i złowroga.

Magazyny należały do jednej z wielu firm Giancarla Gianellego, tak samo jak sunąca w stronę jednego z nich limuzyna. Były to składy celne – co oznaczało, że ich zawartość przeszła już odprawę i jest trzymana w bezpiecznym miejscu. Magazynów pilnowali celnicy, podobnie jak w wielu innych punktach przeładunkowych w całej Europie i poza nią, ale odpowiednia suma lirów w odpowiedniej kieszeni zapewniła ich mniej zasadnicze podejście do dzisiejszej warty.

Przed magazynem stały wielkie ciężarówki, wiele z gotowymi do załadunku naczepami. W ciemności wyglądały jak śpiące prehistoryczne bestie. Liczne wrota magazynów przystosowano do ich rozmiarów, można było je otworzyć sygnałem z pilota. Ochroniarz jadący na przednim siedzeniu mercedesa właśnie to zrobił.

Dopiero kiedy wrota znów się zamknęły, kierowca wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi swojemu pasażerowi. Jakby ktoś to przecwiczyl – kiedy tylko stopy Gianellego dotknęły

podłogi, zapaliły się setki reflektorów. Przez chwilę brzęczały, rozgrzewając się, po czym skąpały magazyn w ostrym, białym świetle.

Gianelli rozprostował fałdy długiego płaszcza, upewniając się, że warte cztery tysiące dolarów okrycie nie dotyka oleistych plam na betonie. Garnitur pod spodem kosztował tyle samo. Mimo brudnego otoczenia Gianelli wyglądał elegancko jak zwykle – bez jednej fałdki na ubraniu czy jednego niesfornego włosa.

Po obu stronach piętrzyły się na kilka metrów w górę stopy skrzyń i pudeł. Przejścia między nimi były szerokie tylko na tyle, by przejechał nimi jeden z żółtych wózków widłowych zaparkowanych pod wrotami załadunkowymi. W części magazynu stały specjalne kontenery, a ich gabaryty pozwalały maksymalnie wykorzystać przestrzeń w samolotach transportowych. W hali czuć było zapach szalejącej na zewnątrz burzy, a także zapach maszyn i setek ludzi, którzy na co dzień tu pracowali.

Gianelli leniwie obejrzał najbliższą paletę skrzyń, czytając zafoliowany list przewozowy. Każda skrzynia zawierała dwadzieścia milionów dawek leku na malarię jadącego do Kongo. Gianelli uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami. Nie wiedział, że akurat ta paleta będzie stała najbliżej i uznał to za dobry znak. W pudełkach faktycznie były pigułki, hermetycznie zamknięte i gotowe do dystrybucji przez służbę zdrowia jednego z najludniejszych państw Afryki. Przypomniał sobie, że w tabletkach są nawet pewne czynne składniki – ale tylko tyle, by przejść inspekcję, gdyby Afrykanom chciało się sprawdzać. Większość

jednak stanowiły środki biologicznie neutralne. Leki były bezwartościowe.

Gianelli sprzedawał placebo warte dwadzieścia tysięcy dolarów za równy milion, a wiedział, że do wysyłki gotowych jest dwadzieścia takich transportów. Dwadzieścia milionów dolarów zysku, a jedynymi ofiarami przekrętu miała być gromada tępych czarnuchów, którzy nawet gdyby dostali prawdziwe lekarstwa, i tak niedługo pozdychaliby na coś innego. Gianelli dopiero wszedł na rynek podrobionych leków, ale szybko przebiegał się do czołówki.

Za pierwszym rzędem kontenerów specjalnie na tę noc zrobiono wolne miejsce. Stały tam dwa wózki widłowe, tak blisko, że ich widły zachodziły na siebie jak splecione palce. Obok nich kilku mężczyzn wyraźnie czekało na Gianellego. Między wózkami stał sudański terrorysta, który wystrzelił morderczą salwę tego dnia w terminalu. Został rozebrany do naga – jego pierś lśniła od potu mimo zimna. To był pot śmiertelnego strachu. Grubymi kablami przywiązano mu stopy do wideł jednego wózka, pierś pod pachami do drugiego.

Gianelli podszedł do grupy mężczyzn ze znużonym wyrazem twarzy, jakby był zły, że musi się zajmować czymś tak banalnym. Bez żadnego wstępu dał znak jednemu ze swoich ludzi, a ten podniósł do oka kamerę wideo i zaczął nagrywać, najpierw Sudańczyka, potem Giancarla.

Gianelli przemówił tonem równie zblazowanym, jak jego mina.

– Przez ostatnich kilka lat współpracowaliśmy z dużym powodzeniem, a ja płaciłem ci bardzo hojnie za twoje usługi, tak hojnie, że twój ruch rewolucyjny zaczyna odnosić sukcesy w obalaniu rządu Sudanu. – Mówił do mężczyzny stojącego przed nim, ale słowa były skierowane do tego, kto będzie słuchał nagrania. – Aż do dzisiaj spisywałeś się dobrze. Ale dzisiejsza katastrofa zmusza mnie do przypomnienia ci, kto kieruje tą operacją. Ten głupiec przede mną miał obserwować Philipa Mercera i ustalić, czy ktoś go śledzi lub się z nim kontaktuje. Nie wydałem polecenia, żeby strzelać z broni automatycznej na pełnym ludzi lotnisku. Przez ciebie nie dowiemy się, kto się skontaktował z Mercerem, nie wspominając, o tym, że Mercer mógł przez wasze działania zginąć. – Nagle wybuchnął. – Ty durna, pieprzona małpo! Przez ciebie Mercer ma opóźnienie i możemy nie przechwycić go w Asmarze. W Erytrei wzmocniono ochronę, więc nie da się go porwać, kiedy wylądje. Nie spytam, o czym w ogóle myślałeś, bo wiem, że nie jesteś zdolny do myślenia.

Wbił spojrzenie w cyklopowe oko kamery.

– Niech to będzie nauczka dla was wszystkich, bezbożni bydłojebcy. Dał znak operatorom wózków widłowych i maszyny z warkotem ożyły.

Kamerzysta uchwycił Sudańczyka przywiązanego do wideł. Mężczyzna wytrzeszczał oczy i bezgłośnie poruszał ustami – nie wiadomo, modląc się czy błagając o przebaczenie.

Gianelli skinął głową. Widły uniosły się równocześnie, podnosząc Afrykańczyka nad ziemię. Wrzasnął przejmująco, głośniej niż pracujące diesle. Jeden operator zatrzymał ruch wideł

w górę, a drugi nie. Po chwili Sudańczyk został rozciągnięty w nowoczesnej wersji średniowiecznego narzędzia tortur. Napięcie kabli było niewielkie, krew odpłynęła mu tylko z twarzy i zaczął głośniej krzyczeć, ale jeszcze nie cierpiał. Kamera zwróciła się znów na Gianellego.

– Patrz uważnie, Mahdi – powiedział do swojego przyszłego słuchacza. – Zawiodłeś mnie raz, wysyłając tego idiotę do tak delikatnego zadania. Jeśli zawiedziesz mnie znów, spotka cię gorszy los.

Jeden z operatorów zwiększył moc i widły zaczęły się rozsuwać, jedno w górę, drugie w dół. Wrzaski rozciąganego nieubłagane Sudańczyka były coraz straszniejsze. Napięta do granic wytrzymałości skóra zrobiła się nienaturalnie szara, wyglądał jak karnawałowe dziwadło.

A widły wciąż się rozsuwały. Linki owinięte pod pachami i wokół kostek mężczyzny zrobiły się czerwone, po jego ciele popłynęła krew. Ciało ustąpiło jednak niewiele i wkrótce liny zatrzymały się na kości. Wtedy zaczęły rozrywać szkielet.

Gianelli prowadził rozmowę z jednym ze swoich poruczników, kiedy tortury dobiegły do nieuniknionego końca. Wrzaski Sudańczyka zakończył mokry odgłos rozdzierania i zawartość jego klatki piersiowej rozbryznięta się na betonie. Rozczłonkowanie nastąpiło tak szybko, że Giancarlo nie zdążył uchylić się przed krwią tryskającą z trupa. Przestraszony i zły, zerwał płaszcz i rzucił go w kałużę wnętrzności pod kołyszającymi się szczątkami.

– Wyłącz tę kamerę i jedźmy stąd – warknął do kierowcy. – Zadzwoń do mojego pilota. Dziś nocujemy w Rzymie. Po tym,

co się stało dzisiaj po południu, na pewno chwilę potrwa, zanim lotnisko znów zacznie działać. Powiedz mu, żeby przełożył lot na jutro.

Usiadł w wygodnym fotelu swojej limuzyny. Choć samo morderstwo nie było dla niego problemem, martwiło go, że w ogóle musiał się do tego posunąć. Jego sudańscy najemnicy byli niewiarygodnie lojalni, wypełniali polecenia bez zbędnych pytań i nie popełniali błędów. Wrócił myślami do archeologa sprzed kilku miesięcy, przykładu ich skuteczności. Teraz jednak nie stać go było na pobłażliwość. W miarę jak operacja nabierała rozpędu, przez operację miał polegać na nich coraz bardziej. Dzisiejszy makabryczny pokaz był tylko upomnieniem.

Jeszcze bardziej niepokojący niż wpadki w Rzymie i Asmarze był fakt, że Gianelli nie miał pojęcia, kto skontaktował się z Mercerem na lotnisku. Działały tu jeszcze jakieś siły, jakaś inna grupa, o której nic nie wiedział i której nie kontrolował. Spekulowanie, kto to może być, nie miało sensu, ale nie mógł się powstrzymać. Zastanawiał się, kim są ci ludzie i skąd wiedzą o ukrytej kopalni. Jego ukrytej kopalni.

BLISKI WSCHÓD, MIEJSCE NIEZNANE

Wieści o śmierci Ibrihama w Rzymie doszły do Jozefa dopiero dzień po fakcie, bo nocą zespół był w ruchu – przenosił się z wraz z więźniem z kryjówki w Libanie w bardziej bezpieczne miejsce. Ukryli się teraz w domu położonym niedaleko gwarne go centrum miasta, ale odgrodzonym od niego kamiennym murem. Dom przylegał do sąsiednich na bliskowschodnią modłę, ale od kilku lat stał pusty.

Okolica była zamieszкана przez ludzi sympatyzujących z ich sprawą, którzy nie donieśli by, że w pustym dotąd budynku nagle pojawiło się dziesięć osób – jedenaście, gdyby wiedzieli, że w pozbawionej okien piwnicy siedzi Harry White. Ta lokalizacja zapewniała więcej wygód, ale wciąż była zbyt ryzykowna, by pozostać tu do końca misji. Odkrycie przez policję albo specjalne służby śledcze oznaczałoby strzelaninę lub egzekucję po szybkim procesie wojskowym bez obrońców. Poza tym wszystkim Jozef musiał zaplanować następne przenosiny, najpóźniej za tydzień, jeśli chciał przestrzegać żelaznych zasad korzystania z bezpiecznych domów.

Wiadomość o śmierci bratanka nie wywołała u niego żadnej reakcji. Ale kilkoro członków zespołu, którzy wcześniej z nim pracowali, wiedziało, że źle to zniósł. Okrył się jakby nowym pancerzem, nową skorupą ochraniającą go przed cierpieniem, na jakie był narażony, wykonując taką pracę.

Kilkoro członków zespołu siedziało przy stole w jadalni, pijąc wodę i kawę. Był ranek, pierwsze chwile, kiedy mogli się odprężyć. Reszta grupy albo spała, albo była na zakupach. W jadalni panowała ciężka atmosfera żalu i poranny chłód, przesączający się przez otynkowane ściany.

Jozef nigdy dotąd nie korzystał z tego konkretnego domu, ale przypominał mu on mnóstwo innych, w których spał, pracował i zabijał. Sam wybrał takie życie, i choć nie żałował swojej decyzji, brzemień stawało się coraz cięższe. Strata Ibrihama była ostatnim ciosem, który mógł znieść.

Nikt przy stole się nie odzywał. Wszyscy czekali, aż Jozef, nowy przywódca, obejmie dowodzenie. Jozef milczał, paląc papierosa za papierosem, aż stojąca przed nim popielniczka zapełniła się po brzegi. Tego ranka postarzał się o dziesięć lat.

– Jaki jest stan naszego więźnia? – spytał w końcu, odwołując się do najważniejszych.

– Stabilny, na ile to możliwe – odparł jeden z jego ludzi. – Jest o wiele spokojniejszy i chętniej współpracuje, odkąd zaczęliśmy mu dawać papierosy.

– Jego urazy?

– Jak na starego człowieka, rany goją się zadziwiająco szybko. Z jego ręką wszystko w porządku. – To powiedziała pielęgniarka, pracująca w organizacji od roku.

Jozef zapalił kolejnego papierosa, patrząc, jak siwoniebieski dym unosi się spiralą pod krokwie wysokiego sklepienia. Nie mrugał, choć dym szczyptał go w oczy. Pytające spojrzenia sprawiały, że miał ochotę uciec z tego pokoju, z tego domu, z

całej organizacji. Ale najpierw Philip Mercer musi zapłacić za śmierć jego bratanka.

Zmusił się do porzucenia tych rozmyślań.

– Nie ma sensu roztrząsać tego, co się stało. Wszyscy wiemy, że Ibriham nie żyje, a to stawia mnie na jego miejscu. Nie chcę tego, ale to nie ma znaczenia.

Jeśli chcą usłyszeć podnoszącą na duchu przemowę, muszą jej poszukać gdzie indziej, pomyślał.

– Działamy dalej tak jak do tej pory. Jedyłą znaczącą zmianą planów jest to, że ja polecę do Erytrei, żeby mieć oko na Mercera razem z tymi, którzy i tak mieli tam jechać. Poza tym, kiedy operacja się zakończy, nasz więzień ma zostać stracony. Amerykaninem zajmę się sam.

– Nie chciałbym kwestionować twojego autorytetu, Jozefie – odezwał się najmłodszy członek zespołu – ale pogarszanie sytuacji dwoma kolejnymi trupami nie pomoże naszej sprawie. Według naszych informacji Mercer nie miał nic wspólnego z zamordowaniem Ibrihama. Zabicie go tylko ściągnie na nas uwagę.

Twarz Jozefa znów niczego nie wyrażała, ale jego głos był zabójczo zimny.

– Zabicie Mercera nie ma nic wspólnego z naszą sprawą, to sprawa osobista. I nikt się o tym nie dowie. Erytrea to duży i niebezpieczny kraj. Jeden więcej zakopany na pustyni trup nikomu nie zrobi różnicy.

Spojrzał na siedzących przy stole, by przekonać się, czy ktoś jeszcze będzie kwestionował jego decyzję, ale nikt nie chciał

spojrzeć mu w oczy. Musi utrzymać ludzi w gotowości jeszcze przez kilka tygodni, do wyborów. Nie obchodziło go już, co się stanie potem – z nimi, z nim samym, czy, Boże uchroni, z Izraelem.

Wrócił myślami do śmierci swojej siostrzenicy, kuzynki Ibrihama, lata temu. Została zastrzelona przez izraelskiego żołnierza, którym ten wypadek tak wstrząsnął, że nie był w stanie wrócić do czynnej służby. Ibriham bardzo przeżył jej śmierć, Jozef obawiał się, że bratanek, szukając zemsty, wstąpi do jakiegoś palestyńskiego ugrupowania. Ale dzień później bomba na przystanku autobusowym w Tel Awiwie zabiła jedenaścioro Izraelczyków. Telewizja pokazała wiwatujące tłumy studentów w Gazie, świętujących męczeństwo zamachowca samobójcy. Tego wieczoru Ibriham przyszedł do wuja i poprosił, żeby wciągnął go do Mossadu. Współczucie żołnierza zrobiło na nim takie wrażenie, a wyjące tłumy wzbudziły w nim takie obrzydzenie, że wewnętrzny konflikt rozdzierający go od dzieciństwa znikł. Ibriham powiedział, że przede wszystkim jest Żydem i chce być taki jak jego stryj: poświęci się obronie żydowskiej ojczyzny.

Od tamtej pory jego niepewność ustąpiła miejsca gorliwości, zmuszającej go do nieustępliwego pięcia się w górę w szeregach Mossadu. W ciągu dwóch lat został najlepszym z agentów terenowych. Zwrócił w ten sposób na siebie uwagę obecnego ministra obrony Izraela, Chaima Levine'a, tworzącego tajną komórkę członków wojskowej i cywilnej grupy wywiadowczej do własnych, tajnych celów. Ibriham szybko przyjął propozycję Levine'a i wkrótce został przywódcą grupy dążącej do spełnie-

nia marzeń ministra. To Levine wciągnął Ibrihama, ale teraz odpowiedzialność spadła na barki Jozefa. Zespół patrzył na niego w milczeniu.

– Wiem, co sobie myślicie: stary zwariował. Myślicie, że mogę narazić powodzenie misji zemstą na człowieku, który tak naprawdę nam pomaga. Zapewniam was, Mercerowi nic się nie stanie, dopóki nie znajdzie kopalni, a my nie odzyskamy tego, co straciliśmy tak dawno temu. – Jozef przerwał, żeby nalać sobie wody. – Śmierć Ibrihama jest strasznym ciosem, nie tylko dla mnie, ale też dla was. Ale to nie znaczy, że się zatrzymamy. Już za kilka tygodni, jeśli nam się uda, odmłodzimy nasz naród i położymy fundamenty pod pewność, że Żydzi już nigdy nie będą pozbawieni swojego miejsca na ziemi. To prawda, mamy swoją ziemię, kupioną i utrzymaną za cenę krwi. Ale od założenia naszego państwa brakowało nam duszy. Istnieliśmy, żyliśmy i umieraliśmy, ale nigdy nie czuliśmy, że jesteśmy u siebie. Wielu uważało, że zajęcie Jerozolimy w 1967 roku da nam tę duszę – Zachodni Mur, od pokoleń znany jako Ściana Płaczu, bo stał w granicach Jordanii, zbudowany przez samego króla Dawida, gdy ten wznosił Świątynię. To namacalny fragment tego, co kiedyś posiadaliśmy. Teraz jest nasz. – Jozef się skrzywił. – Mur z bloków piaskowca stojący w cieniu meczetu. Byłem tam tylko raz, jeszcze w sześćdziesiątym siódmym, jako żołnierz. Zabijałem, żeby odzyskać te kamienne bloki, zabijałem z radością. Od tamtej pory brzydzi mnie to miejsce. Więcej tam gapiących się turystów niż modlących się Żydów.

Walczyłem, zabijałem i o mało sam nie zginąłem za ten symbol. Zachodni Mur był pierwszym krokiem, ale nie miał być końcem tego, co chcieliśmy osiągnąć w naszej ziemi obiecanej. Dopiero kiedy rakiety Scud spadły na Jerozolimę i Tel Awiw podczas wojny w Zatoce, pewni ludzie przypomnieli sobie, że to nie koniec pracy, że Izrael nie jest jeszcze kompletny.

Za kilka tygodni Chaim Levine będzie premierem. Unieważni ustalenia pokojowe i znów wyjmie OWP spod prawa. Zamknie nasze granice na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy, zatrzymując hordy w slumsach, które same stworzyły sobie przejście. Nie będzie już zamachowców samobójców, bo kiedy skończymy z Palestyńczykami, wszyscy chętni, by zginąć za sprawę, będą już martwi. Wkrótce na fundamentach poprzedniczek powstanie Trzecia Świątynia, i będzie ona świętym sercem Żydów. Naszym zadaniem jest dopilnowanie, żeby w jej murach spoczęły słowa Boga. Tak stanowi nasze z Nim przymierze. Ibraham oddał życie za tę wiarę. Ale jego śmierć nie osłabiła mojej determinacji, nie powinna też osłabić waszej. Jesteśmy bliżej niż ktokolwiek od dwóch tysięcy lat. To, że chcę śmierci tego geologa Mercera, nie oznacza, że porzuciłem naszą sprawę.

Jozef zakończył najdłuższą przemowę w swoim życiu, czując gorycz i pustkę. Nie obchodziła go sprawa ani Chaim Levine. Wrócił z emerytury tylko po to, żeby pomóc Ibrahamowi. Ale jego śmierć dała mu cel, krucjatę ważniejszą dla niego niż wszystko inne. Jozef pragnął śmierci Philipa Mercera.

– Wylatuję dziś wieczorem z resztą zespołu erytrejskiego. Zanim wyjadę, porozmawiam z ministrem Levine'em o nowej

bezpieczniejszej kryjówce. Nie możemy tu długo zostać. Szukają nas Mossad i Szin Bet, a Levine nie może ryzykować, że nas złapią. Będzie musiał znaleźć bezpieczniejsze miejsce, najlepiej jakąś bazę wojskową albo placówkę badawczą na pustyni Ne-gew. Wiem, że chce się od nas zdystansować, na wypadek gdybyśmy wpadli, ale teraz, kiedy Ibriham nie żyje, potrzebujemy jego ochrony.

Jozef wiedział, że Levine poświęciłby wszystkich w tym pokoju, gdyby uważał, że mogą zagrozić jego szansie zostania premierem. Polityka w Izraelu stawiała się niebezpieczna jak w jakiejś dyktaturze Trzeciego Świata.

– Zanim zadzwonię do Levine’a, Mosze, zajrzyj do pana White’a i sprawdź, czy będziemy czegoś potrzebowali, kiedy będziemy go znowu przynosili. – Jozef zapalił kolejnego papierosa, wydmuchując kłąb dymu nad stół. – Pamiętaj, to będą ostatnie przynosiny, więc jeśli będzie miał jakieś specjalne życzenia, spełnij je. Chcę, żeby był w dobrym humorze na wypadek, gdybyśmy potrzebowali go do następnego nagrania dla Mercera.

– Tak jest – powiedział młody sabra i wstał od stołu, kierując się do piwnicy.

Ściany piwnicy zbudowano z nieotynkowanego kamienia, podłogę stanowiło klepisko ubite do niemal betonowej twardości. Powietrze, wilgotne i chłodne, cuchnęło pleśnią i zaniedbaniem. Drzwi z głównego korytarza prowadziły do celi Harry’ego White’a.

W drewnianych drzwiach nie było okienka, więc Mosze z pistoletem w dłoni odsunął zasuwę i kopnął je. W słabym świetle

dwóch brudnych żarówek zobaczył więźnia leżącego spokojnie na łóżku polowym z demobilu. Porywacze oddali mu ubrania i zapewnili minimum wygody.

Harry patrzył na nastolatka z pistoletem w ręku, a jeśli się bał, nie pokazywał tego po sobie. Rozpoznał strażnika z poprzedniej celi i uznał fakt, że ten nie kryje już twarzy, za bardzo zły znak.

– Może dałbyś mi coś do jedzenia, draniu. Nie jadłem od kilku dni.

W rzeczywistości nie minęło jeszcze dwanaście godzin, ale bez naturalnego światła wewnętrzny zegar Harry'ego zgłupiał. Mosze popatrzył na niego bez wyrazu.

– Och, na Boga! – prawie krzyknął Harry. – No wiesz, jedzenie. Śniadanie, obiad, kolacja, wszystko jedno.

Pokazał gestem jedzenie.

– Chcesz jeść? – Dla urodzonego w Izraelu Mosze angielski był językiem wyjątkowo trudnym.

– Pieprzony poganiacz wielbłądów. Tak, chcę jeść.

Harry wyprostował się na połówce. Zdjął protezę nogi i Mosze popatrzył z niezdrową fascynacją na pustą nogawkę zwisającą z krawędzi łóżka.

– I może jakąś gorzałę, skoro o tym mowa? Ręka mnie boli jak cholera. Mosze znów nie zrozumiał.

– No, wiesz, gorzała, gaz, procenty, alkohol. Nektar bogów, człowieku! Bourbon, gin, wódka, szkocka. Cholera, teraz oddałbym wszystko nawet za kolorowego drinka.

Harry wiedział, że nic z tego nie będzie. Położył się z powrotem, z braku poduszki podkładając ręce pod głowę.

– A, zapomnij. Może i mało wiem, ale wiem, że Allah zabrania wam, draniom, wszystkich przyjemności, więc po prostu się odwał.

Mosze odwrócił się, by wyjść.

– Tylko nie zapomnij o jedzeniu, głupi sukinsynu! – wrzasnął za nim Harry.

Znów został sam. Drzwi zamknęły się z ostatecznym hukiem. Usiadł, wyjął sztuczną nogę spod łóżka i przypiął ją pod spodniami.

Późno w nocy podali mu narkotyk – to sobie przypominał. Trzech mężczyzn go trzymało, a pielęgniarka wbijała mu igłę w ramię. Z podróży do tego nowego miejsca nie pamiętał nic. Pomieszczenie nie było w niczym lepsze ani gorsze od poprzedniego, tyle tylko, że nie miał już delirium. Budził się powoli, ze strachem, ale po dwudziestu minutach zrozumiał, że latające mały nie będą go już dręczyć. Ależ to był koszmar.

W jego opinii mogli sobie wziąć ten odwyk i wsadzić w odgniecione od wielbłądzich garbów tyłki. Większą część ostatnich czterdziestu lat spędził na unikaniu trzeźwości i nie był zachwycony, kiedy go do niej zmuszono. Oprócz tego, że nie miał już zwidów, był wdzięczny, że oddali mu ubranie.

Nawet dla niego samego widok nagiego osiemdziesięciolatka z jedną nogą był bardzo przygnębiający, zwłaszcza gdy usiłował sikać do małego nocnika, który mu dali. Ręce trzęsły mu się bardziej, niż się spodziewał, przez co pudło wał jeszcze częściej niż zwykle. Boże, Mały wykorkuje ze śmiechu, jak mu to opowiem.

Przez dziesięć minut leżał nieruchomo i rozmyślał. Miał przewagę, właściwie nawet dwie, o których jego porywacze nie wiedzą. Jedną było to, że nie boi się śmierci. Jest na to za stary. Jeśli spodziewali się, że pozostanie uległy, popełnili poważny błąd. Trzydzieści lat temu bełkotałby jak dziecko, ale nie teraz. To, pomyślał, jedyna zaleta wieku. Drugą przewagą była niezbita wiara, że jeśli nie zdoła uciec, Mercer jakoś go uratuje. To tylko kwestia czasu.

Zamki drzwi celi znów się odsunęły, a drzwi otworzyły z trzaskiem. Strażnik miał pistolet w kaburze, a ręce zajęte wielkim kawałem razowego chleba i trójkątem sera wielkości plastra pizzy. Co najlepsze, niósł też butelkę niemal pełną przezroczy-stego płynu. Na sam jej widok usta Harry'ego wypełniła ślina, a jego ręce przestały się trząść. Patrzył tęsknie. Chciał się napić tak bardzo, że Mosze aż się przestraszył, gdy Harry przebiegł przez celę ze zwinnością kogoś cztery razy młodszego.

– Pomogę ci – powiedział, biorąc butelkę z jego rąk. Zignorował przyniesione przez młodego Izraelczyka jedzenie.

Nie rozpoznał niebieskiej naklejki na butelce. Nawet gdyby miał okulary, pismo było nieczytelnymi robaczkami, ale poznał zapach, kiedy tylko odkręcił nakrętkę i przysunął szyjkę pod swój wyczulony na alkohol nos.

– Muszę powiedzieć, że nie jestem wielkim zwolennikiem ginu, ale w obecnych okolicznościach...

Przechylił butelkę, upijając trzy potężne łyki mocnego alkoholu, jakby to było mleko. Pierwszy był najprzyjemniejszą rzeczą w życiu Harry'ego, włączając w to powrót do domu po II

wojnie światowej. Westchnął, a gin palił go w gardło i wyciskał łzy z oczu.

– Pewnie nie chcesz łyka? – Wyciągnął butelkę do Moszego.

Zaszokowany i zaintrygowany patrzył, jak ciemnowłosy strażnik, właściwie jeszcze chłopiec o dużych, niewinnych oczach i twarzy, która dopiero niedawno zapoznała się z żyletką, pociąga długi łyk.

– Nie spałem od dwóch dni – wytłumaczył się Mosze, oddając butelkę Harry’emu. – Dzięki.

– Mnie nie dziękuj. – Harry wprost ociekał sympatią. – To twoja gorzała. Napij się jeszcze, wyglądasz, jakbyś tego potrzebował.

– Nie, to niedozwolone. – Mosze pokręcił głową i wyszedł.

Harry usiadł na łóżku, tuląc gin na kolanach. Cholera. Miał nadzieję spić chłopaka i uciec, ale ten fiutek nie dał się podejść.

– Dobra, Harry, stary łobuzie – powiedział do siebie. – Jak, do cholery, wygląda plan B?

ERYTREA

Afryka tkwiła ze znużeniem pod Europą, wyglądając jak pochylony łeb zmęczonego konia, z trudem łapiącego ostatni oddech. Nawet sam jej kształt był smutny, jałowy jak ona sama. Czerwono-biały boeing Ethiopian Airlines wleciał nad nią znad Morza Czerwonego, wybierając taką trasę, żeby ominąć Sudan. Nawet na wysokości sześciu tysięcy metrów nie był bezpieczny przed zabłąkanymi raketami jednej z najdłuższych i najkrwawszych wojen domowych.

Wschodnia ściana Wielkiej Doliny Ryftowej wznosiła się niemal pionowo i ciągnęła wiele kilometrów. To ona od tysięcy lat chroniła afrykański interior. Mercer wyglądał przez owalne okno samolotu, kiedy ten przekroczył próg: w jednej chwili leciał dwa kilometry nad suchą, krzaczastą pustynią ciągnącą się wzdłuż wybrzeża, w następnej znalazł się ledwie kilkadziesiąt metrów nad ziemią, podskakując na prądach termicznych tworzonych przez gorące wiatry wiejące w górę stromych zboczy.

Choć nad wybrzeżem zebrały się czarne chmury, chłoszczące je ulewami, w głębi lądu niebo było czyste. Miało ten charakterystyczny odcień błękitu, który występuje tylko w naturze; ludzka paleta barw nie była dość subtelna, by oddać ten efekt. Afrykańskie niebo miało według Mercera intymność niespotykaną nigdzie indziej na ziemi.

Ostatnie minuty lotu były walką między grawitacją a pragnieniem pilota, by posadzić samolot tam, gdzie zamierzał.

Wyrównując kurs po ostatnim kapryśnym uderzeniu wiatru, boeing ustawił się do ostatecznego podejścia. Wylądował z przechyłem, zdzierając gumę z opon po prawej stronie.

Wiedząc, że z powodu mikrobów w wodzie nie będzie mógł się nacieszyć lodem, dopóki nie wyjedzie z Afryki, Mercer przełknął ostatnie kostki z drinka. Wepchnął pustą szklankę w kieszeń na oparciu fotela przed sobą i razem z resztą pasażerów wstał, szykując się do wyjścia.

Z powodu strzelaniny lotnisko w Rzymie zostało chwilowo zamknięte, więc wieczorny lot odwołano. Zgodnie z obietnicą agentka załatwiła Mercerowi miejsce w pierwszej klasie na lot poranny – pierwszy, jaki był. Mercer miał tylko dwie małe walizki. Reszta jego ubrań i blisko dwieście kilogramów sprzętu zostało wysłane do Asmary i czekało na niego w hotelu. Po kilku minutach był już po odprawie.

Zauważył, że w terminalu wzmocniono ochronę. Co najmniej dziesięciu żołnierzy przyglądało się przylatującym i ludziom, którzy ich witali. Z powodu opóźnienia Mercer nie spodziewał się, że Habte Makkonen po niego wyjdzie, ale kiedy tylko wyszedł, podszedł do niego młody chłopak, który aż do tej chwili stał oparty o jeden z samochodów pod terminalem.

– Doktor Mercer?

– Tak – odparł Mercer ostrożnie. – Ty jesteś Habte? Chłopak się uśmiechnął.

– Kuzyn Habte. Habte czekać w hotelu. Wczoraj dużo kłopot. On powie.

Czujny, ale nie mając innego wyboru, Mercer wzruszył ramionami.

– W takim razie jedźmy, kuzynie Habtego.

Lotnisko znajdowało się pięć kilometrów od centrum miasta, a droga do niego biegła przez rozległe, zaniedbane osiedla zbudowane przez Chińczyków podczas etiopskiej okupacji. Powietrze wpadające przez otwarte okna samochodu było suche i przyjemnie chłodne, pachnące pustynią i czystym miastem bez przemysłu. Sama półmilionowa Asmara wyglądała zupełnie inaczej, niż Mercer się spodziewał.

Była nieskazitelnie czysta. Stare kobiety wędrowały po ulicach z miotłami i rozklekotanymi taczkami, czyszcząc rynsztoki. Architektura była głównie włoska, a ponieważ stolicę oszczędzono w czasie wojny, budynki były w doskonałym stanie. Mało który miał ponad cztery kondygnacje. Najwyższą budowlą była ceglana dzwonnica katolickiego kościoła. Gdyby nie charakterystyczna kopuła pobliskiego meczetu i ciemna skóra ludzi, Mercer miałby wrażenie, że został przeniesiony do tokańskiego miasteczka, a nie stolicy jednego z najbiedniejszych państw Afryki. Ponieważ na ulicach ruch był mały, dominowały na nich wózki zaprzężone w osły.

Mercer miał oko na ewentualny ogon, ale do hotelu dotarli bez incydentów. Wyobrażał sobie klasyczną kolonialną budowlę z kolumnami i ogrodami, taką, jakie na całym świecie zostawili po sobie Brytyjczycy. Ambasoira jednak miała tylko cztery kondygnacje i znajdowała się w dzielnicy willowej. „Najlepszy”

hotel w Asmarze był kanciasty i pospolity, a meble w westybulu zużyte i stare.

Kuzyn Habtego rozmawiał z kierownikiem hotelu, kiedy Mercer się meldował, upewniając się, że wysłane z Ameryki skrzynie dotarły na miejsce. Potem chłopak zaprowadził go do małego baru w głębi westybulu, ukrytego za krętymi schodami prowadzącymi na górę, do pokoiów. W środku zmieściłby się najwyżej tuzin ludzi, a Mercer na półkach za barem naliczył zaledwie i osiem gatunków alkoholu. Dwóch europejskich biznesmenów rozmawiało przy jednym stoliku, przy drugim siedział samotny Erytrejczyk. Przyjrzał się Mercerowi krytycznie, jakby podejmował decyzję, po czym wstał.

– Doktorze Mercer, jestem Habte Makkonen. – Uścisk jego ręki był krótki, ale mocny. – Witamy w Erytrei. Przykro mi, że nie mogłem wyjechać po pana na lotnisko, ale wczoraj były tam kłopoty i nie mogłem ryzykować, że zostanę rozpoznany.

– Pana kuzyn coś wspominał. – Mercer zauważył, że chłopak zniknął.

– Może mi pan opowie, co się stało.

Postanowił zaufać Habtemu. Gdyby Erytrejczyk chciał go zabić, mógł z łatwością zrobić to po drodze do miasta, zostawiając trupa dzikim psom. Poza tym Mercer dostrzegwał w nim ostentacyjną sprawność w działaniu, która stawiała Habtego ponad politycznymi machinacjami i zagrożeniami z Waszyngtonu i Rzymu.

Opowiadając o starciu na lotnisku, Makkonen wypalił kilka papierosów. Wiedział już, że Claude Quesnel, przedstawiciel

handlowy z Paryża sprzedający wyposażenie medyczne, opuścił Asmarę pierwszym lotem z samego rana. Kiedy Habte skończył, Mercer opowiedział mu o strzelaninie w Rzymie i porwaniu Harry'ego White'a.

– Myślę, że gdyby chcieli pana zabić w Rzymie, nie byłoby pana tutaj – wywnioskował Habte. – Nie widział pan, kto zastrzelił tego człowieka we Włoszech, ale jestem pewien, że należał do tej samej grupy, która próbowała porwać pana tu, w Asmarze. Najwyraźniej to przeciwnicy porywaczy pańskiego przyjaciela.

– Zgadzam się. – Mercer potarł szorstki podbródek, którego nie miał okazji ogolić. – Kim oni są i czego chcą?

– To nie byli zwyczajni sudańscy rebelianci. Byli za dobrze ubrani, za bardzo rzucali się w oczy, nawet w Asmarze. A żeby działać tak jak w Rzymie, muszą mieć kontakty i pomoc z zewnątrz. Może zostali wynajęci?

– A więc kto im płaci?

– Tego będziemy musieli się dowiedzieć sami.

– Nie mamy czasu na zabawę w detektywów. – W głosie Mercera słychać było ponaglenie. – Jeśli mam uwolnić Harry'ego, muszę być w dziczy nie później niż w poniedziałek. To daje nam tylko pięć tygodni na znalezienie komina kimberlitowego.

– Jeśli chodzi o geologię, nie mogę panu powiedzieć o tym regionie nic ponad to, co pan wie. Nic mi nie wiadomo o żadnych diamentach. Ale znam kraj. W czasie wojny pochowałem w tych pustynnych górach wielu przyjaciół.

W oczach Habtego mignął cień.

– Do tego dojdziemy za chwilę. – Mercer zmienił temat. – Zna pan Selome Nagast?

– Znam jej rodzinę, ale jej samej nie – przyznał Makkonen. – Są bogaci jak na erytrejskie standardy, to stary i szanowany ród, pochodzący stąd, z Asmary. Rozmawiałem z nią tylko przez telefon, kiedy wynajęła mnie na pańskiego przewodnika.

– Nie jest tym, za kogo się podaje. Powinien pan mieć na nią oko.

– Dlaczego?

Mercer opowiedział mu o powiązaniach Selome z Izraelem i Prescottem Hyde'em, i o tym, że od początku kłamała.

– Jedzie z nami na północ?

– Nie zamierzam spuszczać jej z oczu, zanim to się nie skończy. Mercer i Habte resztę dnia spędzili w barze, omawiając zbliżającą się ekspedycję. Habte załatwił dość nową toyotę land-cruiser i wynajął dwóch miejscowych do prac fizycznych. Na wcześniejszą prośbę Mercera przekazaną przez Selome wypożyzył także starą gąsienicową koparkę Caterpillar i transport do niej, czekające w Nakfie, miście położonym najbliżej ich celu. Pozostały zamówiony ciężki sprzęt wciąż jechał i miał dotrzeć do Erytrei dopiero za kilka tygodni.

Po zjedzeniu rozgotowanego makaronu z wodnistym sosem i niezidentyfikowanym kawałkiem mięsa Mercer zabrał część bagaży z magazynu, umówił się z Habtem na rano i poszedł do swojego pokoju. Z prysznicą ciekła jedynie cienka strużka zimnej wody. Dobrze, że pomyślał o zabraniu mydła. Siedział na małym balkonie, podziwiając ciemne miasto w dole, kiedy cicho

zaćwierkał wciąż nierozpakowany telefon satelitarny. Mercer zaklął. Przypadkiem zostawił go w trybie czuwania i kiedy go otworzył, zobaczył świecąca diodę niskiego stanu naładowania baterii. Cholera. Spodziewając się Dicka Henny, nie rozpoznał głosu po drugiej stronie, choć akcent mówiącego był podobny do akcentu człowieka zabitego w Rzymie.

– Harry White okrutnie ucierpiał z powodu tego, co się stało z naszym towarzyszem w Rzymie – powiedział głos. – Już drugi raz próbował nas pan oszukać. Jeśli spróbuje pan po raz trzeci, White zostanie zabity, a jego ciało pogrzebane.

Mercer przyjął tę wiadomość jak cios w twarz. Harry jest twardy, ale Mercer nie wiedział, ile jego przyjaciel może znieść. Wróciło poczucie klęski.

– Nie miałem z tym nic wspólnego – zaoponował szybko. – Nie widziałem, kto go zastrzelił, ale to nie byłem ja.

– To nieistotne – odparł ze złością dzwoniący. – Pana przyjaciel zapłacił za to morderstwo. Będziemy do pana dzwonili na ten telefon co trzy dni o północy, żeby sprawdzić, jakie poczynił pan postępy w poszukiwaniu kopalni.

– Możecie sobie oszczędzić kłopotu. – Mercer nie potrafił pohamować gniewu. – Będę potrzebował co najmniej tygodnia, żeby w ogóle zacząć, i nie potrzebuję, żebyście mi, sukinsyny, dyszeli w kark co drugi dzień. – Nie chciał się nawet zastanawiać, skąd wzięli numer tego telefonu. – Skontaktujcie się ze mną w poniedziałek o północy za dwa tygodnie i potem co poniedziałek. Wtedy może będę coś dla was miał.

Nie było to wygórowane żądanie, Mercer o tym wiedział, ale być może przetrze drogę dla większych, kiedy nadejdzie pora.

– To brzmi rozsądnie – ustąpił porywacz. – Proszę pamiętać, że cały czas jest pan obserwowany.

Mercer wiedział, że nie będą mogli go śledzić, kiedy będzie w górach.

– Rozumiem. Nie chcę, żeby coś się stało Harry’emu. Gwarantuję, że dotrzymam umowy.

Ostatnie słowa niemal utkwiły mu w gardle.

– Dwa tygodnie, doktorze Mercer. Telefon zamilkł.

Trzy pokoje dalej Jozef wyłączył swój telefon i odwrócił się do drugiego „europejskiego biznesmena”, z którym nagrywał rozmowę Mercera z Makkonenem w barze. Drugi Izraelczyk, młodszy od niego o trzydzieści lat, czyścił dwa pistolety Desert Eagle Action Express kaliber 0.50. Były to chyba najpotężniejsza broń boczna na świecie. Kula z nich wystrzelona powalała człowieka niezależnie od tego, w co trafiła. Strzał w głowę dekapitował. Reszta uzbrojenia i sprzętu znajdowała się wraz z pozostałymi członkami zespołu w innym hotelu.

– Wciąż martwi mnie prawdziwy zabójca Ibrihama – powiedział z nienawiścią Jozef. White’a nie spotkała krzywda, ale Jozef lubił słyszeć cierpienie w głosie Mercera.

– Znajdziemy go – odparł drugi z młodzieńczą pewnością.

– To nie moja sprawa. Strzelający nie działał sam, a my nie wiemy, kto stał za tym morderstwem. Nie wiemy też, co łączy ich z Mercerem i naszymi planami.

Jozef usiadł wygodnie na łóżku i zapatrzył się w dal.

– Niemożliwe, żeby ktoś o nas wiedział, za bardzo dbamy o zacieranie śladów. Mimo to Ibriham nie żyje, a my jeszcze nie zidentyfikowaliśmy zagrożenia.

– Czy to możliwe, że zdradzili nas nasi?

Jozef wiedział, o czym mówi młodszy mężczyzna, ale szybko pokręcił głową.

– Nie, Szin Bet czy Mossad nie mogły się jeszcze dowiedzieć o naszej operacji. Informatorzy donieśli, że Selome Nagast spotkała się ze swoim kontrolerem w Izraelu. Nie wykonała żadnego ruchu, który kazałby przypuszczać, że wie, kim jesteśmy.

Jego towarzysz nic nie powiedział.

– Zresztą jutro tu będzie, całkowicie odcięta od swoich zwierzchników. Zdana na siebie nie może być dla nas poważnym zagrożeniem.

– Będzie z Mercerem.

– Dopóki mamy Harry’ego White’a, dopóty on też nie jest groźny. Jozef wziął od partnera jeden z desert eagli i wsunął go na noc pod poduszkę.

Mercer obudził się grubo po północy. W pokoju było chłodno i ciemno, ale on był zlany potem i zaplątany w prześcieradła i koce, jakby rzucał się przez sen. W rzeczywistości po raz pierwszy, odkąd porwano Harry’ego, spał bez koszmarów. A w głębi jego podświadomości ukazała się jasno nieścisłość, która męczyła go od tyłu dni. Kiedy to sobie uświadomił, zerwał się z łóżka, ciężko dysząc.

Od chwili, kiedy skontaktował się z nim Prescott Hyde, Mercer wierzył, że w Erytrei są diamenty. Hyde mówił – a

zdjęcia z Meduzy go pokazywały – o kominie kimberlitowym na północnych pustkowiach, uformowanym miliony lat temu. Selome też mówiła o tym, co odkrycie komina oznaczałoby dla jej narodu. Ale nie porywacze. Ludzie, którzy porwali Harry'ego kazali Mercerowi szukać „kopalni”, czegoś stworzonego ludzkimi rękami, a nie w ognistym jądrze Ziemi. Przy trzech różnych okazjach – na taśmie zostawionej w jego domu, przez telefon w Rzymie i tego wieczoru – mówili, jakby wiedzieli, że komin został już kiedyś odkryty, otwarty i eksploatowany. Wiedzieli, że diamenty tam są – a teraz Mercer również o tym wiedział.

Zasady gry znów się zmieniły, pomyślał. Wróg wciąż ma dużą przewagę, ale wiedza, że szuka starego szybu, dała mu iskierkę tego, co stracił, widząc nagranie z Harrym na ekranie swojego telewizora – nadzieję. Odsunął od siebie wątpliwości, odepchnął wyrzuty sumienia. Był gotów stawić czoło wszystkiemu, co ma go spotkać.

CHARTUM, SUDAN

W języku arabskim słowo sudan znaczy „czarny”, ale krajem nie rządzili czarni Afrykanie, lecz ludzie pochodzenia właśnie arabskiego. Miliony ludzi zginęły wskutek wojen, chorób i głodu, żeby rząd na północy zachował władzę nad etnicznie afrykańskimi mieszkańcami południa. Największy naród Afryki był kipiącym ściekiem nienawiści, pochłaniającym tysiąc ofiar każdego dnia.

Sudan był więc doskonałym teatrem działania dla Giancarla Gianellego, bogacącego się na nieszczęściu innych.

Ludzie z takimi pieniędzmi należeli do ponadnarodowej elity, podróżującej prywatnymi samolotami, mieszkającej w luksusowych willach i ekskluzywnych hotelach i przy wyjazdach za granicę rzadko niepokozonej odprawami celnymi. W kilka chwil po wylądowaniu w Chartumie Gianelli został przewieziony do swojego domu na wzgórzach nad miastem, w enklawie zastrzeżonej dla bogatych Sudańczyków i członków wojskowej junty. Choć Gianelli bardzo nie lubił tego miasta, prowadził w nim wystarczająco dużo interesów, by zainwestować tu w dwudziestopokojowy dom i stały, osiemnastoosobowy personel.

Majordomus Gianellego w Wenecji zawiadomił swojego afrykańskiego odpowiednika o wizycie pryncypała. Kiedy limuzyna minęła bramę i wjechała na długi podjazd, personel willi stał w szeregu i czekał. Samochód skręcił pod zadaszony portyk, omiatając twarze pracowników światłem reflektorów, i

zatrzymał się tak, że lokaj musiał tylko się schylić, by otworzyć Gianellemu drzwi.

– Grazie, Ali – powiedział Giancarlo do majordomusa. – Co u ciebie?

– Bardzo dobrze, proszę pana – odparł po włosku starszy Sudańczyk. – Nie powiedziano mi, jak długo pan u nas zostaje. Mamy się przygotować na dłuższy pobyt?

– Nie, Ali, nie zostanę tu długo.

Gianelli spojrział na swój personel. Nie rozpoznając dwóch dziewczyn w schludnych strojach pokojówek, zapytał o nie Alego.

– Kupiłem je miesiąc temu od handlarza wyprzedającego towar. Były drogie, ale dobrze wyszkolone – odpowiedział z dumą lokaj.

Sudan był jednym z nielicznych krajów, w którym handlowano niewolnikami. Było to nielegalne, ale tolerowane lub nawet wspierane przez władze. Niewolnicy, z reguły młode dziewczyny, byli rutynowo łapani podczas rajdów na południe przez wojsko albo handlarzy i przywożeni do Chartumu dla przyjemności miejskiej elity, albo sprzedawani do krajów arabskich na drugim brzegu Morza Czerwonego. Zawsze otwarty na nowe możliwości zarobku Gianelli rozważał, czy nie zająć się i tym, ale wielkie rynki już były nasycone.

Odwrócił się od dziewczyn do Alego.

– Już przyjechał?

– Pana gość przybył godzinę temu. – Ali nie zdołał ukryć pogardy w głosie. – Jest w pana gabinecie. Razem z nim czeka strażnik, pilnujący, żeby nigdzie się nie ruszał.

Giancarlo zaśmiał się z przezorności lokaja. Sam też nie zostawiłby Mahdiego samego ani na sekundę. Wszedł do domu, z zadowoleniem witając chłód klimatyzacji. Dom był z zewnątrz wykończony stiukiem, ale większość wnętrza wyłożono marmurami, w śródziemnomorskim stylu, z przestronnym holem. Gianelli nie ośmielił się przywieźć do Chartumu swoich europejskich dzieł sztuki, więc wszystkie ozdoby były miejscowe, zebrane dla niego z całego kontynentu przez zawodowego kolekcjonera. Maski Aszanti i tarcze Matabelów wisiały na ścianach obok plecionych dywanów Dinka i gablot ze starożytną złotą biżuterią ze wszystkich zakątków Afryki.

Gabinet znajdował się na końcu jednego skrzydła wielkiego domu. Gianelli wszedł do środka, nie zwracając uwagi na półki z książkami i wielkie słoniowe kły po obu stronach kamiennego kominka. Patrzył na młodego Sudańczyka rozwalonego na jednej ze skórzanych kanap, trzymającego bezczelnie stopy na szklanym stoliku. Strażnik stojący obok wyprężył się na baczność.

– Zostaw nas – warknął na niego Gianelli i wbił wzrok w gościa.

– Czuj się jak u siebie w domu – prychnął, przechodząc na płynny arabski.

Mahdi był ubrany w stylu zachodnim, w czarne dżinsy i luźny T-shirt pod luźną skórzaną kurtką. Jego głowę okrywała

kolorowa kefia, jak u palestyńskiego bojownika, choć był chrześcijaninem i członkiem sudańskiego ruchu rewolucyjnego.

– Uraziłem cię czymś, efendil – Tak. – Gianelli usiadł na fotelu i wyjął z kieszeni marynarki kasetę wideo. – Przez tego durnia, którego wysłałeś do Rzymu, Philip Mercer o mało nie zginął. Miał mi powiedzieć, czy ktoś nawiąże kontakt z Merce-rem, a nie strzelać z broni automatycznej w hali odlotów. Módl się, żeby karabinierzy nie dowiedzieli się o moim w tym udziale.

– Dlaczego zaczął strzelać?

– A skąd ja mam wiedzieć? – Twarz Gianellego pociemniała z gniewu. – Zabił cztery osoby.

– Musiał mieć powód. Abdula to mój kuzyn, mam do niego całkowite zaufanie – powiedział Mahdi. – Był ze mną, kiedy wytropiliśmy i zabiliśmy tego europejskiego naukowca kilka miesięcy temu. Przesłuchał pan Abdulę, tak?

Giancarlo się zaśmiał.

– Nie nazwałbym tego przesłuchaniem.

Wsunął kasetę do magnetowidu na półce za sobą i włączył telewizor.

Wyraz twarzy Mahdiego zmienił się, kiedy Sudańczyk poznał swojego kuzyna rozpiętego między dwoma wózkami widłowymi. Nie mógł oderwać wzroku od tego makabrycznego przedstawienia.

Nagranie się skończyło i Gianelli wyłączył magnetowid.

– To cena za nieposłuszeństwo – powiedział spokojnie. – Twój kuzyn popełnił błąd, który dla ciebie może być nauką, Mahdi, i teraz chyba widzisz, jak bardzo poważnie to traktuję.

Wstał i podszedł do małego barku przy kominku, napełniając dwa kryształowe kielichy wzmacnianym winem. Nie wiedział, jak Mahdi zareaguje, więc jedną rękę trzymał cały czas na małej beretcie w kieszeni. Mahdi wziął kielich i wychylił go szybkim haustem. Gianelli usiadł naprzeciwko niego.

– Nasza współpraca w przeszłości była bardzo zyskowna. Nie ma potrzeby, żeby ten niefortunny incydent... – machnął rękaw stroną wyłączzonego telewizora – ...to zmienić. Przez lata przekazałem na waszą sprawę miliardy lirów, a w zamian prosiłem o bardzo niewiele. Chcę tylko, żeby nasza przyjaźń trwała, kiedy już uda się wam podzielić Sudan na dwa odrębne państwa.

– Popierałem was latami. Wydaje mi się jednak, że zasłużyłem na prostą przysługę, znak dobrej woli, który udowodni, że nie straciłem pieniędzy na przegraną sprawę gromady głupców.

Mahdi nie był dyplomatą ani politykiem, dlatego właśnie Gianelli wybrał go na łącznika w ruchu rewolucyjnym. Mahdi był żołnierzem, doświadczonym na polu walki, nie w dyskusjach i dzięki temu łatwo było nim manipulować. Giancarlo podejrzewał, że przełożeni Sudańczyka również o tym wiedzą, ale przymykali na to oko, dopóki dostawali pieniądze. Jeśli mieli coś przeciwko temu, że Gianelli wykorzystuje część ich ludzi do własnych celów, nigdy o tym nie wspomnieli.

Mahdi wstał powoli, a Gianelli zeszytniał z palcem na spuście pistoletu. Jednak młody rewolucjonista poszedł nalać sobie drugiego, mocniejszego drinka.

– Zanim mi pan powie, czego chce, muszę przyznać, że grupa wysłana po Mercera do Asmary zgubiła go po incydencie na lotnisku.

Giancarlo ukrył zadowolenie z faktu, że go przejrzał. Mahdi był socjopata, uznał śmierć swojego kuzyna za kolejną ofiarę swojej rewolucji i nie żywił urazy do tego, kto go zabił.

– Mercer nie zdążył na wczorajszy lot z Rzymu – wyjaśnił Gianelli. – Przyleciał dopiero dzisiaj rano. Przechwycimy go w Asmarze. To małe miasto i można się tam ukryć w ograniczonej liczbie miejsc. Chcę, żebyś natychmiast wysłał grupę swoich najlepszych ludzi. Zdobędziemy te zdjęcia satelitarne, a jego zakopujemy w bezimiennym grobie. Wystarczająco długo już mi przeszkadza i nie zamierzam tego tolerować.

– Sam poprowadzę grupę.

– Nie – warknął Gianelli. – My jedziemy pod erytrejską granicę, tam, gdzie według mnie musi być kopalnia. Kiedy tylko twoi ludzie zdobędą zdjęcia, będziemy mogli ich od razu użyć.

– Czy to nie ryzykowne? – spytał Mahdi z szacunkiem.

– Tak, ale nie mamy luksusu czasu. – Gianelli zauważył zmieszanie na twarzy Sudańczyka. – Muszę ci powiedzieć coś o jednym z ludzi, których twój kuzyn zabił w Rzymie. Przez swoje kontakty w karabinierach dowiedziałem się dziś rano, że miał sfalszowany paszport. To, że znajdował się blisko Philipa Mercera, to nie przypadek. Siedzi go ktoś jeszcze, ktoś, kto chce moich diamentów.

– Kto?

– To bez znaczenia – uciął Gianelli. – Zdobędziemy zdjęcia i ktokolwiek to jest, podda się. Ilu ludzi możesz zgromadzić na erytrejskiej granicy w ciągu najbliższego tygodnia czy dwóch?

– To będzie zależało od Rady Rewolucyjnej, ale myślę, że co najmniej pięćdziesięciu.

– To powinno wystarczyć. Będziemy musieli zebrać przynajmniej jeszcze setkę jako robotników. Mam gotowych specjalistów, górników z RPA, ale ktoś musi pracować.

– Jak pan myśli, jak długo zdołamy utrzymać kopalnię, kiedy już ją odkryjemy?

– Pozostała ukryta przez siedemdziesiąt lat, co oznacza, że leży na zupełnym odludziu. Północ Erytrei jest bezludna, kiedy zejdziesz się ze szlaków uchodźczych. Twój ludzie zajmą się nomadami czy pasterzami, którzy przypadkiem mogą natknąć się na nasz obóz. Podejrzewam, że nikt nie zauważy nas przez kilka miesięcy. Więcej czasu nie potrzebuję.

Gianelli poprzedniego wieczoru dowiedział się od swojego człowieka w Londynie, że do syndykatu diamentowego już dotarły pogłoski o nieznannej kopalni w Afryce. Plotki te rozpuścił sam Gianelli, w ramach dywersji, i zadziałały doskonale. Jego człowiek powiedział mu, że syndykat zaniepokoił się możliwością istnienia źródła diamentów poza jego kontrolą. Gianelli wiedział, że zapłaciliby mu miliardy, gdyby udowodnił, że ma kopalnię, za jej lokalizację albo gwarancję, że nie będzie z niej wydobywał. Pięć tysięcy karatów, w jego ocenie, powinno wystarczyć, żeby go spłacili.

– Możesz na mnie liczyć, efendi – zapewnił z dumą Mahdi.
Gianelli spojrzał znacząco na wyłączony telewizor.
– Wiem.

ASMARA, ERYTREA

Oelome przyjechała do hotelu, kiedy Mercer i Habte jedli śniadanie. Jej ciemna skóra i gęste włosy nie wyróżniały jej z tłumu, za to ubrania bijące w oczy elegancją Piątej Alei nosiła ze swobodą modelki na wybiegu. Jej enigmatyczną pewnością siebie Mercer uważał za interesującą i bardzo niebezpieczną.

Myślał, że jej podróż do Izraela zagasi tę małą iskierkę, którą poczuł w samolocie z Waszyngtonu, ale kiedy znów ją zobaczył, zrozumiał, że tak się nie stało. Czy to przez jego ostrzeżenia, czy to przez seksistowskie uwarunkowania kulturowe, Habte Makkonen przywitał ją chłodno. Mercer zauważył jego nieuprzejmość, ale jeśli Selome też, to nie dała tego po sobie poznać. Cmoknęła Mercera sucho w policzek i usiadła.

– Widzę, że posłuchałeś mojej rady w kwestii tutejszej kawy.
– Spojrzała znacząco na dwie na wpół opróżnione filiżanki cappuccino.

– Próbowałem zwykłej. – Mercer się uśmiechnął. – Nierafinowana ropa. Ona też się uśmiechnęła.

– Jedzenie jest raczej bezpieczne, choć trochę nijakie. Jak w większości hoteli w mieście, podają tu tylko dania włoskiej kuchni, to pozostałość po okupacji. Jeśli będziemy mieli czas, zabiorę cię do tradycyjnej erytrejskiej restauracji. Jeśli ci się wydaje, że od naszej kawy podwijają się palce u nóg, poczekaj, aż spróbujesz gulaszu zigini. Papryczki w nim są małe, ale mają w sobie ogień wulkanu.

– Dziękuję za zaproszenie, ale będziemy musieli z tym poczekać do powrotu – powiedział poważnie Mercer. – Kuzyn Habtego właśnie przyprowadza naszego land-cruisera. Chcę go załadować, kupić trochę świeżego jedzenia tu, w Asmarze, i po południu być już w drodze na północ. Wieczorem przenocujemy w Kerenie, a o wschodzie słońca pojedziemy dalej do Nakfy i na pustynię.

– Skąd ten pośpiech?

– Bo tu nie jesteśmy bezpieczni.

Mercer zastanawiał się, jak dużo powiedzieć jej o tym, co się wydarzyło, odkąd pożegnali się w Rzymie. Dyskrecja wciąż była jego największym sprzymierzeńcem. Porywacz Harry'ego powiedział, że Selome jest jedyną osobą, której Mercer może ufać, ale ile jest warte takie zapewnienie? Chciał jej ufać, ale dopóki nie dowie się więcej, zamierzał trzymać ją na dystans. Smutne, pomyślał, pierwsza kobieta od bardzo dawna, która go pociąga, okazała się dwulicową kłamczucha.

Wydarzenia z Rzymu zachował dla siebie, tak samo jak optymizm, kiedy dowiedział się, że komin został już odkryty. Opowiedział Selome o zajściu na lotnisku w Asmarze, kiedy Habte czekał na jego przylot.

– Miałem szczęście, że nie poleciałem popołudniowym lotem – skłamał. – Inaczej zostałbym przechwycony przez Sudańczyków.

Uważnie obserwował jej reakcję. Zaskoczenie i troska Selome były autentyczne.

– A potem nic się nie stało? Mój Boże, nie do wiary. To tylko kwestia czasu, zanim wojna w Sudanie zniszczy nas wszystkich.

– Selome, nie rozumiesz najważniejszego: oni czekali właśnie na mnie. To oznacza, że ktoś jeszcze wie o naszej misji.

Selome szeroko otworzyła oczy.

– W mieście jesteśmy bezbronni. Dlatego chcę się jak najszybciej znaleźć jak najdalej od Asmary. Ciebie też to dotyczy.

– I tak chciałam z wami jechać – przyznała Selome. – Ale to na pewno dobra motywacja. Nasze siły policyjne i wojskowe pozostawiają sporo do życzenia. Po wojnie mało kto chciał zostać pod bronią. Mieliśmy dość walki. Władze będą bezsilne wobec partyzantów.

– Ona ma rację – dodał Habte. – Największe szanse mamy, jak najszybciej uciekając na północne niziny.

– W takim razie postanowione. – Mercer dopił cappuccino. – Habte, kiedy twój kuzyn wróci z land-cruiserem, załaduj sprzęt, który mam w magazynie, i spakuj wszystko, co będzie ci potrzebne. Selome, ile potrzebujesz czasu, żeby się przygotować?

– Mogę tu być z bagażem za godzinę. Mieszkam niedaleko.

– Nie muszę ci przypominać, żebyś nie brała za dużo rzeczy – powiedział łagodnie Mercer. – To nie będzie luksusowa wycieczka.

Niecałą godzinę później Selome spotkała się z Mercerem w hotelu i razem poszli na targ kupić wodę i świeże owoce na wyprawę. Kuzyn Habtego, który miał na imię Gebre, ale wołał, kiedy wołano na niego Gibby, miał przyjechać po nich toyotą, kiedy skończył ją ładować.

Selome zaprowadziła Mercera najpierw na pocztę, gdzie spędził dwadzieścia frustrujących minut, próbując skontaktować się z Dickiem Henną i opowiedzieć mu, co się stało w Rzymie i na lotnisku w Asmarze, jednak słynne erytrejskie problemy z telekomunikacją uniemożliwiły rozmowę międzynarodową. Mercer nie chciał używać telefonu satelitarnego, bo zeszłego wieczoru odkrył, że oba zostawił włączone i oba miały baterie na wyczerpaniu. Wszystkie zapasowe miał nienaładowane, a ładowarka, jak sobie przypomniał, leżała na blacie jego kuchni obok pigułek przeciw malarii, które dał mu Terry Knight.

Brukowane ulice Asmary rozgałęziały się bez żadnej wyraźnej prawidłowości. Podążały za ukształtowaniem terenu od czasów, kiedy były ścieżkami łączącymi cztery osobne osady, które potem przekształciły się w miasto. Jego nazwa oznacza „zjednoczona”. Zostało tak nazwane, kiedy wioski złączono w jedną osadę dla obrony przed grasującymi stadami hien. Za obsadzoną palmami ulicą Wolności, głównym bulwarem Asmary, rozciągał się labirynt krętych zaułków, niektórych brukowanych, ale głównie wąskich, piaszczystych ścieżek, przy których stały parterowe domki. Na ulicach było tłoczno. Choć w Asmarze tradycyjnym dniem handlowym była sobota, bliskość Wielkanocy sprawiała, że wszyscy robili interesy także w niedzielę.

Główne targowisko miejskie było długim magazynem bez ścian, przykrytym arkuszami falistej blachy. Aromat przypraw był namacalny już kilka przecznic wcześniej. Stare amerykańskie i rosyjskie ciężarówka stały na pobliskich ulicach, a ich właściciele zachwalali swoje towary. Drogi były zaminowane łąnem

niezliczonych osłów. Zza targu dolatywał mocny zapach otwartej zagrody dla bydła. Porykiwania stad unosiły się nad gwarem ruchliwej dzielnicy targowej. Mercer był zaskoczony, że mimo nędzy miasto tak tętni życiem.

Selome przebrała się w bardziej tradycyjny strój – kolorową tunikę i zwiewną bawełnianą chustę. W przeciwieństwie do innych kobiet na rynku, noszących sandały, ona włożyła zachodnie trzewiki, zaś pod jej sukienką Mercerowi mignęły dzinsy. Włosy ściągnęła w kucyk, podkreślając szerokie czoło i ciemne oczy. Dobrze wtapiała się w tłum. Mercera, choć ubrał się zwyczajnie, wyróżniała biała skóra. Przez kilka minut, które zajęło im dojście na targ, nie zauważył żadnego białego. Znał jednak Afrykę wystarczająco dobrze, by różnice rasowe nie były dla niego problemem.

– Jak często tu wracasz? – spytał, kiedy Selome skończyła się targować o pięciokilowy wór pomidorów.

– Do Erytrei?

– Tak.

– Przykro mi to mówić, ale nieczęsto. – Wsunęła dłoń pod jego ramię. – W czasie wojny byłam w Europie. Kiedy wróciłam, czułam pewną wrogość ze strony ludzi, którzy narażali życie w walce o niepodległość. Być może zauważyłeś coś takiego u swojego przyjaciela Habtego. – Wskazała człowieka prowadzącego wielbłąda; miał tylko jedną rękę i odstrzeloną część twarzy. – Ci ludzie okrutnie cierpieli, kiedy ja byłam za granicą, i widzą, że nie walczyłam. Mało kto wie, że my w Europie również wykony-

waliśmy potrzebną pracę – staraliśmy się, żeby świat dowiedział się o naszym ciężkim położeniu.

Mercer rozglądał się po ulicy. Był oszołomiony liczbą kalek.

– Ponad połowa ludzi, których widzisz, to bojownicy o wolność, mężczyźni i kobiety. To doświadczenie ich jednoczy. To kult wojownika i nieważne, co zrobiłam, nigdy nie będę jedną z nich.

– To dlatego znalezienie diamentów jest dla ciebie tak ważne? Chcesz im to jakoś wynagrodzić?

– Tak – odparła Selome bez wahania. Zatrzymała się i odwróciła do Mercera. Ich twarze dzieliły ledwie centymetry. – Twój kraj jest niepodległy od tak dawna, że zapomnieliście o swoich ofiarach. Uważacie swoją wolność za coś oczywistego, a my naszą dopiero odkrywamy. Mam wrażenie, że nie zrobiłam wystarczająco dużo. Nie dałam z siebie nawet części tego, co reszta moich rodaków. Tak bardzo chcę im coś dać. Chcę znów być akceptowana. Możesz to zrozumieć?

Tak jak pierwszego wieczoru, kiedy się poznali, Mercera zahipnotyzowały jej usta, to, jak się poruszały, ich zmysłowość. To była wspaniała kobieta; i->L

przeklął się w myślach za to, że dostrzega jej cielesne wdzięki zamiast zalet umysłu. Zdawał sobie sprawę, że to męski szowinizm, ale nie mógł nic na to poradzić. Wiedział też, że to typ kobiety, która go pociąga, ktoś, kto jest gotów zaryzykować życie w imię czegoś, w co wierzy. Nie była to cecha tak znowu częsta.

– Chyba rozumiem – powiedział w końcu. – Mam tylko nadzieję, że cię nie zawiodę.

– Jeszcze nie zawiodłeś. – Ścisnęła jego ramię.

Za targiem spożywczym ciągnęły się rozchwiane metalowe budy, wsparte jedna na drugiej. Można było w nich kupić wszystko – od antycznych mebli pozostałych po włoskiej okupacji po mosiężne rury z przerobionych artyleryjskich łusek. Tak jak w większości krajów Trzeciego Świata, w Erytrei przedmiotów używano tak długo, aż zupełnie się zużyły. Mercer i Selome szybko zgubili się w labiryncie uliczek. Selome rozmawiała z handlarzami i odpowiadała na pytania o Mercera. Podążała za nimi gromadka dzieci, wykrzykująca słowa po angielsku – Selome powiedziała im, że Mercer jest Amerykaninem.

– Nie powinny nigdy poznać wojny – powiedziała z czułością, patrząc na przyglądające im się maluchy. – Walczyliśmy, żeby one nie musiały, a teraz musimy znów walczyć, żeby zapewnić

im przyszłość. Jedna szósta naszej ludzkości to uchodźcy w Sudanie, bo nie stać nas, żeby sprowadzić ich do domu.

Zarażony ciekawością otaczających ich dzieci, Mercer przykucnął, żeby podać rękę małemu chłopcu, co najwyżej czteroletniemu, patrzącemu na niego poważnymi oczami i ssącemu kciuk.

Gwizd rykoszetu i brzęk walącego się stosu garnków rozległy się prawie równocześnie. Wciąż kucając, Mercer się obejrzał. Gdyby stał, strzał urwałby mu głowę. Przetoczył się po ziemi, podcinając Selome, która upadła na niego. Jedno z dzieci zaczęło krzyczeć. Kolejny pocisk minął głowę Mercera, trafiając w dno wielkiego gara i przebijając je jak armatnia kula.

Targ eksplodował, mężczyźni i kobiety zaczęli uciekać, łapiąc na ręce dzieci i tłocząc się w przejściach między kramami. Mercer otrząsnął się z szoku i wepchnął Selome pod stół na kozłach, uginający się od metalowych części różnych maszyn. Błyskawicznie ocenił kąt strzałów, a potem napał na stół, który runął na ziemię, osłaniając ich przed niewidocznym strzelcem. W tej samej chwili uderzyło w niego pół tuzina strzałów – kilka przebiło drewno w deszczu drzazg, inne utkwily niegroźnie w stercie złomu. Mercer kopnął tylną ścianę blaszanej budy, robiąc w niej dziurę, i przeciągnął Selome na drugą stronę.

Alejka była pełna spanikowanych ludzi. Jakaś kobieta padła na ziemię i niewiele brakowało, a zostałaby stratowana, ale Mercer przepchnął się do niej i postawił ją na nogi. Pchając Selome przed sobą, żeby osłaniać ją własnym ciałem, zaczął przebijając się przez tłum. Chociaż nie słyszeli wyciszonych tłumikiem

strzałów, oboje poczuli naddźwiękowy lot kuli, uskakując w przerwę między dwoma kramami.

Sąsiednia alejka była już pusta, ale ucieczka tamtędy stanowiła zbyt duże ryzyko. Mercer musiał jakoś odwrócić uwagę napastników. Kazał Selome nie wychylać się i przeskoczył na drugą stronę, wpadając do niskiej budy, ciemnej i zagraconej jak wszystkie inne. Handlarz zniknął, ale zostawił płonący mały koksownik z czajnikiem na kratce. Można tu było kupić wszelkiego rodzaju akcesoria oświetleniowe, głównie elektryczne, większość w różnym stopniu uszkodzonych. Stało tu także kilka lamp naftowych, a na półce bańki – Mercer miał gorącą nadzieję, że z naftą. Przebił dwie śrubokrętem porwanym z zaśmieconego stołu.

– Mercer! – wrzasnęła Selome.

Odwrócił się w tej samej chwili, kiedy jakaś postać skręciła w stronę poprzedzona lufą pistoletu z tłumikiem. Zanim zabójca się pokazał, Mercer rzucił w niego jedną z puszek. Uderzyła mężczyznę w pierś, bryzgając strugami nafty. Mercer kopnął koksownik. Iskry i węgle posypały się z niego jak fajerwerki. Mercer padł na ziemię i przetoczył się w głąb budy w tej samej chwili, w której płonący koksownik trafił w zabójcę.

Opryskany naftą Sudańczyk buchnął płomieniami. Ogień wysłał całe powietrze z budki. Mężczyzna zaczął wrzeszczeć – Mercer nigdy w życiu nie wyobrażał sobie straszniejszego dźwięku – a powietrze wypełnił smród palonego ciała.

Philip złapał drugą puszkę paliwa.

– Selome, chodź!

Wyskoczyła z kryjówki, a Mercer chlusnął naftą na płomień. Nafta zapłonęła, a ogień jak po lonicie popędził do puszki. Obok głowy Mercera świsnęła kula. Zobaczył dwóch mężczyzn biegnących alejką wprost na niego. Krzyknął do Selome, żeby się schyliła, i zawirował w miejscu, rozlewając płonąca naftę centymetry od bańki. Jak olimpijczyk rzucający młotem cisnął ją w stronę napastników. Pomknęła w ich stronę jak kometa, ciągnąc za sobą kłęby dymu.

Kiedy spadła na ziemię przed dwoma zabójcami, Mercer i Selome już biegli uliczką. Bańka otworzyła się na ułamek sekundy przed tym, jak dosięgły jej płomień, i alejka stanęła w ogniu, odgradzając Sudańczyków od ich celów.

Z trudem łapiąc oddech, Mercer i Selome dotarli do końca alejki i wpadli w płataninę uliczek przed zagrodą dla bydła. Udeptane dróżki zasłane były sianem rozwleczonym ze stogów usypanych pod murem otaczającym zagrodę. Zazwyczaj ludzie chodzili tu żwawo, prowadząc krowy, owce i kozy, ale teraz wszyscy stali nieruchomo, wpatrując się w płomień wzbijające się w niebo nad targiem.

Boczne uliczki były zablokowane przez autobusy i ciężarówki, uniemożliwiając Mercerowi i Selome ucieczkę. Wiedząc, że ogień zatrzyma Sudańczyków na kilka chwil, i mając przed sobą tylko jedną drogę, wbiegli do zagrody. Dopiero w jednej czwartej jej długości Selome zatrzymała się, zgięta w pół, z trudem łapiąc oddech. Krowy i ludzie zeszli im z drogi, jedni i drudzy wzburzeni ich najściem.

– Philipie – wysapała Selome, wskazując za siebie – to jedyne wyjście.

– O cholera – zaklął Mercer, zdając sobie sprawę, że są w pułapce. Krowy nie przypominały tych, które widział w Stanach. To były zebu, większa odmiana, lepiej przystosowana do gorętszego klimatu. Żywiące na erytrejskich pastwiskach nie osiągały maksymalnych rozmiarów, ale każda ważyła ponad tonę, miała wielki garb, wielkie wole i złowrogo zakrzywione rogi, którymi mogła rozerwać człowieka na pół jednym machnięciem łba. Na lewo od Mercera jedna z krów dopiero co urodziła młode. Cielak był jeszcze mokry, chwiejąc się na cienkich nogach, usiłował dostać się do wymienia. Matka była bardziej zainteresowana obroną małego niż karmieniem go. Stworzyła wokół nich obojga pustą przestrzeń, zazdrośnie atakując ludzi i zwierzęta, jeśli jej zdaniem podeszli za blisko.

Mercer wyrwał stojącemu w pobliżu chłopu drewniany drąg i przez ryczące stado podbiegł do krowy. Patrzyła na niego zmęczonymi, gniewnymi oczami, osłaniając cielaka. Mercer zlekceważył jej pierwsze szarże bez przekonania, obchodząc ją ze zwinnością matadora tak, żeby cielak był za nią.

Znów zaatakowała, rogami jak kosy mierzyła w brzuch Mercera. Doskonale wymierzył swój skok i wybiegł jej naprzeciw. Padł na ziemię i przetoczył się pod wielkim rogiem, zrywając się na nogi, zanim krowa zdołała zawrócić. Miał przed sobą cielę – niebronione przez ułamek sekundy. Walnął zataczające się zwierzę kijem w zad.

Cielak zapiszczał, bardziej ze strachu niż bólu, i zaczął biec niepewnym krokiem w stronę wyjścia z zagrody. Mercer wyczuł za sobą jego matkę i skoczył w bok, o centymetry unikając wypatroszenia. Wylądował w niewielkim stadku owiec i wełnista, becząca masa zamortyzowała jego upadek. Krowa zignorowała go i pobiegła za swoim potomkiem, ale cielak był zbyt przerażony, żeby się uspokoić. Niepokój ogarnął szybko całe stado, które nagle runęło w popłochu przed siebie. Wieśniacy byli bezradni i rozsądnie starali się tylko schodzić bydlu z drogi.

Dwaj Sudańczycy wbiegli właśnie przez bramę, kiedy wpadły na nich pędzące krowy. Zareagowali z szybkością błyskawicy: zębu padały skoszone ogniem z ich broni. W miejsce każdego zwierzęcia powalonego strzałami z pistoletów z tłumikami wciśkały się dwa następne.

9 — Kamień MeHii7v Brama zagrody miała ledwie trzy metry szerokości i trzysta pięćdziesiąt ton przerażonego bydła przecisnęło się przez nią, wzbijając tumany kurzu. Dwaj zabójcy nie mieli szans. Ich krzyki zginęły w grzmiącym łomocie racic. Nawet ich broń została stratowana tak, że nigdy już nie miała wystrzelić. Z samych mężczyzn zostały tylko dwie czerwono-purpurowe plamy w rozdeptanym piachu.

Mercer wytarł ręce i ubranie o wełnisty bok owcy i podbiegł do Selome.

– Musimy się stąd wynosić. Kiedy ci farmerzy pozbierają swoje stada, wrócą, żeby się zemścić.

Selome zdjęła szal i owinęła Mercerowi głowę i ramiona tak, by nie było widać twarzy. Nie licząc wzrostu, nic nie wyróżniało

go teraz spośród rozwścieczonych mężczyzn biegających po zagrodzie. Dotarli do wyjścia i chwilę później precyzyjnie się na ulicę.

Kiedy tylko ruszyli do hotelu, zza rogu wyjechała biała terenówka, sypiąca żwirem spod kół. Kierowca wściekle naciskał klakson.

– Kłopoty w hotelu. Jedziemy! – krzyknął Habte przez otwarte okno. Jego kuzyn siedział z tyłu i otworzył drzwi, zanim jeszcze Habte zatrzymał samochód.

Selome i Mercer wskoczyli do środka. Habte ruszył, nie czekając, aż zatrzasną za sobą drzwi. Klaksonem rozpędził grupę ludzi próbujących okiełznać rozszalałego byka. Szarpnął kierownicą, żeby nie przejechać osła. Mimo niebezpieczeństwa jego kuzyn wesoło się zaśmiał.

– Habte trafić osioł, Habte trafić osioł.

– Wcale nie – warknął Habte, zerkając surowo przez ramię na chłopaka. Osły były powolne i uparte, więc dla erytrejskiego kierowcy zniewagą był zarzut, że ktoś przejechał.

Mercer wyplątał się z kłębowiska kończyn na tylnym fotelu i przepelźł na przedni, zapinając pas. Dopiero teraz jego serce zaczęło się uspokajać.

– Co się stało?

– Strzelanina w hotelu. Pokojówka przyłapała dwóch Sudańczyków w twoim pokoju. Kiedy wrzasnęła, dwóch białych baru na dole poszło zobaczyć, co się dzieje. Usłyszałem strzały i ciało jednego z nich spadło z balkonu na pierwszym piętrze.

Nie czekałem, co będzie dalej. Musiałem zostawić większość twoich ubrań i sprzętu.

Mercer wyciągnął złożone zdjęcia Meduzy z kieszeni na mapę, wszytej od spodu jego fotoreporterskiej kamizelki.

– Nieważne. Nie dostali, czego szukali.

– Miałeś je cały czas przy sobie? – spytała Selome.

– Trudno o bezpieczniejsze miejsce – zaśmiał się, czując, że uchodzi z niego adrenalina.

– To było cholernie ryzykowne – skarciła go.

– Więszym ryzykiem są ci Europejczycy.

– O co ci chodzi?

– Habte powiedział przed chwilą, że słyszał strzały. Jeśli ci, którzy włamali się do mojego pokoju, byli powiązani z Sudańczykami, którzy nas ścigali, mieli broń z tłumikami. Mimo to Habte słyszał niewytlumione strzały, odpowiedź Europejczyków.

– Kim oni są?

– Nie wiem. – Mercer nie zamierzał zdradzać swoich podejrzeń. – A ty? Spojrzała mu prosto w oczy i zaprzeczyła, ale w jej oczach dostrzegł cień kłamstwa.

Kiedy wyjeżdżali z miasta, nikt ich nie śledził, minęli tylko kilka ciężarówek wyładowanych bawełną, wlokących się przez jałowy krajobraz. Na poboczu drogi widać było ślady wojny – przerdzewiałe kadłuby sprzętu wojskowego, wolno zapadające się w ziemię. Rosyjskie ciężarówki i czołgi T-55 zniszczone przez miny i rakiety, leżały na szosie jak rozkładające się truchła mechanicznych dinozaurów.

Mercer czytał, że najżyźniejszym rejonem Erytrei są wyżyny, ale ziemia jest tu kamienista i prawie jałowa, wymieciona przez wichry i spieczona bezlitosnym słońcem. Roślinność stanowiły głównie niskie krzewy, bylice i kaktusy. Mercer zauważył rolnika orzącego dwoma wołami – jego pług był niewiele nowocześniejszy niż te używane w Egipcie za faraonów. Żłobił głębokie bruzdy, odwracając ziemię tak samo spieczoną w głębi, jak na powierzchni. Wydawało się to daremne, ale on z wieśniaczą cierpliwością pracował dalej.

Przejeżdżali przez małe wioski, skupiska prymitywnych chat z gliny i cegły, przykrytych słomą albo blachą. Wiele chat to były okrągłe, stożkowato sklepione agdos. Nieliczni ludzie na ulicach byli chudzi, ubrani w długie proste giezła podobne do egipskich dżelabii.

Dwie godziny później dojechali do Kerenu, miasta mniejszego niż Asma-ra, ale mającego ten sam kolonialny wdzięk, z niskimi domami i ulicami obsadzonymi palmami. Większość mieszkańców była muzułmanami, więc wiele kobiet nosiło długie czarne czadory. Habte zaparkował toyotę za hotelem Keren, chaotycznie zaprojektowanym budynkiem z werandą obrośniętą bu-genwillą.

– Musimy kupić jedzenie i paliwo, zanim pojedziemy dalej na północ.

– Dobrze, ale nie chcę tu zostawać zbyt długo. – Mercer wygramolił się z samochodu.

– Zgoda. Gibby i ja kupimy na targu to, czego nam potrzeba. Mam tu sporo przyjaciół. Nie powinno nam to zabrać dużo czasu.

Selome odwróciła się do Mercera:

m – Bez urazy, ale lepiej cię ukryjmy. Biali bardzo rzadko docierają do Ke-renu i lepiej, żeby nikt cię nie widział.

Zaczekali w pobliskim zaułku. Kiedy Selome przyprowadziła Mercera pod wejście do hotelu, bagażnik dachowy toyoty wyładowany był skrzynkami i kanistrami. Gibby siedział z tyłu, ale Habtego nie było nigdzie widać. Mercer wsiadł do samochodu i poprosił Gibby’ego, żeby skoczył do hotelowego baru i kupił kilka rzeczy. Kiedy chłopak wrócił, Habte siedział już za kierownicą.

– Rozmawiałem z kilkoma osobami. – Włączył silnik. – Jeśli jacyś Su-dańczycy przyjadą tu z Asmary w ciągu kilku najbliższych dni, będzie im trudno pojechać dalej.

Uśmiechnął się pod nosem. Mercer wyjął ze schowka mapę.

– To unieszkodliwi jedną zainteresowaną stronę, teraz pora załatwić drugą. Według tej mapy w Nakfie jest lotnisko i założę się, że Europejczycy spróbują nas prześcignąć i się tam zacząć. Może odbijemy na zachód? – Pokazał na mapie, o co mu chodzi. – Ta droga omija Nakfę i łączy z główną trasą w Itaro.

– Deszcze jeszcze nie nadeszły, więc powinna być przejezdna – zgodził się Habte. – Ale co z koparką, która czeka w Nakfie?

– Na razie nie będzie nam potrzebna. Kiedy znajdziemy się w dziczy, nikt nas nie znajdzie. Jeżeli uda mi się w ciągu kilku tygodni ustalić położenie komina, Selome może użyć swoich

kontaktów w rządzie i załatwić nam należyłą ochronę. Wtedy ściągniemy koparkę.

Doświadczenie wojskowe Habtego sprawiało, że niechętnie zapominał o wciąż niebezpiecznym wrogu.

– Mądrzej byłoby najpierw wyeliminować Europejczyków.

– Mądrzej, owszem. Ale to niemożliwe. Nie mamy żadnej broni. Będziemy musieli zaufać pustyni – skoro podczas wojny ukrywała waszych żołnierzy, na kilka tygodni ukryje i nas.

Wciąż nieprzekonany Habte jednak się zgodził, a kiedy dojechali do rozwidlenia drogi piętnaście kilometrów na północ od Kerenu, skręcił na zachód.

NAKFA, ERYTREA

r rzez trzy dni czekali w Nakfie, sto kilometrów na południe od granicy Sudanu, zanim pogodzili się z faktem, że Mercer im się wymknął. Kiedy po zamknięciu granicy z Sudanem autobusy z uchodźcami przestały przejeżdżać przez miasto, życie w nim zamarło. Nie było tu nic do roboty oprócz picia w nieskończoność kawy i przyglądania się ekipom naprawczym montującym drogi. Dla zespołu Jozefa nuda była najcięższa do zniesienia.

Jozef myślał o tym, co się wydarzyło w Asmarze. Pamiętał, jak pokojówka wrzasnęła, kiedy on i jeden z jego ludzi siedzieli w westybulu, czytając „Profile” – jedyną anglojęzyczną gazetę w Asmarze – sprzed tygodnia. Popędzili na górę. Jozefowi mignął w pokoju Mercera wysoki Afrykanin, trzymający pistolet z tłumikiem, podczas gdy drugi wybebeszał jedną z walizek. Instynkt i wyszkolenie przejęły kontrolę i Jozef odskoczył w bok ułamek sekundy przed tym, jak Sudańczyk wystrzelił. Młodszy Izraelczyk dostał dwa pociski w pierś. Jego ciało runęło przez poręcz na dół, do westybulu. Jozef wyciągnął spod płaszcza wielkiego desert eagle’a, przystanął na jedno uderzenie serca, a potem przetoczył się przez próg pokoju Mercera. Jego pistolet zagrzemiał trzykrotnie. Obaj Sudańczycy padli na ziemię, brocząc krwią z wielkich ran.

Jozef wziął broń partnera i dołączył do reszty zespołu, czekającej w innym hotelu. Kiedy się zreorganizowali i znów poszli

na zwiady do Ambasoiry, land-cruisera Mercera już nie było. Zgubili go.

Chcąc wyprzedzić geologa, wynajęli w Asmarze samolot i polecili do Nakfy. Jozef kazał jednemu ze swoich ludzi pojechać na północ – istniała niewielka szansa, że wypatrzy tam Mercera i jego wyprawę. Ale minęły już trzy dni i nic. Mercer wybrał inną trasę, niż Jozef się spodziewał. Izraelczycy nie mieli innego wyjścia, jak wrócić do Asmary i nawiązać jakieś kontakty, żeby zdobyć informacje.

Jozef nie lubił polegać na informacjach osób trzecich, ale skoro Mercer im się wymknął, było to konieczne. Miał wrażenie, że traci kontrolę nad operacją. Jego ludzie byli wciąż lojalni i chętni, tylko on czuł, że zawiódł. Zaklął i odwrócił się do dwóch agentów. Trzeci był na zewnątrz, obserwował południową drogę do miasta.

– Wynosimy się z tego zadupia – powiedział ze złością. – Idźcie po Awie-go i przyprowadźcie samochód. Za dziesięć minut ma nas tu nie być.

Po raz ostatni nie docenił Mercera. Przy najbliższej okazji zamierzał torturami wydobyć z Amerykanina, gdzie jest kopalnia, i porzucić jego trupa na pustkowiu. Co do Sudańczyków, którzy musieli być odpowiedzialni za morderstwo Ibrihama, to była inna bitwa na inny czas.

PÓŁNOCNA ERYTREA POŁUDNIOWA CZĘŚĆ PŁASKOWYŻU HAJER

r rzez dziesięć długich dni i równie długich nocy błakali się po pustyni, a jedynym rezultatem była coraz mniejsza ilość paliwa w baku. Nastroje się pogarszały, frustracja i zmęczenie robiły swoje. Wszyscy odczuli, że toyota ma twarde zawieszenie, z nieba żar lał się jak z pieca, a gdy tylko się zatrzymywali, dopadły ich roje gryzących owadów. Habte i Selome rzadko się do siebie odzywali, a ponieważ Gibby uważał swojego starszego kuzyna za wzór, również milczał w jej obecności. Cisza w rozgrzanym samochodzie aż dławiała.

Tylko Mercer wydawał się na nic nie zważać. Był w swoim żywiole – wyrzucił z głowy wszystko oprócz geologii i geografii okolicy. Korzystając ze zdjęć Meduzy, pamięci Habtego i własnego wyczucia ziemi, prowadził wyprawę prawie na ślepo, ani na chwilę nie tracąc dobrego humoru.

Nawet po dziesięciu dniach bezowocnego szukania jego entuzjazm nie przygasł. Przeciwnie, z upływem czasu Mercer był bardziej pewny siebie. Czuł się jak poszukiwacz złota z dawnych czasów, który rozpoczął kalifornijską gorączkę złota, mając tylko stary oskard i dużo nadziei. Przyzwyczajony do udziału w dobrze wyposażonych ekspedycjach, mógł polegać tylko na latach doświadczenia i wrodzonej intuicji.

Odkąd dotarli do prowincji Barka, co najmniej dwadzieścia razy dziennie kazał Habtemu zatrzymywać samochód i biegał po

spieczonej ziemi z młotkiem geologicznym w rękę. Wspiął się na jakieś bezimienne wzgórze, odłupywał kawałek skały i badał ją przez pół godziny, zwilżając językiem próbki, żeby zmienić ich zdolności odbijania światła. Czasami prosił Gibby'ego, żeby mu pomógł i na dwa szpadle przez godzinę albo dłużej ryli doły w suchej ziemi. Potem bez słowa wracali do land-cruisera. Mercer wskazywał nowy kierunek i znów ruszali w drogę.

Nocą rozbijali prymitywne obozy. Habte przed ich ucieczką z Asmary zdołał zapakować tylko dwa namioty. On i Gibby mieszkali w jednym, Mercer w drugim, a Selome spała na tylnym siedzeniu toyoty. Ich posiłki były proste: placki z prosa, rzepa albo ziemniaki, do tego mięso z puszki. Jasny punkt każdego dnia stanowiły butelki brandy z niekończącego się zapasu Mercera, przywiezione z USA albo kupione dla niego przez Gibby'ego w hotelu w Kerenie. Trójka Erytrejczyków zaraz po jedzeniu zapadała w przypominający śmierć sen, ale Mercer pracował do późna. W jego namiocie syczała lampa sztormowa, a on pisał coś w grubym notesie, ze zdjęciami satelitarnymi na kolanach.

Zamierzał przez jakiś tydzień jeździć i eksplorować teren, a potem wrócić do Asmary, wynająć samolot i obejrzeć rejon z powietrza, uzupełniając notatki obserwacjami lotniczymi i zdjęciami z Meduzy. Teraz było to oczywiście niemożliwe. Powrót do stolicy byłby dla każdego z nich samobójstwem. Mercer musiał się ograniczyć do tego, co widział z ziemi, i porównywać to z topografią powierzchni ze zdjęć.

O świcie jedenastego dnia promienie słońca przeświecały przez chmury. Daleko na wschodzie spadł deszcz. Brzask za-

barwił pustynię różem, rzucając fantastyczne cienie na góry na zachodzie. Mercer wyszedł z namiotu, gdy inni jeszcze spali, ciesząc się poranną samotnością. Obóz rozbili na brzegu jednego z nieczęsto spotykanych strumieni. Po raz pierwszy od kilku dni mieli wodę pod ręką. Mercer rozebrał się i zmył z siebie pot i brud. Włożył to samo ubranie, ale czyste skarpetki i bokserki. Jego skóra schła szybko w porannym chłdzie, a na ramionach i piersi wyskoczyła gęsia skórka. To było cudowne uczucie.

Habte wyłonił się ze swojego namiotu z zapalonym papierosem w ustach. Rozdmuchał przygasłe ognisko i wstawił wodę na kawę.

Mercer z wdzięcznością przyjął kubek kawy, obejmując ciepłe naczynie obiema dłońmi. Pili zadowoleni w milczeniu. Gibby i Selome obudzili się niedługo potem. Selome poszła się umyć, a Gibby i Habte pograżyli w rozmowie w tigrinya. Mercerowi pozostało obserwowanie, jak z półmroku wyłaniają się groteskowe kształty dalekich gór.

– Dzisiaj musimy wracać do Badn – powiedział Habte, kiedy Gibby oddalił się na pustynię, żeby opróżnić pęcherz.

Wynegocjowali z grupą nomadów obozujących niedaleko wsi Badn, że pójdą do Nakfy i kupią im benzynę. Karawana wielbłądów powinna już wrócić, a nawet z powiększonym zbiornikiem toyota miała paliwa akurat tyle, by dotrzeć do wioski.

– Wiem – odparł z roztargnieniem Mercer, patrząc, jak Selome wraca do obozu. Mimo spartańskich warunków każdego ranka wyglądała świeżo i pięknie. Miała na sobie pumpy i obszerną męską koszulę. Jej włosy wymykały się spod ronda

słomkowego kapelusza ze śliwkową wstążką, przydającą jej strojowi kobiecości.

Usiadła po turecku przy ognisku, naprzeciwko Mercera. Policzki miała lekko zaróżowione. Była świadoma, że na nią patrzy.

– Wracamy do Badn – oznajmił Mercer i zobaczył w jej oczach ulgę. Tempo, które narzucał przez kilka ostatnich dni, było mordercze i wszyscy nie mogli się już doczekać choćby krótkiego odpoczynku w wiosce. – Chcę jeszcze raz wynająć nomadów, żeby wrócili do Nakfy i przyprowadzili tutaj koparkę.

Habte i Selome wytrzeszczyli oczy. To ona pierwsza odzyskała mowę.

– Znalazłeś kopalnię?

Mercer popatrzył na nią ostro, a potem rozwiął jej nadzieję, kręcąc głową.

– Nie, jeszcze nie, ale nadchodzą deszcze i jeśli teraz nie przewieziemy koparki przez rzekę Adobha, potem może nam się to nie udać. Nie ma tu mostów, które wytrzymałyby ciężar ciągnika i naczepy.

Na twarzy Selome odmalowało się rozczarowanie.

– Ale mam dobre wiadomości.

Poszedł do swojego namiotu i wrócił z notesem i pogniecionymi zdjęciami. Rozłożył je na ziemi, przyciskając rozłożoną mapę kamieniami. – Habte i Selome zaglądali mu przez ramię, a Gibby zajął się zwijaniem obozu.

– Ponieważ mój GPS zostawiłem w Asmarze, wszystkie zaznaczenia na mapie są tylko przybliżone. Rozrzut może wynosić dwa, trzy kilometry, a tak duży margines błędu nam nie

pomaga. – Wskazał punkt trzydzieści kilometrów od Badn. – Teraz jesteście mniej więcej tutaj. Gwiazdki na mapie oznaczają miejsca, gdzie pobierałem próbki.

Gwiazdek było kilkadziesiąt. Mimo pozornie chaotycznej trasy, jaką Mer-cer obrał, rozłożone były idealnie symetrycznie – każda leżała mniej więcej półtora kilometra od kilku najbliższych. Habte i Selome byli pod wrażeniem jego orientacji w terenie.

– Czerwone znaczki oznaczają miejsca, gdzie odkryłem ślady granatu i ilmenity, które mogą, ale nie muszą oznaczać obecności diamentów. Problem w ich ilości. Nie ma ich wystarczająco dużo, żebym uwierzył, iż komin kimberlitowy sięgnął powierzchni, a jego zawartość wskutek erozji została rozniesiona przez ciekł wodne. – Wskazał kilka krętych linii na mapie, pewien, że pozostali nie wiedzieli nawet, iż przecinali jakieś koryta strumieni, tak bardzo zmieniły je miliony lat, które upłynęły od czasów, gdy zostały wyżłobione. – Jeśli komin jest wciąż pogrzebany pod powierzchnią, możemy go nigdy nie znaleźć.

– A więc co teraz? – spytał Habte.

Mercer przekartkował notes, aż znalazł wykonany ołówkiem szkic skalnej ściany przeciętej głębokim kanionem. Za nim widniała szczegółowo roz-rysowana otwarta równina. Rysunek był oszczędny, ale widać było, że ten, kto go wykonał miał talent.

– Tyle mogą wydedukować z detali powierzchni na zdjęciach Meduzy. Satelita nie został skalibrowany, kiedy je robił, i właśnie powierzchnia wyszła najgorzej. Ale tak powinien wyglądać teren wokół komina. Chciałem skończyć ten rysunek już jakiś czas

temu, ale dopiero w nocy udało mi się osiągnąć zadowalający rezultat. Jeśli komin istnieje, będzie za tymi skałami w dolinie. Habte, znasz taką okolicę?

Gdyby znał, Habte z łatwością by sobie przypomniał, bo rysunek był bardzo szczegółowy. Ale nigdy nie widział takiej stromej góry z kanionem przypominającym ślad po ciosie topora.

– Nie, ale możemy to pokazać nomadom w Badn, mogą to znać. Domyślałem się, że ta góra leży bardziej na północy, blisko płaskowyżu Hajer.

– Znasz tamten rejon?

– Paskudna okolica. Większość kontrolujas/zi/ta. Rząd nawet nie wysłał wojska tak daleko na północ. W czasie wojny cały tamten obszar został gęsto zaminowany przez Etiopczyków, żebyśmy nie mogli chronić się w Sudanie. Niebezpiecznie jest zjeżdżać z drogi, która prowadzi z Itaro na wschód. Nomadzi i pasterze unikają tych okolic, ale i tak co roku kilka osób ginie albo zostaje okaleczonych przez miny.

Mercer zaklął. Wojskowi planiści nazywali miny „żołnierzami doskonałymi”. Raz zakopane, leżały w ukryciu, skuteczne przez dziesiątki lat, długo po zakończeniu wojen. Wystarczyło kilka kilogramów nacisku, żeby je zdetonować. Najczęściej znajdowały je i odpalały dzieci, bawiące się daleko od wiosek.

– Jest tam coś jeszcze?

– Klasztor. Został opuszczony w czasie wojny, ale wydaje mi się, że mnisi wrócili.

Mercer wiedział, że miny nigdy nie zostaną rozbrojone, bo koszt tego byłby astronomiczny. Północna Erytrea miała

pozostać zaminowana przez dziesiątki lat, groźna i pozbawiona życia jak okolice Czarnobyła.

– Nie mamy wyjścia. Jeśli ktoś z was chce przerwać poszukiwania, zrozumieć to, ale ja jadę dalej.

– Jedziemy z tobą – powiedziała szybko Selome, a Habte i Gibby pokiwali głowami.

– Dziękuję.

Obaj mężczyźni ryzykowali dla niego życie i Mercera głęboko poruszyło ich oddanie. Selome z kolei wykonywała własne zadanie; jej chęć jazdy dalej dowiodła, jak bardzo jest zdeterminowana.

– Zamierzam zaryzykować i nie przeszukiwać pustyni między nami a płaskowyżem Hajer. Żeby dostarczyć tam koparkę, możemy korzystać z głównych dróg aż do Itaro, a nomadzi mogą ją przyprowadzić tutaj. – Zakreślił ołówkiem miejscowość Ila Babu nad rzeką Adobha. – A teraz w drogę.

Kiedy wjeżdżali do Badn, toyota już się krztusiła i była tak zakurzona, że wyglądała, jakby pomalowano ją farbą maskującą. We wsi były tylko dwa budynki, resztę stanowiły namioty z grubego materiału, rozpięte na drewnianych szkieletach. Na otwartej równinie przypominały bochny chleba na tle zachodzącego słońca. Jedynym powodem istnienia wioski była studnia. Nomadzi z całej prowincji Barka poili tu wielbłądy i kozy.

Habte rozpoznał namiot rodziny, którą wynajął do przywiezienia benzyny z Nakfy, i skierował samochód w jego stronę. Niedaleko głównego namiotu leżały sterty drewna na opał, w rozmigotanej oddali widać było karawanę wielbłądów wracającą

z kolejnym transportem. Z tej odległości ich niekształtne ciała wydawały się unosić w rozgrzanym powietrzu. Kilka ryczących zwierząt było uwiązanych w pobliżu obozu, a ich łagodne oczy obserwowały samochód z nieskrywaną pogardą. Za stertami wyschniętego drewna stały plastikowe bańki z benzyną.

Powrót wyprawy był dla wodza nomadów okazją do urzędzenia przyjęcia. Był to mężczyzna po sześćdziesiątce, o bawolim głosie, którego wylewne powitanie z klepaniem po plecach rzuciłoby Mercera na ziemię, gdyby nie był na nie przygotowany.

– Pieprzyć, pieprzyć – uśmiechał się, demonstrując swoją znajomość angielskiego. – Pieprzyć.

– Ciebie też pieprzyć – odparł Mercer, śmiejąc się.

Wódz odwrócił się do Habtego i powiedział coś z szybkością karabinu maszynowego, gestami każąc przetłumaczyć to Mercerowi.

– Mówi, że wita cię z radością w swoich skromnych progach i ma nadzieję, że nasza wyprawa przyniosła owoce. Ma też nadzieję, że przywozłeś mu pieniądze, żeby umocnić jego przyjaźń.

Mercer sięgnął do jednej z kieszeni kamizelki, wyjął zwitek dziesięcio-dolarówek i podał go wodzowi. Było tam więcej pieniędzy, niż cała tutejsza rodzina oglądała przez rok. Nomada znów się uśmiechnął, wałąc Mercera po ramieniu. Nieliczne zęby w jego ustach były nierównymi żółtymi pieńkami, spiłowanymi na ostro, żeby zrekompensować ich małą liczbę.

– Pieprzyć.

– Pieprzyć, pieprzyć – odparł Mercer. Habte przełożył dalsze słowa wodza.

– Musimy spędzić wieczór jako jego goście. Mówi, że nie pozwoli nam odjechać, dopóki nie okaże nam swojej gościnności.

– Powiedz mu, że będziemy zaszczyceni. Jeśli to dozwolone, przyniosę na jego stół butelkę brandy.

Oczy starego wodza zaświeciły się z zadowolenia.

– Pieprzyć, tak!

Dwie godziny później wykąpany Mercer wsunął się do namiotu wodza z Habtem, Selome i Gibbym. W środku unosił się kwaśny smród i dym z małego ogniska, wylatujący przez otwór w dachu. Środek namiotu oświetlono lampkami oliwnymi, ukazującymi przepięknie tkane kobierce na gołej ziemi. Wódz siedział w kręgu mężczyzn, z wolnym miejscem po prawicy dla Mercera i jego przyjaciół. W środku kręgu stała olbrzymia taca z mosiądzu i kilka mosiężnych garnków. Każdy mężczyzna miał przed sobą talerz indżery, nie-wyrośniętego chleba będącego podstawą erytrejskiej diety. W namiocie było co najmniej piętnaścioro dzieci, śmiejących się i piszczących podczas hałaśliwej zabawy, co nakładało się na gwar rozmawiających głośno dwudziestu dorosłych. Z przenośnego magnetofonu płynęła piosenka Michaela Jacksona. Słabe baterie sprawiały, że król popu śpiewał barytonem. Selome ścisnęła dłoń Mercera, dodając mu otuchy.

– Wygląda na to, że jednak spróbujesz tradycyjnej kuchni.

Znad ogniska napływał falami aromat jedzenia, tak doprawionego, że nawet z tej odległości Mercerowi łzawiły oczy.

Wódz gestem kazał mu usiąść koło siebie, Selome przycupnęła obok. Erytrejczyk wcisnął Mercerowi do ręki mosiężny kubek i wznosił toast. Mercer poznał zapach tedżu, wina mio-

dowego domowej roboty, robionego tylko w Etiopii i Erytrei, i wypił zawartość kubka jednym haustem. W przeciwieństwie do łagodnego, słodkiego wina, które pił z przyjemnością w etiopskich restauracjach w Waszyngtonie, ten ognisty trunek był ostry jak papier ścierny i subtelny jak laska dynamitu, do tego dwa razy mocniejszy. Mercer potrzebował całej siły woli, żeby nie krzyknąć, kiedy alkohol eksplodował mu w żołądku. W końcu złapał oddech.

– O cholera...

Po kolejnych czterech kulkach udzielił mu się nastrój przyjęcia. Wziął butelkę brandy, którą przechowywał dla niego Gibby, i uroczyście wręczył ją wodzowi. Książę nomadów otworzył ją z radością, rzucając nakrętkę za siebie. Gardząc kubkiem w pragnieniu napicia się takiego specjału, przyłożył butelkę do ust, przetykając łąpczywie. Potem podał ją Mercerowi. Mając nadzieję, że brandy zabiła wszystko, co mogło pływać w ustach Erytrejczyka, on też pociągnął długi łyk.

– O cholera – wymamrotał znów. Zapowiadała się długa noc.

Kobiety skończyły przygotowywać jedzenie i wylały zawartość kociołków wprost do mosiężnych garnków stojących wokół wielkiej tacy. Zebrani mężczyźni rzucili się na potrawy jak stado dzikich psów. Odrywali wielkie kawały indzery i maczali je w gulaszu tak, że ręce mieli po łokcie ubrudzone sosem, który kapał na wielką tacę z mięsem i warzywami, a potem wpychali sobie jedzenie do ust. Habte i Gibby jedli równie elegancko, Selome brała nieco mniejsze kawałki. Wat w misce najbliższej Mercera zrobiona była z soczewicy, ciecierzycy i tłustej baraniny. Chleb

wchłaniał trochę tłuszczu, ale i tak z każdym kęsem Mercer czuł, jak zatykają mu się arterie. Jedyne, co przebijało się przez ostry smak przypraw, był też. Kobiety dolewały mu trunku, gdy widziały, że jego kubek jest pusty.

Niewiarygodne, ale ta olbrzymia ilość jedzenia została pochłonięta zaledwie w kilka minut, a kiedy tylko ostatnia z trzech mis została opróżniona, kobiety nalały do niej świeżej wat i uzupełniły zapasy indżery.

– Jak sobie radzisz? – spytała Selome, wycierając ręce w nogawkę spodni. Oczywiście miała jasne i świeżące od wina, a jedzenie sprawiło, że się zarumieniła.

Mercer widział, że bawi się równie dobrze jak on. Zastanawiał się, jak się czuje, siedząc ze swoimi rodakami po tylu latach izolacji i ciesząc się prostą przyjemnością wspólnego posiłku.

– Jeszcze kilka kubków tedżu i zapomnę, że wypaliło mi żołądek. Selome nachyliła się niespodziewanie i pocałowała go w usta. Jej wargi były rozpalone od ostro przyprawionego wat. Mercer poczuł ciepło, niemają-ce nic wspólnego z jedzeniem. Ten intymny gest wstrząsnął Selome tak samo jak nim; odwróciła się zarumieniona.

Znów opróżniono trzy wielkie misy i znów zostały napełnione; para unosiła się z nich niebezpiecznymi mackami, palącymi jak kwas. Wódz umoczył kawałek indżery w gulaszu i wziął kawałek mięsa wielkości swojej pięści. Podał go Mercerowi z szerokim uśmiechem.

– Pieprzyć?

– Nie ma sprawy. – Mercer wypił też i wepchnął tłuste mięso do ust z zadowoleniem tubylca.

Misy opróżniano i napełniano jeszcze cztery razy. Na tacy piętrzyło się jedzenie, którego mężczyźni nie zdążyli donieść do ust, a po które kilku najtwardszych wciąż sięgało. Erytrejczycy byli ubrudzeni tłuszczem od ust po czubki bród i od palców po łokcie. Tempo jedzenia w końcu stało się wolniejsze i Mercer uznał, że to dobry moment, żeby poprosić gospodarza o przysługę. Miał przy sobie notes, siedział na nim przez całą ucztę, żeby ochronić go przed zachlapaniem tłuszczem czy przypadkowym zjedzeniem przez któregoś z sąsiadów. Otworzył go na szkicu doliny i góry wokół komina kimber-litowego i poprosił Selome, by tłumaczyła.

– Rozpoznajesz to miejsce?

– Tak, oczywiście. – Wódz próbował się wyprostować, ale z powodu ilości wypitego alkoholu kręgosłup odmówił mu posłuszeństwa i Erytrejczyk oparł się ciężko o sąsiada. – Niedaleko stamtąd urodziła się matka mojego ojca. To po zachodniej stronie Hajer. Nazywamy ją Doliną Umarłych Dzieci.

– Dlaczego?

– Bo tak się nazywa – wyjaśnił wódz nie bez pewnej logiki.

– Ale skąd taka nazwa?

– Kto wie? Tak się nazywa od niepamiętnych czasów. – Starzec zaczynał zasypiać, oczy uciekały mu pod czaszkę, a przy ostatnich słowach usta zrobiły się jak z gumy. – Jeszcze przed wojną nikt tam nie chodził. Na wzgórzach mieszkają złe duchy. Ojciec mówił mi, że nawet zwierzęta nie wchodziły do tej doliny.

Teraz okolica Doliny Umarłych Dzieci jest zaminowana. Dwa deszcze temu mój kuzyn stracił tam najstarszego syna, który poszedł szukać zabłąkanej kozy.

– Byłeś w tej dolinie?

– Nie.

I wódz zaczął chrapać.

Lata przyjaźni z Harrym White'em powinny były przygotować Mercera na kaca, którego miał następnego dnia, ale poprzednie doświadczenia nie mogły się równać z takim łomotaniem w czaszce i kotłowaniną w żołądku. Wszyscy goście wciąż byli w namiocie, większość głośno chrapała tam, gdzie padła w nocy. Jeden z nomadów, leżący z twarzą na tacy, był niebezpiecznie bliski utopienia się w tłuszczu zebrany na dzień. Mercer budził się wolnymi, bolesnymi etapami, niejasno świadomy, że na dworze wciąż jest ciemno, a namiot oświetla tylko jedna migocząca oliwna lampka.

Selome leżała zwinęta, z głową w zgięciu ramienia Mercera, twarzą do niego. Usta miała rozchylone, a jej wargi lśniły w słabym świetle. Mercer przypomniał sobie zaskakujący pocałunek, którym obdarzyła go wieczorem, i uznał go za skutek alkoholu. Pocałował ją w czoło i ostrożnie wysunął się z jej objęć.

Spojrzał na podświetlaną tarczę zegarka. Do świtu zostało pół godziny. Księżyc wisiał nad horyzontem w jasnej aureoli. Mercer niepewnie podreptał do toyoty. Wyjął spod niej małe zawiniątko i podszedł do niskich stołków stojących tuż przed wejściem do namiotu. Przypomniał sobie, że wódz nazywa się Negga. Teraz siedział z bezwładnie zwieszoną głową. Mercer

postukał go w ramię i zaproponował mu jedno z piw Milotti, które zostawił na noc w mokrym ręczniku. Piwo było odświeżająco zimne.

– Mały klinik.

Jeśli zamierza przetrwać nadchodzący dzień, musi zwalczyć jakoś skutki tedżu. Harry nazywał to „planem odroczonego kaca – baw się teraz, płac później”.

Habte i Gibby dołączyli do nich, kiedy Mercer otworzył drugie piwo.

– Habte, spytaj naszego gospodarza, czy dałby nam człowieka, który zaprowadziłby nas do Doliny Umarłych Dzieci.

– Zabieram moją rodzinę na wschód, żeby złapać deszcze – przetłumaczył Habte odpowiedź wodza. – Moje stada od miesięcy nie były na dobrych pastwiskach. Chciałbym ci pomóc, ale nie mogę zwlekać. Ale zważ na moje słowa: nie idź tam. Nie tylko miny są tam groźne, słyszałem też, że po sudańskiej stronie granicy stacjonuje wojsko. Przyszło tam jakieś sześć dni temu.

– Co to za ludzie?

– Nie wiem. To nie są zwykli żołnierze, mówiono też, że jest ich co najmniej pięćdziesięciu, wszyscy dobrze uzbrojeni. Taki oddział to za dużo na bandę shifta. – Wódz wzruszył ramionami. – Ich obecność jest tajemnicą.

Mercer wyjął mapę Erytrei i rozłożył ją na ziemi przed Neggą.

– Możesz mi przynajmniej pokazać, w którym miejscu płaskowyżu Hajer leży ta dolina?

Negga patrzył na mapę, nic z niej nie rozumiejąc. Jak większość nomadów polegał na wiedzy zgromadzonej przez pokolenia wędrowców. Nawet kiedy Mercer jako punkt odniesienia pokazał mu rzekę Adobha, wódz wciąż nie potrafił pojąć, w jaki sposób linie na papierze oddają poszarpane góry na północy.

– Nie wiem, co ten papier znaczy. Dolina jest na zachodnim skraju płaskowyżu, dzień jazdy na szybkim wielbłądzie z Ila Babu. Tyle mogę wam powiedzieć.

– Czy możesz przynajmniej zaprowadzić moich ludzi do Nakfy, żeby mogli wziąć drugą ciężarówkę, a potem zabrać ich do Ila Babu? – Obu miejscowości nie łączyła żadna droga.

– Piliśmy z tej samej butelki. Oczywiście, że to dla ciebie zrobię. Ale nie pozwolę, żeby moi ludzie poszli za Ila Babu. Nie chcę stracić nikogo z rodziny przez te twoje poszukiwania.

– Dobrze.

Negga się rozpromienił.

– Będzie cię to kosztować tylko dwieście amerykańskich dolarów.

Habte i Gibby, również skacowani, potrzebowali pół godziny, żeby przelać paliwo z baniaków do toyoty i przymocować resztę na bagażniku, pod już załadowanymi pakunkami. Mercer poszedł porozmawiać z synem Neggi, który mówił znośnie po angielsku. Ucisnął mu rękę, kiedy doszli do porozumienia, i dał trochę pieniędzy.

– Wygląda na to, że nie jedziemy z tobą – powiedział Habte, kiedy Mercer wrócił do ciężarówki.

– Nie. Nie chcę, żeby Selome była z nami, jeśli wpadnę w jakieś kłopoty, a ja nie puszczę jej samej z przewodnikami Neggi. – Urwał. – Jest coś jeszcze. Wczoraj, kiedy rozmawialiśmy o powrocie tutaj, spytała, czy odkryłem położenie kopalni. Pamiętasz?

Habte wolno kiwnął głową.

– Z tego co wiem, według niej szukamy komina kimberlitowego, nie kopalni. To samo powiedzieli porywacze. O ile nie ma jakichś dodatkowych informacji, nie powinna wiedzieć nic o kopalni. Ja jej nie powiedziałem.

Habte przyjął te rewelacje bez mrugnięcia okiem.

– Będę uważał, czy nie próbuje się z kimś kontaktować w Nakfie.

– Dobrze. Dziękuję ci.

– A Gibby?

– Zostaje ze mną. – Mercer przymocował ostatni róg siatki zabezpieczającej ładunek. – Przyda mi się pomoc, poza tym wyślę go wam do Ila Babu, żeby zaprowadził was do kopalni, jeśli ją znajdzie.

– O czym rozmawiałeś z synem Neggi? – spytał Habte.

– O planie awaryjnym – odparł Mercer i wręczył mu zapasowy telefon satelitarny wraz z instrukcjami, jak i kiedy z niego korzystać.

14?

W końcu byli gotowi. Negga zapewnił Mercera, że następnego ranka dwaj jego synowie zaprowadzą Selome i Habtego do Nakfy. Selome jeszcze spała i choć Mercer czuł ukłucie wyrzutów

sumienia, że zostawia ją bez pożegnania, nie dał nic po sobie poznać. Łyknął trzy ibuprofeny, wypił litr oczyszczonej wody i wsiadł do samochodu. Gibby już siedział na fotelu pasażera; głowa mu się kołysała, jakby nie miał siły jej utrzymać.

– Selome nie będzie szczęśliwa, że ją zostawiasz – zauważył złośliwie Habte.

Mercer zignorował przytyk.

– Zadzwoń do ciebie, kiedy skontaktują się ze mną porywacze. Jeśli do tej pory nie zlokalizują kopalni, jedźcie do nas tak czy inaczej, będziemy szukali razem.

Mercer obiecał sobie, że kiedy znów zobaczy Selome, czeka ich długa rozmowa o tym, co ona wie. Ludzie przetrzymujący Harry'ego White'a nie żartują i nadeszła pora, żeby Mercer zaczął robić to samo.

FAIRFAX, WIRGINIA

Uo pierwszego przełomu w śledztwie w sprawie zamordowania Prescottta Hyde'a i jego żony doszło przez czysty upór.

W dzień pożaru policja z Fairfax przeczesła okolice domu Hyde'a, szukając kogokolwiek, kto mógł widzieć podpalacza, ale nic nie wskórała. Jedynym światkiem w tunelu byli doktorostwo Grady, mieszkający obok Hyde'ów. Wyjechali z miasta na godzinę przed tym, jak zauważono pożar. Doktor Grady był chirurgiem szczękowym, który co roku poświęcał dwa tygodnie i swoje umiejętności charytatywnej klinice w Peru. Mimo ponawianych prób skontaktowania się z nimi nie odpowiedzieli.

Dick Henna czekał właśnie w służbowym samochodzie, kiedy państwo Grady w końcu wrócili do kraju, przyjeżdżając z lotniska kanciastym mercu-rym mountaineerem. Normalnie dyrektor FBI nie zajmowałby się pojedynczym przypadkiem, ale tutaj jego uwagi wymagały dwie sprawy. Jedną z nich było zainteresowanie prezydenta śmiercią jednego z urzędników, których sam mianował, a także implikacjami zaginięcia zdjęć Meduzy. Henna poinformował go o wszystkim niedługo po tym, jak admirał Morrison zrzucił mu ten cały bałagan na kark. Chociaż większość śladów została zniszczona w pożarze, dwie dziury po kulach w zwęglonych czaszkach Prescottta Hyde'a i jego żony Jacqueline postawiły całą administrację na baczność.

Drugą sprawą była jego przyjaźń z Mercerem.

Niedługo po tym, jak wiadomość o pożarze i morderstwie dotarła do prasy, „Washington Post” opisał szczegóły prowadzonego przez Departament Sprawiedliwości dochodzenia w sprawie Hyde’a, w tym plotki o sprzedaży ściśle tajnych dokumentów nieznanym kupcom. „Post” nie miał nic konkretnego w tej ostatniej sprawie, ale było tylko kwestią czasu, kiedy ktoś napisze o istnieniu Meduzy i zniknięciu zdjęć.

Prezydent chciał, żeby tę sprawę szybko rozwiązać i znaleźć zabójców. Gdyby wybuchł skandal, miał przygotowany oskarżycielski palec i szukał kogoś, kogo mógłby nim wskazać. Jego administracja wciąż nie mogła dojść do siebie po zeszłorocznej katastrofie na Alasce i nie była dość silna, by poradzić sobie z kolejnym skandalem. Prezydent kazał Hennie utajnić dochodzenie, nie odpowiadać na żadne pytania o Hyde’a i upewnić się, czy cała sprawa nie wybuchnie im w twarz.

Czerwona terenówka zatrzymała się na podjeździe domu Gradych. Oboje mieli na oko koło pięćdziesiątki, on siwy, łysiejący, ona – farbowana blondynka. Byli opaleni i wyglądali na zmęczonych pracą w Ameryce Południowej. Henna dał im minutę na pogapienie się na czarną jamę ziejącą w miejscu domu Hyde’ów, a potem do nich podszedł.

– To było podpalenie – powiedział bez ogródek. Oboje odwrócili się i popatrzyli na niego, nie rozumiejąc. – I przykro mi to państwu mówić, ale Prescott i Jacqueline zostali zastrzeleni, zanim sprawca podpalił dom.

Teraz, kiedy skupił na sobie całą ich uwagę, nadeszła pora, by się przedstawić.

– Jestem Dick Henna, dyrektor FBI, i mam do państwa kilka pytań.

Pięć minut później siedzieli w salonie Gradych. Na ścianach wisiały dziesiątki pamiątek z życia ich dzieci, zwieńczone oprawionymi w ramki dyplomami z Georgetown na pianinie. Meredith Grady płakała, bo przyjaźniła się z Jacqueline Hyde i grywała z nią w golfa. John Grady przyjął wieści o wiele spokojniej – nieobca mu była groza śmierci, ale jako lekarz potrafił lepiej ukrywać, że jest wstrząśnięty.

– Jak państwo rozumieją – powiedział Henna, kiedy uznał, że Meredith jest już w stanie odpowiadać na pytania – prezydent jest tą sprawą bardzo zainteresowany. Przyjaźnił się z Prescottem, jak na pewno pan podsekretarz Hyde państwu powiedział.

– Och tak. Jackie była taka podekscytowana, kiedy zostali zaproszeni na bal inauguracyjny. Pamiętam, że przez kilka miesięcy przed i po nim nie mówiła o niczym innym.

Henna też był na jednym z takich balów. Po godzinie wraz z Fay uznali, że nie zniosą takiej pretensjonalności, i poszli do Małego, wciąż w strojach wieczorowych. Przypomniawszy sobie, jak Harry White tańczył z jego żoną do chrypiącej muzyki ze spalonych głośników szafy grającej.

– FBI i policja z Fairfax rozmawiała ze wszystkimi okolicznymi mieszkańcami oprócz państwa. Mamy nadzieję, że rzucicie państwo jakieś światło na to, co się stało.

Badania balistyczne kul wydobytych ze zwłok nic nie dały.

– Czy któreś z państwa widziało albo słyszało cokolwiek tego ranka, kiedy wyjeżdżaliście?

Meredith pochyliła się do przodu.

– Tuż przed wyjściem widziałam, jak do domu Hyde’ów wchodzi kobieta. Nie widziałam jej tam nigdy wcześniej, ale Jackie i Bill znali tylu ludzi, że nie wiedziałam, kto jest kto.

– Mogłaby ją pani opisać?

– Było bardzo wcześnie, jeszcze ciemno, ale pamiętam, że była młoda, powiedziałabym po trzydziestce, i bardzo ładna, ubrana zwyczajnie. Nie pamiętam, jakim samochodem przyjechała. Podjechała pod sam dom, zapukała do drzwi i od razu weszła. Wyszła po kilku minutach. Myślicie, że to mogła być ona? Nie wyglądała na morderczynię.

Dzięki Bogu za ciekawskich sąsiadów.

– Rozpoznałaby ją pani na zdjęciu?

Meredith się zawahała, a Henna domyślił się dlaczego. W erze politycznej poprawności ludzie czuli się zobligowani nie wspominać o pewnej rzeczy, kiedy kogoś opisywali.

– Była czarna?

– Tak – wyrzuciła z siebie Meredith Grady. – Ale to nic niezwykłego. Afroamerykanie bardzo często bywali u Hyde’ów, wie pan, ta jego praca i w ogóle...

– Nie wszyscy czarni to Amerykanie. To mogła być prawdziwa Afrykan-ka – zauważył Henna. Meredith spojrzała na niego, jakby nie przyszło jej do głowy, że to jakaś różnica. – Rozpoznałaby ją pani?

– Nie wiem, być może. – Meredith nie musiała mówić, że większość czarnych dla niej wygląda tak samo. Było to widać po zakłopotanym wyrazie jej twarzy.

– Doktorze Grady, pan widział tę kobietę?

– Nie, ja byłem już na lotnisku, odprawiałem sprzęt lekarski.

Meredith dołączyła do mnie tuż przed odlotem.

Henna odwrócił się do pani Grady.

– A więc?

– Być może. Musiałabym zobaczyć jej dobre zdjęcie. Jedyne, co zapamiętałam wyraźnie, to włosy. Zobaczyłam je w świetle lampy na ganku, zanim weszła do domu. Nie były takie, jak u większości Afroamerykanek. Były dłuższe, i to nie sztucznie przedłużane, umiem je odróżnić. I były rozjaśniane na rudo henną. O, pana nazwisko i ten barwnik to to samo słowo.

10 – Kamii-ń MeHii7v 145 Dick się uśmiechnął.

– Na szczęście dzieciaki, z którymi się wychowywałem, nie były dość bystre, żeby to skojarzyć. – Wyjął z teczki plik zdjęć. – Chciałbym, żeby je pani przejrzała i powiedziała mi, czy kogoś rozpoznaje.

Meredith zaczęła oglądać fotografie, rzucając je po kolei na stół. Były to zdjęcia agentek Mossadu działających w Stanach Zjednoczonych. Kilka z nich miało ciemną skórę i Henna miał nadzieję, że to któraś z nich. Pani Grady jednak oddała wszystkie zdjęcia.

– Przykro mi, ale żadna z tych kobiet nie jest nawet podobna.

– To nic. – Henna dał jej drugi, mniejszy plik. – A te?

– To ona! – wykrzyknęła Meredith Grady, pokazując zdjęcie Hennie. Na fotografiach były głównie czarnoskóre pracownicy FBI, oprócz jednej.

– Jest pani całkowicie pewna?

Pani Grady jeszcze raz przyjrzała się zdjęciu.

– Tak. To kobieta, którą widziałam, jak wchodziła do domu Jackie i Billa.

Żołądek Henny skurczył się nieprzyjemnie. Nagle skontaktowanie się z Mercerem stało się wyjątkowo pilne. Zdjęcie było powiększonym ujęciem z kamery bezpieczeństwa Departamentu Stanu. Nawet przy tak kiepskiej rozdzielczości nie było wątpliwości, że jest na nim Selome Nagast.

ERYTREA

ro opuszczeniu Badn Mercer i Gibby z niezłą prędkością ruszyli na północ, ku podnóżom płaskowyżu Hajer. Mercer prowadził ostro, pędząc przez pustynię jak zawodowy rajdowiec. Gibby, kiedy minął mu kaczka, cieszył się jazdą, jak potrafią tylko młodzi. Krzyczał z radości, kiedy ciężka terenówka wyskakiwała z płytkich zagłębień, a potem ciężko opadała, wzbijając spod opon tumany kurzu.

Mimo wysiłków Mercera udało im się pokonać tylko sto kilometrów w zamierzonym kierunku, choć licznik wskazywał, że przejechali prawie sto dziewięćdziesiąt. Teren nie pozwalał, by jechać prosto do celu. Poza tym Mercer nie lekcewał ostrzeżeń Neggi o minach i jechał tylko po największych nierównościach, które spowolniłyby nacierającą armię, a więc nie trzeba było ich minować.

Nawet wiedząc, że Dolina Umarłych Dzieci leży po zachodniej stronie płaskowyżu, Mercer i Gibby musieli przeszukać obszar ponad dwustu pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych. Według mapy teren przypominał tu olbrzymi labirynt z setkami wysokich samotnych wzgórz, kanionów i krętych parowów, tworzących skomplikowany układ. Mercer próbował dopasować to, co przedstawiała, do tego, co widział za oknem samochodu, i szybko odkrył, że kartograf narysował jedynie szkic okolicy. Mapa była tak naprawdę bezużyteczna. Mercer przykleił więc

taśmą rysunek wlotu doliny do deski rozdzielczej i nim się kierował.

Przez ostatnich kilka milionów lat, woda i wiatr rzeźbiły teren, szlifując góry do postaci pieńków z najtwardszych skał. Nie mając pojęcia, w której z nich wycięta jest dolina, Mercer i Gibby objeżdżali każdą dookoła. Po trzech dniach Mercer zdecydował się na desperacki skrót.

– Nic z tego nie będzie – powiedział Gibby’emu około południa. Sfrustrowany wjechał land-cruiserem na zbocze jednego z wyższych wzgórz, dwustumetrowy podjazd, który tak nadweńczył napęd, że na szczyt dotarli w tempie idącego człowieka, a silnik był na skraju przegrzania. Mercer ze złością przekręcił kluczyk w stacyjce i w ciszy usłyszeli bulgotanie gotujących się pod maską płynów.

Wziął lornetkę z tylnego siedzenia i wskoczył na pakunki przymocowane do dachu toyoty. Obracał się powoli, przyciskając do oczu silne zeissowskie szkła.

– Jakies trzy kilometry na wschód jest dolina, która wygląda, jakby kiedyś była tutejszym głównym ciekim wodnym. Jeśli komin kimberlitowy przebił się na powierzchnię, erozja wymyłaby jakies kamienie czy przynajmniej pierwiastki śladowe do tego koryta.

Gibby nie mówił po angielsku tak dobrze jak Habte, więc popatrzył tylko na Mercera, nie rozumiejąc.

– Nie martw się, przyjacielu. Chyba znaleźliśmy jakiś trop.

Możliwe że uda się przyspieszyć poszukiwania, pomyślał, zeskakując na ziemię. Poczul ten sam przypyływ nadziei, której

doświadczył, kiedy porywacze niechcący powiedzieli mu, że szuka kopalni.

Ukształtowanie terenu zmieniło się w ciągu tysięcy lat tak bardzo, że starożytna rzeka wyglądała, jakby płynęła pod górę, ale Mercer nie miał problemu z określeniem, w którą stronę podążały kiedyś jej wody. Jechał na północ przez blisko półtora kilometra, ukośnie po krawędzi parowu, bojąc się, że jego dno może być zaminowane. Dotarli do ostrego zakrętu w cieniu góry, bezowego, piaskowcowego pomnika, w którego skromnym cieniu można było schować się przed morderczym słońcem. Gibby otworzył drzwi, kiedy tylko Mercer zahamował.

– Nie! – krzyknął Philip na sekundę przed tym, jak chłopak wyszedł na pylistą ziemię.

Jezu, pomyślał i otworzył swoje drzwi. Serce łomotało mu w piersi po błędzie chłopaka. Przyjrzał się uważnie ziemi pod stopami, szukając charakterystycznego zagłębienia, które mogłoby oznaczać obecność miny. Niczego nie dostrzegłszy, kazał Gibby'emu oderwać antenę toyoty. Użył jej jako sondy, wbijając ją stanowczo, ale łagodnie w piach, obracając i naciskając, aż weszła na jakieś piętnaście centymetrów. Nic.

Temperatura w samochodzie skoczyła do czterdziestu stopni. Pot spływał z Mercera wszystkimi porami, szczypiąc w oczy i rozmywając pole widzenia. On jednak pozostawał całkowicie skupiony, nadal sondując ziemię anteną. Dopiero po dwudziestu minutach uznał, że może bezpiecznie wysiąść z samochodu. Po kolejnych dwóch godzinach upewnił się, że teren w bezpośredniej okolicy land-cruisera jest czysty.

– Bierz szpadle. Pora popracować.

Wrzucił antenę do samochodu i zdjął koszulę. Jego tors lśnił, jakby był z brązu, a napięte mięśnie ramion poruszały się jak naoliwiona maszyna.

Zaatakowali brzeg w miejscu, gdzie napierałaby na niego masa wody, zmuszając starożytną rzekę do pozostawienia części niesionych z prądem drobin. Takie miejsca upatrywali sobie poszukiwacze złota. Rzeki pozostawiały w nich okruchy metali szlachetnych, kiedy nurt się burzył i tracił siłę niesienia surowych bryłek. Podobnie działo się z aluwialnymi diamentami.

Przez kilka godzin kopali w milczeniu. Mercer co jakiś czas rzucił łopatę ziemi na płachtę folii i polewał wodą z kurczącego się zapasu. Oprócz legendarnych właściwości dyfrakcji, dyfuzji i twardości diamenty mają jeszcze jedną, mniej znaną cechę – nie da się ich zmoczyć. Można je zalewać wodą, opryskiwać czy namaczać, a ich powierzchnia natychmiast staje się sucha. Mercer palcem mieszał piach, a potem przebierał go starannie, wybierając wszystkie większe kamyczki, które pojawiały się w błocie. Usatysfakcjonowany, zgarniał wszystko z folii i wracał do kopania.

Jama miała ponad dwa i pół metra szerokości i prawie dwa głębokości, kiedy zrobiło się zbyt ciemno, żeby móc badać próbki. Słońce zmieniło się w odległy, czerwony dysk, malujący pustynię tysiącami odcieni – od najgłębszej czerni po bogatą czerwień pąku róży. Kiedy zaczęli kopać, Mercer wiedział, że tak blisko powierzchni mogą niczego nie znaleźć. Skała macierzysta północnej Erytrei, uformowana w erze archaiku, należała do

najstarszych na całej planecie. Jej głębokość pod powierzchnią mogła wynosić kilometr albo więcej, a w ciągu milionów lat od jej stworzenia spoczęły na niej tysiące typów gleby. Mercer potrzebował maszynierii do odwiertów głębinowych, sięgającej kilometry w głąb skorupy ziemskiej i wydobywającej próbki. Z goryczą zdał sobie sprawę, że kopanie dołka głębokiego na kilka metrów to strata czasu. Jego nadzieja wyparowała.

– Jeśli gdzieś tu w okolicy jest komin kimberlitowy, i jeśli dotarł na powierzchnię i został wymyty przez erozję, nie ma gwarancji, że akurat przez tę rzekę, a nawet jeśli tak, wszystkie ślady mogą być zagrzebane na tysiącu metrów albo głębiej – wyjaśnił Gibby’emu. – Będziemy musieli nadal jeździć w kółko i znaleźć tę dolinę innym sposobem.

Rzucił jeszcze jedną łopatę piachu na skraj wykopu. Wygramolił się na górę, podał rękę Gibby’emu i wyciągnął także jego. Potem spojrział na ziemię rozsypaną na folii i schylił się, żeby przejrzeć błotnisty stosik. Rozgarnął go, zgniótł w palcach grudkę starożytnej gliny. Zaczął przebierać ziemię, jak robił to już pięćdziesiąt razy w ciągu tego dnia, mechanicznie wykonując wszystkie ruchy, w myślach zaś szykując się już do snu. Jeden mały kamyczek nie zmoczył się, kiedy Mercer wylał wodę na folię. Potrząsnął nad nim manierką. Kilka kropel spadło na kamień i od razu spłynęło kroplami.

– Gibby, dawaj latarkę! – Mercer prawie udławił się tymi słowami. W ustach mu zaschło. Jeszcze raz potrząsnął manierką nad kamieniem, ale była pusta. – I przynieś więcej wody!

Chłopak usłyszał ponaglenie w jego głosie i pobiegł do samochodu. Chwilę później był z powrotem. Szybko zapadła ciemność, Mercer poświecił latarką na nerkowaty kamyk trzymany w palcach. Kamień był ciemny, popękany i podrapany, ale przezroczysty, trochę jak czysty kwarc. Drżąc, Mercer wylał na swoją rękę litr wody, zmywając brud, ale nieważne, ile lał na kamyk, ten pozostawał suchy.

– Jest? – szepnął Gibby, patrząc na niego oczami rozjaśnionymi jak w gorączce.

Mercer nie odpowiedział. Poszedł do toyoty, przycisnął ostrą krawędź kryształu do przedniej szyby i przeciągnął nim po szkle. Od zgrzytu zabolaty go zęby. Na szybie pojawiła się głęboka biała rysa.

Odwrócił się do Gibby'ego, uśmiechając się szeroko i rzucił kamyk zaskoczonemu chłopakowi.

– Za bardzo nierówny, żeby trafić do zaręczynowego pierścionka, ale trzymasz w ręku jakieś dwanaście karatów przemysłowego diamentu, przyjacielu.

Krzyknął z radości. Gibby popatrzył na kamień, w końcu zrozumiał, i zawtórował Mercerowi.

Mercer chciał od razu ruszyć w górę starego koryta rzeki, ale musieli poczekać do rana. Położył się w toyocie, wiedząc, że sen nie nadejdzie. To było to. Udało mu się. Ludzie przetrzymujący Harry'ego mieli zadzwonić jutro o północy; zastanawiał się, co im powie. Nie chciał zdradzać się ze swoim znaleziskiem, ale musi im coś dać, tyle, żeby uwierzyli, że jest blisko. To, że znalazł diamenty tak szybko, dawało mu ogromną przewagę.

Do ostatecznego terminu zostały cztery tygodnie; przez ten czas zamierzał znaleźć jakiś sposób, żeby przechytrzyć porywaczy. Gdyby musiał, podałby im położenie kopalni, ale miał dość wiary w siebie, by najpierw spróbować ich powstrzymać. Mają zapłacić za to, co zrobili.

W końcu zasnął, a kiedy obudził się następnego ranka, cały był sztywny. Nawet najmniejsze poruszenie wydobywało z jego ust jęk.

– Robię się za stary na takie głupoty.

Obudził Gibby'ego i wkrótce znów byli w drodze. Koryto rzeki wiło się długimi, łagodnymi meandrami, w pewnym miejscu zawracając i wspinając się na zbocze wzgórza, które kiedyś było wodospadem. Żeby je pokonać, musieli użyć wyciągarki. Mercer zbadał teren GPR-em*, tracąc na to kilka godzin.

Koryto dawnej rzeki biegło mniej więcej na linii północ-południe. Wyglądało na to, że zbliżają się do głównej części płaskowyżu Hajer, olbrzymiego wypiętrzenia górującego nad wszystkim w tym regionie. Mercer zastanawiał się, czy nie porzucić koryta i nie pojechać wprost w stronę góry, ale wiedział, że jego jedynym sprzymierzeńcem jest ostrożność, i trzymał się krętego szlaku.

– Efendi! – Gibby zerwał z deski rozdzielczej szkic, zamachał nim jak talizmanem i wskazał coś po lewej.

Rysunek Mercera był niemal doskonały. Mieli przed sobą Dolinę Umarłych Dzieci, wcinającą się w zbocze stumetrowej góry, wyglądającą dokładnie tak, jak ją naszkicował, łącznie ze

skalnym osuwiskiem blisko wlotu, które częściowo zablokowało niemal pionową rozpadlinę. Dzieliło ich od niej około kilometra.

Między doliną a korytem rzeki była otwarta przestrzeń zryta lejami, najprawdopodobniej pozostawionymi przez etiopską artylerię. Niektóre wciąż były poczerńiałe od wybuchów.

– Jezu – sapnął Mercer. Zdevastowana okolica wyglądała jak zdjęcie ziemi niczyjej z I wojny światowej.

Nie chciał myśleć o ludziach, którzy prawdopodobnie zostali złapani na otwartym terenie, kiedy wielkie działa zaczęły bombardować ich śmiercią. Rozejrzał się w poszukiwaniu prowizorycznego cmentarza, ale zorientował się, że to daremne. Z zabitych przez ostrzał artylerii nie zostałoby dość, by to pochować. Gibby także był pod wrażeniem tego widoku. Choć za młody, by być świadkiem najgorszych walk, wiedział o cierpieniu, które wyzwoliło jego naród.

– Dzięki nam wszystko to nabierze wartości – obiecał mu Mercer. Czuł się trochę jak świętokradca, jadąc przez pobożowisko i wiedząc, że opony samochodu miały kości odważnych ludzi. Zastanawiał się, czy nie ma ono odstraszać innych, którzy zechcą badać tę okolicę. Może dlatego właśnie od tyłu lat nikogo tu nie było.

* GPR – Ground Penetrating Radar (przyp. red.).

Dolina Umarłych Dzieci miała około sześćdziesięciu metrów szerokości na dnie i zaledwie dwa razy tyle na górze – była stromą szczeliną w bezimiennej górze. Mercer znów musiał użyć wyciągarki, żeby pokonać osypisko u jej wlotu. Rozpadlina biegła niemal prostopadle w głąb góry przez około kilometra. Jej ścian

nie tworzyła lita skała, lecz warstwy piaskowca nagromadzone przez milenia, sypkie i kruche. Na dach terenówki co chwila spadały drobne kamyki.

– Nic dziwnego, że diamentów do tej pory nikt nie odkrył – powiedział Mercer, kiedy land-cruiser wyjechał na olbrzymią, otwartą równinę na końcu kanionu. – Geologia w ogóle się nie zgadza. To powinien być riolit albo bazalt.

Ogromna niecka miała około ośmiu kilometrów średnicy, zamykające ją góry migotały w oddali w falach żaru. Mercer zaczynał rozumieć, dlaczego nomadzi unikają tego miejsca. W całym kraju roślinność była rzadka, ale tutaj nie rosły nawet suche bylice ani kaktusy – ziemia pozbawiona życia jak powierzchnia Księżyca. Gibby rozglądał się przestraszony, składając dłonie jak do modlitwy.

– Nie podoba mi się tutaj – mruknął.

– Mnie też nie. – Mercer nie był w stanie odpędzić niepokoju.

W połowie niecki, jakiś kilometr dalej, coś zauważył. Niedaleko miejsca, gdzie zaczynały się piętrzyć otaczające dolinę góry, stała jakaś wzniesiona ludzkimi rękami budowla.

– Co to jest, do cholery?

Rozpoznał ją, kiedy podjechali na trzysta czterysta metrów.

– Niech mnie szlag! To winda, wieża wyciągowa kopalni!

Konstrukcja przypominała wieżę wiertniczą – wysoka pajęczyzna przerdzewiałych stalowych legarów, wspierająca wielki kołowrót piętnaście metrów nad ziemią. Obok wieży stało kilka rozpadających się drewnianych budynków, z których jeden, jak wiedział Mercer, musiał ukrywać maszynę wyciągarki. Wie-

za była kopalnianą windą. Opuszczała górników pod ziemię i wyciągała bogaty w minerały urobek w wielkich pojemnikach zwanych skipami.

Po wczorajszym znalezieniu diamentów spodziewał się, że to odkrycie nie będzie już tak ekscytujące, ale się mylił. Każdy krok przybliżający go do Harry'ego był lepszy niż poprzedni. Uśmiechał się wesoło do starej kopalni, kiedy nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

Są tu diamenty. Zdjęcia z Meduzy wyraźnie na to wskazują, a kamień grzechoczący w kubku na desce rozdzielczej jest dowodem. Dlaczego w takim razie kopalnię opuszczono? Mercer domyślił się, że budynki mają co najmniej pięćdziesiąt lat, i dzięki temu zrozumiał. Najprawdopodobniej była to instalacja Włochów, zbudowana podczas okupacji Erytrei i porzucona w chwili wejścia wojsk brytyjskich w 1941 roku. Możliwe, że Brytyjczycy nie wiedzieli o kopalni. Znajdowała się w miejscu wystarczająco odludnym, by pozostać tajemnicą, a jeśli Negga był wiarygodnym przykładem, nomadzi omijali tę dolinę. Było całkiem prawdopodobne, że kopalnia nigdy nie została ponownie odkryta, a jeśli tak, na przykład w czasie wojny o niepodległość, ci, którzy ją znaleźli, zostali wgnieceni w ziemię przez ostrzał artylerii dalekiego zasięgu.

W głowie Mercera pojawiło się kolejne pytanie. Wojna domowa w Erytrei skończyła się kilka lat temu. Dlaczego Włosi nie wrócili i nie podjęli wydobycia? Możliwe że nie trafili na diamentonośny kimberlit, ale musieli wiedzieć o jego istnieniu. Powinni byli wrócić. Potem przyszło mu do głowy, że porywacze

mogą być Włochami, a nie Arabami – tej komplikacji nie brał dotąd pod uwagę. A to wszystko zmieniało. Po raz kolejny.

Zatrzymał samochód obok wieży i otworzył drzwi. Ponieważ była to „zaginiona kopalnia”, miał pewność, że jej okolica nie została zaminowana. Wieża stała okraciem nad otworem szybu, pięć na pięć metrów, złowrogą czarną dziurą prowadzącą do podziemnego świata niczym wrota Hadesu. Mercer podszedł do krawędzi i wrzucił do środka kamień, nie odrywając wzroku od sekundnika zegarka. Czekał dłużej, niż się spodziewał. W końcu z dołu dobiegł cichy stuk. Obliczył głębokość: pięćdziesiąt metrów.

– Jezu.

– Efendi. – Gibby stał w drzwiach jednego z większych baraków. Barak wyglądał jak przeniesiony ze starego westernu – obity grubymi deskami, z płaskim dachem przykrytym przerdzewiałą blachą. Mercer zajrzał do środka ponad ramieniem Gibby’ego, i z trudem zachował spokój, kiedy zobaczył to, co znajdowało się w środku. Oparta o jedną ze ścian na ziemi siedziała mumia, ciało erytrejskiego żołnierza, zostawione tu przez towarzyszy, kiedy ruszyli do samobójczego ataku na armaty. Pustynne powietrze wysuszyło je tak bardzo, że skóra na twarzy wyglądała jak napięta maska, a dłonie zmieniły się w szpony. Z przodu wojskowej bluzy widniała ciemna plama. Żołnierz musiał zostać ranny w poprzednim starciu i albo umarł tutaj, albo został porzucony żywy. Oczodoły były pustymi otworami, nierówne zęby szczyrzyły się w makabrycznym grymasie. Gibby oddalił się i wrócił z brezentową płachtą. Okrył nią z szacunkiem zwłoki,

co chwila się żegnając. W szopie były inne ślady bytności ludzi, którzy tu obozowali: puste łuski, pogięta sprężyna z zepsutego magazynka, poczerniały krąg kamieni znaczący miejsce na ognisko, stos śmieci w kącie.

– Przed zachodem słońca pochowamy ciało, a w szopie urządzimy bazę – powiedział Mercer. – Jest za późno, żeby brać się do badania szybu.

Kiedy skończyli to ponure zadanie, zapadł zmrok. Gibby ze złamanego na pół masztu namiotu zbił krzyż i odmówił cichą modlitwę. Godzinę później już cicho chrapał. Mercer odpoczywał, oparty plecami o ścianę szopy. Choć był zmęczony, czuwanie przychodziło mu z łatwością. O północy mieli dzwonić porywacze. Ponieważ oddał Habtemu telefon z mocniejszą baterią, zamierzał włączyć swój tuż przed wyznaczoną godziną kontaktu. Na razie miał o czym rozmyślać – o kopalni, o kimberlicie, o Harrym. Kiedy zbliżyła się północ, poczuł, że pocałował się dłonie, a serce zaczyna bić szybciej. Żołądek zawiązał mu się w supeł utrudniający oddychanie.

Bał się zemsty, jaka miała spotkać Harry'ego za śmierć Europejczyka w Ambasoirze. Wiedział, że będzie ona okrutna.

WASZYNGTON

Dick Henna, kiedy tylko wyszedł od Gradych, bezskutecznie próbował skontaktować się z Mercerem, a skoro nie mógł się do niego dodzwonić, zadzwonił do Białego Domu. Prezydent był w Alabamie, pocieszając ofiary niedawnego tornada, nieosiągalny, mimo że chciał być informowany na bieżąco. Noc spędził w Huntsville i wrócił do Białego Domu ponad dwadzieścia cztery godziny po tym, jak Henna dokonał odkrycia. Dyrektorowi FBI udało się wreszcie do niego dodzwonić po dziewiętnastej.

– Dick, co mogę dla pana zrobić?

– Dzwonię w sprawie Prescottta Hyde’a.

– Co macie?

– Wolałbym nie mówić przez telefon, panie prezydencie. Jestem właśnie w samochodzie i jadę do miasta. Powinienem być w Białym Domu za dwadzieścia minut.

– Urządzamy tu przyjęcie dla zdobywców Superpucharu, Seahawksów. – Prezydent pochodził z Cincinnati, ale żonę poznał na Uniwersytecie Waszyngton. Pół życia czekał na tę okazję. – Będę w głównej sali balowej.

– Kiedy pan usłyszysz, co mam do powiedzenia, nie będzie pan w nastroju do zabawy.

Korki na moście opóźniły Hennę o godzinę. Strażnik przy południowej bramie szybko sprawdził jego dokumenty i wpuścił na podziemny parking. Wielka sala balowa pełna była mężczyzn we frakach i kobiet w błyszczących sukniach. Kręciła się tu

zwykła koteria gwiazd filmowych i waszyngtońskiej elity oraz około setki największych mężczyzn, jakich Henna kiedykolwiek widział. Mimo swobodnej atmosfery najpotężniejsi z nich, napastnicy drużyny, otaczali swojego młodego, przystojnego rozgrywającego, chroniąc go równie skutecznie jak na boisku. Młody supergwiazdor wydawał się wdzięczny za krąg kolegów, osłaniających go przed zakusami co bardziej niesławnych po-
-żeraczek mężczyzn.

Prezydent stał na końcu sali, rozmawiając z trenerem drużyny. Pierwsza Dama stała sztywno obok niego, najwyraźniej znudzona całą imprezą. Dla lepiej poinformowanych pracowników administracji nie było tajemnicą, że ich małżeństwo ma się skończyć wraz z upływem kadencji. Prezydent był tylko kilka lat starszy od Henny, ale nie wyglądał na swój wiek. Szczupły, mimo legendarnego apetytu, miał gęste włosy, siwiejące tylko na skroniach, i chłapiący loczek na czole.

Henna nie przedstawił się trenerowi i pociągnął prezydenta za łokieć. Odezwał się dopiero, kiedy miał pewność, że nikt ich nie usłyszy.

– Prescott Hyde został zabity przez rząd Izraela, prawdopodobnie przez Mossad.

Niecałą minutę później siedzieli na kanapie w Gabinetce Owalnym. Prezydent nalał im obu po szklaneczce szkockiej i wysłuchał opowieści Henny o rozmowie z państwem Grady, o Selome Nagast i jej związkach z Izraelem.

– Może pan zadzwonić do Lloyd Eastona z Departamentu Stanu, jeśli chce pan potwierdzenia jego rozmowy z premierem Izraela – zakończył Henna.

– Zrobię coś lepszego.

Wściekłość prezydenta maskował spokojny wyraz jego twarzy, ale zdradzał ją jego głos. Zadzwonił do centrali Białego Domu i chwilę później miał już połączenie międzynarodowe.

W Jerozolimie była druga nad ranem, ale David Litwinow, izraelski premier, został obudzony przez asystenta, kiedy tylko dowiedziano się, że dzwoni prezydent Stanów Zjednoczonych.

– Panie prezydencie, co za niespodzianka – powiedział urodzony w Rosji żydowski przywódca.

– Czy mówi coś panu nazwisko Selome Nagast, Davidzie? Na szyfrowanej linii zapadła ciężka cisza.

– Tak, mówi. Wszystko z nią w porządku?

To pytanie zbiło prezydenta z tropu, ale był zbyt wściekły, żeby zastanowić się, dlaczego je zadano.

– Trafi do komory gazowej w Wirginii, jeśli wpadnie w nasze ręce. Zamordowała wysokiego urzędnika Departamentu Stanu i jego żonę i podpaliła ich dom dla zatarcia śladów. Wie pan coś o tym?

– Cholera – mruknął Litwinow. Prezydent usłyszał, jak premier spuszcza nogi z łóżka, mamrocząc coś do żony. – Panie prezydencie, idę do gabinetu. Oddzwonię do pana za kilka minut. Mogę panu wszystko wyjaśnić, ale wyniknie z tego cała masa nowych problemów.

– No i? – spytał Henna, kiedy prezydent odłożył słuchawkę.

– Oddzwoni do mnie, ale zachowywał się, jakby spodziewał się mojego telefonu.

– Wie o Selome Nagast?

– Najwyraźniej. Powiedział, że wszystko wyjaśni, ale będziemy mieli przez to kłopoty.

– Domyśla się pan, o co mu chodzi?

Telefon zadzwonił, zanim prezydent zdołał odpowiedzieć. Włączył głośnik.

– Davidzie, jest ze mną Dick Henna z FBI i obaj chcemy usłyszeć wyjaśnienie, dlaczego jedna z agentek Mossadu zabija ludzi z mojej administracji.

– To dobrze, że on tam jest – powiedział Litwinow. – Selome Nagast nie pracuje dla Mossadu. Jest członkiem Szin Bet, naszego odpowiednika waszego Federalnego Biura Śledczego, i nie zabiła Prescottta Hyde’a.

– Skąd pan wiedział, że mówię o Hydzie? Wątpię, żeby o jego śmierci pisały gazety w Jerozolimie.

– Panie prezydencie, jeśli mi pan pozwoli, wytłumaczę. To potrwa kilka minut, więc proszę o cierpliwość. Wie pan, że stoję przed wotum nieufności w Knesecie. Sprawi ono, że mój rząd zostanie rozwiązany i rozpisane zostaną wybory. Jeśli do tego dojdzie, Chaim Levine, mój obecny minister obrony, prawdopodobnie zostanie nowym premierem. Nie muszę przypominać panu o jego faszystowskich poglądach i planach zerwania układów pokojowych z naszymi arabskimi sąsiadami. Ma do tego absurdalny pomysł, żeby zburzyć Kopusę na Skale i odbudować na jej miejscu Świątynię Salomona. Od chwili masakry przy

Ścianie Płaczu dwa miesiące temu ma ogromne poparcie. Nawet nasza umiarkowana większość się ku niemu skłania.

– Nie potrzebuję lekcji polityki, Davidzie. Mam własne źródła. Przewidujemy, że pokona pana stosunkiem pięć do trzech. Nie chcemy, żeby do tego doszło, tak samo jak pan. Ten facet to szaleniec.

W głosie Litvinowa pojawiło się znużenie.

– To, co zamierzam panu powiedzieć, oziębi stosunki między naszymi krajami na wiele lat. Wolałbym się do tego nie przyznawać, ale nie widzę innego wyjścia. Trzeba wziąć pod uwagę większe dobro.

Henna i prezydent wymienili spojrzenia.

– Mossad umieścił w waszym Narodowym Biurze Rozpoznania swojego człowieka, wysoko postawionego analityka zdjęć. Wolałbym teraz nie zdradzać jego nazwiska, bo naraziłbym jego życie. Przekazywał nam informacje z waszych satelitów szpiegowskich, w tym z najnowszych Meduz.

Hennę rozwścieczała myśl o sprzymierzeńcach szpiegujących w USA. Wrogów potrafił zrozumieć, ale Izraelczycy wykorzystujący w taki sposób Stany Zjednoczone doprowadzali go do furii. Zacisnął pięści. Zastanawiał się, czy admirał Morrison lub pułkownik Baines o tym wiedzieli. Wątpił.

– Zaczął pracować w NBR dwa lata po tym, jak wystrzelono pierwszego z nich, i odkrył zapomniany komplet zdjęć zrobionych podczas zakończonego katastrofą lotu z 1989 roku. Z powodu ścisłej ochrony nie mógł przekazać nam ich normalnymi kanałami ani ich ukraść. Nie dało się ich także skopiować, jak

rozumiem, ma to coś wspólnego z rodzajem papieru, na którym zrobiono odbitki. Opracował jednak plan wyniesienia ich z NBR, z pomocą oficera Sił Powietrznych jako nieświadomego kuriera. Nasz agent miał się spotkać z tym oficerem później tego samego wieczoru, ale major Rosen, kurier, odkrył, że ma zdjęcia i ile są warte, i uknuł plan sprzedania ich. Jak pan wie, trafiły do Prescottta Hyde'a. Kiedy nasz agent zrozumiał, że stracił zdjęcia, skontaktował się z przełożonymi i opowiedział im, co na nich było. Dowiedział się o tym Chaim Levine.

– Myślałem, że Mossad to agencja cywilna. Wasze wojsko nie ma własnego wywiadu? – odezwał się Henna po raz pierwszy. Przypomniał sobie, że według Bainesa Rosen został już aresztowany. Oznaczało to, że Izraelczycy wciąż mają szpiega działającego w NBR. Zanotował sobie w pamięci, żeby powiedzieć o tym pułkownikowi.

– Ma, ale Levine posiada wielu popleczników w kierownictwie Mossa-du. Wie pan, że zdjęcia pokazują północą Erytreę i południowo-zachodni Sudan i być może widnieje na nich diamentonośny komin w skorupie ziemskiej. Mogą także wskazywać położenie czegoś jeszcze, do czego za chwilę dojdę, ale proszę mi zaufać, kiedy mówię, że Levine bardzo się zainteresował zdobyciem tych zdjęć.

Od jakiegoś czasu buduje prywatną armię, rekrutując ludzi z szeregów naszego wojska, służb wywiadowczych i innych – wszędzie, gdzie mógł znaleźć użytecznych ludzi. To mężczyźni i kobiety, którzy podzielają jego przekonania i są skłonni zginąć za jego wizję przyszłości Izraela. Niedługo po tym, jak dowiedział

się o istnieniu zdjęć z Meduzy, Levine wysłał jednego z nich do Erytrei. Udawał austriackiego archeologa. Człowiek ten nazywał się Jakob Steiner i jego prawdziwym zadaniem było oczywiście znalezienie komina kimberlitowego. Został zwerbowany na wydziale geologii uniwersytetu w Tel Awiwie. Został zabity przez bandytów, zanim znalazł komin.

Premier zamilkł, jakby zastanawiał się, ile jeszcze powinien powiedzieć.

– Niech pan mówi dalej, Davidzie – ponaglił prezydent, z twarzą pociemniałą z gniewu. Jeśli to w ogóle możliwe, był jeszcze bardziej wściekły niż Henna.

– Levine musiał zdobyć te zdjęcia, wysłał więc do Waszyngtonu zespół pod przywództwem Ibrihama Beina, doskonałego agenta terenowego, pół Palestyńczyka, pół Żyda. Bein odwrócił się od swojego palestyńskiego dziedzictwa i został gorliwym syjonistą. Miał rozkaz zdobyć zdjęcia za wszelką cenę.

– Mówi pan, że Selome Nagast pracuje dla tego Beina? – spytał prezydent.

– Nie, to mój człowiek, ma rozkaz powstrzymać Ibrihama i jego zespół. Dowiedzieliśmy się o sprzedaży zdjęć przez Rosena Prescottowi Hyde’owi i wysłaliśmy Selome do Waszyngtonu, kontaktując ją z Hyde’em. Jej erytrejskie obywatelstwo przekonało go, że powinna mu pomóc odnaleźć komin.

Dla Henny wszystko stawało się jasne.

– W tym momencie wkracza Mercer – powiedział.

– Przykro mi, ale nie znam nikogo o tym nazwisku. – Litwinow był wyraźnie zmieszany.

– To amerykański inżynier górnictwa, szukający w tej chwili tego komina w Erytrei – wyjaśnił Henna. – Selome Nagast i Prescott Hyde wynajęli go do poszukiwań. – Nagle Henna zeszywniał. – O Jezu, to Izraelczycy trzymają Harry’ego White’a, a nie Arabowie!

– Co? – spytał prezydent.

– To ten bydlak Bein porwał przyjaciela Mercera, Harry’ego White’a. – Henna z trudem się uspokoił. – Mercer nie chciał mieć z Hyde’em nic wspólnego, ale niedługo po ich pierwszym spotkaniu Harry został uprowadzony z własnego domu. Okupem za niego jest udział Mercera w poszukiwaniach. Harry został wywieziony z Waszyngtonu prywatnym odrzutowcem lecącym do Bejrutu, co skłoniło Mercera i mnie do przekonania, że porywaczami są arabscy terroryści. Żaden z nas nie pomyślał, że to mogą być Żydzi.

– Nie wiedziałem o tym porwaniu i Selome najwyraźniej też nie, ale macie moje słowo, że jeśli Harry White jest w Izraelu, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go uratować – obiecał Litvinow. – Panie Henna, fanatyzm i terroryzm nie są zastrzeżone dla naszych muzułmańskich przyjaciół. My, Żydzi, również mamy długą historię działań terrorystycznych, mniej nagłośnionych, ale nie mniej brutalnych. Proszę spytać dowolnego brytyjskiego żołnierza, który stacjonował tu po II wojnie światowej.

– A więc to Ibriham Bein zamordował Hyde’a i jego żonę? – Henna zrozumiał, że Selome musiała tam wejść tuż po tym, jak Bein ich zastrzelił.

– Tak. Prawdopodobnie próbował zdobyć zdjęcia z Meduzy bez użycia przemocy, ale kiedy mu się to nie udało, uciekł się do gróźb albo tortur.

Henna układał kolejne elementy układanki.

– Mercer musiał już być wtedy w posiadaniu tych zdjęć. Hyde został zabity, kiedy Izraelczycy uświadomili sobie, że nie jest im już potrzebny, a wręcz przeszkadza, bo wie o diamentach.

– Zgadza się! Selome Nagast pojawiła się w jego domu, kiedy oboje już zostali zabici. Podłożyła ogień, żeby opóźnić dochodzenie i chronić nas, a potem wyjechała z Waszyngtonu. Wróciła prosto do Izraela i złożyła mi raport na temat tego, co się stało. Jestem zaskoczony, że nie wspomniała o tym inżynierze, ale ma skłonności do ochrony swoich przyjaciół, jeśli uważa, że nasza wiedza o nich może zagrażać ich życiu.

– A więc gdzie Ibriham Bein jest teraz i co możemy z tym zrobić? – spytał Henna.

– Nie żyje, co zostawia nas z o wiele większym problemem. Pora, bym powiedział panom, dlaczego Levine jest tak bardzo zainteresowany tym kominem kimberlitowym i wprowadzić zupełnie nową stronę, włosko.-sudań-ską, co skomplikuje ten bałagan jeszcze bardziej.

Zabrało to godzinę. Henna i prezydent słuchali opowieści Litwinowa jak urzeczeni. Brzmiała jak baśń, ale przez ostatnich kilka tygodni obaj widzieli dość dowodów, by żaden z nich nie wątpił, o co toczy się gra. Kiedy premier skończył, prezydent miał tylko jedno pytanie:

– Pan wierzy, że ona jest zakopana w tej opuszczonej kopalni, Davi-dzie?

– Nie wiem. Możliwe. Mówimy o artefakcie, którego mój naród szuka od tysięcy lat, a szukaliśmy już prawie wszędzie. To chyba kwestia wiary, panie prezydencie, a to siła, której nie da się zmierzyć. Moja wiara pozwoliła mi przeżyć obozy pracy w Rosji i zbudować nowe życie tu, w Izraelu. Ale nie ma znaczenia, czyja w to wierzę. Ważne jest to, że wierzy Chaim Levine, i żaden rozlew krwi nie powstrzyma go od udowodnienia, że ma rację. Jeśli ona jest w Erytrei i Levine ją odzyska, Żydzi na całym świecie poprajego sprawę. Wtedy będziemy mogli na zawsze zapomnieć o pokoju na Bliskim Wschodzie.

Dick Henna złapał słuchawkę telefonu, kiedy tylko prezydent ją odłożył. Szybko wybrał numer i popatrzył na prezydenta, czekając na połączenie.

– Muszę ostrzec Mercera. Nie ma pojęcia, że tkwi w samym środku bitwy toczonej od trzech tysięcy lat.

– Niech się pan uspokoi, Dick – powiedział prezydent łagodnie. – Zna go pan lepiej niż ja, ale Mercer nieraz udowodnił, że umie o siebie zadbać.

– Tak, ale nie wtedy, kiedy pakuje się w zasadzkę zastawioną przez ludzi, którzy mają bardzo stare rachunki do wyrównania.

Henna trzymał słuchawkę przy uchu, ściskając ją tak, że pobiełały mu kłykcie.

DOLINA UMARŁYCH DZIECI, PÓŁNOCNA ERYTREA

mercer kilka razy zasypiał podczas warty, podrywając się kilka sekund po zamknięciu oczu, zaczerwienionych i piekących od drobinek kurzu, unoszą- HR

cych się w opuszczonej szopie. O jedenastej, wiedząc, że jeśli znów zaśnie, obudzi się o świcie, wyszedł na zewnątrz, zabierając ze sobą telefon. Kiedy noc spowiła Afrykę, temperatura spadła tylko nieznacznie. Droga Mleczna wyglądała jak wielka smuga na niebie. Wiał lekki wiatr. Najgłośniejszym dźwiękiem, jaki Mercer słyszał, były jego własne kroki po spękanej ziemi.

Na około dziesięć minut przed umówioną godziną włączył telefon, który zadzwonił niemal natychmiast. Zaskoczony i zdziwiony, dlaczego kontaktują się z nim wcześniej, włączył tryb odbioru.

– Mercer.

– Doktorze Mercer, dobrze znów słyszeć pana głos.

To był ten sam człowiek, który rozmawiał z nim w Asmarze. Mercer miał nadzieję, że zginął w starciu z Sudańczykami w Ambasoirze.

– Nie mogę powiedzieć tego samego – odparł gorzko. Dzwoniący to zignorował.

– Próbowałem dzwonić kilka razy, ale miał pan wyłączony telefon. Mamy dużo do omówienia. Od naszej ostatniej rozmowy wiele się wydarzyło.

Może to dlatego, że stał niedaleko szybu kopalni i zrobił już to, czego od niego żądano, a może dlatego, że przyciśnięto go za mocno, Mercer nie potrafił powściągnąć gniewu, maskując go tylko trochę sarkazmem.

– Tak, dostaliście w dupę od paru amatorów, którzy chcieli ukraść moje gacie. Poprzedniej nocy też próbowali, na szczęście pokojówka pogoniła ich mopem. Wygląda na to, że porywanie bezbronnych starców to szczyt waszych możliwości. Może powinniście jeszcze poćwiczyć? Na przykład, zabierając cukierki dzieciom, słyszałem, że to trudniejsze, niż może się wydawać.

– Pana dowcipy są wysilone – odparł głos. – Może to pana ostudzi. Proszę słuchać bardzo uważnie.

Po krótkiej pauzie Mercer usłyszał inny głos. Harry! Mówił jakby z oddali, jakby jego głos nagrano i teraz odtwarzano. Mimo zniekształceń Mercer słyszał grozę w głosie starca.

– Philipie, musisz znaleźć tę kopalnię diamentów. Powiedzieli mi, że jeśli jej nie znajdziesz w ciągu dwóch tygodni, zaczną mnie kroić. – Głos Harry’ego zadrżał. – Trzymają mnie w jakiejś norze i dają syf gorszy niż Bo-odles. Nie wiem, ile jeszcze zniosę.

Przerwano mu i znów odezwał się terrorysta.

– To powinno pana przekonać, że pana przyjaciel wciąż żyje. Ja dotrzymuję mojej części umowy, a pan?

– O co Harry’emu chodziło z tymi dwoma tygodniami? Myślałem, że mam jeszcze cztery.

– Już nie. Poda nam pan lokalizację kopalni za dwa tygodnie albo Harry White zostanie zabity.

– Jeszcze się nawet do niej nie zbliżyłem – skłamał Mercer, patrząc na czarną sylwetkę wieży wyciągowej w blasku księżyca. Dwa tygodnie? To za mało, żeby obmyślić jakiś sensowny plan. Cholera.

– To problem pana i pana White’a, nie mój – mruknął terrorysta.

– Mam trop – odrzekł Mercer, nadając głosowi błagalne brzmienie. – Dowiedziałem się czegoś od rodziny nomadów, którą spotkałem dwa dni temu, ale potrzebuję więcej czasu! Na Boga, to wielki kraj! Do tej pory byliście rozsądni. Dajcie mi jeszcze tydzień. Za trzy tygodnie będę znał położenie kopalni, przysięgam.

– Ma pan dwa. – Odpowiedź była ostateczna. – A teraz musimy omówić to, co zaszło w Asmarze.

– To nie ja zabiłem waszego człowieka.

– Wiem o tym, doktorze Mercer. Jak obaj zdajemy sobie już sprawę, pana poczynaniami interesuje się trzecia strona i może się okazać, że będę musiał chronić pana i pana zespół. Proszę powiedzieć mi natychmiast, gdzie pan jest.

– Naprawdę myślicie, że uwierzę, że tak nagle zaczęliście się o mnie troszczyć?

– Nasze zainteresowanie pana bezpieczeństwem jest uzasadnione. Stąd dwóch martwych Afrykanów w pana pokoju – powiedział spokojnie rozmówca. – Uważam pana za swojego

pracownika i chcę, żeby się panu udało. Proszę mi powiedzieć, gdzie pan jest.

– Nie. Wy chcecie kopalni, ja chcę Harry’ego White’a. Tak się umówiliśmy i dacie mi spokój, dopóki jej nie znajdę. – Głos Mercera stwardniał.

– ASudańczycy?

– Nimi sam się zajmę.

– Wie pan, że nie mogę pana zmusić, żeby mi pan powiedział, gdzie pan jest – stwierdził mężczyzna. – Ale kiedy będziemy rozmawiali następnym razem, będę miał kolejne nagranie i usłyszysz pan, jak Harry White traci lewą rękę.

Telefon zamilkł.

– Cholera! – Mercer się rozłączył, a potem wybrał numer telefonu, który dał mu Habte.

– Selaml – Habte odebrał natychmiast. Tak jak ustalili, zanim się rozdzielili, czekał na telefon.

– Habte, to ja. Chyba właśnie dałem ciała z porywaczami. Grożą mi, a ja im wierzę.

Odtwarzał w głowie rozmowę i nagle uderzyło go coś dziwnego, co powiedział Harry. „Syf gorszy niż Boodles”. O czym ten stary drań mówił?

– Posłuchaj, nie powiem za dużo, ale będę potrzebował tej koparki szybciej, niż zaplanowaliśmy. Możesz ruszyć o świcie?

– Tak, jej właściciel pracował tu przy naprawach dróg, ale powiedział radzie miasta, że musi nagle wyjechać.

– Dorabia na boku?

– Nie widzę w tym niczego złego. Nakfa się sypie, a o ciężki sprzęt w Erytrei niełatwo.

– Oby tylko miał pełne zbiorniki, kiedy tu dotrze – uprzedził Mercer.

– Będzie miał. Mamy też inny sprzęt, który kazałeś mi zgromadzić, zanim przyleciałeś do Erytrei.

– Świetnie. Będziemy potrzebowali generatora i przenośnych reflektorów.

Choć telefony satelitarne nie były odporne na podsłuch, Mercer był przekonany, że nikt nie nasłuchuje na tej częstotliwości o tej akurat porze. Nie zamierzał jednak niepotrzebnie ryzykować i podawać swojego położenia. Podał Habtemu koordynaty z grubszą piętnaście kilometrów od Doliny Umarłych Dzieci, zamierzając wysłać Gibby'ego, żeby poprowadził ich na ostatnim odcinku.

– Kiedy mam się was spodziewać?

– Zajmie nam to przynajmniej dzień. Teren jest trudny, a Adobha mogła już wezbrać. Byłoby najlepiej, gdyby Gibby wyjechał po nas pojutrze w południe.

– Zrozumiałem – odparł Mercer, wciąż myśląc o Harrym. Boodles jest marką ginu. Skąd on ma tam gin, jeśli jego porywacze są muzulmanami i nie mogą pić alkoholu? Harry próbował mu coś przekazać, ale Mercer był zbyt zmęczony, żeby to rozszyfrować.

Obudził Gibby'ego, kiedy zaczęło się robić jasno. Przespał się na tyle, by zaspokoić najpilniejsze potrzeby organizmu, ale w rosnącym upale poranka czuł się ospały i powolny. Gibby

zgodził się, że może zostać w dolinie i pomóc Mercerowi aż do następnego ranka, i zdążyć wyjechać po Habtego, Se-lome i sprzęt.

Po szybkim śniadaniu Mercer zbadał konstrukcję wieży wyciągowej, a Gibby rozpakował całą linę, jaką ze sobą przywieźli. Rdza na legarach była tylko powierzchowna, metal pod spodem wciąż wyglądał na mocny. W toyocie były tylko trzy piętnastometrowe odcinki liny, ale gdyby przywiązali je do stalowej linki holowniczej wyciągarki, Mercer sięgnąłby dna szybu.

Do legarów wieży przymocował taśmą klejącą bloczki, smarując je olejem z miski samochodu, żeby ostry metal nie poprzecierał liny. Pokazał Gibby'emu, jak ma go asekurować, a sam założył uprząż i opracował szybką serię sygnałów przekazywanych głosem i szarpnięciami sznura.

– Pamiętaj, Gibby, tylko ty będziesz mnie chronił przed szybkim upadkiem do piekła – ostrzegł Mercer, stając na krawędzi otworu szybu. Gibby 11 – Kamień Meduzv okazał się zręcznym pomocnikiem, ale Mercerowi i tak nie podobał się pomysł powierzenia swojego życia nastolatkowi. Czarna dziura zdawała się chcieć wessać go w otchłań.

Kilka razy głęboko odetchnął i zsunął się z kruchej krawędzi, zawisając nad pięćdziesięciometrową czeluścią. Gibby popuścił linę i Mercer obniżył się o kilkanaście centymetrów.

– Wszystko w porządku? – sapnął, uśmiechając się słabo.

– Tak, efendi. – Gibby uśmiechnął się szeroko. – Przez te liny ważysz tylko trochę.

System bloczków sprawiał, że chłopak utrzymywał odczuwalny ciężar około dwudziestu pięciu kilogramów, ale Mercer przymocował też linę do wyciągarki land-cruisera. Gdyby przyszło do wyciągania go na powierzchnię, Gibby sam nie dałby rady.

– Dobra, opuszczaj!

Opadł w czerní. Prostokąt światła nad jego głową oddalał się zbyt szybko. Włączył latarkę i sprawdził, czy górniczy kask ma dobrze umocowany na głowie. Wokół osypywał się piach i kamyki.

– Wolniej! – wrzasnął, zapierając się stopami o ścianę, żeby choć trochę zmniejszyć ciężar na linie. Poparł swoje polecenie dwoma szybkimi szarpnięciami i tempo opadania zdecydowanie się zmniejszyło.

Jechał w dół, sznur prowizorycznej uprząży wrzynał mu się boleśnie w uda, latarka rzucała biały krąg światła przed jego oczami. Skierował ją w dół, ale światło sięgało ledwie kilku metrów. Do ściany powinna być przymocowana stalowa prowadnica dla skipów i windy, ale jej nie było, Mercer nie widział też śladów, by kiedykolwiek została zamontowana. Zaczął się zastanawiać, w którym momencie przerwano poprzednią próbę eksploatacji kopalni.

W obozie na powierzchni nie było śladów kruszarki ani sit. Ponieważ w kopalni nie zainstalowano nawet odpowiedniej windy, było możliwe, że nie działała długo. Z drugiej strony wykopanie tak głębokiego szybu musiało trwać co najmniej

rok, biorąc pod uwagę, jak jest stary i jakiego sprzętu używano pół wieku temu.

Do pierwszego chodnika dotarł na głębokości około dwudziestu pięciu metrów. Teraz wylot szybu miał wielkość kłapy kanału burzowego. Mercer obrócił się, aż jego buty oparły się mocno o krawędź otworu prowadzącego w głąb. Ten, kto otworzył kopalnię, wiedział, że nie należy wiercić głównego szybu w kominie wulkanicznym, lecz obok, i z niego dopiero penetrować w poziomie złoża kimberlitowe. Mercer dał Gibby'emu sygnał, żeby trzymał linę i wypiął się, przywiązując jej koniec do drewnianego stempla, żeby nie uciekła mu nad głębię.

Światło latarki cięło mrok, ukazując chodnik szeroki na trzy metry, wysoki na dwa i Bóg jeden wie jak długi. Mercer poświecił na sufit, zaskoczony tym, że nie ma tu nietoperzy. Dotarło do niego, że nie czuje smrodu odchodów typowego dla opuszczonych kopalni. Tak jak cała Dolina Umarłych Dzieci, podziemia były pozbawione życia. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz, niemający nic wspólnego z chłodem podziemnych korytarzy.

Przeszedł pięćdziesiąt metrów w głąb tunelu i dotarł do pierwszego skrzyżowania, z chodnikiem odbiegającym pod kątem prostym, tej samej wysokości, ale o połowę węższym. Przez chwilę rozważał, czy w niego nie skręcić, ale uznał, że lepiej trzymać się głównego korytarza. Następne skrzyżowanie ukazało się po lewej już po kilku kolejnych metrach, potem trzecie. Idąc dalej, znów poświecił na sufit i zobaczył, że nie wbito w niego stabilizujących bolców. Otaczająca go skała była

głównie riolitem i nie wymagała tego, ale zaniepokoił się jeszcze bardziej. Z tą kopalnią coś jest bardzo nie w porządku.

Po dwustu metrach odkrył szybik, otwór w ziemi prowadzący na poziom poniżej. Szybiki łączyły dwa poziomy kopalni i często prowadziły do przecznicy odstawowej, korytarza używanego do odprowadzania urobku. Drewniana poręcz dookoła szybiku była wyschnięta i połamana, a prowadząca w dół drabinka wyglądała na tak słabą, że nie utrzymałaby ciężaru myszy, nie mówiąc o mężczyźnie. Mercer poszedł dalej. Zanim dotarł do przodka, pięćset metrów od szybu, minął osiem skrzyżowań i trzy szybiki, z czego jeden na suficie, co oznaczało, że powyżej jest jeszcze jeden poziom, niełączący się z szybem.

Jego pierwotna ocena wielkości wyrobisk była zupełnie nie-trafiona. Nie zbadawszy przecznicy, mógł tylko zgadywać, że długość chodników odchodzących od szybu jest co najmniej dwa razy większa. Do jego dna pozostawało wciąż trzydzieści metrów i nie wiadomo było, ile jeszcze chodników do niego przylega. Zależnie od stabilności skały i kierunku przebijania tuneli na boki mogło ich odchodzić nawet kilka kilometrów.

Mercer spędził piętnaście minut na przodku, drobiazgowo badając skały. Urobek z ostatniego strzelania nie został zabrany, kiedy górnicy opuścili kopalnię, co oznaczało, że wycofali się w pośpiechu. Górnicy nigdy nie zostawiają nieprzerobionego urobku pod ziemią. Mercer przesiał żwir na ziemi, odsuwając kilka większych głazów, żeby dotrzeć do litej skały. Nieważne, pod jakim kątem świecił, nigdzie nie widział niebieskiej powierzchni, kim-berlitu, w którym tkwiłyby diamenty. Doszedł

do wniosku, że zmarnowano tutaj rok bez żadnych efektów. Chodnik był bezwartościowy.

Wrócił do szybu, pociągnął za linę, dając znak Gibby'emu, i włożył uprząż, zapinając ją mocno wokół ud i pasa. Szarpnął jeszcze dwa razy i dał krok w pustkę, wirując jak derwisz, kiedy lina przyjęła jego ciężar. Zjazd w dół przyprawiał o zawroty głowy, ale Mercer robił to już wcześniej i mdłości mu nie dokuczały.

Zignorował następne trzy chodniki, wiedząc, że może je zbadać, wracając na górę. Tak jak się spodziewał, na dnie szybu leżała sterta maszynerii i dziesiątki metrów stalowej liny. Kiedy opuszczano kopalnię, górnicy wrzucili swój sprzęt do szybu, zamiast pozwolić, żeby wpadł w ręce wroga, prawdopodobnie zbliżającej się armii brytyjskiej. Mercer wylądował na zwoju liny; sezonowe deszcze zmieniły go w przerdzewiałą bryłę metalu wyglądającą jak nowoczesna rzeźba. Pod nią światło latarki ukazało dach klatki przewożącej ludzi, a jeszcze niżej – duży skip. Mercer poświecił dokładniej i zobaczył, że sprzęt nie spadł na dno szybu, lecz zaklinował się około pięciu metrów nad nim. Rozejrzał się i wzdrygnął, gdy snop światła padł na poskręcane go trupa. Dopiero po kilku sekundach serce Mercera się uspokoiło.

Przeszedł po stercie złomu, żeby przyjrzeć się dokładniej. Metal zgrzytał o metal, gdy przerdzewiałe masy osuwały się w niepewnej równowadze. Zwłoki były na podobnym etapie rozkładu co erytrejski żołnierz pogrzebany poprzedniego dnia, mundur trupa również wyglądał podobnie. Mercer domyślił się, że ciekawski mężczyzna podszedł za blisko szybu, pośliznął się i runął w objęcia śmierci. Znów wypiął się z liny i dał Gibby'emu

znak, żeby trzymał linę – choć chłopak nie miał raczej wyboru. Na tej głębokości lina była już całkowicie rozwinięta.

W złomie znajdowały się szczeliny, labirynt szpar, przez które Mercer mógłby się precyzyjnie przemieszczać, dostając się do najgłębszego chodnika. Ale nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach było to ryzykowne. Skała mogłaby się osunąć, miażdżąc go albo więżąc bez nadziei na ratunek. Gdyby utknął, nie mógłby dać znaku Gibby'emu, a nawet gdyby, jedna osoba nie zdołałaby go stąd wydostać.

Nie miał jednak wyjścia. Rozruszał mięśnie, przygotowując się do wyzwania. Opadł na kolana, zagłębując się w ciemne szpary. Jak akrobata wpełzł w płataninę pogiętej stali, wijąc się i wykręcając. Kaleczył sobie dłonie o ostre krawędzie, zdzierał skórę z nóg i pleców. Jego ubranie było w strzępach. Przypominało to przedzieranie się przez wielki kłęb kolczastego drutu. Gdyby znalazł przejście do chodnika, łatwo byłoby mu wrócić po śladach własnej krwi.

Dwa metry w głąb złomu przekręcił się głową w dół i zaświecił pod klatkę windy, zaklinowaną o ścianę szybu. Snop światła latarki zniknął w ciemności kolejnego chodnika – ostatniego. Wijąc się jak wyciągnięta na brzeg ryba, Mercer wpełzł pod klatkę, wstrzymując oddech, kiedy fragment szczątków osiadł, zgrzytając jak olbrzymie metalowe szczęki. Wszystko w każdej chwili mogło runąć. Nie zwracając uwagi na ból kaleczonych pleców, Mercer rzucił się do przodu, pokonując ostatni metr.

Złom runął.

Tony maszynierii, wiszące w szybie przez pół wieku, spadły z przerażającym hukiem, wzbijając dławiącą chmurę kurzu. Gdyby Mercer był o sekundę i!

wolniejszy, zostałby przecięty na pół przez klatkę windy, która przesunęła się przed wylotem chodnika jak ostrze gilotyny.

Choć starał się uspokoić, ciężko dyszał, wciągając do płuc gryzący pył. Obejrzał najgorsze skaleczenia, a potem poświecił na zawalony szyb. Prostokątny otwór chodnika był całkowicie zablokowany nieprzebytą ścianą złomu, upakowanego tak gęsto, że Mercer nie wcisnąłby w niego nawet dłoni. Złapał stalowy dwuteownik i naparł na niego tak mocno, aż przed oczami ukazały mu się gwiazdy, ale metal nie ustąpił nawet na centymetr. Spadając, stalowe liny, klatka, skip i cała reszta złomu wrzuczonego do szybu zakleszczyła się jak fragmenty układanki. Żeby ją poruszyć, trzeba by użyć materiałów wybuchowych.

Mercer znalazł się w pułapce.

– A to dopiero – powiedział na głos.

Wiedział, że panika jest efektem strachu przed nieznanym, a on był już uwięziony w kopalniach. Trzymał swój strach w szachu. Spokojnie, jak człowiek idący do biura, zawrócił i ruszył ciemnym chodnikiem. Po paru metrach stanął jak wryty. Krew odpłynęła mu z twarzy, a w gardle wezbrała kwaśna żółć.

Długi chodnik był grobowcem setek ciał ułożonych jak polana pod ścianami, jak daleko sięgało światło latarki. W pierwszej chwili Mercer pomyślał, że zostali tu uwięzieni tak samo jak on, ale zdał sobie sprawę, że leżą zbyt równo. Uwięzieni do ostatniej chwili walczyliby, żeby się wydostać. Byliby stłoczeni przy

szybie, a nie spoczywali w tak spokojnych pozycjach. Przyjrzał się najbliższemu i zrozumiał. W wyschniętej skórze czoła widać było gładki otwór przewiercający czaszkę. Sądząc po ubraniach, byli to górnicy, którzy wydrążyli ten szyb. Zostali zastrzeleni, kiedy Włosi uciekali, a ich ciała porzucono.

– Jezu...

Mercerowi przypomniwały się brygady robotników, zmuszanych przez hitlerowców do drażenia tajnych podziemnych korytarzy dla ich rakiet i odrzutowców.

Idąc wzdłuż makabrycznych rzędów, naliczył ponad czterysta trupów. Tłumił żal i zastanawiał się zarazem, co to oznacza. Nie umiał na to pytanie odpowiedzieć.

Opóźniając poszukiwanie wyjścia z chodnika, Mercer poszedł nim aż do końca. Korytarz ciągnął się blisko dwa kilometry, rozgałęziając na lewo i prawo. Górniczym kaskiem Mercer niemal tarł o niski sufit. Sam ten chodnik podwajał jego przybliżoną ocenę wielkości kopalni i czasu potrzebnego na jej wykopanie. Tak jak pierwsze wyrobisko, które zbadał, tutaj także przodek porzucono wkrótce po strzale. Pod ścianą garbiła się mechaniczna wrębiarka, a kable sterujące podobną do pługa maszyną biegły do czterocyndrowego silnika. Górnicy porzucili nawet oskardy, łopaty i łomy, wciąż lśniące i nie-skorodowane w suchym powietrzu.

Na wiele pytań Mercer znalazł odpowiedź, kiedy przyjrzał się ścianie przodka i zbadał pozostawiony urobek. Odwrócił się ze smutkiem.

– Och, wy biedni dranie, nie mieliście żadnych szans, co?

Przemyslenia wymagały zupełnie nowe zagadki, ale najpierw trzeba wrócić na powierzchnię. Spędziwszy mnóstwo czasu pod ziemią, Mercer nauczył się tworzyć w głowie trójwymiarowe mapy labiryntów, obliczając odległości i kąty. Wrócił do pierwszego szybiku, który napotkał na tym poziomie. Zglądając w czarny otwór wyczuł, że nie prowadzi na wyższy poziom, ale rozgałęzia się w drugie wyrobisko. Wyszukał skrzyżowanie prowadzące do kolejnego chodnika, krótszego niż główny i biegnącego pod kątem w dół. Poszedł nim kawałek i natknął się na następny szybik. Zbadał prowadzącą w górę drabinę. Drewno poszarzało ze starości i było całkowicie spróchniałe. Mercer postawił stopę na najniższym szczeblu – pękł przy minimalnym nacisku.

– Dobra, a więc zrobimy to trudniejszym sposobem.

Instynkt powiedział mu, że szybik prowadzi do chodnika dochodzącego do szybu ponad stertą zwalonego złomu. I do liny. Na ziemi dookoła było dość luźnych kamieni, żeby usypać z nich piramidkę pod otworem. Mercer nucił pod nosem, pracując, często wyłączając latarkę, żeby oszczędzać baterie. Po dwudziestu minutach stos był wystarczająco wysoki. Sufit znajdował się na wysokości niecałych dwóch metrów i żeby wśliznąć się do otworu, wystarczył podest wysokości metra, a on zbudował wyższy. Zaświecił w głąb szybiku, ale światło zginęło w mroku.

Mercer wspiął się na uciekające spod butów kamienie i przykucnął tak, że udami dotykał krawędzi otworu. Na wszelki wypadek sprawdził jeszcze raz drabinę, lekko ją pociągając, ale drewno trzasnęło mu w rękę. Nabrał powietrza i zaparł się

stopą o przeciwną ścianę metrowej średnicy szybiku, a potem przycisnął do skały ramię i podrzucił drugą nogę. Wspinając się w ten sposób, potrzebował rąk do przytrzymywania się, więc wepchnął latarkę za pas. Przeniósł ciężar ciała na lewą stopę i przesunął prawą kilka centymetrów w górę.

Po piętnastu minutach był zaledwie pięć czy sześć metrów wyżej, ponieważ mógł bezpiecznie robić zaledwie dziesięciocentymetrowe kroki i musiał przyciskać dłonie do ścian, żeby równo rozłożyć ciężar ciała. Szybik powinien był się już skończyć, wychodząc w chodniku poziom wyżej, ale wciąż wznosił się w ciemności. Mercer ze zgrozą zorientował się, że pionowy komin zaczyna się rozszerzać. Nogi miał już rozstawione na ponad metr i ból napiętego krocza i ud zaczynał być nie do zniesienia. Po raz pierwszy od osunięcia się złomu w szybie zaczął mieć wątpliwości, czy wydostanie się na powierzchnię. Zmienił pozycję, zapierając się obiema nogami o jedną ścianę i plecami o drugą, tak że tkwił rozpięty nad pustką.

Przesuwając na zmianę plecy i stopy, ruszył znów w górę, czując, jak krew wsiąka mu w koszulę i ścieka na spodnie. Szybik nadal się rozszerzał, zmuszając go do coraz mocniejszego zapierania się o skałę. Jeśli rozszerzy się jeszcze bardziej, Mercer nie będzie w stanie rozciągnąć się wystarczająco, by dalej brnąć w górę. Wyrzucił z głowy tę ewentualność, ale zaczynała ogarniać go rozpacz – bolały go mięśnie, których istnienia nawet nie podejrzewał. Opadał z sił, łapały go skurcze i wiedział, że jeśli będzie musiał zejść na dół, nie da rady. Gdyby upadł z dziesięciu

metrów na kamienną podłogę, połamalyby kości, a w tej pozycji najpewniej kręgosłup i kark. Mercer uparcie piął się coraz wyżej.

Zrozumiał, że dotarł na górę, kiedy przestał słyszeć chrobot kamienia o metalowy górniczy kask. Podciągnął się jeszcze piętnaście centymetrów i odepchnąwszy się obiema nogami, zdołał przetoczyć się na bok, na podłogę chodnika. Leżał tak, zdyszany, czując pod policzkiem chłód skały, krwawiąc z pokaleczonych pleców i podrapanych dłoni.

Minęło pięć minut, zanim zdołał się poruszyć. Wstał chwiejnie, otrzepał ubranie i włączył latarkę. Ignorując korytarz po lewej, ruszył w prawo, z rozmiarów chodnika wnioskując, że to główne wyrobisko. Po dwustu metrach zobaczył w ciemności cienie rzucane przez światło dochodzące z powierzchni. Popatrzył na fluorescencyjne wskazówki zegarka. Nie było jeszcze południa, ale czuł się, jakby spędził w kopalni cały dzień albo więcej.

Lina wisiała poza jego zasięgiem u wylotu chodnika, musiał więc użyć paska od spodni, żeby ją przyciągnąć. W półmroku poniżej widział porzuconą maszynę, która o mały włos pogrzebałaby go na wieki. Mocno szarpnął za linę. Gibby natychmiast zaczął ciągnąć. Kiedy uprząż znalazła się na poziomie oczu Mercera, ten szarpnął ponownie. Wspiał się, a potem wyjął z kieszeni flarę i odpalił ją, pocierając o ścianę. To był sygnał dla Gibby'ego, żeby uruchomić toyotę i odjechać nią od wieży wyciągowej. Mercer ruszył w górę.

Po tylu godzinach spędzonych w ciemności słońce było dla Mercera błogosławioną ulgą. Gdyby jego oczy nie posiadały

kociej zdolności przystosowywania się, blask by go oślepił. Zdjął uprząż. Kiedy Gibby wrócił, Mercer stał oparty o wspornik wieży. Czuł znużenie niemające nic wspólnego z wysiłkiem. Gibby przezornie przyniósł mu ostatnie piwo. Mercer wypił ciepły, gazowany napój kilkoma łykami i beknął tak głośno, że Erytrejczyk zaśmiał się, speszony.

– I co, efendil – Chłopak nie potrafił opanować podniecenia.
– Pokaż mi kamienie, które zrobią z nas bogaczy!

Mercer popatrzył na niego, mrużąc oczy w jaskrawym słońcu. Gibby wyglądał jak czarny Chrystus, z aureolą świętego światła wokół głowy. Mercer wygrzebał coś z kieszeni bluzy – małą, bezkształtną bryłkę. Rzucił ją nastolatkowi i opuścił głowę.

Gibby długo wpatrywał się w kawałek metalu, a na jego twarzy malowała się dezorientacja.

– To nie bogactwa, młody. To ołów z kuli wpakowanej człowiekowi w głowę na dnie kopalni, tak samo jak czterem setkom innych, którzy pracowali razem z nim – wyjaśnił Mercer.

Odkrył ciało leżące na pulpicie sterowania wrębiarki na przodku najgłębszego chodnika. Górnik został zamordowany tak samo jak wszyscy pozostali, nie tylko po to, żeby zachować w tajemnicy położenie kopalni, ale by ukryć fakt, że cały projekt okazał się porażką. Kopalnia nie trafiła na osławioną niebieską skałę, kimberlit pełen diamentów. Górnicy ryli tunele latami, płacąc krwią i potem, i niczego nie znaleźli. A ich nagroda? Ich nagrodą był strzał w głowę.

Gdzieś tu były diamenty, to Mercer wiedział na pewno. Mając kilka lat, kilka tysięcy ludzi i kilkaset milionów dolarów,

potrafiłby je znaleźć i wydobyć. Ale nie miał, nie miał niczego, co uratowałoby Harry'ego. Jego porywacze powiedzieli, że chcą, żeby Mercer znalazł kopalnię, i zrobił to, ale wiedział, że nie pogodzą się z tym, co odkrył. Chodziło im o diamenty, nie o wielką dziurę w ziemi. Mogli sobie wyznaczać ostateczne terminy po sądny dzień, ale Mercer nie mógł w żaden sposób spełnić ich żądań.

– Sukinsyn – mruknął, a długo powstrzymywane łzy frustracji, żalu i cierpienia w końcu popłynęły po jego policzkach.

GRANICA ERYTREJSKO-SUDAŃSKA

Uranicę przecinały dwie wyboiste gruntowe drogi. Obie prowadziły w poprzek głębokiej rozpadliny, przez rozchwiane, drewniane mosty zbudowane tam kilkadziesiąt lat wcześniej. W pobliżu obu mostów, w odległości około czterdziestu kilometrów od siebie, na suchej równinie wyrosły obozy uchodźców. Dziesiątki tysięcy nieszczęśników gnieździło się w namiotach marnie chroniących przed słońcem i deszczem. Mieszkali tam Erytrejczycy, którzy nie mogli wrócić do ojczyzny. Od czasu nasilenia wojny domowej w Sudanie, w obozach chronili się też Sudańczycy, mający nadzieję na lepsze życie w Erytrei. Byli tak zdesperowani, że w swoim ubogim sąsiedzie widzieli ziemię obiecaną.

Usytuowane blisko granicy, a przez to łatwiej dostępne, obozy były w lepszej sytuacji niż te położone w głębi Sudanu. Regularnie przyjeżdżały tu konwoje ONZ z żywnością, lekarstwami i ubraniami przewożonymi przez Erytreę.

Dnem wąwozu płynął wąski strumyk. Z obu obozów nieprzerwanie wędrował do niego łańcuszek dziewcząt niosących na głowach ciężkie gary z wodą. Miejsca do prania i latryny umiejscowiono kawałek od punktu czerpania wody, ale kiedy strumień dopływał do leżącego niżej obozu, był już zanieczyszczony przez górny obóz. Szalały dyzenteria i inne choroby.

Piętnaście kilometrów na południe od drugiego obozu stał trzeci, zamieszkały głównie przez żołnierzy. Wzniesiono go

w rzadkim akacjowym zagajniku, dającym niewiele cienia. W pobliżu warczał agregat, pompa ciągnęła wodę ze strumienia dwucalowym węzłem. Trzej ludzie pilnowali ognisk do gotowania wody, która potem miała zostać oczyszczona chemicznie.

Mimo wysiłków ludzi, by przestrzegać higieny, wiatr przewiewał smród z obozu uchodźców. To i nieustanne brzęczenie metalicznie zielonych much w opinii Giancarla Gianellego było największymi minusami żołnierskiego obozowiska. Wszystko inne mu odpowiadało. Jego namiot był duży i klimatyzowany, a jedzenie zaskakująco dobre. Jeden z rebeliantów Mahdiego był kiedyś szefem kuchni w Chartumie i sprzęt przywieziony przez Gianellego do buszu sprawił mu ogromną radość. Gdyby nie rozbici wokół uzbrojeni partyzanci ze swoimi nieustannymi ćwiczeniami strzeleckimi i musztrą, Gianelli porównałby to obozowisko do jednego z eleganckich, „hemingwayowskich” obozów urządzanych przez duże agencje safari w Kenii czy RPA.

Siedział w cieniu zadaszenia swojego namiotu, osłonięty moskitierą. Jego biurko było mahoniowe, ale skonstruowane tak przemyślnie, że dawało się rozłożyć i bez trudu transportować. Mahoniowy fotel obity był skórą zebry. Na biurku stała szklanka wody gazowanej, mokra od różnicy temperatur, obok laptop pozwalający kontrolować rozliczne firmy holdingu przez łącze satelitarne. Gdyby kraj był bardziej interesujący, na przykład pełen zwierzyny, Gianelli byłby zły, że musi zawracać sobie głowę pracą, ale pustynia była sucha, płaska i pozbawiona życia, nie licząc cuchnącej masy ludzi na północy. Dlatego dni oczekiwania wypełniał kierowaniem swoją wielonarodową korporacją.

Zgodnie z obietnicą Mahdi zapewnił wystarczająco dużo żołnierzy. Kiedy Rada Rewolucyjna Sudańskiej Armii Wyzwolenia dowiedziała się, że prośba pochodzi od ich największego europejskiego sponsora, wysłała pięćdziesięciu ludzi na granicę erytrejską pod dowództwem Mahdiego, ale kontrolą Gianellego. Byli to najlepsi żołnierze SAW, zaprawieni w bojach weterani o co najmniej dziesięcioletnim doświadczeniu w krwawej wojnie partyzanckiej. Zostali przez Gianellego wyposażeni w najnowszy sprzęt polowy NATO, chociaż nie chcieli używać nowych karabinów szturmowych, woląc swoje ukochane AK-47.

– Panie Gianelli? – Przed wejściem do namiotu stanął jeden z białych górników.

– Tak, Joppi? Niech pan wejdzie, zapraszam.

Górnicy zatrudnieni przez Gianellego byli obywatelami RPA, którzy uciekli z kraju, kiedy w 1994 roku do władzy doszedł Afrykański Kongres Narodowy. Giancarlo znalazł ich w Australii, podobnie jak wielu innych ich rodaków, którzy bali się życia w kierowanym przez czarnych państwie. Wyobrażał sobie, że mogą wrócić do ojczyzny, kiedy jego plan tak zdestabilizuje gospodarkę RPA, że ludzie zaczną domagać się powrotu względnego dobrobytu, w jakim żyli pod rządami białych.

Wysoki Bur schylił się, przechodząc pod moskitierą, i usiadł naprzeciwko Gianellego.

– Skończyliśmy przeglądać sprzęt górniczy, który pan przywiózł. Robi wrażenie.

Gianelli zapewnił sobie usługi pięciu białych nadzorców, ekspertów od materiałów wybuchowych i byłych sztygarów.

Mieli oni kierować stuosobo-wą grupą robotników, których obiecał przyprowadzić Mahdi. Gianelli przywiózł także pięć dużych ciężarówek pełnych sprzętu górniczego, pneumatyczne świdry, materiały wybuchowe i kilka małych ciężarówek przystosowanych do pracy pod ziemią. Sprzęt był wysyłany do Afryki od kilku miesięcy i magazynowany w placówce Gianelli SpA w Chartumie, czekając, aż Giancarlo odkryje położenie kopalni założonej przez jego stryja tak dawno temu.

Joppi Hofmyer zapalił papierosa i trzymał w ustach tak, że papieros tańczył i skakał, kiedy Bur mówił, a dym wił się dookoła jego głowy, zmuszając do mrużenia oczu pod ciężkimi brwiami.

– Ci pieprzeni kaffirs ciągle chcą się dostać do składu plastiku. Musiałem rozwalić parę łbów, żeby się czegoś nauczyli.

Gianelli się uśmiechnął.

– Ufam, że to nic poważnego. Ci żołnierze któregoś dnia mogą uratować panu życie.

– Taki kaffir ma łeb jak skała. Można go trochę otluc, ale nic mu nie będzie. – Hofmyer chrząknął. – W Randzie dyrekcja nigdy nie rozumiała, że dobrymi batami można z czarnucha wycisnąć więcej niż dodatkowymi porcjami mięsa czy pieprzonym programem opieki dentystycznej.

– Joppi, ci ludzie nie będą pracowali dla pana – powiedział z irytacją Gianelli. – To strażnicy, których zatrudniam ja.

– Ja, i mamy pracować z tymi śmieciami z obozów? Mahdi przyprowadza ich nam tuzinami do obejrzenia, wie pan? Gott, jeśli nada się jeden na pięćdziesięciu, będzie dobrze. Kopanie

to ciężka praca, a połowa z tych kaffirs nie może nawet ustać na nogach. I głupi są do tego jak owce.

Giancarlo wyłączył komputer, żeby skoncentrować się na rozmowie z Burem. Jeśli mają otworzyć na nowo kopalnię, potrzebują siły roboczej. Mahdi zasugerował, a Gianelli się zgodził, że najlepszym wyjściem jest zwerbowanie sprawnych mężczyzn z obozów. Ci ludzie desperacko potrzebowali pracy. Zrobią wszystko, czego się od nich zażąda, wdzięczni za pierwszą pracę, jaką wielu z nich dostało w życiu. Większość stanowili uchodźcy w drugim czy trzecim pokoleniu.

– Ilu macie jak dotąd?

– Czterdziestu. – Hofmyer nie wychwycił niepokoju w głosie szefa. – Kiedy weźmiemy się do roboty, założę się, że połowa da nogę, kiedy posmakuje prawdziwej pracy, albo zdechnie w kopalni. Północny kudłaty kaffir to delikatne stworzenie i potrafi wykorkować bez ostrzeżenia.

– Pracował pan już z Sudańczykami i Erytrejczykami?

– Ja, w kopalniach miedzi w Zambii, kiedy to była jeszcze Północna Rodezja. Do pracy w odkrywkach przyszło kilkuset, ale po pięciu miesiącach już ich nie było, połowa zdechła, a reszta wołała umrzeć z głodu.

– Nie wiedziałem o tym – przyznał Gianelli, wyczuwając poważny problem.

– Niech się pan nie przejmuje. Kiedy przyjdzie pora wjechać do Erytrei, będziemy mieli wystarczająco dużo tych drani, żeby zastąpić tych, co padną albo prysną. Wiadomo, kiedy ruszamy?

– Jeszcze nie.

W tej samej chwili w namiocie pojawił się Mahdi. Był zlany potem i ciężko dyszał.

– Tak, o co chodzi?

– Proszę pana – wysapał Sudańczyk – właśnie byłem w obozie uchodźców. Około pięćdziesięciu mężczyzn z rodzinami przekroczyło w nocy granicę z nomadą, który przyjechał ich zwerbować. Chodzą plotki, że w Erytrei otworzono wielką kopalnię i potrzeba w niej ludzi do pracy. Dużo innych rodzin pakuje się, żeby do nich dołączyć. Dowiedziałem się, że nomadę przysłał tu biały człowiek.

– Aha! – Gianelli zerwał się z fotela. – Mercer ją znalazł!

– Tak, proszę pana, mówią o białym nadzorcy, który umie rozmawiać ze skałami.

Gianellego załaty fale uniesienia. Zdjęcia Meduzy pokazywały, że Enrico od początku miał rację, a Mercer użył ich do znalezienia kopalni. W północnej Erytrei jest komin kimberlitowy, jedno z najrzadszych geologicznych zjawisk na planecie, a Enrico znalazł go dziesiątki lat temu bez żadnych nowoczesnych ułatwień. Szaleństwo Enrica było w zasięgu ręki Giancarla.

Oczywiście nigdy nie poznał swojego stryja, ale podziwiał go za niezależność. On sam też miał tę cechę, to nieustanne pragnienie dokonywania niemożliwego, podążania za intuicją do chwili, aż okaże się, że miał rację. Pomyślał o swoim planie dotyczącym diamentów i uśmiechnął się złośliwie. Choć oczyszczenie imienia Enrica było szlachetnym celem, Gianelli zadbał także, by mieć z tej awantury wymierne zyski. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Londynu już teraz, ale uznał, że lepiej

zaczekać i zobaczyć, ile diamentów wydobydzie przed najbliższym spotkaniem Centralnego Systemu Sprzedaży. Jego celem było pięć tysięcy karatów, a wyczuwając brutalność Joppiego Hofmyera, nie wątpił, że ten cel osiągnie.

– Mahdi, uprzedź ludzi. Musimy szybko wyruszyć. – Emocje sprawiły, że Gianelli zaczął krzyczeć. – Uchodźcy mają nad nami przewagę, którą nadrobimy samochodami, ale nie chcę, żeby wysforowali się za daleko. Jop-pi, nasz przyjaciel Mercer ściągnął już chyba ludzi, których potrzebuje pan do pracy. Ci Erytrejczycy uzupełnią tych, których już pan zwerbował. Czy wszystko jest załadowane na ciężarówki?

– Ja. – Afrykaner wyszczerzył się w uśmiechu. Wyraźnie mu ulżyło, że wreszcie skończy się obozowa nuda. – Zapakowaliśmy je znowu po sprawdzeniu każdego ładunku.

– Mahdi, jak szybko karawana uchodźców może wędrować przez pustynię?

– Gdyby zostawili kobiety i dzieci, trzydzieści albo więcej kilometrów dziennie, ale oni idą z rodzinami. To spowolni ich tempo o połowę.

– Świetnie. – To, że uchodźcy przemieszczają się tak powoli, ostudziło pośpiech Gianellego i nieco zmieniło jego plany. – Wyślij za nimi zwiadowców. To nie powinno być trudne. Zostaniemy w obozie, aż będą mieli nad nami kilka dni przewagi. W ten sposób nie wpadniemy na nich zaraz po wyruszeniu. Poza tym będziemy mieli więcej czasu, żeby ściągnąć jeszcze jedną cysternę z Chartumu.

– Panie Gianelli, jeśli w kopalni znajdzie się tyłu ludzi, będziemy potrzebowali też więcej wody – zauważył Joppi.

Giancarlo znów otworzył laptopa i zaczął sporządzać listę.

– Woda, paliwo, co jeszcze?

W trójkę pracowali nad listą przez godzinę. Kiedy skończyli, mieli dość zapasów, by obóz działał przez kilka tygodni bez dostaw z zewnątrz. Potem mieli zacząć sprowadzać potrzebne rzeczy z Sudanu, co przy wpływach Gianellego nie było problemem. Oprócz tego, że wspierał rebeliantów, utrzymywał też kontakty z rządem w Chartumie, współpracując z obiema stronami walczącymi w wojnie domowej.

Zakończył spotkanie.

– Mahdi, wyślij tych zwiadowców od razu, niech wezmą radia, żeby meldować o postępach. Zamówię resztę sprzętu i zapasów z Chartumu i załatwię sprawy związane z bezpieczeństwem. Joppi, pan niech dopilnuje, żeby pana ludzie byli gotowi do wymarszu.

– Tak jest, proszę pana – odparli chórem. W dziwacznym przejawie rasizmu, który kazał mu nienawidzić grupę, ale nie pojedyncze osoby, Bur otworzył klapę namiotu i puścił Mahdiego przodem.

DOLINA UMARŁYCH DZIECI PÓŁNOCNA ERYTREA

Kiedy Habte, Selome i Gibby dotarli do Doliny Umarłych Dzieci wyładowanym ciągnikiem siodłowym, zmierzchało. Pięć minut po tym, jak ciężarówka pokonała kanion i zatrzymała się obok wieży wyciągowej, na równinę wyjechała jaskrawożółta koparka, z hydraulicznym ramieniem, które teraz było złożone. Operator musiał usunąć część starożytnego osuwiska u wlotu doliny, żeby ciężarówka mogła przez nią przejechać. Zamiast ładować niezgrabną maszynę na naczepę, podjechał nią od razu na miejsce.

Wiatr rozwiewał wzbity przez maszyny kurz. Oba pojazdy wyłączyły silniki, zapadła cisza. Habte wyskoczył razem z Selome z ciężarówki i od razu zajrzał do głównej szopy. Po chwili wyszedł i osłaniając oczy przed zachodzącym słońcem, rozejrzał się za Mercerem. Nigdzie go nie było, land-cruiser również zniknął.

– Gibby! – zawołał Habte, a chłopak zeskoczył z naczepy. – Jesteśmy na miejscu. Gdzie jest Mercer?

– Nie wiem – przyznał Gibby. – Mówił, że tu na nas zaczeka. Był zły, że kopalnia jest pusta, i chciał z wami porozmawiać. Nie mam pojęcia, dokąd pojechał.

Habte zignorował ogarniający go niepokój. Podeszła do niego Selome i dwóch kierowców.

– Co się stało? – spytała.

– Mercer powinien tu na nas czekać, ale go nie ma.

Podeszli do wieży wyciągowej i oboje zajrzeli w atramentowoczną głębię opuszczonej kopalni.

– Mógł się aż tak zdenerwować? – Selome wyraziła głośno to, co myśleli oboje.

– Nie – odparł ostro Habte. – Chciałem tylko zobaczyć, jak to wygląda. – Odwrócił się od jamy. – Niedługo będzie ciemno. Musimy rozbić obóz.

– Gdzie jest toyota?

– Mercer musiał pojechać na poszukiwania. Zabrał z szopy sprzęt do biwakowania. Wątpię, żebyśmy go dzisiaj zobaczyli.

– Nic mu nie będzie? – W pytaniu Selome słychać było coś więcej niż koleżeńską troskę.

Habte to zauważył.

– Zna Afrykę. Da sobie radę.

Przez następną godzinę wypakowywali z ciężarówki sprzęt potrzebny do rozbicia obozu. Selome więcej czasu spędziła, wpatrując się w horyzont, niż pomagała Habtemu i pozostałym. Zjedli kolację w szopie przy syczących latarniach sztormowych, ale prawie nie rozmawiali. Mężczyźni zasnęli długo przed Selome. Ona leżała z otwartymi oczami, nasłuchując warkotu silnika, ale w końcu też zapadła w sen.

Mercer wszedł do szopy po północy, budząc wszystkich. Twarz i ubranie miał brudne, włosy zakurzone tak, że wyglądał, jakby miał na głowie czapkę. Był wyczerpany, oczy mu się zamykały. Opadł z wdzięcznością na ziemię przy piecyku. Szybko

zapalono lampy, a w ich świetle Mercer nałożył sobie na talerz resztki kolacji, unikając pytających spojrzeń towarzyszy.

– Gdzie byłeś? – spytała w końcu Selome, nie kryjąc emocji.

Mercer uśmiechnął się do niej. Wciąż była dla niego tajemnicą, ale wyczuwał, że jej troska jest szczerą.

– Jeśli nie uda ci się za pierwszym razem... – Uśmiechnął się i odwrócił do Habtego. – Jakies problemy ze sprzętem?

– Musieliśmy użyć koparki, żeby usypać prowizoryczny bród przez Adobhę. Wezbrała i nie przeprawimy pojazdów z powrotem, dopóki woda nie opadnie. Dobra wiadomość jest taka, że w mieście nie mieliśmy żadnych kłopotów. Możliwe że Europejczycy sobie odpuścili.

– Nie. Po prostu nie wiedzą, gdzie jesteśmy. – Mercer zebrał resztki jedzenia kawałkiem indzety. – Cholera, tego mi było trzeba. Nic nie jadłem od śniadania.

– Gibby mówił, że byłeś na dole w kopalni. – Słowa Habtego nakłaniały do wyjaśnień.

– Tak, jest pusta. Nie trafili na kimberlit, a Bóg jeden wie, że bardzo się starali. – Mercer wziął od Selome kubek kawy z termosu.

– To jest ta kopalnia, którą wszyscy się tak interesują? – spytał Hab-te. Było dla nich oczywiste, że Mercer nie jest tak zły, jak przedstawiał to Gibby.

Mercer oparł się o ścianę, z trudem utrzymując otwarte oczy, i uśmiechał się enigmatycznie.

– Och, ktoś się interesuje, to na pewno. Nie wiem tylko kto.

– Co to znaczy?

– Ścigają nas dwie grupy, tak? A biorąc pod uwagę, co Habte widział w Asmarze, a ja w Rzymie, nie jest im ze sobą po drodze. Moim zdaniem jednym chodzi o kopalnię, a drugim o coś zupełnie innego.

– Na przykład o co? – spytała szybko Selome.

– Na przykład o inną kopalnię – odparł Mercer zadowolony z ich osłupiałych min. Wpadł na to wczoraj i spędził cały dzień na sprawdzaniu swojej teorii. – Wszystko wyjaśnię rano. – Westchnął. – To był cholernie ciężki dzień i teraz muszę się przespać.

Chrapał cicho, zanim Habte pogasił lampy.

Mercer obudził wszystkich o świcie i popędzał, żeby się zbierali. Zrobił już kawę i przygotował chleb i masło na śniadanie.

– Przed nami długi dzień, a słońce już na niebie.

Nie chciał wytłumaczyć, dlaczego ma taki dobry nastrój.

Właściciel koparki był pierwszym Erytrejczykiem, który wyszedł z szopy, a kiedy zobaczył Mercera siedzącego w kabinie swojej maszyny, zaczął krzyczeć i machać rękami.

– Co on mówi? – spytał Mercer Habtego, zwabionego wrzaskami.

– Mówi, że nie masz kwalifikacji, żeby obsługiwać jego maszynę. Tylko on może to robić.

Habte wyciągał właśnie zapalnik z pudełka, żeby przypalić pierwszego tego dnia papierosa.

– Spytaj go, czy mogę mu zademonstrować swoje umiejętności – zaśmiał się Mercer.

Kierowca się zgodził i Mercer wsiadł z powrotem do koparki na gaśnicach. Licznik silnika wskazywał, że przepracowała

kilka tysięcy godzin, Mercer wątpił, by często ją serwisowano, ale odpaliła od pierwszego obrotu kluczyka. Wysiadł, pozwalając silnikowi się rozgrzać, i wziął zapalniczki od Habtego.

– Zaraz oddam – obiecał. Kawalkiem taśmy klejącej przy-mocował jedną zapalniczkę do najdłuższego stalowego zęba łyżki. Przez chwilę patrzył w ziemię, a potem poprosił Habtego, żeby podszedł kilka kroków bliżej.

Wrócił do kabiny i sprawdził hydraulikę maszyny, obracając cały korpus, wyciągając ramię, prostując jego trzy stawy i poruszając łyżką. Zadowolony, że potrafi ocenić zależność między ruchami swojego nadgarstka a reakcjami maszyny, z szelmowskim uśmiechem zerknął na swoją publiczność. Cholera, jak to dobrze znów poczuć pod sobą trochę żelastwa, pomyślał.

Selome, Gibby i dwaj kierowcy domyślili się, jakie ma zamiary, ale żadne z nich nie wierzyło, że uda mu się to zrobić. Właściciel koparki uśmiechnął się pod nosem, kiedy Mercer przypadkiem dał za dużo gazu.

– Zaufaj mi, Habte, i nie ruszaj się – powiedział Mercer.

Opuścił łyżkę na ziemię, zatrzymując siarczany łepiek zapalniczki tuż nad nią. Jego dłonie na manipulatorach były lekkie jak piórka. Opuścił łyżkę jeszcze ułamek centymetra, obracając jednocześnie korpus wokół osi. Zapalniczka zapaliła się, potarta o skalistą ziemię. Mercer obrócił koparkę, prostując ramię tak, że śmignęło niebezpiecznie w powietrzu, prawie gasząc zapalniczkę. Habte zamknął oczy, kiedy olbrzymia łyżka zbliżyła się do jego głowy.

Stopy i dłonie Mercera tańczyły po dźwigniach i pedałach. Wszystko wymierzył idealnie. Ułamek sekundy przed tym, jak wiatr zgasił zapalną, Mercer dotknął nią czubka papierosa w ustach Habtego. Erytrejczyk zaciągnął się nerwowo i zaśmiał z zadowoleniem, wydmuchując dym ustami i nosem. Mercer zasalutował, słysząc aplauz pozostałych.

– Jak ty to zrobisz? – spytała Selome z podziwem. Uśmiechnął się jak dziecko.

– Wychowałem się na takich maszynach. Mój dziadek nauczył mnie je obsługiwać, kiedy miałem dziesięć czy dwanaście lat. Habte, spytaj kierowcę, czy mam kwalifikacje do obsługi koparki, a potem ładujmy ją na naczepę. Jedziemy na małą przejażdżkę.

Kiedy dotarli do przeciwnego krańca doliny, pod skalną ścianę północnego grzbietu, Mercer zwolnił. Jechał zgarbiony nad kierownicą, żeby widzieć urwisko i móc kierować się jego ukształtowaniem. W końcu się zatrzymał, a naczepa stanęła za toyotą. Mercer zeskoczył na ziemię i wbiegł na zbocze.

– Chodźcie!-zawołał.

Piętnaście metrów nad równiną zatrzymał się, żeby Selome, Habte i pozostali dołączyli do niego na szerokiej piaskowcowej półce.

– Co widzicie? – spytał, wskazując dno doliny.

– Nic – wysapała Selome.

– To samo pomyślałem, kiedy trafiłem tu wczoraj. – Mercer przykucnął. – Dobra, czas na wyjaśnienia. Po zbadaniu kopalni, która została wykopana podczas włoskiej okupacji, nie mogłem

uwierzyć, że dwie grupy ludzi szukają tego samego miejsca. Nie wiedzieli o sobie nawzajem do czasu strzelaniny w Rzymie, a mimo to jedni i drudzy są tak samo zdeterminowani. Szanse, że chodzi im o jedno i to samo, a przy tym nie wiedzą o sobie nawzajem, są dość niewielkie. Dlatego przyszło mi do głowy, że może obie grupy szukają kopalni diamentów, ale niekoniecznie tej samej.

– Co sugerujesz? – Tak jak Mercer podejrzewał, w głosie Selome słychać było coś więcej niż tylko ciekawość.

– Że są tu dwie kopalnie, jedna zbudowana przed II wojną światową, a druga działająca dużo wcześniej. Domyślam się, że ci Europejczycy w Asma-rze to przedstawiciele włoskiej firmy, która zbudowała tamtą wieżę wyciągową i szyb. Sudańczycy mają inne pobudki. Muszą wiedzieć, że w tej dolinie istnieje starsza, wcześniejsza kopalnia, ale nie znając jej położenia.

Selome wydawała się akceptować takie wytłumaczenie, ale Mercer zauważył u niej pewne zmieszanie, którego nie było jeszcze chwilę wcześniej. Do tego scenariusza nie pasowali jednak porywacze Harry'ego. Mercer uznał, że skoro dali Harry'emu gin i mogą nie być członkami arabskiego ugrupowania terrorystycznego, to zainteresowanie Selome i Mossadu całą sprawą zaczyna być coraz bardziej podejrzane.

– Mów dalej – zachęcił go Habte.

– Starsza kopalnia musiała być od dawna opuszczona, kiedy przybyli tu Włosi, inaczej by ją odkryli, badając dolinę. Wpuścili szyb kilka kilometrów od celu.

– Dlaczego tak twierdzisz?

– Wkopali się pięć kilometrów do komina. To zrozumiała pomyłka. Ich geolog musiał założyć, że komin leży pośrodku tego okrągłego zagłębienia. Nie zdawał sobie sprawy, że przez ostatni miliard lat erozja zmieniła ukształtowanie powierzchni i przesunęła góry tak, że nie otaczają już komina, ale stoją wprost na nim. Zakładając więc, że komin był eksplorowany przez kogoś innego przed przybyciem Włochów, musiałem tylko znaleźć jakieś starożytne budowle.

– I znalazłeś?

– Tak sędzę – odparł Mercer. – Jedną z najważniejszych rzeczy w górnictwie jest wentylacja, doprowadzanie powietrza do chodników, żeby wydmuchiwać pył i zapewniać górnikom tlen. W wielkich kopalniach w RPA pompują jakieś szesnaście ton powietrza na każdą tonę wydobytego urobku. Problem wentylacji w starszej kopalni, powiedzmy, wydrążonej przed erą nowoczesnej maszynierii, jest jeszcze większy. Wczoraj z metalowej puszkii i trzonka od szpadla zrobiłem anometr, a kiedy Gibby po was pojechał, objechałem dolinę, sprawdzając prędkość i kierunek wiatru, aż trafiłem tutaj. Wiatr wieje nad północną ścianą i tworzy wir, osiągając prędkość około trzydziestu kilometrów na godzinę.

Mercer narysował palcem na piasku prymitywny szkic, ukazujący zbocze góry i symbol V na wprost niego.

– Schody zaczynają się w miejscu, w którym trzeba skierować powietrze do szybu, koncentrując wiatr dokładnie tam, gdzie trzeba. Przyjrzyjcie się jeszcze raz dokładnie pustyni pod nami.

Pierwszy zobaczył Gibby, mający najmłodsze i najbystrzejsze oczy.

– Tam – wskazał. – Widzę, co narysowałeś.

Na piachu rysowały się dwie niewyraźne linie, trochę tylko ciemniejsze niż otaczająca je pustynia. Miały ponad pięćdziesiąt metrów długości i schodziły się pod kątem pod półką, na której stali. Były zbyt symetryczne jak na dzieło natury. Stworzyli je ludzie.

– Co to jest?

– To, co pozostało z fundamentów dwóch wielkich murów. Sądząc po ich szerokości, miały co najmniej siedem metrów wysokości, dość, by złapać wiatr wiejący z gór i skierować go do wejścia do kopalni. Jestem pewien, że w górze są wydrążone jakieś otwory, pozwalające wiatrowi uciec, ale tymi na razie się nie przejmuję.

– Chcesz powiedzieć, że stoimy właśnie na drugiej kopalni?

– Zgadza się. – Mercer z trudem powściągał entuzjazm. – Na poziomej sztolni prowadzącej w głąb góry.

– Kiedy ją wykopano? – spytał Habte.

– Nie wiem. Możemy zbadać fundamenty, żeby się czegoś dowiedzieć, ale to tak naprawdę nieważne.

– Chciałabym się tylko dowiedzieć, kto ją wydrążył? – odezwała się Se-lome.

Mercer zerknął na nią, przeczuwając, że zna odpowiedź na to pytanie.

– Dowiemy się, kiedy ją otworzymy.

Godzinę później koparka wgrzyzała się w zbocze góry, odgarniając piach nagromadzony pod skalną ścianą. Mercer stał obok i gestami kierował operatora. Miał ze sobą szpadel i co dziesięć minut schodził do wykopu. Temperatura znów wzrosła do czterdziestu stopni, więc pracował rozebrany do pasa. Każde zejście do wykopu było bardziej niebezpieczne niż poprzednie. Jama miała już pięć metrów głębokości i dwa razy tyle długości, a jej ściany się osypywały. Mercer szpadlem wkopywał się trochę głębiej, wydobywając ziemię, która nie widziała światła dziennego od nie wiadomo ilu lat. Wynosił próbki na górę, badał je skrupulatnie, a potem dawał operatorowi koparki znak, by ten kopał dalej.

– Czego szukasz? – spytała Selome, kiedy wyszedł po raz szósty. Habte, Gibby i kierowca ciężarówki zdejmowali palety sprzętu z naczepy.

– Kamienia odpadowego, gruzu wydobytego z kopalni. – Mercer otarł pot z czoła mokrą bandaną. – Kiedy ją kopano, prawdopodobnie zwałowano go przy wejściu. Powinien być łatwy do odróżnienia od zebranego materiału powierzchniowego.

– Ale jeśli kopalnia jest na styku tamtych dwóch murów, czemu nie kopujemy tam?

– Bo chcę najpierw sprawdzić, co tam jest, zanim otworzymy sztolnię. To kwestia bezpieczeństwa – wyjaśnił Mercer. – Mam też nadzieję znaleźć kimberlit, który został już pokruszony i przebrany.

– Po co? Wiemy, że diamenty tu są.

Mercer tylko chrząknął, Selome odeszła. Wie, że coś tu jest, tego był pewien, ale nie był przekonany, czy chodzi jej o diamenty. Postanowił, że kiedy znajdą wejście do kopalni, wreszcie z nią porozmawia.

W południe w stoku góry ziała już piętnastometrowa blizna. Zbocze osypywało się małymi lawinami, kiedy je podkopywano, i mozolny proces trzeba było powtarzać. Mercer siedział właśnie za sterami koparki, a erytrejski operator o imieniu Abebe stał w jamie, kiedy zęby łyżki wgrzyzły się w odpad kimberlitowy.

Mercer wyłączył silnik i wyskoczył z kabiny. Abebe na czworakach badał już zmieloną niebieską skałę w łyżce. Kimberlit został pokruszony bardzo drobno, największy kawałek był nie większy niż pierwszy staw kciuka Mercera. Twórcy kopalni byli bardzo dokładni, przerabiali urobek niemal na proszek, żeby znaleźć diamenty. Taki wysiłek oznaczał, że złożo było bardzo bogate. Mercer wiedział także, że musiała to być duża operacja, z setkami, jeśli nie tysiącami robotników. Kimberlit słynął z twardości i bez użycia maszyn rozkruszenie nawet małej jego ilości tak drobno musiało trwać wiele dni.

Wziął szpadel od Abebego i zaczął przekopywać odśnieżoną hałdę odpadu. Szło mu wolno, bo kamienie były spieczone przez ciężar skał i niezliczone deszcze. Wreszcie szpadel trafił na coś wyjątkowo twardego i Mercer go odrzucił. Położył się płasko, żeby zajrzeć do wykopanej dziury. Włożył w nią obie ręce i z wysiłkiem coś wyciągnął. Był to kamień innego rodzaju, biały i poobłupywany, wielkości mniej więcej pięści. Mercer z nabożeństwem podniósł go do światła.

– A niech mnie.

Dokładnie oględziny znaleziska przesunęły szacowany wiek kopalni kilka tysięcy lat wstecz.

Abebe nie rozumiał fascynacji Mercera tym kawałkiem skały i nie zwrócił uwagi, kiedy Mercer schował ją do torby przyniesionej z koparki.

Selome i pozostali dołączyli do nich kilka chwil później. Gibby ugotował obiad, a Habte przyniósł piwo kupione w Ila Babu. Jedli i pili w przyjacielskiej ciszy. Selome siedziała blisko Mercera, prawie stykając się z nim kolanami.

Habte przetłumaczył pytanie kierowcy ciężarówki.

– Mamy pracować przez cały dzień? Będzie jeszcze goręcej.

– Obawiam się, że tak – odparł Mercer. – Nie wiem, jak długo nasza obecność tutaj pozostanie tajemnicą. Góry wyłumniają hałas silnika koparki, ale ludzie po drugiej stronie będą nas słyszeli.

Kierowca kiwnął głową, ale widać było, że nie jest zadowolony.

– Niedługo otworzymy wejście do kopalni – powiedział Mercer, żeby poprawić im nastrój. – Tuż przed obiadem trafiliśmy na odpad kimberlitowy i jestem przekonany, że możemy otworzyć kopalnię bez żadnego ryzyka.

– Jak sądzisz, co znajdziemy?

– Mam teorię... – zaczął Mercer, po czym popatrzył na najmłodszego członka wyprawy. – Gibby, Habte wspominał, że niedaleko jest stary klasztor. Wiesz gdzie?

– Ja mogę ci pokazać – powiedział Habte. – To jakieś sto kilometrów stąd.

– Nie, ty musisz zostać tutaj i otworzyć kopalnię, ale ja chcę się tam przejechać i porozmawiać z mnichami. Gibby, znasz ten klasztor?

– Tak. Mogę go chyba znaleźć, ale to daleko. – Chłopak nie był pewny.

– Porozmawiaj z Habtem. I tak nie pojedziemy tam jutro ani pojutrze.

– O czym chcesz porozmawiać z mnichami?

– Klasztor stoi tutaj od tysiąca lat. I jestem gotów się założyć, że mnisi wiedzą o kopalni i o tym, kto ją wydrążył.

– Ale czego chcesz się dowiedzieć? – naciskała Selome.

– Gdybym wiedział, nie musiałbym z nimi rozmawiać, prawda? Mercer wstał i otrzepał spodnie. Był pewien, że Selome wychwyciła zmianę w jego stosunku do niej. Uważała go za idiotę i to go wkurzało. Od samego początku wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi, ale wciąż zadawała pytania, na które znała odpowiedzi. A Mercer też miał kilka pytań i nadchodziła pora, żeby to Selome na nie odpowiedziała.

Pracowali przez trzy dni, a kiedy słońce zachodziło, padali z wyczerpania. Habte i kierowca ciężarówki zamontowali na dziesięciokołowcu pług, żeby używać go jako buldożera. Odgarniali stosy gruzu, które koparka zdzierała ze zbocza góry. Mercer i Abebe obsługiwali ją na zmianę, a Gibby stał w wykopie, kierując łyżką tak, by za każdym razem nabierała jak najwięcej.

Tylko Selome, nie mając żadnych obowiązków, nie była z tego zadowolona, że musi pełnić rolę gospodyni i kucharki.

Późnym popołudniem trzeciego dnia wejścia do kopalni wciąż nie było. Wszyscy zebrali się przy koparce. Ziemia pod nią została ubita gąsienicami na beton. Wyryli szczelinę niemal dwudziestometrowej szerokości i głęboką na dwa razy tyle. Góra zwieszała się nad nimi, a gdy patrzyło się z dna wykopu, niebo było jedynie wąską wstążką błękitu między dwoma ścianami. Habte i Abebe palili papierosy, a Mercer popijał piwo z butelki. Wszyscy byli sfrustrowani tym, jak dużo włożyli już pracy i jak marne osiągnęli efekty.

Ciszę przerwał Mercer.

– Będę musiał wysadzić górę. Wkopaliśmy się tak głęboko, że nawis może w każdej chwili się oberwać. Musimy wywołać sztuczną lawinę, a to oznacza przynajmniej jeden dzień usuwania osypiska, zanim znów zaczniemy kopać.

– Nie da się inaczej – zgodził się Habte. – To samo robiliśmy w kamieniołomach.

– Kupiłeś nawóz, o który prosiłem? – spytał Mercer, dopijając resztkę piwa.

– Azotan amonu, sto kilo. I tysiąc pięćset metrów lontu.

Ładunki wybuchowe, które Mercer zamówił jeszcze w Waszyngtonie, zostały porzucone w Asmarze, więc musiał improwizować.

– Dobrze. Ropę weźmiemy z dodatkowych zbiorników ciężarówky. Nie będziemy potrzebowali dużo, nawis zawali się od małego, szybkiego uderzenia. – Spojrzał na zbocze, oceniając,

gdzie umieścić ładunek. – Po strzale Selome, Gibby i ja pojedziemy do klasztoru porozmawiać z ojczulkami.

– A do czego ja ci jestem potrzebna? – Selome wydawała się zaciekawiona.

– Nie obrażając Gibby’ego, jego angielski nie jest wiele lepszy niż mój tigrinya. Moje gratulacje, właśnie awansowałaś z kuchni na tłumacza.

Selome się uśmiechnęła.

– Daj mi tydzień, a będę kierowała tą operacją.

– Tak trzymać.

Mercer uśmiechnął się wesoło, po raz pierwszy od kilku dni. W drodze do klasztoru będą mogli swobodnie porozmawiać.

ASMARA, ERYTREA

Noc była jego żywiołem. Jozef umiał stapać się z cieniami, przemykał więc przez opustoszałe ulice jak zjawą, omijając kałuże światła rzucane przez rzadkie latarnie. Poruszał się z rozmysłem, zwodniczo szybko, choć się nie spieszył.

Po dwudziestej trzeciej Asmara zamierała. Nawet na najruchliwszych ulicach nie widziało się samochodów, prawdopodobieństwo spotkania pieszych również nie było duże. Przez kilka ostatnich nocnych spotkań Jozef ani razu nie widział policjanta.

Po powrocie z Nakfy on i jego zespół zaszyli się w zapuszczonym hotelu niedaleko socrealistycznego placu defilad. Właściciel hotelu, choć żywił pewne podejrzenia, dostał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby nie zadawać gościom pytań. Asmarska policja szukała Europejczyka w związku ze strzelaniną w hotelu Ambasoira i choć nie miała dokładnego rysopisu Jozefa, była nieustannie czujna. Według „Profile” władze bardziej interesowały się dwoma sudańskimi terrorystami i innymi osobami odpowiedzialnymi za zamieszanie na starym targu. Redakcja nawoływała do rozprawy ze wszystkimi Sudańczykami w mieście, z których wielu przebywało tam nielegalnie, i ledwie wspominała o białym mężczyźnie, który zabił dwóch rebeliantów.

Ten wyraźny brak zainteresowania dał Jozefowi czas potrzebny na znalezienie kontaktu w mieście. Z racji swego pochodzenia miał już siatkę wsparcia niemal w każdym kraju na świecie. Po

powrocie do Asmary potrzebował ledwie kilku godzin, żeby ją znaleźć.

W mieście żyła niewielka społeczność żydowska, kilka rodzin, i jedynie dwie z nich miały możliwości potrzebne Jozefowi. Jedną z nich była rodzina Selome Nagast, która z pewnością ma informacje, o jakie mu chodzi, ale z oczywistych powodów nie mógł się do niej udać.

Choć w mieście nie było synagogi, mieszkał tu rabin, który uczył i organizował uroczystości w swoim domu, mężczyzna pod czterdziestkę, z ładną żoną i dwójką dzieci. Jego ojciec był studentem rabinackim w Stanach Zjednoczonych w latach pięćdziesiątych i nauczył syna, by ten również mógł być duszpasterzem erytrejskich Żydów. Mając nadzieję zapewnić lepsze życie swoim dzieciom, rabin chciał, żeby studiowały w Izraelu, a Jozef wykorzystał to pragnienie, by zrobić z niego swojego współpracownika.

Aharon Jadid powitał go tamtego pierwszego wieczoru niemal z nabożną czcią. Jozef był nie tylko tajnym agentem z legendarnej Ziemi Świętej, ale też członkiem Mossadu, agencji odpowiedzialnej za ochronę żydowskiego państwa. Młody rabin nigdy nie był w Izraelu i czuł się przez swoją izolację wyłączony ze światowej żydowskiej społeczności, zwłaszcza odkąd w ramach operacji „Mojżesz” wywieziono tysiące etiopskich Żydów do ich ojczyzny.

Aharon otworzył Jozefowi drzwi swojego parterowego domu, zauważywszy agenta zza zasłony w oknie.

– Szalom, szalom – powitał go, popisując się jedynym hebrajskim słowem, jakie znał.

– Dobry wieczór, rebe. Mam nadzieję, że pan i pana rodzina jesteście zdrowi? – Jozef mówił po angielsku, w jedynym języku zrozumiałym dla nich obu.

– Tak, wszyscy zdrowi, proszę wejść. Dzieci już śpią, a żona poszła do przyjaciółki. Nieprędko wróci, więc mamy czas.

– Dobrze.

Aharon zapalił lampę. Dom był urządzony po spartańsku. Jadidowie nie byli bogaci, chociaż meble były w dobrym stanie, wazoniki z kwiatami i kolorowe ryciny na bielonych ścianach sprawiały, że nie było tu ponuro. Jozef podziękował za coś do picia i obaj szybko usiedli.

– Wiem, że mówiłem to na wszystkich naszych spotkaniach – zaczął Aharon – ale chcę panu powiedzieć jeszcze raz, jak dużo dla mnie znaczy pomagać panu i naszemu ukochanemu Izraelowi.

Jozef popatrzył na szczerą twarz rabina, zobaczył niewinność w jego oczach. Zastanawiał się, ile lat minęło, odkąd on sam też tak gorąco wierzył w to, co robił.

– Pomoc ojczyźnie jest obowiązkiem każdego Żyda. Dobrze jest znaleźć człowieka, który wie o tym i jest na to gotów. Żydzi w Ameryce dają tylko pieniądze, dopóki nie jest to zbyt dużą ofiarą.

– Mój ojciec często o tym mówił – zgodził się Aharon.

– A więc, przyjacielu, czego się pan dla mnie dowiedział?

– Bardzo mądrze pan zrobił, przychodząc do mnie, ale nie z tego powodu, z jakiego się panu wydaje. Na północy żyje tylko

jedna żydowska rodzina, a kiedy się z nimi skontaktowałem, nie wiedzieli o niczym niezwykłym, co by się działo w pobliżu granicy. Ale brat najbliższej przyjaciółki z dzieciństwa mojej żony ma mały sklepik w Nakfie i powiedział, że przez wiele dni pracowała tam przy naprawie dróg duża maszyna.

– Tak, pamiętam ją, jakaś koparka. Uznałem, że państwowa.

– Nie. Ten przyjaciel przyjaciela często rozmawiał z jej właścicielem i dowiedział się, że ten czeka, żeby zabrać sprzęt w okolice płaskowyżu Hajer, bo ma tam jakąś tajną robotę. – Aharonowi pochlebiało zainteresowanie malujące się w oczach Jozefa. – Dowiedziałem się dzisiaj, że koparka wyjechała z Nakfy na Hajer, a dokładniej do miejsca, które nomadzi nazywają Doliną Umarłych Dzieci.

– Zna pan tę dolinę?

– Słyszałem, że to złe miejsce. W czasie wojny doszło tam do masakry, kilkuset erytrejskich żołnierzy zginęło w niespodziewanym ataku artyleryjskim, ale jeszcze przedtem ludzie unikali tych okolic. W Erytrei jest mnóstwo przesądów i dowiedziałem się, że Dolina Umarłych Dzieci to jedno z miejsc budzących największą grozę.

– Wie pan dlaczego?

– Nie. Nie wierzę w przesady. To słabość ludzi prostych i nieoświeco-nych. Wiele klanów nomadów to wciąż animiści. Czczą swoich przodków i odprawiają pogańskie rytuały. Ich strachy nie interesują człowieka wykształconego, takiego jak ja.

Jozef z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Nawet ten człowiek, znający swoją wiarę jedynie z drugiej ręki, jest snobem.

– Jak mogę znaleźć tę dolinę? Aharon podał mu złożoną kartkę.

– To stara wojskowa mapa, na której zaznaczono ją czerwonym krzyżykiem oznaczającym miejsce bitwy, w której zginęli Erytrejczycy. Nie widzę żadnych prowadzących tam dróg, do tego musicie przeprowić się przez Adob-hę, która według mojego przyjaciela już wezbrała.

Jozef zerknął na mapę. Wciąż mieli wynajęty samolot, którym wyprzedzili Mercera, kiedy ten uciekł z Asmary. Mogą po prostu przelecieć przez rzekę. Wnosząc z tego, co widzieli na północnych pustyniach, wracając z Nakfy, nie powinno być problemu ze znalezieniem w pobliżu doliny płaskiego miejsca, na którym mogliby wylądować. Zmusił się do uśmiechu.

– Bardzo dobrze się pan spisał, kiedy wrócę do Izraela, obiecuję dopilnować, żeby pana dzieci dostały stypendium i mogły studiować na uniwersytecie w Tel Awiwie.

Zanim Aharon zdążył okazać wdzięczność, do domu weszła jego żona. Opowiedział jej o obietnicy Jozefa, a ona podbiegła do Izraelczyka i zarzuciła mu ręce na szyję, zalewając się przy tym łzami szczęścia. Zaczęła coś mówić w tigrinya, ale mimo to jej emocje były jasne.

Jozef nie zwrócił na to uwagi. Już planował następną i być może ostatnią fazę operacji. Mercer musiał być w kopalni, kiedy kontaktowali się z nim po raz ostatni, i skłamał, blefował. Jozef poczuł wzbierający gniew. Powiedział Amerykaninowi, że Harry White straci rękę, choć nie zamierzał spełniać swojej groźby. Ale

teraz? Tak, każe to zrobić. Nagra odgłosy na dyktafon, tak jak to zrobił z poprzednią wiadomością White'a.

Przyszło mu do głowy, że jeśli Mercer znalazł kopalnię i ją otworzył, nie ma powodu, żeby zespół Jozefa wracał do Asmary po dotarciu do doliny. A po dzisiejszym wieczorze Jozef nie może sobie pozwolić, żeby widziano go gdziekolwiek w kraju.

– Jozefie? – Aharon przerwał jego rozmyślenia.

– Tak?

– Moja żona chce dla pana coś zrobić, żeby okazać wdzięczność. Może kolację na pana cześć?

Jozef uśmiechnął się do niego smutno.

– To nie będzie konieczne. Niech pan jej powie, że wystarczy, jak jeszcze raz mnie przytuli.

Wstał, chowając prawą rękę za plecami.

Kobieta zarzuciła mu rękę na szyję, przyciskając policzek do jego piersi.

– Yekanyelay – załkała. – Dziękuję.

– Przepraszam – szepnęła Jozef po hebrajsku.

Użył noża. Normalna procedura wymagała, żeby najpierw zabił Aharo-na. Jako mężczyzna był groźniejszy. Ale Jozef uznał, że widok śmierci żony przerazi rabina na tyle, że zdąży go zabić, zanim ten się otrząśnie. Poza tym kobieta ma szybszy refleks niż mężczyzna, a jej krzyk na pewno obudziłby śpiące dzieci.

Jozef przeskoczył przez pokój i wbił nóż w pierś Aharona, zanim ciało jego żony upadło na dywan przykrywający drewnianą podłogę. Rabin stał nieruchomo, nie mogąc pojąć rozgrywające-

go się na jego oczach horroru. W kilka sekund było po wszystkim, a Jozef wracał do hotelu.

Zasady bezpieczeństwa kazały mu ich zabić. Któregoś dnia Aharon Jadid powiedziałby przyjacielowi o izraelskim agencie, któremu pomógł, a na taki przeciek Jozef nie mógł sobie pozwolić.

Zanim on i jego zespół wyruszą do Doliny Martwych Dzieci, mają bardzo dużo do zrobienia. Trzeba skontaktować się z ludźmi w Jerozolimie, pilnującymi Harry'ego White'a, i rozkazać go okaleczyć – Jozef zrobi to z przyjemnością, bo wie, jaki ból sprawi to Mercerowi. Musi także zadzwonić do ministra Levine'a i zamówić śmigłowiec na koniec misji. Siły Obronne Izraela mają helikoptery CH-53 Super Stallion, które są zdolne do takiego przelotu dzięki możliwości tankowania w powietrzu. Wymaga to pewnej koordynacji i przygotowania latających cystern, a tylko Levine może zorganizować to wszystko w tajemnicy.

Mimo nawału pomysłów wypełniających mu głowę, Jozef znalazł kilka sekund na zastanowienie się, co znajdzie w kopalni. Na samą myśl uginały się pod nim kolana. Nie tylko zapewniłby wygraną Levine'a w wyborach – stawką było coś więcej niż polityczne zwycięstwo. Na pustyni spoczywało namacalne świadectwo z czasów powstania judaizmu, coś zupełnie innego niż wszystkie znalezione dotąd religijne artefakty. Jeżeli zdołają wydobyć to na światło dzienne, przyćmi zwoje znad Morza Martwego. W zasięgu Jozefa była żywa historia, coś, co skradziono Izraelowi setki lat temu, a jego przeznaczeniem jest sprowadzić to do domu.

Otrząsnął się i skupił na swoim zadaniu. Wszystko zaczynało się układać. Domyślił się, kto stał za atakami Sudańczyków w Rzymie i w hotelu Mercera. Dowiedział się, szukając w archiwum, o tajnej wtyczce w bazie danych Mossa-du, o tym, że włoski przemysłowiec Giancarlo Gianelli jest przedmiotem śledztwa FBI i Interpolu w związku z pewnymi dokumentami skradzionymi ze Stanów Zjednoczonych. Podejrzał, że chodzi tu o zdjęcia z Meduzy. Biorąc pod uwagę obecność Włochów w Erytrei, było bardzo prawdopodobne, że Gianelli chce odnaleźć zdjęcia i kopalnię. Jozef domyślał się, że to właśnie on stoi za Sudańczykami, może wykorzystując ich jako najemną armię do pokrzyżowania planów Mercera – a pośrednio i Jozefa.

Czego nie wiedział, to jak blisko Włoch jest i czy naprawdę wie, co spoczywa pogrzebane na północnych pustkowiach.

JEROZOLIMA

wrodki bezpieczeństwa w całym Izraelu wciąż były zaostrome, mimo że od zamachu pod Zachodnim Murem minęły dwa miesiące i nie doszło do żadnego incydentu. Nigdzie nie było to tak widoczne jak wewnątrz wyniosłych murów otaczających jerozolimskie Stare Miasto. Uzbrojone patrole przemierzały wąskie, kręte uliczki jeszcze liczniej niż podczas intifady. Chociaż każdy Izraelczyk musiał odsłużyć dwa lata w wojsku, siły obronne na patrole świętego miasta wysyłały tylko najtwardszych weteranów. Mundury i pistolety maszynowe były powszechnym widokiem w całym kraju, ale ponure twarze żołnierzy jednostek elitarnych stały postrach wśród nawet najbardziej obojętnych mieszkańców.

Ulice i kręte zaułki były tej nocy wyjątkowo ciche, nie licząc cichych rozmów patroli i hałasu, jaki robiły dzikie koty żerujące w śmieciach. Witryny sklepów były zasłonięte na noc, a zza żaluzji w oknach domów wydostawało się niewiele światła. Księżyc oświetlał brukowane ulice mlecznym, niezwykłym blaskiem, sprawiając, że w mieście panowała jeszcze bardziej niesamowita atmosfera.

Za murami krzyżowców, w nowej Jerozolimie, również było cicho i spokojnie. Obecność tylu uzbrojonych żołnierzy, nękających w poszukiwaniu terrorystów tak samo Żydów i Arabów, nadwerżyła cierpliwość mieszkańców tak bardzo, że nie wychodzili z domów, jeśli nie musieli.

W kryjówce na Starym Mieście ciągła czujność dawała się także we znaki członkom zespołu Jozefa pilnującym Harry'ego White'a. Byli to najniżej stojący w hierarchii członkowie grupy, mający minimalne doświadczenie bojowe. Najlepsi polecili z Jozefem do Erytrei. Bez jego bezpośredniej kontroli dyscyplina pozostawiała sporo do życzenia. Choć wiara agentów w ich sprawę i w ministra Levine'a nie osłabła, stracili zainteresowanie pilnowaniem złośliwego starca.

Młodszy członkowie grupy zzymali się na tę wymuszoną beczynność. Problemem zaczęły być kłótnie. Rachel Goldstein, pielęgniarka najwyższa po Jozefie stopniem, a teraz dowódca, musiała opatrywać skaleczenia i stłuczenia po bójkach wybuchających ze wzrastającą regularnością. Jej autorytet prawie upadł i zdawała sobie sprawę, że jeśli wkrótce nie dostaną nowych rozkazów, zamordują zakładnika i rozjadą się do domów.

Gorliwość, jak płomień, potrzebuje paliwa. Bez niego szybko wygasa.

Wreszcie nadeszły polecenia. Minister Levine zadzwonił wieczorem z wiadomością, że mają opuścić miasto. Obiecał im nową kryjówkę w bazie wojskowej na pustyni Negew, przyległą do jednostki badań nuklearnych Demona. Była to dobra wiadomość, ale minister nie powiedział, jak mają ominąć patrole w Jerozolimie. Rachel spytała go o bezpieczne wyjście z miasta, a on odparł, że nie może wydać takiego rozkazu bez wzbudzenia podejrzeń. Wyjaśnił, że godzina policyjna obejmująca całą Jerozolimę nie może zostać złamana z żadnego powodu, chyba

że na bezpośrednie polecenie premiera Litwinowa. Goldstein spierała się z nim zawzięcie, ale minister nie ustąpił.

Ponieważ po większej części Starego Miasta nie można było poruszać się samochodami, Rachel zrozumiała, że będą musieli zaprowadzić Harry'ego White'a do furgonetki czekającej w Nowym Mieście, co znacząco utrudni im zadanie.

Wysłała jednego człowieka po samochód i kazała mu czekać pod Bramą Syjonu na ulicy Eziyyoni. Miał przy sobie telefon komórkowy i miał zadzwonić, kiedy znajdzie się na pozycji. Rachel siedziała przy kuchennym stole z resztą ludzi, starając się wymyślić sposób na ułatwienie im ewakuacji, ale nic nie przychodziło im do głowy. Dał o sobie znać brak wykszolenia i doświadczenia.

– Będziemy chyba musieli spróbować dywersji – podsumowała Rachel po pół godzinie bezowocnych rozmów. – Jakob i Lew zostaną tutaj, kiedy Dawid zadzwoni z samochodu. – Dwaj agenci pokiwali głowami. – Zanim cokolwiek zaczniecie, macie być co najmniej pół kilometra stąd. Na czym będzie polegała wasza dywersja, sami musicie wymyślić – seria z pistoletu maszynowego w ścianę powinna wystarczyć. Nie muszę wam przypominać, że nie możecie dać się złapać.

Zauważyła podniecenie na twarzach młodych mężczyzn. Nie zrozumieli dokładnie, o co jej chodzi, musiała więc im wytłumaczyć:

– To oznacza, że jeśli zostaniecie zatrzymani przez patrol, waszym jedynym wyjściem jest samobójstwo. Nie możemy ry-

zykować, że nas zdradzicie. Nie ma możliwości, żebyście wytrzymali przesłuchanie.

– Tak jest, proszę pani.

– Mosze? – Spojrzała na najmłodszego członka zespołu, odpowiedzialnego za pilnowanie Harry’ego White’a. – Przygotuj więźnia. Za dziesięć minut ruszamy.

– Dobra.

Harry zrozumiał, że coś się szykuje, kiedy tylko Mosze wszedł do celi. W miarę jak jego niewola się przedłużała, zainteresowanie porywaczy jego osobą słabło. Poza porami posiłków rzadko do niego zaglądali. To, że go nie nękali, dawało mu pewną pociechę, ale w niczym nie ułatwiało ucieczki. Oni mieli broń, a on nie.

Zawsze szczupły, w niewoli jeszcze stracił na wadze. Skóra policzków zwisała jak puste mieszki, a jasrioblękitne oczy prawie zniknęły w fałdach skóry. Mimo nędznego wyglądu Harry czuł się najlepiej od wielu lat. Popijał oszczędnie gin, który dał mu Mosze, i wciąż miał prawie połowę. Z początku było dla niego problemem nie wypić wszystkiego za jednym zamachem, ale kiedy poradził już sobie z fizycznym głodem, był zaskoczony tym, jak jest zdyscyplinowany. W domu pił raczej z przyzwyczajenia niż z powodu jakiegoś głęboko ukrytego problemu emocjonalnego, a przy napięciu ostatnich tygodni na nudę uskarżać się nie mógł.

Obiecał sobie, że po zakończeniu tej męczarni urządzi sobie tygodniowy ciąg. Na razie jednak musi pozostawać czujny. Wiedząc, że jego życie zależy od tego, co zrobi, pozwalał sobie

tylko na kilka łyczków przed snem po kolacji. Trzy tygodnie prawie całkowitej trzeźwości cudownie oczyściły jego umysł z pięćdziesięciu lat nagromadzonych kaców. Trochę bardziej liberalnie podchodził do papierosów, ale i tak wypalał dziennie niecałe pół paczki. Jeszcze kilka dni, żartował w duchu, i będzie się czuł jak młodzieniec.

– Co się dzieje? – spytał młodego Izraelczyka, kiedy ten łagodnie go obudził.

– Idziemy, Harry. Ubieraj się.

Harry usiadł, spuszczać stopę na podłogę. Jego proteza stała oparta o ścianę jak rzadko używany parasol.

– Pora na następny udawany telefon do Mercera?

Mógł mieć tylko nadzieję, że jego przyjaciel zrozumie wzmiankę o bo-odlesie podczas ostatniego nagrania. Oczywiście gin, który dał mu Mosze, to nie był Boodles, ale Harry był pewien, że jego oprawcy nie rozpoznają marki, podczas gdy Mercer powinien. Nawet Harry wiedział, że skoro Mosze pije, nie może być muzułmaninem, jak początkowo zgadywał.

– Nie, Harry, opuszczamy ten dom – odparł Mosze, kiedy jego więzień przypinał sobie nogę i się ubierał.

Harry poczuł podniecenie. Doszedł do wniosku, że jeśli jeszcze będą go gdzieś przenosili i nie otumania przy tym narkotykami jak ostatnim razem, może uda mu się znaleźć sposób, żeby uciec.

– Dokąd jedziemy? – zapytał obojętnie. Mosze zaśmiał się krótko.

– Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

– Tak, tak, tak. – Harry skończył zapinać koszulę i sięgnął do zawiniątka z koców, żeby wydostać stamtąd butelkę ginu. – Mogę przynajmniej zabrać ją ze sobą? Nic tak nie pomaga zabić czasu jak kropla czy dwie czegoś mocniejszego.

Mosze się rozpromienił.

– Podzielimy się nią w drodze. Będziemy jechali kilka godzin. Ale musisz z nami współpracować, kiedy będziemy szli do samochodu, który na nas czeka.

– Daj spokój, chłopcze, popatrz na mnie. – Harry parsknął śmiechem. – Czy ja wyglądam, jakbym miał wybór?

Mosze znów się zaśmiał. Harry był niegroźny jak bezzębny kocur.

Kierowca, Dawid, zadzwonił dwadzieścia minut później. Czekał przy Opactwie Zaśnięcia tuż pod Bramą Syjonu. Lew i Jakob natychmiast wyszli, ukrywając uzi pod długimi płaszczami.

– Dobra, ludzie, szykować się. Za parę minut będą na pozycjach. Jak tylko usłyszymy strzały, ruszamy – rozkazała Rachel.

Czekali zaledwie siedem minut.

Odgłos strzałów dobiegł wytłumiony przez odległość, ale i tak rozniósł się echem po Starym Mieście. Rachel z niewzruszoną miną stanęła przy drzwiach. Kilka sekund później noc rozbrzmiała tupotem stóp i policyjnymi gwizdkami. Rachel wyobrażała sobie, jak okoliczni mieszkańcy kulą się w łóżkach, cicho pytając, co się dzieje.

– Dobra, idziemy.

Było ich tylko czworo, wliczając Harry'ego White'a. Mosze mocno trzymał starca za ramię. Rachel poszła przodem, z

pistoletem przyciśniętym dyskretnie do uda. Musieli pokonać ponad kilometr przez Dzielnicę Żydowską.

Harry gorączkowo myślał. Próbował wypatrzeć jakiś znajomy punkt, ale nic mu się z niczym nie kojarzyło. Był na Bliskim Wschodzie, to na pewno, ale nie miał pojęcia gdzie. Jedyne ślad, jaki miał – Mosze pijący gin – nic mu nie powiedział. Wtedy dotarło do niego, że grupą dowodzi kobieta. Kobieta! Nie w arabskim kraju. Nagle wszystko stało się jasne. Jego porywacze są Żydami! Bez wątpienia jakimiś izraelskimi ekstremistami.

Powinien był się od razu zorientować. Mosze to żydowskie imię, tak się nazywał dawny izraelski przywódca.

– Cholera – zaklął Harry pod nosem.

Ale jak to wykorzystać? To jego najlepsza sposobność ucieczki, a wciąż nie miał żadnego pomysłu. Muzułmanie czy Żydzi, nie ma to znaczenia, dopóki są uzbrojeni. Wyczuł napięcie grupy i postanowił ich nie opóźniać, rozmyślnie zwalniając tempo. Widział, że wszyscy są w niebezpieczeństwie.

Rachel zeszywniała, kiedy usłyszała grupę biegnących w ich kierunku mężczyzn. Schowała pistolet za nogą w chwili, gdy zza rogu budynku przecnicę dalej wypadło kilkunastu żołnierzy. Kiedy tylko zauważyli czwórkę ludzi łamiących godzinę policyjną, poderwali broń, a dwanaście palców spoczęło na spustach.

– Nie, proszę, zaczekajcie! – zawołała Rachel po hebrajsku.
– Jesteśmy obywatelami Izraela!

– Co robicie na ulicy? – odkrzyknął wyższy stopniem żołnierz z bronią wymierzoną w jej głowę.

– Niedaleko naszego mieszkania była strzelanina, mój dziadek się przestraszył – improwizowała Rachel, wskazując Harry'ego. – Żądał, żebyśmy natychmiast wyszli. Jest bardzo chory. Stres źle mu robi na serce.

– Natychmiast proszę wracać do domu – rozkazał żołnierz.
– Nie wolno państwu tu być.

– Wiem, ale nie mogliśmy go uspokoić. – Ściszyła głos, żeby wzbudzić litość oficera. – Jego żona, moja babka, zginęła w zamachu pod Murem. Od tamtej pory nie jest sobą.

Słyszając to, dowódca patrolu opuścił broń, jego żołnierze zrobili to samo. Popatrzył krytycznie na grupę, uznając, że kobieta, dwóch chłopców ledwie po dwudziestce i starzec wyglądający, jakby w każdej chwili mógł umrzeć, nie są zagrożeniem. Radio przy jego pasie zatrzeszczało, odwracając jego uwagę od Rachel.

– Patrol nawiązał kontakt – powiedział do swoich ludzi. – Dwóch mężczyzn z bronią automatyczną. Rozdzielili się. Jeden chyba zmierza w naszym kierunku. – Spojrzał znów na Rachel, ale myślał już o polowaniu na renegatów. – Proszę zejść z ulicy najszybciej, jak państwo zdołacie. Mamy tu dzisiaj w nocy dwóch groźnych ludzi.

Harry słuchał tej wymiany zdań i nagle zdał sobie sprawę, że patrol zamierza się oddalić. Wpadł na obrzydliwy pomysł. Teraz albo nigdy. Panie, wybac mi to, co zamierzam zrobić. Nabrał tchu.

– Heil Hitleń – wrzasnął najgłośniejszym głosem.

Osiągnął zamierzony efekt. Żołnierze odwrócili się do porywaczy, a w ułamku sekundy niezdecydowania jeden z młodych

Izraelczyków podniósł broń. Harry padł na ziemię, karabiny szturmowe żołnierzy zagrzechotały, a ulica zatańczyła w płomieniach wylotowych z ich luf. Rachel uskoczyła w bok, unosząc pistolet. Powaliła jednego z żołnierzy dwoma szybkimi strzałami – gardło mężczyzny eksplodowało. Zginął jeszcze jeden, zanim patrol poprawił cel. Mosze, trafiony tuzinem kul, był martwy, zanim upadł na bruk.

Tocząc się po ulicy, Harry dostał się za róg, słysząc gwizdzące nad głową kule. W mroku przed sobą zobaczył biegnącą w jego stronę postać z pistoletem maszynowym w rękę. Domyślił się, że to jeden z dywersantów Rachel i wśliznął się w ciemne wejście sklepu, pozwalając, by porywacz go minął. Wiedział, że zamieszanie jeszcze się zwiększy.

100

Uzi strzelał głośniej niż galile patrolu; pełny magazynek eksplodował w szeregi żołnierzy, kosząc czterech i raniąc jeszcze trzech. Jego seria dała Rachel osłonę potrzebną do ucieczki z ciasnej uliczki. Kobieta ostrzeliwała się, utykając od kuli w udzie.

Harry nie czekał, aż patrol odpowie ogniem. Wstał i zaczął biec, trzymając się cieni, a potem skręcił w zaułek, chcąc zgubić się w starożytnym mieście.

Jedyne, co uratowało go od schwywania, to zmniejszona liczebność patrolu i fakt, że żołnierze ścigali uciekających porywaczy powoli, bojąc się zasadzki. Po dziesięciu minutach Harry uznał, że oddalił się od strzelaniny na tyle, by odpocząć

kilka minut i obmyślić następny ruch. Po raz pierwszy od kilku tygodni, smakując wolności, wciąż był sam. Zrozumiał, że jest godzina policyjna i że musi poczekać parę godzin, zanim spróbuje poszukać pomocy.

Musi znaleźć Amerykanów, pracowników ambasady albo kogoś w tym rodzaju, jeśli ma się wydostać z tego kraju żywy. To jego największa szansa. Ale jak? Jak ma znaleźć swoich rodaków w kraju, o którym nic nie wie? Rozejrzał się i zobaczył po drugiej stronie ulicy kościół. W mlecznym blasku reflektorów punktowych oświetlających fasadę zobaczył angielskie tłumaczenie ogłoszeń na tablicy. Czytając listę regularnych usług prowadzonych przez kościół, zobaczył swoją szansę i się uśmiechnął.

Dawid czekał zgodnie z planem. Silnik pozbawionej okien furgonetki cicho warczał na jałowym biegu. Rachel podbiegła do niego, z twarzą ściągniętą z bólu. Bez słowa otworzyła drzwi pasażera i wspięła się na fotel.

– Jedź.

– Co z resztą?

– Nikomu się nie udało. Nadzialiśmy się na patrol. Wszyscy nie żyją. Mówiła cicho, była wyczerpana. Zapiszczała jej komórka. Co teraz?

– Rachel, tu Jozef.

– Trafili nas, Jozef. Zespołu nie ma, a White zniknął.

– W kryjówce?

– Nadzialiśmy się na patrol przy opuszczaniu miasta, a Harry'emu White'owi udało się uciec. Levine powiedział, że nie może się narażać, dając nam wojskową eskortę albo każąc

żołnierzom pozwalać nam łamać godzinę policyjną. Zostawił nas na lodzie i wyszła z tego masakra.

– A to fiut – wycedził Jozef. – Chce być premierem, a teraz, kiedy ma to w zasięgu ręki, chyba próbuje się od nas odciąć. Rozmawiałem z nim o ewakuowaniu nas śmigłowcem i chociaż się zgodził, nie był zachwycony.

– Czytałam gazety. Wygląda na to, że wygra wybory miażdżącą przewagą – powiedziała Rachel. – Nie jesteśmy mu już potrzebni. – Nagle przytłoczyła ją beznadziejność sytuacji. – Myślisz, że każe nas zabić?

– Nie, wciąż chce tego, co jest w kopalni, ale potem? Nie wiem. – Jozef zamilkł, żeby się zastanowić. – Levine to ambitny drań, ale wiemy wystarczająco dużo, żeby zmusić go do dotrzymania umowy. Jeśli nas zabije, nigdy nie będzie miał pewności, czy powiedzieliśmy komuś, co zrobiliśmy. Poza tym, kiedy nam się uda, jego pozycja w rządzie będzie zabezpieczona na zawsze. Nasze zaangażowanie i działania nie mogą mu zaszkodzić. Nie ma powodu nas zabijać.

– Ale White będzie mówił.

– Nic nie wie, a kiedy ja zabiję Mercera, nie będzie żadnych świadków.

– Zostaje Selome Nagast – przypomniała Rachel.

– Wiem. Ona też będzie musiała umrzeć. Nie chciałem tego robić. Reakcja Szin Bet będzie straszna, ale Levine będzie musiał sobie z tym poradzić.

– Jozefie, czy my dobrze robimy? Czy nasza praca jest wystarczająco ważna, żeby zabijać tych wszystkich ludzi?

– Żadna praca nie jest dość ważna, żeby za nią zabijać, ale nasza misja jest. Nie z powodu Levine’a, lecz z powodu tego, co to będzie oznaczało dla Izraela.

Opowiedział jej o tym, jak Mercer odkrył Dolinę Umarłych Dzieci i o swoim planie dotarcia tam następnego dnia. Opowiedział jej też o operacji Gian-carla Gianellego, o tym, że prawdopodobnie nakładła się na ich operację. Jozef podejrzewał, że przemysłowiec prześcignie go w biegu do kopalni, co zmusi go do skorygowania planów. Postanowił, że zbliży się do doliny ostrożnie i będzie ją obserwował, zanim wkroczą do akcji. Skupił się na Rachel i na opałach, w jakich się znalazła.

– Musisz znaleźć sobie jakąś kryjówkę do czasu wyborów i nam zostawić martwienie się, co dalej. Nie kontaktuj się z Levine’em, ja się nim zajmę. Zostało nam kilka tygodni, a potem będzie po wszystkim. Dla nas wszystkich – zakończył Jozef i przerwał połączenie.

PÓŁNOCNA ERYTREA

I oyota była kropką na bezmiarze pustyni, sunącą tuż przed wzbijaną chmurą kurzu. Dwie bruzdy śladów opon ciągnęły się aż po horyzont. Oprócz samochodu na pustyni nie poruszało się nic – żadne zwierzę ani ptak, jaszczurka ani owad nie wychodziły na morderczy skwar. Na wschodzie kraju szalały ulewy, w oddali widać było gniewne masy chmur, ale nad płaskowyż Hajer burze jeszcze nie nadeszły. Gleba była spękana – ten naturalny proces potrajał jej powierzchnię i pozwalał wchłonąć więcej wody, kiedy w końcu zaczynało padać – zupełnie jakby sama ziemia potrzebowała jej do życia.

Mercer jechał spokojnie, ufając swojemu refleksowi i szybkości samochodu na wypadek, gdyby najechali na którąś z min przeciwpiechotnych rozsianych po równinie. Jeśli wpadną na przeciwczołgową, i tak nic ich nie uratuje. Gibby siedział obok niego, zapierając się rękami o deskę rozdzielczą, a Selome ponuro ścisnęła uchwyt pod sufitem z tyłu, ze wzrokiem wbitym w tylną szybę.

– Widzisz ich?! – krzyknął Mercer przez ryk silnika.

– Nie, jeszcze nie – odparła Selome ochryple. – O cholera, są. Mercer spojrzał przelotnie w lusterko i zobaczył ścigającą ich terenówkę.

Z tej odległości była tylko migotliwą kropką, tumanem kurzu.

– Przykro mi, moi drodzy! – zawołał ponuro. – Chyba nie damy rady!

Wyruszyli z obozu dwie godziny przed świtem. Mercer i Habte, z pomocą Abebego, rozłożyli ładunki wybuchowe, które Mercer przygotował w nocy, mieszając azotan amonu z ropą w kilkunastu pięciolitrowych puszkach. O świcie we trzech wykopali otwory w zboczu, rozłożone tak, żeby zmaksymalizować efekt wybuchów.

Kiedy zasypali ładunki, zeszli na poziom gruntu, przestawili pojazdy, by były bezpieczne, i poczekałi, aż Mercer podłączy lonty do zasilanego bateriami detonatora. Odliczaniem zajął się sam, ale zaszczyt odpalenia ANFO przekazał Gibby'emu. Chłopak prawie go o to błagał. Lonty paliły się z prędkością czterech tysięcy metrów na sekundę, więc detonacje były natychmiastowe, ale fala uderzeniowa narastała stopniowo przez kolejne ułamki sekund.

O ile Gibby był rozczarowany małymi gejzerami piachu wyrzucenymi przez wybuchy, o tyle ich ostateczny efekt go zachwyił. Szczelina, którą tak pracownicy kopali, zapadła się w tej samej chwili, kiedy runęła skała powyżej, schodząc lawiną na blisko czterysta metrów od zbocza. Radosny wrzask Gibby'ego dał się słyszeć nawet przez grzmot osuwiska. Abebe, Habte i drugi kierowca mu zawtórowali; nawet Mercer wydał zwycięski okrzyk. Wybuch był jeszcze lepszy, niż się spodziewali.

– Dobra, panowie, wiecie, co robić – powiedział Mercer.

Usunięcie rumowiska po wybuchu miało zająć dwa dni, ale po zakończeniu tego mozolnego zadania mogliby dalej łupać zbocze góry w poszukiwaniu wejścia do jaskini, nie bojąc się zawału. Mercer umieścił ładunki wystarczająco wysoko, by mieć

pewność, że siła wybuchu skieruje się na zewnątrz, a nie w głąb skał, nie bał się więc, że uszkodzi starożytne tunele.

Habte i dwaj pozostali zabrali się do zwałów gruzu, a Selome, Gibby i Mercer opuścili Dolinę Umarłych Dzieci. Spakowali się na kilka dni na wypadek, gdyby znalezienie klasztoru zabrało im więcej czasu, choć Gibby zapewniał Mercera, że szybko tam trafią.

To Selome pierwsza zauważyła drugi samochód. Zobaczyła go pół godziny po opuszczeniu doliny i natychmiast zaalarmowała Mercera.

i en – To zły znak – mruknął.

– Może to inny zespół geologów szukających minerałów przypadkiem w tym samym rejonie? – zasugerowała nieprzekonująco Selome.

Mercer nie tracił czasu na odpowiedź. Kiedy tylko zobaczył terenówkę na szczycie wzgórza, zaczął przyspieszać. Drugi samochód od razu podjął pościg. Raz, kiedy podjechał na tyle blisko, że dało się w nim rozpoznać fiata, w oknie od strony pasażera coś błysnęło, Ułamek chwili później za uciekającą toyotą wzbiły się kłębki kurzu – ktoś strzelał do nich z broni maszynowej średniego kalibru. Nieważne, jak szybko Mercer gnał starą terenówką, ścigający byli szybsi. Tylko jego umiejętności kierowcy i zdolność czytania terenu pozwoliły im wydostać się poza zasięg strzału.

Ale teraz, na otwartej przestrzeni, fiat szybko zmniejszył dystans.

– Co to znaczy, że się nam nie uda? – spytała Selome.

– Mają nowszy, szybszy wóz. – Uderzenie wiatru prawie wyrwało Mer-cerowi kierownicę z rąk. Z trudem nad nią zapanował. – Nie mamy ich jak tu zgubić, bo ślady opon i chmura kurzu, którą samochód wzbija, i tak nas zdradzą.

Selome i Gibby nie mogli się z nim spierać.

– Druga sprawa – powiedział Mercer po chwili milczenia – to miny. Jeśli ten obszar jest nimi pokryty, tak jak wszyscy mówią, musimy na którąś wpaść. To tylko kwestia czasu.

Nawet mina przeciwpiechotna zatrzymałaby toyotę na dobre.

– Może ci za nami wpadną na nią pierwsi.

– Nie, jeśli jadą po naszych śladach.

W toyotę uderzył kolejny podmuch. Na pędzącym w ich stronę horyzoncie chmury burzowe układały się w czarne ściany. Pokaz sił rozwścieczonej natury przerażał.

– Kiedy w nas uderzy? – spytał szybko Mercer.

– Nie wiem! – Gibby starał się przekrzyknąć wiatr wyjący w otwartych oknach toyoty. – Widywałem, jak takie burze trzymały się nad jakimś miejscem przez kilka dni i w ogóle się nie ruszały.

– Żartujesz?

– To prawda! – zawołała z tylnego fotela Selome. – Takie chmury zazwyczaj trzymają się nisko nad ziemią i nie mogą przekroczyć gór. Często nie pada z nich przez kilka dni, a nawet tygodni.

– To oznacza, że powietrze przed nimi jest kompresowane przez ścianę gór i odpychane, tworząc...

Mercer urwał, kiedy pustynia wokół samochodu nagle ożyła.

Burza piaskowa zaatakowała tak nagle i tak gwałtownie, że wszyscy troje zaczęli kaszleć, zanim zdążyli zamknąć okna. Land-cruiser wypełnił się ciemnym, bursztynowym światłem, pulsującym w takt przewalającego się nad nimi huraganu. Niebo krzyczało, wiatr zrywał piach z ziemi i wyrzucał go dziesiątki metrów w górę. Mercer zwolnił, widoczność spadła do zera.

– Jezu – mruknął, kiedy burza jeszcze przybrała na sile. Przednia szyba już straciła przejrzystość. Selome zaszlochała cicho na tylnym fotelu, a Gibby siedział z wytrzeszczonymi oczami. Wicher rzucał samochodem tak bardzo, że czuli się, jakby jechali po wybojach.

– Selome, jak daleko za nami był ten drugi samochód? – krzyknął Mercer.

– Nie pamiętam.

– Przypomnij sobie! – Odwrócił się do niej i zobaczył w jej oczach grozę. – Mniej więcej, jak ci się wydaje.

– Może osiemset metrów.

– Dobrze. Burza zatrze nasze ślady, ale wciąż jesteśmy za blisko fiata. Kiedy to się skończy, od razu nas zauważą.

– Co możemy zrobić? – spytał Gibby.

– Jedziemy dalej. – Mercer z determinacją zacisnął zęby.

– Ale przecież nic nie widzisz! – krzyknęła Selome.

– Oczywiście, że widzę, nie widzę tylko, co jest na zewnątrz.

– Dowcip zabrzmiał żałośnie nawet dla samego Mercera.

Odtworzył w myślach ostatni obraz pustyni, zanim zasłonił ją kurz, przestudiował, a potem wrzucił bieg, zakładając, że kierowca drugiej terenówki nie odważy się ruszyć, dopóki burza nie

ucichnie. Toyota popęzła przed siebie. Przed uderzeniem burzy grunt był dość płaski, więc Mercer nie bał się niespodziewanych urwisk czy dołów, ale przy tak silnych uderzeniach bocznego wiatru utrzymywanie prostego kursu było niemożliwe.

Minęło dziesięć minut. Land-cruiser pęzł na oślep przez wiatr i piach. Mercer śliskimi od potu dłońmi ścisnął kierownicę, całym sobą starając się wyczuć nagłe zmiany wysokości, oznaczające wzniesienie albo spadek. A potem, równie nagle jak się zaczęła, burza ucichła. Zanim jego oczy przystosowały się do nagłego, oślepiającego światła, Mercer wcisnął gaz do dechy; przyspieszenie rzuciło Selome i Gibby'ego do tyłu. Mieli kilka cennych minut, zanim burza ucichnie wokół ich prześladowców.

– Selome, wypatruj tego fiata i powiedz mi, gdy tylko go zobaczysz. Kilkaset metrów przed nimi wznosił się łańcuch niewysokich wzgórz i Mercer miał nadzieję, że znajdą się za nimi, zanim Selome zobaczy drugi samochód. Jeśli to tamci zauważą ich pierwsi, to będzie koniec.

– Widzisz coś?

– Nie, burza ciągle tam szaleje. Nie widzę ich. Chyba...

Toyota wyskoczyła w powietrze jak wystrzelona z katapulty, siejąc dookoła dymiące kawałki karoserii i podwozia. Grzmot eksplozji zagłuszył krzyk pasażerów. Samochód opadł na ocalałe koła i przewrócił się na bok, przednim zderzakiem ryjąc głęboką bruzdę w ziemi.

„Żołnierz doskonały” czekał dziesiątki lat, zanim zadał śmiertelny cios. Zaprojektowana jako broń przeciwpiechotna sowiecka mina nie była dość silna, żeby zniszczyć toyotę, a z

powodu prędkości samochodu większość siły uderzeniowej uwolniła się pod silnikiem, zamiast pod kołem, które na nią najechało. Blok silnika wziął na siebie prawie całe uderzenie, wybuch uszkodził kabinę ledwie z jedną dziesiątą siły. To wystarczyło.

Ostatnią rzeczą, jaką Mercer pamiętał wyraźnie, był głos Selome. Potem wszystko zmieniło się w kotłowaną obrazów, krzyków i bólu, ziemi eksplodującej pod land-cruiserem i upadku, od którego zagrzechotały mu kości.

W uszach mu dzwoniło. Otarł twarz i na swojej drżącej dłoni zobaczył krew. Powoli wracały mu zmysły, bolało go całe ciało. Nie czuł bólu, który mógłby oznaczać krwawiącą ranę. W pierwszej chwili pomyślał o Selome. Próbował się odwrócić i zobaczyć, co z nią, ale nie mógł się poruszyć, wklonowany pod kierownicę. Leżało na nim coś ciężkiego. Zorientował się, że to Gibby. Czy raczej to, co z niego zostało.

Siła eksplozji została skierowana do wnętrza na nogi pasażera, masakrując nogi Gibby'ego tak strasznie, że trzymały się korpusu na kilku strzępach ciała. Szok zabił go natychmiast, ale z poszarpanych ran wciąż tryskała krew, zalewając Mercera. Widok martwego Erytrejczyka otrzeźwił go, żołądek podszedł mu do gardła. Przełknął z wysiłkiem.

– Selome! – zawołał.

Usłyszał łkanie. Dzięki Bogu! Powoli zsunął z siebie ciało Gibby'ego. Kiedy stanął na wgniecionych drzwiach, fala nudności niemal go powaliła. Zignorował własne rany i skupił się na Selome. Leżała zwinięta na tylnych drzwiach od strony kierowcy, z twarzą ukrytą w dłoniach, szarpana spazmami płaczu. Mercer

znów ją zawołał i w końcu na niego spojrziała. Twarz miała brudną, włosy potargane, ale nie było widać krwi, a choć jej oczy były wielkie z przerażenia, nie była chyba w szoku.

– Daj rękę. – Nie zapomniał o ścigającym ich wciąż fiacie.
– Musimy się stąd wydostać.

Z wahaniem wyciągnęła do niego dłoń i Mercer pomógł jej wstać. Skrzywiła się, kiedy przeniosła ciężar ciała na prawą stopę.

– Wszystko w porządku?

– Nie wiem – odparła cichym i słabym głosem.

– Musimy się pospieszyć. Ten drugi samochód za chwilę tu będzie. – Mercer wyjrzał przez strzaskaną tylną szybę i zobaczył pióropusz kurzu pełznący od kotłującej się burzy piaskowej niczym macka. Fiat był za daleko, żeby go dostrzec, ale Mercer wiedział, że ma tylko kilka minut.

– Daj mi pistolet – powiedział szybko.

– Co?

– Pistolet, Selome, oddaj mi go.

1QS

– O czym ty mówisz?

Jej aktorstwo nie było przekonujące.

– Mamy jakieś pięć minut, zanim do nas dotrą, i jeśli chcesz jeszcze trochę pożyć, daj mi ten zasrany pistolet.

Popatrzyła na niego na poły przestraszona, na poły zmieszana, po czym sięgnęła do plecaka i wyjęła duży automatyczny pistolet.

– Skąd wiedziałeś?

Nawet w takiej sytuacji Mercer poczuł ulgę, że mur tajemnic między nimi zaczyna się rozpadać.

– Potem, ci powiem. Wiesz, mogliśmy go użyć w tej zagrodzie dla bydła w Asmarze.

Wziął hecklera & kocha. Selome wzruszyła ramionami, ale nie mogła spojrzeć mu w oczy. Mercer wydzwignął się ze zniszczonej terenówki i podał rękę Selome.

– Włóż tu do mnie. Pomogę ci, ale nie patrz na przedni fotel. Gibby'emu się nie udało.

Tuman kurzu wzbijany przez fiata nie zlewał się już z piaskową burzą. Mercer zeskoczył na ziemię, wyciągnął ręce i pomógł Selome zejść.

– Zostań tutaj.

Na tylnych drzwiach toyoty w specjalnych klamrach przymocowany był dwudziestolitrowy kanister z benzyną. Mercer odzepił go, złapał dwa plecaki, które spadły z bagażnika na dachu, i wrócił do Selome. Krater po wybuchu miny wyglądał jak mały dymiący wulkan. Mercer oceniał, że land-cruiser przeleciał w powietrzu co najmniej pięć metrów.

– Co zrobimy? Jesteśmy na środku pola minowego.

Mercer nie odpowiedział na jej pytanie, ale nie mógł go też zignorować. Pustynia była tu grząska i piaszczysta, wygładzona po burzy. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej wznosiła się skała, na pewno wolna od min. Problem polegał na tym, żeby przedostać się do niej, nie wylatując w powietrze, i zrobić to na tyle szybko,

żeby ludzie z fiata tego nie zauważyli. Mercer odkręcił kanister i zaczął wylewać jego zawartość na samochód.

– Muszę zabrać...

– Nie ma czasu – przerwał jej. – Przykro mi.

Fiat był około kilometra od nich. Jechał niskim zagłębieniem i widać było jego dach. Mercer patrzył na ziemię, mając nadzieję zobaczyć ślady min, jednocześnie modląc się, żeby żadnej już nie musiał oglądać. Skończył polewać samochód i odprowadził Selome kilka metrów dalej, chowając się za wrakiem. Zawsze kiedy pracował w terenie, miał przy sobie kilka zapalniczek. Na wszelki wypadek – bywał już w sytuacjach, kiedy potrzebował ich wszystkich.

Lewą ręką zapalił otwartą zippo i rzucił ją w kałużę benzyny pod toyotą. Kiedy paliwo zajęło się z hukiem, zaczął strzelać w ziemię – trzask płomieni 10A

zagłuszał odgłos wystrzałów. Mercera i Selome uderzyła fala żaru. Selome próbowała się odsunąć, ale Mercer złapał ją mocno za rękę. Wystrzelał cały magazynek, umieszczając kolejne kule coraz bliżej skał, mniej więcej co półtora metra. Gdyby trafił w minę, wywołałby eksplozję – ale nic takiego się nie stało.

Mercer puścił dłoń Selome i skoczył w pierwszy ślad po kuli kaliber 9 milimetrów.

– Skacz tam gdzie ja – rzucił i skoczył w następne wgłębienie. Musiał wyteżać swój zmysł równowagi, żeby trafiać w maleńkie kratery, za każdym razem przez kilka upiornych sekund balansując na jednej nodze i szeroko rozkładając ramiona. Nieobciążona dwoma plecakami tak jak on Selome skakała lekko, jej długie nogi niosły ją z gracją akrobatki. Jeśli stopa jej dokuczała, nie było tego po niej widać.

– Daj mi drugi magazynek – powiedział Mercer, kiedy dotarli do ostatniego śladu.

– Po to chciałam wrócić – odparła Selome. – Resztę amunicji miałam w toyocie. Już nie mam.

Mercer spojrział na dwadzieścia metrów otwartej przestrzeni dzielącej ich od bezpiecznego schronienia na skałach. Dwadzieścia metrów usianej minami ziemi niczyjej, po której można było przejść tylko w jedną stronę. Przez huk płomieni

za plecami Mercer nie słyszał silnika zbliżającego się fiata, ale wiedział, że mają tylko kilka sekund. Zrobił głęboki, ostatni wdech samobójcy.

Zwalczając odruchową chęć, by wrzaskiem uwolnić nagromadzone emocje, zaczął biec. Musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby nie robić dużych kroków – ślady jego stóp musiały być na tyle blisko siebie, żeby mogła w nie trafić Selome.

Przy każdym kroku oczekiwał detonacji, która uderzy go jak kafar, rozdzierającego bólu, który w najlepszym razie go zabije, w najgorszym zostawi na pastwę prześladowcom. Połowę odległości przebył bez problemów, ale to go nie pocieszyło. Prawo średniej działało przeciwko niemu; z każdym krokiem prawdopodobieństwo trafienia na minę było większe. Trzy metry przed skałami jęknął głośno, sfrustrowany, że nie może ich osiągnąć jednym skokiem. Mógłby rzucić się szczupakiem, ale znów pomyślał o Selome i zrobił krok, który skracał dystans o połowę.

Klik.

Poczuł, że piaszczysty grunt ustępuje na ułamek centymetra. Dźwięk brzmiał jak odległe pstryknięcie palcami, stłumione jego ciężarem na minie. To był zapalnik. W milisekundowym okrucieństwie czasu przed wybuchem głównego ładunku Mercer mógł mieć tylko nadzieję, że Selome jest wystarczająco daleko.

Instynktownie, niemal nie opierając ciężaru ciała na bombie wielkości puszki, w pół kroku rzucił się do przodu niezdarnym susem. Ale to nie było konieczne. Po piętnastu latach leżenia w ziemi mina poddała się kurzowi i korozji. Zapalnik nie mógł zdetonować ładunku. Mercer uderzył barkiem w skałę, zbyt

oszołomiony tym, że żyje, by się przetoczył. Był tak wstrząśnięty, że niemal osunął się na piach. Odwrócił się gorączkowo i piętami wyhamował ślizg.

– Selome, chodź! – krzyknął.

Jak sprinterka w bloku startowym, reagująca, zanim jeszcze pistolet wystrzeli, Selome już pędziła z twarzą ściągniętą skupieniem. Dawała susy od śladu do śladu, machając miarowo ramionami i mimo zszarganych nerwów Mercer zauważył, jak wdzięcznie kołyszają się jej piersi. W kilka sekund była obok niego.

– Wszystko w porządku? – wydyszała.

– Później. – Mercer wstał. Poprowadził ją na drugą stronę wzniesienia i po płaskiej skale w stronę podnóża jednej z licznych w tej okolicy gór.

Czterysta metrów i pięć minut po ucieczce z pola minowego usłyszeli za sobą stłumioną eksplozję. Mercer się odwrócił. Tuż za przewróconą toyotą stała półtonowa półciążarówka fiata. Na odkrytej pace stało dwóch Afrykanów, bez wątpienia Sudańczyków. W kabinie widać było sylwetki dwóch kolejnych. Wszyscy patrzyli na postać leżącą bezwładnie kilka metrów od samochodów. W piasku ział nowy krater. Wiatr rozwiewał unoszący się znad niego dym. Ciało broczyło krwią z kikuta lewej nogi, leżącej kilka kroków dalej. Mercer domyślił się, że jeden z prześladowców próbował ścigać ich pieszo, chcąc powtórzyć ich wyczyn, i zapłacił za porażkę najwyższą cenę. Razem z Selome poszli dalej bez komentarza. Niedługo potem zgubili się wśród skał i zwolnili, nie bojąc się już pościgu.

Kilka godzin później Selome poprosiła o postój. Twarz miała mokrą od potu, a pod pachami ciemne plamy. Położyła się na płaskiej skale, wyciągając ręce nad głowę. Mercer padł obok niej, skupiony na zawartości dwóch plecaków zabranych z land-cruisera. Jeden z nich należał do Selome. Mercer wysypał z niego kosmetyki i zapasowe ubranie. Selome ignorowała go, wpatrując się w niebo.

– Selome?

Spojrzała na niego i szeroko otworzyła oczy. Trzymał w ręku pełny magazynek do jej hecklera & kocha.

– Ups.

– Właśnie, ups. – Mercer pokręcił głową. Zebrał i spakował potrzebne przedmioty do jednego plecaka, wyrzucając inne, niemające zastosowania podczas czekającej ich wędrówki. Tego, co zachował, było żałośnie mało – kawałek liny, młotek, trochę lontu. Wyjął z kieszeni kamizelki zdjęcia Meduzy i również wcisnął je do plecaka.

– Tak okropnie mi przykro z powodu Gibby’ego – powiedziała Selome po kilku minutach. – Nie tylko dlatego, że zginął, ale przez brak szacunku, jaki okazaliśmy jego ciału. Zasłużył na chrześcijański pochówek.

Śmierć Gibby’ego była kolejną, jaką miał na sumieniu Mercer. Fiat był dowodem, że Sudańczycy są w okolicy. Musieli znaleźć kopalnię na długo, zanim Mercer zdążyłby ostrzec uchodźców, których syn Neggi miał sprowadzić do doliny. Niedługo mieli przybyć n,a miejsce. Za ich niedolę również był odpowiedzialny.

– Proszę, nie mów mi przez jakiś czas o religii. Nie jestem w nastroju.

Już miała coś odpowiedzieć, ale Mercer nachylił się i sięgnął do skrawka nagiej skóry widocznej w rozcięciu kołnierza jej koszuli, gdzie między jej piersiami niknął cienki złoty łańcuszek. Mercer wyciągnął go, przez cały czas patrząc Selome w oczy. Ukazała się złota gwiazda Dawida.

– Mossad? – spytał cicho.

– Nie. Szin Bet. – W jej głosie słychać było dumę. – Coś jak wasze FBI.

Mercera zalała fala ulgi. Wiedział, że to koniec kłamstw.

– Słyszałem. Powiesz mi, o co tu chodzi?

– Chyba jestem ci to winna.

– Łagodnie rzecz ujmując. Głośno wypuściła powietrze.

– Kilka miesięcy temu o zdjęciach Meduzy dowiedziała się grupa izraelskich fanatyków.

Na taką odpowiedź Mercer nie był przygotowany.

– Izraelskich? Myślałem, że stoją za tym muzułmanie. Selome pokręciła głową.

– Ci „Europejczycy”, których Habte widział w Asmarze, to żydowscy ekstremiści kierowani przez ministra obrony Chaima Levine’a. Wiedzieliśmy o nich od jakiegoś czasu, ale dopiero niedawno zdaliśmy sobie sprawę, jak potężni się stali.

Mercer zrozumiał, że wszyscy zostali oszukani. Dick Henna szedł po przygotowanych starannie śladach, które kazały wierzyć im obu, że porwanie Harry’ego jest dziełem Arabów. Był

zarazem oszołomiony i pełen podziwu, jak sprytnie to wszystko rozegrano.

Tyle rzeczy stało się nagle jasnych. To właśnie Harry usiłował mu przekazać, mówiąc, że porywacze dali mu gin Boodles czy coś takiego. Harry musiał się domyślić, że jest na Bliskim Wschodzie, ale zauważył, że jego oprawcy nie są muzułmanami. Mercer powinien był to skojarzyć. Znowu poczuł gniew na samego siebie. Zastanawiał się, ile jeszcze błędów popełnił i kto za nie zapłacił.

Selome mówiła dalej:

II 199 – Levine i jego poplecznicy chcą zmienić Izrael w totalitarną teokrację. Levine pojął, co zdjęcia Meduzy przedstawiają, i zrozumiał, że takie odkrycie, gdyby przypisane zostało jemu, zapewniłoby mu fotel premiera. Usiłował je wykraść z waszego Narodowego Biura Rozpoznania, ale zostały sprzedane Prescottowi Hyde'owi. Hyde także coś na nich zobaczył, coś, co poprawiłoby jego słabnącą pozycję w Departamencie Stanu. Dowiedzieliśmy się o tym wszystkim niedługo po tym, jak zostały kupione przez Hyde'a i wysłano mnie do Stanów Zjednoczonych, żebym nawiązała z nim współpracę. Szin Bet opłacił członka erytrejskiej misji dyplomatycznej w Waszyngtonie, żeby za mnie poświadczył, więc Hyde nie wiedział o moich powiązaniach z Izraelem. Miałam zbierać informacje, a zwłaszcza pilnować, czy ludzie Levine'a spróbują się skontaktować z Hyde'em.

Niestety, Hyde zadzwonił do ciebie niedługo po tym, jak przyjechałam do Waszyngtonu, a ty przyłączyłeś się do poszukiwań kopalni, zamykając tę możliwość agentom Levine'a.

Hyde i jego żona zostali zabici tego samego ranka, kiedy razem wylecieliśmy do Afryki.

Hyde też nie żyje? Jezu, kiedy to się skończy?

– Zostawiłaś mnie w Rzymie, żeby zameldować o Hyde'zie swoim kontrolerom w Izraelu?

– To tak się dowiedziałeś, że jestem Izraelką?

– Powiedział mi o tym Dick Henna, zanim wylecieliśmy z Waszyngtonu. Poza tym tego samego wieczoru, kiedy przyszedł do baru Małego, mój najlepszy przyjaciel Harry został porwany i wywieziony do Bejrutu.

Po minie Selome było widać, że o tym nie wiedziała.

– Ten starszy facet, który przedstawił się jako ty?

– Ten sam – potwierdził Mercer. – Porywacze wydawali się mieć bliskowschodnie powiązania, więc doszedłem do wniosku, że ostatecznie będzie pasował tu także Izrael.

Opowiedział jej historię porwania Harry'ego i zamach na lotnisku da Vinci.

– Nie wiedziałem, czy jesteś po mojej stronie, czy nie. Pamiętaj, kiedy się spotkaliśmy, pracowałaś dla Hyde'a.

– Twojego przyjaciela na pewno trzymają ludzie Levine'a. Kiedy odmówiłeś Hyde'owi, musieli go porwać, żeby zmusić cię do szukania kopalni. Człowiek zabity w Rzymie to na pewno Ibriham Bein, najlepszy agent Levine'a.

Mercer domyślił się, że ostrzeżenie Beina w Rzymie, żeby nie robić nic Selome, wynikało z obawy Izraelczyka, że śmierć agentki Szin Bet wskutek intryg Levine'a wywoła duże problemy. Już planowali chwilę, kiedy będą mieli Izrael w rękę.

– Levine to faszysta – powiedziała Selome z goryczą. – Wiem, że to dziwnie brzmi, kiedy jeden Żyd nazywa tak drugiego, ale taka jest prawda. Wierzy w czystość narodu żydowskiego i chce pozbyć się z Izraela wszystkich innych. Chce zbudować obozy koncentracyjne i zamykać w nich Palestyńczyków. Planował to od lat. Nie wiem, czy pamiętasz ewakuację etiopskich Żydów do Izraela w latach osiemdziesiątych, ale Levine wspierał tę operację. Twierdził, że z powodów humanitarnych, ale nawet wtedy chciał pozbyć się Palestyńczyków, którzy wykonują w Izraelu wiele prac fizycznych, i zastąpić ich uchodźcami afrykańskimi.

A więc, pomyślał Mercer, on i Harry wpakowali się w sam środek izraelskiego problemu wewnętrznego, a nie jakiś międzynarodowy spisek terrorystyczny. Selome starała się, by Levine nie wykorzystał zdjęć Meduzy i nie zapewnił sobie tym samym przewagi w wyborach. Wszystkie jego podejrzenia wobec niej wyparowały. Po raz pierwszy poczuł, że może jej ufać. Coś w nim pękło. Był sam od tak dawna, a teraz miał sprzymierzeńca. Miał ochotę ją uściskać.

– A więc miałaś mieć oko na jego grupę i meldować o ich działaniach?

– I zatrzymać ich, gdybym mogła. Ale przylecieliśmy do Erytrei, zanim się do nich zbliżyłam.

Nagle Mercer zauważył pewną nieścisłość.

– Rozumiem, że Levine to szaleniec, ale czytałem też, że wybory miał w kieszeni, zanim jeszcze wylecieliśmy z Waszyngtonu. Dlaczego chce ryzykować, że zrujnuje swoje szanse, szarpiąc się o bezwartościową, pięćdziesięcioletnią kopalnię?

– Wcale nie chce. – Selome zaśmiała się po raz pierwszy od długiego czasu. – Już wiesz, że nie interesuje nas włoska kopalnia. Szukają jej chyba Sudańczycy i ich szefowie. Dlatego się na nas natknęli. Zaczynaliśmy z różnych punktów, ale trafiliśmy w to samo miejsce.

Mercer też się roześmiał. Groza porannych wydarzeń zniknęła przynajmniej na kilka chwil.

– Zanim przyjechaliście do doliny, kiedy szukałem starszych sztolni, już się domyśliłem, że wiecie o innej kopalni w tym rejonie.

Nagle jego wyraz twarzy się zmienił, bo wpadła mu do głowy inna myśl. Biały kamień, który znalazł w kimberlitowym odpadzie, był narzędziem z epoki kamienia, młotkiem używanym tysiące lat temu do rozbijania skał, żeby wydostać z nich drogocenne klejnoty. Nagle wszystko złożyło się w całość: Żydzi, starożytne kopalnie, fanatycy religijni. W końcu zrozumiał, jak wysoka jest naprawdę stawka, i że nie ma ona nic wspólnego z diamentami. O mój Boże! Usiłował odepchnąć tę szaloną myśl, ale nie mógł.

– Czy ta kopalnia to to, co myślę? – Ledwie to wykrztusił.

– Idziemy właśnie porozmawiać z mnichami, którzy to potwierdzą, ale tak. – Selome uśmiechnęła się, widząc jego oszołomienie. – To będzie największe odkrycie twojego życia. Żywa legenda.

Kiedy Mercer to powiedział, zdobył się jedynie na szept: – Kopalnia króla Salomona.

GRANICA ERYTREJSKO-SUDAŃSKA

Kiedy ciężarówki z rykiem jechały w głąb Erytrei, Gianelli czuł się jak Cezar zdobywca. Siedział na fotelu pasażera pierwszego samochodu, a przez otwarte okno dobiegał go zapach suchej pustyni i grzmot wielkich dwuna-stocylindrowych turbodiesli. Zaśmiał się pod nosem, uświadamiając sobie, że ciężarówki wyładowane sprzętem górniczym i zaopatrzeniem ważą dwa razy tyle co lekkie czołgi CV.35, którymi Mussolini najechał na Abisynię. W obowiązkowym mundurze khaki, w korkowym hełmie na głowie i ciemnych okularach Gianelli był w szczytowej życiowej formie. Wszystko, co zrobił aż do tej chwili, każda umowa i decyzja prowadziły do tego właśnie miejsca – konwój ciężarówek powracających do kopalni, którą jego stryj otworzył dziesiątki lat temu, był kulminacją jego istnienia. Niech inni podziwiają jego bogactwo i wpływy – dla Gianellego były one niczym, jedynie przedłużeniem tego, co przekazała mu rodzina, kaprysem genów. Kopalnia – oto było jego przeznaczenie.

Niedługo po tym, jak erytrejscy uchodźcy opuścili obozy w Sudanie pod wodzą księcia nomadów, Mahdi przedstawił Gianellemu swój pomysł wysłania zwiadowców przed ich kolumnę, żeby szybciej znaleźć kopalnię. Uchodźcy pokonali zaledwie kilka kilometrów dziennie i ich tempo rozwścieczało Włocha. Zgodził się więc i wysłał terenówkę ze zwiadem. Trzy dni później zwiad zameldował przez radio, że usłyszawszy eksplozję, znalazł

kopalnię w niecce otoczonej górami na końcu wąskiej doliny. Gianelli rozkazał głównemu konwojowi wyminąć uchodźców i jechać z pełną prędkością we wskazane miejsce. Wkrótce potem nadszedł następny meldunek o toyocie land-cruiser, kierowanej przez białego mężczyznę, która próbowała uciec z doliny. Gianelli w pierwszej chwili pomyślał, że durnie dali się zauważyć Mercerowi, potem jednak zdał sobie sprawę, że ludzie Mahdiego nie popełniliby takiego błędu.

Polecił Sudańczykom zatrzymać toyotę i jasno dał do zrozumienia, że Mercerowi nie może stać się krzywda. Kilka godzin później dowiedział się, że geolog uciekł przez pole minowe, a Mahdi stracił jednego człowieka. Gianelli skłął wszystkich zwiadowców przez radio, prawie rozbijając z wściekłości mikrofon. Mahdi słuchał tego, siedząc na tylnym siedzeniu dziesięciokołowej ciężarówki Fiata. Kiedy przyszła jego kolej, wysłuchał złożeń Gianellogo bez komentarza. Jego pracodawca miał rację, Mercer nie powinien uciec.

Porażka ludzi Mahdiego była niewybaczalna, a ich kara, kiedy konwój dotarłby do doliny, miała być o wiele surowsza niż tyrada przemysłowca. Radio znów zatrzeszczało i Gianelli szybko je złapał.

– Tak?

– Jesteśmy z powrotem w dolinie, wszystko zabezpieczyliśmy. Amerykanin zostawił tu tylko trzech ludzi, Erytrejczyków. Mają trochę sprzętu górniczego, ale nie pracują w kopalni.

– A co robią? – spytał Gianelli.

– Przekopywali się przez zbocze jednej z gór. Nie powiedzieli jeszcze, czego szukali.

– Wiedzieli o kopalni mojego stryja, tak?

– Tak, proszę pana – odparł żołnierz i ściszył głos, wiedząc, że jego następne słowa nie zadowolą przełożonego. – Kierujący nimi mężczyzna powiedział, że w kopalni nie ma żadnych minerałów. Powiedział, że Amerykanin zbadał szyb i stwierdził, że nie ma tam nic wartościowego.

– To nie może być prawda – wyjąkał Gianelli. Entuzjazm, który niósł go do tej pory, zaczął szybko wyparowywać.

Mimo dużej szybkości minęło jeszcze osiem godzin, zanim konwój przedostał się przez urwiska strzegące doliny nazywanej Doliną Umarłych Dzieci. Słuchając rozmów siedzących z tyłu z Mahdim ludzi, Gianelli dowiedział się, że znają to miejsce i budzi w nich przesądny lęk. Spytał o to Mahdiego, ale żołnierz nie umiał udzielić mu konkretnej odpowiedzi. Powiedział tylko, że tabu tej okolicy pochodzi sprzed wielu pokoleń, ale nikt nie zna jego początków. Legendy o niej opowiada się w Sudanie i Etiopii.

– Bzdury – prychnął lekceważąco Giancarlo.

Na jego twarzy malowała się niecierpliwość, czuł brzemień historii. Dolina nie przypominała w niczym jego dziecięcych wyobrażeń, ale kiedy ją zobaczył, nie mogłaby dla niego wyglądać inaczej.

Po drugiej stronie równiny zobaczył szkielet wieży wyciągowej, wyłaniający się z drgającego mirażu, rozpoznał budynki pomocnicze obok niego, a po kilku minutach ujrzał otwartego

fiata swoich zwiadowców. Serce tłuło mu się gorączkowo w piersi.

Ciężarówka zbliżyła się do opuszczonej kopalni i zatrzymała z sykiem hamulców i jękiem przegrzanych silników. Gianelli wyskoczył z kabiny i pobiegł przez pustynię do otwartego szybu.

Joppi Hofmyer dogonił go pierwszy.

– To ona – wysapał Giancarlo. – Dwa żywoty wypełnione pracą, mój i mojego stryja, i oto jest.

Nie przyjmował do wiadomości tego, że kopalnia jest pusta. Nie ma takiej możliwości, myślał. Enrico był pewien, że w tym rejonie są diamenty, i zginął z tym przekonaniem. Gianelli zawsze uważał, że gdyby samolot jego stryja nie został zestrzelony w czasie wojny, Enrico przedstawiłby rodzinie dowody. Mercer nie miał dość czasu, żeby dokładnie przebadac podziemne chodniki, powiedział sobie Gianelli, nie miał też odpowiedniego sprzętu. Diamenty tu są.

– Tak, proszę pana – odparł nieswojo Afrykaner. – Ee, panie Gianelli, chciałbym wiedzieć, jak chce pan to rozegrać?

– To znaczy?

– Skoro już tu jesteśmy, mam przejąć dowodzenie nad ludźmi czy pan będzie wydawał polecenia?

Gianelli zaśmiał się krótko, szczerliwie.

– Joppi, mój przyjacielu, jestem jednym z tych ludzi, którzy wiedzą, jak zatrudniać innych z powodu ich wiedzy i umiejętności. Płacę panu, ponieważ wie pan, jak wydobywać minerały spod ziemi, a ja o tej sztuce nie mam pojęcia. Od tej chwili przejmuje pan kontrolę. Jakkolwiek zamierza pan poprowadzić tę

operację, jakiegokolwiek zamierza pan podjąć kroki, ma pan wolną rękę. Proszę mnie traktować jak zainteresowanego obserwatora.

Hofmyer się odwrócił, zaniepokojony serdecznością Gianlego bardziej, niż to chciał przyznać.

– Dobra, pieprzone czarnuchy! – ryknął na sudańskich żołnierzy zebranych przy ciężarówkach. – Dopóki nie przyjdą tu uchodźcy, to wy, bydlaki, będziecie górnikami. Mahdi wydawał wam rozkazy, a od tej chwili ja wydaję rozkazy Mahdiemu. Gdy tylko dostanę listę, dziesięciu ludzi ma zacząć rozpakowywać sprzęt i rozstawiać obóz. Reszta ma rozładować sprzęt górniczy i oddzielić ten podziemny od powierzchniowego. Jeśli nie wiecie, do czego coś służy, pytacie mnie albo któregoś z białych górników, i nie zapominajcie zwracać się do nich Baas. – Czterej pozostali Afrykanerzy uśmiechnęli się szeroko. – Wy, chłopcy – zwrócił się Joppi do białych – wyciągacie materiały wybuchowe i umieszczacie je w bezpiecznym miejscu nie bliżej niż pięćset metrów od kopalni i obozu. A teraz niech ktoś mi tu da tych trzech kaffirs, co tu byli, kiedy przyjechali zwiadowcy.

Habte siedział skuty kajdankami w cieniu fiata zwiadu razem z dwoma erytrejskimi kierowcami. Żaden z nich nie rozumiał, co się dzieje. Ich strach był aż namacalny, ale Habte spodziewał się czegoś takiego od samej Asmary. Domyślił się, że ci ludzie są sprzymierzeni z tymi, którzy zaatakowali Mer-cera i Selome na targu. Europejczycy, których widział w Ambasoirze, jeszcze się nie pojawili. Habte wiedział jednak, że nie może liczyć na ich pomoc. Tym razem wróg jego wroga nie jest jego przyjacielem.

Dwaj sudańscy rebelianci podeszli i karabinami dali znak, żeby cała trójka więźniów poszła za nimi. W drodze do szybu kopalni Abebe głośno się modlił. Habte patrzył śmierci w oczy już wiele razy i nie zamierzał okazywać strachu.

Kilka chwil później podszedł do nich Joppi, z brzuchem związającym nad paskiem spodni. Doświadczonym okiem przyjrzał się trzem więźniom. Utkwił wzrok w Habtem, rozpoznając w nim przywódcę. Ze swobodą zaprzeczającą okrucieństwu tego czynu oparł dłonie na ramionach Abebego i wepchnął go do jamy.

Wrzask Erytrejczyka odbił się echem od ścian szybu, cichnąc jak syrena, aż urwał się z niezaprzeczalną ostatecznością. Habte nawet nie mrugnął, kiedy Joppi spojrział mu w oczy, czekając na reakcję, lecz weteran nie zamierzał zareagować. Stali tak nieruchomo przez kilka sekund.

– Aha, twardy z ciebie czarnuch, tak? – wycodził w końcu Hofmyer. – Mam wepchnąć też twojego drugiego przyjaciela czy zaczniesz odpowiadać na pytania?

Habte powstrzymał się od uwagi, że Afrykaner żadnych jeszcze nie zadał. Wiedział, że doprowadziłoby to do zamordowania drugiego kierowcy. Spuścił oczy w poddańczym geście, który Joppi uznał za znak swojego zwycięstwa. Jak wielu jego rodaków, którzy nie poświęcili dość czasu na zrozumienie afrykańskich zwyczajów, Joppi uważał, że milczenie Habtego oznacza akceptację.

– Tak lepiej. Może mi powiesz, co robiliście na drugim końcu tej doliny?

Wahając się między chęcią sprzeciwienia się Burowi a świadomością, że im dłużej żyje, tym większe ma szanse na ucieczkę, Habte wszystko Hof-myerowi opowiedział.

Godzinę później ciężarówki opuściły włoską kopalnię, żeby rozbić obóz niedaleko tej starożytnej.

PUSTYNIA

ro zastanowieniu Mercer doszedł do wniosku, że powinni byli zaryzykować jeszcze raz przejście przez pole minowe, kiedy Sudańczycy pojechali, żeby wydobyć z wypalonego land-cruisera wszelkie przydatne rzeczy, zwłaszcza manierki. Albo telefon satelitarny. Choć nadal niósł plecak, cała jego zawartość była bezużyteczna w czekającej ich przeprawie. Kiedy do zmroku pozostała ledwie godzina, a obojgu dokuczało pragnienie, tych kilka metrów przez pole minowe mogło zadecydować o przetrwaniu na pustyni albo śmierci.

Bez jedzenia mogą wytrzymać kilka tygodni, ale brak wody zabije ich o wiele szybciej. Mercerowi usta wyschły na wiór. Język przypominał łusko-wate ciało jakiegoś pustynnego gada. Ostatnim razem, kiedy przełknął ślinę – zdałoby się, że kilka godzin temu – gardło zaprotestowało gwałtownie jakby było wyłożone tłuczonym szkłem. Chociaż organizm kobiety jest lepiej przystosowany do przetrwania w trudnych warunkach, pod bezlitosnym afrykańskim słońcem Selome nie radziła sobie o wiele lepiej. Oceniając sytuację, Mercer wyliczył, że jeśli nie znajdą wody, będą martwi za dwadzieścia cztery do trzydziestu sześciu godzin. Rewelacje Selome o niej samej, ojej misji i kopalni króla Salomona zajmowały go przez jakiś czas, teraz jednak myślał tylko o kilometrach, które ma przed sobą.

Wraz z zachodem słońca pustynia rozkwitła purpurą, wymalowana cieniami sprawiającymi, że strome góry wyglądały jak

zamki z bajek, niedostępne i wysokie. W normalnych okolicznościach przystanąłoby na ten widok, ale w miarę jak zapadała noc, oni po prostu szli, zwalniając z każdym krokiem.

Ze strzępów ubrań zrobili sobie prowizoryczne osłony głów i oddychali przez nosy, żeby ograniczyć utratę wilgoci. Wypróbowali wszystkie sztuczki, które znali, ale i tak było to za mało. Gdyby któreś z nich miało kompas albo potrafiło nawigować według gwiazd, mogliby iść w chłodzie nocy. A tak musieli maszerować w dzień, kierując się jedynie słońcem. Po jednym zaledwie dniu, nie wiedząc, ile jeszcze przed nimi, zrozumieli, że muszą umrzeć.

– Słońce prawie już zaszło – powiedział Mercer po raz pierwszy od prawie sześciu godzin. – Za chwilę zrobi się chłodniej.

– Za chwilę będę martwa. – Selome udało się uśmiechnąć, chociaż skrzeczała jak zdarta płyta.

– Tak trzymać – zakrakał Mercer. – Nie ma to jak pozytywne podejście.

Od uśmiechu pękły mu spieczone wargi i w kąciку ust wypłynęła kropelka krwi. Rozejrzał się po okolicy. Krajobraz najeżony był kamiennymi iglicami, wyrastającymi z pustynnego podłoża z brutalną regularnością, zmuszając ich do marszu krętą trasą na wschód, w stronę rzeki Adobha.

Szli dalej, coraz mniej pewnie, zmęczenie i odwodnienie dawały o sobie znać. Tuż przed zapadnięciem całkowitych ciemności Mercer poprowadził Selome do jednego z niezliczonych kopje, skalistych pagórków, i skierował do jaskini, których setki dziurawiły urwisko, wyryte w kamieniu przez miliony lat erozji.

Zbyt wyczerpani, żeby rozmawiać, zwalili się na ziemię, chłonąc chłodne powietrze groty. Minęło pół godziny, zanim Mercer poczuł się na tyle silny, by usiąść i oprzeć bolące plecy o skałę. Spróbował użyć plecaka jako poduszki, ale jego zawartość była jeszcze twardsza i bardziej kanciasta niż kamień.

Żadne z nich nie ośmieliło się zdjąć butów. Stopy natychmiast by im spuchły i rano nie mogliby ich włożyć. Mercer poluzował tylko sznurówki, żeby ulżyć poobcieranej skórze.

– Spróbuj – zachęcił Selome. – To lepsze niż seks.

– W takim razie nie jesteś chyba za dobry – zakpiła. – Jak myślisz, ile przeszliśmy?

– Oń – Powiedziałbym, że jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt kilometrów.

– A więc jesteśmy w połowie drogi do Adobhy.

– Niestety nie. Przez to, że musimy okrążyć te cholerne wzgórza, przesunęliśmy się na wschód najwyżej dwadzieścia pięć kilometrów.

Mercer chciał oszczędzić tego Selome, ale miała prawo wiedzieć.

– Więc do rzeki jest...

– Jeszcze siedemdziesiąt kilometrów. Jeśli teren niedługo się nie wyrówna, będziemy musieli przejść tak naprawdę ponad sto. A w nocy osłabniemy jeszcze bardziej. Jutro będziemy szli wolniej, a z każdą sekundą spędzoną na słońcu będziemy się coraz bardziej odwadniali. Przykro mi, ale takie są fakty.

Selome wyglądała, jakby uszło z niej całe powietrze.

– Nie możemy wrócić i zaryzykować z Sudańczykami? – zapytała.

– Nie sędzę, żebyśmy pokonali połowę odległości do kopalni. Pamiętaj, przed atakiem jechaliśmy dwie godziny.

– Umrzemy, prawda?

– Oczywiście. Za jakieś pięćdziesiąt lat, ze starości. – Mercer się wyprostował. – Jeszcze nie umarliśmy, Selome, a ja wyosta-
wałem się już z gorszych tarapatów.

Nie potrafił sobie co prawda przypomnieć bardziej bezna-
dziejnej sytuacji, ale jego słowa dodały Selome otuchy. Podpełzła
do niego, opierając głowę na twardych mięśniach jego brzucha.
Pogłaskał ją włosach, a ona westchnęła i zapadła w sen. Dla
Mercera ulga zapomnienia nie była tak łatwo osiągalna.

Był zbyt zmęczony i obolały, żeby zasnąć. Cały czas nękało go
coś, co powiedziała Selome, coś o poszukiwaniach przez Levine'a
kopalni króla Salomona. To był archeologiczny skarb, znalezisko
stulecia, ale Mercer nie potrafił sobie wyobrazić, jak izraelski
minister chce zbudować na tym swoją potęgę czy utrzymać ją
po wygraniu wyborów. Coś tu nie pasuje. Musi być jeszcze jakiś
element tej układanki, o którym Selome nie wspomniała.

Gdyby Mercer nie był tak wykończony i udęczoney pragnie-
niem, zażądałby wyjaśnień, ale dopóki nie są bezpieczni, żadne
z nich nie będzie marnowało energii na rozmowy o czymś, co
w tej chwili jest poza ich kontrolą. Tuż przed zapadnięciem w
sen przyszło mu do głowy coś jeszcze: erytrejscy uchodźcy, po
których posłał do Sudanu. Wychodzili z jednego piekła prosto
w drugie. Wiedział, że rebelianci, którzy bez wątplenia są już w

kopalni, natychmiast zapędzą ich do pracy. Mercer uświadomił sobie, że jego i Selome walka o przetrwanie jest także wyścigiem z czasem.

O świcie następnego dnia Selome ocknęła się pierwsza, co obudziło Mercera. W nocy przytulili się do siebie, splatając nogami. To była pozycja intymnego zaufania, pozycja kochanków, i przez kilka sekund w milczeniu cieszyli się swoim dotykiem. Dopiero kiedy Selome spróbowała się podnieść, mogli stwierdzić, jak bardzo zeszywniały im mięśnie. Jęknęła z twarzą ściągniętą z bólu.

– O Chryste – wychrypiał Mercer.

Jak artretycy zaczęli rozciągać zeszywniałe kończyny. Stawy trzaskały głośno i Mercer teraz zrozumiał, jak się czuje codziennie rano Harry White.

Myśl o starym przyjacielu wywołała u niego napływ adrenaliny. Ten naturalny narkotyk dodał mu sił i Mercer oznajmił, że pora ruszać dalej. Dochodziła szósta rano, za około dwie godziny słońce znów zacznie prażyć.

– Ostatnich gryzą psy – spróbował zazartować Mercer. Selome była zbyt wyczerpana, by zareagować.

Ogrom pustyni sprawił, że wyglądali jak owady pełznące po wielkim stole. Dla nich jednak każdy krok był triumfem nad bezlitosnym pragnieniem i zmęczeniem. Po dwóch godzinach Selome poprosiła o odpoczynek, ale Mercer dotknięciem ramienia kazał jej iść dalej. Poruszała się jak automat, idąc mechanicznie, nie kołyszając już rękami, bo był to za wielki wysiłek. Po kolejnych dwóch godzinach osunęła się na ziemię w cieniu

małego granitowego głazu. Mercer padł obok niej. Minęło piętnaście bolesnych minut, zanim z trudem wstał i podał jej rękę. Chwycała ją dzielnie i pozwoliła się podnieść.

Próbując utrzymać w miarę równe tempo, Mercer zaczął liczyć kroki. Zamierzał zarządzić postój po dwóch tysiącach, obliczając, że będzie to około półtora kilometra, ale kiedy dotarł do tej liczby, wiedział, że pokonali zaledwie połowę tego dystansu. Porzucił liczenie i po prostu stawiał jedną stopę przed drugą, uznając, że następny odpoczynek urządzą, kiedy poprosi o to Selome. Ale to on pierwszy go potrzebował.

Tuż po południu na skraju kolejnej bezimiennej góry Mercer zobaczył jaskinię podobną do tej, w której spędzili poprzednią noc, i poprowadził do niej Selome, zamierzając przeczekać tam najgorętszą porę dnia. Od bezlitosnego słońca straszliwie bolały ich głowy. Był to ból wszechogarniający, przyprawiający o mdłości.

– Ruszymy dalej o trzeciej – zdołał powiedzieć Mercer i popadł w otępienie, niebędące snem ani jawą, ale pustą strefą gdzieś pomiędzy.

O trzeciej żadne z nich nie było w stanie się ruszyć, wznowili więc wędrówkę dopiero, gdy było już prawie ciemno. Szli tak wolno, że nie dotarliby nawet do następnego schronienia, bo przedtem opuściłyby ich siły. Śmierć z odwodnienia miała nadejść za jeszcze jeden pełen męczarni dzień. Ale ani determinacja, ani siła woli nie miały wpływu na to, że jeśli zatrzymają się na noc, mogą już nigdy nie wstać.

– Myślisz, że dasz radę iść po zmroku? Selome kiwnęła głową.

– Nie zgubimy się? – spytała po chwili.

– Już się zgubiliśmy – przyznał Mercer i szli dalej w milczeniu. Po ciemku pokonaliby większą odległość, niezależnie od kierunku. Musieli iść; siedzenie i czekanie na śmierć nie wchodziło w grę. Mercer odezwał się po godzinie, nie wiedząc nawet, że minęło tyle czasu.

– Odpoczniemy znów jutro i może zrobimy parę kilometrów następnej nocy, ale to będzie koniec.

Półgodzinna przerwa przed odpowiedzią Selome przeszła niezauważona.

– Klasztor nie jest po tej stronie rzeki? – spytała. Trzysta metrów dalej:

– Tak mówili Habte i Gibby. Nie wiem, jak teraz jest daleko. Dwadzieścia minut:

– Miejmy nadzieję, że niedaleko.

Zmrok zapadł bardzo szybko, wysysając żar z pustyni. Kiedy pojawiły się gwiazdy, świeciły zimnym, obojętnym blaskiem. Temperatura spadła o dwadzieścia stopni i Mercer z Selome odkryli, że są w stanie pokonywać większe odległości między przystankami, a i same przystanki są krótsze. Przez pierwszą część nocy czuli słabą nadzieję.

Jednak o północy resztki sił ich opuściły i tak samo nagle, jak noc skradła dzień, wyczerpanie skradło ich determinację. Na początku ich średnia wynosiła trzy kilometry na godzinę, teraz niecały kilometr, a z każdą kolejną godziną szli coraz wolniej. Pragnienie nie było już zwykłą bolesną potrzebą. Każda sekunda bez wody wyrządzała w ich organizmach coraz więk-

sze spustoszenie. Kolejnych dwanaście godzin doprowadziłyby do poważnych i być może nieodwracalnych uszkodzeń nerek. Śmierć nadeszłaby szybko.

Słońce wstało o piątej, malując niebo różem. Mercer i Selome, ku swojemu zaskoczeniu, pokonali prawie trzydzieści kilometrów – szli teraz bardziej prosto, w miarę jak zwiększały się odstęp między wzniesieniami. Do przejścia mieli jeszcze jednak ogromny dystans i choć Mercer zaczął wypatrywać kolejnej jaskini, w której mogliby się schować, wiedział, że nie zobaczą celu swojej wędrówki. Po zachodzie słońca być może pokonaliby jeszcze kilka kilometrów, ale najpewniej ten przystanek będzie ich ostatnim. W desperacji Mercer ssał kropelki krwi, ściekające z jego spękanych ust.

Oczy miał już prawie zamknięte z odwodnienia i od blasku szybko wstającego słońca. W odległości kilku kroków wszystko wyglądało jak oślepiająca, biała ściana. Pieczenie oczu było niczym w porównaniu z pragnieniem palącym gardło. Kamyk trzymany w ustach nie zmuszał już ślinianek do pracy, ciążył tylko jak głaz. Cały organizm domagał się wody. Mercer zaczął mieć omamy. Słyszał strumień szemrzący kilkaset metrów przed nimi, czuł nawet niesiony wiatrem jego czysty, intensywny zapach. Ale kiedy podeszli bliżej, iluzja się cofnęła, tworząc kolejny cel, do którego mechanicznie brnęli.

14 – Kamień Medii7v Mercer zapomniał o Selome, dopóki nie upadła mu pod nogi. On też był zbyt słaby, by utrzymać się na nogach, i padł twarzą w piasek. Dopiero po kilku długich minutach zrozumiał, że Selome straciła przytomność. Popatrzył

w mrok przed sobą i zobaczył, że dotarli do zbocza kolejnej góry, litej skalnej ściany, ciągnącej się jak okiem sięgnąć. Zamrugął energicznie, ale nie dostrzegł żadnej możliwości jej obejścia.

Powoli, jak wąż zrzucający skórę, wypełził z szelek plecaka. Gdyby zastanowił się nad tym, co zamierza zrobić, nawet by nie spróbował, ale oboje nie mieli wyboru. Skóra na rękach Mercera miała kolor starego siodła. Wyciągnął z kieszeni szczyryk, otworzył mniejsze, ostrzejsze ostrze i bez zastanowienia przeciągnął nim po przedramieniu.

Spodziewał się, że z rany buchnie kurz, ale popłynął z niej szybko równy strumyk krwi, więc żeby nie uronić ani kropli, przycisnął rozcięcie do ust Selome. Gdyby była przytomna, nie złamałaby najstarszego tabu ludzkości, ale jej organizm potrzebował płynu, a gardło łagodnie przełykało życiodajną ciecz, łagodzącą cierpienie. Mercer nie cofnął ręki, aż zobaczył, że Selome odzyskuje przytomność. Zanim zorientowała się, co zrobił, odsunął się od niej, owinął ramię kawałkiem materiału i wytarł jej twarz. Kiedy otworzyła oczy, nachylał się nad nią.

– Co się stało?

– Zemdlałaś. Upadłaś i rozcięłaś sobie wargę. Wszystko w porządku?

– Chyba tak. – Mercer widział, jak język Selome porusza się w jej ustach, szukając źródła dziwnego smaku.

– Za parę minut wszędzie słońce. Musimy znaleźć schronienie. Możesz iść?

Kiwnęła głową, ale kiedy spróbowała wstać, znów upadła. Rzuciła Mercerowi błagalne, przerażone spojrzenie.

– Nie możesz ważyć więcej niż plecak. – Chciał się uśmiechnąć, ale mięśnie jego twarzy pozostały nieruchome. – Poniosę cię.

Zignorował jej niedowierzającą minę i z zaskakującą łatwością postawił ją na nogi. Potem odwrócił się, nadstawiając plecy, i schylił, żeby łatwiej jej było na niego wsiąść.

– Proszę wsiadać, pociąg linii Mercer Limited odjeżdża.

Selome była szczupła, a przez ostatnich czterdzieści osiem godzin straciła jeszcze kilka kilo, ale i tak zachwiał się pod jej ciężarem. Zamknął swój umysł przed bólem i ruszył przed siebie. Selome opierała brodę na jego ramieniu i słyszał jej równy oddech. Nie miał złudzeń, że doniesie ją do Adob-hy. Będzie miał szczęście, jeśli w ciągu kilku najbliższych minut znajdzie jaskinię. Kiedy słońce wystrzeli z nad gór, siły opuszczą go na dobre.

– Selome, ja już nic nie widzę. Musisz wypatrywać jaskini. Już po kilkudziesięciu metrach zaczęły trząść mu się nogi.

Minęła kolejna godzina męczarni. Mercer niósł Selome na północ wzdłuż urwiska. Nie czuł już bólu, otępiały, zużywał resztki energii niczym płomień, który pali się najjaśniej tuż przed zgaśnięciem. Słońce jak ogromny ciężar wbijało go jak młot w kowadło pustyni. Myślał, że Selome znów straciła przytomność, ale nagle krzyknęła chrapliwie jak spłoszony ptak. Mercer zobaczył jej dłoń, wskazującą coś przed nimi. Nie widział, co to takiego, więc jak osioł podążający za marchewką na kiju powłókł się w tamtym kierunku. Jasność zmieniła się w jednolitą kurtynę; dopiero kiedy znaleźli się już pod samym wejściem do jaskini, Mercer zobaczył jej cień.

Selome zsunęła się z jego pleców i padła na ziemię. Nawet tego nie zauważył. Nigdy w życiu nie zmusił się do takiego wysiłku. Jak każde śmiertelnie ranne zwierzę chciał tylko znaleźć kryjówkę, w której mógłby umrzeć. Padł na czworaki i wpełzł na oślep do chłodnej jaskini, zatrzymując się dopiero, kiedy uderzył głową o kamienną ścianę. Selome przyczołgała się chwilę później i upadła obok niego twarzą do ziemi.

Wiedział, że już nie wstana. W głowie mu łomotało, miał wrażenie, że pęknie, jeśli tylko jej dotknie. Dotknął ramienia Selome. Jej skóra przypominała w dotyku wysuszony pergamin. Każda komórka jego ciała łaknęła wody, ale wiedział, że jej nie dostanie.

– Tu umrzemy – wymamrotał w pyliste dno jaskini. – Przepraszam.

Selome obróciła go na plecy, żeby widzieć jego twarz. Pod kilkudniowym zarostem jego skóra była szara i spękana, wargi pokrywały pęcherze, wyglądały jak zakażona rana. Selome zobaczyła odbitą w jego oczach własny strach, bo sama nie wyglądała lepiej.

– Poczytam ci, żeby zabić czas – zaproponowała, a Mercer spojrział na nią dziwnie, podejrzewając, że straciła w końcu kontakt z rzeczywistością.

Ale na jego oczach podniosła z piasku oprawioną w skórę księgę, położyła ją sobie na kolanach i otworzyła na losowo wybranej stronie. Przez chwilę patrzyła na nią tępo.

– Hej, to Szekspir. Po włosku, ale ci przetłumaczę.

– Co jeszcze? – Mercer był zbyt wyczerpany, by czuć coś więcej niż desperację umierającego.

– Co?

– Co jeszcze jest w jaskini?

Czy to możliwe? W jego umyśle słabo zamigotała nadzieja. Selome rozejrzała się.

– O Boże! Jedzenie! Woda!

Powietrze zapachniało bardziej słodko, kiedy odkorkowała butelkę. Przyłożyła ją do ust. Mercer zobaczył przezroczysty płyn ściekający jej po brodzie, zmiękczający zaschnięte strupy na wargach i zwilżający spieczony język. Selome zamknęła oczy w ekstatycznym cierpieniu.

Mercer poczuł ogromną ulgę. Nie dlatego, że woda ocali mu życie, nie to było jego pierwszą myślą. Ważniejsze było dla niego, by Selome została uratowana. Chciał móc przypisać sobie tę zasługę, ale to jej odwaga pomogła im w drodze, jej milcząca determinacja. Mercer starał się dodać jej otuchy swoją siłą, a ona zrobiła to samo dla niego. Tracąc przytomność, zobaczył jeszcze, że przyłożyła butelkę do ust, po czym przycisnęła wargi do jego warg, rozchyłając je i wpuszczając między nie trochę wody. Znow się napiła i znow napoiła jego. Chwilę później był nieprzytomny, ale jego oddech się uspokoił i nie był już taki chrapliwy, a na twarzy widniał zmęczony, ale wyraźny uśmiech.

KLASZTOR DEBRĘ AMLAK

Ilcera obudziło nieznajome uczucie i dopiero po chwili zrozumiał, co to takiego. Materac! Jezu! Wytarty tak, że niewiele grubszy od koca i przykryty szorstką bawełną, wydawał się niebiańskim luksusem. Mercer miał obolałe ciało, zwłaszcza stopy i dłonie. Był to jednak dobry ból – mówił mu, że wciąż żyje. Poruszył się pod przykryciem. Przekłute pęcherze na stopach otarły się żywym mięsem o prześcieradło. Jęknął i poderwał się, sięgając do piekającej pięty. Natychmiast zakręciło mu się w głowie. Opadł z powrotem na płaską poduszkę, zapominając o obolałych stopach.

Selome! Stanęła mu przed oczami i znów z wysiłkiem usiadł, starając się uwolnić od prześcieradeł. Musi ją znaleźć, nic innego się nie liczy. Wtedy usłyszał głos i spojrzał w prawo. W pomieszczeniu mieściło się tylko łóżko, stolik i krzesło. Ściany były białe i czyste, podłoga goła i zamieciona, a przez małe okienko widać było, że zapada zmierzch. Jedyłą ozdobą izby był krucyfiks wiszący nad stolikiem. Obok łóżka stał młody chłopak w długiej szacie. Przemówił znów w tigrinya, nie zwracając uwagi na to, że Mercer go nie rozumie.

– Selam – wycharczał w końcu Philip.

– Selam, selam – pozdrowił go chłopak. – Kemayla-ha? Musiał pytać, jak się czuje.

– Hmak. – Zle. Było to jedno z niewielu słów, jakich Mercer się nauczył.

– Shemay Tedla iyu – powiedział chłopak, wskazując swoją pierś. – Men shem-ka! Mercer zrozumiał, że chłopak nazywa się Tedla. Wskazał na siebie.

– Mercer. Selome?

Tedla udzielił długiej odpowiedzi, ale Mercer niczego nie rozumiał. Westchnął zmartwiony. Chłopak nalał do kubka wody z cynowego dzbanka.

Mercer wypił ją, położył się na pościeli i po chwili zasnął. Kiedy obudził się po raz kolejny, był w izbie sam. Było ciemno, nie licząc samotnej świecy płonącej na stole. W jej świetle Mercer zobaczył, że zostawiono dla niego talerz z owocami. Doszedł do siebie na tyle, że był już głodny i sięgnął po nie. Pożarł dwa mango i banana, zanim poczuł się słabo i znów zasnął.

Gdy się obudził, świeca już się wypaliła. Gdzieś spoza izby dobiegał dziwny dźwięk. Mercer był dezorientowany, prawie spanikował z powodu ciemności, tego jak się czuł i dziwnego hałasu. Uspokajał się powoli, jego serce zaczynało bić normalnie. Rozpoznał pieśń. Potem nagle wszystko sobie przypomniał – marsz przez pustynię, to, jak Selome znalazła wodę w jaskini. Wróciły do niego zamazane obrazy mężczyzn niosących ich stromą ścieżką do starożytnej budowli. Leżał w ciemności i uśmiechał się, a modlitwa mnichów kołysała go do snu. Dotarli do klasztoru!

Kiedy obudziło go słońce, Mercer miał dość sił, żeby wstać z łóżka i się ubrać. Jego ubranie wyprano i położono na stoliku. Był zaskoczony, kiedy poczuł, że musi skorzystać z nocnika stojącego pod łóżkiem. Przynajmniej jego nerki wciąż pracują.

Na korytarzu zrobiło mu się słabo, ale minął kilkoro zamkniętych drzwi i trafił do refektarza. Pomieszczenie zajmował prawie w całości duży pusty stół. Mercer usiadł na krześle i oparł głowę o blat, nierówno i ciężko oddychając. Selome. Musi ją znaleźć.

Chyba znów zemdlał, bo nagle zorientował się, że Tedla stuka go w ramię i mówi coś łagodnie.

– Gdzie są wszyscy? – spytał Mercer.

Tedla gestami pokazał mu, że ma tu czekać, i wybiegł. Chwilę później wrócił z innym, starszym mnichem. Mężczyzna emanował spokojem i budzącą zaufanie solidnością. Nie chodziło tylko o jego siwą brodę i długi czarny habit. W oczach mnicha widać było współczucie i zrozumienie.

– Selam – powitał go Mercer. – Do you speak English? – Selam. No, Italian? Mercer pokręcił głową.

– Parlez-vous français? – Un peu. Trochę.

Mercer bez trudu przeszedł na francuski, ale mówił za szybko dla mnicha i musiał zwolnić.

– Nazywam się Philip Mercer. Jestem inżynierem górnictwa i pracuję tu, w Erytrei.

– Selome Nagast nie śpi od wielu godzin, monsieur Mercer. Wiem, kim pan jest. Nazywam się Efraim.

– Jak długo tu jestem?

Mnich mówił z tak ciężkim akcentem, że Mercer ledwie go rozumiał.

– Ostatnia noc była pana drugą.

Mercer przespał prawie trzydzieści sześć godzin! Erytrejscy uchodźcy niedługo mieli dotrzeć do kopalni; może już tam są. Poczuł, że nadchodzi kolejny atak paniki.

– Muszę jechać.

Efraim powiedział coś do chłopaka i Tedla wyszedł, zostawiając go sam na sam z Mercerem. Było jasne, że jeśli mają kontynuować rozmowę, potrzebują tłumacza. Niedługo potem do refektarza weszła Selome. Przeprowa przez pustynię przyćmiła trochę blask w jej oczach, ale wciąż była piękna. Utrata wagi podkreśliła jej i tak wydatne kości policzkowe i powiększyła oczy. Mercera zalała fala ulgi. Zamknął oczy i znów je otworzył, napawając się widokiem Selome. Spróbował wstać i ją przytulić, ale powstrzymała go i objęła za szyję, dotykając jego policzka swoim.

– Jak się czujesz?

Zanim Mercer zdążył odpowiedzieć, brat Efraim odkaszlnął, zwracając na siebie ich uwagę. Selome odsunęła się i stanęła w skromnej pozie. Mnich mówił przez kilka chwil, ale Selome zastanawiała się przez chwilę nad tłumaczeniem.

– Brat Efraim jest opatem klasztoru i wita nas w Debrę Am-lak – odezwała się wreszcie. – Mówi, że bardzo rzadko wpuszcza się tu kobiety, i zastanawia go, co nas łączy. – Powiedziała coś do opata i przeszła na angielski. – Powiedziałam mu, że jesteś człowiekiem honorowym, a ja dziewczicą obiecaną innemu.

– Skłamałaś księdzu?

– A co miałam mu powiedzieć?

– Nie powinnaś mu mówić, że jestem człowiekiem honorowym, to wszystko. – Mercer powstrzymał uśmiech. – Powiedz naszemu gospodarzowi, że w moim stanie wszelkie nieprzyzwoite myśli są niemożliwe. Podziękuj mu za gościnność i za przyniesienie do jaskini i spytaj, jak nas znalazł.

– Mówi, że jaskinia to jego ucieczka z klasztoru, miejsce, w którym może cieszyć się jeszcze większą samotnością. Znalazł nas i poszedł po innych mnichów, żeby nas tu przynieśli.

– Ucieczka od ucieczki? – zdziwił się Mercer.

– Rozmawialiśmy wczoraj, kiedy byłeś nieprzytomny. Powiedziałaś mi, że szukamy starożytnej kopalni. Wydawał się wszystko o tym wiedzieć.

– O czym? O kopalni?

– O tym też, ale i o nas. Zachowywał się, jakby się nas spodziewał, przynajmniej ciebie.

– Nie popadaj mi tu w mistycyzm, Selome.

– Mówię ci tylko, co się stało.

Efraim jej przerwał i mówił coś przez kilka chwil.

Mercer obserwował reakcje Selome. Cokolwiek opat powiedział, zaszokowało ją. Zadała mu kilka pytań, a potem przetłumaczyła wszystko na angielski.

– Brat Efraim nigdy nie miał być opatem klasztoru. Dostał to stanowisko, kiedy mnisi wrócili tu po wojnie. Powiedział mi to przy okazji tłumaczenia, dlaczego zrobił to co zrobił, dlaczego przeczytał księgę, która nie miała być nigdy więcej czytana.

– O czym ty mówisz? Selome zignorowała pytanie.

– Mają tu księgę o tytule Hańba królów. Efraim mówi, że czytał ją tylko jeden człowiek poza nim, poprzedni opat Debrę Amlak, którego wiara została zniszczona. Mówi, że poprzedni opat umarł, wierząc, że karą boską za jego świętokradztwo były lata cierpienia i wojen w Erytrei. Brat Efraim przeczytał księgę kilka tygodni temu, ponieważ inny mnich przepowiedział, że zostanie ujawniony starożytny sekret i że ktoś przyjdzie wypytywać o niego mnichów. On chyba wierzy, że tym kimś jesteś ty.

Mercer nie wiedział, co powiedzieć. Po plecach przeszedł mu zimny dreszcz. Popatrzył na Efraima i zobaczył, że mnich nie żartuje.

– Dlaczego ja?

– Po pierwsze, ty i ja jesteśmy pierwszymi ludźmi od dziesięcioleci, którzy odwiedzili klasztor. Poza tym, kiedy powiedziałam mu, że jesteś górnikiem, odparł, że twoja obecność tutaj i twoje umiejętności zgadzają się doskonale z tym, co mówi księga.

– To, że jestem inżynierem górnictwa ma związek z jakąś starożytną świętą księgą?

– Hańba królów to tekst raczej historyczny niż religijny. Kronika starożytnej kopalni diamentów w Erytrei, założonej przez kapłanów króla Menelika. To historia kopalni, którą właśnie odkryliśmy.

– Menelika, nie Salomona?

– Tak. Menelik był pierworodnym synem królowej Saby i Salomona, króla Izraela. Diamenty przez niego znalezione są z pewnością podstawą legendy o kopalni Salomona, tyle że w

ciągu lat opowieść została zmieniona. –Selome przerwała na chwilę. –Ale tutaj chodzi o coś jeszcze ważniejszego.

Mercer wychwycił dziwną nutę w jej głosie i przypomniał sobie, że miał wrażenie, iż coś przed nim ukrywa. Coś, o czym wiedziała od początku. Miał pewność, że za chwilę się dowie, co to takiego.

– Opowieść zaczyna się w innej księdze Chwała królów, która jest etiopską wersją historii o wizycie królowej Saby u Salomona. Zupełnie inną niż ta ze Starego Testamentu. Widzisz, królowa została podstępnie zwabiona, by spędzić noc z Salomonem. Potem wróciła do Etiopii z dzieckiem, Mene-likiem, ale przeznaczeniem chłopca było znów znaleźć się w Izraelu. Miał dwadzieścia dwa lata, kiedy odwiedził swojego ojca w Jerozolimie. Tam najwyższy kapłan powiedział mu, że Bóg polecił mu zabrać Słowo Boże do Etiopii, przenosząc Tron Boży z Izraela do Afryki.

Widząc zmieszanie Mercera, Selome wyjaśniła mu to:

– Syn Salomona wykradł ze świątyni Arkę Przymierza i przemycił ją do swojego królestwa.

Mercer nie miał pewności, czy dobrze usłyszał.

– Arkę Przymierza? To o to w tym wszystkim chodzi?

Widział, że Selome nie chciała tego wszystkiego zdradzać i wezbrał w nim gniew. Właśnie to od początku przed nim ukrywała.

– Diamenty są dla was bez znaczenia. Wszystkim wam chodzi o Arkę i uważacie, że jest ukryta w tej kopalni.

– Tak. Agenci Levine’a przyjechali do Erytrei po to, żeby ją znaleźć i wywieźć do Izraela. – Głos Selome brzmiał teraz ostro, pełen emocji i strachu. – Da mu ona moralną władzę zniszczenia Kopyły na Skale i wzniesienia Trzeciej Świątyni.

Mercer zastanawiał się przez chwilę.

– Gdyby coś takiego mu się udało, sam ogłosiłbym go dożywoćnim cesarzem. Ale Arka Przymierza? Chyba żartujesz, Selome. Nie wątpię w twoją wiarę, ale Stary Testament i ta Chwała królów nie podają faktów historycznych. To bajki.

– Tak samo jak Iliada, dopóki Heinrich Schliemann oparł się na niej w swoich poszukiwaniach – odparła z przekonaniem Selome – i odkrył Troję, która według wielu archeologów istniała tylko w legendach. Jeśli mnie wysłuchasz, zobaczysz, że opowieść Efraima potwierdza plan Levine’a.

– Jak to? – spytał bez wielkiego zainteresowania. W coś takiego nie mógł uwierzyć.

– Niedługo po powrocie z Arką do Etiopii Menelik rozpoczął serię wojen, powiększając terytorium etiopskie aż do Indii. Dochód z handlu nie wystarczał mu na sfinansowanie kampanii, więc jeden z jego kapłanów, Aza-riasz, opowiedział mu o diamentowej górze na północ od stolicy. Hańba królów opisuje odkrycie tej bajecznej góry i historię założonej tam kopalni. Zarządzający nią kapłani wykorzystywali do pracy żołnierzy wziętych do niewoli podczas wojen Menelika. Kiedy wojny się skończyły, przerzucili się na niewolników sprowadzanych z Kusz, dzisiejszego Sudanu. Według księgi warunki pracy były tam straszne, ale najgorsze miało dopiero nadejść. Po stu latach

robotnicy wybrali wszystkie diamenty, które można było wydobyć z powierzchni ziemi, i trzeba było zacząć drążyć tunele. Na początku zaprzęgnięto do pracy Pigmejów ze względu na ich mały wzrost, ale oni szybko umierali w chodnikach. W jednym z ustępów Hańby królów wyrażano żal z tego powodu, bo pomysł wydawał się obiecujący.

– I to wciąż kapłani zapędzali niewolników do pracy?

– Tak. – Selome najwyraźniej nie chciała mówić dalej, ale zrobiła to, ciężkim głosem. – Ponieważ Pigmeje się nie sprawdzili, nadzorcy kopalni zaczęli zatrudniać dzieci. Chłopcy i dziewczynki, nawet sześciolatki, byli zapędzani do tuneli i nigdy już z nich nie wychodzili. Straty uzupełniały niewolnice trzymane do rozrodu. Brzmi to jak system jeszcze okrutniejszy niż to, co naziści robili podczas Holocaustu, a kopalnia działała przez ponad czterysta lat. Nieliczone dziesiątki tysięcy niewinnych dzieci zamordowano w podziemnym piekle, a sprawcy tej zbrodni byli wyznawcami judaizmu.

– Selome, to było dwa tysiące lat temu.

– Brat Efraim mówi, że oni byli z tego dumni. Księga opisuje nie tylko olbrzymie kamienie, jakie znajdowali, ale opowiada także o nieludzkich warunkach i sposobach zmuszania dzieci do bardziej wyczerpanej pracy. Gdyby antysemita i terroryści dowiedzieli się, że pierwsze obozy koncentracyjne były założone przez Żydów, myślisz, że miałyby znaczenie, jak dawno temu to było? Tego nigdy nie można ujawnić!

Mercer chciał się nie zgodzić, ale podejrzewał, że Selome ma rację. Nienawiść sprzedaje się bardzo łatwo.

– Dobra, niech ci będzie, że Hańba królów ma rację co do starożytnej kopalni w północnej Erytrei – ustąpił. – Straszne warunki pracy brzmią prawdziwie, a ja sam wiem, że zmuszanie dzieci do pracy w kopalniach było powszechną praktyką jeszcze sto lat temu, ale co to ma wspólnego z Levine’em i Arką?

– Poszukiwania Levine’a trwają już dwadzieścia lat. Zawsze miał obsesję na punkcie relikwii, zwłaszcza Arki. Kiedy operacja „Mojżesz” uratowała etiopskich Żydów w 1984 roku, przesłuchiwał uchodźców na temat świętych artefaktów pozostawionych w ich kraju. Plotki mówiły zwłaszcza o jednym konkretnym kościele Świętej Marii z Syjonu w Aksum, starożytnej stolicy Etiopii. Niektórzy twierdzili, że Arka wciąż tam jest. Levine potajemnie wysłał zespół agentów, żeby włamali się do kościoła, ale nie znaleźli tam niczego, co by wskazywało, że Arka kiedykolwiek tam była.

– A on wciąż uważa, że ona jest w Etiopii? – prychnął Mercer.

– Cholera jasna, Mercer! Nie ma znaczenia, czy ty w to wierzysz. Levine wierzy, a dopóki twój przyjaciel Harry jest w jego rękach, tylko to się liczy. Przez ostatnich kilka tygodni zginęło wystarczająco dużo ludzi, żeby cię przekonać, iż twoje wątpliwości nic nie znaczą.

Naukowe poglądy Mercera sprawiały, że był sceptyczny, ale nagle zrozumiał, że Selome ma rację. Liczy się motywacja Levine’a, a nie fakty. A nawet jeśli sam nie wierzył, wiedział, że nie powinien pochopnie odrzucać czegoś, co wydaje mu się mało prawdopodobne. W końcu Hańba królów miała rację co

do kopalni – Przepraszam, to wszystko takie... W każdym razie mówiłaś, że Levine uważał, że Arka jest tutaj.

– Etiopia to najstarszy chrześcijański kraj na świecie, a jego powiązania z Żydami są jeszcze starsze. Poza tym Levine był pewny, że Arki nie ma w Izraelu. W naszym kraju pozostało bardzo mało miejsc, których archeolodzy nie przeczesali centymetr po centymetrze. Levine zaczął sprawdzać różne mniej wiarygodne pogłoski, które przywieźli uchodźcy. Dowiedział się, że Arka może być na wyspie na jeziorze Tana, ale to również okazało się fałszywym tropem. Jedyna inna wzmianka, jaką miał, to opowieść o złotej skrzyni umieszczonej w starożytnej kopalni, by odegnąć złe duchy zabijające górników dawno, dawno temu. Kiedy Levine zobaczył komin kimberli-towy na zdjęciach Meduzy, był pewny, że znalazł kopalnię, o której mówili uchodźcy. Uważał także, że gdzieś w okolicy komina znajdzie miejsce ukrycia Arki.

– Nie wie, że kopalnia została wykopana przez syna Salomona?

– Nie obchodzi go to. Jemu chodzi o Arkę.

– Czy w Hańbie królów napisano, że Arka jest w kopalni?

– Nie wprost. Plotka o złotej skrzyni, którą interesuje się Levine, prawdopodobnie pochodzi właśnie z niej, puścił ją ktoś, kto przeczytał księgę. Hańba królów mówi o klątwie, która zabiła dzieci, tajemniczej chorobie spowodowanej przez szatana i uniemożliwiającej pracę w tunelach. Żeby ją pokonać, do kopalni sprowadzono potężny talizman i umieszczono go w specjalnej komorze, wydrążonej według dokładnego opisu oryginalnego

sanktuarium Arki w Jerozolimie. Nie ma tam słowa o tym, że ją potem wydobyto.

– I zadziałała? Talizman powstrzymał chorobę? Selome zapytała Efraima.

– Coraz więcej dzieci umierało i niedługo potem kapłani zrozumieli, że Bóg karze ich za to, co zrobili. Zamknęli kopalnię i nigdy nie ujawnili jej położenia.

Mercer pozwolił sobie na chwilę spekulacji. Skoro odkryta przez nich kopalnia bez wątpienia jest tą samą, o której opowiada Hańba królów, to czy możliwe że reszta tej historii też jest prawdą? Kopalnia pozostawała nieodkryta przez dwa tysiące lat, a jeśli wspomniany talizman był faktycznie Arką Przymierza, to wciąż może się tam znajdować, ukryty pod tonami skał, czekający, aż ktoś go odnajdzie. Mercer poszedł w swoich rozważaniach krok dalej i zastanowił się, co by było, gdyby Levine znalazł Arkę i zabrał ją do Izraela. Na Bliskim Wschodzie wybuchłaby wojna religijna, przy której dotychczasowe pięćdziesiąt lat konfliktu wyglądałoby jak przekomarzenie się. Selome miała rację, mówiąc, że Levine wykorzystałby symbolikę Arki do zburzenia Kopuły na Skale, trzeciego najświętszego miejsca islamu. Gdyby do tego doszło, muzułmanie na całym świecie użyliby broni jądrowej, by pokonać Izraelczyków i odbić Wzgórze Świątyni. To był scenariusz dnia zagłady, który ziści się, jeśli Levine nie zostanie powstrzymany.

To było dla Mercera za dużo. Kilka dni temu dowiedział się, że być może odkrył kopalnię króla Salomona, a teraz się okazało, że bierze udział w wyścigu o odnalezienie Arki Przymierza.

Gdyby nie był taki słaby i zmęczony, byłby przerażony. Przeprawę przez pustynię gorzej zniósł niż Selome i poczuł, że jego umysł znów zaczyna się wyłączać. Nie był w stanie wchłonąć ani jednej informacji więcej.

– Założę się, że Sudańczycy nic o tym nie wiedzą. Ich szefom chodzi o diamenty, a porywaczom Harry’ego, konkretnie Levine’owi, o artefakt archeologiczny zaginiony przed tysiącami lat.

– Tak, a jedno i drugie znajduje się w Dolinie Umarłych Dzieci. Nagle znaczenie nazwy doliny stało się nieprzyjemnie oczywiste.

– Powinniśmy być wdzięczni, że wciąż mamy czas. Sądząc po wykopach, które zrobiliśmy przed wyprawą do klasztoru, otwarcie kopalni potrwa kilka tygodni. – Wtedy Mercer coś sobie przypomniał. – O cholera! Tam są teraz ze dwie setki uchodźców. Sudańczycy, którzy nas zaatakowali, pewnie zmuszają ich właśnie do pracy. Może już ją otworzyli!

Mercer nie powiedział Selome o erytrejskich uchodźcach, których ściągnął z obozów w Sudanie. Na jej twarzy odmalował się szok.

– A skąd oni się tam wzięli?

– Kiedy byliśmy u nomadów w Badn po paliwo, zapłaciłem jednemu z synów wodza, żeby przyprowadził ich do doliny.

Mercer miał ogromne wyrzuty sumienia, ale też był zdeterminowany, by ich uwolnić.

Selome przez kilka minut rozmawiała z bratem Efraimem.

– Mówi, że nie ma możliwości dotarcia do żadnego miasta, dopóki wody Adobhy nie opadną. Rzeka jest nie do przebycia przez co najmniej trzy tygodnie.

– Nie mamy wyjścia. Musimy się przepawić.

Efraim zrozumiał chyba, co oznacza stanowcza mina Mercera. Selome tłumaczyła na bieżąco.

– Rzeka pędzi z prędkością i siłą ciężarówki i jest pełna śmieci zmytych z wyżyn. Zniszczy każdą tratwę. Co roku dziesiątki ludzi giną, próbując ją przekroczyć. Bądź rozsądny.

– Nie stać mnie na ten luksus. Od nas zależy życie wielu ludzi, nie tylko uchodźców, ale też Habtego, dwóch kierowców i mojego przyjaciela Harry’ego White’a. A jeśli jakimś cudem Arka naprawdę jest w kopalni, to może i reszty świata. Będę rozsądny, kiedy erytrejskie wojsko otoczy kopalnię i aresztuje każdego, kto ma broń.

Selome zadała mnichowi jeszcze kilka pytań. Odpowiedzi opata wydawały się ją uspokajać.

– Mówi, że talizman, o którym mowa w Hańbie królów, został umieszczony w najgłębszej części kopalni, tak głęboko, że armia kopaczy będzie potrzebowała wielu miesięcy, by ją znaleźć. – Spojrzała Mercerowi w oczy. – Zastanów się. Sudańscy nie wiedzą o Arce. Kiedy dotrą do diamentów, przestaną badać tunele i zaczną kopać. Nie dowiedzą się, co jest ukryte w głębinach. Przypomnij sobie, ilu sudańskich żołnierzy, według wodza, stało nad granicą?

– Pięćdziesięciu – odparł Mercer, zaczynając rozumieć, o co Selome chodzi.

– Levine nie ma dość ludzi, by zaatakować tak duży oddział. Będą musieli zaczekać ze swoimi poszukiwaniami, aż rebelianci odjadą. Mamy kilka tygodni, a nawet miesięcy, żeby uprzedzić władzę.

– Więcej czasu, żeby uratować świat? – Ton Mercera był prawie żartobliwy. Po chwili jednak spochmurniał. – Wciąż pozostaje dwustu uchodźców. Wyruszą rano.

– Nie jesteś w stanie ustać na nogach – odparowała Selome. – Byłam w tych obozach i mogę ci powiedzieć, że na krótszą metę tym ludziom będzie lepiej w kopalni.

– Jak możesz tak mówić? – Był zaskoczony, że powiedziała na głos coś, nad czym sam zaczynał się zastanawiać.

– Może i będą harowali jak niewolnicy, ale dostaną jedzenie i wodę. Ten, kto prowadzi tę operację, musi dbać o uchodźców, jeśli chce, żeby dla niego pracowali.

Mercer wiedział, że w stanie, jakim jest, ma niewielką szansę dotarcia gdziekolwiek. Jego wysiłek poszedłby na marne; byłby to pusty gest, który nikomu by nie pomógł. Dojście do jedyne go logicznego wniosku trwało tylko chwilę.

– Dobrze, odpoczniemy tu kilka dni, ale nie więcej. Spytaj Efraima, czy może nam dać przewodnika do Ila Babu. Może ktoś tam ma radio.

– Mówi, że Tedla nas poprowadzi. To jakieś siedemdziesiąt kilometrów, ale mówi, że nie słyszał o nikim w mieście, kto ma radio.

– Będziemy się tym martwili, kiedy przyjdzie pora.

Efraim i Selome odprowadzili Mercera do jego pokoju i położyli do łóżka. Mnich wyszedł, a Selome została, ocierając czoło Mercera mokrą szmatką. W jej gestach była taka czułość, że Mercer ujął jej dłoni i pocałował po kolei wszystkie koniuszki palców.

– Za co to?

– Bo chciałem to zrobić, odkąd cię poznałem, a nie mogłem, dopóki ci nie zaufałem.

Pocałowała go lekko w usta, ale w jej oczach widać było namiętność.

– A więc teraz mi ufasz?

– Żadnych więcej tajemnic. – Spróbował się uśmiechnąć i zasnął. Selome przyglądała mu się przez kilka minut, z dłonią na jego piersi.

Rozsunęła palce, jakby w ten sposób mogła go bardziej pojąć. Pocałowała go raz jeszcze.

– Żadnych więcej tajemnic.

Przez następne dwa dni Mercer odpoczywał i pił więcej wody, niż wydawało mu się to możliwe. Powoli wracały mu siły. Pod wieczór drugiego dnia czuł się na tyle silny, by przejść się dookoła klasztoru. Pilnował się, żeby nie przekraczać linii kołków oznaczających rozminowany teren. Rzadko widywał Selome. Okazywała szacunek mnichom i ich tradycjom i nie rzucała im się w oczy. Mercer godzinami rozmyślał o nieludzkich okrucieństwach opisanych w Hańbie królów, ale przede wszystkim zastanawiał się, jak uratować erytrejskich uchodźców i jak powstrzymać Levine'a od użycia Arki. Jeśli Arka przetrwała tyle

wieków, nie byłby zaskoczony, gdyby była ukryta w starożytnej kopalni. Jezu!

Było już dawno po zachodzie słońca. Mercer leżał na łóżku, kiedy pod oknem wychodzącym na klasztorny krużganek usłyszał czyjeś kroki. Było za ciemno, żeby zobaczyć coś więcej niż ciemną postać, więc wciągnął spodnie i buty i wysliznął się z pokoju. Na krużganek wychodziło się z refektarza. Mercer słyszał skrzypienie drewnianej podłogi. Bał się, że obudzi mnichów.

Selome stała pośrodku krużganka, słabo oświetlona przez księżyc i gwiazdy. Patrzyła w oczy Mercerowi, kiedy wolno do niej podchodził.

– Miałam nadzieję, że to będziesz ty – szepnęła. – Chociaż Tedla jest mnichem, chyba się we mnie zadurzył.

– Ja też miałem nadzieję, że to będziesz ty – odparł cicho Mercer. – Chciałem ci podziękować. Miałaś rację. Nie dotarłbym do Ila Babu.

– Jak się czujesz?

– O wiele lepiej, ale i tak jestem wciąż słaby jak kociak.

– Jak słaby? – spytała zduszonym głosem. Mercer od razu rozpoznał ten ton. Podeszła kilka kroków bliżej, a żar jej ciała przesycił jego skórę.

– Słaby jak kocur. – Mercer starał się nie zdradzić, że jest podniecony. Minęły dwa dni, odkąd widział ją po raz ostatni, a seksualne napięcie, które zaczęło między nimi iskrzyć przed wyprawą do klasztoru, wróciło z ogromną siłą.

Objęła go za szyję i wcisnęła kolano między jego nogi.

– Jak słaby?

– Co powiesz na zmęczonego lwa?

*n\ – Już lepiej. – Uśmiechnęła się. – Jutro opuszczamy klasztor i Tedla będzie z nami przez całą drogę. Kiedy skontaktujemy się z władzami, znów minie dużo czasu, zanim będziemy mieli chwilę dla siebie. Przykro mi, ale jeśli mamy się kochać, to musi być dzisiaj. Teraz.

– Co za śmiałość. Położyła mu palec na ustach.

– Bez żartów.

– Selome, ja...

Przerwała mu łapczywym pocałunkiem. Przytuliła się do niego, przylegając prawie idealnie, kolana do kolan, biodra do bioder. Mercer czuł, jak jej piersi twardnieją, a im dłużej się całowali, tym większy wlewał się w niego żar.

– Chciałem powiedzieć – wymamrotał – że byłoby dobrze znaleźć bardziej ustronne miejsce. W końcu to kościół.

Tama, która pękała, odkąd Selome powiedziała mu o swojej przynależności do Szin Bet, teraz puściła zupełnie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy, odkąd rozstał się z Aggie, Mercer całkowicie oddał się drugiemu człowiekowi. Było to uczucie wyzwajające i przerażające zarazem, ale przy tym bardzo właściwe.

Wrócił do swojego pokoju po koszulę i koc i razem zeszedł wąską ścieżką wrzynającą się w urwisko. W świetle księżyca odbijającym się od piaszczystej równiny wyraźnie widzieli jaskinię położoną nie dalej jak czterysta metrów na południe. Oboje byli zaskoczeni tym, że jest tak blisko. Mercer zapalił świecę i rozłożył koc na skalistym dnie groty. Selome gestem kazała mu się położyć i patrzeć, jak będzie się rozbierała.

Spodziewał się po niej odrobiny wstydu, ale niczego takiego nie zobaczył. Zdjęła bluzkę przez głowę jednym płynnym ruchem; jej pełne piersi się zakołysały. Sutki miała boleśnie naprężone i ciało Mercera natychmiast zareagowało na ten widok. Spodnie zsunęły się jej do kostek prawie bez żadnej pomocy. Zrzuciła je kopnięciem i zaczęła kciuki o gumkę majtek. Rozmyślnie powoli zsunęła je po udach, schylając się, aż spoczęły wokół jej stóp pomarszczoną kałużą jedwabiu.

Wyprostowała się dumnie jak ciemnoskóra Wenus o ciele jędrnym i doskonałym, z cerą tak nieskazitelną i gładką w świetle świecy, że wyglądała jak marmur. Mercer nie mógł się powstrzymać od gapienia na rozcięcie między jej udami. Serce tłukło mu się w piersi, oddychał tak samo ciężko jak ona. W powietrzu rozszedł się zapach jej podniecenia.

Mercer zaczął się rozbierać, ale Selome uklękła obok niego, odsunęła jego dłonie i zaczęła rozpinać guziki i suwaki, gładząc każdy odsłaniany fragment jego ciała, aż był zupełnie nagi, a ona trzymała go mocno w dłoni. Ścisnęła go bardzo lekko, a on mimowolnie poruszył biodrami. Dopiero wtedy znów pocałowała go w usta.

???

– Jesteś taka piękna – wyszeptał, a Selome się uśmiechnęła.

– Ty też.

Za pierwszym razem nie pozwoliła mu nic robić, nawet założyć jednej z prezerwatyw, które lekarz kazał Mercerowi nosić w portfelu. Dla Mercera dekadencją było nie musieć przejmować się przyjemnością partnerki, bo wyraz jej twarzy mówił mu jasno,

że podniecają sama jego rozkosz. Przez dziesięć minut leżeli złączeni, zapominając o całym świecie, a Selome kołysała się na nim, wciągając go głębiej i głębiej. Kiedy Mercer już skończył, zakręciło mu się w głowie i nie mógł złapać tchu. Potem – co nie udało mu się ani razu od czasu studiów – zaczęli się kochać jeszcze raz, prawie natychmiast. Mercer miał tylko kilka sekund, żeby założyć drugą prezerwatywę, zanim Selome wciągnęła go na siebie. Jej krzyki rozchodziły się daleko poza jaskinię.

Byli tak pochłonięci uprawianiem miłości, że nie usłyszeli konwoju ciężarówek zbliżających się ze wschodu. Pół godziny po ich przejeździe, kiedy zwijali koc i poprawiali ubrania, noc rozbrzmiała nagłym trzaskiem broni maszynowej. Eksplozja dźwięku zniszczyła euforię, którą oboje czuli, i sprawiła, że wrócili do okrutnej rzeczywistości.

TEL AWIW, IZRAEL

Danny Silver miał dwadzieścia trzy lata i był Amerykaninem, którego rodzice przenieśli się do Izraela, gdy miał szesnaście. Podobało mu się tutaj, dopóki mieszkał w największym mieście w kraju. Kilka lat temu pojechał na lato do kibucu i odkrył, że życie we wspólnocie blisko natury go nudzi. Lubił energię Tel Awiwu, z jego dyskotekami i kosmopolityczną atmosferą. Poza tym jako barman w jednym z dużych hoteli na plaży mógł się bzykać niemal każdej nocy. Amerykańskie studentki na wakacjach czy przebywające w Izraelu, by odkryć swoją „żydowskość”, były nieodmiennie zafascynowane historiami, które opowiadał, zwłaszcza tymi zmyślonymi o obowiązkowej służbie wojskowej.

We wtorkowy wieczór, przed ósmą, ruch w barze był niewielki. Jego jedynymi klientami była grupa izraelskich biznesmenów siedzących w kącie i dwie starsze panie z wycieczki z New Jersey, zajęły miejsca w pobliżu wejścia. Danny zabijał czas za długim barem, polerując nieskazitelnie czyste szklanki i wycierając butelki, które nie potrzebowały wycierania. Sara, kelnerka, stała zrelaksowana, jednym okiem obserwując klientów, drugim czytając uniwersytecki podręcznik. Danny za nią nie przepadał. Nie próbowała nawet ukrywać swojej pogardy dla wszystkich Żydów nieurodzonych w Izraelu.

Pieprzyć ją, pomyślał z roztargnieniem, nie mogąc oderwać wzroku od idealnych piersi pod białą bluzką.

Trzask dobiegający z westybulu odwrócił uwagę Danny'ego od dekoltu Sary. Jakiś starszy facet przewrócił tablicę reklamową, ale nie zatrzymał się, żeby ją postawić. Wpadł do baru jak czołg Merkawa, przewiercając wzrokiem Danny'ego i wpatrując się w rzędy butelek z alkoholem za jego plecami.

Wyglądał jak strach na wróble, chudy i pomarszczony, prawie komicznie, ale w wyrazie jego twarzy nie było nic zabawnego. Gdyby był Arabem, Dan-ny już by uciekał. Ale to był biały, prawdopodobnie Amerykanin, i na pewno szurnięty. Rzucił się wprost do baru i z głośnym stęknieniem usiadł na stolku. Zgarbił się jak sęp i wbił w Danny'ego złe spojrzenie. Chłopak podszedł spytać, czy coś mu podać.

– Drinka. – Amerykanin, na pewno.

– Jakiego drinka, proszę pana? – Co za dureń.

– Daj mi coś z alkoholem albo klnę się na Chrystusa, rozerwę cię na strzępy i sam sobie wezmę.

W innej sytuacji Danny by się roześmiał, ale starzec mówił z taką siłą, że można było uwierzyć, że spróbuje.

– Oczywiście, proszę pana, cokolwiek pan zechce.

Danny nalał do kieliszka miarkę brandy, ale zanim zdążył postawić go na stole, Amerykanin rzucił się na butelkę. Wprawnym ruchem zerwał dozownik i przyłożył szyjkę do ust. Trzy łyki zniknęły w trzy sekundy, po czym stary piernik odstawił flaszkę ostrożnie na bar.

– Przepraszam, synu – wychrypiał Harry White. – Ale za wolno ci szło. Gdybyś wiedział, przez co przeszedłem przez ostatnich tygodnie, zrobiłbyś to samo.

– Aha, jasne. Pewnie.

– Coś ci powiem, młody, jeśli masz tam jakiegoś burbona, najlepiej jacka danielsa, obiecuję, że nie będę gryzł. Umowa stoi?

Szaleńczy grymas zmienił się w uśmiech godny serdecznego dziadunia.

Danny nalał szklankę burbona i przezornie zostawił butelkę na barze. Zerknął na Sarę i zobaczył, że przygląda się całej sytuacji z uśmieszkiem wyższości. Wyglądała, jakby spodziewała się takiego zachowania po Amerykaninie. Suka.

Harry wychylił burbona i zaczął łać następną porcję, nie przerywając, dopóki szklanka nie mogła już pomieścić ani grama alkoholu więcej.

– Ratujesz mi życie, przyjacielu. Cholerny zbawca z ciebie.
– Alkohol złagodził ostry głos Harry’ego. – Jeszcze osiem czy dziesięć takich i może znów poczuję się jak człowiek.

– Panie White?! – zawołała z recepcji jakaś kobieta. Szła w stronę wejścia do baru ze spłoszonym wyrazem twarzy. Dyszała ciężko, bo wpadła do hotelu biegiem, szukając starca. Ubrana w konserwatywny szary kostium, białą bluzkę i bezsensowną muszkę, dla Danny’ego wyglądała jak uosobienie pracownika rządowego. Przeszła po marmurowej podłodze recepcji, a jej proste pantofle stukwały jak końskie podkowy.

– Och, dzięki Bogu, panie White, przez sekundę myślałam, że pana zgubiłam!

Harry ruchem głowy wskazał drinka.

– Sekunda mi wystarczyła.

Udręczoną młodą kobietą była Jessica Michaelson. Pracowała dla CIA pod przykrywką attache kulturalnego i dostała zadanie pilnowania Harry'ego White'a do chwili jego wylotu do Stanów Zjednoczonych. Jako najniższy stopniem agent w ambasadzie miała Harry'ego na karku już prawie tydzień. Chociaż nie brała udziału w jego przesłuchaniach, musiała zajmować się nim pomiędzy spotkaniami ze starszym personelem, w tym dyrektorem placówki.

Jessica czytała raport o tym, przez co Harry przeszedł w ciągu ostatnich paru tygodni, i nawet złagodzona wersja jego doświadczeń była wstrząsająca. Ale po tygodniu z nim spędzonym żałowała go coraz mniej i miała nadzieję, że terroryści znów go porwą.

W części raportu, którą czytała Jessica, Harry własnymi, zapisanymi przez stenografa słowami opisywał, jak znalazł się pod opieką CIA.

„Właśnie uciekłem ze strzelaniny i byłem nieźle zmęczony. Śmierdziałem jak cholera, wszystko mnie swędziało. Chyba dostałem w tej celi jakichś wszy czy coś. W każdym razie, szedłem sobie i rozglądałem się za czymś, co bym rozpoznał, ale wszystkie napisy były wypisane takimi robaczkami, jakby je rysował ślepy dwulatek. A potem zobaczyłem jeden, który mogłem przeczytać, i powiem wam, że los to jednak okrutna suka. To było ogłoszenie na kościelnej tablicy ogłoszeń o spotkaniu Anonimowych Alkoholików, które miało się zacząć pół godziny po zakończeniu godziny policyjnej. Schowałem się na noc w zaułku kawałek dalej. Rano poszedłem do kościoła o wyznaczonej porze, ale

trudno było mi wejść do środka. To Święte Miasto i w ogóle, spodziewałem się, że trafi mnie piorun.

No, w końcu wszedłem i cała grupa popatrzyła na mnie, jakby się mnie spodziewali. Siedziałem przez chwilę cicho i słuchałem ich, to byli głównie Amerykanie i Brytyjczycy. Po dwudziestu minutach czekania na gniew Boży za zbezczerzenie spotkania wstałem i powiedziałem im, że nazywam się Harry i z palcami skrzyżowanymi za plecami powiedziałem, że jestem alkoholikiem. Powiedziałem, że jestem trzeźwy od kilku godzin po trzydziesto-siedmiodniowym ciągu, który zaczął się w Des Moines w Iowa, a skończył w kościele Świętego Grobu. Powiedziałem, że szczegóły tego, co było w tym czasie, są wciąż trochę nieostre. Wiem, że robiłem źle, rozumiecie. AA to moim zdaniem cholernie dobry program i robi cuda dla ludzi, którzy chcą ułożyć sobie życie, ale bardzo potrzebowałem pomocy i doszedłem do wniosku, że ci ludzie, widząc mnie w takim stanie, trochę się nade mną zlitują. Wszyscy słuchali, wręcz spijali każde moje słowo. Znali chyba swoje opowieści już na pamięć, a ja mówiłem im coś zupełnie nowego. Jeden przez drugiego zaczęli proponować wsparcie i rady. W każdym razie po spotkaniu przyszedł do mnie jeden facet, powiedział, że nazywa się Walt Hayes z Missouri, i że jest reporterem »Newsweeka«.

Walt powiedział, że pomoże mi znaleźć sposób, żeby wrócić do domu. Mówił, że ma znajomych w ambasadzie amerykańskiej. Później tego dnia zabrał mnie tam, przedstawił jakiejś attache czy komuś tam, a kiedy opowiedziałem jej swoją historię, poszczuła na mnie was, typów z CIA. Mogę teraz dostać drinka?

Przesłuchujący: Za małą chwilę, panie White. Proszę nam jeszcze raz opowiedzieć o tej kobiecie, która według pana była pielęgniarką”.

Jessica złamała kilka protokołów bezpieczeństwa i przy kolejnych kolacjach w bufecie ambasady wysłuchała opowieści Harry’ego o reszcie jego przygód, w tym jego niejasnych wspomnień o strzelaninie na Dullesa i imion kilku porywaczy.

Jej przełożeni częściowo tylko przystali na ciągłe błagania Harry’ego o alkohol i pozwalali mu na drinka codziennie po przesłuchaniu, mówiąc, że chcą, żeby był w dobrej formie na następnej sesji. Ale teraz, kiedy miał wreszcie wrócić do Stanów, dał nogę z samochodu wiozącego go z ambasady do hotelu w Tel Awiwie. Ponieważ nie był aresztowany, a ci, którzy go porwali zniknęli, CIA zgodziła się dać mu kilka godzin wolnego, pod warunkiem że będzie pod ciągłą obserwacją. W ten sposób agenci zyskali sposobność, by przekazać go agentom FBI, którzy mieli eskortować Harry’ego podczas lotu do domu.

Zaraz za Jessicą do baru wpadło dwóch innych agentów CIA, ubranych w lekkie marynarki skrywające broń. Oni też ciężko dyszelili i patrzyli na Harry’ego lekko zaszokowani, bo udało mu się zgubić ich wszystkich.

– Panie White, nie wolno panu tak robić – skarciła go Jessica. Podeszła bliżej, żeby tylko on mógł ją słyszeć. – Mamy pana chronić.

Harry odwrócił się i przyszpilił ją spojrzeniem.

– To nie moja wina, że nie nadążacie. Gdybyście mieli coś do picia w samochodzie, nie musiałbym tak szybko biec. Mów-

wielem, żebyście dali mi wóz z minibarkiem. – Rzucił uśmiech Danny'emu. – Może piwa korzennego?

– Harry, wciąż jest pan w niebezpieczeństwie – szepnęła Jessica. – Powinien się pan trzymać blisko nas, dopóki nie prze-
każemy pana pod opiekę FBI.

– Bo co? Będę miał kłopoty?

– Nie, panie White. Bo może pan zginąć.

– Eee! – Harry machnął lekceważąco ręką, a w jego chudej
dłoni jak za sprawą czarów pojawił się zapalony papieros.

Jeden z agentów poklepał Jessicę po ramieniu i wskazał sufit.

– Harry, chodźmy do przygotowanego pokoju – powied-
ział. – FBI powinno tam być za kilka minut i byłoby najlepiej,
gdybyśmy spotkali się na górze.

– Dobra – zgodził się Harry, dolewając burbona do prawie
pustej szklanki. – Tylko walnę tego ostatniego i idziemy zoba-
czyć, co ma dla mnie obsługa hotelowa.

– Panie White. Harry. Naprawdę pan uważa, że mądrze jest
upijać się przed lotem? – Jessica Michaelson nie miała dzieci,
ale matczyzny ton opanowała do perfekcji.

Harry przyznawał, że trochę się z nimi bawi. Ale zrobił
wszystko, czego od niego wymagano, i chciał bardzo niewiele
w zamian, a jego cierpliwość prawie się już wyczerpała.

– Posłuchaj, słodziutka. Przez ostatnich kilka tygodni prze-
chodziłem piekło i udało mi się z niego wydostać bez waszej
pomocy. Powiem więcej, udało mi się przeżyć bez waszej pomocy
osiemdziesiąt lat, i bywałem już w gorszych opałach niż te. Może
pamiętasz z książek do historii II wojnę światową – to ten roz-

dział, który się kończy zdjęciem atomowego grzyba. Doceniam waszą troskę, to naprawdę wzruszające, ale spóźniliście się o kilka tygodni. Obiecałem twoim przełożonym, że będę milczał na temat tego wszystkiego, kiedy wrócę do domu. Ale klnę się na Boga, jeśli powiesz jeszcze słowo, sprzedam swoją historię pierwszej z brzegu gazecie, i niech się dzieje, co chce. Wszyscy mówią, że Bliski Wschód to beczka prochu. A ja spędziłem właśnie kilka tygodni z draniami, którzy ukręcili lont i stoją właśnie nad nim z zapaloną zapalką.

Jessica zrobiła zawstydzoną minę. Nie spodziewała się takiej elokwencji.

– Pójdę z wami na górę do pokoju – ciągnął Harry – i dam się przekazać FBI, i polecę do Waszyngtonu, żeby chłopcy Dicka Henny przesłuchali mnie jeszcze raz. Ale jeśli ci się wydaje, że spędzę tych kilka godzin między wami a nimi na trzeźwo, to musisz się o mnie jeszcze dużo dowiedzieć, panno Michaelson. Spełnię swój patriotyczny obowiązek, kochanie, ale teraz akurat mam wolne.

Podniósł się ze stołka i zerknął na Danny'ego.

– Ona za mnie zapłaci. Dopilnuj, żeby dała ci porządnymi napiwek.

KLASZTOR DEBRĘ AMLAK

Mercer rozpoznał odgłos karabinu maszynowego ułamek sekundy wcześniej niż Selome. Słyszał go już wiele razy. Rzucił zwinięty koc i wychylił głowę z jaskini. Dźwięk dochodził ze szczytu urwiska, z pobliza klasztoru, ale Mercer patrzył przed siebie, patrzył na ziemię, wypatrując zwiadowców. Pustynia była nieruchoma.

– Kto to? – szepnęła Selome.

Mercer nie odpowiedział. Agenci Levine'a nie mogli ich tu znaleźć, więc strzelający bez wątpienia byli związani z Sudańczykami, którzy ścigali ich od Doliny Umarłych Dzieci. Mercer nie chciał nawet myśleć, co zrobili z Hab-tem, żeby wydobyć z niego informację o tym miejscu. Ale zidentyfikowanie terrorystów w niczym nie pomagało. Z klasztoru dobiegł terkot kolejnej serii.

Mercer szybko rozważył opcje i doszedł do wniosku, że ma tylko jedną. Nie może pozwolić, żeby mnisi zapłacili za jego wtargnięcie do ich sanktuarium. To jego obecność ściągnęła tu Sudańczyków i to on musi się ich pozbyć. Jeśli się nie uda, zamierzał się poddać i kupić tym życie kapłanów. Był pewny, że rebelianci zabiorą go do kopalni. Musiałby tylko mieć nadzieję, że znów uda mu się uciec i powstrzymać Izraelczyków.

– Zostań tutaj – rozkazał spokojnie, ale stanowczo. Skręcił w lewo tuż za wyjściem z jaskini.

– Ścieżka do klasztoru biegnie w drugą stronę!

– Wiem, ale przyszedliśmy tu z południa i tam zostawiłem plecak. Zaraz wracam.

Trzymał się nieregularnej ściany klifu. Szedł powoli, jego ubranie w kolorze khaki zlewało się z piaskowcem. Spodziewał się, że będzie musiał iść co najmniej kilometr, ale natknął się na plecak po zaledwie trzystu metrach. Pomyślał o ostatnim zryw, którym dojrzał do jaskini z Selome na plecach. Dokonał tego samą siłą woli, prawie nieprzytomny. Ale trzysta metrów? Był pewien, że niósł ją dłużej. Ten krótki kawałek kosztował go godzinę straszliwego mozółu, może najtrudniejszą godzinę w jego życiu. Uświadomił sobie, że gdyby jaskinia była kilka metrów dalej, oboje umarliby skuleni pod urwiskiem.

Księżyc świecił wystarczająco jasno, by Mercer mógł przejrzeć zawartość plecaka. Większość rzeczy była bezwartościowa, ale był tam pistolet Selome z pełnym magazynkiem. Mercer wrócił z plecakiem do jaskini, wypatrując błysku światła odbitego od broni albo twarzy na otwartej równinie. Selome czekała na niego przy wejściu do grotty.

– Tak szybko go znalazłeś? – zdziwiła się.

– Nie jestem takim supermanem, jak mi się zdawało. Leżał kilkaset metrów stąd. – Przełożył rzeczy z plecaka do kieszeni. – Wracam do klasztoru. Jeśli nie uda mi się odciągnąć terrorystów od mnichów, zamierzam dać im się złapać.

– A co ze mną?

– Nie sądzę, żeby zależało im na tobie. Pamiętaj, to ja jestem geologiem.

– Nie o to mi chodziło – odparła ostro Selome. – Co ja mam robić, kiedy ty będziesz się bawił w bohatera?

– Nie robię tego, żeby udowodnić, jaki jestem twardy. – Co za niedopowiedzenie. Mercer bał się tak bardzo, że nie mógł przełknąć śliny. – Muszę iść, a ty musisz zawiadomić władzę o tym, co się tu dzieje. Masz ruszyć na południe. Trzymaj się urwiska i ciągnij za sobą koc, żeby zatrzeć ślady. Jeśli nie przyjdę po ciebie za dwie godziny, to pewnie w ogóle nie przyjdę. Zaczekaj do zachodu słońca, zanim wrócisz do klasztoru. Załóżę się, że Sudańczyków już wtedy nie będzie.

Spojrzała na niego ze złością.

– Nawet sobie nie myśl, że się mnie pozbędziesz, Mercer. Jestem nawet bardziej odpowiedzialna niż ty. Jeśli masz jakiś plan, bierz mnie pod uwagę.

– Selome...

Przerwała mu, podnosząc głos:

– Powiedziałaś, nawet o tym nie myśl, i mówiłam poważnie. Idę z tobą. Jak powiedziałeś, jesteś geologiem, a ja jestem wyszkoloną agentką. W Asma-rze poradziłeś sobie całkiem nieźle, aleja mam większe doświadczenie, jeśli chodzi o takie sytuacje.

Już zamierzał jej powiedzieć w ilu strzelaninach brał udział, ale zanim zdążył to zrobić, noc przeszył upiorny wrzask, opadający z urwiska, głośniejszy i głośniejszy, aż nagle się urwał. Cisza, która nagle zapadła, była jeszcze straszniejsza.

Nie było już czasu na sprzeczki.

Mercer poprowadził Selome do ścieżki biegnącej do klasztoru. Jakies dziesięć metrów od miejsca, gdzie dróżka wspięła

się na skałę, na ziemi leżało ciało. Oboje wiedzieli, że to zwłoki. Otaczała je krew, wyglądająca jak rozmyty cień. Ilość krwi sprawiała, że nie było potrzeby sprawdzać, czy ofiara przeżyła upadek.

Weszli wąską szczeliną na ścieżkę i ruszyli w górę, mając klasztor nad i za sobą. Mercer czuł na plecach pytające spojrzenie Selome, ale nie miał czasu tłumaczyć jej, jaki ma plan. Wypatrując miejsca, w którym mogliby się wspiąć na położone trzydzieści metrów wyżej plateau, zastanawiał się, co zrobi, kiedy będzie już w klasztorze. Nie miał pojęcia, ilu żołnierzy przyjechało ani jak są rozmieszczeni. Jego jedynym atutem było zaskoczenie, ale nawet ono było stosunkowo mało użyteczne. Zrzucając jednego z mnichów z urwiska, terroryści powiedzieli mu, że wiedzą, gdzie jest. Czekają na niego. Mógł tylko mieć nadzieję, że zachodząc ich od tyłu, coś osiągnie.

Czteryście metrów dalej znalazł miejsce nadające się do wspinaczki. Urwisko wciąż wznosiło się niemal pionowo, ale jego powierzchnia była poorana głębokimi pęknięciami i dachówkowatymi wystęgami, dającymi oparcie rękom i nogom. Co najważniejsze, byli w sporej odległości od klasztoru i nie będzie ich słychać.

– Zaczekaj tutaj.

Mercer odsunął się od urwiska, żeby przyjrzeć się ścianie i zaplanować trasę tak, by nie znaleźć się w ślepym zaułku. Bardzo doświadczony wspinacz potrafiłby ocenić skałę w świetle księżycy, ale Mercer był w najlepszym razie wspinaczem z konieczności. Nigdy nie czuł palącej potrzeby zawisania dziesiątki

metrów nad śmiercią. Dał sobie tylko kilka minut, zapamiętując wszystkie możliwe detale, a potem wrócił do Selome.

– No i?

– Wspinając się już kiedyś?

– Nie.

– Dobra, pójdiesz pierwsza. Będę szedł za tobą i mówił, jak masz iść. – Nie może sobie pozwolić na to, żeby spanikowała i utknęła pod nim. – To wygląda o wiele gorzej, niż jest w rzeczywistości, więc po prostu rób, co ci powiem, i wszystko będzie dobrze.

– Muszę ci powiedzieć, że boję się wysokości – wyznała cichutko.

– A ja się boję pajaków i dlatego ty idziesz pierwsza. Załatwisz je dla mnie, a ja będę pilnował, żeby nic ci się nie stało. W porządku?

Jego szeroki uśmiech dał jej tę odrobinę pewności, której potrzebowała.

– W porządku.

Z początku szło im gładko. Podstawa urwiska była mniej stroma niż wyższe partie, a kamień chropowaty od erozji. Posuwali się ostrożnie, ale miarowo. Po dziesięciu metrach klif zrobił się bardziej stromy i przywarli do chłodnej skały; pustka ciągnęła ich w dół. Mercer czuł narastającą panikę Selome i dotknął lekko jej kostki, upewniając ją, że wciąż z nią jest.

– Idź bardziej w lewo – szepnął. – Jest tam komin, który powinien nas wyprowadzić sześć metrów w górę. Kończy się półką, na której odpoczniemy.

Nie dodał, że potem wspinaczka będzie trudniejsza.

Komin był wystarczająco szeroki, żeby Mercer zaparł się o jego ściany i pełzł na górę. Selome miała lepszy stosunek siły do wagi, więc wspiniała się szybciej. Dotarli do półki pół godziny po rozpoczęciu wspinaczki i położyli się obok siebie, dysząc z wysiłku.

– Ruszaj palcami, bo ci zeszywnieją – ostrzegł Mercer, ssąc zadrapaną dłoń.

– Ta, a – Jak mi idzie?

– Wspaniale.

– Ty też nie jesteś najgorszy. – Selome go pocałowała. – Gotowy?

– No pewnie – odparł. Jej pozytywne nastawienie dodało mu otuchy. – Musisz się przesunąć w prawo. Jakies dwa metry nad nami jest wąski występ skalny. Niełatwo będzie się na niego dostać, ale damy radę po nim przejść do następnej pionowej szczeliny.

Spojrzała w górę, żeby obejrzeć to, o czym mówi, ale przewieszka zasłaniała jej widok.

– Musisz mi zaufać.

Położyła dłonie na skale, oparła czubek buta w niewielkim zagłębieniu i ruszyła w górę. Przewieszka odepchnęła ją nad pustkę. Mercer usłyszał, jak Selome drapie paznokciami skałę, i serce zatłukło mu się w piersi na myśl, że spanikuje. Wolno mijały sekundy. Jedynymi odgłosami były szum lekkiego wiatru, ciężki oddech Selome i tarcie jej ubrania po skale.

– Mam – wydyszała w końcu.

Mercer ruszył za nią i po chwili znalazł się obok niej na trzydziestocentymetrowej półce. Od razu zauważył, że się przełiczył. Z ziemi półka wyglądała, jakby ciągnęła się kilkanaście metrów do następnej szczeliny, ale po paru krokach zwężała się do wąziutkiej listewki, właściwie cienia na skalnej ścianie, i rozszerzała nieco dopiero spory kawałek dalej.

Nad nimi Mercer widział kilka metrów gładkiej jak szkło skały. Nie mogą się po niej wspiąć, zejście na dół też było nie możliwe. Byli w pułapce.

– Co zrobimy? – Selome zobaczyła w oczach Mercera, że są w opałach. Zanim odpowiedział, długo patrzył na skałę.

– Będziemy musieli przeskoczyć na drugą półkę. Widzisz ten występ na wysokości piersi, tam, gdzie półka się kończy? Musisz się wychylić, złapać go lewą ręką i przehuścić na drugą stronę. Jesteś wystarczająco wysoka, żeby sięgnąć stopami tamtego występu.

– Nie ma mowy! – wykrzyknęła.

– Jeśli widzisz inne wyjście, słucham.

Selome się rozejrzała. Kamienny występ, o którym mówił Mercer, miał wielkość pięści i wystawał ze skały nie więcej jak na dziesięć centymetrów, ale można było się go złapać i jakoś przedostać na drugą półkę.

Przyciskając się barkiem do ściany, ze wzrokiem wbitym w występ zamiast w dwadzieścia metrów pustki pod sobą, Selome wyciągnęła rękę, zamykając dłoń na chwycie. Nie dając sobie ani chwili do namysłu, obciążyła rękę, aż cała wygięła się w tył. Odbiła się lekko nogami, szorując ubraniem po skale. Wylądowała

na półce prawą stopą; szybko wykręciła się tak, żeby dotknąć występu lewym kolanem. Wolną ręką złapała się skały. Puściła poprzedni chwyt i uśmiechnęła się do Mercera.

Odpowiedział jej uśmiechem i przygotował się, żeby powtórzyć jej wyczyn, kiedy obok jego głowy przeleciał kamień. Mercer spojrzał w górę. Na szczycie urwiska, na tle nocnego nieba widać było zarys sylwetki. Mężczyzna trzymał w ręku drugi kamień, a na ramieniu miał automatyczny karabin. Zobaczył spojrzenie Mercera i machnięciem kazał mu się wspinać dalej, kpiąco przerzucając kamień z ręki do ręki. Mercer złapał chwyt.

Mężczyzna spóźnił się jedną chwilę. Mercer wylądował na skalnej półce w tym samym momencie, w którym kamień przeleciał za jego plecami. Szturchnął Selome, żeby szła dalej. Tylko piętami i czubkami palców opierał się na wąskim występie. Następna pionowa szczelina była szeroka i wrzynała się w urwisko pod sporym kątem. Jeśli wespną się nią wystarczająco wysoko, mogą pełznąć dalej jak po pochylni. Nie było mowy, żeby dotarli na szczyt, zanim mężczyzna z karabinem znów ich zobaczy, ale Mercer miał nadzieję wspiąć się dość wysoko, żeby urządzić mu paskudną niespodziankę.

Pięć metrów od szczytu złapał Selome za nogę.

– Schyl się.

Przeszedł nad nią, żeby pójść przodem. Zobaczył strzelca czekającego na końcu szczeliny, z karabinem w rękach. Gdyby chciał, mógłby zastrzelić ich oboje, ale Mercer podejrzewał, że miał rozkaz wziąć ich żywych. Rzucając kamieniami, chybiał rozmyślnie. Mercer przygotował się na taką ewentualność, wy-

bierając do wspinaczki miejsce oddalone od klasztoru na tyle, by strażnik krzykami nie ściągnął posiłków. Gdyby sudański rebeliant chciał wezwać pomoc, musiałby biec do klasztoru, dając Mercerowi i Selome czas na ucieczkę.

– Leż płasko i mocno się trzymaj – szepnął Mercer.

Wspinał się stromą szczeliną jak maszyna, pracując nogami jak tłokami i posuwając się ze zwodniczą szybkością. Żałował, że nie wziął pistoletu Selome, ale strzał zaalarmowałby wszystkich w promieniu kilometra. Był gotów zrealizować plan zrodzony z desperacji. Było wystarczająco ciemno, żeby niepostrzeżenie podszedł do Sudańczyka bliżej, niż ten się spodziewa. Żołnierz zorientował się, że grozi mu niebezpieczeństwo, gdy było już za późno.

Przed opuszczeniem jaskini Mercer przymocował do młotka geologicznego pięciometrowy kawałek nylonowej linki, którą trzymał teraz pod pachą. Rączka młotka wystawała spod rozpiętej na piersiach koszuli. Kąt był niemal niemożliwy, ale Mercer wyrwał narzędzie, skręcił się do rzutu i cisnął młotkiem, trzymając wolny koniec linki. Młotek poleciał, a lina ciągnęła się za nim jak gazy wylotowe za rakieta. Rozprostowana, owinęła się wokół szyi terrorysty, a młotek wrócił gładko do nadstawionej lewej ręki Mercera. Skrętem ciała Mercer poderwał mężczyznę i przerzucił go przez siebie, puszczając linę i posyłając Sudańczyka w przepaść, kilka kroków od Selome. Afrykanin odbił się raz i przeleciał nad nią, staczając się rozpadliną, aż zaczął spadać. Jego krzyk trwał niecałe dwie sekundy.

Upuszczone przez niego AK-47 tkwiło zaklinowane za kamieniem tuż obok Mercera.

Zaczekał kilka minut, ale nic się nie działo, a kiedy wyrzwał nad skraj urwiska, zobaczył tylko pustynię. Selome dołączyła do niego kilka sekund później.

– Co teraz?

– Obawiam się, że na tym moje pomysły się skończyły – przyznał Mercer i podał Selome jej pistolet, dla siebie zatrzymując karabin szturmowy. Zatknął młotek za pasek.

W oddali mury klasztoru zalewało światło reflektorów kilku samochodów. Co jakiś czas przechodziła przed nimi jakaś postać, rzucając ogromny cień na kamienne ściany. Mercer widział co najmniej trzy ciężarówki. Obliczył, że terrorystów jest przynajmniej tuzin. W wygiętym magazynku AK mieściło się trzydzieści naboju. Każdy z nich musiał trafić w cel.

– Chyba najlepiej będzie podkraść się do nich i zaatakować, kiedy nadarzy się okazja.

– Kiedy tylko strzelimy, w kilka sekund się do nas dobiorą – zauważyła ponuro Selome.

– Cokolwiek zrobimy, musimy podejść bliżej.

Poprowadził Selome wzdłuż krawędzi urwiska. Przepaść gwarantowała, że nikt nie zajdzie ich z boku. Skalista krawędź też dawała niewielką osłonę. Trzydzieści metrów od kompleksu budynków zobaczyli co najmniej dziesięciu uzbrojonych Sudańczyków kręcących się przy samochodach. Pod klasztornym murem stało kilku mnichów. Ich ciemne twarze lśniły od potu, a w oczach malowało się przerażenie. Mercer patrzył przez

kilka minut, chcąc się przekonać, co będzie dalej i obawiając się, że już wie. Nagle terroryści stanęli na baczność. W krąg światła weszła nowa grupa, czterech mężczyzn, z czego trzech z bronią. Czwarty był nieuzbrojony i szedł swobodnym krokiem naturalnego przywódcy. Był biały! Jeden z ludzi Levine'a?

Nic nie rozumiejąc, Mercer patrzył, jak biały mówi coś do jednego z czarnych i czeka, aż jego rozkazy zostaną przekazane innym. Kilku mężczyzn wskoczyło do jednego z samochodów i odjechało. Mercer zakładał, że kierują się do podnóża urwiska w poszukiwaniu jego i Selome. Biały i kilku buntowników weszło do klasztoru, pędząc mnichów przed sobą. Inny żołnierz ruszył w stronę urwiska, świecąc wzdłuż jego krawędzi mocną latarką, chcąc wypatrzeć poszukiwanych. Odwrócił się i skierował prosto na kryjówkę Mercera i Selome. Mieli ledwie kilka chwil, zanim rebeliant znajdzie ich skulonych w ciemności.

Mercer przysunął usta do ucha Selome, tak że jego szept był niemal niesłyszalny.

– Zostań za mną.

Ruszył do przodu na brzuchu, żeby zbliżyć się do nadchodzącego Sudań-czyka, a potem wsunął w płytkie zagłębienie z młotkiem w prawym ręku, ciałem przyciskając karabin. Zaszcło mu w ustach.

Latarka oświetlała ziemię w coraz to innym miejscu. Mercer wiedział, że jeśli żołnierz skieruje ją na niego, będzie musiał się poddać, ale Afrykanin wydawał się bardziej zainteresowany tym, co jest za krawędzią urwiska. Był dziesięć kroków od Mercera, kiedy ten poderwał się i rzucił do przodu szybciej, niż żołnierz

zdążył zareagować. Jeden szybki cios młotkiem wystarczył, żeby zabić. Mercer powlókł trupa w ciemność. Cały manewr był bezgłośny.

Wrócił do Selome i poprowadził ją z dala od urwiska, okrążając szerokim łukiem klasztor tak, żeby podejść do niego z mniej spodziewanego kierunku. Jeśli biały człowiek jest izraelskim agentem, oznacza to, że on i Sudańczy-cy odłożyli na bok to, co ich różni, i połączyli siły. Mercer nie chciał nawet o tym myśleć.

A jeśli to szef rebeliantów, który finansuje ich operację? Wtedy przyszła odpowiedź. Włoch! Ktoś powiązany z kopalnią odkrytą przez Mercera, kto wrócił, żeby podjąć prace. Włoch związany z kolonialną przeszłością Erytrei nie zostałby do niej wpuszczony, ale posługując się sudańskimi najemnikami, może potajemnie eksploatować starą kopalnię przy minimalnym osobistym zaangażowaniu. Cholera, zaprowadziłem ich prosto do kopalni i jeszcze zapewniłem siłę roboczą.

Mercer pomyślał o Afrykaninie, który strzelał na lotnisku w Rzymie. Musiał pracować dla tego Włocha. Zobaczył izraelskiego agenta śledzącego Mercera, uznał go za zagrożenie jego życia i zamordował. To musiał być początek zmagania między Sudańczykami i Izraelczykami, bitwy, która znalazła dalszy ciąg pod hotelowym pokojem Mercera w Asmarze.

Mercer wciąż nie zna odpowiedzi na pytanie, skąd Sudańczycy i ich włoski szef wiedzieli o jego przylocie do Erytrei i celu tej wyprawy, ale to musi poczekać.

Kiedy zatoczyli szeroki łuk, poprowadził Selome do klasztoru. Jedną ręką trzymał jej dłoń, w drugiej niósł karabin. Przy-

czaiwszy się niedaleko zabudowań, zaczął wypatrywać Sudańczyków pilnujących tej strony – niczego nie zobaczył. Ruszyli do klasztoru, ostatnich sto metrów pokonując biegiem. Tupot ich nóg wytłumiła miękka ziemia mnisiego ogrodu. Krótką chwilę trwało znalezienie okna z otwartą okiennicą. Mercer podszedł do Selome, a potem wciągnął się sam.

Znaleźli się w mnisiej celi podobnej do tej, w której Mercer się obudził, z takim samym łóżkiem, stołem i wszechobecnym krucyfiksem. Uchylił drzwi, nasłuchując. Po klasztorze echem niesły się głosy, gniewne okrzyki i stęknienia, jakby ktoś został uderzony. Były zbyt zniekształcone, żeby je rozróżnić, ale Mercer rozpoznał język włoski. Przywołał gestem Selome, żeby też posłuchała.

– Rozumiesz, co oni mówią?

Selome skupiła się, odgarniając włosy za ucho.

– Pytają o nas ojca Efraima. Wenecki akcent. Mówi jakby był przyzwyczajony do posłuszeństwa. Za każdym razem, kiedy Efraim odpowiada, że nie wie, gdzie jesteśmy, biją chyba innego mnicha. Co robimy?

Wyraz twarzy Mercera pasował do rozpaczliwego spojrzenia Selome. Nie mogli pozwolić, żeby przesłuchanie trwało. Tego wieczoru jeden mnich już zginął.

– Będziesz musiała mnie osłaniać. Trzymaj się blisko mnie.
– Mercer otworzył drzwi, zanim Selome zdążyła zaprotestować.

Nagłe pojawienie się Mercera w korytarzu zaskoczyło Sudańczyka, który tamtędy przechodził. Mercer zareagował odruchowo i uderzył go kolbą AK-47. Drewno trafiło rebelianta w

szczękę, łamiąc kości. Na ścianę prysnęła krew z zębami. Zanim nieprzytomny żołnierz upadł, Mercer biegł już dalej. Wpadając do sali jadalnej, czuł tuż za plecami obecność Selome.

Ojciec Efraim był zgarbiony nad nieruchomą postacią jednego z braci, leżącego w kałuży krwi lejącej się z ust. Włoch stał niedaleko częściowo ukrytego Mercera, odwrócony do niego tyłem, i w ułamku sekundy, którego potrzebował jeden z Sudańczyków, żeby zareagować, Mercer podniósł AK, chwycił Włocha za koszulę i wbił mu lufę w krzyż z taką siłą, że mężczyzna prawie padł na kolana.

– Mahdi! – wykrzyknął Włoch.

Jeden z Sudańczyków podniósł pistolet, kciukiem odciągnął spust i wymierzył broń w czoło Mercera.

– Selome! – zawołał Mercer, a ona wpadła do pomieszczenia, celując w Mahdiego z zimnym opanowaniem. – Niech ktoś jeszcze podniesie broń, przyjacielu, a twoje flaki przyozdobią ściany – wycedził Mercer.

Podjeżdżał, że jego jeniec mówi po angielsku, ale podkreślił swoje słowa, wbijając mu lufę karabinu w kręgosłup.

– To się chyba nazywa remis, prawda? – powiedział spokojnie Giancar-lo Gianelli, bez śladu strachu w głosie. – Pan pozwoli, że zakończę tę scysję, doktorze Mercer.

Rozległ się strzał, ostry trzask, i jakaś siła rzuciła bratem Efraimem o ścianę. Z pistoletu trzymanego przez Gianellego tak, że Mercer go nie widział, uniosła się smużka dymu.

– Proszę bardzo, niech pan strzela, doktorze. Żaden z nas nie ma nic do zyskania, stojąc bezczynnie.

Efraim oddychał płytko, jego twarz przybrała nienaturalny szary kolor. Obiema dłońmi ścisnął wielką ranę na brzuchu, krew przelewała mu się przez palce.

– Jest tu jeszcze tuzin mnichów – ciągnął spokojnie Gianelli. – Daję panu słowo, że nie przeżyją pięciu sekund, jeśli mnie pan zabije.

Gianelli rozegrał to tak szybko, że Mercer nie miał wyboru. Może zabić Włocha, ginąc przy tym i skazując na śmierć Selome, nic nie zyskawszy. Może też opuścić broń i liczyć na inną sposobność. Od początku wydawało mu się, że jest o krok za innymi graczami i znów tak było.

Mahdi prychnął, kiedy Mercer uwolnił Gianellego. Jego pogardliwy grymas powiedział Philipowi, że Sudańczyk wołałby samobójczą strzelaninę. Selome opuściła pistolet i rzuciła go na ziemię. Upadł z metalicznym szczękiem. Podeszła do Efraima i uklękła przy nim, kładąc sobie jego głowę na kolanach. Gianelli nie próbował powstrzymać Mercera, który ukląkł obok niej. Jeden z Sudańczyków zabrał pistolet Selome i AK-47.

– Przepraszam – wyszeptał Mercer do umierającego, świadomy, jak pusto to zabrzmiało.

Efraim umierał na ich oczach. Kiedy przemówił, jego głos był jękiem mokrym od krwi.

– Dzieci – przetłumaczyła cicho Selome. – Dzieci, które umarły w kopalni. Zabił je...

Ostatnie słowo mnicha nie było nawet szeptem.

– Co on powiedział?

– Nie jestem pewna. Nie dosłyszałam.

– Dość już zmarnowaliśmy czasu – powiedział Giancarlo. Mahdi i drugi Sudańczyk siłą postawili Selome i Mercera na nogi. – Doktorze Mercer, szukaliśmy pana przez ostatnich dwa dni. Musi pan odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących tej starożytnej kopalni.

Mercer domyślił się, że Włoch dokończył prace rozpoczęte przez Hab-tego. Otworzyli kopalnię króla Salomona, ale przypuszczalnie nie domyślili się, czym ona jest. To dawało mu przewagę, jeśli miał nadzieję powstrzymać Levine’a. Wiedział, że jeśli chce utrzymać siebie i Selome przy życiu, musi stać się niezastąpiony.

– Powiem panu, co chce pan wiedzieć. – Ton pełen gorzkości porażki przyszedł mu bez większego trudu.

– Wiem o tym.

– Ale niech mi pan najpierw powie, kim pan jest?

– Nazywam się Giancarlo Gianelli i to mój stryj wydrążył jałowy szyb, który pan odkrył. – Gianelli pokręcił głową. – Biedny Enrico wiedział, że w tej okolicy są diamenty, ale pomylił się o kilka kilometrów i zaczął kopać w złym miejscu. Ale dawno temu ktoś inny odkrył komin kimberlitowy i sądząc po chodnikach, które zbadaliśmy, zanim po pana przyjechaliśmy, eksploatował je przez wiele lat. A teraz przyszła pora, żebyśmy przejął spuściznę stryja, któremu się nie udało, a pan mi w tym pomoże.

Mercer zrozumiał, dlaczego zginęły dzieci, co chciał powiedzieć Efraim. Widział to w całej osobie Giancarla Gianellego – czaiło się za jego powierzchowną uprzejmością jak potwór. Grzech, jeden z głównej, zabójczej siódemki – chciwość.

DOLINA UMARŁYCH DZIECI PÓŁNOCNA ERYTREA

Udpowiedzi na dziesiątki pytań wirujących Mercerowi w głowie musiały poczekać, aż ciężarówki Giancarla Gianellego wróciły do kopalni. Siedział na pace jednej z nich z sześcioma uzbrojonymi po zęby Sudańczykami, podczas gdy Selome jechała na tylnym siedzeniu innej, razem z samym Gianellim. Miał nadzieję, że bliskość Włocha ochroni ją przed lubieżnymi zakusami najemników i że magnat jej nie wykorzysta.

Mercer słyszał o Gianellim. Nazwisko to od wieków było synonimem europejskiej finansjery, prawie tak samo jak nazwisko Rothschild. Nie przypominał sobie, ile europejskich wojen Gianelli sfinansowali, ale większa część ich fortuny była splamiona krwią dziesiątek tysięcy ludzi. Pamiętał, że popierali ruch faszystowski w latach dwudziestych i trzydziestych, a po II wojnie światowej znaleźli się pod ochroną Stanów Zjednoczonych z powodu swojego zacieklego antykomunizmu. O obecnej głowie rodu wiedział niewiele ponad to, że w żyłach Giancarla płynęła ta sama ambicja, która uczyniła Gianellich tak potężnymi.

Był późny ranek, kiedy konwój wjechał do Doliny Umarłych Dzieci. Minęli otwarty szyb wydrążony przez przodka Gianellego i pojechali do starożytnej kopalni. Kiedy się zatrzymali, jeden z Sudańczyków podniósł tylną płachtę i zeskoczył na ziemię, trzymając Mercera na muszce, kiedy ten robił to samo. Mercer

nie wiedział, ile dni minęło od jego wyjazdu, ale osłupiał na widok postępu prac.

Jego uszy potrzebowały chwili, by przyzwyczaić się do odgłosów prac ziemnych. Oprócz wielkiego generatora huczącego niedaleko kopalni Gianelli miał dwa buldożery, kilka ładowarek Bobcat, koparkę Caterpillar, którą przywiózł Mercer, i maszynę wiertniczą Ingersoll-Rand do pobierania próbek złóż. Jazgot pracującego sprzętu, zwielokrotniony przez echo odbijające się od otaczających gór, zmieniał się w ogłuszający huk, wstrząsający zapyłonym powietrzem. Pośrodku tego wszystkiego Mercer zobaczył około pięćdziesięciu Afrykanów – uchodźców erytrejskich – harujących ze szpadlami, oskardami i trzciniowymi koszami.

Nie mógł uwierzyć, ile gruzu udało im się wykopać. Góra, którą on i Hab-te wysadzili, została rozryta przez maszyny i wybrana przez Afrykańczyków kosz po koszu. Kopalnia, o której mówił brat Efraim, została odsłonięta -ciemna sztolnia wpuszczona w skalne zbocze. Otwór był wystarczająco duży, by mogła się w nim zmieścić mała ładowarka, wywożąca na zewnątrz gruz. Kierowca wysypywał go na hałdę, a grupa ludzi rękami ładowała go do koszy noszonych na głowach.

Mercer pomyślał o ciężkim sprzęcie, który miał tu niedługo dotrzeć, o maszynierii wypożyczonej albo kupionej w imieniu erytrejskiego rządu. Sama koparka mogła przenieść taką objętość urobku w godzinę. Ale i tak wyniki Erytrejczyków były niewiarygodne.

Strażnik szturchnął go lufą karabinu, popychając w stronę Gianellego, czekającego przy wejściu do sztolni. Mercer zobaczył, jak jeden z najemników, rozdrażniony wolnym tempem jakiegoś Erytrejczyka, powalił go na ziemię. Ciężki kosz ze zwierem i kamieniami zwałił się nieszczęśnikowi na pierś. Żołnierz kilka razy kopnął bezbronnego mężczyznę, a potem wrócił do obserwowania pozostałych. Żaden z robotników nie przyszedł rodakowi z pomocą. Wszyscy chcieli przeżyć.

Wróciła era niewolnictwa.

– Co pan o tym sądzi, doktorze? Imponująca praca, prawda?!
– zawołał Gianelli. Obok niego stała Selome i jeszcze jeden biały mężczyzna, zwalisty, o potężnych barach i brzuchu.

– Aha, i na pewno związki zawodowe mają problem z werbowaniem nowych członków spośród pana pracowników.

Gianelli się roześmiał.

– Chciałbym panu przedstawić Joppiego Hofmyera, mojego sztygara. Joppi, to jest Philip Mercer, słynny amerykański inżynier górnictwa.

Żaden z nich nie wyciągnął ręki do drugiego, ale mina Joppiego zdradzała, że słyszał o Mercerze. W jego ciemnych oczach błysnął respekt.

– Zanim opowie mi pan, co wie o tej kopalni – powiedział lekkim tonem Gianelli – może pana oprowadzę? Sam jestem ciekaw, jakie poczyniono postępy pod moją nieobecność.

Wylot sztolni miał dwa metry wysokości i mniej więcej tyle samo szerokości. Dach bobcata tarł o jej sklepienie, kiedy ładowarka wyłoniła się z ciemności. Joppi rozmawiał przez chwilę

z białym kierowcą i tamten wyłączył silnik. Gianelli i Hofmyer dostali od jednego z Sudańczyków pilnujących sztolni górnicze hełmy z latarkami. Selome i Mercer nie.

– Udało nam się usunąć ze sztolni kolejnych sześć metrów odpadu – zameldował Hofmyer. – Ale im głębiej się posuwamy, tym bardziej gruz jest upakowany. Zupełnie jakby ci, którzy zamknęli kopalnię, chcieli mieć pewność, że nikt jej nigdy nie otworzy. Niedługo będziemy musieli wysadzać kamienie i żwir.

– Jakies odchylenia od kierunku sztolni? Znaleźliście odgałęzienia czy komory?

7W

– Cały czas idzie prosto jak po sznurku i opada w dół pod kątem jakichś piętnastu stopni. Chyba lepiej będzie, jak resztę pan sam zobaczy.

Kilka metrów od wejścia Hofmyer i Gianelli zapalili latarki na kaskach. Światło rozcięło mrok, ale chodnik był nieprzyjemnie ciemny, a powietrze gęste i cuchnące od spalin ładowarki. Sufit wisiał tak nisko, że Mercer musiał się zgarbić, idąc z Selome za Włochem i górnikiem z RPA. Za nimi kroczyli dwaj Sudańczycy z pistoletami.

Szli tak przez ponad piętnaście minut. Mercer oceniał, że chodnik ma co najmniej dwa kilometry długości. Hofmyer i Gianelli maszerowali prosto przed siebie, ale on przyglądał się skalnym ścianom i sufitowi w podskakującym świetle latarek,

zatrzymując się, kiedy jego uwagę zwróciło coś szczególnego. Ru-
szał dalej dopiero, gdy szturchał go jeden z dwóch partyzantów.

– Czego szukasz? – szepnęła Selome.

– Drogi ucieczki – odparł zagadkowo.

Selome obejrzała się za siebie, ale zobaczyła tylko bezkresny
korytarz.

Chodnik kończył się na półce zawieszonej nad dnem ol-
brzymiej sklepionej komory, stworzonej miliony lat temu przez
naturalny proces formowania się komina kimberlitowego. Roz-
topiona magma wzniosła się na ten poziom, a potem ostygła i
stwardniała. Diamentonośny materiał, wstrzyknięty w stumetro-
wej średnicy kopułę, z czasem osiadł, opuszczając dno jaskini, aż
jej sklepienie znalazło się piętnaście czy więcej metrów nad ich
głowami. To było główne wyrobisko starożytnej kopalni. Dno
groty było podziurawione przez żarłoczny apetyt człowieka na
diamenty.

Niedaleko miejsca, gdzie do jaskini wpadał chodnik, warczał
generator, zasilający halogeny na trójnogach oświetlające każdy
metr kwadratowy komory. Starożytni górnicy podzielili ją na
kwadraty, prawdopodobnie po to, żeby móc lepiej kontrolować
postępy pracujących tu niewolników. Większość podłóża była
równa, ale niektóre fragmenty pogłębiono bardziej niż inne,
wyglądało więc jak trójwymiarowa szachownica. Niektóre z
zagłębień niknęły w cieniu pod skalną półką, na której stali
Mercer i pozostali. Mercer nie potrafił nawet zgadnąć, ile ton
urobku stąd wywieziono. Równie dobrze cała komora mogła
być kiedyś litą skałą. Ale zaczynał dochodzić do wniosku, że

czterysta lat działania kopalni, o których mówił brat Efraim, było szacunkiem zanizonym.

– Mój Boże! To niebieska skała! – sapnął Gianelli, patrząc na Hofmyera i szukając potwierdzenia. Wielki Afrykaner pokiwał głową.

Niebieska podłoga jaskini składała się z twardej diamentonośnej skały. Nie było sposobu, by stwierdzić, jaki jest stosunek odpadu do diamentów bez pobrania i analizy próbek, ale można było powiedzieć, że stoją na fortunie. Mercer przypomniał sobie pokruszone kawałki kimberlitu, które odkrył niedługo przed wyjazdem do klasztoru, to, jak dokładnie je przesiano, by nie przeoczyć ani karata. To był dowód wartości urobku. Tak, pomyślał. Fortuna. Należąca do mieszkańców Erytrei. Wiedział, że jeśli czegoś nie zrobi, ta fortuna wpadnie w ręce Gianellego. Ukrył swój gniew pod maską spokoju, ale kosztowało go to wiele wysiłku.

– Znaleźliśmy ją przedwczoraj. Ludzie dostali niezłe w dupę, żeby ją oczyścić przed pana przyjazdem. – Głos Hofmyera wyrwał Gianellego z osłupienia. – Ten, kto tu pracował na początku, bardzo dobrze sobie poradził z zasypaniem tego wszystkiego. Po przeciwnej stronie tej komory być może będziemy musieli użyć materiałów wybuchowych, żeby usunąć zwalone tam kak.

– Jak głęboko sięgają te pionowe szyby w podłożu? – spytał Mercer.

– Kazałem paru kaffirs jeden przekopać, wyciągnęli dziesięć metrów odpadu i nie dokopali się do dna.

– Żyła w kimberlicie?

– Też tak pomyślałem – odrzekł Hofmyer. – Musieli wtedy trafić na wyjątkowo bogate złoża i wgrzyźli się w nie jak psy.

– To lepsze niż cokolwiek, na co mogłem mieć nadzieję – sapnął Ganiel-li. Odwrócił się do Mercera. – A teraz niech mi pan opowie o tej kopalni.

Mercer poczuł, że Selome obok niego zeszywniała. On też nie miał ochoty nic mówić Włochowi, ale wiedział, że musi, jeśli chce, by oboje przeżyli.

– Kopalnia została otwarta około trzech tysięcy lat temu.

– Nie bądź śmieszny! – wybuchł Hofmyer. – Rozejrzyj się. Tylko maszyny mogły się wkopać tak głęboko. Ta komora nie może mieć więcej niż sto lat.

– Zapewniam was, że to starożytne wyrobisko. – Mercer powstrzymał złośliwy uśmiezek, patrząc na Hofmyera. No, dalej pokazuj swoją ignorancję, dumny bydlaku. – Przed wyprawą do klasztoru znalazłem tu kamienny młotek. Był bardzo poobłupowany i wyglądał, jakby wyrzucono go razem z odpadem. Znajdźcie go w skórzanej torbie w moim namiocie. Wątpię, żeby górnicy z dostępem do maszyn używali narzędzi z epoki kamienia. Co więcej, przyjrzyjcie się samemu chodnikowi. Został wydrążony techniką sprzed tysięcy lat. Sądząc po teksturze ścian i sufitu, kopanie go musiało być diabelnym wysiłkiem. Jeśli przyjrzyjcie się uważnie, zobaczycie jeszcze pęknięcia pozostałe po tym, jak pierwsi górnicy ogniem rozgrzewali skały, a potem polewali je zimną wodą i kwasem octowym. Różnica temperatur rozsadzała skałę i można było wywieźć gruz. Nie byłbym zaskoczony, gdyby każde pół metra tej sztolni oznaczało dzień

pracy albo więcej. Sam ten chodnik to moim zdaniem jakieś dwadzieścia pięć lat pracy.

– Czy to możliwe? – spytał Giancarlo sztygara.

– Ja, być może – mruknął Hofmyer.

– Nie być może, tylko na pewno. Nie czytałeś nigdy relacji Pliniusza o kopalniach złota w Asturii w Hiszpanii? – Mercer wąpił, by Hofmyer kiedykolwiek słyszał o rzymskim historyku. – Nazwał je „zniszczeniem góry”. Zaczynając około 25 roku przed naszą erą, Rzymianie zmusili dziesiątki tysięcy niewolników do wykopania sztolni w głąb góry Las Medulas przy użyciu techniki, którą właśnie opisałem. Na szczycie skonstruowano olbrzymie zbiorniki i kanały, a potem napełniono je wodą. Kiedy wydrążono wystarczająco dużo przecinających się tuneli – a mówię tu o całych kilometrach – można było je zalać. Ciśnienie hydrostatyczne wody dosłownie rozsadziło górę, a złotonośna ziemia została wymyta na równinę, gdzie łatwo było ją zebrać. Rzymianie pracowali na tej górze przez dwieście lat, zmieniając krajobraz na zawsze, i wydobyli złoto warte w przybliżeniu dwanaście miliardów dolarów. Uwierzcie mi, tę kopalnię stworzono w podobny sposób i to o wiele wcześniej.

Mercer rzucił Gianellemu mordercze spojrzenie.

– W ten sposób dochodzę do najważniejszego dowodu. Mnich, którego pan wczoraj zastrzelił, powiedział mi, że zna tę kopalnię z jednego z ich tradycyjnych pism, księgi zaginionej dawno temu. Jej przekaz ustny jednak się zachował. – Mercer miał nadzieję, że wplata w fikcję wystarczająco dużo faktów, by zadowolić Gianellego. – Powiedział, że ta kopalnia działała przez

setki lat, aż wróg zaatakował. Ludzie, którzy tu kopali, woleli ją zasypać, zamiast pozwolić, żeby wpadła w obce ręce.

– Mój Boże, to brzmi jak opowieść o kopalni króla Salomona – sapnął Gianelli.

– Może, nie wiem. – Włoch zanadto zbliżył się do prawdy i Mercer musiał go jakoś zmylić. – Możliwe, że to było właśnie źródło tej legendy, ale jak na pewno może panu powiedzieć tu obecny Japi, w Afryce jest mnóstwo miejsc, o których mówi się to samo.

Joppi Hofmyer warknął, słysząc zniekształcone imię.

– Fascynujące – powiedział Gianelli. Widać było, że jego więzień robi na nim większe wrażenie niż człowiek, którego wynajął do otwarcia kopalni.

Mercer to zauważył i zaczął obracać na własną korzyść.

– Jeśli wolno mi coś zasugerować... Mówił pan o stosowaniu ładunków wybuchowych w tej komorze. Nie robiłbym tego. Ta kopała może się wydawać solidna, ale o ile nie macie mat antywybuchowych, żeby skierować falę uderzeniową w chodnik, możecie się w przykry sposób przekonać, że wcale tak nie jest.

– Mamy maty antywybuchowe? – spytał Joppiego Giancarlo.

– Nie, proszę pana, ale sprowadzenie ich z Chartumu zabierze tylko kilka dni. – Hofmyer był wściekły, że jego autorytet został tak łatwo podważony.

– A skoro już się tym zajmujecie – ciągnął Mercer, swobodnie przejmując kontrolę nad rozmową – widziałem na zewnątrz, że zamierzacie przesiać pierwotny odpad w poszukiwaniu diamentów przeoczonych przez tamtych górników. Opuśćcie sobie.

Odpad, który badałem, został pokruszony tak drobno, że o ile nie macie przenośnego fluoroskopu, to będzie całkowita strata czasu i siły roboczej, której raczej nie macie na zbyciu.

Hofmyer spojrzał na Mercera z taką nienawiścią, że wyglądało, jakby chciał się na niego rzucić. Przesiewanie odpadu było jego pomysłem.

– Brzmi logicznie – przyznał Giancarlo, rozbawiony grymasem frustracji na twarzy swojego sztygara. – Gdybym ja zadał sobie tyle trudu, żeby wydobyć urobek, też bym się upewnił, że nie przeoczyłem ani jednego kamienia. – Uśmiechnął się. – Sprowadzenie pana tutaj było dobrym pomysłem. Myślę, że równie dobrym będzie, jeśli pana przy sobie zatrzymam. Na razie będzie pan moim wodzem niewolników.

Przez ułamek sekundy myśli Mercera odbijały się na jego twarzy, ale na szczęście Gianelli patrzył w inną stronę. Mercer nie chciał, żeby Włoch zobaczył nienawiść i determinację w jego oczach. Jedno i drugie zachowywał dla siebie, wiedząc, że pomogą mu we właściwym momencie. Nazwano go niewolnikiem i niewolnikiem będzie. Aż do chwili, kiedy obejmie rękami gardło Gianellego i wycisnie z sukinsyna życie.

KOPALNIA

Minęły dwa tygodnie. Dwa tygodnie, podczas których Mercer widział człowieka załuczonego na śmierć i innych, umierających z wyczerpania. Dwa tygodnie, w czasie których ludzie i maszyny pracowali bez odpoczynku, wy-szarpując kimberlit z jądra ziemi kilofami, młotami pneumatycznymi i gołymi rękami. Dwa tygodnie, podczas których sam zmuszał się do bezlitosnego wysiłku.

Gianelli i Joppi Hofmyer zorganizowali pracę tak, że uchodźcy, w tym Mercer i Habte, pracowali na dwunastogodzinne zmiany, z dziesięciominutowymi przerwami co dwie godziny na coś do zjedzenia i skromne porcje wody. Nie było to tempo, które mogło zabić zdrowego dorosłego, ale wielu uchodźców dotarło do kopalni skrajnie wyczerpanych i dla kilku starszych osób wysiłek okazał się zbyt wielki. Ze względu na swoje doświadczenie Mercer został mianowany sztygarem zmianowym. Nadzorował go jeden z Afrykanerów nazwiskiem du Toit. Prac pilnowało także co najmniej dziesięciu uzbrojonych Sudańczyków. Komora rozbrzmiewała echem przypominającego serie z broni maszynowej trajkotu pneumatycznych młotów, ogłuszającego ryku walki człowieka ze skałą. Całości robót nie dało się ogarnąć. Powietrze było gęste od kurzu i spalin, a górnicy pokryci taką warstwą brudu, że trudno było odróżnić czarnego od białego. W sztolni zainstalowano elastyczną rurę wentylacyjną z szyb-

koobrotowymi wiatrakami, ale w niewielkim stopniu usuwała kurz czy niewiarygodne gorąco w komorze.

Biorąc przykład z brytyjskich jeńców wojennych, którzy zbudowali most na rzece Kwai, Mercer oddał się wydobywaniu kimberlitu najlepiej jak potrafił. Silnych i odpornych uchodźców wyznaczył do pracy z młotami i świdrami. Nauczył ich podstaw obsługi tych maszyn i kilku sztuczek, które miały ułatwić im pracę. Innym dał kilofy i łomy, jeszcze innym kazał wynosić urobek na powierzchnię, gdzie kolejni ludzie rozłupywali go w poszukiwaniu ukrytych w nim diamentów.

A znaleźć je nie było trudno. Tutejszy kimberlit był najbogatszym złożem, jakie Mercer widział. Chociaż nie wpuszczano go do strefy zamkniętej, gdzie kruszono urobek i w sejfie przechowywano diamenty, dowiedział się dość, by wywnioskować, że kopalnia dawała ponad dwanaście karatów z tony, co było wartością astronomiczną. Miał okazję zobaczyć kilka kamieni jeszcze w wyrobisku. Z początku Erytrejczycy nie mogli się nadziwić wartości małych symetrycznych kryształków, które Mercer im pokazywał, bo dopóki diamentu się nie wytnie i nie oszlifuje, nie widać jego wewnętrznego ognia. Największy kamień, który Mercer widział osobiście, ważył dwadzieścia karatów, ale dochodziły do niego plotki o kamieniu potworze, podobno wielkości męskiej pięści, znalezionym przez jedną z kobiet przesiewających urobek.

To właśnie w komorze jeden ze strażników pobił Erytrejczyka na śmierć. Nie było wiadomo, czy uchodźca złamał jedną z licznych zasad Hofmyera, czy młody Sudańczyk zrobił to jedynie

dla rozrywki. Dla ofiary powód nie miał znaczenia ani też dla tych wszystkich, którzy widzieli, jak żołnierz kolbą karabinu rozłupuje tamtemu czaszkę.

Kiedy to się stało, Mercer miał akurat przerwę, i zerwał się na równe nogi po pierwszym ciosie. Habte stał obok niego. Zobaczył, na jakie niebezpieczeństwo Mercer zamierza się narazić, i złapał go za nogi, przewracając na ziemię.

– Nie, Mercer. Nie rób tego. Ten człowiek już nie żyje, a ty tak – szepnął. – Na wojnie nauczyłem się, że żaden bohaterski czyn nie jest wart życia.

Bicie trwało co najmniej minutę, a kiedy się skończyło, du Toit rozkazał ludziom wracać do pracy. Trup leżał na ziemi do końca zmiany. Robotnicy z szacunkiem odwracali wzrok, kiedy go mijali.

Wydobycie trwało dwa tygodnie. Nieprzerwany łańcuch mężczyzn objuczonych kosztami kimberlitu wychodził sztolnią na powierzchnię i wracał do wyrobiska po więcej. Pod koniec drugiego tygodnia Mercer zrozumiał, że Gianelli zamierza zaharować ich wszystkich na śmierć nie tylko po to, żeby zapewnić sobie ich milczenie, ale też mieć pewność, że w wyznaczonym sobie terminie znajdzie wszystkie diamenty, jakie się da.

Późno w nocy, kiedy Mercer i Habte leżeli na ziemi w zagrodzie z drutu kolczastego, gdzie mieszkali, wymyślali teorie na temat pośpiechu Gianelle-go. Habte utrzymywał, że Włoch boi się odkrycia kopalni przez kogoś innego, kto zgłosi to władzom w Asmarze, ale Mercer podejrzewał, że za morderczym tempem kryje się coś innego.

– Habte, bądź rozsądny – powiedział. – Kiedy szukaliśmy tego miejsca, nie widzieliśmy ani żywej duszy, a nomada w Badn mówił, że wszyscy unikają tej okolicy z powodu jakiegoś przesądu. Do tego nie zapominaj, że pola minowe są cholernie dobrym środkiem odstrasającym. Cholera, nie widziałem nawet, żeby przelatywał tu jakiś samolot.

– To wszystko prawda – wymamrotał Habte ze znużeniem, odwracając się, żeby wyłuskać ostry kamień spod pleców. – Ale dlaczego Gianelli tak nas goni?

– Nie wiem – przyznał Mercer, zbyt zmęczony, żeby się nad tym zastanawiać.

Dręczyło go to od samego początku operacji wydobywczej, ale w nocy musiał skupiać całą wolę, żeby zjeść rzadki gulasz przyrządzony przez żony uchodźców.

Inną sprawą niedającą mu spokoju było bezpieczeństwo Selome. Nie udało im się porozmawiać. Znajdowała się w innym obozie z resztą kobiet, zmuszona do gotowania dla robotników, zniewolona tak samo jak Mercer. Za każdym razem, kiedy ją widział, odbierając jedzenie, starał się uśmiechać i robić dobrą minę do złej gry, ale wiedział, że w jego oczach widać troskę. Widział, że Selome kilka razy ktoś uderzył, bo na twarzy i ramionach miała fioletowe sińce. Każdej nocy Mercer i inni słyszeli, jak strażnicy wywlekają z zagrody kilka kobiet dla własnej przyjemności. Nie wiedział, czy Selome została podobnie potraktowana, a świadomość, że nie może pomóc jej ani innym, zżerała go jak rak.

Rankiem piętnastego dnia jego niewoli niebo było ciemne od burzowych chmur. Ukryte za nimi słońce nie rzucało nawet cieni. Mężczyźni czekający w kolejce po śniadanie trzęśli się żałośnie w wilgotnym chłodzie.

– Przed zachodem słońca spadnie deszcze – rzekł Habte, wyciągając cynowy talerz po porcję nieszczęsnego gulaszu.

– Jeśli mamy spróbować uciec – odparł Mercer, upewniając się najpierw, czy żaden ze strażników go nie usłyszy – musimy to zrobić wkrótce. Wątpię, czy dadzą nam namioty, a w deszczu uchodźcy nie wytrzymają dłużej niż dzień czy dwa.

– My też nie – stęknął Habte. – Masz jakiś plan?

Mercer nie zwrócił uwagi na słowa przyjaciela. Patrzył na kobiety przy ogniskach do gotowania, czekając, aż Selome się odwróci, żeby móc posłać jej uśmiech. Kiedy się obejrzała, zobaczył, że zmęczenie przygięło jej zawsze O/1/1 wyprostowaną postać i przytępiło spojrzenie. Przyjrzał się jej i zobaczył dawną dumę wyzierającą z oczu. Przywołał ją ukradkowym gestem.

Rozejrzała się, a potem postawiła sobie tacę z indzerą na głowie i ruszyła do długiego stołu na kozłach, służącego za bufet. Była tak wychudzona, że przez materiał jej spodni Mercer widział sterczące biodra. Nie patrząc mu w oczy, postawiła tacę na stole.

– Dziś w nocy uciekamy – szepnął Mercer z mocą. Wściekłość ułatwiła mu decyzję. – Bądź gotowa dwie godziny po końcu zmiany.

– Nie uda nam się. Strażnicy dopadną nas, kiedy tylko zaczniemy uciekać z obozu. Nie byłoby mądrzej, gdybyś uciekł sam i sprowadził pomoc z jakiejś wioski?

– Dotarcie do jakiejś miejscowości zajmie tydzień, a robotnicy nie przeżyją tu następnych dwóch dni. Poza tym nie uciekniemy z obozu. Zaufaj mi, mam pomysł. Wariacki, strasznie niebezpieczny, ale musimy spróbować.

– Będę gotowa. Udało mi się nawet zebrać dla nas trochę wody i jedzenia.

Pobita, być może zgwałcona, zachowała iskierkę nadziei. Mercer rozpaczliwie pragnął jej dotknąć. Serce mu się ścisnęło, a w żyłach popłynęła adrenalina, kiedy pomyślał o jej odwadze. Dodawała mu sił.

– Do zobaczenia wieczorem.

Robotnicy mieli tylko dziesięć minut na jedzenie, zanim pędzono ich do kopalni. Chociaż na powierzchni nocą wszystkie prace ustawały, żeby oszczędzać paliwo do generatorów, pod ziemią pracowano przez okrągłą dobę. Wychodząca zmiana minęła ludzi Mercera w tunelu. Wszyscy wbijali wzrok w ziemię, zbyt zmęczeni, żeby zauważać, że minął kolejny dzień.

Mercer niewiele mógł zrobić przed zachodem słońca. Kazał tylko Habte-mu uprzedzić tylu robotników, ilu się da. Grupa uciekających musi być niewielka, żeby mieć jakieś szanse, ale Mercer chciał, żeby wszyscy wiedzieli, co się dzieje, w nadziei, że jeśli włączą się do działania, pomogą zwiększyć zamieszanie.

Ale pech, który go prześladował, dał o sobie znać. Joppi Hofmyer pracował w kopalni i po dwóch tygodniach znoszenia

szpil wbijanych przez Mercera był gotów się zemścić. Kiedy tylko Mercer zszedł do szybu, w którym pracował zaledwie kilka godzin temu, Hofmyer zawołał:

– Mercer, przywlecz tu swoje dupsko!

Najwolniej jak mógł Mercer wspiął się po sznurowej drabince z dna szybu do jaskini. Zaryzykował rzut oka w długi tunel prowadzący do wolności, a potem odwrócił się do Afrykanera.

– O co ci chodzi? Znow będzie lekcja górnictwa?

– Zgadza się, to będzie lekcja. – Hofmyer przysunął się tak blisko, że Mercera owionął jego nieświeży oddech. – Gianelli pojechał gdzieś na cały ranek, więc będę miał parę godzin na wymyślenie tłumaczenia, dlaczego dzisiaj zdechłeś.

Hofmyer był kilka lat starszy od Mercera, ale nie działało to bynajmniej na jego niekorzyść. O pół głowy wyższy i dobre trzydzieści kilo cięższy, miał szersze bary, pierś jak beczka, a pięści niczym młoty do wbijania mostowych pali. Na kłykciach krzyżowały mu się zygzaki białych blizn. Joppi Hofmyer był w szczytowej formie, a Mercer na krawędzi wycieńczenia.

Wiedząc, że pierwszy strzał będzie prawdopodobnie jedyny, Mercer uderzył. Brak sił spowolnił cios, ale Hofmyer dał się zaskoczyć. Pięść Mercera wyrznęła go w zęby, łamiąc dwa z nich i rozcinając wargi, tak że popłynęła krew. Hofmyer zatoczył się w tył, bardziej zaskoczony nagłym atakiem niż z bólu.

Robotnicy przestali pracować, żeby obejrzeć przedstawienie. Nawet Su-dańczycy zrobili się mniej czujni. Hofmyer wyszczerzył się do Mercera, ukazując połamane zęby i pokaleczone dziąsła.

– Tak trzymać – powiedział niewyraźnie i splunął, żeby oczyścić usta.

– Będzie o wiele zabawniej, gdy będziesz się stawiał.

Mercer przyjął pozycję obronną i przygotował się do walki na śmierć i życie. Tak jak się spodziewał, Hofmyer zaatakował wyprostowany, z rozłożonymi rękami. Był tak bardzo przyzwyczajony do pokonywania przeciwników samą swoją masą i siłą, że nigdy nie nauczył się subtelnych sztuczek walki wręcz. Mercer miał nadzieję, że wie dość, by chociaż przeżyć łomot, jaki go czeka. Nie miał złudzeń, że wygra.

Pierwszy cios Hofmyera chybił go o włos, ale drugi trafił, wypychając mu powietrze z płuc. Mercer poczuł się jak trafiony kijem baseballowym, a cios został zadany z bliska, jedynie z ułamkiem siły Hofmyera. Afrykaner znów się zaśmiał, markując ciosy, przed którymi Mercer musiał się uchylać. Nawet otarcie się o pięść olbrzyma rzuciłoby go na ziemię.

Przez dziesięć minut Joppi Hofmyer zadawał ciosy, niektóre celne, niektóre nie. Mercer zdołał wyprowadzić tylko jedną kontrę, słaby sierpowy, od którego bardziej zaboląła go ręka niż Hofmyera skroń, gdzie trafił. Erytrejscy robotnicy, którzy dopingowali go na początku walki, ucichli, widząc, że nie jest w stanie się obronić. Wzdragali się przy każdym ciosie, który na niego spadał, bo żaden człowiek nie mógł wytrzymać takiego brutalnego starcia.

Ale Mercer nie bez powodu pozornie się nie bronił. Za każdym razem, kiedy Joppi go atakował, przesuwał się – uciekając albo przyjmując ciosy – coraz bliżej stojącej ładowarki z

włączonym silnikiem. Jej kierowca jeszcze nie przyszedł, a krępa maszyna stała na środku sklepionej komory z szeroką łyżką uniesioną nad ziemię. Jeśli Mercer miał jakieś szanse przeżyć walkę, potrzebował mocy bobcata, żeby pomóc słabnącym mięśniom.

Hofmyer nie zorientował się, jakie ma zamiary, ale też nie ustawił ani razu w miejscu, w które Mercer chciał go zwabić. Trzy razy byli o krok od ładowarki 24fi i za każdym razem Joppi się odsuwał, żeby złapać oddech i posłuchać wiwatów Sudańczyków. Trzy razy cierpliwy jak skała Mercer był popychany, bity i kopany, aż znów wracali pod bobcata. Twarz miał tak spuchniętą i zakrwawioną, że niewiele widział, jedną ręką osłaniał być może złamane zebra, ale wciąż pozwalał się bić. Dopiero za czwartym razem uznał, że wszystko jest jak należy.

Została w nim iskierka woli walki, drobina siły, która dała mu energię. Joppi zaatakował niszczącą serią uderzeń w tors, celując kościstymi pięściami w bok Mercera, żeby zwiększyć ból poobijanych żeber. Spodziewał się, że Mercer odsunie się z jękiem, jak robił to poprzednie trzy razy, ale Philip zamachnął się pięścią szerokim łukiem, sprawiając, że Joppie stracił równowagę, a potem, tak szybko, że nikt się nie zorientował, rzucił się na ziemię i wyciągnął nogę, podcinając Hofmyera, który z łomotem runął na kamienne podłoże. Zanim Bur zdołał się podnieść, Mercer był już na nogach i sięgał do dźwigni sterowania bobcatem. Zręcznym ruchem nadgarstka obrócił maszynę w miejscu tak, że hydrauliczna łyżka znalazła się nad głową Joppiego i opuścił ją, przyszpilając Afrykanera do ziemi. Gdyby zechciał, mógłby zmiażdżyć mu głowę, jakby była przejrzałym melonem.

Sudańscy strażnicy zrozumieli w końcu, co się stało, i podnieśli broń.

– Stać! – krzyknął Mercer po angielsku, tonem głosu przekazując znaczenie słów. Joppi Hofmyer zaskrzeczał spod łyżki ładowarki. Mercer zerknął na swojego jeńca. – Zgadza się, draniu, powiedz im, jak bardzo to boli. Powiedz, że nie chcesz umierać.

Joppi znów wrzasnął. Straszny dźwięk dotarł do każdego zakątka jaskini. Wił się, z głową wciąż przyciśniętą do skały.

– Habte! – krzyknął Mercer i po chwili Erytrejczyk znalazł się u jego boku. – Możesz tłumaczyć tym Sudańczykom?

Habte kiwnął głową.

– Dobrze. Joppi, powiedz im, że mają się wycofać sztolnią. Jeśli za trzydzieści sekund jeszcze tu będą, twój mózg znajdzie się na ścianach tej jaskini.

Bur powtórzył polecenie, głosem piskliwym z przerażenia, ale stłumionym wagą łyżki. Habte przetłumaczył, a Sudańczycy zrobili, co im kazano, ustawiając się w nierównym szeregu i wycofując z jaskini.

– Miej lepiej nadzieję – powiedział Mercer do Hofmyera – że Gianelli szybko wróci, bo będziesz tu leżał, dopóki on nie przyjdzie.

Przekazał dźwignię ładowarki Habtemu, żeby móc zetrzeć krew z twarzy.

– Jeśli poruszy się bardziej, niż byś chciał, przyciśnij go mocno.

Dla podkreślenia swoich słów, Mercer przycisnął pedał gazu diesla, zagłuszając błagania Joppiego o litość.

Giancarlo Gianelli wszedł do jaskini godzinę później, w otoczeniu najemników. Miał na sobie świeży uniform khaki i uśmiechnął się rozbrajająco do Mercera, zgarbionego w fotelu kierowcy małego spychacza.

– Widzę, że mamy tu mały problem.

– Nie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zgniótł głowę Joppie-go jak winogrono – odparł swobodnie Mercer.

– Cóż, nie możemy do tego dopuścić.

– Słusznie. – Mercer dodał gazu i podniósł łyżkę, uwalniając Hofmyera. – Chciałem pokazać, że mogłem go zabić i tego nie zrobiłem. Wszyscy tu obecni, w tym pana żołnierze, mogą potwierdzić, że nie ja zacząłem. Ja chciałem tylko skończyć. On idzie w swoją stronę, a ja w swoją.

– A dokąd to się pan wybiera? – Gianelli wydawał się rozbawiony ewidentną łatwością, z jaką Mercer pokonał Hofmyera i z jaką go uwolnił.

– Wie pan, o co mi chodzi, Gianelli. Niech go pan odwoła, a ja wracam do pracy.

– A więc to nie była jakaś skomplikowana próba ucieczki?

– Gianelli uniósł brew.

Mercer popatrzył na niego bez wyrazu.

– Kiedy będę gotowy do ucieczki, pan się dowie o tym pierwszy.

– Pana brawura jest imponująca. – Giancarlo się zaśmiał. Hofmyer siedział na ziemi, obejmując głowę rękami. – Dość tego, Joppi. Jeśli chce pan zatłuc Mercera na śmierć, niech pan to zrobi, kiedy skończymy. Jasne?

Hofmyer tylko jęknął.

– Dobrze.

– Gianelli, niech mi pan powie... – Mercer wysiadł z bobcata i stanął przed włoskim przemysłowcem. Pierwszy raz od dawna miał sposobność z nim porozmawiać. – O co tu chodzi? Nie potrzebuje pan pieniędzy i już pan udowodnił, że są tu diamenty, jak twierdził pana stryj. Dlaczego ci ludzie mają zaharować się na śmierć dla paru tysięcy karatów? Wiem, że nie wyjdę z tego żywy, więc może mi pan powiedzieć.

W tej samej chwili wpadła mu do głowy pewna myśl. Wy- powiedział ją na głos.

– Czy myśli pan, że Centralny System Sprzedaży pozwoli panu sprzedać te kamienie? Spadną na pana jak tona cegieł.

– Bardzo sprytnie – przyznał Gianelli. – Trafił pan w sedno mojego planu za pierwszym razem.

– Co to jest Centralny System Sprzedaży? – wtrącił się Habte. Gianelli odwrócił się do niego i zaczął wyjaśniać:

– CSS to sekretne ramię jednej z najbardziej znanych korporacji na świecie. W przeciwieństwie do innych branży, rynek diamentów jest zdominowany przez monopol, który kontroluje jego wszystkie aspekty: wydobycie, szlifowanie i sprzedaż. Prawie cała Europa i Ameryka dobrze zna ich mistrzowskie reklamy telewizyjne i prasowe, zachwalające nieprzemijającą jakość ich kamieni. CSS to szara eminencja, która kontroluje, kto dostaje diamenty, kto może je sprzedawać i za ile. Swoją polityką sztucznie zawiązują ceny. – Odwrócił się do Mercera. – Niech mnie

pan poprawi, jeśli się mylę, ale uważa pan, że CSS dowie się o mojej operacji i zamknie kopalnię, żeby utrzymać monopol?

– Mniej więcej – odparł Mercer. – Wiedzą z dokładnością do jednego kamienia, ile diamentów jest wydobywanych na całym świecie i to nie tylko w placówkach należących do ich konsorcjum. Jeśli nagle pojawią się nieznanne kamienie z nieznanego źródła, ich wydział śledczy to odkryje i położy temu kres, wszelkimi koniecznymi środkami. Wie pan, jaką mają władzę. CSS ma kontakty na najwyższych szczeblach władzy Wielkiej Brytanii i RPA. Działają prawie bezkarnie.

– Na to właśnie liczę. Widzi pan, to ja powiem im o tej kopalni. – Mercer wytrzeszczył oczy, a Gianelli się roześmiał. – Nie mam chęci ani możliwości mierzyć się z CSS. Oni oczywiście o tym nie wiedzą. Nieodłączną wadą każdego monopolu jest strach przed konkurencją. Aż trudno uwierzyć, do czego są skłonni się posunąć, żeby utrzymać swoją supremację.

Mercer w końcu zrozumiał.

– Zamierza pan blefować?

– Niezupełnie. Pokażę im kamienie, które wydobyliśmy, żeby zobaczyli, że nie żartuję. Kiedy wręcę im wiadro diamentów, których nie będą potrafili umiejscowić, zorientują się, że do gry wszedł nowy gracz. Nie wiem, czy zapłacą mi więcej, żeby poznać położenie kopalni, czy żeby kupić gwarancję, że nie będę jej eksploatował. Tak czy inaczej, muszą mieć kontrolę nad tą kopalnią. Moje działania można uznać za szantaż. Wykorzystuję przeciwko nim ich własną chciwość.

Mercer zachował obojętny wyraz twarzy, ale musiał przyznać, że był to genialny plan, elegancki i prosty. Gianelli skosi miliardy. CSS nie będzie wiedział, czy Włoch naprawdę ma kopalnię, dopóki go nie spłaci.

– A kiedy pana działania zmuszą CSS do podniesienia cen kamieni na całym świecie, żeby pana spłacić, i zrujną gospodarkę RPA?

– A kogo to obchodzi? Co z tego, że przyszczaci gówniarze będą musieli zapłacić po kilka tysięcy dolarów więcej za swoje pierścionki zaręczynowe? A co do RPA, mam nadzieję, że ten kraj upadnie i do władzy wrócą biali. Robiłem tam duże pieniądze, zanim oddano ją czarnym. Moja motywacja częściowo wynika z chęci przywrócenia dobrego imienia mojego stryja w kronikach rodowych. To był prawdziwy geniusz, ale nie wydałbym tyłu pieniędzy bez perspektywy finansowej rekompensaty.

Mercer wiedział, że rozwijająca się demokracja RPA nie przetrwa, jeśli kilkadziesiąt tysięcy ludzi zostanie bez pracy. Zapanuje anarchia i zacznie się walka o przetrwanie.

– Ty chory draniu. Bawisz się ludzkim życiem.

– To najtańszy towar na świecie.

– Kiedy będziesz miał dość? Musisz już mieć kilka tysięcy karatów. Krążą też plotki o jakimś mamucim kamieniu. Po co zmuszasz tych ludzi do pracy?

– Im więcej kamieni rzucę na CSS, tym więcej mi zapłacą, żebym nie wchodził do branży diamentowej. Na pewno pan wie, że balansuję dość niebezpiecznie między potrzebą gromadzenia kamieni a szansą ujawnienia. Ale dzięki panu wydajność ludzi

przez ostatnich dwa tygodnie nie spadła, więc zostaniemy tu trochę dłużej. Żeby pana zmotywować, zaproponuję umowę. Za, powiedzmy, trzy tygodnie, jeśli nie zostaną zmuszony do wycofania się stąd wcześniej, załatwię swoją sprawę w Londynie. Myślę, że negocjacje nie powinny potrwać dłużej niż kilka minut. Kiedy się zakończą, wypuszczę uchodźców. Gdy sprzedam swoją wiedzę o kopalni, ta informacja nie będzie już miała żadnej wartości i będą mogli mówić o niej, komu zechcą. Czy to uczciwy układ?

– Za trzy tygodnie nie zostanie tu nawet dziesięć żywych osób – wycedził Mercer przez zaciśnięte zęby.

Oczy Gianellego rozbłysły gniewnie.

– To już nie mój problem. – Odwrócił się do Hofmyera, który w końcu wstał. – Niech pan idzie się opatrzeć i przyśle tu du Toita, żeby miał oko na te małpy.

Mercer wrócił do pracy. W głowie mu huczało. Bliski Wschód, RPA, uchodźcy, Selome, Habte i Harry... Przy tak wysokiej stawce nie ma wyjścia – musi wygrać.

KOPALNIA

Hałas przypominał bicie w bębny, niskie, basowe dudnienie, które wibrowało w piersiach mężczyzn idących tunelem po skończonej zmianie. Zanim jeszcze znaleźli się na tyle blisko wyjścia, by coś zobaczyć, rozpoznali ten dźwięk. Byli kiedyś rolnikami i wiedzieli, kiedy nadchodzą deszcze.

Była ósma wieczorem i panowała taka ciemność, że mrok tunelu różnił się od tego na dworze tylko ułamkiem odcienia. Woda zalewała wyjście jak wodospad. Co kilka sekund wypływała przemoczonego człowieka idącego do wyrobiska. Schodzący ze zmiany robotnicy nie mogli rozmawiać, bo huk deszczu był za głośny. Nagłe pojawienie się ich zmienników robiło niesamowite, upiorne wrażenie.

– Deszcz nam pomoże czy zaszkodzi?! – krzyknął Habte w ucho Mercera.

Mercer mógł tylko wzruszyć ramionami. Myślał o rzeczach innych niż burza. Powiedział Selome, żeby była gotowa dwie godziny po zakończeniu jego zmiany, a on i Habte mają przez ten czas bardzo dużo do zrobienia. Tuż przed tym, gdy przyszła ich kolej, by wyjść na ulewę, odciągnął Ery-trejczyka na bok. Najbliższy sudański strażnik był pięćset metrów w głąb tunelu, zaganiając maruderów z szychty Mercera. Nie mógł usłyszeć ich rozmowy.

– Zrobiłeś wszystko, co miałeś zrobić? – spytał Philip ze znużeniem. Podczas pracy odpoczywał, ile mógł, ale wciąż był

zmęczony, skonany do szpiku kości. Jedynym plusem było to, że Hofmyer nie połamał mu żeber.

– Tak. Będę czekał tuż pod sztolnią. Wszystko będzie przygotowane.

– Jeśli nie, to będzie najżałośniejsza ucieczka w historii – warknął Mercer. – Czy wszyscy wiedzą, co mają robić?

– Będą wiedzieli, kiedy przyjdzie pora. Ci, z którymi nie rozmawiałem dzisiaj, jak ta zmiana, która teraz wchodzi, dowiedzą się od innych. Nie martw się, będą gotowi.

Mercer polegał na przeczuciu, w najlepszym razie słabym, a jeśli się mylił, Gianelli i Hofmyer najpewniej na zmianę będą piekli jego jądra na wolnym ogniu, a wszystkich pozostałych rozstrzelają.

– A ty załatwiłeś wszystko, co miałeś załatwić? – Habte uśmiechnął się szeroko, próbując poprawić ponury nastrój Mercera.

Mercer zaśmiał się wisielczo.

– Dowiemy się za dwie godziny.

Tak jak się spodziewał, Gianelli nie rozstawił wiat dla robotników. Włoch, inni biali i Sudańczycy przeczekiwali burzę w swoich namiotach, wielkich, szumiących klimatyzatorami i jarzących się słabo w srebrzystych smugach gnanego wiatrem deszczu.

Kobiety nie musiały podawać jedzenia w czasie burzy, ale wyłożyły je dla wracających robotników. Indżera była tak mokra, że przeciekała Mercerowi między palcami jak błoto, a kociółki z gulaszem przelewały się od deszczówki. Zamiast marnować

czas na posiłek, którego i tak by z nerwów nie zjadł, Mercer poszedł do otoczonej drutem kolczastym zagrody. Na ziemi rozłożono wielkie niebieskie płachty. Mercer zobaczył pod nimi niezliczone wybrzuszenia. To byli mężczyźni, stuleni razem dla ciepła i ochrony. Niebo rozdarła błyskawica, powietrzem wstrząsnął huk gromu. Po każdym uderzeniu pioruna Mercer słyszał jęki przerażonych Erytrejczyków.

Uchodźców pilnowali trzej Sudańczycy, ale kiedy Mercer mijał namiot, który dla siebie rozbili, zobaczył, że jeden już zasnął, a pozostali dwaj przysypiają. W tak paskudną noc nie spodziewali się kłopotów ze strony więźniów.

Bardzo dobrze, chłopcy, pomyślał Mercer, wchodząc do zagrody, nie ma tu nikogo, tylko my, śpiące owieczki. Możecie się porządnie zdrzemnąć.

II

Erytrejczycy zarezerwowali dla niego i Habtego skraj płachty. Wskazali mu go milczącymi gestami. Wtoczył się pod plastik i zaczął czekać, aż Habte skończy swój przesiąknięty wodą posiłek. Mimo adrenaliny, która zaczynała krążyć w jego żyłach, zdrzemnął się kilka minut.

– Możesz spać? – zdziwił się Habte. – A więc nie martwisz się za bardzo.

– Jeśli ktoś jest tak brzydki jak ja, potrzebuje drzemki dla urody. – Mer-cer spowaźniał. – Masz?

Habte pokazał mu mały górniczy młotek wetknięty za pasek spodni.

– Nie zauważyli nawet, że go nie ma.

– I masz dwóch ludzi do pomocy?

– Jednego. Ja pomogę nam uciec.

– Zapomnij, Habte, nie możemy ryzykować, że za bardzo pokaleczysz sobie dłonie. Masz delikatną robotę do wykonania, kiedy uciekniemy z zagrody.

Habte kiwnął głową.

– Dobrze, mam innego, który to zrobi.

Ogrodzenie wokół zagrody Erytrejczyków zrobione było z ciężkich kłębów drutu kolczastego. Jego wał miał trzy metry szerokości u podstawy i ponad dwa i pół metra wysokości. Zwoje poskręcane były tak ciasno, że przypominały stalowy żywopłot najeżony dziesiątkami tysięcy dwuipółcentymetrowych sta-

lowych zębów, z równą łatwością tnących ciało i ubranie. Plan Mercera był prosty, ale wymagał odwagi dwóch uchodźców i niemal nieludzkiej wytrzymałości na ból.

Kiedy byli gotowi, pierwszy Erytrejczyk położył się na brzuchu przed zaporą i powoli zaczął pod nią wpełzać. Poruszał się bardzo ostrożnie, ale zanim jeszcze udało mu się wsunąć jedną rękę pod stalowe spirale, już był pokaleczony i krwawił. Nie krzyczał ani nie skarżył się, nie próbował też cofnąć ramienia, lecz zaczął wsuwać drugie. Pożyczył ubrania od innych górników, więc miał na sobie kilka warstw dla ochrony, ale kiedy wpełził głębiej, materiał pękł i kilka sekund później po jego ciemnej skórze popłynęła w deszczu równie ciemna krew. Krzyknął tylko raz, kiedy kolec przebił mu twarz, zostawiając na brodzie długą, ziejącą ranę, która wymagała szwów, jeśli miała się kiedykolwiek zagoić.

Przez dziesięć minut Mercer, Habte i drugi uchodźca obserwowali postępy pierwszego, wstrzymując oddech, kiedy zaczął się pachwiną, i oddychając z ulgą, kiedy wyciągnął kolec i szepnął, że nie skaleczył się w nic ważnego. Minęło kolejnych pięć minut i spod zapory wystawały już tylko bose stopy mężczyzny. Przyszła pora na drugiego.

Drugi wkopał się pod pierwszego i popęzł do przodu jak wąż, chroniony jego ciałem przed kolcami. Zaczepił się tylko parę razy, i to lekko. Stracił drut, potrząsając ręką czy nogą. Potrzebował tylko kilku minut, żeby pokonać dystans okupiony przez pierwszego bólem i krwią. Wszyscy czekali kolejnych dwadzieścia, kiedy pełzł dalej, powoli i ostrożnie ryjąc pod za-

porą. Jego przejście znaczyły strzepy ubrania i skóry na kolcach. Zatrzymał się dopiero, kiedy kolanami objął głowę pierwszego – ale do końca zapory pozostało jeszcze pół metra.

Mercer się nie zawahał. Podszedł do przeszkody z takim samym fatalizmem, jak dwaj Erytrejczycy. Wpełzł pod pierwszego, potem pod drugiego, którego szersze plecy o wiele lepiej chroniły przed kolcami.

– Yakanyelay – powiedział, kiedy dotarł do głowy drugiego.
– Dziękuję.

Bardzo powoli, czując, że czas ucieka, Mercer zaczął przeciskać się pod ostatnim odcinkiem drutu. Dłonie miał śliskie od deszczu i krwi. Woda zalewała mu oczy, więc pełzł prawie na oślep. Dopiero kiedy uderzyła błyskawica, zobaczył, jak żalosne zrobił postępy. Dwaj Afrykanie pokonali dwa razy większą odległość w dwa razy krótszym czasie. Mercer miał wrażenie, że leży nieruchomo. Przyspieszył, ale nieostrożnym ruchem wbił sobie kolec pod paznokiec. Po jego rękę przebiegła błyskawica przeszywającego bólu, który eksplodował mu w czaszce, i Mercer musiał zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć.

Wyjął kolec i ruszył dalej, zamykając z bólu oczy. Nagle jego dłonie natknęły się na pustkę. Dotarł do końca. Wysunął oba ramiona i głowę, po czym szeptem kazał ruszać Habtemu. Erytrejczyk dotarł do niego w zaledwie trzy minuty, pełznąc pod przeszkodą z wężową łatwością. Mercer poczuł, jak kilkanaście kolców wbija mu się w plecy, kiedy czołgający się pod nim przyjaciel wypchnął go w górę. Musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby krzykiem nie kazać mu się pospieszyć.

Kiedy Habte był wreszcie wolny, pomógł Mercerowi wyplątać się z drutu, wyciągając kolce z jego pleców i nóg. Deszcz lał jak biblijny potop.

– Za nami pójda inni – powiedział Habte, kiedy posmakowali wolności po raz pierwszy od tygodni. Deszcz zmywał krew z ich twarzy, rąk i ramion.

– Jeśli tym dwom ktoś nie pomoże, wykrwawią się na śmierć.

– Wiedzą, że to cena za uwolnienie reszty.

Mercer przyjrzał się Habtemu i zrozumiał, że Erytrejczyk tak właśnie widzi całą sytuację. Zastanawiał się, czy Etiopczycy, którzy kiedyś okupowali te ziemie, naprawdę myśleli, że mogą pokonać tak zajadłego przeciwnika.

– Ich ofiara nie pójdzie na marne. Jesteś gotowy?

– Tak.

– Spotkamy się przy wlocie sztolni za... – Mercer spojrzał na zegarek, przerażony ilością czasu, jaki zmarnowali. – Za godzinę i dwadzieścia minut. Dasz radę wszystko zrobić?

1S.T.

Habte zastanowił się szybko.

– Tak, na styk, ale zdążę.

– Do zobaczenia. – Mercer i Habte uścisnęli sobie dłonie i zniknęli pochłonięci przez burzę.

Mercer spojrzał w ciemność za obozem. Tak łatwo może po prostu odejść. Ranek zastałby go już wiele kilometrów od kopalni, a deszcz zatarłby jego ślady. Za parę dni byłby w domu. Wiedział, że Harry White jest więziony przez Izraelczyków, a miał w rządzie wystarczające znajomości, żeby załatwić uwol-

nienie przyjaciela. Za tydzień obaj siedzieliby nad drinkami U Małego. Mercer ze złością odegnał tę wizję i odwrócił się od kuszącej pustyni.

Żeby powstrzymać Levine'a, musi najpierw powstrzymać Gianellego. Żeby to zrobić, musi uwolnić część uchodźców, aby ci mogli zamaskować próbę skontaktowania się z Dickiem Henną. Poza tym to on był winien tego, że Erytrejczycy trafili do niewoli, i jego obowiązkiem było ich uwolnić. Myślał także o Selome i o tym, co przeszła. Po raz pierwszy, odkąd opuściła go Aggie, Mercer czuł znajomy ogień w piersi. W tym momencie nie miało znaczenia, czy to jest miłość – może tak, może nie – ale czerpał z tego siłę do walki. Ruszył w stronę obozowiska Giancarla Gianellego.

Obóz białych znajdował się około czterystu metrów od zagrody więźniów, ustawiony pod wiatr w stosunku do otwartych latryn, z których zmuszeni byli korzystać Erytrejczycy. Noc była ciemna jak atrament, a światło skupiska namiotów kierowało Mercerem niczym latarnia morska. Deszcz zagłuszał wszystkie hałasy, ale nie chronił go przed natknięciem się na pełniącego wartę Sudańczyka.

Żołnierz wyłonił się z ulewy tak nagle, że Mercer nie mógł uwierzyć własnym oczom. Sudańczyk miał na sobie mokre ponczo i stał odwrócony w drugą stronę, trzymając AK-47 w ochronnym pokrowcu. Mercerowi zaschło w gardle, z przerażenia przestał oddychać.

Zbliżył się na palcach, w myślach błagając żołnierza, żeby się nie odwracał. Poruszał się szybko, robiąc największe kroki,

jakie potrafił. Kiedy brakowało mu metra, żołnierz, weteran partyzantki, wyczuł coś za sobą i zaczął się odwracać, unosząc karabin do strzału.

Mercer pokonał ten ostatni metr jak duch. Uniósł łokieć nad głowę i wykorzystując własny pęd oraz obrót żołnierza, by zwiększyć siłę ciosu, rąbnął nim mężczyznę w bok szyi. Uderzenie wbiło Sudańczyka w błoto. Mercer nie miał czasu się przejmować, czy go zabił, czy tylko ogłuszył. Zabrał mu karabin i zapasowe magazynki i ruszył w stronę obozowiska.

Wypuścił długo wstrzymywany oddech i skupił się na powrót na swoim zadaniu, zapominając o przemocy.

Uzbrojony i pewniejszy, zbliżył się do namiotów. Rozbito je w dwóch grupach: większe ustawione w dwa rzędy po cztery, pozostałych pięć w koło.

Błyskawica ukazała między nimi stoły, krzesła i kamienie okalające miejsce na ognisko. Domyślając się, że mniejsze namioty są dla białych, Mercer obszedł obóz, oddalając się maksymalnie od namiotów Sudańczyków.

Przekradał się pod osłoną burzy. Nagle wpadł na odciąg od namiotu i runął ciężko w błoto. Policzył do dwudziestu, żeby sprawdzić, czyjego niezdar-ność zwróciła czyjąś uwagę, ale nikt nie podnosił alarmu.

Mercer przyłożył ucho do nylonowej ściany namiotu, nasłuchując głosów. Miał ze sobą ostrze oderwane od drutu, tak ostre, że ledwie mógł je utrzymać, nie kalecząc sobie palców. Kiedy upewnił się, że namiot jest pusty, wyciął ostrzem szparę tuż nad ziemią.

W środku było tak ciemno, że musiał wyteżać wzrok. Światło z sąsiednich namiotów tutaj było słabym blaskiem. Kiedy tylko zobaczył, że są tu dwa łóżka, zrozumiał, że trafił do niewłaściwego namiotu. Szukał namiotu Gianello, a wątpił, by miliarder z kimś go dzielił. Ten musi należeć do dwóch Burów, teraz pracujących w kopalni.

Przy następnym namiocie usłyszał rozmowę Gianello i Joppiego Hofmyera. Deszcz uniemożliwiał rozróżnienie słów, ale głosy były nie do pomylenia. Mercer przeszedł ukradkiem na drugą stronę namiotu, gdzie było lepiej słyhać, i ostrzem wyciął małą dziurkę w ścianie. Pole widzenia zasłaniała mu walizka Louisa Vuittona. Zamiast gapić się na skórzane wieko, przyłożył ucho do dziurki.

– Może zamiast bobcata lepiej użyć ramienia koparki? – Gianelli się zaśmiał, a Mercer odgadł, że rozmawiają o sposobie zabicia go.

– Zabawniej byłoby chyba oddać go Sudańczykom i pozwolić, żeby zgwałcili chuja na śmierć – zahuczał Hofmyer.

– Nie wiedziałem, że chrześcijanie robią takie rzeczy.

– Niby nie, ale niech pan pamięta, że te małpy to w pierwszym rzędzie Afrykanie. Gwałcenie pokonanych wrogów to tutaj jeden z najstarszych zwyczajów.

– Wpół do dziesiątej! – wykrzyknął Gianelli. – Straciłem poczucie czasu. Muszę zadzwonić do Wenecji. Proszę mi wybaczyć.

– Jasne, panie Gianelli. Przepraszam, że się pan przeze mnie spóźnił z telefonem.

– Jeszcze się nie spóźniłem, ale znów muszę skorzystać z toalety. Gotowana woda, sprowadzane jedzenie, żadnego lodu od paru tygodni, a żołądek wciąż mi dokucza.

– Zemsta Menelika?

– To nie jest śmieszne, Hofmyer.

Mercer usłyszał odgłos otwieranego suwaka namiotu, po czym głosy ucichły. Ostatnimi słowami, jakie usłyszał, były przekleństwa Gianellego z powodu deszczu.

Miał może dziesięć minut do jego powrotu i nie zmarnował ani jednej. Powiększył otwór, żeby wśliznąć się do namiotu. Potrafił przy tym stos bagaży, które runęły na ziemię.

– Jasna cholera! – syknął, masując potylicę, bo oberwał walizką.

Zaczął systematycznie przeszukiwać namiot Gianellego, przetrząsając torby i walizy. Gianelli przywiózł ze sobą kilka mebli, w tym antyczne łóże z baldachimem i moskitierą. Mercer zajrzał pod materac, gdzie w jednej z dwóch wbudowanych szuflad znalazł telefon satelitarny, który dał Habte-mu w Badn. Jedno załatwione, zostało jeszcze jedno. Biurko również było antykiem. Miało dziesięć szuflad i Mercer przeszukał wszystkie, bezowocnie przetrząsając sterty papierów.

Zerknął na zegarek. Minęło osiem minut. W jego ruchy zaczynała wkradać się panika. Obok turystycznego fotela stał mały stolik, również zawalony papierami. Mercer zajrzał pod nie – znów nic. Gianelli mógł wrócić w każdej chwili, a gdyby Philip niczego nie znalazł, jego plan ucieczki wzięłby w łeb. Lepiej było, gdyby wrócił do zagrody i spróbował następnej nocy.

Deszcz łomotał o nylonowy dach, uniemożliwiając usłyszenie, czy ktoś się zbliża. Jedenaście minut – musi uciekać. Potrzebował jeszcze minuty na ustawienie bagaży, a już i tak był tu za długo. W tym momencie zasilana gazem lodówka po lewej zatrzęsała się i wyłączyła. Mercer uświadomił sobie, że to jedyne miejsce, do którego nie zajrzał. Lodówka była mała, turystyczna. Otworzył ją. Na dolnej półce leżała jego skórzana torba. Sprawdził tylko, czy w bałaganie w środku wciąż są zdjęcia Meduzy. Dzięki Ci, Chryste! Gdyby ich tam nie było, plan ucieczki Mercera ległby w gruzach.

Gianelli musiał je włożyć do lodówki dla ochrony przed wilgocią, pomyślał Mercer, przewieszając sobie torbę przez ramię. Zaczął układać bagaże, zostawiając sobie tylko tyle miejsca, żeby wysliznąć się na zewnątrz, kiedy zamarł, słysząc głos przemysłowca. Włoch stał chyba tuż koło namiotu, wołając coś do jednego z sudańskich strażników, może Mahdiego. Mercer zamarł.

Zostawiając pozostałe walizki, rzucił się do dziury w chwili, kiedy zazgrzytał suwak namiotu, jak za sprawą czarów sunący w górę. Padł na ziemię i pospiesznie się wyczołgał, zanim Gianelli go zauważył. W ostatniej chwili zaczepił stopą o chwiejną górę walizek i przesunął ją na miejsce w tej samej chwili, kiedy Włoch znalazł się w środku.

Mercer leżał na ziemi, ciężko dysząc. Deszcz zmywał pot zdenerwowania z jego twarzy i rąk. Słyszał, jak Gianelli rozmawia przez telefon satelitarny podłączony do komputera. Pięć sekund, pomyślał. Pięć sekund i by wpadł. Chwycił AK-47,

przerzucił zapasowe magazynki do swojej torby i popędził z powrotem do obozu. Miał tylko piętnaście minut, żeby uwolnić Selome i spotkać się z Habtem.

– Cholera! – sapnął. Spodziewał się, że będzie miał pół godziny.

Biegając, zastanawiał się, czy nie byłoby mądrzej porwać Gianellego i wynegocjować uwolnienie Erytrejczyków w zamian za jego życie. To może się udać, uznał, ślizgając się na lepkim błocie i wytyżając wzrok w ciemności w nadziei, że zobaczy jakichś strażników, zanim oni zobaczą jego. Ale gdyby Gianelli nie chciał współpracować, co było bardzo możliwe, biorąc pod uwagę jego niezrównoważenie, albo gdyby żołnierzy swędziały palce na spustach, Mercer doprowadziłby do śmierci setek niewinnych ludzi. Nie, pomyślał, pierwotny pomysł jest lepszy. Mercer czuł, że nie wygrałby bezpośredniego starcia z Gianellim, zamierzał więc się ukryć i podjąć walkę dopiero, kiedy będzie gotowy.

Zagroda kobiet była mniejsza niż mężczyzn. Przebywało w niej około trzydziestu kobiet i dziewcząt, razem z chłopcami zbyt małymi, żeby pracować w kopalni. Mercer obejrzał to miejsce wcześniej rano, przed swoją zmianą, i wiedział, że jedynym słabym punktem jest strzeżone wejście. Nie miał czasu na przepętlanie pod zwojami drutu, jak zrobił to poprzednio.

Podobnie jak przy zagrodzie mężczyzn, strażnicy rozstawili namiot, żeby schronić się w nim przed deszczem i zapewnić sobie intymne warunki do nocnych gwałtów. Światła było akurat dość, by Mercer zobaczył błysk mosiądzu, kiedy wyrwał z AK magazynek i sprawdził jego zawartość.

Kiedy zbliżył się do namiotu strażników, w środku było cicho. Nie miał jak zamaskować swoich ubrań i białej twarzy, więc po prostu wskoczył do środka. Pierwszy Sudańczyk, który go zauważył, siedział na drewnianym stołku. Kiedy się zerwał, Mercer trafił go kolbą AK między oczy, powalając mężczyznę na ziemię. Drugi odskoczył, kiedy Philip odwrócił się do niego, i potoczył po ziemi obok podwyższenia, na którym strażnicy spali. Sudańczyk nie zdążył złapać broni, a Mercer zignorował jego wyciągnięte błagalnie ręce. Kolba karabinu z obrzydliwym chrzęstem wylądowała na czaszce żołnierza. Trzeciego strażnika nigdzie nie było.

– Cholera.

Partyzant był w latrynie albo w zagrodzie dla kobiet, wybierając sobie ofiarę na tę noc. Mercer nie miał czasu na niego czekać.

Zajrzał do zagrody, ale deszcz ograniczał jego pole widzenia do kilku metrów. Wszystko dalej było mętną zasłoną ciemności. Kłódka na bramie z drutu kolczastego była zdjęta, sugerując, że Sudańczyk jest w środku. Mercer wszedł do zagrody i wytarł wodę z oczu, ale to uszy zdradziły mu położenie ofiary.

Z drugiej strony placu dobiegł go ostry kobiecy krzyk. Mercer ruszył w tamtym kierunku. Na ziemi leżała duża płachta folii, śliska i lśniąca od wody; pod nią kulila się większość kobiet, tak samo jak mężczyźni kawałek dalej. Mercer wyminął ją i zbliżył się do miejsca, gdzie w deszczu szarpały się 17 — łcamipń MpHh7V

7.S7 dwie postacie. Z odległości kilku kroków nie dało się rozróżnić, kto jest kim, więc zaszarżował na wyższego z walczących.

A potem, kiedy już miał wbić lufę AK w nerki Sudańczyka, uświadomił sobie, że mężczyzną jest niższa postać. Wyższą była Selome! Przesunął trochę cel i lufa trafiła rebelianta w krzyż, rozdzierając skórę i wbijając się po muszkę. Afrykanin wygiął się w tył. Mercer puścił karabin, złapał Sudańczyka za gardło i rzucił na ziemię, a potem zatkał mu dłońią nos i usta, aż ten przestał się szamotać.

– Mam nadzieję, że się nie spóźniłem? – szepnął do Selome.

– Powiedziałybym, że jesteś w samą porę – szepnęła.

– Mamy jakieś trzy minuty, żeby spotkać się z Habtem. Chodź. Razem wybiegli z zagrody.

– Reszta kobiet ucieknie – powiedziała Selome, kiedy mijali namiot strażników. – Spróbuj uwolnić mężczyzn i rozbiegną się po wzgórzach.

– To powinno trochę utrudnić Gianellemu szukanie nas.

Mercer modlił się, żeby Włoch – kiedy już złapie uciekierów – zaczekał z zemstą, aż rozprawi się z grupą Mercera.

Niedaleko wlotu do sztolni kolejna zapora z drutu kolczastego otaczała teren, na którym kobiety i dzieci kruszyły kimberlitowy urobek. Teraz nie było tam nikogo oprócz dwóch strażników, stojących pod metalową wiatą, pod którą Gianelli trzymał w sejfie diamenty. W pobliżu huczał generator, a w deszczu świecił pojedynczy reflektor. Mercer i Selome podeszli ostrożnie, kryjąc się za wielką koparką.

Spóźnili się. Habte powinien gdzieś tu na nich czekać po zejściu z góry. Przed ucieczką do kopalni Mercer musi się z nim spotkać, bo Erytrejczyk miał do wykonania tego wieczoru jeszcze jedno zadanie, o wiele ważniejsze niż wszystko inne.

– Co teraz?

Wzrok Mercera spoczął na stojącym niedaleko bobcacie.

– O, mamy i czołg. Za mną.

Kiedy dotarli do ładowarki, zza hałdy kamieni wybiegł Habte.

– Zaczynałem się zastanawiać, czy z nią nie uciekłeś.

– Myślałem o tym, ale ona chce mieć uroczystą ceremonię, wiesz, jak to jest z babami. – Mercer uściśnął dłoń Habte. – Wszystko gotowe?

– Detonator leży za tą górką, za którą czekałem, a nad wejściem do kopalni podłożyłem piętnaście kilo ładunków wybuchowych.

– Jakież kłopoty?

– Nie. Miałeś rację. Łatwo było otworzyć skrzynkę z materiałami wybuchowymi zwykłym młotkiem.

– Uznali, że strażnicy wystarczą, i nie zakładali mocniejszej kłódki.

– Miałeś szczęście, że zgadłeś – mruknęła Selome.

– To podstawy, droga Selome.

Mercer sięgnął do torby i wyjął telefon satelitarny. Podał go Habtemu. To był ten z mocniejszą baterią, więc Mercer nie bał się go włączyć.

– Numer jest wpisany, wciskasz tylko ten guzik i wybierasz dwadzieścia pięć. Możliwe, że będziesz musiał się oddalić od gór, żeby złapać sygnał, nie wiem. Człowiek, z którym będziesz rozmawiał, nazywa się Dick Henna. Jeśli będzie chciał potwierdzenia, że jesteś ode mnie, przypomnij mu o naszej rozmowie w samochodzie i powiedz, że jeśli on i jego żona kupią sobie psa, to powinien być bezogoniasty corgi pembroke. Będzie wiedział, co to znaczy. Powiedz mu, co się tu dzieje, i żeby przysłał wojsko najszybciej, jak się da. Nasze dokładne położenie może zdobyć, kontaktując się z NSA. Oni będą potrafili je ustalić, triangulując, które satelity komunikacyjne przekazują waszą rozmowę. To cholernie przyspieszy pracę technika. Powiedz mu, że Harry White jest trzymany w niewoli przez izraelskich ekstremistów powiązanych z ministrem obrony Chaimem Levine’em, niech zacznie pracować nad jego uwolnieniem. Dopilnuj, żeby wiedział, że nie jest nam tu lekko i im później marines tu wylądują, tym więcej ludzi umrze.

– Może Selome powinna zadzwonić? Mówi po angielsku lepiej niż ja.

– Nie, będę jej potrzebował. – Mercer odwrócił się do Selome. – Chyba że chcesz.

– Nie, ja zostaję z tobą.

– Dobrze. Habte, kiedy tylko będziemy dziesięć metrów od wejścia, masz zdetonować ładunki.

– Ale przez ten telefon możemy się skontaktować z władzami i jutro będzie tu erytrejskie wojsko.

– Za godzinę strażnicy, których dzisiaj zabiłem, zostaną znalezieni i możesz mi wierzyć, że uchodźcy zapłacą za ich śmierć. Gianelli zda sobie sprawę, że zabrałem telefon, i zanim przyjedzie tu wojsko, razem ze swoją bandą będzie bezpieczny za sudańską granicą. Musimy ich tu zatrzymać. To jedyny sposób. Idź do detonatora, a kiedy zamkniesz kopalnię, uciekaj stąd i zadzwoń.

Mercer wskoczył na fotel ładowarki i gestem kazał Selome, by usiadła mu na kolanach.

Habte zniknął w mroku burzy, a Mercer podał Selome kabin.

– Kiedy tylko zobaczysz, że ktoś nas zauważył, zabij go.

Kluczyk tkwił w stacyjce i Mercer go przekręcił, odciekawszy, żeby odpalenie diesla zbiegło się z potężnym hukiem grzmotu. Ustawił przepustnicę na najniższej pozycji i pchnął do przodu dwie dźwignie sterujące. Ciężkie opony wgrzyły się w błoto, wykonały cały obrót, zanim znalazły zaczepienie, i bobcat ruszył przed siebie. Mercer podniósł łyżkę, która częściowo osłoniła ich przed strzałami.

Kiedy ładowarka wjechała w plamę światła reflektora na wiacie, strażnicy ją zobaczyli i otworzyli ogień, mrużąc oczy od płomieni wylotowych swoich karabinów. Selome wrzasnęła, kiedy kule załomotały o łyżkę, krzesząc iskry.

– Strzelaj! – wrzasnął Mercer.

Bobcat zbierał ciągi, obie przednie opony były już przebite, ale pojazd nadal pełził do przodu. Mercer pchnął przepustnicę do oporu, mimo to jasne było, że nie docenił liczby strażników przy wejściu do jaskini ani ich celności. Selome odpowiadała ogniem, kontrolowanymi, trzynabojowymi seriami, które przyszpilały Sudańczyków za osłoną, ale jeszcze nie przetrzebiła ich szeregów.

Mercer zaryzykował rzut oka pod łyżką w chwili, kiedy jeden z partyzantów został trafiony i poleciał plecami w błoto. Miał właśnie pogratulować Selome strzału, ale zobaczył, że zmienia właśnie magazynek. Padł następny Sudańczyk, trafiony w usta tak, że jego głowa eksplodowała. Mercer pomyślał, że to Habte strzela zza hałdy, ale nie zgadzał się kąt strzałów. Dopiero podczas sekundowej przerwy w morderczej wymianie ognia usłyszał ostry, charakterystyczny trzask karabinu snajperskiego.

W walce bierze udział ktoś jeszcze! Jakiś snajper, pomagający Mercerowi i Selome uciec pod osłonę, i Mercer wiedział, kto to jest. Izraelscy komandosi. A miał nadzieję, że zgubił ich kilka tygodni temu. Nie miał pojęcia, od jak dawna obserwują obóz ani jakie mają plany, ale nie zamierzał tracić przewagi, którą mu zapewnili.

– Opróżnij magazynek najszybciej, jak możesz. Jesteśmy już na miejscu!

Do wejścia sztolni mieli jeszcze dziesięć metrów, a w miarę jak się zbliżali, padali kolejni Sudańczycy, zabijani przez niewidocznego strzelca. Mercer uświadomił sobie, że Izraelczyk usadowił się pomiędzy podłożonymi przez Habtego ładunkami. Nie poczuł nic na myśl, że człowiek, który właśnie im pomaga, ma umrzeć.

Wjechał małą ładowarką w blaszaną szopę, rozgniatając jednego ze strażników na metalowej ścianie. Wiata zawałiła się jak domek z kart. Sejf był biały i bardzo nowoczesny, wielkości podróznego kufra. Mercer opuścił łyżkę i nabrał go na nią. Pancerna kasa była za ciężka dla ładowarki i silnik bobcata zawył w proteście, ale pojechali dalej.

Pięć metrów od wejścia Mercer poczuł, że ziemia zadrżała. W ciemności nad wlotem sztolni rozkwitły trzy karmazynowe kule. To Habte odpalił podłożone ładunki i skalna ściana straciła stabilność. Całe zbocze zaczęło się osuwać. Zostały im do pokonania trzy metry, a silnik bobcata zaczął się złowrogo krztusić – kula musiała trafić w jakiś istotny element. Mercer opuścił łyżkę i rozpiął pas udowy, którym był przypięty razem z Selome.

?ńń – Przygotuj się do biegu! – wrzasnął, widząc, że po zboczu zsuwa się ściana ziemi, skały i błota, setki ton gruzu pchające przed sobą powiew powietrza.

Bobcat znów skoczył do przodu, znajdując odrobinę energii, która poniosła ich do kopalni na ułamek sekundy przed tym, jak czoło lawiny dotknęło ziemi. Mercer trzymał przepustnicę wychylone do oporu, uciekając przed gruzem, który zaczął wy-

pełniać sztolnię. Ziemia nadal się trzęsła, ze sklepienia spadały kamienie. Tunel się walił, – Mercer! – krzyknęła Selome.

Eksplozja niszczyła starożytną sztolnię, która zaczęła osiadać, rozłupując się na wielkie głązy. Na ścianach pojawiły się pęknięcia i szczeliny, biegnące szybciej niż ładowarka była w stanie jechać. Mercerowi przeszło przez myśl, żeby porzucić maszynę, ale sejf i diamenty potrzebne mu były jako przynęta. Tuż za nimi pękała skała, kawałki kamienia strzelały na boki jak pociski. Żwir odbijał się od klatki zabezpieczającej.

Jechali tak przez dwieście metrów, ścigani napierającą falą zawału. Silnik znów zaczął się krztusić akurat wtedy, gdy zaczęli wyprzedzać mknące po ścianach pęknięcia. Usta Mercera poruszały się w bezgłośnej prośbie do ładowarki, żeby jechała dalej.

Po kolejnych kilku sekundach huk spadających skał ucichł. Zawał się skończył, chociaż wciąż było czuć dygot osiadającej góry.

Mercer wyłączył silnik i zapadła cisza. On i Selome dyszeli w pełnym kurzu powietrzu.

Lampy w tunelu były zasilane generatorem w głównej komorze; tańczyły do rytmu wywołanego przez nich trzęsienia ziemi. Kilka żarówek roztrzaskało się o sklepienie, zaciemniając sztolnię. Za bobcatem wznosiła się ściana kamieni, niektórych wielkich jak samochody, innych zupełnie małych, całkowicie zamykająca sztolnię.

– O co tu w ogóle chodzi, do cholery? – wykrztusiła Selome, oszołomiona siłą lawiny.

– O pogrzebanie nas żywcem – odparł Mercer.

DOLINA UMARŁYCH DZIECI PÓŁNOCNA ERYTREA

Jozef nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy z bocze pod snajperem nagle runęło w dół niepowstrzymaną lawiną. On sam był kilkaset metrów dalej, wyżej na wzgórzach okalających dolinę, i obserwował wszystko przez noktowizyjną lornetkę. Nawet w zielonej poświacie noktowizora widok był niewiarygodny.

W jednej chwili widział, jak jego człowiek strzela z amerykańskiej produkcji remingtona z długim tłumikiem, eliminującym huk i błysk wystrzału, a przy tym tylko nieznacznie pogarszającym celność. A potem wzgórze uniosło się w górę kilkoma słupami ziemi. Snajper został całkowicie zaskoczony; zniknął w wirze piachu i skał tak szybko, że Jozef nie mógł go nawet wypatrzeć w schodzącej lawinie. Nie zobaczył też, czy Selome Nagast i Philip Mercer zdążyli się ukryć w sztolni. Było możliwe, że zmiażdżyły ich tony kamieni.

Skontaktował się przez radio z resztą zespołu, uznając, że kopalnia jest atakowana. Dwuosobowy zespół zameldował, że w ich sektorze nic się nie dzieje.

Jeśli to nie był atak, to Jozef nie miał pojęcia, co się stało. Obserwował ucieczkę Mercera z zagrody i śledził go, kiedy ten poruszał się ukradkiem po obozie, najpierw idąc do namiotów, a potem po Selome. Ich rajd do kopalni w małej ładowarce był dla niego niepojęty. Jozef nie rozumiał, czemu nie próbują uciec z doliny. A potem lawina. Przyszło mu do głowy, że może

eksplozje są skutkiem uruchomienia pułapki założonej w wejściu do tunelu, mającej zapobiec dostaniu się tam niepowołanych osób. Innego wyjaśnienia nie widział.

A potem wszystko zrozumiał. Lawina zamknęła starożytną kopalnię! Gapił się na stopy ziemi i kamieni blokujące wejście, zupełnie oniemiały. Cała praca włożona w jej otwarcie poszła na marne, i mogło to być winą jedynie Philipa Mercera. Jozef modlił się, żeby Amerykanin został zgnieciony na mokrą płamę. Mercer zaprzepaścił jego szansę na odzyskanie Tabernakulum Pana, świętej Arki, w której Mojżesz wniósł Słowo Boże do Izraela.

Izraelczycy obserwowali kopalnię, odkąd z zachodu nadjechał konwój ze sprzętem, a zaraz po nim przybyły setki uchodźców. Znaleźli dolinę, lecąc samolotem wynajętym w Asmarze, wykorzystując mapę zdobytą przez rabina Jadida. Wylądowali trzydzieści kilometrów dalej i Jozef i pozostali potrzebowali tylko jednego dnia, żeby dojść na miejsce i wyznaczyć punkty obserwacyjne obsadzone przez całą dobę.

Przez cały ten czas żaden z nich nie zobaczył niczego, co by chociaż z grubsza przypominało Arkę Przymierza wydobytą z kopalni. Jozef założył, że artefakt wciąż jest w niej pogrzebany. Górnicy mieli większą szansę znalezienia go niż komandosi, miał więc nadzieję przypuścić szturm, kiedy Arka zostanie odnaleziona i wydobyta na powierzchnię. Doskonałe wyszkolenie jego ludzi gwarantowało, że nie będą mieli problemów z zabezpieczeniem jej na powierzchni.

Ale wydarzenia w kraju wszystko to zmieniły.

Podczas ostatniej rozmowy Levine powiedział mu, że jego agentom w Izraelu nie udało się wpaść na trop Harry'ego White'a. Jozef musi znaleźć ?ń?

Arkę przed jego przesłuchaniem, inaczej operacja skończy się fiaskiem. Jak dotąd w społeczności wywiadowczej nie ogłoszono żadnego alarmu, ale obaj wiedzieli, że kiedy starzec opowie swoją historię, śledztwo dotrze do ministra. To tylko kwestia czasu. Levine rozkazał Jozefowi i jego ludziom przejść kopalnię i znaleźć Arkę. Jozef wyczuwał bijący od jego planu smród desperacji.

Na początku Levine chciał wejść w posiadanie Arki, żeby zapewnić sobie wybór na fotel premiera, teraz jednak może być mu potrzebna, żeby wybronić się przed sądem. Zapewnił Jozefa, że wciąż może liczyć na wsparcie powietrzne CH-53 Super Stalliona, czekającego w pogotowiu. Levine musi tylko dać znać cztery godziny wcześniej, żeby śmigłowiec i latające cysterny wystartowały.

Tłumiąc emocje, Jozef nadal obserwował obozowisko w dole. Zobaczył, jak dwaj biali przywódcy ekspedycji zaczynają zaprowadzać porządek. Założył, że jeden z nich to Giancarlo Gianelli, a drugi, potężniejszy, to jego sztygar. Jozef nie słyszał ich głosów, ale gesty i prędkość, z jaką wykonywano ich polecenia, zdradzały, że mają całkowitą kontrolę nad sytuacją. W kilka minut wokół osuwiska rozstawiono dodatkowe lampy i uruchomiono wielką koparkę, której reflektory przeszyły deszczową noc. Mechaniczne ramię zaczęło wgrzyzać się w luźny nasyp, ryjąc w nim długie bruzdy.

Jozef zobaczył, że paru uzbrojonych Sudańczyków biegnie w ciemność, i uznał, że ścigają Erytrejczyków, którzy uciekli z zagród za Mercerem i Selome. Dwadzieścia minut po katastrofie usunięto już ćwierć osypiska. Izraelczyk był pełen podziwu, jak skutecznie biali kierują robotnikami.

Może, pomyślał, jest jednak jakaś nadzieja? Wszystko wskazywało, że uda się oczyścić sztolnię w zaledwie kilka godzin. To oznaczało, że on i jego ludzie będą się mogli później dostać się do środka i zabrać to, po co przyjechali. Cały czas do pracy zapędzano kolejnych Erytrejczyków, którzy weszli na górę kamieni ze szpadlami i kilofami, pomagając maszynie.

Jozef leżał w zagłębieniu między kilkoma głazami. Deszcz lał niemiłosiernie, zmieniając wierzchnią warstwę ziemi w szlam spływający w dół zbocza. Wściekał się na myśl, że Arka zostanie jeszcze jednym narzędziem politycznym, a jej symbolika zostanie splamiona tym, jak ją zdobędą. Ale czuł się usprawiedliwiony, bo Arka musi się znaleźć w Izraelu. Teraz, kiedy Levi-ne został zapędzony w kozi róg, jej zdobycie może oznaczać różnicę między więzieniem a wolnością dla nich wszystkich.

Jakiś hałas odwrócił jego uwagę od robotników oczyszczających sztolnię. Ktoś był na zboczu, mijał go z boku, uciekając z obozu. Jozef pomyślał, że to jeden z uciekających Erytrejczyków. Wsunął się trochę głębiej w swój dołek. Gdyby Erytrejczyk czy któryś z żołnierzy się na niego natknął, Jozef zabiłby go bez wahania. Jeśli nie zostałby odkryty, zamierzał pozwolić im uciec.

?fi-ł Zapomniał o hałasie i znów skupił się na kopalni, kiedy usłyszał głos. Pomyślał, że to może dwóch Erytrejczyków

spotkało się w ciemności i miał już wrócić do obserwacji, kiedy uświadomił sobie, że słyszy tylko jeden głos. Jakiś mężczyzna rozmawiał przez telefon.

I mówił po angielsku.

KOPALNIA

Wtedy tylko ziemia przestała drżeć, Mercer zaczął tłuc ocalałe żarówki kolbą AK-47. Selome nie zwróciła uwagi na to dziwne zachowanie. Patrzyła w głąb sztolni oczami zamglonymi z wrażenia. Dopiero drugi raz widziała wewnątrz kopalni i wciąż czuła podziw dla ludzi, którzy jązbudowali. Wiedziała, że wydrążyli ją niewolnicy, dzieci zaharowujące się na śmierć, ale mimo to sztolnia była namacalnym fragmentem jej dziejów, a jako Żydówka wiedziała, jak niewiele pozostało relikwii jej wiary.

– Selome! – zawołał Mercer.

– Tak?

– Weź się w garść. Strażnicy z kopalni przyjdą sprawdzić, co się tu dzieje, i musimy być gotowi.

Podszedł do niej w ciemności i wziął ją za rękę.

– Weź to.

Podał jej małą kieszonkową latarkę, którą miał w torbie, i zaprowadził do ładowarki.

– Kiedy ścisnę cię za rękę, włącz ją i poświeć w głąb tunelu. Sztolnia miała dwa kilometry długości i trwało kilka minut, zanim Sudańczycy pilnujący pracujących niewolników wysłali kogoś, żeby sprawdził, co się dzieje, a ten nieszczęśnik z kolei dotarł do końca tunelu. Mercer słyszał niepewne kroki szurające po skale. Sudańczyk szedł przez zaciemniony odcinek tunelu, gdzie czekali Philip i Selome. Kiedy Mercer ocenił, że

mężczyzna jest kilka metrów od niego i maca ścianę jak ślepiec, ścisnął dłoń Selome.

Latarka nie była silna, ale po całkowitej czerni jej promień oślepił. W powietrzu wisiały kłęby kurzu gęste jak nowoangielska śnieżycyca, a na samym skraju plamy światła stał zmartwiałym żołnierz, mrużąc oczy. Kiedy tylko Mercer zobaczył uzbrojoną postać, wystrzelił.

– Jeden załatwiony, jeszcze czterech.

Wcześniej Gianelli wyznaczał po dziesięciu Sudańczyków do pilnowania każdej zmiany, ale zmniejszył ich liczbę do pięciu, ponieważ niewolnicy nie sprawiali problemów. Mercer wstał, podał karabin Sudańczyka Selome i ruszył w stronę sklepionej jaskini.

– Mercer, jak my się stąd wydostaniemy? Przecież to wejście musiały zawalić tysiąc ton skał.

Selome nie znała Mercera na tyle dobrze, by wiedzieć, do czego jest zdolny, więc w jej głosie pobrzmiwała panika.

– Nie martw się. Kiedy tu dzisiaj skończymy, w tym tunelu będzie jeszcze tysiąc ton więcej.

Żarówki na suficie były chronione metalowymi kratkami, a w miarę jak zbliżali się do wyrobiska, Mercer tłukł je, żeby nie ułatwiały orientacji kolejnym nadchodzącym żołnierzom. Po dwudziestu minutach skradania się byli kilka metrów od jaskini. Wciąż nikt nie przyszedł sprawdzić, co zabiło ich towarzysza w tunelu.

– Cholera – zaklął Mercer. – Są bardziej zdyscyplinowani, niż myślałem. Miałem nadzieję, że załatwię w tunelu jeszcze jednego.

Jaskinia była jak zwykle dobrze oświetlona i rozbrzmiewała warkotem generatorów, który zagłuszył prawdopodobnie wystrzał Mercera. Maszyny jednak nie pracowały. Erytrejczycy opierali się na młotach pneumatycznych, a ich strażnicy zdezorientowali popatrywali na siebie. Praca ustała w oczekiwaniu, co będzie dalej. Afrykanerski górnik wydawał się jedynym człowiekiem, którego katastrofa nie sparaliżowała. Oświetlał halogenową lampą kopulaste sklepienie, sprawdzając, czy eksplozja i lawina go nie uszkodziły.

– Ten zawał groźnie wygląda – szepnął Mercer – ale Gianelli szybko go usunie. My mamy jeszcze dużo do zrobienia.

– Co teraz?

– Musimy obezwładnić resztę strażników, a potem zrobimy sztuczkę ze znikaniem.

– Co jest „sztuczka ze znikaniem”?

– Sprawię, że wszyscy w tej komorze rozplyną się w powietrzu. – Mercer zobaczył niedowierzanie na twarzy Selome i uśmiechnął się wesoło. – Wierzysz w czary?

Na zewnątrz kopalni ludzie pracowali pospiesznie, poganiiani brutalnie przez Sudańczyków oraz cięte języki Joppiego Hofmyera i Giancarla Gianellego. Włoch wpadł we wściekłość, wrzeszczał na wszystkich i kopał ziemię jak rozhisteryzowane dziecko. Darł się na Hofmyera i trzech pozostałych Burów, krzyczał na Erytrejczyków i Sudańczyków, chociaż nie rozumieli ani słowa. Wiedział już, co się stało. Mercera nie było w zagrodzie mężczyzn, w kobiecej pozostało tylko kilka starych i chorych kobiet. Pod drutem kolczastym znaleźli dwa trupy,

a kilkunastu robotników zniknęło w ulewie i burzy. Gianelli przeczuwał, że lawina była dywersją Mercera, mającą odwrócić uwagę od uchodźców i wymusić otwarcie jaskini, kiedy uciekali. Gianelli jednak wciąż miał pod dostatkiem ludzi, by wyłapać uciekinierów i zlikwidować osuwisko.

Ogólnie rzecz biorąc, Mercer zrobił niewiele, by odwieść Gianellego od jego planu. Hofmyer zapewniał przemysłowca, że wkrótce otworzy sztolnię na nowo. Uwięzieni ludzie powinni być w dobrej kondycji i było możliwe, że du Toit, który był nadzorcą wewnątrz, każe im dalej pracować, pewien, że towarzysze go uratują.

– Założę się, że nie stracimy przez to więcej niż kilka godzin – powiedział. – A Mercer jest uwięziony wewnątrz góry. Nie licząc paru strażników, których zabił, i małego utrudnienia, nic nam nie zrobił, przysięgam.

– Tak, a w sejfie, który ten drań zasypał w tej górze, jest kilka tysięcy karatów diamentów, i cała ta operacja pójdzie na marne, jeśli ich nie odzyskamy. Ja bym tego nie nazwał małym utrudnieniem.

– Panie Gianelli, założę się, że ten sejf jest kilka metrów w głąb tunelu. Strażnik przy wejściu do sztolni powiedział, że tuż przed lawiną ładowarka bardzo wolno jechała.

Gianelli obrócił się gwałtownie.

– Lepiej miej taką nadzieję! – krzyknął, pryskając kropelkami śliny. – Zginął telefon satelitarny Mercera, co oznacza, że niedługo dowiedzą się o nas władze. Muszę mieć te kamienie. Mamy jeszcze czas, ale niewiele.

Ludzie i maszyny nadal rozdzielali hałdę ziemi i kamieni, zakrywającą sztolnię. Ocena Hofmyera wydawała się zawyżona. Według Gianellego tunel zostanie odsłonięty za dwie godziny, może mniej. Jeden z południowoafrykańskich górników wpadł na pomysł wykorzystania pomp przywiezionych do opróżniania włoskiej kopalni, i użycia ich do zasilania armatki wodnej. Maszynę włączono na oczach Gianellego, czerpiąc wodę z jeziora deszczówki, które urosło do ogromnych rozmiarów. Strumień pod wysokim ciśnieniem wbił się w osuwisko jak wiertło, zmywając ziemię i mniejsze kamienie.

Tak, pomyślał Gianelli, może nie będzie tak źle. Miał nadzieję, że Mercer przeżył zawał, bo chciał oglądać jego śmierć, o wiele powolniejszą. Myśl ta dała mu ponurą satysfakcję.

Mercer nie wiedział, jak wyeliminować czterech Sudańczyków pilnujących wyrobiska. Chciał uniknąć strzelaniny, ponieważ on i Selome mieli tylko dwa karabiny i ograniczoną liczbę amunicji. Kiedy czekał na inspirację, uśmiechnęła się do niego opatrzność. Biały górnik – Mercer przypomniał sobie, że nazywał się du Toit – ruszył z wykopu do sztolni, chcąc sprawdzić, co się dzieje. Mercer i Selome byli tak ukryci, że Bur zobaczy ich dopiero, kiedy prawie na nich wejdzie.

Selome odczytała zamiary Mercera i przeskoczyła na drugą stronę tunelu, tak, żeby du Toit nie zdołał uciec. Bur przeszedł między nimi, świecąc latarką prosto przed siebie. Mercer wyszedł zza dużego głazu, trzymając karabin na wysokości brzucha i mierząc w krocze du Toita.

Afrykaner podniósł ręce tak szybko, że uderzył nimi o niski sufit. Selome prychnęła cicho, zachodząc go od tyłu, a górnik jeszcze mocniej przycisnął dłonie do skały.

– Mądra decyzja – powiedział cicho Mercer. – A teraz wracamy do komory i zobaczymy, czy uda ci się przekonać Sudańczyków, żeby zrobili to samo. Kiwnij głową, jeśli uważasz, że to dobry pomysł.

Du Toit energicznie pokiwał głową, chociaż nie odrywał wzroku od otworu lufy kaliber 7,62 milimetra wymierzonej w jego genitalia.

– To dobrze, bo jeśli nie będziesz przekonujący, zginiesz pierwszy. Mercer stanął na krawędzi wyrobiska i trzymając du Toita za kołnierz, wydał grzmiący, pierwotny ryk. Czterej Sudańczycy wycelowali karabiny w dwójkę stojącą trzy metry nad nimi, ale nie strzelili. Selome szybko podpełzła do przodu, mierząc w nich z AK.

– Rzucić broń! – krzyknęła w tigrinya, a kiedy jeden z Sudańczyków, który znał ten język, posłuchał, pozostali zrobili to samo. Erytrejczycy stojący najbliżej rzucili się na karabiny.

Wielu z nich jeszcze kilka lat temu było żołnierzami, więc posługiwali się bronią ze swobodną wprawą. Zmusili Sudańczyków, by ukłękli, i spytali Selome, czy mogą ich zabić.

– Nie! – krzyknęła. – Musimy mieć amunicję na później, a te psy mogą nam się przydać, kiedy stąd wyjdziemy. – Spojrzała na Mercera i powtórzyła to samo po angielsku. – Pomyślałam, że nie chcesz ich zabijać.

– Słuszne założenie. – Mercer puścił du Toita i zbiegł na dół po rampie. Usiadł przy stoliku służącym za podziemne biuro i zamaszystym ruchem ręki zrzucił z niego próbki skał i sprzęt górniczy.

– Oceniam, że mamy jeszcze trzy godziny, zanim Gianelli się przebijie, więc najpierw musimy postawić przed nim jeszcze jedną zaporę. A potem czeka nas poważne kopanie.

– Jaki masz plan? – Selome dołączyła do niego.

– Pierwsza rzecz to musimy wysłać paru ludzi, żeby przywlekli tu ten sejf. Potem musimy zawalić więcej tunelu, jak najbliżej komory. Mamy tutaj wystarczająco dużo materiałów wybuchowych.

– Nie mówiłeś czasem Hofmyerowi, że trzeba kierować się wybuchów do tunelu, żeby kopuła się nie zawaliła?

Mercer parsknął śmiechem.

– Hofmyer może i jest górnikiem, ale nie geologiem. Ta kopuła jest tutaj od miliarda lat, blisko jednych z najbardziej aktywnych uskoków na ziemi. Jeśli trzęsienia ziemi do tej pory jej nie ruszyły, trzeba by bomby atomowej, żeby ją naruszyć.

– A więc zatkamy tunel. Domyślałem się, że to po to, żeby znów spowolnić Gianellego?

– Zgadza się.

– A co my będziemy robili, kiedy on będzie kopał?

– Mówiłem ci, rozplniemy się w powietrzu.

Mercer wyjął z torby zdjęcia Meduzy i ostrożnie je rozłożył. Kiedy znalazł to, o które mu chodziło, pokazał je Selome.

Przyjrzała się nieczytelnej plątaniu linii, zakrętasów i kolorowych plam.

– Przykro mi, ale nic z tego nie rozumiem.

– Gdyby Alicja miała takie zdjęcie, nie zgubiłaby się w Kra-
inie Czarów. – Mercer uśmiechnął się szeroko. – Wyjaśnię ci
wszystko za chwilę, ale najpierw musimy zagonić tych ludzi do
roboty. Podzielimy się na dwa zespoły, więc będziesz musiała
dla mnie tłumaczyć, chyba że ktoś jeszcze mówi po angielsku.

Dwadzieścia minut później Mercer miał w sztolni dwudzie-
stu ludzi. Fluorescencyjną farbą zaznaczył na suficie miejsca,
gdzie chciał mieć wywiercone otwory, a z kawałka pręta zro-
bił przyrząd do mierzenia głębokości. Na długości trzydziestu
metrów było około trzydziestu jaskrawych pomarańczowych
plam. Wyjaśnił, a Selome tłumaczyła, że połowa otworów ma
być wywiercona pionowo w górę, a druga połowa pod kątem,
co miało skierować siłę wybuchów w bardziej przypadkowych
kierunkach. Kazał się poinformować, gdy zostanie wywierconych
pierwszych piętnaście dziur, żeby zacząć zakładać ładunki.

Przez kilka minut przyglądał się, żeby mieć pewność, że
robotnicy wiedzą, o co mu chodzi, i z satysfakcją zauważył, jak
sprawnie obchodzą się ze świdrami. Każdy ważył trzydzieści
kilo i były nieporęczne jak podkłady kolejowe, a mimo to Ery-
trejczycy posługiwali się nimi z wprawą zawodowców. Woda
ze zbiornika nawilżała tnące głowice świdrów i ze sklepienia
równym strumieniem posypały się kawałki skały i błoto. Jeden z
mężczyzn pomachał do Mercera, wyciągając świder z pierwszej
gotowej dziury.

– Atakuj dalej, stary. – Mercer klepnął go w ramię, a górnik zaczął wiercić następny otwór w zaznaczonym miejscu.

Zostawił robotników przy pracy i wrócił do stolika ze zdjęciami Meduzy. Selome przygotowała dla niego trochę jedzenia i wody. Zjadł, przyglądając się jednej z fotografii. Selome siedziała obok, patrząc na niego, ale on nie zwracał na nią uwagi. Jego twarz zmieniała się w maskę koncentracji, a kiedy popatrzył na Selome znad zdjęć, spojrzenie miał twarde, a minę zaciętą.

Bez odpowiednich narzędzi i pomiarów postawił sobie niemal niewykonalne zadanie i słuchając łomotu świdrów wierzących w tunelu, czuł na swoich barkach brzemień odpowiedzialności. Potrzebował zawału, który spowolniłby Gianellego, a nie zupełnie go zniechęcił. Wiedział, że jest szansa, iż przy wysadzaniu tunelu zawali się on na całej długości. Gdyby Włoch zdecydował się porzucić diamenty, które Mercer ukradł, nie mieli dość paliwa do świdrów ani materiałów wybuchowych, żeby wydostać się na zewnątrz. Rozmyślnie pogrzebał ich żywcem, a kontynuując swój plan, może uwięzić ich na zawsze, zabijając Selome i jeszcze czterdziestu ludzi.

Selome dotknęła jego pokaleczonej dłoni, a on spojrzał w jej ciemne oczy.

– O ile coś ci to da, ja w ciebie wierzę – powiedziała.

– Tym razem to chyba nie wystarczy – westchnął, ale podniósł się i przywołał grupkę górników czekających na polecenia.

Podeszli do jednego z głębszych szybów wydrążonych w podłożu jaskini. Dno piętnastometrowej jamy niknęło w ciemności. Mercer zszedł na dół po drabinie, za nim Selome i Erytrejczyk

kierujący grupą. Mercer potrząsnął puszką sprayu, a kulka w środku zagrzechotała. Zerknął jeszcze raz na zdjęcie z Meduzy i nakreślił dwie przecinające się linie w południowym rogu szybu.

– To jest to miejsce – powiedział, rzucając puszkę na ziemię.
– Jeśli będziemy tu kopali szybciej niż Bob Budowniczy, to może wyjdziemy z tego wszystkiego żywi.

Następne pytanie Selome zniknęło w hałasie opuszczanego do szybu sprzętu. Kilka chwil później Mercer, bez koszuli, oparł się o wielki młot pneumatyczny przyłożony do skalistego dna.

– Ratuje nas tylko to, że nie ma tu kimberlitu. Pierwsi górnicy kopali tu jak wściekli, ale niczego nie znaleźli. Skała jest tu dużo bardziej miękka. Gdyby było inaczej, mój plan by się nie powiódł.

– Co jest pod nami? – spytała Selome. Spojrzał na nią.

– Prawdziwa kopalnia króla Salomona – odrzekł, po czym otworzył zawór skompresowanego powietrza na młocie, i wyglądało to tak, jakby skała pod jego ostrzem pękła od samego rozrywającego uszy jazgotu.

DOLINA UMARŁYCH DZIECI PÓŁNOCNA ERYTREA

Już kilka minut po ucieczce z obozu Habte Makkonen zorientował się, że został zauważony i jest obserwowany, ale nie zmienił tempa ani kierunku. Gdyby to zrobił, zaalarmowałby śledzącego. Obserwator był dobry, nawet bardzo, a burza dodatkowo ułatwiała mu zadanie, ale Habte nie przeżyłby tylu lat na pierwszej linii walk podczas rebelii, gdyby nie był jeszcze lepszy.

¶6Q

Oprócz tego, że sam nie miał broni, a śledzący tak, były jeszcze dwa inne problemy. Po pierwsze, góry okalające dolinę były strome i zbyt zdradzieckie, żeby wspinać się na nie w deszczu, a dno doliny zapewniało niewielką osłonę. Po drugie, jeśli pościg został podjęty tak szybko, to nie mógł to być żaden z Sudańczyków. Afrykanie nie zdążyli jeszcze zorganizować poszukiwań, kiedy Habte uciekał z obozu. Mogli to być tylko snajperzy, którzy otworzyli ogień na chwilę przed tym, jak ładunki wybuchowe zasypały kopalnię. Habte był także pewien, że obserwator ma gogle noktowizyjne, a jego karabin – noktowizyjną lunetę.

Snajper, z pewnością izraelski agent, jest zainteresowany kopalnią – według tego, co powiedział Mercer – ale Habte domyślał się, że w tym momencie bardziej interesuje go on. Wykonał już jeden, nieudany telefon do Dicka Henny. Mówił

przez kilka sekund, zanim zdał sobie sprawę, że nagrany głos, który słyszy, mówi mu, że nie może nawiązać połączenia i każe spróbować ponownie. Izraelczyk musiał usłyszeć, jak Habte mówi do nieznanego sobie urzędnika. Makkonen przeklął własną głupotę – mógł zadzwonić, będąc dalej od kopalni. Jeśli ma szybko powiadomić Hennę, nie może czekać, aż snajper sobie pójdzie. Musi się go pozbyć.

Omijając starożytnie osuwisko, zobaczył na równinie coś, co nasunęło mu pewien pomysł. Zastanawiał się, czy snajper mu na to pozwoli. Marsz przez tysiąc metrów otwartego terenu ze snajperskim karabinem wymierzonym w plecy nie był najgenialniejszym planem taktycznym, ale Habte miał nadzieję, że jeśli będzie szedł równo i spokojnie i co kilka minut zatrzyma się, pozwalając snajperowi podejść bliżej, może mu się udać.

Stara wieża wyciągowa stała zapomniana na otwartej pustyni. Sąsiednie budynki wyglądały w mroku nocy jak pozbawione detali ciemne bryły. Co kilka sekund upiorną kopalnię oświetlała błyskawica, ukazując zarys szkieletowej konstrukcji, która kiedyś wyciągała górników i bezwartościowy urobek. Spokojnie, jakby spacerował, Habte odbił od wzgórz i skierował się w jej stronę. Oczekiwał kuli w plecy, ale kiedy nie dostał jej po pierwszych czterdziestu metrach, przystanął, pozwalając snajperowi zająć lepszą pozycję. Tak długo, jak długo Izraelczyk nie boi się, że Habte da nogę, nie powinien strzelić.

Kopalnia była na tyle daleko od opuszczonego szybu, że gdyby snajper chciał, mógłby przywoździć Habtego kilkoma celnymi strzałami i go przesłuchać. Na tym właśnie polegał

plan Erytrejczyka: wiedział, że strzelca bardziej interesują jego zamiary niż jego śmierć. Szedł powoli, niemal spacerowym krokiem, jakby nie było burzy. Raz, zdawało mu się, usłyszał snajpera skradającego się po wzgórzach; śliski syk osypujących się kamieni, zdradzających jego pozycję i fakt, że się zbliżał.

A potem nagle Habtemu wpadła do głowy pewna myśl i ruszył biegiem, pracując nogami, wymachując rękami i ciężko dysząc po latach palenia. Padł wytłumiony strzał, kula minęła go i odbiła od ziemi daleko po prawej. Snajper strzelał w desperacji: źle ocenił odległość, bo nie widział Erytrejczyka w celowniku. Habte domyślił się, że nagłe rozbłyśki elektryczności przecinające burzę osłepiłyby strzelca, gdyby miał jakieś urządzenie wzmacniające światło. Snajper nie może używać noktowizora ani lunety! Chociaż Izraelczyk wciąż był uzbrojony, szanse wyrównały się z powodu zwykłego zjawiska atmosferycznego.

Habte zanurkował do szopy, w której obozowali, kiedy przyjechali do doliny po raz pierwszy. Miał tylko kilka chwil, zanim jego prześladowca dotrze do budynku, i potrzebował ich wszystkich, żeby wprowadzić w życie swój plan. Zerwał z siebie ubranie, rzucając mokre łachy na podłogę, i nagi wyskoczył na deszcz. Jego czarna skóra lśniła od wody, ale dla swojego celu będzie niewidzialny.

Izraelski snajper może i był najlepiej wyszkolonym żołnierzem na świecie, ale doświadczeniem nie mógł się równać z Habtem. Biegnąc w stronę wieży wyciągowej, bezgłośnie stąpając po błocie, Erytrejczyk czuł, że szanse się wyrównują. Jedną z rzeczy, które pozwoliły mu przeżyć lata walki z Etiopczykami,

była znajomość ludzkiej natury. Wiedział, co inni zrobią, zanim oni sami to wiedzieli.

Nie zwracając uwagi na trzydziestometrową otchłań pod kratownicą podpór wieży, Habte skoczył na jedną z nich, bez zatrzymywania się pokonując trzy metry w górę, ignorując to, że kaleczy się o ostre kanty i nierówną powierzchnię metalu. Wetknął telefon satelitarny między dwa legary i przywarł mocno do konstrukcji, niewidoczny z dołu. Wątpił, czy Izraelczyk widział wcześniej kopalnię, i był pewien, że snajper nie oprze się pokusie zajrzenia w czarną przepaść szybu.

Mężczyzna zarzucił długi karabin na ramię i szedł powoli, z uzi przyciśniętym mocno do boku i bulwą noktowizora na głowie. Ubrany był w kombinezon maskujący ghillie, uszyty z setek kawałków, i z niewielkiej nawet odległości wyglądał jak krzak. Kombinezon był tak mokry, że według oceny Habtego żołnierz dźwigał na sobie dodatkowych piętnaście kilo, co musiało spowalniać jego ruchy.

Ze skwierczącym trzaskiem niebo rozdarła błyskawica i Izraelczyk potoczył się na ziemię, pod ścianę szopy, osłaniając odkryty prawy bok pistoletem maszynowym. Podejrzenia Habtego się potwierdziły – ruchy mężczyzny były spowolnione. Z tej odległości poświaty wystarczyło, żeby widzieć, jak Izraelczyk nasuwa gogle na oczy i rozgląda się po obozie, zaglądając także do szopy, po czym znów je zdejmuje. Przez chwilę patrzył na wieżę, ale nie zauważył Habtego.

Zgodnie z przewidywaniami wydawał się bardziej zainteresowany szybem kopalni jako jedynym logicznym miejscem,

w którym mogła się ukryć jego ofiara, i zaczął pełznąć w jego stronę. Habte ocenił, że za kilka sekund będzie mógł skoczyć na żołnierza.

Dźwięk był tak głośny, że słyhać go było przez huk burzy, i tak niedorzeczny, że Habte zaczekał, aż zabrzmi drugi raz, zanim zareagował. Telefon satelitarny miał właśnie zadzwonić po raz trzeci, kiedy Erytrejczyk pospiesznie i nieporadnie strącił go z legarów. Izraelczyk był tak samo zaskoczony, ale w jego ruchach nie było nieporadności. Przetoczył się na plecy, przykładając uzi do ramienia, a kiedy telefon zadzwonił, wycelował dokładniej. Reagował instynktownie. Zużył pół magazynka; z lufy broni wystrzelił długi jęzor ognia, a o stalowe rusztowanie zadzwoniły pociski.

Celował jednak w spadający telefon, nie w ciemną postać zaczajoną w mroku nad sobą. Habte skoczył z wieży w noc, lądując kilka metrów od Izraelczyka. Snajper szarpnął się, wymierzając uzi w stronę toczącą się ku niemu zjawy. Zajął mu to o sekundę za długo, a choć atak Habtego był słaby, wystarczył, żeby odtrącić lufę uzi. Seria dziewięciomilimetrowych kul poszła w niebo.

Telefon wytrzymał upadek i nie został trafiony przez pierwszą salwę, więc znów zadzwonił.

Z uzi ściśniętym między dwoma szarpiącymi się postaciami, Habte miał przewagę. Izraelczyk szamotał się z nim, ale naga, mokra skóra Erytrejczyka nie pozwalała go złapać. Habte chwycił snajpera za kombinezon i zaczął nim szarpać, tłukąc jego głową w błoto. Nawet kiedy przeciwnik usiłował zarzucić na niego nogę i przetoczyć się na wierzch, jego stopa tylko

ześliznęła się po nagiej skórze Habtego. Ten jednak nie mógł złapać go wystarczająco mocno, by wepchnąć mu twarz w błoto i go utopić, więc szarpali się dalej w makabrycznej parodii seksu, napierając na siebie ze splecionymi rękami i nogami.

Szala przechyliła się, kiedy Izraelczyk chwycił genitalia Makkonena i ścisnął je z całej siły. Erytrejczyk zawył i wyprężył się w łuk, chcąc się wyrwać, ale snajper trzymał jak imadło. Habte zdołał uwolnić jedną rękę, zacisnął palce na gardle przeciwnika i wyrznął go czołem w twarz, wybijając mu zęby. W ustach żołnierza wezbrała krew. Z prawie zmiażdżoną tchawicą, topiąc się we własnej krwi, Izraelczyk zaczął umierać, a jego uchwyt na jądrach Habtego zelżał.

Erytrejczyk nie puszczał go jeszcze długo po tym, jak snajper przestał się szamotać, i wstał dopiero wtedy, kiedy był pewien, że wycisnął z niego życie. Przyjrzał się twarzy mężczyzny i rozpoznał w nim kierowcę samochodu stojącego pod hotelem Ambasoira, kiedy Sudańcy i Izraelcy wpadli na siebie w pokoju Mercera. Żałował, że to nie szef izraelskiego zespołu leży tu zakrwawiony w błocie, ale to musi jeszcze poczekać.

Dzwonienie telefonu nim wstrząsnęło. Podniósł się z wysiłkiem z ziemi i znalazł małe urządzenie na pół pogrzebane w błocie. Wylądowało centymetry od skraju szybu.

Habte otworzył telefon i wcisnął przycisk odebrania rozmowy. Jego głos był zbolalym jękiem.

– Halo, dodzwoniliście się państwo na telefon Philipa Mercera. Philip Mercer został pogrzebany żywcem. W czym mogę pomóc? Nazywam się Habte Makkonen.

Ludzie pracujący przy oczyszczaniu wejścia do sztolni usłyszeli i poczuli kolejną eksplozję głęboko pod sobą – grzmot, od którego zatrzęsła się ziemia. Gianelli zapytał Hofmyera, czy wie, skąd ta podziemna detonacja. Bur nie umiał na to odpowiedzieć; zamiast spekulować, czego Gianelli chyba oczekiwał, wysłał tylko kopaczy z powrotem do pracy. Minęło jeszcze czterdzieści minut, zanim udało się poszerzyć otwór tak, żeby mógł się w nim zmieścić człowiek.

Hofmyer wszedł pierwszy, oprócz lampy na górniczym kasku niosąc też mocną latarkę. Gianelli wgramolił się do sztolni za nim i obaj ruszyli w głąb czarnego korytarza. Hofmyer patrzył cały czas na ściany i sklepienie, wypatrując nowych szczelin w skale. Co kilka kroków stukał w ścianę młotkiem, nasłuchując głuchego odgłosu oznaczającego osłabione miejsce. Gianelli wpatrywał się przed siebie, myśląc tylko o odzyskaniu diamentów.

– Musieli próbować wysadzić sejf. To właśnie słyszeliśmy – powiedział Hofmyerowi, który go nie słuchał. – Mercer ostrzegął, żeby nie używać w jaskini materiałów wybuchowych bez mat, więc to nie mogło być nic innego.

Światło penetrowało zaledwie na długość kilku kroków dławiące kłęby kurza zmieszane z chemicznym smrodem materiałów wybuchowych. Jak dotąd tunel prowadzący w głąb góry był cały.

Hofmyer pierwszy zobaczył nowy zawał. Ocenił, że są jakieś sześćdziesiąt metrów od komory. Gruz blokował przejście od sufitu do podłogi, ale nie był tak ściśle upakowany jak pierwszy.

Skąła była luźna i osuwała się, trącona stopą, a kiedy Hofmyer odrzucił kilka kamieni, z góry nic nie spadło.

– O co tu chodzi? – mruknął Gianelli.

– Nie mam pojęcia, ale jeśli Mercer myśli, że to nas zatrzyma, to ma posra-ne w głowie – prychnął Hofmyer. – Przekopimy się przez to w mgnieniu oka.

– Na pewno?

– Tak, sklepienie wygląda stabilnie, ale na wszelki wypadek podeprzemy je, kiedy już wybierzemy gruz. – Hofmyer zakończył oględziny osypiska i odwrócił się do swojego pracodawcy. Gianelli obiecał mu premię zależną od tego, jak szybko odzyskają diamenty, miał więc motywację, żeby wdrzeć się do kopalni. – Mówiłem panu, że czytałem o tym Mercerze w pismach branżowych i słyszałem od kumpli w RPA. Spodziewałem się po nim o wiele więcej. Takie zasypanie tunelu to betka. Nie wiem, w co on pogrywa, ale zaczyna mnie wkurzać.

18 — Kamień MpHu7V

– Kiedy go dorwiemy, będzie żałował, że nie zginął w lawinie.

Kiedy wejście do sztolni zostało całkowicie odsłonięte, Hofmyer kazał Erytrejczykom usunąć gruz z zawałonego tunelu. Eksplozja rozbiła duże kamienie na łatwe do wynoszenia kawałki. Szybko uformowano łańcuch z ludzi podających je na zewnątrz. I tak jednak zajęło to prawie dwie godziny. Droga na powierzchnię była daleka. Hofmyer użył specjalnych rozporowych stempli do podpierania sklepienia.

Gianelli stał obok Bura, kiedy przedarli się do komory. Hofmyer zajrzał do środka, na wszelki wypadek trzymając w ręku pistolet. Przez długą chwilę milczał.

– No i? – wydyszał Gianelli.

Hofmyer nie odpowiedział. Kazał kilku robotnikom usunąć resztki gruzu i wczołgał się do sklepionej komory. Ośmielony tym Gianelli deptał mu po piętach. Znaleźli się na skalnej półce nad starożytnym wyrobiskiem. Reflektory wciąż świeciły jasno, zasilane akumulatorami, bo generatory nie pracowały. A nie pracowały, ponieważ zostały zniszczone – mechaniczne wnętrzości wałały się dookoła nich w kałużach oleju. Świdry i młoty pneumatyczne leżały obok, również uszkodzone – gniazda węży powietrznych porozbijano tak, że nie dały się już naprawić.

Nie licząc sprzętu, komora była pusta.

– Zniknęli – stwierdził Gianelli. – Wszyscy zniknęli.

Hofmyer stał obok niego, z niedowierzaniem rozdziawiając usta. Nigdzie nie było śladu Mercera, Erytrejczyków ani sudańskich strażników. Mercer sprawił, że wszyscy zniknęli.

Na przeciwległej ścianie komory, wypisana fluorescencyjną żółtą farbą, półtorametrowymi literami, widniała wiadomość, pięć słów, zostawiona bez wątpienia przez Mercera. Hofmyer, a zwłaszcza Gianelli, poczuli zimny dreszcz. Obaj wiedzieli, że te słowa to w pewnym sensie prawda.

„Czekam na was w piekle”.

KOPALNIA

Uodzinę przed tym, jak Gianelli przekopał się przez pierwsze osuwisko i natknął na zawalony tunel, wyrobisko kopalni wyglądało zupełnie inaczej. Maszyny warczały i łomotały, echo ich pracy odbijało się od kopuły i zagłuszało krzyki i przekleństwa erytrejskich robotników. Wszyscy gorączkowo starali się zmieścić w wyznaczonym przez Mercera niemożliwie krótkim czasie. Wgryzali się w dno szybu jak szaleńcy, wyrabując kawały kamienia, które trzeba było ręcznie wydostawać na powierzchnię. Wydrążyli otwór wielkości człowieka na pięć metrów w głąb, pod kątem do głównego szybu, dokładnie według wskazówek Mercera.

W sztolni prace były mniej gorączkowe, ale równie hałaśliwe. Robotnicy nadal wiercili trzymetrowe dziury w sklepieniu. Mercer wyszedł z szybu i dołączył do nich, pchając wózek wypełniony materiałami wybuchowymi. Każdy ładunek umieszczał bardzo starannie, nie pozwalając, żeby presja czasu wpływała na ten delikatny proces. Selome pracowała razem z nim, podając mu cylindry plastiku z wózka. Wiercący byli kawałek przed nimi, więc dało się rozmawiać, krzycząc.

– Wyjaśnisz mi w końcu, co robimy? – spytała Selome. Mercer nie podniósł wzroku znad uzbrajanego ładunku.

– Tak. Zawalony tunel kupi nam jeszcze kilka godzin, zanim Gianelli do nas dotrze.

– Już to mówiłeś. I powiedziałaś, że wszyscy znikniemy, ale co to znaczy? Mercer odpowiedział na to pytanie pytaniem:

– Zauważyłaś, że coś się nie zgadza, jeśli porównamy kopalnię opisaną przez brata Efraima z tą sztolnią?

Selome pokręciła głową.

– Powiedział, że kopalnia Salomona była wydrążona przez dzieci pracujące jako niewolnicy, tak?

– Tak.

– To wytłumacz mi, po co dzieciom taki wysoki i szeroki tunel. Poza tym, jak to możliwe, że trafiły prosto na złożę kimberlitu? Szansa na to jest mniej więcej jeden do kwadrylionu.

– Nie mam pojęcia. – Było oczywiste, że nie przyszło jej to do głowy.

– Tunel został wydrążony już po tym, jak odkryto kimberlit, żeby usprawnić wydobywanie. Został przebity dla mężczyzn, nie dzieci, jest na tyle duży, że dwóch ludzi z koszami urobku może się w nim wygodnie mijać. Kimberlit został zlokalizowany w innej sieci korytarzy biegnących pod nami, i tę właśnie kopalnię opisuje Hańba królów.

– O mój Boże – westchnęła Selome. – Miałam to przed oczami, i niczego nie zauważyłam.

– Spokojnie, ja z tego żyję – powiedział Mercer. – Sztolnię wydrążono, kiedy bogactwo złoża ekonomicznie usprawiedliwiło taki wysiłek, zamiast wydobywać urobek przez węższe tunele dla dzieci pod nami.

– A więc ta druga grupa kopie tam, gdzie według ciebie te kopalnie się przecinają? Znalazłeś to miejsce na fotografiach z satelity?

– **Tak. – Mercer skończył uzbrajać ładunek i wepchnął go w otwór nad głową. – Okazało się, że jednak mają jakąś wartość. Kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy w Waszyngtonie, zauważyłem, że na niektórych są białe linie 97S**

i założyłem, że to zniekształcenia albo gęste pokłady minerałów, dające silne echo odbiornikowi pozytronów. Ale kiedy tu trafiliśmy, domyśliłem się, że to puste przestrzenie pod ziemią, tunele takie jak ten.

– I znalazłeś wyjście na powierzchnię? Mercer uśmiechnął się skromnie.

– No, niezupełnie. Pamiętaj, rozdzielczość tych zdjęć była fatalna. Nie mogę powiedzieć, że zgaduję, ale prawie. Mimo to myślę, że tamtędy, gdzie ci ludzie wiercą dostaniemy się do starszych tuneli, tych, o których opowiadał Efraim.

– Nie mówię, że ci nie wierzę, ale co, jeśli tak nie jest?

– Wtedy Gianelli wdrze się do kopalni i wystrzela wszystkich, których zobaczy. – Mercer wzruszył ramionami. – Dotąd mi się udawało, prawda? Może nadal będę miał szczęście.

Zawalili tunel, kiedy tylko Mercer uzbroił ostatni ładunek, po szybkim głosowaniu, czy poddają się Gianellemu, czy spróbują znaleźć wyjście. Mercer czuł, że jest im to winien. Powiedział,

jakie jest ryzyko, ale wszyscy jednogłośnie zagłosowali za ponownym zamknięciem kopalni.

Kiedy robotnicy skończyli wysadzać sztolnię, Mercer skierował ich do pracy w szybie. Wiercili przez kolejną godzinę z wytrzymałością i wydajnością maszyn. Mercer pracował razem z nimi. To jego świder trafił na pustą przestrzeń i wpadł w nią aż po mocowanie. Nie pozwalając sobie na zbyt wielką nadzieję, Mercer wyciągnął go, przyłożył kilkanaście centymetrów dalej i zaczął wiercić drugi otwór. Fragment podłogi się zapadł i Philip znalazł się na skraju czarnej jamy, która nie widziała światła od trzech tysięcy lat. Jego triumfalny okrzyk zaalarmował pozostałych, którzy stłoczyli się dookoła, wzdrygając od cuchnącego odoru rozkładu bijącego z głębin.

Mercer wyłączył świder i dał znak człowiekowi na górze, żeby uruchomił generatory. W kilka chwil szyb wypełniły podekscytowane głosy mężczyzn, którzy jeden przez drugiego zaglądali w ciemność.

– Udało ci się! – krzyknęła Selome i rzuciła się Mercerowi na szyję. Jej namiętny pocałunek wywołał chóralny wiwat robotników i zadowolony uśmiech Philipa.

– Trochę za wcześnie na szampana – ostrzegł. – O jednej rzeczy zapomniałem i być może jest już za późno. Choroba jaskiniowa.

– Choroba jaskiniowa?

– Kryptokoki. To grzyb żyjący w zamkniętych miejscach takich jak jaskinie i opuszczone kopalnie. Wciągnięty do płuc, rozwija się i może wywołać śmiertelne zapalenie opon mózgo-

wych, jeśli szybko się go nie wyleczy. Główna sztolnia była bezpieczna, bo Hofmyer przewentylował ją, zanim wysłał do środka ludzi, ale w tej drugiej kopalni może się od tego roić. – Mercer przerwał, oceniając szanse. – Już odetchnęliśmy powietrzem z dziury i nie mamy innego wyjścia, jak tylko iść dalej.

-nf.

– Jest na to lekarstwo?

– Tak... ee... chyba amfoterycyna i fluorocytozyna. Ale nie mamy czasu, żeby się teraz nad tym zastanawiać. Gianelli dobrał się już do tunelu, a my musimy wprowadzić ludzi do kopalni i ukryć ślady świadczące o tym, że tu byliśmy. – Uśmiechnął się szatańsko. – W tym sejf pełen diamentów.

Minęło kolejnych dwadzieścia minut i byli gotowi opuścić komorę. Mercer umieścił nad szybem skrzynię z tonarru'gruzu, stojącą tak, że jej zawartość można będzie zwalić do wykopu, kiedy wszyscy uciekną przez otwór na jego dnie. Rozkazał także zniszczyć pozostały sprzęt górniczy i zostawił wiadomość dla Gianellego i Hofmyera. Zrzucenie sejfu to otworu powiększyło go na tyle, że ludzie mogli zacząć opuszczać się do ciasnych tuneli na dole.

Mercer rozważał, czy nie zostawić du Toita i Sudańczyków w komorze, ale zdradzą, któredy uciekł, kiedy tylko Gianelli przebije się przez zawaloną sztolnię. Nie mógł się jednak zmusić, żeby ich zamordować. Byli więźniami i zasługiwali na w miarę sprawiedliwe traktowanie. Upewnił się, że są dobrze związani i pilnowani, po czym wpuścił ich do jamy.

Zszedł jako ostatni, ciągnąc za sobą linę, która miała uwolnić zawartość skrzyni z kamieniami. Znalazłszy się w tunelu, odsunął się od otworu, a kiedy uznał, że jest już dość daleko, szarpnął za linę i wstrzymał oddech. Szyb nad nimi wypełniły tony gruzu. O ile Hofmyer nie ma fotograficznej pamięci, nie domyśli się, że szyb został zasypany, ani jak Mercer wyprowadził ludzi z komory. * Dopiero kiedy spadły ostatnie kamyki, Mercer poświęcił chwilę na rozejrzenie się. W świetle latarki tunel miał ledwie metr wysokości i może drugie tyle szerokości, w przekroju raczej okrągły niż kwadratowy. Wszystkie powierzchnie były szorstkie, poznaczone śladami prymitywnych kamiennych narzędzi. Powietrze nadawało się do oddychania, ale z trudem. Przez kilka chwil, które upłynęły od zamknięcia chodnika, zaczynało się psuć. Mercer uświadomił sobie, że musi ustawić swoich czterdziestu ludzi w długi łańcuch, inaczej wyczerpie cały tlen w jednym miejscu, ale nie mógł rozdzielić ich za bardzo, bo mógłby kogoś zgubić.

Z miejsca, w którym siedział, widział trzy rozgałęziające się tunele, jeden w lewo, jeden w prawo, a jeden wznoszący się w górę. Przypominały mu widziane na zdjęciach kanaliki w płucach albo norę jakiegoś gryzonia. Można się tu było beznadziejnie zgubić już po kilku krokach. Przeczował się po leżących na plecach ludziach aż dotarł do początku grupy, mijając Sudańczyków i nie bacząc na ich złowrogie spojrzenia. Selome czekała na niego z latarką. Mieli tylko cztery, ale zasilane były dynamem, więc nie było obawy, że skończą im się baterie. Mimo to w tunelu było tak ciemno, że widać było ledwie na kilka metrów.

– I co teraz, nieustraszony przywódco? – spytała Selome. W jej oczach i uśmiechu malowała się duma z Mercera.

Torba Mercera była wypakowana przedmiotami, które mogły się przydać. Wyjął jedną z zapalniczek, pstryknął nią i obserwował płomyk, aż metal rozgrzał się tak, że trzeba go było puścić. Płomyk palił się równą kolumną, ani trochę nie drgając.

– Nie ma ruchu powietrza, ale to nie znaczy, że go nie znajdziemy, tylko że jesteśmy za głęboko, żeby go czuć. Musimy znaleźć jakieś miejsce i wszystkich w nim zostawić, komorę, w której dzieci musiały spać. Są szanse, że jest umiejscowiona niedaleko naturalnej wentylacji.

– A potem?

– Potem znajdziemy wyjście. Będziemy się mogli poruszać o wiele szybciej, jeśli nie będziemy musieli martwić się o maruderów i naszych więźniów. – Mercer obejrzał się za siebie, nasłuchując ataków kaszlu mężczyzn. Powietrze śmierdziało. – Teraz wiesz, dlaczego nie chciałem zabierać z nami Habtego. Przy tym, ile on pali, nie wytrzymałby tu pięciu minut. Zanim wyjdziemy, powinien się skontaktować z Dickiem Henną i sprowadzić tu ze dwie setki marines, którzy zajmą się naszym włoskim panem.

– A wtedy wrócimy po resztę górników?

– Otóż to.

Ruszyli przed siebie, Mercer pierwszy, Selome tuż za nim. Na czworakach pełzli wijącymi się tunelami, podążając za skaczącym światłem latarki. Po godzinie wszyscy dusili się od wzbijanego kurzu, a w chodniku rozlegał się kaszel jak na oddziale dla gruź-

lików. Erytrejczycy szybko wypijali wodę, żeby ulżyć drapiącym gardłom. Mercer zaczynał się martwić. Muszą znaleźć małą szczelinę w pancerzu ziemi, która pozwalała dotrzeć powietrzu do mrocznego labiryntu.

Przez następne dwie godziny pełzli jak robaki, nie mając chwili ulgi w cierpieniu. Co kilkaset metrów Mercer sprawdzał ruch powietrza, ale za każdym razem płomień zapalniczki palił się równo. Na większych skrzyżowaniach zerkał na zdjęcia Meduzy. Ich rozdzielczość była taka słaba, że linie na zdjęciach nie zgadzały się z trójwymiarową mapą, którą Mercer kreślił w swojej głowie. Za czwartym razem ze złością wepchnął je do torby. Cała nadzieja w jego instynkcie i wiedzy o górnictwie i kopalniach. Tylko on jeden może znaleźć drogę w tym podziemnym królestwie, ignorując szerokie rozgałęzienia, które mogłyby skusić kogoś innego, i prowadząc grupę przez ciasne tunele, które ktoś inny by zignorował.

Mijała właśnie czwarta godzina, kiedy Mercer znów zapalił zapalniczkę. Mały płomyczek odchylił się, tak delikatnie, że Philip by tego nie zauważył, gdyby uważnie się nie przyglądał. Selome zobaczyła wyraz jego twarzy i się uśmiechnęła.

– Chyba damy radę – powiedział.

Komora, którą znaleźli piętnaście minut później, miała około sześciu metrów na sześć i choć było im ciasno, wszyscy się zmieścili. Mercer zauważył, że jest to naturalna formacja skalna, odkryta przez dzieci-górników i wykorzystana przez nie do spania. Była jak ciepłe łono głęboko pod ziemią, schronienie przed morderczą harówką, do której były zmuszane, aż ich

młode życie dobiegało kresu w ciemności. Jaskinia miała około dwóch metrów wysokości i była poznaczona setkami pęknięć. To z jednego z nich, przez labirynt szczelin w litej skale, wpadało świeże powietrze, po smrodzie tuneli słodko pachnące i przyjemnie odświeżające.

Selome oparła się o pierś Mercera, który siedział pod ścianą i odpoczywał. Ludzie leżeli jak zmęczone szczenięta, zbyt zmęczeni, żeby się od siebie odsunąć. Musiało minąć wiele minut, zanim ostatni atak kaszlu ucichł z mokrym chrząknięciem.

– Teraz będzie z górki – powiedział Mercer.

– To znaczy, że%więj?

– Nie. – Pokręcił głową. – Przez ostatnią godzinę szliśmy w górę, więc teraz tunele będą musiały opaść, jeśli mamy znaleźć wyjście.

– Dobra, dość tego. – Selome popatrzyła na niego z udawaną surowością. – Dawalesz mi tajemnicze odpowiedzi i ukrywalesz różne rzeczy, odkad tu weszliśmy, i co chwila wyciągasz z rękawa jakąś sztuczkę. Co teraz wykombinowałeś?

Mercer się zaśmiał.

– Przejrzałaś mnie. Tak, mam jeszcze jedną sztuczkę w zanadrzu. Pamiętasz, kiedy weszliśmy pierwszy raz do kopalni po tym, jak Gianelli złapał nas w klasztorze? Powiedziałem, że szukam drogi ucieczki. – Selome pokiwała głową. – Zauważyłem fragment ściany, jakieś trzydzieści metrów od powierzchni, który wyglądał, jakby został odbudowany. Kamień był tam odrobinę jaśniejszy niż bloki, którymi wyłożono resztę tunelu. Postawiłem nasze życie na to, że jest za nimi inny tunel, zamurowany i ukryty.

– Uważasz, że prowadzą to niego te stare chodniki? Kiwnął głową.

– Ale jeśli nie, to mamy przerąbane.

Odpoczywali pół godziny, zanim Mercer postanowił, że jeśli zostaną tu jeszcze chwilę, zeszywnieją za bardzo, żeby iść dalej. Postawił na nogi Selome i rozmówił się z szefami zmian, prosząc ją, by tłumaczyła. Przedstawił swój plan, a Erytrejczycy go zaaprobowali. Ich wiara w umiejętności Mercera była dla niego inspiracją, ale też brzemieniem. Od tego, co robi, zależy najpierw życie Harry’ego, potem Selome i Habtego, a teraz jeszcze czterdziestu innych osób, plus tych, którzy zostali w zagrodach z drutu. Odepchnął defetyzm. Było za późno, żeby wątpić w swoje decyzje, nawet jeśli wprowadził ich wszystkich w ślepą uliczkę, dosłownie i w przenośni.

– Gotowa? – spytał.

– A powiedziałaś kiedyś, że nie?

– Zuch dziewczyna.

Wyszli z jaskini jednym z większych tuneli. Po kilku sekundach stracili z oczu blask latarek zostawionych Erytrejczykom. Ich własna wydawała się żałośnie słaba w narastającej ciemności labiryntu. AK-47, który niósł Mercer, wydawał się tak samo mało skuteczny na wypadek, gdyby udało im się wyjść na powierzchnię i znów stawić czoło Gianellemu.

Mahdi się nie spieszył. Nie był cierpliwym człowiekiem i spokojne oczekiwanie go frustrowało, ale teraz miało się opłacić. Leżał z trzema innymi Sudań-czykami, ludźmi, którzy służyli pod jego rozkazami od lat, którzy na jego słowo zabiliby albo

sami zginęli. Jego obecność dała żołnierzom dyscyplinę konieczną, by czekać na Amerykanina i jego erytrejską dziewczynę. Leżąc w cuchnącym stosie ludzkich ciał, Mahdi pogratulował sobie, że dotarł tak daleko.

Oczywiście było dziełem przypadku, że akurat rozmawiał z żołnierzami w kopalni, kiedy zjawił się Mercer. To on pierwszy rzucił broń, wyczuwając, że mimo przewagi siły ognia Sudańczyków geolog ma przewagę taktyczną, trzymając na muszce białego sztygara. Kiedy chwilę później zobaczył tę sukę z karabinem, Mahdi pojął, że podjął właściwą decyzję.

Kolejny przypadek zrzucił, że Mahdi miał głowę i prawą część twarzy owiniętą bandażem. Ćwiczył walkę na ostre noże z jednym ze swoich poruczników, jak to mieli w zwyczaju, kiedy żołnierz pośliznął się i zranił Mahdiego w twarz. Rana miała się ładnie zagoić, powiększając kolekcję blizn znaczących jego ciało. Bandaż założony przez lekarza ukrywał jego rysy twarzy na tyle, że nikt nie mógł go poznać, a ponieważ ani Mercer, ani Erytrejczycy nie przyglądali mu się zbyt uważnie, nie wiedzieli, że ich więzień jest dowódcą sudańskich strażników.

Mahdi pozwolił wziąć się do niewoli i pognać w pętach na tę samobójczą misję tylko po to, żeby zobaczyć, jak Mercer dławi się własnym językiem, kiedy nadarzy się okazja, by wyciąć mu go i wepchnąć do gardła. Może uda się także dobrać do tej sukki, zanim ją zabije. Mahdi uśmiechnął się w ciemnej jaskini. Skurcz jego mięśni twarzy u normalnego człowieka wyglądałby jak upiorny grymas. Zastanawiał się, czy da się tak zrobić, że

Mercer będzie jeszcze żył, kiedy on wsadzi erytrejskiej dziwce, ale wątpli. Lepiej najpierw go zabić, a rozrywkę zostawić na potem.

Najpierw musi jednak ruszyć za nimi w pościg. Chociaż łatwo byłoby ich wytropić w zakurzonych chodnikach, nie chciał, żeby za bardzo się oddalili. Czekał, aż kolejni robotnicy zasną, Mahdi porozumiał się na migi z innymi Sudańczykami – używali tego szyfru niezliczoną ilość razy podczas wojny domowej w Sudanie. Jednemu rozkazał poświęcić się podczas próby ucieczki, która da Mahdiemu okazję do zniknięcia. Rozwagał, czy nie zaatakować Erytrejczyków, ale byli uzbrojeni w zabrane strażnikom AK-47. Cicha ucieczka była najlepszym wyjściem, a nawet gdyby Mahdiemu nie udało się zabrać ze sobą jednego z kałasznikowów, ma w bucie nóż.

Czekając na właściwy moment, spojrzął na swoje buty i przypomniał sobie łysego grubasaj do którego kiedyś należały. To było nudne polowanie, ale bardzo przyjemne zabijanie. Czy ten człowiek nie mówił, że jest archeologiem? Sprytne posunięcie, ale Mahdi był uprzedzony przez Gianellego, że Steiner szuka zaginionej kopalni. Wiedział, że tamten zginął niepotrzebnie, szukał siedemdziesiąt kilometrów od doliny. Ale buty były wygodne.

Kiedy trzy czwarte Erytrejczyków zasnęło, w tym jeden uzbrojony, Mahdi uznał, że nadeszła pora. Pokazał swojemu towarzyszowi zaciśniętą pięść, a żołnierz kiwnął głową. Do ataku.

Sudańczyk się nie zawahał. Zerwał się na nogi i kopiąc śpiących górników, popędził do tunelu przeciwległego do tego, w którym zniknęli Mercer i Selome, wrzeszcząc niezrozumiałe przekleństwa. Mahdi również ruszył, osłaniany przez innych

Sudańczyków; i wtopił się w ciemność za słabym kręgiem światła latarki.

Erytrejczycy się budzili. Jeden z nich wycelował w półmroku i nacisnął spust. Na plecach uciekającego żołnierza wykwitły trzy czerwone eksplozje; runął do przodu i osunął się po ścianie obok tunelu. W zamieszaniu Mahdi odtoczył się na bok. Spętane ręce sprawiały, że trudno było mu cokolwiek zrobić, ale mimo to zdołał złapać drugą latarkę.

Zerwał się na nogi i pobrnał przed siebie. Tunel był tak ciemny, że Mahdi szedł z zamkniętymi oczami, wodząc rękami po ścianach. Minąwszy kilka odgałęzień, skręcił w kolejne i włączył latarkę. Wyjęcie noża z buta i przecięcie konopnych więzów zajęło mu kilka sekund. Jego ludzie mieli zniszczyć drugą latarkę Erytrejczyków w czasie szarpaniny po jego ucieczce, więc nie bał się pościgu. On i tylko on jest myśliwym w tym piekielnym świecie, a Mercer ma zginąć, nie wiedząc nawet, co go dopadło.

Jeśli Mercerowi wydawało się, że pierwsza część wędrówki była udręką, to po ostatnich dwóch godzinach zmienił zdanie. Kiedy prowadził górników do jaskini ze świeżym powietrzem, wydawał się nieomylny, ale od tamtej pory wszedł z Selome dwa razy do długich, ślepych korytarzy i musiał przeciskać się przez odcinki, z których pokonaniem miałyby problemy nawet dzieci, które wykopały te korytarze. Czuli się, jakby tkwili uwięzieni we wnętrzościach jakiegoś olbrzymiego stworzenia. Kiedy przeciskali się przez kręte skrzyżowania i ślepe korytarze, Mercer zaczynał myśleć, że się zgubili. Jak dotąd zostawiali ślad w kurzu,

ale gdyby przeszli przez czysty fragment podłoża, nie mogliby wrócić do miejsca, gdzie zostawili Erytrejczyków.

W końcu weszli do kolejnej wysokiej jaskini pozbawionej świeżego powietrza, ale intensywnie eksploatowanej. Światło latarki ukazało widok, który miał dręczyć Mercera do końca życia.

W przeciwieństwie do zwłok, które znalazł we włoskiej kopalni, te nie leżały równo ułożone. Wyglądały, jakby tych ludzi zostawiono tam, gdzie umarli, skręconych w pełnych cierpienia pozach. Był ich może tuzin, wysuszonych mumii o skórze napiętej na wykrzywionych w krzyku cierpienia twarzach. I wszystkie były dziećmi, najstarsze miało nie więcej niż dziesięć czy dwanaście lat. Ich agonia przetrwała tysiąclecia.

– O Boże – zakrzuszyła się Selome.

Mercer milczał. Patrzył na żałosne szczątki małych niewolników, starając się nie dopuścić, żeby emocje zakłóciły trzeźwość myślenia. Ze stosów urobku dookoła nich wywnioskował, że obok zwłok praca trwała bez przerwy. Nie próbowano nawet tych dzieci pochować. Zaharowały się na śmierć, a potem zostawiono je, by zgniły tam, gdzie upadły. Selome zaczęła się modlić.

Wciąż w szoku, Mercer zmusił się, żeby zbadać jedno z ciałek, chcąc poznać dokładną przyczynę śmierci. Nie śmiał dotykać kruchej mumii, ale na tych fragmentach, które widział, nie zobaczył śladów zranień, żadnych złamanych kości czy stłuczeń. Jediną dziwną rzeczą były nienaturalnie podwinięte ręce, ramiona i stopy. Były skręcone tak, że wyglądały, jakby nie

było w nich kości. Mercer zauważył, że pozostałe ciała leżą w podobnej pozycji.

Co, u diabła, mogło do tego doprowadzić? – pomyślał. Dziecko miało zęby, więc odrzucił skorbut, za to prawdopodobna była krzywica. Potem racjonalna część jego mózgu wyłączyła się i zalała go fala litości. Jakie znaczenie ma to, jak umarli? Nie żyją, zamordowane dawno temu przez bezimiennego nadzorcę, który prawdopodobnie został nagrodzony za swoją skuteczność. Mercer zmusił się do oddychania. Zmówił za dzieci cichą modlitwę, a kiedy podniósł wzrok i zauważył żyłę minerału, przy której dzieci pracowały, zrozumiał. Zebrało mu się na mdłości.

Chciał uciec z tej makabrycznej jaskini, ale jako naukowiec musiał się upewnić, nawet jeśli wiedział, że wynik może oznaczać wyrok śmierci dla niego i Selome. Selome nadal się modliła, kiedy zmiażdżył małą grudkę minerału leżącą na ziemi. Otworzył metalową pokrywę osłony latarki i włożył do niej próbkę, a potem wyjął z torby laskę dynamitu. Zginał ją tak długo, aż udało mu się wysypać proch na ziemię pod pudełko. Dopiero kiedy skończył, Selome zauważyła, co robi.

– Co robisz?

– Eksperyment – odparł, a ona usłyszała w jego głosie strach. Położył na metalowym pudełku pełną manierkę jako przykrywkę.

– Pamiętasz, co powiedział brat Efraim o tym, co zabiło dzieci?

Luźno wysypany materiał wybuchowy zajął się płomieniem, kiedy Mercer przyłożył do niego zapalniczkę, oświetlając jaskinię

ostrym, białym światłem. Kiedy ogień się wypalił, Philip postukał w manierkę i włożył ją do torby.

Czerwonawy minerał w pudełku znacząco pociemniał. Mercer wysypał go na ziemię i zaczekał. Już po kilku sekundach z popiołu wylały się srebrne kropelki, tworząc obok małą kałużę.

– Ostrzegaliśmy nas przed cynobrem, nazywanym też siarczkiem rtęci. To ruda czystej rtęci.

Oboje popatrzyli na migoczącą kałużę płynnego metalu.

– Ale czy rtęć...

– Jest jedną z najbardziej toksycznych substancji na świecie. Może okaleczyć, sparaliżować albo zabić przez samo wdychanie jej oparów.

– To ona zabiła dzieci?

– I nas też zabije, jeśli szybko się stąd nie wydostaniemy. Jest tak zabójcza, że górnicy, którzy wydobywają ją dzisiaj, pracują tylko osiem dni w miesiącu. Każda sekunda zwłoki może mieć fatalne skutki.

Mercer prowadził Selome następnym tunelem.

– Możemy coś zrobić?

– Tak, dużo się pocić. Wierz albo nie, pocenie może oczyścić organizm z rtęci, jeśli nie pozwoli jej się związać z białkami komórek. Po każdej szychcie górnicy spędzają jakiś czas w pomieszczeniu nazywanym „plażą”, żeby wypocić toksyny pod mocnymi lampami grzejnymi.

W kopalni było gorąco i duszno, nie mieli więc problemów z poceniem się, ale została im tylko jedna manierka z wodą, a jeśli ją wypiją, ich organizmy przestaną marnować wilgoć na kontrolę

temperatury. Rtęć zacznie się wtedy wchłaniać, a konsekwencje tego będą nieodwracalne.

W drodze przez kopalnię minęli jeszcze kilka takich komnat grozy, w jednej leżała co najmniej setka zmumifikowanych ciał. Mercer widział, że wiele dzieci było narażonych na działanie rtęci już w łonach matek. Truczna uszkodziła straszliwie ich chromosomy, powodując okropne deformacje. Niektóre mumie prawie nie przypominały ludzi.

– Komin kimberlitowy przeszedł w jakiś sposób przez żyłą siarczku rtęci. Nigdy nie słyszałem o takim układzie geologicznym, ale rozumiem już, dlaczego myśleli, że Arka Przymierza może pomóc dzieciom – powiedział Mercer.

– Dlaczego?

– Nawet w czasach, kiedy sprowadzono ją do Afryki, metalurzy wiedzieli, że rtęć wiąże się ze złotem. Mieli chyba nadzieję, że Arka będzie wchłaniać opary rtęci i osłabi ich szkodliwe działanie. Pamiętaj, oprócz nadprzyrodzonych właściwości, jakie mogła mieć, była także pokryta złotem.

– Ale tyle rtęci?

– Nie powiedziałem, że to był dobry pomysł.

Szli dalej niekończącymi się chodnikami przez kolejną gozdinę, aż Selome przyszło do głowy coś niepokojącego.

– Sztolnia prowadząca do komory wyrobiska miała około dwóch kilometrów długości, a nawet wolno pełznąć, musieliśmy w drodze powrotnej pokonać pięć razy taką odległość.

Ciasny korytarz tłumił jej głos, pochłaniając dźwięki.

– Też to zauważyłaś? Sam zaczynam się trochę martwić. Te tunele ryto w bardziej miękkiej skale, żeby ułatwić wydobyć, ale niemożliwe, żeby były aż tak kręte. Zaczynam myśleć, że możemy dochodzić do kolejnego ślepego zaułka.

– Zgubiliśmy się? – w głosie Selome zabrzmiała panika.

Mercer zatrzymał się i odwrócił, żeby widzieć ją w świetle latarki. Twarz miała w prążki od spływających po niej kropli potu. Widział, że zaczyna tracić pewność siebie. Ujął ją za brodę.

– W życiu są dwie rzeczy, przed którymi nie ma ucieczki, śmierć i podatki. Masz moje słowo, że w przyszłym roku w kwietniu będziesz wypisywała czek na kupę forsy.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Amerykanie płacą podatki w kwietniu. Ja jestem Erytrejką.

Następna jaskinia, do której trafili, była na tyle wysoka, że mogli się wyprostować i w przeciwieństwie do pozostałych, była ogromna. Światło latarki sięgało ledwie ułamek jej powierzchni, ale oceniając echo, Mercer obliczył, że ma rozmiary boiska do futbolu. Natychmiast rozpoznał technikę górniczą zastosowaną do jej wydrążenia. Wybierając urobek w tak dużych ilościach, trzeba było zostawiać słupy skał, które podpierały sklepienie. Była to metoda popularna przy wydobywaniu węgla, ale niezbyt praktyczna w kopalni diamentów, i Mercer był zaskoczony, że zastosowano ją w kominie kimberlitowym. Podpory były ustawione tak gęsto, że czuli się, jakby szli przez skamieniały las albo przez katakumby starożytnej katedry. Mercer nie mógł uwierzyć, że starożytni górnicy wymyślili i zastosowali taki sposób. Sklepienie nad ich głowami było w fatalnym stanie –

spękane i powybrzuszane od niewyobrażalnego nacisku ziemi z góry. Philip zgadywał, że za jakieś sto lat filary nie wytrzymają i cała jaskinia się zawali.

W połowie drogi na drugą stronę zauważył kątem oka jakiś cień, a kiedy odwrócił się w tamtą stronę, Selome krzyknęła ze strachu i została rzucona na ziemię. Mercera obaliła pędząca zjawa, która zmaterializowała się z ciemności. Uderzył głową o skałę, sparaliżowany z zaskoczenia. Niemożliwe, żeby natrafili coś żywego, kopalnia była przecież zamknięta od tysięcy lat. Kopniak w brzuch przywrócił go do rzeczywistości. Nie miało znaczenia, kto czy co tu jest, oboje ich czekała śmierć. W świetle latarki, która wypadła Merce-rowi z rąk, błysnął nóż. AK-47 leżał w półmroku poza jego zasięgiem.

Stwór skoczył na Mercera, który leżał oszołomiony. Udało mu się podnieść rękę i odbić ostrze wycelowane w swoją pierś. Odepchnął napastnika na tyle, że zdołał odpowiedzieć miążdżącym uderzeniem, łamiąc mu dwa żebra. Atakującego jednak to nie spowolniło. Z wściekłością wyrznął Mercera łokciem w szczękę, prawie go ogłuszając. Mercer przegrałby to pierwsze starcie, gdyby nie Selome, która skoczyła napastnikowi na plecy, na chwilę ściągając go z Philipa.

Dostała za to wściekły cios w twarz i poleciała bezwładnie na ziemię. Mercer rzucił się po karabin, lecz napastnik znów na niego skoczył, tym razem wbijając mu nóż w udo. Philip wrzasnął z bólu, skręcił się i wierzchem dłoni trafił stwora w twarz. Ku jego zgrozie ręka zagłębiła się w rozmiękłe ciało, odrywając spory

kawał. Rana nie zatrzymała napastnika i Mercer zrozumiał, że walczy z jakimś demonem nawiedzającym te labirynty.

Wyczołgał się poza zasięg jego rąk, kryjąc się za jednym z filarów. Zobaczył, że stwór idzie do porzuconej latarki. Światło padło na jego twarz i Mercer rozpoznał głównego pomocnika Gianellego, dowódcę Sudańczyków, Mahdiego. Przypomniawsobnie, że jeden z wziętych do niewoli strażników miał bandaż – to właśnie ten bandaż spadł Mahdiemu z twarzy.

Nie miał czasu na zastanawianie się, jak Sudańczyk uciekł Erytrejczykom ani jak ich wytropił. Wiedział, że Mahdi podniesie karabin; musi dotrzeć do broni pierwszy. Skoncentrował się na miejscu, w którym Mahdi go zaatakował, i na najbardziej logicznym kierunku, w którym broń mogła polecieć. Zauważył w oddali błysk, ale za daleko, żeby to był karabin. Ruszył odważnie naprzód, wyciągając ręce, żeby nie wpaść na jedną z kamiennych kolumn. W ciemności Selome wciąż krzyczała, jakby wierzyła, że krąży tu jakiś upiór.

Obaj mężczyźni zauważyli broń, kiedy padło na nią światło latarki. Mahdi miał bliżej, ale Mercer szybciej zareagował. Skoczyli na karabin i złapali go w tej samej chwili.

Mercer trzymał mocniej i wykręcił AK z uchwytu Sudańczyka. Mahdi uderzył go kolanem w wewnętrzną stronę przedramienia i cała ręka Philipa zdrętwiała. Nagle karabin znalazł się w rękach Mahdiego. Szamocząc się z przygniatającym go mężczyzną i mogąc osłaniać się tylko obezwładnionym ramieniem, Mercer sięgnął do torby wciąż przewieszanej przez jego ramię.

Zamierzał użyć lontu w połączeniu z dynamitem, gdyby musieli wysadzić jakieś przeszkody, ale teraz miał dla niego lepsze zastosowanie. Mahdi albo nie zauważył, albo nie przejął się, kiedy Mercer zarzucił mu sześćdziesięciometrowy zwój lontu na szyję. Śmiał się, wiedząc, że ma przewagę, ale kiedy zobaczył płomyczek strzelający z małego zippo w dłoni Mercera, jego oczy otworzyły się szeroko z grozy. W ostatniej chwili zrozumiał, co Mercer na niego zarzucił.

Lont płonął z prędkością siedmiu tysięcy metrów na sekundę, więc cały zwój wypalił się w mgnieniu oka. Pomimo ochronnej powłoki temperatura płonących chemikaliów była potwornie wysoka. Smród był jeszcze gorszy niż skrzek, kiedy żyły w gardle Mahdiego pękły pod ciśnieniem krwi zamieniającej się w parę, a ciało przypaliło się jak pieczeń.

88

Palec Sudańczyka zacisnął się na spuście AK, choć oczy uciekały mu już pod czaszkę. Wypuścił w sufit pełny magazynek; zabójczy ołów rykoszetował od skał, wypełniając jaskinię. Huk wystrzałów i echo osłabiło fragment spękanego sklepienia i pięćdziesięcotonowa bryła skały runęła niedaleko Mercera, a zaraz po niej kilka innych.

Waliło się całe sklepienie! Mercer wytoczył się spod miotającego się terrorysty, chwycił karabin za lufę, a drugą ręką latarkę. Spadały następne kamienie, tak wielkie, że wstrząs spowodowany ich upadkiem obluzowywał kolejne jak kostki domina – jakby

ziemia ożyła, a oni tkwili w jej szczękach. Jeden z filarów eksplodował pod zwiększonym naciskiem skały, siejąc odłamkami kamienia jak szrapnelami.

Mercer poderwał Selome z ziemi, jakby ważyła nie więcej niż małe dziecko. Oboje rzucili się do bocznego tunelu. Philip obejrzał się przez ramię akurat w chwili, gdy głaz większy niż samochód wylądował na wijącym się Mahdim. Waga kamienia wycisnęła wnętrzności w stronę głowy, ale czaszka okazała się za twarda. Mercer zobaczył, jak gardło Sudańczyka nabrzmięwa jak u kumkającej żaby, a potem eksploduje w czerwonej mgiełce i ciało nieruchomieje.

Skierował światło latarki na drugi koniec jaskini, gdzie przedtem coś mu mignęło. W ostatniej chwili zobaczył dziwne niebieskie światło jaśniejące w mroku, ale widok zasłonił mu po chwili olbrzymi spadający głaz.

Sufit bocznego tunelu był niższy niż większości innych, którymi do tej pory szli. Mercer musiał pchnąć Selome na ziemię i kazać jej pełznąć za sobą. Jaskinia nadal się waliła. Spowiły ich kłęby kurzu, tak gęste, że nie mogli otworzyć oczu, a każdy oddech był torturą. Huk spadających skał wypełniał wszystko i groził odebraniem zmysłów. Uciekali na oślep, zdzierając skórę z rąk i kolan.

Pokonali pięćdziesiąt metrów, zanim zawał się skończył. Od nagłej ciszy zadzwoniło im w uszach. Oglądając się za siebie, Mercer zobaczył, że zostali odcięci od pozostałych miliardami ton ziemi. Nawet gdyby chcieli, nie mieli jak zawrócić.

Co to był za blask, do cholery? To musiało być wyładowanie elektrostatyczne, pomyślał. Kiedy skała jest miażdżona, potrafi produkować niewielkie ilości elektryczności. Biorąc pod uwagę ogrom poruszających się kamieni, ten fenomen z łatwością mógł wyjaśniać to, co Mercer widział. A może to bąbel metanu zapalił się od iskry? Do głowy przychodziło mu kilka innych wyjaśnień, ale w duchu wiedział, że istnieje także jedno nienaturalne. Nie, to niemożliwe.

– Co tam się stało?

– Mahdi poniósł dotkliwą klęskę – wychrypiał Mercer, czekając, aż Selome napije się wody. Chciał dać jej czas na dojście do siebie i później dopiero powiedzieć, że tunel prowadzi w kierunku przeciwnym do tego, w którym chcieli iść. Nie zamierzał jej w żadnym razie mówić, co widział.

– Nie masz pojęcia, co sobie pomyślałam, kiedy nas zaatakował – wysapała Selome, ocierając usta wierzchem dłoni.

– Na pewno nic dziwniejszego niż to, co mnie przeszło przez głowę – zgodził się Mercer. – Jesteś cała?

– Szczęka mnie boli i na pewno za parę godzin będę ścina, ale nic mi nie jest. A ty?

Mercer zdjął spodnie i zaczął opatrywać ranę w nodze. Nie marnował cennej wody na oczyszczanie rozcięcia, tylko przykrył je kawałkiem koszuli i okręcił opatrunek srebrną taśmą klejącą wyjętą z torby.

– Chirurgia antyseptyczna doktora Mercera. Wtórne zakażenia to nasza specjalność.

– Bardzo źle?

– Nie trafił w nic ważnego – powiedział Mercer i dodał z czarnym humorem: – Do tego noga mi zdrętwieje na długo, zanim zobaczymy twoje siniaki.

Pył w powietrzu wciąż był za gęsty, żeby odpoczywać tak blisko zawalonej jaskini, więc Mercer włożył spodnie i ruszyli przed siebie. Cząstki kurzu wisiały ciężko w powietrzu i silny snop światła latarki przebijał się przez nie na odległość ledwie kilku kroków. Po stu metrach tunel się zwęził tak, że idąc na czworakach, tarli plecami o sufit. Dokuczał im duszący pył.

– Może trochę potrwać, zanim to osiadzie. – Mercer krztusił się za każdym razem, kiedy otwierał usta, a nos bolał go jak wypalony kwasem.

Korytarz zwęził się jeszcze bardziej i musieli się czołgać. Po kilku chwilach koszula na ramionach Mercera się przetarła i zaczął krwawić. Nie mając innego wyjścia, pełzli przed siebie, odpychając się łokciami i palcami stóp.

– Mercer, co się dzieje! – zawołała Selome.

– Nie wiem.

Tunel był ciasny jak trumna, mogli tylko więc się na brzuchach, a w świetle latarki Mercer widział, że dalej jest jeszcze ciaśniej. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że korytarz może się kończyć litą skałą. Jakby czytając w jego myślach, Selome wykrzyknęła jego imię. W jej głosie pobrzmiwała histeria.

– Wiem, wiem.

Coraz trudniej było mu się poruszać. Zdjął torbę już jakiś czas temu i popychał ją przed sobą razem z AK-47. Musiał się więc i szarpać, żeby pokonać kolejnych kilka centymetrów.

Przez jakiś czas średnica korytarza się nie zmieniała, a ich tempo spadło do ślimaczego. Skała otaczała Mercera ze wszystkich stron; każdym kawałkiem ciała dotykał jej poszarpanej, ostrej powierzchni. Ściany tunelu były czystą, czerwoną jak krew rudą rtęcią. W kilku miejscach rtęć wytrąciła się samoistnie i skapywała w zagłębienia i korytka podłogi.

– Mówiłeś, że jak długo możemy tu być?

– Nie wiem. – Światło latarki ukazało setki maleńkich kałuż srebra. – Pamiętaj, rtęć wchłania się przez skórę, więc nie dotykaj jej żadnymi otwartymi ranami.

– Całe moje ciało to jedna otwarta rana.

Pokonali wreszcie skażony odcinek i ruszyli w dół niewielkiej pochyłości. Mercer widział miejsca, w których spływająca rtęć wyżłobiła kanaliki.

Jego napady kaszlu były coraz rzadsze, ale i tak dawały mu się we znaki. W przeciwieństwie do Selome, która miała trochę wolnej przestrzeni wokół siebie, Mercer był tak ściśnięty, że każde kasznięcie rozsadzało mu pierś. Musiał przygotowywać się na ból, kiedy wiedział, że zaraz zakaszle. W ustach czuł miedziany posmak krwi z pokaleczonych płuc.

Nagle utknął.

Zwalczając panikę, poruszył ramionami, ale im bardziej walczył, tym bardziej otaczające go skały wydawały się zaciskać niczym bezlitosne zwoje pytona. Podłoże tunelu stanowił ubity piach i Mercer spróbował się w niego wkopać, ale tylko ranił sobie palce.

Selome zauważyła jego gorączkowe ruchy i odsunęła się do tyłu, unikając jego kopiających stóp.

– Co się stało?

– Chyba utknąłem.

– Co to znaczy „utknąłem”?

– To znaczy, że nie mogę się poruszyć. Nie mogę się cofnąć i nie mogę pełznąć dalej.

– No to próbuj! – W ciasnocie tunelu głos Selome był stłumiony, pozbawiony życia, jakby mówiła zza ściany.

– A myślisz, że co, zdrzemnąłem się tu? – warknął Mercer, ale nie mógł nabrać dość powietrza, żeby powiedzieć to z odpowiednią mocą. Czuł się, jakby tonął.

– Przepraszam – powiedziała Selome. – Co mam robić?

– Złap mnie za nogi i ciągnij najmocniej jak możesz.

Musiał złapać oddech. Chciał krzyknąć. Skała go nie puszczała.

Minęło pięć minut, zanim się uwolnił i wycofał na tyle, żeby mieć możliwość manewru. Uspokoił się, ale czuł przyczajoną na skraju świadomości panikę. Jego plecy i ramiona krwawiły.

– Teraz się cofamy.

– Ale tam drogę blokuje zawał.

– Nie cofamy się aż tam. Musimy znaleźć miejsce, gdzie będziesz mogła przepelznąć nade mną i pójść przodem. Myślę, że ty się tamtędy przeciśniesz.

– A co z tobą?

– Będziemy się martwili później.

Musieli się cofać dwie godziny, zanim sufit podniósł się na tyle, żeby Selome mogła przeczołgać się nad Mercerem. Kiedy weszła mu na plecy i oparła głowę na jego karku, poczuł w uchu jej oddech.

– Boże, uważaj! – krzyknął Mercer. – Nie mam tu miejsca na erekcję! Z Selome na przodzie powoli wrócili do miejsca, w którym Philip utknął.

– Co teraz?

– Idziesz dalej. Weź latarkę i karabin i spróbuj znaleźć wyjście. Mercer mówił to beznamiętnie, ale był zadowolony, że Selome nie widzi jego twarzy.

Panika to reakcja na nieznaną, pomyślał. Ale tym razem nie miał doświadczenia, które dałoby mu pewność, że nie straci kontaktu z rzeczywistością.

– Nie mogę.

– Nie masz wyjścia. – Chociaż wiedział, że może nie wyjść stąd żywy, wciąż myślał o innych. – Na ratunek czeka czterdziestu uwięzionych górników, a jeśli oboje tu umrzemy, oni umrą także.

– Nic mnie nie obchodzi, do cholery. Ty mnie obchodzisz.
– Selome się rozplakała.

Mercer wyciągnął rękę i pogładził ją po kostce, ściągając jej skarpetkę, żeby dotknąć gładkiej skóry.

– A ty mnie. Ale jeżeli się nie ruszysz i nie sprowadzisz pomocy, nie będę mógł cię zabrać na pełne seksu wakacje w jakimś egzotycznym miejscu.

– To obietnica?

– Jeszcze żadnej nie złamałem. – Mercer poczuł, że zbliża się kolejny atak kaszlu. Ostatnie słowa boleśnie wykrztusił.

– Nie mogę cię zostawić.

Skrzywił się. Nie chciał umierać samotnie, ale wziął się w garść. Z trudem zapanował nad oddechem i wytarł krew z ust.

– Idź już. Musisz znaleźć jakieś wyjście. Nie mogę cię mieć na sumieniu. Nie rób mi tego.

Pociągnęła nosem, powstrzymując łzy.

– A manierka i latarka?

– Weź je.

– Philip, myślę, że... myślę... – Słyszał, że zмага się ze słowami i uczuciami, i zanim dokończyła myśl, zmieniła zdanie.

– Myślę, że powinniśmy pojechać do Egiptu, może na rejs po Nilu. Zawsze chciałam zobaczyć starożytne budowle.

– Kiedy pójdziesz, zadzwonię do mojego biura podróży.

Selome odczołgała się, znikając już po paru metrach. Mercer widział, że kawałek dalej tunel się rozszerza. Skała trzymała go jak kaftan bezpieczeństwa, 1Q1/nmi^ kJ^n-nr 7XQ

miotał się między paniką a frustracją. Nigdy nie miał klaustrofobii, ale czuł, że sięgają po niego jej lodowate macki, oplatające się wokół całego jego ciała i ściskające aż do skurczu płuc. Łapał płytkie łyki powietrza tak gęstego od kurzu, że wymiotował.

Był sam, spowity ciemnością gorszą niż śmierć. Próbował podpełznąć do przodu, ale tylko jeszcze mocniej uwiązał. Tunel napierał ze wszystkich stron, trzymając go w nieubłaganym uścisku. Ciemność była tak całkowita, że Mercer czuł jej smak w ustach i zapach w płucach. Cisza jego grobowca przyprawiała go o dreszcze. Umysł krzychał, żeby się uwolnić, żeby przesunąć choć ułamek centymetra. Mercer ledwie mógł kręcić głową, a kiedy to robił, z sufitu osypywała się ruda rtęci, jeszcze więcej trującego pyłu.

– Dobra, w porządku, interesująco jest, prawda?

Już po kilku dniach jego słowa zmieniałyby się w bełkot szaleńca, walczącego z ciemnością, ciszą i osamotnieniem śmierci.

Szarpnął nim kolejny spazm kaszlu. Jego klatka piersiowa nie mogła się należycie rozszerzyć i wewnętrzne ciśnienie groziło połamaniem żeber. Zastanawiał się, czy dostanie śmiertelnego zapalenia płuc, zanim wdychana rtęć zatrzyma mu funkcje moto-

ryczne i przeżre mózg. Przypomnił sobie, że pierwszym stadium zatrucia rtęcią jest drżenie kończyn. Nie umiał powiedzieć, czy nogi naprawdę mu się trzęsą, czy tylko to sobie wyobraża.

Zamiast rozmyślać o nieuniknionym, wrócił myślami do tamtego niebieskiego światła. A jeśli to nie było wyładowanie elektrostatyczne ani eksplozja metanu? A jeśli to naprawdę była Arka, teraz zniszczona na zawsze?

– Mam resztę życia, żeby to ustalić.

WASZYNGTON

Uick Henna, wykonując ten telefon, sprzeciwił się latom treasury. Od wczesnych lat ich małżeństwa Fay niestrudzenie starała się zainteresować męża pra-coholika. Zaczęła delikatnie, od zagranicznego filmu czy etnicznej restauracji, z czasem doszła do tego, że chodził z nią na musicale i naprawdę polubił operę. Jediną porażką było zbyt wczesne wprowadzenie baletu, które zraziło Dicka do tej sztuki na zawsze, ale tego wieczoru, kiedy zadzwonił do Mercera, przekroczyła kolejną niewidzialną linię. Nie w tym rzecz, że Henna był nieczuły na niedolę Tybetu, ale dwie godziny gongów, zaśpiewów i niezrozumiałych tańców Tybetańskiego Zespołu Narodowego – to było dla niego po prostu za wiele.

Wymamrotał do Fay, że musi iść do toalety, i wysunął się z łoży w Centrum Kennedy'ego, uciekając z sali do wyłożonego czerwona wykładziną holu. Jego ochrona z Secret Service wydawała się tak samo zadowolona z przerwy w oglądaniu przedstawienia. Stając obok brązowego popiersia prezydenta Kennedy'ego, dla Henny najbrzydszej rzeźby, jaką kiedykolwiek widział, Dick otworzył komórkę i zadzwonił pod numer Mercera po raz setny w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Wiedział, że to daremne, ale jego przyjaciel się nie odzywał, a meldunki Departamentu Stanu o zajściach w Asmarze go zaniepokoiły.

Już miał się rozłączyć po piątym dzwonku, kiedy odezwał się nieznajomy głos, mówiący po angielsku z silnym akcentem.

– Halo, dodzwoniliście się państwo na telefon Philipa Mercera. Philip Mercer został pogrzebany żywcem. W czym mogę pomóc? Nazywam się Habte Makkonen.

Piętnastominutowa rozmowa oznaczała dla Henny koniec koncertu. Wysłał do Fay agenta z przeprosinami. Jak prawie każdy mąż w kraju uważał, że na emeryturze wynagrodzi żonie lata złamanych obietnic. Telefon w jego limuzynie był bezpieczniejszy niż komórka, a podłączony do niego scrambler miał najnowsze oprogramowanie szyfrujące. Henna nie odkładała słuchawki przez całą drogę do Pentagonu.

Zaalarmowawszy Marge Doyle, zadzwonił do Pentagonu i kazał znaleźć admirała Morrisona. Limuzyna podjechała pod kwatery główną Departamentu Obrony w chwili, gdy Morrisona zlokalizowano.

– Dobry wieczór, Dick, co u ciebie? – spytał jowialnie admirał.

– Mam dla ciebie prezent, ale sam będziesz musiał go zapakować – odparł Henna. – Gdzie jesteś?

– W domu. Mój syn jest w mieście i wybiera college dla córki. Ona chce iść do Howarda, bo to czarna szkoła, a on chce ją posłać do Georgetown, bo ma dobrą reputację.

– Powiedz im, że będą musieli kartkować katalogi bez ciebie. Jestem w Pentagonie, a ty też zaraz będziesz chciał tu być.

– Co się dzieje?

– Znalazłem twoje zdjęcia z Meduzy i będziemy potrzebowali trochę siły ognia, żeby je odzyskać.

Na dźwięk słowa Meduza głos Morrisona spowaźniał.

– Nic więcej nie mów. Właśnie wkładam buty. Będę za pół godziny.

Tylko wojskowy potrafi określić dokładny czas swojego przybycia niezależnie od sytuacji na drogach. Dwadzieścia dziewięć minut później Morrison wszedł wejściem najbliższym swojego biura, z dwoma umundurowanymi adiutantami idącymi za nim w szyku klina. Uścisnął Hennie dłoń i razem poszli do windy. W gabinecie admirała znaleźli się godzinę po telefonie Habtego. To była najdłuższa zwłoka w łańcuchu wydarzeń, które nastąpiły potem. Henna szybko streścił swoją rozmowę z Makkonenem i jej okoliczności.

?Q1 – Północna Erytrea, tak? – Morrison popatrzył na mapę świata wiszącą za biurkiem. Zaśmiał się. – To dopiero zbieg okoliczności. Po naszej ostatniej rozmowie kontyngent marines w ramach rotacji trafił na okręt desantowy u wybrzeży Somalii. Są tam dwie setki żołnierzy, którzy mieli w planach przyjemną turę po Włoszech i są cholernie wkurzeni na swój nowy przydział. Na pewno z przyjemnością trochę się wyżyją.

Henna odpowiedział tym samym kpiącym tonem:

– Zbieg okoliczności za zbiegiem. Kiedy na ciebie czekałem, dzwoniłem do Lloyda Eastona z Departamentu Stanu. Właśnie przekonuje prezydenta Erytrei, że manewry amerykańskich wojsk w jego kraju leżą w jego – Co z autoryzacją przez prezydenta?

– Skontaktuję się z nim, kiedy tylko tu skończymy. Po naszej rozmowie z premierem Izraela spodziewał się, że może do czegoś takiego dojść. Bardzo się zdziwi, kiedy się dowie, że zamieszany

jest w to Gianelli. Marge znalazła mi jego akta, kiedy tu jechałem, grube chyba na pół metra. Interpol nigdy nie zdołał bezpośrednio powiązać go z niczym nielegalnym, ale jeśli się pospieszmy, przygwoździmy drania. Jeśli zawleczymy go przed sąd, prezydent będzie mógł brylować na następnym szczycie G-7.

– Jeśli tylko kwestie polityczne zostaną załatwione, ja się zajmę wojskowymi. Trochę potrwa, żeby tę sprawę ruszyć z miejsca. – Morrison chwycił za telefon i kazał się połączyć z Agencją Bezpieczeństwa Narodowego i Narodowym Biurem Rozpoznania. Kiedy skończył, poczęstował Hennę cygarem Cohiba rozmiarów zeppelin.

– Będziemy potrzebowali fotograficznego rozpoznania tego terenu, a marines – czasu na przygotowania.

– Muszę oddzwonić do Habtego Makkonena i podać mu czas. Jak sądzisz?

– Sześć godzin minimum, a i to za mało.

– Nie z punktu widzenia Mercera – powiedział Henna przez chmurę dymu.

Zadzwoił telefon. Morrison zaczął rozmawiać z oficerem dyżurnym NBR.

– Na miejscu jest cywil meldujący gęstą pokrywę chmur, ale pracuje tam dużo maszyn. Jeśli nie uda wam się zrobić wyraźnych zdjęć, przełączcie się na podczerwień i znajdziemy drani po sygnaturach cieplnych. – Zakrył dłonią słuchawkę i odwrócił się do Henny. – To chwilę potrwa. Jeśli chcesz, możesz pogadać ze starym z telefonu mojej sekretarki i zadzwonić do Makkonena.

Powiedz mu, czego się ma spodziewać i żeby schował się gdzieś, kiedy marines zaatakują kopalnię.

Henna zostawił Morrisona koordynującego rozpoznanie satelitarne i siadł przy biurku w zewnętrznym gabinecie. Uznał, że ma chwilę, więc wykonał telefon, który uważał za równie ważny. Osobiście przyjechał na lotnisko Dul-lesa, gdzie lądował samolot, który przywiózł Harry'ego z Izraela, odwiózł starca do bezpiecznego domu FBI i zapewnił mu ochronę, dopóki sytuacja się nie uspokoi. Zgodnie z obietnicą Harry był zupełnie trzeźwy i nie narzekał przez kilka godzin przesłuchania. Dopiero kiedy agenci Henny skończyli, zapytał, co z Mercerem. Jego gniewne spojrzenie było bardzo wymowne, kiedy Henna przyznał, że nie ma pojęcia, gdzie jest Philip i co się z nim dzieje.

– Halo!

– Harry, tu Dick Henna. Znaleźliśmy Mercera.

Harry usłyszał te słowa, ale trwało kilka sekund, zanim do niego dotarły.

– Naprawdę go znaleźliście? – spytał w końcu.

– Jest w opuszczonej kopalni w Erytrei. Cały i zdrowy.

– Nie, wcale nie – warknął Harry. – Siedzi po uszy w gównie, inaczej nie ty byś do mnie dzwonił, tylko on.

– Harry, naprawdę, nic mu nie jest.

– Grzecznie z wami współpracowałem. Możesz być ze mną przynajmniej szczerzy. Co się naprawdę dzieje, do diabła?

Henna nie potrafił pojąć, skąd Harry wie, że kłamie. Tak już po prostu było, wynikało to chyba z więzi łączącej starca z Mercerem. Westchnął.

– Dobra, masz rację. Przepraszam. Mercer jest w Erytrei, ale jest więźniem sudańskich rebeliantów pracujących dla włoskiego przemysłowca, który jest znanym przestępcą. Z tego co wiemy, zasypał się w kopalni z grupą erytrejskich uchodźców, żeby dać nam czas na wysłanie tam marines.

– I?

– Co i?

– I wysłaliście tam marines?

– Jestem w tej chwili w Pentagonie z szefem Połączonych Sztabów. Harry, poruszamy niebo i ziemię, żeby go uratować.

– Parę razy wyciągnął wam dupska z ognia. Lepiej poruszcie o wiele więcej, albo, tak mi dopomóż Bóg, pod koniec tygodnia będę we wszystkich talk-show w kraju.

– Harry...

– Nie żartuję. Wyciągnijcie stamtąd Mercera albo możesz się pożegnać ze swoją robotą i całą administracją. Wiem dość, żeby pogrzyść was wszystkich.

– Jezu, Harry, nie musi do tego dojść.

– Wiem, że nie, bo go uratujecie. Koniec dyskusji.

Siedem i pół godziny później rój śmigłowców UH-60 Blackhawk z łoskotem wirników wleciał w erytrejską przestrzeń powietrzną, wioząc na pokładach marines zlaknionych porządnej bitki.

KOPALNIA KRÓLA SALOMONA

Ł. początku nie był to nawet dźwięk, ledwie brak wszechogarniającej ciszy. Mercer wyteńczył słuch. W uszach dzwoniło mu z wysiłku, a wytrzeszczane w ciemności oczy łzawiły. Tam! Cichutki odgłos, istniejący na samym skraju jego świadomości, szelest cichy jak najcichszy szept. Mercer chciał krzyknąć, ale pragnienie zacementowało mu usta i wydał z siebie tylko ochryply skrzek. Mijał czas, ale Mercer był pewien, że tajemniczy odgłos jest coraz głośniejszy. Nie pozwalał sobie na nadzieję. Nie zniósłby, gdyby się mylił. A potem zobaczył światło, stłumione migotanie, dla niego mocne jak oślepiający wybuch. Chłonał je, a oczy łzawiły mu od radosnego cierpienia.

– Halo? – wychrypiał.

– Halo centralo! – zawołała wesoło Selome z niewielkiej odległości. – Będę u ciebie za parę minut.

– Co robisz? – Pytanie Mercera było za ciche, żeby je usłyszała, więc nie otrzymał odpowiedzi.

Trwało to jeszcze dziesięć minut, ale nie przejmował się. Selome po niego wraca. Łzy wzbierające w oczach nie były już skutkiem światła. Czekał w kamiennym kokonie, a do głowy przyszła mu myśl, która przytłumiła radość. Pogodził się ze śmiercią. Wierzył, że umrze. Nigdy dotąd nie poddawał się aż do końca, ale tym razem naprawdę myślał, że już po nim. Chociaż ratunek był w drodze, Mercer wściekał się na siebie, a co gorsza, był rozczarowany.

Nagle poczuł, że ziemia pod nim zaczyna się poruszać. Duszący nacisk na pierś ustąpił. Teraz Mercer słyszał Selome wyraźniej. Kopała zawzięcie jakimś ciężkim szpadlem, a z każdym wbiciem jego ostrza w ziemię Philip czuł, że podłoga osuwa się o ułamek centymetra. Kiedy spróbował podpełznąć do przodu, udało mu się to. Szorował ramionami po ścianach, ale plecami nie przywierał już do sklepienia.

A potem, jak przy narodzinach, nagle był wolny, pojechał do przodu niebezpiecznie szybko, przyspieszając na coraz większej stromiźnie. Zaczął się toczyć, wpadł w lawinę luźnej ziemi i kamieni, która zatkała mu oczy, uszy i nos. Spadając, uderzył o ścianę, chciał krzyknąć z bólu, ale dookoła kotłowało się tyle piachu, że gdyby otworzył usta, udusiłby się. A potem zatrzymał się, osypywany żwirem, z każdą sekundą coraz cięższym.

Już miał zemdleć, kiedy przygniatająca go ziemia została zepchnięta na bok. Poczul, że jakaś dłoń chwyta go za pasek i potrząsa. Piach opadł z niego jak woda z otrząsającego się spaniela i Mercer znów mógł oddychać. Przetarł oczy i rozejrzał się. Pierwsze, co zobaczył, to stojącą nad nim Selome.

– Powinnam częściej szukać skarbów. To niesamowite, co można czasami znaleźć. – Promieniała radością nawet w słabym świetle latarki.

?Q4 – No, złotym dublonem to ja nie jestem.

Wciąż nie mógł uwierzyć, jak dobrze jest czuć się poobijanym. Ból oznaczał, że wciąż żyje. Wstał chwiejnie i odgarnął z twarzy Selome kosmyk włosów.

– Nie sądziłem, że wrócisz – powiedział zduszonym głosem. Chciał jej wyznaczyć, co się z nim działo, kiedy był sam, ale nie potrafił. To, co przeżył, nie dawało się opisać słowami. Po prostu wziął ją w ramiona, chłonąc ciepło jej ciała. – Dziękuję.

Latarka dawała dość światła, by mógł rozejrzeć się po komorze, w której się znaleźli, i zrozumieć, jak Selome wydostała go z jego grobowca. Komora była z grubsza prostokątna i miała przynajmniej dziesięć metrów wysokości, z płytką niszą wielkości szafy na jednym końcu. Mercer rozpoznał kamienie na jej ścianach. Takimi samymi wyłożono ściany głównej sztolni. Komora była łącznikiem między chodnikiem prowadzącym bezpośrednio do złoża kimberlitowego a starszymi, bardziej krętymi tunelami. Góra piachu za Mercerem sięgała prawie do sufitu. Na samym szczycie zobaczył mały okrągły otwór, który prowadził do innych części kopalni i tak długo go więził.

Kiedy w górze wydrążono nowy, prosty chodnik, górnicy musieli zasypać przejście do wyrobiska z filarami. Przez tysiące lat od tamtej chwili ziemia osiadła na tyle, że Mercer mógł się przeczłogać prawie do tego pomieszczenia. Oczywiście Selome się zorientowała, że podkopując podstawę hałdy, spowoduje jej osunięcie i uwolni go.

– Przepraszam, że tak długo to trwało, ale kiedy tu wpadłam, wyrznęłam głową o podłogę i straciłam przytomność. – Nad lewym okiem miała paskudnego sińca.

– Ja nie narzekam. – Mercer wypił połowę pozostałej w manierce wody i przyjrzał się szpadlowi, którym Selome uwolniła

go z objąć skały. – Szkoda, że musiałaś tego użyć. To piękny przykład narzędzia z epoki brązu.

– W takim razie dobrze, że nie jestem archeologiem. Zniszczyłam z pięć takich, zanim cię wydostałam.

W kącie komory leżały prymitywne narzędzia – kilofy i szpadle, część normalnej wielkości, część małych, przeznaczonych dla dzieci. Obok leżał stos zbutwiełej skóry, kiedyś będącej wiadrami i bukłakami. Kawałek dalej stał stosik glinianych lampek.

– Zniszczone artefakty opłaczemy później – powiedział Mercer. – W tej chwili chcę nas stąd wydostać i zająć się paroma sprawami.

Między kamienie w niszy wsunął ładunki wybuchowe z torby, używając ich tylko tyle, żeby wybić otwór w ścianie, a nie całkiem ją rozwalić. Nie miał pojęcia, co się dzieje w głównej sztolni po drugiej stronie, i nie chciał zdradzać swojej obecności, dopóki nie będzie gotowy.

– A co z lontem? Nie zużyłeś go na Mahdiego?

Mercer wyjął z torby drugi zwój i odciął kawałek.

– Druga zasada górnictwa: lontu nigdy za dużo.

– A jaka jest pierwsza? Mercer podniósł laskę dynamitu.

– Nigdy za dużo materiałów wybuchowych.

Lont palił się o wiele wolniej niż poprzedni, więc bez problemów zdążyli schować się za ziemnym nasypem, który wcześniej przygotowali. Mercer zasłonił głowę ręką, całym ciałem przykrywając Selome. Kiedy ładunek wybuchł, posypał się na nich gruz.

Mercer podniósł głowę i zamrugał. Ściana się nie zawaliła, ale przy samej ziemi pojawił się metrowej średnicy otwór, przez

który wpadło światło. Żadne z nich nie sądziło, że zobaczy jeszcze słońce, i z radością powitali jego ciepłą aurę.

– A teraz pora z tym skończyć.

Mercer zarzucił torbę na ramię, wziął AK-47 i poprowadził Selome do otworu.

Cała sztolnia rozbrzmiewała echem strzelaniny; w powietrzu śmigały zabłąkane pociski smugowe. Mercer pospiesznie wepchnął Selome z powrotem do komory.

– Zostań tu i nigdzie nie chodź, dopóki po ciebie nie wrócę. Przed chwilą uratowałaś mi życie. Teraz moja kolej.

Wyśliznął się do chodnika, skulony nisko przy podłodze, z karabinem gotowym do strzału.

Nie wiedział, kto ostrzeliwuje się w kopalni, więc zaczął się czołgać. Nad głową świstało mu coraz więcej kul. Jego wzrok przyzwyczał się już do światła słonecznego, ale dym kordytu prawie oślepił i Mercer musiał podejść bardzo blisko, żeby rozpoznać, kto strzela w stronę obozu. To byli Sudańczycy. Habte musiał wykonać telefon, bo rykoszetujący od ścian ogień z drugiej strony prowadzili chyba marines.

Rebelianci zajmowali pozycję nie do zdobycia, dopóki mieli amunicję. Bez wyrzutni rakiet nie było mowy, żeby ich stąd wyrzucić. Marines z pewnością wiedzieli od Henny o uwięzionych górnikach, więc materiały wybuchowe nie wchodziły w grę. Pamiętając podstępny atak Mahdiego w kopalni i gwałcenie kobiet, Mercer bez wyrzutów sumienia podniósł AK do ramienia.

Pojedynczymi strzałami strzelił czterem Sudańczykom w plecy i dwóm w pierś, kiedy odwrócili się, by zobaczyć, co dzieje

się za ich plecami. Podbiegł do barykady i zaczął gorączkowo szukać czegoś białego, czym mógłby pomachać marines. Musiał się zadowolić mocno zużytą chusteczką, którą znalazł w kieszeni jednego z zabitych. Chwilę później usłyszał wydany po angielsku rozkaz wstrzymania ognia.

Wstał.

– Nie strzelajcie! Jestem Amerykaninem!

– Doktor Mercer? – spytał głos z teksańskim akcentem, przekrzykując łoskot bitwy toczącej się kawałek dalej od kopalni.

– Tak, jestem Mercer. – Euforia, jaką powinien czuć, zniknęła, zastąpiona chęcią, by odpłacić się Sudańczykom, a zwłaszcza Gianellemu. – Jest tu ze mną kobieta, a w kopalni jest uwięzionych czterdziestu górników.

Spojrzał w stronę, gdzie według niego ukryli się marines, ale ich nie zobaczył. Na pustyni było zbyt wiele kryjówek: za rozrzuconymi skrzyniami albo pod ciężkim sprzętem, nieszkodzonym w walce, czy za którąś z niezliczonych hałd ziemi wydobytej z kopalni.

– Musicie tam jeszcze trochę wytrzymać. Gorąco tu.

Słowa żołnierza zginęły w łoskocie wirnika śmigłowca bojowego AH-64 Apache, lecącego nisko nad pustynią i siejącego równym strumieniem pociski kaliber 20 milimetrów gdzieś za obozem.

Mercer zauważył grupkę marines skulonych za przewróconym i wciąż płonącym buldożerem D-4. Dowodzący nimi żołnierz zauważył go, pomachał mu i poprowadził swoich ludzi przez obóz. Mercer opróżnił dwie manierki Sudańczyków, a

kiedy marines zniknęli, wyskoczył z kopalni, zygzakując między przewróconymi wieżami reflektorów i hałdami odpadu. Chociaż deszcz ustał, niebo zasnuwały ciężkie chmury. Upał i wilgotność powietrza spowolniły bieg Mercera, a jego poobijana pierś protestowała przy każdym oddechu. Rana na nodze pulsowała ostrym bólem. Nagle niebo nad nim eksplodowało, a fala uderzeniowa rzuciła go na ziemię. Przetoczył się na plecy i zaczął macać na oślepe.

Sześćdziesiąt metrów nad nim płonąca skorupa apache'a wirowała niekontrolowanie, rzygając tłustym dymem z silnika i siejąc szczątkami wirnika ogonowego. Jeden z rebeliantów wystrzelił w kierunku śmigłowca raketę ziemia-powietrze. Helikopter rozbił się tak blisko Mercera, że fala uderzeniowa znów nim rzuciła. Dookoła spadały bryzgi płonącego paliwa, ale jakimś cudem żadna nie spadła na niego.

Kiedy wstał, zebra, które najpierw zebrały ciężki od Hofmyera, a potem od Mahdiego i w tunelu, w końcu się poddały. Poczul ostre ukłucie, które sięgnęło aż do serca, i ból pękniętych kości powalił go na kolana. Był tak poobijany i pokaleczony, że zastanawiał się, co w ogóle chciał osiągnąć. Są tu marines, którzy zajmą się rebeliantami. Mercer nadstawia karku zupełnie niepotrzebnie.

Postanawiając, że najlepiej będzie gdzieś się schować i przeczekać, rozejrzał się za kryjówką, kiedy kule przeorały ziemię tuż pod jego nogami, sypiąc piachem. Jedną ręką ściskając zebra, Mercer pobiegł najszybciej jak mógł pod osłonę dużego, przenośnego generatora. Zmrużył oczy, wpatrując się z kłęby dymu

z granatów dymnych, ograniczające widoczność prawie do zera. Nie widział, kto do niego strzelał, ale zauważył Sudańczyków czekających w zasadzce na oddział patrolujących marines. Amerykańscy żołnierze byli czujni i szli ostrożnie, ale niespodziewany ogień krzyżowy by ich zdzięsiłkował.

AK szarpnął się w rękach Mercera, zabijając dwóch partyzantów, a potem skończyła się amunicja. Philip zaczął się mocować z nowym magazynkiem, przeskakując na drugą stronę generatora, kiedy o metalową obudowę zadzwoniły kule. Marines przypadli do ziemi, otworzyli ogień i zabili trzech pozostałych Sudańczyków. Chwilę później do Mercera dołączyło czterech młodych Amerykanów.

– Dzięki, kolego – sapnął dowódca patrolu, opierając się ciężko o generator.

– Do usług. Nie wiecie nawet, jak się cieszę, że was widzę.

– Pan jest Mercer, tak?

– Tak.

– Kazali nam pana szukać po lądowaniu, ale nie był pan zasypany czy jakoś tak?

– Byłem jeszcze dziesięć minut temu. – Mercer wziął od kaprała Latynosa batonik proteinowy i zjadł go w trzech kęsach.

– Jak wygląda sytuacja?

– Cholera, pan wie więcej niż my. Na odprawie była mowa o pięćdziesięciu uzbrojonych ludziach pilnujących obozu z minimum sprzętu i broni. Ci dranie zdjęli przed chwilą apache'a przenośnym SAM-em i jest ich o wiele więcej niż pięćdziesięciu.

– Liczba się zgadza – stwierdził Mercer. – Ale ci faceci od lat walczą w Sudanie. Mają ogromne doświadczenie bojowe, a ich dotychczasowy dowódca był wrednym sukinsynem.

– Aha, może, w każdym razie mamy duże straty. Gdyby nie cywile wymieszani z tymi walczącymi, kapitan wezwałby wsparcie powietrzne i zbombardował tu wszystko na gładko.

Ich rozmowę przerwał szereg eksplozji cystern z paliwem. Słupy ognia i dymu wystrzeliły w szare jak ołów niebo, rozkwitając niczym śmiercionośne kwiaty. Ziemia zatrzęsała się tak mocno, że Mercerowi prawie powybijało zęby.

Kiedy dochodził do siebie, marinę siedzący naprzeciwko kaprała podskoczył spazmatycznie, a na obudowie generatora za nim pojawiły się bryzgi krwi i kawałki czaszki. Żołnierze zareagowali, zanim jeszcze zorientowali się, skąd padł strzał – otworzyli ogień zaporowy i wybiegli zza osłony. Mercer nie miał innego wyjścia, jak tylko pobiec za nimi. Popędził zgięty w pół, celując z AK za siebie i strzelając serią.

Wspięli się na górę kamieni, żołnierze spowalniani dźwiganym sprzętem, a Mercer swoim opłakanym stanem. Kolejny strzał wzbil gejzer żwiru tuż obok jego lewego ramienia. Pod osłoną wierzchołka kopca Philip zdał sobie sprawę, kto do nich strzela i dlaczego.

Izraelczycy wciąż tu byli. Dwa strzały były tak celne, że mogły pochodzić tylko z karabinu snajperskiego. Agenci strzelali albo po to, żeby zwiększyć zamieszanie i wśliznąć się do kopalni, albo planowali ewakuację i chcieli zająć czymś walczących, żeby w

tym czasie uciec. Dla Mercera obie możliwości były tak samo nie do przyjęcia.

Ryzykując rzut oka nad krawędź ich ziemnej fortecy, mógł zobaczyć cały obóz i grupki walczących w dole mężczyzn. Wyglądało na to, że Sudańczycy zostali mocno przetrzebieni. Bronili się jeszcze w pobliżu wielkich ciężarówek Gianellego. W oddali uciekały jakieś postacie, ale Mercer domyślił się, że to Erytrejczycy. Z ciał, które leżały na ziemi i nie miały na sobie amerykańskich mundurów polowych, dwa były białe, ale z tej odległości nie rozpoznawał, czy jedno z nich to Gianelli.

– Co takiego?! – krzyknął kapral do radia wbudowanego w hełm. – Potwierdzam, Sky Eyes. Informujcie nas na bieżąco.

– Co się dzieje? – Mercer włożył ostatni magazynek w gniazdo Ak-47.

– Samolot AWACS krążący nad wybrzeżem zameldował o nisko lecącym obiekcie sześć kilometrów stąd, zbliżającym się z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Cholera!

– O co chodzi?

– Jest tutaj grupa Izraelczyków. Od jakiegoś czasu kręcili się przy kopalni, ale teraz chyba chcą dać nogę.

– No to im się uda – mruknął marine, niezainteresowany kolejnym przeciwnikiem, kiedy miał pełne ręce roboty z Sudańczykami. – Nie mamy już śmigłowców szturmowych, a jeśli AWACS zobaczył ich dopiero teraz, to znikną równie szybko.

Mercer wiedział, że żołnierz ma rację. Lecąc tuż nad ziemią, dobry pilot może szukać nawet najnowocześniejsze powietrzne systemy radarowe. Philip wpadł jednak na pewien pomysł.

– Jak się tu dostaliście?

– Blackhawkami. Jakies piętnaście kilometrów na północ stoi ich na ziemi tuzin. Resztę drogi przytruchtailiśmy.

– Może pan wezwać jeden przez radio?

– Tak, ale to nic nie da. To tylko transportowce. Nieuzbrojone.

– Niech pan jednego ściągnie. My będziemy strzelali. – Mercer postukał M-16A1 kaprała kolbą swojego AK-47.

Marinę przełączył kanały radia.

– Kapitanie Saunders, tu Chavez. Jestem z Mercerem. Mówi, że obiekt, który zauważył Sky Eyes, to śmigłowiec ewakuacyjny dla paru kochasiów. Proszę o pozwolenie pościgu blackhawkiem.

– Przerwał, wpatrzony w Mercera. – Tak, sir, wiem. Jesteśmy na górcie i wygląda na to, że w naszym sektorze sytuacja się uspokaja... Tak, sir, będę miał na niego oko... Nie, sir, spytam go. Doktorze Mercer, gdzie jest reszta Erytrejczyków?

– Wciąż uwięziona w kopalni. W głównej sztolni jest kobieta, która wie dokładnie gdzie.

Żołnierz pokiwał głową i znów włączył mikrofon.

– W kopalni, sir... Tak jest, sir, czekamy.

– No i?

– Kapitan wzywa śmigłowiec. Kiedy tu przyleci, odpalimy zieloną świecę dymną. Wyszadzimy pana w naszym miejscu zbiórki i zajmiemy się Izraelczykami. Nie ja powinienem o to

pytać, ale w jaką sytuację się pakujemy z międzynarodowego punktu widzenia?

– Niech pan sobie wyobrazi największą stertę gówna, jaką pan może, a potem pomnoży ją przez dwa – odparł Mercer. – Jedyne plus jest taki, że dla odmiany to my będziemy tymi dobrymi.

Żołnierz z karabinem maszynowym SAW wypatrzył cel i posłał w jego stronę około piętnastu pocisków; ciasnym łukiem posypały się mosiężne łuski. Chavez i jeszcze jeden marine rozglądali się po obozie, szukając następnych celów, ale w dymie widać było tylko niewyraźne postacie i nie mogli ryzykować, że zastrzelą kogoś ze swoich.

– Co tam masz, Łosiu?

– Dwóch z AK na godzinie dziesiątej, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Są za tamtą ciężarówką.

– Przyszpil ich tam – rozkazał kapral Chavez. Łoś wystrzelił długą serię. – Ale uważaj na amunicję.

– Kiedy śmigłowiec tu będzie?

Chavez przełączył się na kolejną częstotliwość radia.

– Do śmigłowca, do śmigłowca, podajcie czas przylotu do sektora siedem, osiemset metrów na północ od wejścia do kopalni... Potwierdzam. Odpalimy zieloną, kiedy was usłyszymy.
– Odwrócił się do Mercera. – Za jakieś sześć minut.

Łoś posłał kolejną długą serię SAW-a, a dwaj pozostali marines zaczęli strzelać w dół, wykrzykując niezrozumiałe przekleństwa. Mercer zobaczył sześciu Sudańczyków nacierających z lewej flanki. Czterech było uzbrojonych w AK-47, dwóch w wyrzutnie rakiet RPG-7. Jeden padł, zanim zdążył strzelić; drugi,

nie celując, odpalił raketę i fragment wzgórza eksplodował jak Góra Świętej Heleny.

Karabin maszynowy uciął. Łoś został zabity przez wybuch. Mercer, Chavez i trzeci marine schowali się za osłonę i odpowiedzieli ogniem, zanim opadł kurz eksplozji. Kiedy Mercer opróżnił ostatni magazynek AK, odrzucił broń i sięgnął po SAW-a. Karabin maszynowy był olbrzymi, za ciężki, żeby nosić go w rękę, ale za to bezdyskusyjnie skuteczny.

Trzej szturmujący Sudańczycy padli pod gradem kul, rzuceni w tył jeden po drugim.

– Zatrzymaj pan tych skurwiele! – wrzasnął Chavez, opatrując ranę ziejącą w nodze drugiego żołnierza. Pustynny mundur mężczyzny był przesiąknięty krwią od pachwiny w dół.

Mercer strzelał dalej, przesuwając lufą z boku na bok, żeby przygwoździć Sudańczyków. We wzgórzu trafiła następna rakietą i część wierzchołka zniknęła, odsłaniając lewą flankę. Mercer nie miał pojęcia, ile pocisków zostało w kanciastym magazynku SAW-a, ale modlił się, żeby wystarczyło ich do chwili przylotu śmigłowca.

– Śmigłowiec, śmigłowiec. – Chavez znów rozmawiał przez radio. – Potrzebna nam tu pomoc... odbiór.

Kapral odczepił od swojej upręży granat dymny, wyrwał zawleczkę i rzucił go na drugą stronę wierzchołka wzgórza. Sekundę później w niebo wzbił się kłęb cuchnącego, zielonego dymu, wskazując ich położenie zbliżającemu się blackhawkowi.

Wzgórze przeorały serie pocisków. Mercer i dwaj marines padli na ziemię w deszczu piachu i ołowiu, ale przez trzask

wystrzałów słyszeli zbliżający się śmigłowiec, wirnikiem rozwiewający zielony dym. Drugi pilot otworzył boczne drzwi, ale kiedy helikopter zawisł w powietrzu, mężczyzna musiał wrócić do kokpitu.

– Nie może wylądować, za mało tu miejsca! Musi pan skoczyć pierwszy! – wrzasnął Chavez, starając się przekrzyknąć łoskot wirnika, brudną ręką wciąż zaciskając ranę kolegi. – Ja muszę przyciskać opatrunek!

Mercer opróżnił magazynek SAW-a, wystrzelivując ostatnich trzydzieści pocisków w obóz. Chwycił M-16 rannego żołnierza, a kiedy blackhawk opuścił się trochę niżej, skoczył w otwarte drzwi.

W tej samej chwili śmigłowiec odsunął się, pchnięty wiatrem, i Mercer wyrznął pierś w dolną krawędź drzwi. W ułamku sekundy, zanim nadszedł ból, poczuł, jak jego żebra trą o siebie niczym skorodowane części jakiejś maszyny. Blackhawk został odepchnięty od hałdy i Mercer zawisł nad dwudziestoma metrami pustki, przebierając bezsilnie nogami i rozluźniając z bólu uchwyt.

Pilot musiał zobaczyć, co się stało. Ignorując turbulencje i odległość łopat wirnika od ziemi, położył śmigłowiec prawie na bok, wrzucając Mercera do kabiny. Zanim Philip doszedł do siebie i podpełzł do krawędzi drzwi, helikopter znów wisiał nad wzgórzem. Chavez był gotów przekazać rannego.

Znaleźli się pod intensywnym ostrzałem. Śmigłowiec dostał tuzin trafień, rykoszetujące kule zadzwoniły w kabinie jak rozpalone węgielki. Mercer zaczął strzelać, opierając kolbę o kadłub,

wychylony do połowy, żeby pomóc Chavezowi. Wsunął już wolną rękę pod pachy bezwładnego rannego, kiedy we wzgórze trafiła trzecia rakietą. Blackhawkiem szarpnęło i marinę wysłiznął się z uchwytu Mercera. Żołnierz i kapral Chavez zniknęli w piekle ognia, dymu i pyłu.

Pilot śmigłowca wzbił się znad wzgórza i odleciał nad otwartą pustynię, daleko poza zasięg wszelkiej broni, jaką Sudańczycy mogli dysponować. Mercer siedział otępiaty wpatrzony w dół, jakby mógł wskrzesić dwóch żołnierzy, zamierając w bezruchu. Musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby zamrugać, zapomnieć o grozie, jaką widział w oczach kaprała Chaveza w chwili jego śmierci. Siedział nieruchomo przez dwie minuty, zanim zdołał sięgnąć po słuchawki wiszące na grodzi ogniowej, zasłaniającej częściowo kokpit.

– Jak maszyna? – Jego głos brzmiał, jakby należał do kogoś innego, człowieka wciąż zdolnego funkcjonować, racjonalnie myśleć i przejmować się, co będzie dalej.

– Wszystko w porządku – odparł pilot. – Przykro mi z powodu pana kumpli. Nic nie mogłem zrobić.

To nie były przeprosiny, raczej stwierdzenie faktu na wojnie.

– Jaki status niezidentyfikowanego?

– Chwila – powiedział pilot i Mercer domyślił się, że tamten przełącza częstotliwości, żeby porozmawiać z krążącym AWACS-em. – Duch zniknął z radaru jakieś pięć minut temu, około dwóch kilometrów od obozu, i został znów zauważony dwie minuty później, lecąc w kierunku wschodnim. Sky Eye stracił sygnał zaraz potem. Wygląda na to, że kogoś zabrali.

– Niech pan leci na wschód, najszybciej, jak ten złom może. Podejrzewam, że śmigłowiec, który ścigamy, jest o wiele większy od naszego i wolniejszy.

Założenie Mercera wynikało z tego, że Izraelczycy zamierzali zdobyć Arkę Przymierza. Nie miał pojęcia, jakich jest rozmiarów, ale domyślał się, że Żydzi przyślą odpowiednio dużą maszynę.

Zajrzał do kokpitu.

– Kim pan jest, do cholery? – Pilot bardzo się zdziwił, że jego pasażer jest cywilem.

– Philip Mercer. To mnie przylecieliście uratować.

– Mamy rozkaz wyrzucić pana w miejscu zbiórki – powiedział drugi pilot.

– Mnie pasuje, ale jeśli to zrobicie, nie ma mowy, żebyśmy dogonili izraelski śmigłowiec. Chavez powiedział mi, że AWACS nie może go namierzyć, a my jesteśmy jedyną parą oczu w tej okolicy.

Podwójne silniki General Electric T700 ryczały na maksymalnych obrotach, pchając lekko tylko obciążony śmigłowiec z prędkością ponad trzystu kilometrów na godzinę. Ziemia w dole zmieniła się w przyprawiającą o mdłości rozmazaną smugę. Mercer usiadł w fotelu najbliższej otwartych drzwi, jako dodatkowy obserwator wypatrując uciekającego helikoptera Izraelczyków.

Ból w piersi był przeszywający. Philip znalazł pod fotelem apteczkę i połknął trochę środków przeciwbólowych. Potem nożem z apteczki odciął dwa pasy bezpieczeństwa. Zawiązał je i owinął sobie wokół piersi, ściągając ciasno sprzączką. Był to niebezpieczny zabieg, ale po raz pierwszy, odkąd nad jego głową

wybuchł apache, Mercer mógł w miarę swobodnie oddychać. Otarł pot z twarzy, nie bojąc się już zatrucia rtęcią. Nie przestał się pocić chyba od chwili szaleńczego rajdu do kopalni z Selome i diamentami.

– Tam! – krzyknął drugi pilot. – Na godzinie pierwszej, jakieś trzy kilometry przed nami.

Blackhawk szybko zbliżał się do wybrzeża Morza Czerwonego. Pogoda się pogorszyła. Wiatr gwizdzący w kabinie niósł zacinające fale deszczu, wielkie krople tłukły w przednią szybę jak kamienie. Potężne urwisko, chroniące afrykańskie wybrzeże przed gniewem oceanu, opadło pod śmigłowcem tak, że Mercerowi żołądek podjechał do gardła. Helikopter obniżył lot, trzymając się uskoku. Za minutę znajdą się nad Morzem Czerwonym, a wkrótce potem, jeśli uciekający śmigłowiec nie zmieni kierunku, wleczą w przestrzeń powietrzną Arabii Saudyjskiej na południe od Mekki.

Amerykański helikopter doganiał izraelskiego super stalliona, ale olbrzymia płowa maszyna miała ogromne fory i było jasne, że nie dopadną jej przed Półwyspem Arabskim.

– Jeśli nie przerwiemy pościgu, będziemy musieli zgłosić naszą obecność saudyjskim siłom powietrznym – zauważył pilot.

– To zróbcie to – odparł Mercer, którego takie detale doprowadzały do rozpacz.

– Mam transmisję na kanale awaryjnym! – odezwał się drugi pilot. – To chyba super stallion.

Głos mówiący przez radio był pozbawiony akcentu, a transmisja wyraźna.

– Amerykański śmigłowiec, amerykański śmigłowiec, tu Lot Miłosierdzia Jeden w drodze do Mekki z ofiarami głodu w Sudanie. Dlaczego nas ścigacie?

– Chce pan się tym zająć? – spytał drugi pilot Mercera.

– Tak – odparł Philip krótko. – Lot Miłosierdzia Jeden, tu śmigłowiec Korpusu Marines Stanów Zjednoczonych. Nie chcemy otwierać ognia, ale wieiecie międzynarodowych zbiegów poszukiwanych za akty terroru. Odbiór.

– Zaprzeczam, śmigłowiec marines. Mamy kontrakt z agencją charytatywną Lekarze bez Granic. Wieziemy głodujące dzieci do szpitala w Mekce.

– Jeśli nie zawrócicie w erytrejską przestrzeń powietrzną i nie wylądujecie w Massawie, nie będziemy mieli wyboru i zestrzelimy waszą maszynę. Odbiór.

Mercer blefował. Mając tylko M-16, mógł co najwyżej zarysować uciekający śmigłowiec.

Wybrzeże Półwyspu Arabskiego szybko się zbliżało, a pilot blackhawka nie chciał naruszać przestrzeni powietrznej sojuszniczego państwa.

W radiu odezwał się nowy głos. Mercer natychmiast go rozpoznał i wezbrał w nim gniew.

– Doktor Mercer, jak miło znów pana słyszeć – powiedział Jozef. – Miałem nadzieję, że pan słucha. Przekonałem się, że potrafi pan działać chaotycznie, ale bywa pan też bardzo przewidywalny.

– Zginiesz, ty sukinsynu – syknął Mercer.

– Nie sędzę – odparł spokojnie Jozef. – Widzi pan, wciąż mamy pana przyjaciela.

Mercer poczuł się, jakby śmigłowiec zderzył się ze zboczem góry. Zapomniał, że wciąż mają Harry’ego. Zrozumiał, że fanatyzm wszystkim ujdzie na sucho.

Przełączając się na interkom, spytał pilota, czy ich sprzęt łącznościowy potrafi obsługiwać połączenia satelitarne, a kiedy usłyszał potwierdzenie, kazał zadzwonić na numer komórki Dicka Henny.

– Pana milczenie biorę za potwierdzenie – powiedział przez radio Jozef. – Bardzo rozsądnie. Wzywanie marines to był zły pomysł, doktorze. Ponieważ snajper, którego wysłałem za pana przyjacielem z telefonem, nie wrócił, zmusił mnie pan do wyłożenia kart trochę za wcześnie, a bez Arki nie można zagwarantować bezpieczeństwa pana White’a. Przeciwnie, ostatnio wydałem rozkaz, by go zabić. Dopóki go nie odwołam, dopóty życie pana przyjaciela wisi na włosku. Niech mi pan da wolną drogę do Izraela, a kiedy tam dolecimy, uwolnię pana White’a. Niech pan nie traktuje tego jako porażki, lecz jak mata.

Pilot uciął przemowę Jozefa, przełączając kanały, i Mercer usłyszał Dicka Hennę mówiącego „halo”.

– Cześć, Dick, tu Mercer.

– Jezu Chryste. Gdzie ty jesteś, do cholery?

– Za chwilę ci opowiem, ale najpierw powiedz, zrobiliście jakieś postępy w szukaniu Harry’ego?

– Tak, jest w Waszyngtonie. Już od jakiegoś czasu.

– Jeszcze oddzwonię.

Mercer się rozłączył. O Boże, dzięki ci.

Poczucie winy, strach i ciężąca odpowiedzialność zmniejszyły się, pozostawiając jego umysł jasny i czysty po raz pierwszy od chwili porwania Harry'ego. Już po wszystkim. Udało się mu. Teraz nic już nie ma znaczenia. Harry jest bezpieczny. Selome jest bezpieczna. Erytrejczycy wolni. Nawet plan Gianellego, by zaszantażować diamentowy kartel, wziął w łeb. Mercer wiedział, że jeśli na to pozwoli, ulga osłabi jego determinację. Ale jeszcze nie wszystko skończone. Nie chciał tego ze względu na swoich przyjaciół czy kogokolwiek innego. Chciał tego dla siebie.

Zanim zdążył przełączyć radio na kanał uciekającego śmigłowca, odezwał się pilot:

– Mamy dwa problemy, doktorze Mercer. Po pierwsze, za około cztery minuty wlecimy w przestrzeń powietrzną Arabii Saudyjskiej. Po drugie, na radarze właśnie pojawiły się dwa punkty. Zbliżają się z północy z prędkością dźwięku. Będą tu za dziesięć minut.

– Czyje to? – Mercer miał nieprzyjemne wrażenie, że się domyśla.

– Nie mam ich sygnatur IFF. – Pilot mówił o transponderach identyfikacji wróg-przyjaciel, montowanych na samolotach wojskowych Stanów Zjednoczonych i ich sprzymierzeńców.

– A więc to nie Saudyjczycy?

– Wątpię, żeby wyłączali swoje IFF-y nad własnym terytorium, zwłaszcza że wybrzeże najeżone jest wyrzutniami rakiet przeciwlotniczych.

– Innymi słowy, mamy dziesięć minut, zanim pojawi się tu eskorta tego helikoptera.

– Aha.

– Zdejmujemy go.

– Moment, doktorze, to na pewno taki dobry pomysł? To znaczy, jeśli ktoś ma możliwość wysłania eskorty myśliwców, to raczej działa legalnie.

Mercer odchrząknął.

– Uratujemy izraelską demokrację. Ustawcie nas dokładnie nad tym śmigłowcem. Mam pomysł.

Trzy kilometry od wybrzeża izraelscy renegaci odbili na północ, na spotkanie myśliwców, trzymając się na skraju zasięgu saudyjskich instalacji obronnych. Nie było możliwości, żeby ociężały super stallion uciekł black-hawkowi, ale bardzo się starał. Amerykański śmigłowiec potrzebował jeszcze trzech minut, żeby ustawić się nad olbrzymim wirnikiem Izraelczyka.

– Lepiej, żeby pana pomysł był cholernie dobry! – krzyknął drugi pilot. – Według radaru te myśliwce będą tu za cztery minuty!

Mercer pracował gorączkowo.

– Kiedy krzyknę, odbijcie w prawo najostrzej, jak się da, a potem posadźcie tę lochę, i to szybko. Odrzutowce mogą zaatakować nawet, kiedy zniszczę stalliona. – Włączył mikrofon, żeby usłyszał go Jozef. – Słuchaj no, sukinsynu, i to uważnie.

– Ach, wrócił pan doktor – odparł kpiąco Jozef. – Myślałem, że już nas pan opuścił.

– Zawsze wolałem ruletkę, ale wiem o pokerze tyle, że kiedy ktoś sprawdzi twój bluff, gra skończona.

Głos Jozefa był napięty, a jego odpowiedź nadeszła ułamek sekundy za późno.

– A pan uważa, że blefuję? Niech pan pamięta, gra pan nie o swoje życie, tylko o życie przyjaciela, Harry’ego White’a.

– Dupku, wiem, że blefujesz. – Mercer ocenił, ile czasu kilogramowy przedmiot będzie leciał z drzwi jego śmigłowca na drugi. Uciął lontu na dziesięć sekund i umieścił go w ostatniej lasce dynamitu. – A za jakąś minutę zapłacisz najwyższą stawkę.

– Ślepa brawura, doktorze Mercer – prychnął Jozef. – Za minutę, jeśli nie dostanę wolnej drogi, dwa F-16 zmiotą was z nieba. Mogę zginąć, owszem, ale Harry White też umrze. Pana zemsta może i da panu satysfakcję, ale bardzo krótką.

– Trzeba wiedzieć, kiedy się poddać, partnerze – rzucił Mercer z westernowym akcentem. Z powodu hulającego w kabinie wiatru nie zapalił lontu za pierwszym razem, ale wreszcie mu się udało.

– Teraz! – krzyknął.

Pilot blackhawka uprzedził go o krytyczne pół sekundy i kiedy Mercer wypuścił dynamit, zobaczył, że nie trafi w wirnik izraelskiego śmigłowca. Chociaż eksplozja blisko kadłuba sikorsky’ego na pewno by go uszkodziła, wątpliwe, czy zostałyby poważnie okaleczone.

Mercer otworzył usta, by krzyknąć z frustracji, ale w tej samej chwili blackhawk opadł na bok tak szybko, że przez chwilę na jego pokładzie panowała nieważkość. Mimo to nie spuścił

wzroku z izraelskiego helikoptera i spadającego w jego kierunku przedmiotu.

Wirnik śmigłowca wytwarza ciąg poprzez tworzenie wysokiego ciśnienia pod łopatami i niskiego nad nimi. W przypadku śmigłowca rozmiarów CH-53 wirnik wsysa tony powietrza, które zbiegają się na helikopterze jak w oku cyklonu. W ten wir właśnie spadł dynamit. Mała bomba przeleciałaby niegroźnie obok zwykłego samolotu, ale kiedy złapała ciąg zasilanych turbinami łopat, zmieniła kierunek. Na ułamek sekundy, zanim wirnik rozdarł ją na strzępy, płomień dotarł do materiału wybuchowego.

Śmigłowiec zniknął w kuli ognia, a kiedy znów się pojawił, wirnik i jedna trzecia kadłuba zniknęły. Super stallion był martwy, jedynie dotychczasowy pęd pchał go opadającą parabolą. Mercer nie zamrugał, dopóki wrak nie roztrzaskał się o kobaltowe morze. Fala uderzenia zgasiła palące się zbiorniki paliwa. Po chwili śmigłowiec zniknął.

– Lećmy na saudyjskie wybrzeże pod ich parasol radarowy! – krzyknął Mercer do pilota, ale weteran już dawno to robił. Śmigłowiec opadł na wysokość kilku metrów nad falami, pędząc z maksymalną prędkością, na jaką pozwalały silniki.

– Odrzutowce zawracają na północ! – krzyknął drugi pilot minutę później. Mercer był zbyt zmęczony, żeby się tym przejąć, ale zmusił się do słabego wiwatu.

– Wracajmy do kopalni. Jeszcze nie skończyliśmy.

Zajął im to czterdzieści minut. W drodze powrotnej słuchali rozmów pilotów innych blackhawków przewożących rannych na okręt desantowy.

Habte pierwszy przywitał Mercera. na ziemi, z powagą uściśnął mu dłoń, a potem zamknął go w braterskim uścisku, który wydłużył o dzień czy dwa gojenie się połamanych żeber Philipa.

– Nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę. – Erytrejczyk starał się nie zdradzać emocji, ale mu się nie udało.

– Niewiele brakowało.

Po chwili do małej grupki stojącej obok śmigłowca podbiegła Selome. Ona też uściskała Mercera, o wiele delikatniej, ale jej pocałunek był tak namiętny, jakby chciała wyrazić nim wszystkie możliwe uczucia. Mercer odpowiedział równie entuzjastycznie.

– Nic mi nie jest, nie martw się – uprzedziła jego pytanie. – Marines uwolnili już górników i wysłali najciężej rannych na swój okręt.

Mercer wciąż był na adrenalinowym haju. Wszystko wydawało mu się nierzeczywiste. Godzinę temu walczył o życie, a teraz trzymał za rękę piękną kobietę, otoczony przez brudnych, ale zadowolonych żołnierzy. Groza i ból miały do niego wracać jeszcze długo, ale przez tych kilka chwil czuł się niezwyciężony i ta myśl sprawiała, że uśmiechał się szeroko.

– To świetnie, ale miałem cię spytać, czy jesteś już gotowa na te wakacje? Podszedł do nich jeden z marines, wyciągając do Mercera dłoń. Za nim dwaj żołnierze prowadzili Giancarla Gianellego i Joppiego Hofmyera. Uśmiech zniknął z twarzy Mercera, a jego szare oczy straciły wyraz.

– Kapitan James Saunders, Korpus Marines USA – przedstawił się rudowłosy oficer. – To zaszczyt pana poznać, doktorze Mercer.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie kapitanie. – Mercer uściśnął wyciągniętą dłoń. – Dziękuję wam w imieniu nas wszystkich.

– Wykonywaliśmy tylko swoją pracę – zaproponował marinę. – Pomyślałem, że będzie pan chciał zobaczyć tych dwóch typów, zanim ich stąd odeślemy. Agenci FBI czekają już w Asmarze, żeby zabrać ich do Europy, gdzie staną przed sądem.

– Naoglądałem się przez ostatnich tygodnie dość paskudztw, więc mogę to sobie odpuścić. Ale i tak dziękuję.

– Proszę bardzo. – Saunders gestem kazał żołnierzom odprowadzić więźniów do czekającego śmigłowca, ale kiedy nieco się oddalili, Mercer zmienił zadanie. – Chwileczkę, panie kapitanie.

Obaj jeńcy byli brudni i wyglądali na sponiewieranych w trakcie próby ucieczki z pola bitwy, ale żaden nie był ranny. Mercer najpierw podszedł do Hofmyera.

– Tobie już raz skopałem dupę, więc nawet nie będę sobie zawracał głowy. Skierował swoją nienawiść na Gianellego. Włoch zaskomlał, kiedy spoczął na nim morderczy wzrok Mercera.

– Ale w twoim przypadku to mi sprawi kupę radości. – Mercer zamachnął się pięścią, celując w sam środek twarzy Gianellego, ale się powstrzymał. – Pieprzyć to. Nie jesteś wart wysiłku.

Na twarzy Gianellego odmalowała się ulga. Wytrzeszczonymi oczami patrzył, jak Mercer się odwraca.

– Nie jesteś, akurat.

Philip obrócił się nagle i rąbnął Włocha. Oczy przemysłowca uciekły pod czaszkę i Gianelli padł płasko na plecy.

– Dziękuję, kapitanie Saunders. Chyba tego potrzebowałem.

Selome wsunęła rękę pod ramię Mercera, Habte objął go z drugiej strony. Wsparty na nich Philip wyprostował się, w jego oczach błysnął dawny ogień, a twarz rozjaśnił szelmowski uśmiech.

– Co byście powiedzieli, żebyśmy znaleźli sejf Gianellego i zobaczyli, o co w ogóle było całe to zamieszanie?

MASADA, IZRAEL

W kraju, w którym prawie każdy budynek, pagórek i jaskinia mają znaczenie, mało które miejsce jest tak czczone i podziwiane jak forteca króla Heroda w Masadzie. Stoi ona na szczycie góry w kształcie diamentu, zapierając dech w piersiach. Morze Martwe – najgłębsza depresja Ziemi – rozciąga się pod nią, ponad trzysta metrów pod poziomem morza, a nad pozbawionymi życia wodami unosi się solna mgiełka, uniemożliwiająca dostrzeżenie jordańskiego wybrzeża jedenaście kilometrów dalej.

Masada została zbudowana jako niezdojty fort, ale stała się ulubionym ustroniem Heroda, który robił, co mógł, by jego bogactwo przeszło do legendy. Były tu dwa odrębne pałace i basen, całoroczny, mimo okrutnych jordańskich upałów. Ale to nie architektura sprawia, że Masada jest tak ważna, lecz to, co zdarzyło się w niej podczas wojny żydowskiej w I wieku naszej ery, kiedy żydowscy zeloci walczyli ze swoimi rzymskimi panami.

Masada została zdobyta przez Menachema Ben Jehudę i stała się dla zelotów schronieniem. Po czterech latach wojny i trzech latach oblężenia stała się też ich ostatnim szańcem. Rzymianie kazali żydowskim niewolnikom usypać olbrzymią rampę prowadzącą na szczyt góry, co było imponującym wyczynem, jak na możliwości ówczesnej techniki, a kiedy w końcu sforsowali mury fortecy, odkryli stos pogrzebowy. Otoczeni przez rzymski X Legion pod wodzą prokuratora Flawiusza Silwy, dziewięciuset

sześćdziesięciu siedmiu Żydów wybrało samobójstwo zamiast poddania się oblegającym.

Tak jak Zachodni Mur, Masada stała się świadectwem żydowskiej historii, celem pielgrzymek i obiektem kultu. W dzisiejszych czasach każdy żołnierz wcielany do Sił Obronnych Izraela zaprzysięgany jest w tych omiatanych wiatrem ruinach, pomniku bohaterstwa i symbolu siły swojego narodu.

Dlatego właśnie premier David Litwinow był tak zły, kiedy jego śmigłowiec Aerospatiale, rozcinając noc reflektorami, usiadł na piaszczystym szczycie wzgórza. Jak Levine śmie kłaść to miejsce, zgadzając się tutaj oddać w ręce policji? Jego bezczelność nie ma granic.

Levine zniknął wkrótce po tym, jak Harry White został wywieziony do Stanów Zjednoczonych. Cudem uniknął aresztowania i od tamtej pory Szin Bet nie mogło go znaleźć. Litwinowa zapewniano, że to kwestia czasu, ale po dwóch tygodniach wydawało się, że minister obrony nigdy się nie odnajdzie, chociaż nadal zmierzał do celu – odzyskania Arki Przymierza. Levine'owi udało się nawet użyć dwóch myśliwców i wysłać do Erytrei śmigłowiec towarowy, żeby uratować swoich ludzi. Piloci odrzutowców nie wiedzieli, że ich misja nie jest usankcjonowana przez rząd, ale i tak zawieszono ich w służbie na czas śledztwa.

Śmigłowiec Litwinowa usiadł lekko i wyskoczyło z niego dwóch żołnierzy, przez noktowizory rozglądając się po placu defilad na południe od głównego pałacu Heroda, z bronią gotową do strzału. Silnik umilkł, a łopaty wirnika cięży powietrze coraz wolniej, aż zwisły jak palmowe liście.

Litvinow odpiął pasy i wysiadł.

– Gdyby Levine chciał mnie zabić – zapewnił jednego z ochroniarzy -nie pozwoliłby nam wylądować.

Levine zadzwonił do niego rano, bez troski, i powiedział, że podda się, ale tylko jeśli premier spotka się z nim w Masadzie.

– Zaczekajcie tu. – Litvinow zignorował minę ochroniarza.

– Chce się ze mną spotkać sam na sam na górnym tarasie willi Heroda. Niedługo wrócę.

Szybko połknęła go ciemność. Snop światła jego latarki skakał po kamieniach; Litvinow szedł na północ, starając się o niczym nie myśleć. Okrążył mury starożytnych magazynów i fundamenty rzymskiego budynku administracyjnego. Noc była ciepła, ale słona bryza chłodziła. Rzadkie włosy wpadały premierowi do oczu. Wiatr wzbijał z ziemi kurz.

**Mijając schody prowadzące na niższe tarasy willi,
Litvinow poszedł dalej przez kamienny labirynt, aż dotarł
do półkolistego muru zawieszzonego nad |f)Q**

północnym krańcem Masady niby dziób wielkiego okrętu. Było za ciemno, żeby dostrzec cokolwiek w dole, ale premier czuł przepaść ziejącą kilka kroków dalej.

– Wiedziałem, że przyjdiesz! – zawołał czyjś głos z ciemności. Litvinow odwrócił się w tamtym kierunku, plecami do bezgwiezdnej pustki.

– Jak śmiałeś bezcześcić to miejsce, przychodząc tu? O mało nie zniszczyłeś wszystkiego, o co Masada walczyła.

Nie chciał się o to wyklócać z Levine'em, ale rozsadzały go emocje. Nienawiść. Wściekłość.

– Zniszczyłem, Davidzie? Nie, prawie nadałem temu sens. Prawie udało mi się odzyskać dla Izraela jego najbardziej czczoną relikwię.

Levine wszedł w krąg światła latarki. Nic w jego postawie nie sugerowało, że przykro mu z powodu tego, co się stało. Miał nawet na sobie mundur. W porównaniu z jego godną sylwetką Litvinow wydawał się małym, szarym, zmęczonym starszym panem, którego miejsce jest w biurze.

– Cóż, to już koniec. Levine się zaśmiał.

– Naprawdę uważasz, że to koniec? Jesteś aż tak naiwny? To nie było tylko moje dzieło, wiesz. Razem ze mną pracują inni, potężni ludzie, wielu z nich jest w twoim rządzie. Tym razem

nam się nie udało, ale to nie oznacza, że nie będziemy działać nadal. Znajdziemy Arkę, odbudujemy Świątynię, a potem pozbędziemy się Palestyńczyków. Nie powstrzymasz nas.

– Może i nie, ale to nie ma znaczenia – uciął Litwinow i zobaczył, że Levine zmieszał się, słysząc te słowa. – Symbole potrafią mieć wielką siłę, Chaimie, ale tylko, jeśli ludzie im tę siłę dają. Nawet gdybyś znalazł Arkę, myślisz, że zdołałbyś dokonać tych wszystkich rzeczy, których pragnąłeś? Podniecenie jej znalezieniem trwałoby tylko do następnego skandalu albo następnej wojny. Nikogo to już nie obchodzi. Ludzie nie chcą symboli.

– Mylisz się – warknął Levine. – Symbole są teraz potrzebne bardziej niż kiedykolwiek. Świat upada. Ameryka zmienia naszą planetę w centrum handlowe. Musimy zachowywać to, co nas różni. Potrzebujemy czegoś, co będzie nam przypominać, że najpierw i przede wszystkim jesteśmy Żydami, a potem Izraelczykami, Amerykanami czy Europejczykami. Tylko to nam zostało.

– Zgadzam się z tobą, ale nie tędy droga.

– Davidzie, jesteśmy przyjaciółmi od tak dawna...

– Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi – powiedział spokojnie Litwinow. – Byłeś dla mnie jedynie polityczną koniecznością, sposobem na utrzymanie rządzącej koalicji. Nie myl tego z przyjaźnią.

Levine powoli pokiwał głową, zaskoczony tą szczerą deklaracją.

– Bardzo dobrze, pracowaliśmy razem przez wiele lat. Wiesz, że nie zrobiłbym niczego, co mogłoby zaszkodzić Izraelowi. Dlatego właśnie tu dzisiaj jesteśmy. Moja misja się nie powiodła i wiem, że mój dalszy udział w polityce tylko zaszkodziłby twojemu rządowi.

– Jak to miło.

– Nie myśl, że robię to dla ciebie. Już ci mówiłem, ludzie działający ze mną będą działali nadal. Zdradziłem i nie mogę narażać ich wysiłków.

W jego ręku pojawił się pistolet, wyciągnięty z kabury na plecach.

– To jedyny sposób.

Strzał był brutalnie głośny; eksplozja światła i dźwięku uderzyła uszy Litwinowa jak grom. Nie strzelał z pistoletu od czasu wojny sześciodniowej i zaboląa go ręka.

Strzelił z własnej broni, wyciągając ją z kieszeni przed Levine'm, ale ten niczego nie zauważył, bo latarka świeciła mu w twarz. Chaim Levine spojrział na ranę w swojej piersi, cały czas usiłując podnieść pistolet do skroni. Litwinow strzelił jeszcze raz i Levine poleciał w tył. Uderzył o kamienny mur i osunął się na ziemię; pistolet wypadł mu z bezwładnych palców.

– Nie zostaniesz symbolem, Chaimie – powiedział premier.
– Nie pozwolę ci zrobić z siebie męczennika i dodać swojego ducha do tych, które nawiedzają Masadę. Nie zasłużyłeś na to i mimo tego, co ci się wydawało, nigdy nie zasługiwałeś.

EGIPT

Wiele czynników sprawiło, że rzeka Nil w nieunikniony sposób stała się jedną z kolebek cywilizacji. Na przykład doroczne wylewy nawożyły dolinę i można było uprawiać ziemię przez okrągły rok. Albo ciekawy fakt, że choć rzeka płynie na północ, najsilniejsze wiatry wieją na południe, umożliwiając łatwą żeglugę w obu kierunkach. To właśnie taki wiatr owiewał drewniany pokład luksusowej barki, skubiąc płócienne zadaszanie górnego salonu i osuszając kropelki potu na twarzy i gołej piersi Philipa Mercera, wsiąkające w jego szorty.

Od pasa w górę wciąż był posiniaczony, nie mógł też odychać głęboko, ale szybko wracał do zdrowia, a lekarz, który odwiedził ich łódź w Luksorze tydzień temu, powiedział, że Mercer odzyska formę w stu procentach. Szczęśliwie ani on, ani Selome nie ucierpieli od kontaktu z rtęcią, a jego obawy, że zarazili się kryptokokami, okazały się bezpodstawne.

Mercer i Selome płynęli barką od trzech tygodni, żeglując w górę rzeki, z dala od gwarnego Kairu. Łódź należała do jednego z dawnych klientów Mercera, który zbił fortunę po tym, jak skorzystał z jego usług geologicznych, i z przyjemnością pozwalał mu teraz płynąć swoją barką. Z brzegu wyglądała niepozornie, długa na dwadzieścia metrów i szeroka na prawie sześć, z płaskim dnem i kwadratowymi rufą i dziobem. Nadbudówka była kanciastym pudłem za bardzo wysuniętym do przodu, co nie

wyglądało estetycznie. Dopiero gdy weszło się na pokład, barka ujawniała swoje piękno i luksusowe wyposażenie.

Górny pokład wyłożono mahoniem, wypolerowanym tak gładko, że błyszczał w słońcu. Mały basenik i jacuzzi wyglądały jak miniaturowe oazy. Między donicami z palmami kusił bar. Nie licząc załogi, Mercer i Selome mieli całą barkę dla siebie. Pod pokładem znajdowało się sześć kajut, w tym apartament z łóżkiem na tyle dużym, by grać na nim w polo, i łazienką w złocie i marmurach. Jadalnia i salon były urządzone z równym przepychem, a choć wystrój nie był w stylu Mercera, Philip doceniał jego piękno.

Otarł pot z oczu i otworzył je powoli, napawając się widokiem. Selome Nagast leżała wyciągnięta na wiklinowym szezlongu. Jej ciemna skóra kojarzyła się z posmarowaną oliwą skałą, zarówno z powodu jędrności, jak i połysku. Włosy związała na czubku głowy, ale i tak opadały jej na ramiona, a henna połyskiwała jak poduszka wysadzana rubinami. Jedyne, co odcinało się kolorem, to mikroskopijny dół od bikini, składający się ze sznureczków związanych wokół jej wąskich bioder i maleńkiego trójkątka między nogami. Jej idealne piersi były wysokie i spiczaste i na ich widok Mercer poczuł drgnięcie w podbrzuszu.

Ostrożnie – bo nie chciał jej budzić – wziął szklanekę z gimletem ze stolika za sobą. Popijając mocną mieszankę wódki z sokiem z limonki policzył, że to już trzeci dzisiaj, a nie ma nawet południa. Mercer wiedział, że niektórzy ludzie na wakacjach szukają przygód, żeby uciec od monotonii codzienności. Jemu chodziło o coś wręcz przeciwnego.

Za burtą zacumowanej luksusowej barki o nazwie „Aga Chan” przepływała procesja statków wycieczkowych wypełnionych Amerykanami, Japończykami i Europejczykami. Naprzeciwko wznosiła się świątynia Kom Ombo, piaskowcowy kompleks poświęcony Horusowi i Sobekowi, bogowi-krokodylowi. Świątynia była podobna do ateńskiego Akropolu, miała grube kolumny w kształcie kwiatów lotosu, zwieńczone masywnymi, kamiennymi gzymsami. Mercer i Selome poprzedni dzień spędzili na zwiedzaniu ruin, podziwiając ptolemejskie hieroglify i mumie świętych krokodyli. Świątynia była kiedyś celem pielgrzymki ludzi chorych i kalek, wiele piktogramów ukazywało obrzędy lecznicze i modlitwy.

Dzisiaj był ostatni dzień, jaki mieli spędzić we dwoje. W Kom Ombo dołączali do nich Dick Henna i jego żona Fay. Później, w Asuanie, obie pary miały opuścić łódź na kolejny tydzień zwiedzania, w tym wycieczkę wyczerterowanym prywatnie samolotem do wielkiej świątyni Ramzesa II w Abu Simbel.

Kiedy tylko Mercer pomyślał o nadchodzącym końcu ich samotności, usłyszał na trapie jakieś zamieszanie. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś wędrowny handlarz będzie próbował sprzedać im pamiątki, ale potem usłyszał głos Dicka Henny i zachwycony okrzyk Fay, kiedy zobaczyła, jak naprawdę będzie wyglądać ich wycieczka na południe.

– Selome, obudź się! – zawołał Mercer, a ona zatrzepotała rzęsami i otworzyła oczy. Rzucił jej górę od bikini. – Przyjechało towarzystwo.

Skrzywiła się lekko z irytacją i włożyła stanik, umieszczając piersi w miseczkach w tej samej chwili, kiedy Henna i Fay weszły na górny pokład.

Mercer natychmiast zerwał się z leżaka, uściśnął Dickowi dłoń i cmoknął Fay w policzek.

– Witamy na Mercera Barce Grzechu. Wasz kaprys to dla nas rozkaz.

– Mówiłem to już wiele razy i powtórzę teraz, robię w złej branży. – Henna spijał wzrokiem luksus barki, dopóki jego spojrzenie nie padło na Selome. Rozdziawił usta.

– Selome Nagast, to są Dick i Fay Henna. – Kiedy Dick ścisnął dłoń Selome, Fay rzuciła Mercerowi pełne aprobaty spojrzenie, a on się uśmiechnął. – Jak minęła podróż?

– Świetnie – odparł Dick. – Pierwsza klasa z Dullesa do Kairu, prywatny samolot do Asuanu i limuzyną tutaj. Kto by narzekał?

Mercer zapłacił za to wszystko, chcąc podziękować Dickowi za pomoc, a Fay za cierpliwość.

– A Harry?

– Będzie tu pojutrze. Jest w Izraelu, pomaga Mossadowi zidentyfikować ludzi, którzy go porwali. Nie mogę uwierzyć, ile on ma siły. Po prostu człowiek z żelaza.

– Z sercem ze złota i wątroba z ołowiu – Mercer się zaśmiał. – Może się rozpakujcie? Porozmawiamy przy obiedzie.

Godzinę później siedzieli przy jednym ze stolików na pokładzie, Henna i Fay w szortach i luźnych koszulach. Mercer wrzucił podkoszulek, a Selome owinęła się kolorowym sarongiem. Kiedy

jedli, obok barki przemknęły dwie feluki z łańskim ożaglowaniem, tradycyjne łodzie wciąż obecne na rzece od niezliczonych setek pokoleń.

Kiedy stewardzi pozbierali nakrycia i uzupełnili wszystkim drinki, Mercer skończył podręcznikową niemal opowieść o świątyni wznoszącej się za nimi i poruszył poważniejszy temat:

– Możemy od razu załatwić sprawy służbowe, żeby mieć spokój przez resztę wycieczki.

– Zgadzą się – odrzekła Fay.

– Niech będzie. – Henna spojrzał czule na żonę, z którą był od trzydziestu pięciu lat. – Dobra, najpierw złe wiadomości, potem przejdziemy do dobrych.

– Trzech górników uwięzionych w kopalni umarło zatrutych rtęcią, czterech innych też nie ma szans z tego wyjść – zaczął Henna. – Większość jednak zareagowała pomyślnie na leczenie i wróci do zdrowia.

Mercer nic nie powiedział. Nie myślał o trzydziestu, których uratował, tylko o tych, których stracił. Selome wzięła go za rękę. Henna mówił dalej:

– Podczas szturmowania marines zginęło tylko czterech Erytrejczyków i sekcja zwłok potwierdziła, że wszystkich zabili Sudańczycy. Z kontyngentu marines straciliśmy ośmiu ludzi, dwunastu jest rannych. Tylko trzech Sudańczyków przeżyło bitwę, czekają w Asmarze na proces. Minister sprawiedliwości zapewnia mnie, że ich egzekucja będzie szybka. W ramach umowy między Interpolem i władzami Erytrei Asmara zatrzyma sobie także Joppiego Hofmyera i tego drugiego górnik z RPA,

ale Giancarlo Gianelli pojechał do Europy. Zarząd Gianelli SpA bardzo chętnie współpracował w sprawie innych jego nielegalnych przedsięwzięć, żeby nie robić firmie złej reklamy. Nawet przy dobrym sprawowaniu wyjdzie z więzienia długo po następnej epoce lodowcowej.

– Wykazał jakąś skruchę?

– Ani trochę.

– Powiniennem był go zabić, kiedy miałem szansę – warknął Mercer. Wiedział, że nawet dożywocie to mało za to, co Gianelli zrobił.

– Teraz dobre wiadomości. Najlepsze zostawię na koniec. Jak na pewno słyszałeś, minister Levine zginął kilka tygodni temu w tajemniczych okolicznościach. Oficjalna wersja to atak serca, ale prawda jest taka, że zastrzelił go osobiście premier Litwinow. Litwinow złożył wniosek o przełożenie wyborów, ale wygląda na to, że jeśli się odbędą, zachowa władzę z większością Partii Pracy w Knesecie. Pozostali spiskowcy, o których nam wiadomo, zostaną osądzeni w tajnym procesie. Władze Izraela wyciszają całą aferę, ale nasz prezydent dobrze wie, co się stało, i zamierza to wykorzystać podczas następnej rundy rozmów pokojowych, jeśli znów będą się wycofywali z dawnych obietnic.

– Dyplomacja kija i marchewki?

– Nie moja sprawa, ja jestem zwykłym gliną. – Henna uśmiechnął się pod nosem. – Teraz najlepsze: – Ciężki sprzęt górniczy, który zamówiłeś z Waszyngtonu, dotarł do Erytrei dzień po tym, jak tu przyjechaliście. Korpus inżynieryjny erytrejskiej armii pomógł im się dostać do kopalni w ramach pakietu

współpracy. Habte Makkonen został mianowany głównym kierownikiem kopalni i niedługo ją uruchomi. Oczywiście nazwali ją „Kopalnią Króla Salomona”. Makkonen i minister górnictwa zawarli już umowę dystrybucyjną z londyńskim kartelem diamentowym. W ciągu kilku najbliższych tygodni wyślą pierwszą partię diamentów. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, na ile to zmieni Erytreę, ale wszyscy się zgadzają, że to koniec ich nędzy.

– Powiedz mu o tej drugiej sprawie – podpowiedziała mężowi Fay.

– A tak. Pamiętasz ten sejf, którego nie mogliście otworzyć w kopalni?

– Mercer wypróbował na tym drąństwie wszystko oprócz dynamitu -przypomniała Selome.

– Gianelli nie chciał podać szyfru, więc skontaktowano się z producentem, a ten wysłał swojego technika. Okazało się, że ta puszka była najnowszym osiągnięciem, bo otwarcie jej zajęło cały tydzień.

– I? – To Fay była najbardziej podekscytowana, chociaż znała już tę historię.

– Pewnie słyszałeś plotki o olbrzymim kamieniu, który znalezione w kopalni. No, to prawda. Nieoszlifowany waży sto dwadzieścia karatów. Eksperci szlifierze, którzy mają go w Antwerpii, mówią, że wyszlifują go na sześćdziesiąt.

– Jezu Chryste! – Mercer osłupiał. – Kamień tej wielkości jest bezcenny. Kolekcjonerzy zapłaciliby fortunę za prawo nazywania go.

– Już ma właściciela.

– Kogo? – spytał Mercer, domyślając się, że diament przyozdobi niedługo czyjąś młodą żonę.

– Naród erytrejski przekazał go do Muzeum Historii Naturalnej Instytutu Smithsona. Będzie wystawiony obok Diamentu Nadziei w Galerii Geologicznej Hookera. – Henna się rozpromienił. – Nazwano go Diamentem Mercera.

Mercer poczuł szczypanie łez w oczach i odwrócił się, zanim pozostali zobaczyli, jak bardzo ten gest go wzruszył. Kiedy się opanował, spojrzął na Selome.

– Wiedziałaś o tym?

– Dowiedziałam się, kiedy dzwoniłam ostatnio do ministra górnictwa. – Selome nie zdołała powstrzymać szerokiego uśmiechu. – W imieniu całego naszego narodu chcieliśmy ci podziękować za to, co dla nas zrobiłeś.

Mercer czuł się nieswojo, ale w jego oczach błyskało zadowolenie.

Później tej nocy on i Selome kochali się w głównym apartamencie. Kiedy leżeli na pomiętych, wilgotnych prześcieradłach, Selome oparła głowę na piersi Mercera, żeby nie widział jej twarzy.

– Zmieniłeś się od rana. To ten diament?

Szanował ją wystarczająco, żeby nie udzielać wymijających odpowiedzi.

– Nie, to nie to.

Jak jej to wytłumaczyć? Jakimi słowami powiedzieć, że mimo wszystkiego, co przeszli, chciał wrócić do domu, do tego, co robił przed pierwszym telefonem od Prescottta Hyde'a. Musi

zapomnieć o tym koszmarze. Nie jest słuszne ani właściwie jej w to mieszać, ale jest jego częścią. Wszystko było zbyt bolesne, wspomnienia Gibby’ego, brata Efraima i zmumifikowanych dzieci, trupy znalezione w pierwszej kopalni, twarz Chaveza, kiedy eksplodował wierzchołek wzgórze. Musiały minąć lata, zanim ten horror by minął, a i tak część pozostałaby w Mercerze na zawsze.

– A więc to Dick i Fay – powiedziała Selome. – Przypomnieli ci, że masz swoje życie gdzieś daleko stąd i chcesz już do niego wracać.

– Selome, ja...

Nie chce, ale musi. Musi odciąć się całkowicie od tego wszystkiego, co się stało. Musi, jeśli chce rozpocząć długi proces uzdrawiania.

– Wiem, Philipie, rozumiem. Jesteś gotów wracać do domu. Nie myśl, że o tym nie wiedziałam, spodziewałam się tego. – Słowa uwięzły jej w gardle. – Kiedy się poznaliśmy, wyczułam, że nosisz w sobie jakąś zadrę z przeszłości, której nie umiesz się pozbyć. Teraz jej już nie ma, ale może się boisz, że ostatnie doświadczenia też będą cię tak dręczyć.

Mercer się uśmiechnął.

– To dzięki tobie stare wspomnienia zniknęły. Chyba zniechęciłem się do ludzi, zamknąłem się w sobie, ale ty przypomniałaś mi, że w środku wciąż żyję. Nigdy nie zdołam ci się odplącić za to, co dla mnie zrobiłaś. – A potem uświadomił sobie, że jednak zdoła. – Obiecałem sobie, że nie powiem nikomu tego,

co chcę teraz powiedzieć tobie, i musisz obiecać, że ten sekret zostanie tu, w tej kajucie.

Selome obróciła się tak, żeby na niego spojrzeć. Jego poważny ją zaintrygował.

– W komorze, w której zginął Mahdi, coś widziałem, coś, czego nie umiem wyjaśnić. – Selome patrzyła mu w oczy. – Staralem się wytłumaczyć to sobie racjonalnie, znaleźć naukowe wytłumaczenie, ale nie potrafię.

– Co to było? – spytała Selome, przeczuwając, że już wie. Zadrżała.

– Nie przypominało to żadnego naturalnego zjawiska, jakie widziałem. To było niezemskie niebieskie światło, pulsujące, jakby żyło. Nie widziałem, co było jego źródłem, ale jestem pewien, że była tam z nami na dole Arka Przymierza. Levine miał rację.

– Musimy komuś o tym powiedzieć! Boże, musimy ją wy-dostać! Wiesz, co to oznacza?

– Tak, wiem – powiedział Mercer. – Ilu ludzi zginęło przez nią do tej pory? Jeśli poszukiwania będą trwały, zginie ich jeszcze więcej, aż zniszczony zostanie Izrael, a może cały świat. Nie, Selome, nie powinniśmy jej wydostawać. Została zmiażdżona pod miliardami ton skały i tam właśnie powinna zostać. – Przerwał. – Pamiętasz, jak Efraim mówił, że Bóg kazał Menelikowi zabrać Arkę do Afryki? Może właśnie z tego powodu. Miała być narzędziem wielbienia Boga, a nie powodem zabijania się ludzi nawzajem. Nie jesteśmy jeszcze na nią gotowi, nie umiemy się nią posługiwać.

- Ale... – Selome umilkła. Wiedziała, że Mercer ma rację.
- Powiedziałem ci to, żebyś przynajmniej ty znała prawdę.

To mój dar za twoją pomoc.

Selome widziała, ile kosztowało Mercera zdradzenie tego sekretu. Wewnętrzny konflikt odbił się na jego twarzy i w napiętych mięśniach.

– Dziękuję – szepnęła. – Mój dar był chyba o wiele mniej znaczący. Teraz ja jestem twoją dłużniczką.

– Koniec z długami. Jesteśmy kwita.

– To co będziesz robił, kiedy już wrócisz do domu? – Spokojny wyraz twarzy Selome powiedział Mercerowi, że naprawdę są już kwita. – Znajdziesz sobie jakąś nową przygodę, która cię zajmie i pozwoli ci o mnie zapomnieć?

– Nigdy o tobie nie zapomnę, ale z przygodami koniec – odparł Mercer. – Za kilka tygodni zaczynam uczyć w Pensylwanii ratownictwa górniczego. Potem mam nadzieję pojechać na Grenlandię w ramach ekspedycji naukowej. W porównaniu z tym, co przeszliśmy, to spacer po bułki.

Selome popatrzyła mu w oczy. Na jej ustach pojawił się lekki uśmiešek.

– Czy na tych wszystkich wyprawach znalazłeś to, czego naprawdę szukałeś?

Mercer chwilę się zastanawiał.

– To nie cel mnie interesuje, tylko samo poszukiwanie.

– W takim razie obiecaj mi, że przez nasz ostatni wspólny tydzień będziesz poszukiwał tylko mnie.

Obiecał.

PODZIĘKOWANIA

I znów jestem wstrząśnięty tym, jak wielkiej pomocy potrzebowałem, by powieść nadawała się do czytania. Najpierw więc dziękuję Debbie Saunders, bez której miłości, wsparcia i nieskończonej cierpliwości nie mógłbym pracować w swoim fachu. Drugi w kolejności jest oczywiście mój agent, Bob Diforio, człowiek, dzięki któremu to wszystko jest w ogóle możliwe. Tym razem pomagał mi nowy zespół, Doug Grad i reszta jego ekipy w NAL. Wielkie dzięki, nie zawiodę was. Muszę także podziękować Richardowi Marekowi, najostrzejszemu i najlepszemu redaktorowi w tej branży. Jestem pod wielkim wrażeniem jego umiejętności i spojrzenia. Jest także wielu innych: Chris Flanagan, Kim Haimann, Sandy Preston, siostra Miriam Ward – lista mogłaby się ciągnąć w nieskończoność. Muszę koniecznie podziękować wszystkim, którzy umożliwili mi podróż do Erytrei, i pozdrowić ludzi, którzy uczynili ją miejscem pełnym cudów. Nigdy nie zapomnę spędzonego tam czasu.

Chciałbym także podziękować najważniejszym ludziom w przemyśle wydawniczym: czytelnikom. Bez was jestem tylko facetem stukającym w klawiaturę komputera. Jestem wam głęboko wdzięczny.

OD AUTORA

Ze względów bezpieczeństwa nie udałem się tak daleko na północ Erytrei, jak robi to w tej powieści Mercer, proszę mi więc wybaczyć rozbieżności ze stanem faktycznym tamtejszej geografii. Na potrzeby opowieści zmieniłem także pewne zasady geologii. Tu również proszę o wybaczenie.